ORLE GNIAZDO

CZĘŚĆ II-ga POWIEŚCI „W PROMIENIACH SŁAWY".

CHICAGO, ILL.
DRUKIEM DZIENNIKA CHICAGOSKIEGO
1911


THE LIBRARY OF CONGRESS
1800

JAN OGIŃSKI - KONTRYMOWICZ.

ORLE GNIAZDO

Powieść historyczna z XIX wieku.

Oryginalnie napisana dla
Dziennika Chicagoskiego.

(Część druga powieści „W promieniach Sławy".)



CHICAGO, ILL.
DRUKIEM SPÓŁKI NAKŁAD. WYDAWNICTWA POL.
1911

TOM I.

WARSZAWA.

WARSZAWA.

Mówią, żeś złożona w grobie
Zaprawdę! powiadam Tobie!
Rany się Twoje zagoją —
Bo ten grób kolebką Twoją!

„Cześć Tobie Polsko! w przyszłość Twoją wierzę,
Z łzą w oku idę do Twoich ołtarzy,
By Ci poświęcić wdowi grosz w ofierze,
By życie wzbudzić w Twojej smętnej twarzy —
Powieść Ci niosę bez żadnej ozdoby,
Pieśń, w której drgają smutne Twoje dzieje,
Co — lubo z Ciebie nie zedrze żałoby
Ale rozdmucha przyszłości nadzieje. —
Każdą krwi kroplę, przelaną w obronie
Swobód Narodu, policzę Ci wiernie,
Każdy grot krwawy, co utkwił w Twem łonie
Obmyję łzami, ucałuję ciernie.
Bo Tyś wyrosła nad tłumy, nad wieki!
Wspaniale niosłaś sztandary wolności!
Niejeden naród doznał Twej opieki
Podziwiał prawa, utwór Twej zacności!"

(Upominek dla młodzieży polskiej na wiek XX.)

J. O. K

Warszawo! siostrzyco starego Wawelu. Drogocenna perło Narodu; do Twoich wspaniałych progów ze czcią przybliża się nieznany wędrowiec, widzi, zadziwiony, chmury czarne, ciążące nad Twoich Świątyń szczytami, słyszy jęki ponure dzwonów,

widzi tłumy smutnych twarzy, pochylonych ku ziemi — cicho, milcząco snujące się po Twoich ulicach; ale jednocześnie spostrzega w twarzach tych, w tem ponurem milczeniu nieugięty opór, niezłomną wolę, gotowość do ofiar i poświęceń — staje zdumiony i zapytuje się: co brakuje temu wielkiemu miastu, temu ludowi? „Bagateli“ — Wolności! Życia! — odpowie każdy przechodzień; cisną je tylko łańcuchy żelaznych kajdan i ranią gwoździe, przykuwające ciało, rozpięte na krzyżu męczeństwa. Więcej niczego — bagateli.

A jednak na głównych ulicach, na Krakowskiem Przedmieściu, na Nowym Świecie snują się rzędy niezliczonych ekwipaży, dzielne konie i bogate uprzęże błyskawicznie migają się przed oczami, na szerokich chodnikach ciągną procesye przechodniów elegancko ubranych, wesołych; ale jeżeli bacznie przypatrzysz się ich fizyognòmiom, to dojrzysz coś mongolskiego w spojrzeniach; wędrowiec przekonywa się, że to obcy ludzie, że to cudzoziemcy po większej części ze wschodu. Ci rubasznością ruchów swoich zacierają smętek miasta, wrzawą napełniają ulice, teatry, restauracye i zdają się przodować mu.

To pozory tylko — to piana na garnku wrzącego ukropu. Jeżeli chcesz poznać miasto prawdziwe, to udaj się wędrowcze na rynek Starego Miasta, na ulice przedmieść, rozpatrz się w tych wąskich domach, pokrytych mchem starości — wdaj się w rozmowę z tym rzemieślnikiem w bluzie, z tym studentem w mundurze, z przekupką wygadaną przy straganie a zobaczysz, jakie tam biją serca —

jakie są tam prace — pragnienia — nadzieje. — Czy widzisz tych urwiszów na Nadwiślu, piaskarzy, obdartych, bosych, chudych od głodu i drżących od zimna. Spytaj się któregobądź, kto on jest — a z ogniem w oczach i dumą odpowie ci, że jest Polakiem!

Zapytaj się tego urwisza, czego mu potrzeba najpilnej, chleba czy butów? A odpowie ci:

— Prochu — kul!

Prądy życia narodowego płyną głęboko ukryte, na pozór spokojne jak nurty Wisły pod lodem; — Ale niechaj tylko słońce wiosny zabłyśnie, a pokrywa ta rozbryzgnie się — roztopią się lody i wspaniała fala zabłyśnie w słońcu.

Zapada zmrok — mglisty, smutny wieczór dnia 29 listopada, 1830 roku, zdaje się do snu składać mieszkańców grodu — latarnie ciemno oświetlają ulice, przechodnie spieszą do domów, sklepy zamykają się jeden po drugim — błyszczą tylko okna wielkiego teatru, w którym ma się odbyć przedstawienie.

Niespodzianie błysk jakiś, coś — jakby zorza poranna, chociaż to jest zmrok wieczoru, zaczyna majaczyć nad Solcem, i nie bardzo świeci, nie bardzo oświetla widnokrąg, ale wkrótce płomienie przedzierają się ku górze, tłumione kłębami dymu — to pożar browaru na Solcu, znak wybuchu powstania, stłumiony wilgocią atmosfery i pierwszą pomocą nadbiegających, nie wtajemniczonych: — zjawiły się patrole wojskowe, w kibitce swojej jednokonnej szalenie pędząc przybył W. Książe Konstanty na miejsce pożaru — ale płomienie coraz się

zmniejszają, kłęby dymu snują się jeszcze i nareszcie wszystko gaśnie. „Sława Bohu“ powiada Książę „wsio błahopałuczno” i równie szalenie pędząc, powraca do swej kwatery odpocząć po próżniactwie przepędzonego dnia.

Poczekaj Kniaziu — nie koniec jeszcze — pod popiołem przetlałych belek są jeszcze iskry i z nich niedługo wybuchnie pożar tak groźny, że zadrżysz na całem ciele!

Noc coraz wilgotniejsza i ciemniejsza otacza Warszawę, pogrążoną w spokoju.

Niespodzianie rozlega się kilka strzałów przy Belwederze — strzały ciche — przytłumione, jakby wstydliwe i niepewne siebie.

Ten i ów z przechodzących po ulicach, drgnął, przystanął i przysłuchuje się niezwykłemu zdarzeniu o tej porze — co to być może? Zapytuje jeden drugiego — nikt nie umie na to odpowiedzieć — albo nie chce — lecz wystrzały nie cichną, powtarzają się coraz gęstsze, coraz — głośniejsze.

Warszawa drgnęła! — Serca wszystkie zabiły silniej, jakby rozsadzić chciały piersi! Zaczęto się domyślać, że to hasło powstania Narodu, że zbliża się chwila wolności.

Do broni! Do broni! Rozległy się niespodzianie okrzyki na ulicy Nowego Świata — Polska budzi się z letargu — powstaje! Do broni, wiara!

No Nowym Świecie okna zasłaniają się firankami, drzwi szczelnie zamykają się — nic dziwnego tu mieszkają ci, którzy nie wierzą jeszcze w potęgę Narodu i cudzoziemcy przestraszeni. — Ale w rynku Starego miasta natychmiast zajaśniały światła,

wszystkie okna się rozświetliły i tłumy ludu, uzbrojonego w siekiery, rydle, bosaki pożarne, wysypały się na ulicę i rozlega się dźwięk dzwonów, najpierw u Bernardynów, następnie we wszystkich innych kościołach — tłumy ludu powiększają się co chwila, wzbierają, jak fale „Do arsenału"! — odzywa się głos z tłumu — „po broń, do arsenału!"

I całe te szare masy ze Starego miasta, studenci, przekupnie, wojskowi różnych stopni, jakby jeden człowiek, pędzą na Długą ulicę pod arsenał!

Bose obdarte uliczniki, przodują im, wywracają koziołki po drodze z radości i krew już w niejednem miejscu zbroczyła bruk.

Warszawa ożyła! — Lud pracuje!

W magnackim domu.

Pięć koni pocztowych, zaprzężonych do staroświeckiej karety, pędzi traktem od Opoczna do Końskich, dobywa ostatnich sił, ciągnąc po skrzepłem błocie ogromną landarę. Pocztylion, siedząc na dyszlowym koniu, galowo ubrany, rozwija bat długi i smaga licowe, zachęcając do biegu; na koźle dwóch lokai, zbryzganych błotem, zakrywają twarze od wichru i drobnego deszczu — a w karecie siedzi mąż w sile wieku i co chwila pochyla się ku okienku, niecierpliwi się i nakazuje pośpiech.

Kareta z trudem przedostała się pod wieś Zdyszów, położoną o jeden tylko kilometr od Końskich.

Pocztylion czy chcąc zachęcić konie, czy nabrawszy fantazyi podniósł trąbkę do ust i nuta starej piosnki legionów „Jeszcze Polska nie zginęła" zabrzmiała w powietrzu.

Był to ranek wczesny — wieś już nie spała, w okienkach wszystkich świeciło się i mieszkańcy zabierali się do codziennych zajęć — widok jednak, który przedstawił się podróżnemu, był niezwykły. — Nad dwoma dużemi sadzawkami, obsadzonemi staremi lipami, wznosił się gmach murowany, piętrowy z płaskim dachem i dwoma wieżyczkami po bokach, zielono malowany, w miejsce okien, które powinny były go oświetlać, porobione tylko były małe wązkie otwory, jakie napotkać można w fortecach dla rażenia nieprzyjaciela strzałami ręcznej broni — nie widać jednak w nich było złowieszczych rur karabinów.

Na odgłos trąbki pocztyliona, jakby na dane „hasło“, podniosła się niespodzianie chmura gołębi licząca kilka tysięcy sztuk — kilka razy zakołowiła ponad dachem, podnosiła się i znowu opadała, nareszcie spokojnie osiadła na obszernym placu przed gołębnikiem. W środku stała dziewczyna w ciepłym kaftaniku, obok niej worek z grochem i krupami, z którego biorąc ziarno hojną ręką strumienia pereł rozrzucała wśród cisnących się ptaków; ptaszęta oswojone natrętnie cisnęły się do rozdawczyni, niektóre nawet siadały na jej ramionach, cisnęły się do worka i gruchając dopominały się uczty.

W owych czasach większe gołębniki zaniedbane były już w Polsce, w Zdyszowie jednak, wsi położonej pod Końskiemi, będącej w posiadaniu Kasztelana Stanisława dr. Małachowskiego, starożytny gołębnik był zachowany z całą starannością. Znacznych to wymagało nakładów na żywienie darmozjadów — ale Kasztelan mógł sobie

pozwolić na podobny zbytek: — Pan obszernych włości i miasta Końskich, stary napoleoński żołnierz, wróciwszy do rodzinnego gniazda ze smutkiem w sercu, po zawodzie tylu nadziei, starał się przepędzić znośnie resztki życia, o ile można zabijając nudy.

Nie powiedzieliśmy jednak jeszcze, że przy pięknej gołębiarce, rozrzucającej perły, stał młody chłopiec lat osiemnastu w granatowej czamarce z pętlicami, w rogatej barankowej czapeczce, w długich butach, ze strzelbą, zawieszoną przez ramię i torbą, napełnioną amunicyą.

Spojrzawszy na twarz młodzieńca, dostrzegało się we wzroku jego taki wyraz wspaniałej powagi, taką pewność siebie, a zarazem łagodność i dziecięcą tkliwość, że natychmiast chwytał za serce i nakazywał się kochać; — w tym jednak wzroku był także jakiś smutek cichy — zaduma, zamyślenie. Wzrost wysoki, stan gibki, włosy czarne i wielkie, takież oczy łzawe, budziły sympatyę w każdym — chłopiec stał i pomagał dziewczynie rozrzucać białe perły ptactwu. Cokolwiek na boku ponad stawem stały dwa długie wozy, zaprzężone każdy w cztery dzielne konie, przez środek wozów ciągnęła się, jakby ławka, deska, a do niej po obydwu stronach powbijane haki, na których na łańcuchach powiązane były psy — ogony czarne podpalane, pięknej rasy św. Huberta, z gór św. Bernarda, pomiędzy nimi odznaczały się cztery wzrostem, przeznaczone do stanowienia dzików. Kilkunastu strzelców w krótkich kożuszkach, szamerowanych czarnemi taśmami, z dubeltówkami, około których ten i ów coś

jeszcze poprawiał, zaostrzał skałki, lub oglądał podsypki prochu na panewkach, — rozmawiało z sobą wesoło. Zjawienie się karety podróżnej w tem miejścu, tak niespodzianie, zadziwiło wszystkich. — Trakt główny od Opoczna do Końskich nie tędy prowadził, ale że most na nim był chwilowo popsuty, objeżdżano więc, nakładając drogi.

— Któż nam się tu z taką paradą wlecze i tak wesołą gra pobudkę? rzekł chłopiec przypatrując się.

— Ktoś widać zdaleka jedzie do Kasztelana i skręcił z głównego traktu na Zdyszów, ale dlaczego? zapytała dziewczyna.

— Tak samo jak ja, dlatego ażeby ciebie Antosiu zobaczyć — odparł, uśmiechając się, chłopiec.

— A może, żeby mi zabrać pana Juliana?

— Chłopiec zamyślił się nic nie odpowiadając, ale bacznie przypatrywał się ekwipażowi.

Tymczasem podróżny wychyliwszy się z karety i zobaczywszy poczet myśliwych, dał znak, żeby się powóz zatrzymał; kłęby pary buchały ze zmęczonych koni.

Rozpatrzywszy się uważnie, zawołał podróżny donośnym głosem:

— Julek! bywaj tu! Julek!

Na ten głos chłopak raźno poskoczył do karety i poznawszy przybyłego, zawołał wzruszony: — Gucio! Ty tutaj! Gucio kochany! — a gdy lokaj spiesznie otworzył drzwiczki karety, znalazł się w objęciach przybyłego brata.

Podróżny był to „mąż“ w sile wieku; uderzające podobieństwo pomiędzy nim a młodzieńcem

jasno dowodziło pokrewieństwa — lecz o ile fizyonomia Julka pokazywała szczerość prawie dziecięcą o tyle rysy Gustawa okryte były jakby tajemnicą, coś zagadkowego lśniło w ciemnym, dumnym wzroku oczu — i o ile Julek wzbudzał natychmiast sympatye, o tyleż Gustaw trzymał od siebie w oddali i nakazywał uszanowanie.

— No polowanie się wybrałeś? zapytał Gustaw
— Mam zatropowane stado dzików i myślałem się z nimi zapoznać.

— Czy tylko na dziki przedsięwziąłeś polowanie? A gołąbka nie zostanie czasem ranna? rzekł uśmiechając się Gustaw.

Julian spojrzał swoim szczerym dziecięcym wzrokiem prosto w twarz brata i odpowiedział:

— To jest sierota, panna Antonina Snarska, córka podupadłego, a zasłużonego obywatela. — Ojciec powierzył jej opiekę nad tymi skrzydlatymi motylami, a ona tak w nich zakochana, że stałby się każdy jej nieśmiertelnym nieprzyjacielem, ktoby odważył się jednego z nich zabić.

— No siadaj, zuchu, ze mną do karety, nie mamy czasu na błahe rozmowy, przybywam z ważnemi wiadomościami.

Julian pragnął odgadnąć znaczenie tajemniczego odezwania się brata, lecz twarz marmurowa dyplomaty nie dawała nic z siebie wyczytać.

Skinął na jednego ze strzelców, oddał mu swoją dubeltówkę i torbę myśliwską i rozkazał, żeby całe myśliwstwo powracało do domu, bo łowy odłożone na inny dzień.

Wsiadł do karety i konie, które trochę odpoczęły, zwolna ruszyły dalej.

Dziewczyna zapomniała, że jest szafarką stada skrzydlatych motyli, a one rozpieszczone cisnęły się do jej nóg, siadały na ramionach, krążyły koło głowy i głośnem gruchaniem domagały się karmy; — stała smutna, zamyślona, a lica jej pokryły się chmurą.

— „Nie wiem” wyszeptała nareszcie cicho — ale zdaje mi się, że przybycie hrabiego Gustawa nie wróży nic dobrego.

Niewielka przestrzeń dzieląca Zdyszów od Końskich, drogę miała wcale niezłą, lekki przymrozek pościnał lodem kałuże, utworzone pod cieniami starych lip, któremi wszystkie drogi w dobrach Małachowskich były wysadzone; — jeszcze z czasów zapewne Sobieskiego — drzewa te tak się porozrastały wspaniale, że tworzyły wszędzie niezrównanej piękności aleje, — letnią porą, kiedy okryły się kwiatem, miriady pszczół z pobliskiej pasieki, założonej w ślicznym lipowym lasku pod Modliszewicami a składającej się z przeszło tysiąca ulów, brzęczały skrzętnie zabierając z nich miody.

Przez jakąś chwilę milczenie panowało pomiędzy podróżnymi. Gustaw, najstarszy brat, bacznie wpatrywał się w twarz Juliana, nareszcie, przerywając milczenie, zapytał:

— Cóż słychać w domu — rodzice zdrowi? Ja niedawno dopiero powróciłem z Paryża i anim się spodziewał, żebym dziś znalazł się w pośród Was.

— Mamy niema w domu, przed kilku dniami wyjechała do Dzikowa w Galicyi — a zacny nasz

ojciec lubo mu trochę dokucza reumatyzm, trzyma się dobrze. Zaciekawiłeś mię jednak Guciu i trochę niespokojnym uczyniłeś, mówiąc, że tak niespodzianie do nas przybywasz — czy nie przywozisz nam jakiej złej wieści?

Gustawa czoło pokryło się chmurą — długą chwilę milczał, nareszcie odrzekł półgłosem, jakby sam z sobą rozmawiał:

— Złej nie złej, na razie nie da się to stanowczo odpowiedzieć, ale że niezupełnie dobrej, to więcej jak pewno — i zaczem zdziwiony Julian zdążył zadać mu nowe zapytanie, — dodał:

Wiesz, nasz Henryk nie próżnuje w Warszawie, pali się do hrabianki Wicengerode — zakochany po uszy, wkrótce tu przybędzie prosić rodziców o pozwolenie na związek i błogosławieństwo.

Hrabia Henryk był to starszy brat Juliana.

— Ależ to córka moskiewskiego generała! To Moskiewka!

— Mylisz się mój Julku — familia Wicengerodych nie jest moskiewska — nie jest nawet prawosławna. Familia ta pochodzi z Niemiec, a ojciec panny zasłużony generał rosyjski, ma wielkie wpływy u dworu; ja niekoniecznie pochwalam ten związek, ale zważywszy wszystko, to w czasach takich, jak dzisiejsze, nie zaszkodzi zupełnie mieć poparcie u dworu; losy narodów i familii ważą się, waga podnosi się raz do góry, drugi raz opada na dół, dobrze więc jest gdy można czasem coś dorzucić dla utrzymania równowagi.

— Nie rozumiem cię, mój Gustawie.

— Wierzę temu, bo za młody jesteś jeszcze, ale przyjdzie czas, wszystko to zrozumiesz i przyznasz mi racyę.

— Wiem to tylko, że nigdybym się nie ożenił ani z Niemką ani z Moskiewką.

Gustaw roześmiał się i gdy konie właśnie wjeżdżały już w ulice miasteczka, rzekł:

— Jakiś ruch niezwykły widzę na rynku, coś jak na dzień powszedni za dużo tu tłumu.

— Rzeczywiście i ja jestem zdziwiony, przed paru godzinami, gdy przejeżdżałem na polowanie, wszystko miało inny wygląd.

— Domyślam się — powiedział Gustaw — poczta pantoflowa żydowska przywiozła już zapewne wieści z Warszawy, które myślałem, że pierwszy Wam udzielę.

— Ależ na Boga? Cóż się takiego stało? zawołał Julian, unosząc się na siedzeniu.

Starszy brat przenikliwem okiem zmierzył Juliana i odpowiedział.

— W Warszawie nastąpiły zaburzenia, być może, że przybiorą większe rozmiary, ale wszystko to opowiem Wam, gdy będziemy razem z ojcem.

Gdy przejeżdżali około kościoła parafialnego w Końskich, ulica była już tak napchana ludem, że konie z trudnością tylko przedostać się potrafiły — widocznie wieść o powstaniu przedostała się już do ludu. Obydwaj jadący milcząc spoglądali po tłumie.

Dwór Koniecki i kasztelana opisałem już raz w mojej powieści „Książe Hołuba", lecz że to miało miejsce przed trzynastu laty, powtórzyć więc opis,

nie widzę zbytecznem — tembardziej, że dawniejszy jest o kilkanaście lat późniejszym.

Piękna miejscowość Końskie, położona wśród obszernych, odwiecznych lasów, ciągnących się od Machór, Maleńca, Niekłania aż po góry Świętokrzyskie, rzucona na rozległej płaszczyźnie, poprzerzynanej licznymi strumieniami, dopływami rzeki Czarnej, wpadającej do Pilicy, stanowiła jakby oazę wśród zieleni łąk ją otaczających. Ogromny, ze staremi drzewami ogród, oddzielony kanałem głębokim od drogi i otoczony żelaznemi sztachetami, w którym, przed niedawnym jeszcze czasem, ubito łosia, zabłąkanego z lasów i uwieczniono pamięć tego czynu pięknym wykutym z kamienia jego wizerunkiem, do tej pory jeszcze istniejącym,—ogród ów otaczał naokoło dworzec—wprawdzie drewniany, modrzewiony i parterowy tylko, ale rozmiarami swymi, mieścił w sobie kilkadziesiąt pokoi, przedstawiał jakby ogromne koszary i mógł pomieścić tłumy gości. — Kasztelan ze czcią szanował ten pomnik przeszłości, pełen przybudowek z późniejszych czasów i nie chciał w niczem naruszyć jego starożytnego charakteru — dla wygody jednak i pomieszczenia licznego dworu, rezydentów i gości, wystawione były cztery równoległe naprzeciw siebie, piętrowe murowane pawilony — jeden z nich, najbliżej dworu stojący, był mieszkaniem fraucymeru pani Kasztelanowej, w drugim znajdowały się kuchnie i mieszkania służby — w trzecim mieszkanie dla synów starszych — w czwartym nareszcie gościnne pokoje.

Pocztylion podniósł trąbkę do ust i znowu rozległy się donośne tony pieśni legionów, pieśni, która nigdy na ziemi polskiej w zapomnienie nie pójdzie. Konie przyspieszyły biegu i kareta zatrzymała się u podjazdu. Sygnał przybycia gości nie zastał nie przygotowanej służby. Drzwi od sieni otworzyły się i czterech lokai ubranych w niebieską liberyę z białymi, wykładanymi kołnierzami, w białych kamizelkach, lakierowanych trzewikach z błyszczącymi złotemi sprzączkami, pospieszyło dopomódz do wysiadania przybyłym. — W pierwszym obszernym pokoju stał w czarnym fraku, w białych rękawiczkach stary kamerdyner Eret: — Poznawszy w przybyłym najstarszego syna hrabiego, pokłonił mu się do kolan i z rozjaśnioną twarzą oświadczył, że natychmiast zamelduje przyjazd tak upragnionego gościa Kasztelanowi.

— Jak się masz stary przyjacielu? — Zapytał, klepiąc go po ramieniu Gustaw — czy ojciec już wstał?

— Ho! Ho! Albo to pan hrabia nie zna naszego pana Kasztelana? Nie lubi on betów i już od kilku godzin pracuje w swoim gabinecie.

Kiedy to mówił kamerdyner, kotara zasłaniająca drzwi sąsiedniego salonu rozchyliła się i na progu ukazał się sam Kasztelan.

Wspaniała to była postać, jakich niestety dzisiaj już się nie spotyka: — wzrost wysoki, siwy włos, krótko ostrzyżony, figura wyprostowana pełna powagi, czarne oczy, trochę smutne, ale przenikliwe, rzucały pełne pewności spojrzenie i okazywały męża pełnego dostojności, coś przypominało dawnych hetmanów, coś powagi kapłana malowało

się w obliczu i nakazywało szacunek. Od pierwszego wejrzenia trzeba było uznać, że ten człowiek wiele musiał przejść cierpień, wiele przemyślał, przebolał, ale energia w nim się nie złamała, widać było, że gotów jeszcze do czynu i poświęceń.

W roku 1812 uformował swoim kosztem pułk kirasyerów, odbył z nim kampanię moskiewską i kiedy z upadkiem wielkiego człowieka upadły ostatnie nadzieje dla kraju, powrócił do swego gniazda rodzinnego, oddał się pracy i staraniom o rozwinięcie przemysłu i handlu i polepszenia losu swoich poddanych.

Całe obszerne dobra Konieckie przedstawiały też widok olbrzymiego warsztatu, pełnego ruchu i życia,—powstały liczne fryszerki, żelazne piece w Stomporkowie, Samsonowie, Suchedniowie, Niekłaniu — odlewarnie — walcownie, wielkie browary piwa, młyny, na nowy sposób urządzone i różnego rodzaju fabryki, dające dobrobyt tysiącom rodzin.

Dla rozwoju handlu w Końskiem wybudował obszerny czworokątny bazar, w którym mieściło się kilkadziesiąt sklepów po większej części z wyrobami miejscowych fabryk; we wszystkich folwarkach gospodarstwo postawił na wysokiej stopie rozwoju; założył ogromną pasiekę pszczół i wszystkie drogi pozasadzał lipami, z kwiatów których skrzętne owady zbierały miód. Miody Konieckie stały się w swym czasie sławne w Królestwie, a dobrobyt włościan rozrósł się nadzwyczajnie. Dobry przykład nie pozostał bez wpływu na okolicę — liczne kopalnie rudy żelaznej, miedzianej i ołowianej powstawały jedna za drugą jak grzyby

po deszczu i wkrótce dymy fabryczne w Fałkowie, Machorcach, Rudzie, Malenieckiej zaciemniały powietrze.

Cały powiat Opoczyński, ta ziemia piaszczysta po większej części, o której satyryczną śpiewano piosnkę:

Opoczyńskie żyzne kraje
Korzec sieje, kopę zbiera,
Kopa korzec daje!

stała się niedługo wzorem dobrego gospodarstwa i zamożności większej, jak sławne ziemie Proszowskie, lub Kujawy.

Pomimo pańszczyzny, dobrobyt włościan nie pozostawiał nic do życzenia; można to było poznać po samych ubiorach mieszkańców. Wyroby wełniane, na ręcznych warsztatach wyrabiane wieczorami przez kobiety, dostarczały mocnego sukna mężczyznom, a kobiet tak zwane, wełniaki, w jasnych kolorach tkane, daleko słynęły swoją wytrzymałością i pięknością.

Lud poczciwy, pracowity po większej części umiał czytać, bo prawie w każdej wsi była szkółka, a gdzie jej nie było, to tam organista, często sam proboszcz, lub córki właściciela wioski, uczyły. Kasztelan chwilę stał nieruchomy, ale na widok zbliżającego się Gustawa i za nim postępującego Juliusza — roztworzył ramiona — Gustaw jednak zaczem się rzucił w objęcia ojca pierwej czule ucałował rękę starca, Kasztelan przycisnął go do piersi, a w oczach jego błyszczało całe morze przywiązania i dumy ze syna.

— Jesteś nareszcie Gustawie wśród nas, nie wiedziałem żeś przybył do kraju; — co słychać w Warszawie?

Tu nas dochodzą dziwne wieści, ale nikt jeszcze poważny ich nie powtórzył, a poczta wczorajsza nic nam nie przyniosła.

Hr. Gustaw zanim odpowiedział, bacznie spojrzał na Juliusza, wyciągnął do niego rękę etykietalnie i odrzekł:

— Oj, bardzo ważne przywożę wiadomości i dlatego cały dzień wczorajszy i noc pędziłem na złamanie karku — trzy konie pocztowe padły mi w drodze, a ja ani wczoraj ani dziś nie miałem czasu nawet spożyć kawałka chleba — posilę się i zaraz wszystko opowiem. Kasztelan klasnął w ręce i do wchodzącego kamerdynera odezwał się:

— Pan Gustaw zmęczony i głodny, proszę przynieść kawę i przekąski.

Wszyscy przeszli do stołowego pokoju — tu już czekała zastawa, w japońskiej porcelanie dymiła się wonna mokka, a płaskie gliniane garnuszki pokryte grubą warstwą kożuchów śmietanki kusząco wabiły wygłodniałego podróżnego.

Tymczasem Juliusz, nie zmieniając ubioru myśliwskiego, usiadł skromnie na boku i na pozór obojętny niecierpliwie wyczekiwał relacyi brata — przygryzając niecierpliwie wargi.

— A więc rzecz tak się ma: odezwał się nareszcie hr. Gustaw, ocierając serwetą wąsy ze śmietanki — młodzież w Warszawie zrobiła zaburzenie — ruch rozprzestrzenił się na lud, do niego

przyłączyło się sporo wojska i wybuchło coś na kształt formalnego powstania.

Kasztelan stał blady, milczący, ale oko jego pałało ogniem młodości, niecierpliwość targała nerwowymi ruchami twarzy.

Gustaw przestał mówić i, poprosiwszy ojca o pozwolenie, wyjął cygaro, pomału obciął koniec jego scyzorykiem i zaciągnąwszy się wonnym dymem zdawał się zapominać gdzie jest i co mówił.

— Na Boga! — zawołał, zrywając się Julek, — Gustawie nie torturuj nas tą angielską flegmą, mów prędzej!

— Tak Guciu, czekamy niecierpliwie relacyi boć to losy kraju ważą się w tej chwili — dodał kasztelan — proszę cię, mów wszystko z wszelkimi szczegółami.

— Dwudziestego dziewiątego listopada wieczorem o godzinie 7-ej byłem właśnie u księcia Adama na herbacie i rozmawialiśmy najspokojniej o Paryżu, gdy w tem wpadł jakiś oficer, nie meldując się i stojąc na progu zawołał:

— Panowie! Straszny wypadek! W Warszawie wybuchła rewolucya, mordują generałów, podejrzanych o sprzyjanie Moskalom — zginął już Nowicki i kilku innych. —

— Nowicki! — zawołał ze zdziwieniem kasztelan, — aleć to najlepszy Polak, patryota!

— Tu podobno zaszła omyłka fatalna, jechał w karecie i kiedy spiskowi zapytali się kto jedzie a lokaj odpowiedział: „generał Nowicki“, oni źle dosłyszeli i sądząc, że to jest generał Lewicki, wywlekli go z karety i zamordowali.

— Straszna omyłka, grozą przejmujące wiadomości — wyszeptał kasztelan. — Ale mów co się stało z Wielkim Księciem, co z jego wojskiem.

— Znakiem powstania — mówił Gustaw dalej, — miał być pożar zapalonego starego browaru na Solcu, wykonano to z wieczora zaraz, ale pożar przy wilgotnem powietrzu wkrótce ugaszono, więc płomieni jego, a zarazem sygnału nie dostrzeżono w środku Warszawy. Wielki Książę powróciwszy od pożaru — bo wiecie panowie, że osobiście musi być przy każdym takim wypadku — trochę niezdrów tego dnia, wbrew swoim zwyczajom przepędzania całych dni w mundurze, przebrał się w płócienny szlafrok i położył się spać na sofie — tymczasem ze szkoły podchorążych młodzież pod dowództwem jakiegoś Wysockiego, Zaliwskiego i wierszoklety Goszczyńskiego, sami smarkacze, rozdzieliła się; kilkunastu udało się do Belwederu, tam nie zastali prawie straży, — do tego stopnia Książę nie wierzył w powstanie, wdarli się do pokoju i napotkawszy na sali audyencyjnej naczelnika policyi warszawskiej Lubowidzkiego, który przybył z raportem o nastąpić mającym wybuchu, rzucili się na niego i zamordowali; toż samo spotkało generała Gendzę, który dążył do W. Księcia z tąż samą wiadomością.

— Ależ Książę Konstanty, czy żyje? — zapytał niespokojnie kasztelan — w tem całe rozwiązanie węzła.

— Żyje i dwie są wersye o jego ocaleniu — która z nich prawdziwa, trudno jeszcze wiedzieć. Według jednej W. Ks. schronił się do pokojów żo-

ny i przez kobiety ukryty został. Spiskowi, odgrywając rolę rycerzy, nie rewidowali pokojów księżnej; — według drugiej, a zdaje się mnie autentycznej — Książę raptem zbudzony przez kamerdynera, w szlafroku tylko, nie mając czasu włożyć na siebie munduru, przypasał szpadę, włożył kapelusz stosowany — ach, jak to komicznie wyglądało! — porwał pistolety i przerażony uciekł tajnym korytarzem z kamerdynerem swoim, Kochańskim i błądząc po rozmaitych wertepach, po ciemku, czas długi, drżąc ciągle ze strachu i zimna, wydobył się nakoniec na Solec, w pobliżu koszar ułańskich, ale zobaczywszy, że koszary są opuszczone i lękając się popadnięcia w ręce powstańców, uciekł w pola, całkiem puste. — Co chwila przystawał, przysłuchiwał się wrzawie, dochodzącej z Warszawy, strzałom karabinowym i biciu w dzwony na alarm.

Kochański zaprowadził go do domku jakiegoś kolonisty, Niemca i tam go ukrył, a sam udał się do Belwederu, przyprowadził z sobą część służby, kilku adjutantów i dość liczną straż — przyniósł mu mundur, w który Książę z rozkoszą się przebrał i odprowadził go napowrót do Księżnej w Belwederze, który powstańcy opuścili, udając się na ulice Warszawy. Tymczasem przybyli doń dowódcy wojsk rosyjskich po rozkazy — tu Książę popełnić błąd ogromny; zamiast rozkazać natychmiast zaatakować miasto i tym sposobem położyć koniec ruchawce — zabronił dowódzcom atakować powstańców, a jedynie odpierać ich napady.

To mówiąc hr. Gustaw zwolna otrząsnął dym z cygara i na nowo je zaczął zapalać.

— Gustawie! na miłość Boga — zawołał, zrywając się Juliusz — kończ, bo zdaje mi się, że wszystkie dzwony świata słyszę bijące w mej głowie, krew mnie zaleje; kończ. — Kasztelan także z pewną niecierpliwością w głosie dodał:

— Czekamy końca tego strasznego epizodu.

Hr. Gustaw badawczy wzrok wlepił w twarz młodszego brata, poruszył znacząco głową i mówił dalej.

— Dalej stało się to, co się stać musiało; niesforne tłumy wyległy na ulice, rozległy się głosy dzwonów i wystrzałów, niektóre oddziały wojska połączyły się z ruchem, uderzono na arsenał, zdobyto go, rozebrano broń i amunicyę i Warszawa cała stanęła gotowa do boju.

Juliusz zerwał się z rozpalonem okiem, z bijącem sercem, drżąc cały od wzruszenia, zdawał się zmieniony w posąg mściciela narodu: — rzucił się na pierś ojca i zapłakał jak dziecko roztkliwione; a tymczasem Gustaw z zimną krwią mówił dalej.

— Wojsko całemi oddziałami zaczęło przechodzić na stronę rokoszan — jak nie zatrzyma wzburzonego potoku wątła grobla, tak wszelkie perswazye ludzi rozsądnych, starających się położyć tamę wzburzeniu, rozbiły się o zapał ludu — a niebezpieczną rzeczą było stawać mu w poprzek — tak chciał jednak uczynić generał Staś Potocki. — Przybywszy do W. Księcia i widząc jego wahanie, odezwał się śmiało: „Niech Wasza Książęca Mość rzuci całą jazdę na ulice — niech szwadrony kłusem zmiatają tłum i na wszystkich punktach się okazują”. Książę nie usłuchał tej rozsądnej rady. Gene-

rał udał się do Warszawy, zastąpił tłumowi, dążącemu do arsenału drogę i stanąwszy w środku ulicy, rozkrzyżowawszy ręce, błagał o zaniechanie ruchu — ale lud odpowiedział mu wyzywając do objęcia dowództwa! — Nie pomogły nic słowa generała, zrzucono go z konia i zamordowano.

— Stasia Potockiego! — zawołał kasztelan, załamując ręce — Stasia Potockiego, przecież to był dobry Polak.

— Nie był nim — zawołał, unosząc się Juliusz — nie był nim, jeżeli wezwany przez naród, ażeby pochwycił pałasz i stanął na czele obrońców Ojczyzny, odmówił wezwaniu i wdawał się w jakieś deklamacye.

— Julku, zanadto się unosisz — wycedził przez zęby Gustaw, — służyć Ojczyźnie można nie tylko z bronią w ręku, gdyż rozumem i dyplomacyą więcej można zrobić dobrego niż słomianym zapałem.

Juliusz chciał coś porywczo odpowiedzieć, ale kasztelan dał znak ręką, aby milczał, a sam zwracając się do Gustawa rzekł:

— Mów dalej Gustawie — kogóż postawili na czele, kto objął kierunek ruchu?

— Wszystkim tym młodym zapaleńcom zdawało się, że mają już upatrzoną osobistość, która ich poprowadzi do zwycięstwa nad takim olbrzymem, jak Rosya! — Zdawało im się, że Chłopicki stanie na czele ruchu, że Chłopicki jak mur stał w Hiszpanii na podziw Europy, co w 12-tym roku okrył się taką sławą, zbawiając korpus Neja już zatracony, — ale dziś Chłopicki jest to już człowiek stary, do-

świadczony żołnierz, zna potęgę nieprzyjaciela z którą mu każą walczyć — schował się więc tak starannie, że długo go wyszukać nie mogli.

— Dobrze zrobił — zawołał Juliusz — jeżeli nie wierzył w potęgę ludu, powstającego do walki za wolność, dobrze zrobił, że się skrył gdzieś w szlafroku, bo ten, kto całem sercem nie wierzy, nie wart stać na czele bohaterów.

Gustaw uśmiechnął się i jakby nie słyszał tej gorzkiej uwagi młodziutkiego brata, lub jakby nie warta była odpowiedzi, ciągnął dalej, zaciągając się dymem cygara:

— Nareszcie wynaleziono go, udała się do niego deputacya, prosząc, ażeby objął kierunek ruchu; — stary formalnie wściekał się, krew uderzyła mu do głowy, zdawało mu się, że apopleksya go zabije — bił pięściami w stół, rozbijał nogami stołki, nareszcie po długich tych nieprzyzwoitych dąsach, potrafiliśmy go wyprowadzić na chwilę do drugiego pokoju i zwróciliśmy mu uwagę, że objąć kierunek ruchu, to nie znaczy jeszcze bić się, że właśnie stając na czele ruchu, że działając w imieniu zagrożonego legalnego porządku, odda nieocenione usługi narodowi i w oczach najjaśniejszego króla polskiego, Mikołaja, stanie się potęgą, z którą się liczyć będą musieli, że król, konstytucyjny, Polski, łatwy będzie do układów i ustępstw, kiedy zobaczy, że na czele narodu stoi mąż tej miary, co on i wszystko powróci do normalnego porządku. Nareszcie potrafiliśmy go przekonać. — Wyszedł do czekającej go deputacyi, — ale tu go na chwilę znowu rozdrażnił Lubecki, kiedy wręcz mu po-

wiedział, że jeżeli nie chce stanąć na czele wojska, jako wódz, to musi stanąć w szeregach jako prosty żołnierz, bo to mu nakaże Rząd Narodowy. Stary uniósł się znowu i uderzając w stół pięściami tak silnie, że aż się rozłupał, zawołał: „Dobrze, pójdę jako prosty żołnierz z karabinem tylko, ale i ty panie Lubecki stać przy mnie musisz". Nie braknie mnie tam, odpowiedział Lubecki.

Scena znowu stawała się gorsząca — lecz zimny wzrok księcia Lubeckiego, który wlepił oczy w rozgniewanego lwa, przywołał go do porządku. Oświadczył więc, że przyjmie dowództwo wojska, lecz z warunkiem, że Rząd Narodowy zatwierdzi go dyktatorem nieograniczonym i pozostawi mu zupełną wolność działania.

Tu Juliusz znowu wybuchnął radością.

— A więc możemy się spodziewać, że dzielny wódz nas nie zawiedzie i poprowadzi zwycięskie pułki na pole sławy.

— Znam dobrze starego poczciwego upartucha — dodał kasztelan — niech tylko usłyszy huk armat, niech tylko poczuje zapach prochu; a będzie znowu tym samym bohaterem, którego zna i czci cały naród.

Po twarzy Gustawa przemknęła jakoby błyskawica niedowierzania i zimno odpowiedział:

— Sądzę, że inny obrót wezmą rzeczy — myślę, że Chłopicki ująwszy w silną dłoń wodze, nie dopuści do walki śmiertelnej dla życia Narodu — że rozpoczną się rokowania, że wyjedzie deputacya do Petersburga, wytłómaczy cesarzowi, że konstytucyę szanować trzeba, że konstytucyę szanować

musi, — może nawet przekona go, że zabrane prowincye powrócą do Królestwa i powróci porządek, tembardziej, że W. Książę szczerze nam sprzyja i swego poparcia nie odmówi.

— Więc to tak ma się skończyć ten wspaniały epizod Narodu? — zawołał Juliusz i chciał jeszcze coś więcej mówić, lecz kasztelan mu przerwał, nakazawszy milczenie.

Juliusz usiadł — posępnie się zamyślił, ale nerwowe drżenie twarzy i błyski czarnego oka, mówiły o burzy, która rozrywa jego piersi.

Milczenie trwało już dosyć długo, hr. Gustaw poważnie zamyślony, ciągnął pomału dym z cygara a kasztelan z założonemi rękoma chodził zadumany po pokoju.

Ciszę przerwał niespodzianie tętent koni na dziedzińcu przedpałacowym i na spienionych rumakach pokazało się dwóch jeźdźców, a za nimi dwóch służących. Konie silną ręką targnięte, zatrzymały się przed wejściem i zaczem obecni mieli czas rozpoznać przez okno nowoprzybyłych, do pokoju, nie meldując się, weszło dwóch ludzi — zabłoconych i umęczonych drogą; — pomimo zimna, pot okrywał czoła obydwóch. — Pierwszy z nich był to mąż w wieku lat około 60ciu, niski, krępy, włos miał już dobrze okryty siwizną, postawa dumna i wyprostowana, a mina tak zuchowata i imponująca, że mimowolnie nakazywała uszanowanie — prosty z czarnych baranków kożuszek okrywał mu plecy, pas skórzany, u kórego wisiała szabla, ściskał biodra.

Pośpiech nowoprzybyłych był tak widoczny, że

nie zdejmując wierzchniego okrycia, znaleźli się w salonie.

— Jesteśmy! — zawołał grzmiącym głosem komendy nowoprzybyły — Jesteśmy! i podając rękę kasztelanowi, którą ten silnie uścisnął, spostrzegł hr. Gustawa, który etykietalnie powstał z krzesła i z dystynkcyą wyciągnął rękę na powitanie.

— Ach, dzielny nasz pułkownik! — zawołał z uniesieniem Juliusz.

Był to Piotr Rogójski, sławny dowódzca ułanów, który pierwszy na czele swego szwadronu pod Saragossą w Hiszpanii zdobył baterye dział. — Kula karabinowa przeszyła mu pierś na wylot, ale mężnego ducha wypędzić z niej nie zdołała — wyleczył się — a ozdobiony krzyżem Legii honorowej powrócił do Ojczyzny po upadku wielkiego wodza. Nie chcąc służyć pod Konstantym, gospodarował na małej wioszczynie Przybyszewie, o dwie mile oddalonej od Końskich.

Drugi przybyły, imponował swoją postawą: wzrost wysoki, smukły — w ruchach swobodny, pełen godności — oko niebieskie, jak letnie niebo nad Niemnem, włos płowy i takież wąsy, pokazywały Żmudzina, twardego i nieugiętego męża. Ubrany był w granatową z czarnemi pętlicami czamarę, na której skromnie błyszczał krzyż Virtui militari — u pasa wisiała również szabla na prostym pasie zawieszona. Był to Franciszek kniaź Ogiński — Kontrymowicz, również żołnierz napoleoński, który, utraciwszy na Żmudzi majątki ojczyste, skonfiskowane, pozostał w wojsku i obecnie zajmował stanowisko komendanta pałacu w Opatowie.

Jeżeli na Żmudzi urodzi się człowiek, prawdziwy Żmudzin, twardy w cnocie, to już pewno nie w połowie; — takim był nowoprzybyły — słowo jego było jako Zawiszy — a cześć dla niego powszechna słusznym hołdem.

— Jesteśmy! — powtórzył, trochę przeciągając ze żmudzka, uśmiechając się i wyciągając rękę do kasztelana, ale nie zdążył jeszcze dopełnić przywitania, gdy Juliusz rzucił mu się na piersi, objął za szyję i serdecznie się doń przytulił.

— Spodziewałem się Was — odparł poważnie kasztelan — odpocznijcie i rozgrzejcie się.

— Co słychać? — zapytał Piotr Rogójski, zwracając się do hr. Gustawa. — Orzeł rozwinął skrzydła do lotu, naród się zbudził?

Hr. Gustaw z widocznem zdziwieniem i niechęcią przyjął ten objaw zapału, wycedził więc pomału słowo za słowem, przewlekając je.

— W Warszawie młodzież i lud staromiejski zrobili zaburzenie, wojsko w znacznej części przyłączyło się do ruchu — generał Szembek popchnął rzeczy na poważne tory, przechodząc ze swoim pułkiem na stronę ruchu — arsenał zdobyty a na ulicach Warszawy krew się polała. W. książę z pułkami rosyjskimi cofnął się do Wierzbna i zanosi się na wielką zawieruchę. Powstańcy szukają Chłopickiego, który się schował, nareszcie znaleźli go i on objął w swoje ręce kierunek ruchu.

— Stary lew — poprowadzi nas do zwycięstwa — zawyrokował pułkownik.

— Tak i ja myślę — odparł hr. Gustaw — ale nie drogą boju, tylko układów z przeciwnikiem.

— Układów?! — zawołał kniaź, ożywiając się. Układów, z kim? — Z carem? — Ależ to szaleństwo! O tem i marzyć nie można. Któż nie zna charakteru cesarza Mikołaja, on kroku nie ustąpi, on pierwej się złamie niźli ugnie!

— Jest przecież konstytucya, o której szanowanie upomniemy się.

— Konstytucya! — zawołał zapalając się pułkownik. — Konstytucya na stole, a bat pod stołem.

— Pozwól pułkowniku, że cokolwiek poprawię twoje wyrażenie — odezwał się Żmudzin — wypada raczej powiedzieć — konstytucya pod stołem, a bat na stole.

— Cóż więc wypada robić podług panów? — zapytał zimno hr. Gustaw.

— Co robić? — Koniom przykrócić cugli — lance w dół i ostrza ich zanurzyć w piersiach wrogów — odpowiedział kniaź.

W tej chwili hr. Juliusz cały w płomieniach, z okiem błyszczącym, niespodzianie mieszając się do rozmowy, głosem silnym zawołał.

— Nie czas się namyślać, kiedy lasy płoną! — Naród cały drży do boju! — Zbrodnią jest stawiać tamę ruchowi! — Powołać rycerzy z pod Racławic — nie braknie nam Bartoszów i Świstackich! — Krzywe kosy przekować na proste — lemiesze przerobić na pałasze! — Stanąć na czele ludu i pójść daleko — na Żmudź — za Dniepr, znacząc drogę krwią swoją i kościami wrogów!

Kniaź wyciągnął rękę do młodzieńca, silnie ją uścisnął i ze łzą w oku patrzał w rozpromienione lice młodzieńca.

Odezwanie się młodszego brata przykre na Gustawie zrobiło wrażenie — kasztelan jednak z dumą spoglądał na najmłodszego swojego syna.

— Czyż wątpicie — odezwał się, cedząc słowo po słowie Gustaw — że jestem złym Polakiem — że nie gotów jestem poświęcić życia i mienia sprawie świętej Ojczyzny — aleć tu rozwaga powinna być naszym wodzem — walka z Rosyą dla nas jest niemożebna!

— Dlaczego? — przerwał gwałtownie pułkownik — o ile wiem, skarb mamy pełny — armię tak wyćwiczoną jak żadna w Europie, masz w niej starych żołnierzy napoleońskich doświadczonych w boju — koni i ludzi nam nie braknie.

Gustaw milcząco wysłuchał tej odpowiedzi i zwracając się z uprzejmym gestem do Rogójskiego odrzekł:

— Pytasz się pułkowniku, dlaczego wszyscy ludzie rozsądni uważają walkę z Rosyą za czyn szaleństwa? Odpowiem ci krótko, matematycznie, dla tego, że jest nas w stosunku do Rosyi jeden na dziesięciu, że nas czapkami swojemi zarzucą.

— Takby być mogło — wtrącił kapitan Kontrymowicz, gdyby powstanie zrobiła tylko szlachta, a lud pozostał na boku — ale jeżeli te masy, spragnione wolności, poruszy się i wezwie do boju, — zwycięstwo jest nam zapewnione! Ale — trzeba natychmiast znieść pańszczyznę, uwłaszczyć chłopów, wszystkim przyznać równe prawa i iść naprzód, nie zatrzymując się w ciasnych granicach Kongresówki.

Teraz hr. Gustaw podniósł się rozpłomieniony i zawołał:

— To jakobinizm! — Czy należysz kniaziu do klubu pana Mochnackiego, który „u Honoratki" chce nam zaszczepić rewolucyę francuską? Czy chcesz, żeby się pojawili Maroty i Robezpierry? Czy chcesz zalać krwią szlachecką dwory, zniszczyć kościoły i ruinę zrobić z Polski?

— Tak nie będzie — odpowiedział poważnie kniaź — ale gdyby dla ocalenia Polski tego było potrzeba — zgodzę się i na to.

Hrabia Gustaw załamał ręce.

— Wszyscy potracili głowy! Widzę przepaść wykopaną przed nami! — Widzę zakrwawioną Ojczyznę w grobie — widzę jak milionowa armia zatopi Polskę krwią jej własną — spalone dwory — zburzone kościoły — widzę tłumy jeńców, naszych braci i synów, pędzone w kajdanach w stepy Syberyi — widzę już szkoły zamknięte: język rosyjski stanie się jedną gwarą; za 100 lat w Polsce nikt nie będzie mógł się rozmówić po polsku! — Biedny, nieszczęśliwy kraj! Popychacie go do zguby — i to czynicie Wy, którzy wiekiem i doświadczeniem powinniście powstrzymywać młodzież od szalonego czynu. — Największy człowiek, jakiego wydały wieki, Napoleon, uległ Rosyi, straciwszy całą armię — a wy chcecie opierać się temu olbrzymowi północy!? — Mówiąc to, chodził po pokoju, blady, z założonemi rękoma.

Nowo przybyli wysłuchali tej mowy stojąc, nie widać jednak było w ich twarzach, żeby ich przekonała — żeby osłabiła ich poglądy — nareszcie kniaź obracając się do kasztelana, rzekł głosem stanowczym:

— Naród, który poczuje swoją siłę, jest niezwyciężony: — widzieliśmy, có dokazali Hiszpanie! — Jeżeli powstanie nasze nie będzie tylko szlacheckim ruchem, ale zamieni się w ruch narodowy — zwycięstwo przy nas; — ale nieszczęście nas spotka, jeżeli zapomnimy o Litwie, Wołyniu, Podolu, — jeżeli ograniczymy się na protestach tylko, chociażby z karabinem u ramienia. — Nie wierzę w dyplomacyę i jej rezultaty: — jeżeliśmy już wszczynając ruch wszystko postawili na kartę, to godnie umiejmy odpowiedzieć zadaniu: — nie traćmy ani jednej chwili czasu, — z krzyżem na piersiach, z pieśnią Boga Rodzicy na ustach, z lancą w dłoni — a co nadewszystko z ludem polskim i litewskim naprzód w Imię Boże.

Juliusz zerwał się, pochwycił powtórnie kapitana w objęcia i ze łzą w oku ściskał go. Kasztelan, silnie wzruszony, zaledwie był w stanie przemówić: — Spełni się wola Boża — my róbmy co do nas należy.

— Nie wolno nam tracić czasu ani chwili,—odezwał się pułkownik Rogójski — żegnamy was panowie i jedziemy do Warszawy do Naczelnego wodza po rozkazy.

— Jak to, konno, wśród zimy? — zapytał, uśmiechając się ironicznie hr. Gustaw.

— Czy to dla ułanów polskich będzie coś nowego — odparł kniaź — konie mamy rozstawione do samej Warszawy — odświeżymy się trochę i przypomnimy dawne czasy.

To mówiąc, obydwaj nowoprzybyli pożegnali się i nie przyjąwszy żadnego posiłku, dosiedli koni i puścili się w drogę.

Przez chwilę po ich odjeździe panowało milczenie — tylko Juliusz nic nie mówiąc, śpiesznie wyszedł z pokoju.

— Widzę — odezwał się hr. Gustaw do ojca,— że obłęd ogarnął większe masy, niż sądziłem — przybyłem tu nie żałując zdrowia, żeby powstrzymać szaleństwo, ale widzę, że zadanie moje bardzo będzie trudne do spełnienia. — Pozwoli papa, że trochę spocznę, gdyż na noc powracam do Warszawy, dla tego proszę uprzejmie wysłać konie rozstawne na trakt warszawski i kareta moja podróżna na godzinę 8 wieczór musi być gotowa do drogi. Daruje papa, że tak się rozporządzam, — ale niezwykłe okoliczności są mojem usprawiedliwieniem.

Kasztelan wydał odpowiednie rozkazy i głęboko zamyślony chodził z założonemi rękoma po pokoju.

* * *

Zaledwie Juliusz opuścił salony ojca i wyszedł na dziedziniec, pragnąc udać się do pawilonu, w którym były jego pokoje, napotkał na ścieżce swojego łowczego, starego Napoleońskiego żołnierza Wincentego Połcia. — W onej epoce takich postaci było jeszcze bardzo wiele — znajdowały one przytułek po dworach szlacheckich, zajmując miejsca rządców, ekonomów lub niższej służby, stosownie do swoich uzdolnień, ale większa ich liczba była tylko rezydentami, raczej przyjaciółmi domu; — pokaleczone te postacie, poszczerbione, sterane trudami wojny — hardo jednak nosiły głowy i czuły to, że jeżeli im dawano przytułek, to nie by-

ła to łaska ale zasłużony kawałek chleba za pracę dla Ojczyzny.

Połeć, syn szewca z Końskich, starego osiadłego mieszczanina, służył w armii napoleońskiej już od czasu założenia legionów we Włoszech — szesnastoletnim dzieckiem porzucił dratwy i uciekł z domu, przedostał się przez granicę o głodzie, zaciągnął się do wojska, — odbył wszystkie kampanie, a w 12 roku znalazł się w pułku Stanisława Małachowskiego, już jako sierżant ozdobiony krzyżem **Virtuti militari.** — Przy przeprawie pod Berezyną został ranny ciężko i porzucony na śniegu; nie miał już nadziei powrócenia do kraju — gdy na szczęście jego sam generał Małachowski spostrzegł go i rozkazał wrzucić go jak pakunek na lawetę od armaty; tym sposobem dostał się do Wilna. Długo walczył ze śmiercią — zwyciężył ją, ale nie mógł już wziąć udziału w bitwie pod Lipskiem, co sobie uważał za śmiertelny grzech i mówił zawsze, że mu Bóg tego nie przebaczy. Schorowany, zmęczony, dowlókł się do Warszawy, aż dostał się do Końskich, do swego rodzinnego miejsca. Nie zastał już nikogo z krewnych, tylko swojego generała, u którego znalazł kąt przytułku. Zdrowie pomału powróciło, bo żelazne natury mieli ci Napoleońscy żołnierze, umieli rozkazywać nawet śmierci.

Upadł wielki człowiek, zdradzony haniebnie pod Lipskiem — nikczemne Sasy i Prusaki — bitwa miliona ludzi pomiędzy sobą rozegrała się fatalnie dla dobrej sprawy. Ach czemuż mnie tam nie było! powtarzał stary marszcząc brwi. — Czemuż mi przyjdzie kończyć życie na sienniku, jak pierwszy

lepszy pachołek od gnoju, albo zbabiały szlachetka?!

To wspomnienie było dla Połcia zmorą, która go męczyła bez ustanku — nikt nie widział nigdy uśmiechu na jego twarzy, zawsze zamyślony, ponury, z niedostępną swoją na krótkim cybuszku fajką — założonemi na piersiach rękoma — rzadko się kiedy odzywał do ludzi i czuł — jakby jakieś upokorzenie przed samym sobą; zdawało mu się, że jest shańbiony — że nie dopełnił swoich obowiązków, kiedy się nie stawił do apelu pod Lipskiem. Oprócz czci jaką był przejęty dla swojego starego dowódzcy, jeden tylko panicz Juliusz miał łaski u starego — z nim jednym chętnie rozmawiał i opowiadał mu epizody z nieśmiertelnej epopei, której był uczestnikiem.

Zawołany myśliwy — objął kierunek nad myśliwstwem młodego hrabiego — wszystkie psiarnie były pod jego komendą i czułej doznawały opieki. — Stadnina koni jednak jeszcze więcej zajmowała starego wiarusa, pod jego kierunkiem ujeżdżano konie, ostrzeliwano je i zaprawiano do długich trudów. „Kto wie, na co się przyda“ mówił uśmiechając się. Juliusz, spotkawszy swojego starego łowczego, spojrzał nań, — twarz stara promieniała jakimś niezwykłym wyrazem, oko pałało młodzieńczym ogniem, uśmiechał się przyjaźnie, a uśmiech ten, nieznany dotąd na jego licu, nadawał mu wyraz niezwykły.

— A co Panie? Pójdziemy? — odezwał się, zbliżając się do przechodzącego młodzieńca i mrugając okiem.

Juliusz również z rozpromienioną twarzą obrócił się do niego i w milczeniu skinął, żeby się udał do jego mieszkania.

— Zawsze byłem pewny — mruczał stary, idąc za młodzieńcem — doczekałem się — Bóg nas jeszcze nie opuścił.

Juliusz chwilę chodził po pokoju zamyślony — Połeć stał wyprostowany, rozpromieniony, w milczeniu mu się przypatrując.

Młodzieniec nareszcie zatrzymał się przed starym żołnierzem — wpatrywał się weń — wyciągnął do niego ramiona i serdecznie go przycisnął do piersi.

Połeć wzruszony drżał, najeżył jeszcze więcej sumiastego wąsa, a lubo starał się nadać fizyognomii wyraz surowy, w oczach coś jakby łza zaświeciła.

—A co, pójdziemy paniczu? — powtórzył. A nie mówiłem, że się jeszcze doczekamy tych godów.

— Pójdziemy, mój sierżancie kochany, pójdziemy i da Bóg, że jeszcze będziemy widzieli Ojczyznę wolną.

— Jak to tam jest, proszę panicza w Warszawie — bo tu chodzą rozmaite wieści, nie wiadomo której wierzyć.

— Krótko się wszystko rozegrało. Warszawa powstała — arsenał zdobyto, lud rozchwycił broń— Konstanty uciekł do swoich. Szembek pierwszy ze swoim pułkiem przybiegł na pomoc powstańcom — inne pułki naśladowały go i dziś już niema ani jednego Moskala w Warszawie, oprócz tych, co

gryzą ziemię, którą deptali; — Chłopicki ma objąć dowództwo...”.

— Niech żyje Chłopicki! — zawołał sierżant tak gromkim głosem, że aż okno zadrżało!

— Daj Boże, żeby go tylko nie zbałamucono, bo są tacy którzy pragną układów z carem.

— To zdrajcy! — na gałąź!

— Nie koniecznie zdrajcy, ale tylko ludzie małej wiary.

— Tem jeszcze niebezpieczniejsi paniczu — kto się waha w chwili, gdy lud powstaje, to przestępca — na gałąź takich — kto nie z nami, ten przeciw nam.

Juliusz smutnie się uśmiechnął, stanęło mu przed oczyma widmo Gustawa — brat jego miałże by być zdrajcą, on, taki rozumny, taki dobry Polak! — Nie, niema wątpliwości, że na czas się jeszcze zreflektuje i stanie w szeregach narodu.

— Nie traćmy czasu na próżnej gawędzie — będzie co Bóg przeznaczył, a tymczasem nam rąk opuszczać nie wolno — szykujmy się.

Sierżant wprostował się, namarszczył i poprawiając wąsa, rzekł:

— Pięćdziesiąt koni ze stadniny jest wyjeżdżonych doskonale, zformujemy zaraz oddział — ludzi nam nie braknie — jak tylko gwizdnę znajdą się chłopaki dziarskie — w starym lamusie mamy przechowane pałasze i pistolety, lance się w mig ukują — baryłka prochu także się znajdzie — dosiędziemy koni i dalej na wroga!

— Nie, mój przyjacielu, trochę inaczej postąpimy — oddział kawaleryi rzeczywiście sformuje-

my i oddamy go pod dowództwo pułkownika Dybiskiego z Sędziejewic — ale ja, mam nadzieję, że i ty mi towarzyszyć będziesz, utworzymy oddział kosynierów, o ile będzie można największy i na czele jego popróbujemy szczęścia.

— Jak to — zawołał zdumiony sierżant — to panicz myśli na piechotę z kosą w ręku bronić Ojczyzny? Nie paniczu, żaden szlachcic tak nie myśli i na to by się nie odważył — służyć w piechocie! To nie dla panicza i nie dla mnie starego ułana.

— Czekaj no gorączko — rzekł Juliusz, smutnie się uśmiechając — to nieszczęście, że wszyscy tak myślą, jak ty — że kawalerya jest główną siłą Polaków — kiedyś tak było — ale zmieniły się czasy — dziś bitwę rozgrywa tylko artylerya i bagnety z kosami! Trzeba dać przykład innym i zacząć formować pułki piesze a na ich czele zdobywać armaty, jak to się stało pod Racławicami. — Nam trzeba Głowackich, Świstackich.

— Tak, trzeba — odrzekł stary — ale niech to inni czynią, a my na koń z lancą w ręku i chorągiewki nasze pozatykamy w piersiach wroga!

— Więc ty uparciuchu nie chcesz zrobić ofiary ze swoich przyzwyczajeń, swoich wyobrażeń — więc nie kochasz tak Ojczyzny, byś wszystko dla niej poświęcić był gotów?!

— O paniczu! — Czyż mnie możesz o to posądzać, ale co ułan to ułan, a nie jakiś tam piechur z cielęcym mantelzakiem na plecach.

— Ja stanowczo formuję pułk kosynierów, rachowałem na ciebie, że mi w tem dopomożesz, ale widzę, że zawiodłem się na tobie, stary borsuku.

— Nie, paniczu, — tak nie będzie — na starość będę degradowany do piechoty. — Ale, cóż robić! Czegóż człowiek nie poświęci dla tej świętej ziemi; widzę ja nareszcie, że panicz dobrze mówi i myśli. — Z bólem serca porzucę lancę, a wezmę kosę, kiedy tak potrzeba i nie braknie mnie tam, gdzie należy kosić, — panicza mego samego nie puszczę.

— A więc dalej do roboty — każda chwila droga — weź z magazynu żelaza, ile potrzeba, zapędź wszystkich kowali do roboty, kujcie spisy i przerabiajcie kosy, na sztorc je osadzając. Od kupca Rubinka wziąć ile potrzeba postawów sukna szaraczkowego, napędzić wszystkich krawców, ilu jest do roboty, żeby szyli czamarki z zielonymi kołnierzami, — czapników, żeby szyli rogatywki, nie żałować pieniędzy i nie tracić czasu napróżno.

— Stanie się według rozkazu — meldował trochę już rozchmurzony wachmistrz. Idę zaraz i wypełnię wszystko.

— Ale zapomnieliśmy o ludziach, będziemy mieli mundury, czapki, kosy, a żołnierze?

— O to nie mamy się co kłopotać, zanim słońce zajdzie stanie ich tylu na ochotnika, ile tylko przyjąć będziemy w stanie, — w całem miasteczku wre, jak w ulu — górnicy nasi ze wszystkich kopalń rudy, jak ptaki wyfruną z pod ziemi na światło — a i chłopi, gdy się tylko dowiedzą o wezwaniu — nie zawiodą.

— Tego się przynajmniej spodziewałem — nie mówiłem wprawdzie jeszcze z ojcem, ale nie wątpię, że się na wszystko zgodzi. — A teraz idź,

nie żałuj języka, trąb na wszystkie strony, grzmij jak bęben — że Ojczyzna potrzebuje obrońców, niech — kto dobry Polak — spieszy się zapisywać do mnie — ja przyjmę każdego z otwartemi rękoma. Mamy szopy w magazynach fabrycznych próżne, tam zakładamy tymczasowe koszary. Staraj się najwięcej o włościan, to siła, to potęga, jeżeli się pomiędzy nimi obudzi zapał, rozbudzi życie, to nietylko wypędzimy wrogów z Polski, ale Bóg wie, czy nie znajdziemy się znowu u bram Moskwy.

— Znam tam już drogę paniczu — przemierzyło ją się na szkapie wprawdzie, ale teraz i piechotą z cielęciem na plecach nie zabłądzę.

Tymczasem przed pawilonem Juliusza stało już kilku ludzi w gromadce i coś szeptało między sobą.

— Czego oni chcą? Dowiedz się wachmistrzu.

— Nie trudno odgadnąć, paniczu — tam stoi widzę nasz dojeżdżacz Walek, psiarek Antek, dwóch parobków od koni i Jaś, lokaj, paniczu.

— Ależ dowiedz się, czego chcą?

— Hej, wy basałyki — zawołał gromkim głosem rozchmurzony Połeć, wychodząc do stojących ludzi, — a co was tu przygnało, pyta się panicz.

— Nie przygnało nas nic, aleśmy sami przyszli po dobrej woli do panicza, podobno potrzeba będzie ludzi na Moskali, to my tam gotowi do tej roboty — tośmy chcieli powiedzieć paniczowi, — odezwał się pierwszy Jaś lokaj.

Połeć dumnie się wyprostował, wąs najeżył, oko zabłysło mu młodzieńczym zapałem i zawołał donośnym głosem:

— Do szeregu! Formuj się!

Na ten głos wszystkich pięciu ochotników stanęło jak wymusztrowani żołnierze w szeregu.

— Prosto stać Kuba! Uszy do góry, nos na dół! — komenderował dalej Połeć. — Idę po rozkazy do naczelnika.

Ale nie potrzebował odchodzić, Juliusz już stał we drzwiach i z zajęciem przysłuchiwał się rozmowie. Wyszedł do zgromadzonych — twarz jego pałała zapałem.

— Kto wam to powiedział, chłopcy? Kto objaśnił, że Ojczyzna potrzebuje obrońców? Kto wskazał mnie na waszego dowódzcę?

Głowy odkryły się wszystkie — kilka kobiet, które nie wiadomo skąd się znalazły, stało na boku, przysłuchując się z ciekawością.

Przez chwilę panowało milczenie — ale ku ździwieniu wszystkich pierwszy wystąpił psiarek Antek i pokłoniwszy się do ziemi czapką, rzekł:

— Pyta się panicz, kto nam powiedział, że panicz nas poprowadzi na Moskali, — kto nam kazał rzucić wszystko dla obrony tej ziemi naszej — taka nam już przyszła myśl — tak nam kazał Bóg!

Na proste te słowa chłopca, Juliusz nie był w stanie się pohamować, szybko postąpił naprzód — wyciągnął ramiona i serdecznie przycisnął psiarka do swojej szlachetnej piersi.

— Tak chłopcy, moi ukochani; — dobrze powiedziałeś Antku — Bóg zakołatał do serc waszych, to Jego głos do was przemówił! Pójdziemy wszyscy, ażeby pokruszyć kajdany, które na naszą hańbę wróg nam nałożył — ażeby bronić ziemi, w której

leżą prochy ojców naszych — ażeby nie dać deptać Wiary, którą nam chcą odebrać nieprzyjaciele — z krzyżem na piersiach. — Z wiarą w sprawiedliwość Bożą pójdziemy po zwycięstwo sprawiedliwości — a kto z nas krew swoją przeleje dla miłej Ojczyzny, ten będzie błogosławiony — kto polegnie, ten święty będzie — a kto powróci do swojej chaty, ten znajdzie wolnych już ludzi a nie niewolników carskich! Przynieście stolik i papier — rzekł zwracając się do stojącego w tyle lokaja. — Zaczynam spisywać listę ochotników. — Kto pierwszy z was wystąpił i namówił do udania się do mnie?

Przybyli spojrzeli po sobie, chwilę się namyślając, nareszcie Walek dojeżdżacz rzekł, wskazując na Antka:

— On.

— Słusznie się więc należy mu — rzekł Juliusz — żeby miał zaszczyt być wpisany na pierwszem miejscu listy obrońców narodu.

— Jak się nazywasz? — Antka znano dotychczas tylko jako Antka Psiarczyka, nikt nie wiedział, jakie właściwie nosi nazwisko, nikt się o to nie troszczył, a zresztą i on sam nie wiedział go.

Na zapytanie hrabicza chłopak zafrasował się na chwilę — lekki rumieniec rozlał się na opalonej wiatrem twarzy — nareszcie, biorąc na odwagę, odrzekł:

— Nazywam się Antek Psiarczyk.

— Ale z rodu jak?

— Z rodu chłopów polskich, z rodu Polaków, to dosyć.

— Niech i tak będzie — powiedział Juliusz — dla obrony Ojczyzny nie potrzeba nazwiska szlacheckiego, ludzie tacy, jak ty, zdobywają nazwisko na polu sławy — i potem ono promienieje jak gwiazda, a więc pierwszy Antek Psiarczyk.

Drugi wystąpił lokaj Jaś; piękna niebieska liberya Małachowskich z białym wykładanym kołnierzem, biała kamizelka, lakierowane z pozłacanemi klamrami trzewiki, zdawało mu się, że nadają mu prawo do pierwszeństwa — miał więc myśl zaprotestować przeciwko pierwszeństwu Antka.

— Ja nazywam się Jan Gondek, Jaśnie panie i zdawałoby mi się, że pierwszy powinienem być zapisany.

Juliusz surowo spojrzał na mówiącego i marszcząc brwi, odrzekł:

— Będziesz miał pole do pierwszeństwa wśród bitwy do odznaczenia się — teraz on pierwszy.

— Walenty Bienek — rzekł zbliżając się dojeżdżacz.

— Kuba Mucha.

— Józef Pobiegacz.

To było pierwszych pięciu synów ziemi niewoli, zrzucających kajdany, pierwszych pięć ptaków skrzydlatych, rwących się do czynu, pod kierunkiem młodego orła, pięciu pierwszych bohaterów wolności.

— A teraz bracia moi — żeby słowa wasze nie uleciały z wiatrem, jutro w kościele wykonamy przysięgę, że Ojczyźnie naszej służyć będziecie do ostatniego tchnienia — ja pierwszy ją wykonam i dotrzymam, że albo powrócę wolnym Polakiem,

albo krew moja zrosi tę świętą ziemię i śmierć moja przypieczętuje przysięgę. — Wachmistrzu oddaję ci pod twoją komendę tych pięciu zuchów, od tej chwili jesteście żołnierzami polskimi, macie zapomnieć o wszystkiem, wszystko poświęcić dla Ojczyzny, a ja pomiędzy wami będę nie ostatni.

— Formuj się! — zawołał Połeć tak donioslym głosem, że pozrywały się siedzące na pobliskiem drzewie wrony.

Ochotnicy uszykowali się w dwa szeregi i mając na czele starego, dumnym krokiem udali się do przeznaczonej na koszary szopy.

Wieść o formowaniu oddziału ochotników lotem ptaka rozniosła się po miasteczku — ruch powstał wielki i do wieczora znalazło się już na liście Juliusza 96 zapisanych.

Krawcy, czapnicy nie próżnowali także, przed wieczorem już pięciu naszych zuchów, ustrojonych było w szaraczkowe czamary z zielonymi kołnierzami; pięknie odbijały białe, posrebrzane guziki z orłami polskimi, a granatowe rogatywki z czarnym barankiem zdobiły głowy; czarne skórzane lakierowane pasy ściskały biodra. Widok ten porywał coraz większe tłumy, rozbudzał zapał młodzieży i zdawało się, że nikt w miasteczku nie zostanie, a wszyscy się zapiszą na listę bojową.

Wszystkie warsztaty majstrów opustoszały, czeladź całemi masami zbliżała się do wystawionej chorągwi z orłem polskim, wetkniętej przed pawilonem hr. Juliusza — nadeszła deputacya górników, ofiarując swoje życie dla Ojczyzny: — wszystko ludzie czarni w swoich poplamionych bluzach —

pomiędzy nimi byli starcy, co przekroczyli już rok pięćdziesiąty i chłopaki prawie wyrostki, u których jeszcze goło było pod nosem.

Nadszedł pochmurny jesienny wieczór — Juliusz zadowolony rezultatami dnia, zapisawszy ostatni numer 96 ochotnika — znużony całodzienną pracą — kazał sobie podać konia i kiedy już nogę wkładał w strzemię, niespodzianie stanął przed nim brat Gustaw.

— Wyjeżdżaż gdzieś Julku?

— Tak, chciałem trochę odetchnąć po pracy — znużony jestem bardzo — wyobraź sobie w ciągu jednego dnia mam już na liście ochotników prawie setkę — jeżeli tak pójdzie wszędzie, o czem nie wątpię, wkrótce cały kraj stanie pod bronią.

— Nie tak gorąco, chłopcze — rzekł Gustaw, kładąc mu rękę na ramieniu — raz obudzone tłumy, staną się potęgą, rozbudzą się w nich dzikie namiętności, cugle ci wypadną z ręki, nie potrafisz kierować rozszalałym tłumem, który puści się na wszelkie bezprawia i kto wie, czy znowu rzezie humańskie się nie powtórzą.

— Aleź Gustawie — zawołał, unosząc się Juliusz — czyż rewolucya, która się rozpoczyna, może postępować żółwim krokiem? — Wahać się, opóźniać, to znaczy zdradzać sprawę narodu — dla czego przypisujesz tak niskie namiętności temu ludowi szlachetnemu? Co cię do tego upoważnia — kto ci nadał prawo być tak niesprawiedliwym sędzią.

— Historya jest mistrzynią narodów — ona nam wskazuje przykłady, do czego lud, raz poruszo-

ny, dojść gotów — rewolucya francuska, z końca przeszłego wieku, wydała tylko gilotynę, komitety bezpieczeństwa publicznego; potokami krwi szlacheckiej zbroczyła ziemię i u nas się to może powtórzyć, bo nie brakuje nam prowokatorów z jakimiś Mochnackimi na czele.

— Stój! Nie bluźnij narodowi! — zawołał gwałtownie Juliusz. — Powołujesz się na rewolucyę francuską — to inne były czasy, inne ludów pragnienia, tam błędne myśli filozofów i niesprawiedliwość ówczesnych praw sprowadziły lud z drogi prostej, ale wkrótce otrząsnął się z błędu — wywiesił chorągiew wolności ludów — podeptał kajdany niewoli — otworzył oczy uciśnionym narodom — otoczył Francyę nieśmiertelną chwałą i orły Korsykanina siadły na murach Wiednia, Berlina, Rzymu, Madrytu i Moskwy.

— Ażeby jeszcze prędzej ulecieć jak przybyły! — odrzekł drwiąco Gustaw — niemożebne jest z tobą rozumowanie, młody zapaleńcze i dajmy już pokój tej kwestyi. Muszę tylko zwrócić uwagę twoją na to, że i każda rewolucya ma swój rząd, któremu bezwarunkowo wszyscy poddać się powinni — w dzisiejszem położeniu rząd jest w ręku dyktatora — dopóki on nie wyrzecze ostatniego słowa, dopóki nie wezwie do broni tłumów — nikt nie ma prawa ich poruszać — to jest przeciw subordynacyi; wyskok taki można przypłacić głową — a dotąd, o ile wiem, ze źródeł pewnych, — dyktator nie życzy sobie wcale ruchów ludowych — lęka się ich i surowo ukarze tych, którzy nie usłuchają jego głosu.

— Jesteś złowrogim puszczykiem, Gustawie, — gdyby dyktator miał podobne myśli, gdyby chciał tylko negocyacyami zbawić Polskę —, to biada nam!

Gustaw smutno spojrzał na młodszego brata, uścisnął mu silnie rękę i rzekł:

— Żegnam cię, drogi mój — za chwilę wyjeżdżam — obecność moja potrzebna w Warszawie — nie zapomnij jednak słów moich.

Serdeczny uścisk połączył dwóch braci, którzy pomimo różnicy zapatrywań politycznych szczerze się kochali: — jeden pędził, ażeby lać zimną wodę na rozpalone mózgi powstańców — drugi myślał i pracował nad otwarciem śluz potokowi, który miał zalać wrogów.

Jaką bańką nic nie znaczące życie człowieka! Dwaj ci bracia nie mieli się już nigdy zobaczyć z sobą; jeden miał nieść życie swoje gdzieś na obczyznę i w nie swojej ziemi położyć głowę — drugi Juliusz, bohater narodu, miał los przeznaczony — szczęśliwy: krew jego miała użyźnić pola Kazimierza, kości spocząć na ziemi rodzinnej i zostawić swojej Ojczyźnie nieoceniony klejnot wspomnień bohaterskich — świetne imię, na którego wspomnienie dziś jeszcze biją mocniej serca wszystkich prawych synów ziemi naszej.

Kareta hr. Gustawa stała już gotowa do drogi — więc pożegnał się ze starym ojcem, zasłużonym rycerzem — zadumany wsiadł do powozu i konie raźno ruszyły w drogę.

Juliusz dosiadł konia; zciemniło się już zupełnie, ale kiedy wjechał na ulice miasteczka zobaczył

prawie wszystkie okna oświecone, miasteczko kipiało, jak w dzień odpustu; na ulicach był gwar — przez szyby okien widać było przy łojowych świecach siedzących żydków, pilnie zajętych szyciem mundurów i czapek; ten sam widok ujrzał i hr. Gustaw z tym jeszcze dodatkiem, że widział palące się ogniska w kuźniach i jak cyklopy czarnych kowali, kujących kosy i osadzających piki na drzewcach.

Piękna aleja wysadzona staremi lipami, prowadząca z Końskich do Zdyszowa, ogołocona teraz z liści, smutnie szumiała — na gałęziach drzew porozsiadały się stada wron i gawronów, a za zbliżeniem się jeźdźca podrywając się, złowrogie wydawały krakania. — Koń parskał i znając doskonale drogę, chociaż jeździec zamyślony nim nie kierował, wybierał suche ścieżki i stępa idąc szedł wspaniale.

Na dwóch dosyć dużych stawach pod Zdyszowem czarna woda, której ponurość zwiększały jeszcze cienie gałęzi starych drzew, cicho pluskała, poruszana wiatrem, jakby coś szeptała, jakby zapytywała się jeźdźca, gdzie dąży i po co — jakby naigrawała się z niego.

W drewnianych chałupach wioski świeciło się wszędzie, a ogromny budynek gołębnika, stojący na końcu stawu rzucał cień ponury na wodę.

W dwóch okienkach jednak, tak zwanego gołębnika, świeciło się jeszcze.

Juliusz raźno zeskoczył z konia, przywiązał go do wbitego żelaznego kółka w lipie, pogłaskał po szyi rumaka i wszedł do sieni.

W sieni zatrzymały go głosy, które wychodziły z pokoju; wiedział, że Antosia gromadzi wieczorem dziatwę chłopską i wykłada jej nauki moralności, uczy czytać i silnie pracuje nad rozwojem tych młodych umysłów — sam niejednokrotnie bywał przytomny na tych zgromadzeniach, — sympatyzował z niemi i kupował odpowiednie dla dziatwy książki, których niestety w owych czasach nie było jeszcze wiele — ale zawsze istniały już przecie „Śpiewy Historyczne" Niemcewicza — „Pielgrzym w Dobromilu" i kilku innych.

Nie dziwił się więc, usłyszawszy liczne głosy ale niespodziewanie rozbudziła się w nim ciekawość, kiedy usłyszał, że w pokoju rozlegają się śpiewy nieznane przy akompaniamencie klawikordu: — nie chcąc przeszkadzać swojem niespodziewanem wejściem, zatrzymał się w sieni i z natężoną uwagą zaczął słuchać: — pieśń brzmiała poważnie — uroczyście — głosy dziatwy nie koniecznie harmonijne, zlewały się jednak w tak piękną całość, pod wpływem serca, z którego się wydobywały, że zaciekawiony Juliusz stał nieruchomy, oparty o framugę drzwi. — Pieśń brzmiała:

Hymn

Boga rodzico! Dziewico!
Słuchaj nas, Matko Boża!
To ojców naszych śpiew!
Wolności błyszczy zoraz,
Wolności rośnie krzew.
Bogarodzico!
Wolnego ludu śpiew
Zanieś przed Boga tron.

* * *

Podnieście głos, rycerze,
Niech zabrzmią wolności śpiewy,
Wstrząsną się Moskwy wieże!
Wolności pieniem wzruszą
Zimne granity Newy;
I tam są ludzie — i tam mają duszę.

* * *

Noc była.... orzeł dwugłowy
Drzemał na szczycie gmachu
I w szponach niósł okowy.
Słuchajcie! Zagrzmiały spiże,
Zagrzmiały — i ptak w przestrachu
Uleciał nad świątyń krzyże,
Spojrzał — i nie miał mocy
Patrzeć na wolne narody,
Olśniony blaskiem swobody,
Szukał cienia.... i w ciemność uleciał Północy.

* * *

O wstyd wam będzie Litwini
Jeżeli w Gedymina grodzie
Odpocznie ptak zakrwawiony!
Głos potomności obwini
Tam naród — gdzie czczą w narodzie
Krwią zardzewiałe korony.
Wam się chylić przed obcemi
Nam we własnych ufać siłach,
Będziem żyć we własnej ziemi
I we własnych spać mogiłach!
Do broni, bracia — bracia do broni!
Oto ludu zmartwychwstanie!
Z ciemnego głębienia toni,
Z popiołów, jak Feniks nowy,
Powstał lud! Błogosław Panie!
Niech zagrzmi pieśń jak w dzień godowy!
Bogarodzico! Dziewico!
Słuchaj nas, Matko Boża,

To ojców naszych śpiew;
Wolności bije dzwon
I wolnych płynie krew
Bogarodzico!
Wolnego ludu krew
Zanieś przed Boga tron!

* * *

Śpiew umilkł. Zapanowała chwilowa cichość. Juliusz mocno wzruszony ze łzą w oku otworzył drzwi i znalazł się wśród gromadki dzieciaków, powstających z kolan po skończonej modlitwie; — chłopcy i dziewczynki pomieszane razem; — na środku pokoju stała Antosia Snarska, biała jak lilia, omyta perłami rosy, rozpromieniona; złote jej włosy spływały po ramionach, czarne wielkie oczy ciskały ogniste snopy promieni, a w powietrzu zdawało się, że jeszcze brzęczą ostatnie tony wzniosłej pieśni:

Bogarodzico!
Wolnego ludu śpiew
Zanieś przed Boga tron!

Zobaczywszy wchodzącego Juliusza — rozsuwając swoje otaczające ją pisklęta, żwawo zbliżyła się do młodzieńca i wyciągając rękę, rzekła:

— Nareszcie doczekaliśmy się!

— Błogosławionej chwili!

— Godziny wolności!

— Nie — dopiero walki o wolność, trzeba ją zdobyć.

— To wszystko jedno — powstać, to znaczy poczuć swoje siły — poczuć siły, to zwyciężyć. — Któż się będzie wahał żałować życia swojego poświęcić dla tej ziemi!

Na twarzy dziewicy były rozlane błyski świętości; oko takim pałało żarem, karminowe usta drżały, pokazując pyszne sznury białych pereł.

Juliusz wzruszony wyciągnął do niej rękę, pochwycił jej dłoń i serdecznie uścisnął.

Drzwi od drugiego pokoju były otwarte, na przeciw nich, na staroświeckim łożu, spoczywała sędziwa niewiasta, znać złożona długą, ciężką chorobą: — ciało jej wychudzone, twarz miała cerę kości słoniowej — białe włosy, nakryte lekkim czarnym czepkiem, spadały na poduszki; ręce miała złożone na kołdrze i trzymała w nich mały z czarnego dębu wyrobiony krzyżyk z Chrystusem.

Od kilku już lat pani Snarska, wdowa po kapitanie napoleońskim była sparaliżowana i przepędzała życie w łóżku pod czułą opieką córki.

Chłopiec, 12-letni Tomek i Antosia, stanowili całe jej otoczenie — starszy syn znajdował się w Warszawie w szkole podchorążych.

Juliusz zbliżył się do matrony, która wyciągnęła do niego kościstą, wychudłą rękę; on ucałował ją ze czcią.

— A więc to prawda, że naród poczuł się do czynu zdolnym, więc doczekałam się jeszcze chwili, w której nadzieja zwycięstwa na nowo nas dolata?

— Tak, szanowna pani — Warszawa powstała — na całych obszarach dawnej Rzeczypospolitej poruszają się tłumy i wkrótce pożar ogarnie wszystkie miasta i wsie, lasy i góry Karpackie i błota Polesia.

Staruszka pobożnie złożyła ręce i w milczeniu zapatrzyła się w wizerunek Chrystusa szepcząc milczącą modlitwę.

Milczenie przeciągało się dosyć długo, tymczasem dzieciaki chciały się wynosić z pokoju, ale Antosia zastąpiła im drogę i rzekła głosem, który przenikał jak metalowe dźwięki:

— Czekajcie, moje gołąbki — siadajcie, gdzie które może na ziemi — oto macie bieliznę podartą już na płaty. Kachna pokaże wam, jak się skubie szarpie dla rannych naszych braci — oni bardzo cierpią, gdy się im krew wylewa z ran, zadanych przez Moskali; które z was największą paczkę szarpi uskubie, dostanie odemnie pięknego białego gołąbka, — a ranni żołnierze będą prosić Bozi za was.

Dzieciaki z wielką powagą, jakby rozumiały całą doniosłość odezwy, zasiadły na podłodze i raźno zajęły się robotą.

Juliusz stał zamyślony, przypatrując się temu widokowi, gdy niespodzianie staruszka wyszeptała:

— Dawne pominę czasy, długo żyłam na ziemi — widziałam księcia Józefa — widziałam Napoleona — a potem... a potem... — mówiła ledwie słyszanym szeptem — kozaków z nahajkami i tłumy robactwa obrzydliwego, zalewające polskie ziemie. Daj Boże! Daj Wielki Boże, żeby to się inaczej teraz skończyło.

— Pani kochana — zawołał Juliusz z zapałem — tam dziwny zbieg okoliczności odebrał nam plony ze zwycięstw naszych, dziś będzie inaczej. O, będzie inaczej.

Staruszka uniosła się na poduszkach — rękę wyciągnęła do młodzieńca i rzekła:

— Nie ta jest przyczyna upadku, mój dobry chłopcze! Chociaż największy, jakiego wydała ludzkość — geniusz wojny prowadził armię i upadł, — to nie dla zbiegu okoliczności to się stało, ale że kara za nasze grzechy nie była jeszcze odpokutowana, bo rachunki nasze nie były jeszcze zakończone — bośmy zapomnieli o ludzie, nie rachowali na niego i na Boga, a w szlachcie tylko widzieliśmy zbawienie.

— Będzie, jak Bóg przeznaczył — odrzekł poważnie, zamyślając się Juliusz — nam tylko wiernie służbę Bożą pełnić wypada — każdemu z osobna i wszystkim razem — a ziarno to nie będzie rzucone na marne i przyniesie obfite plony.

Nie chcąc jednak przeciągać rozmowy w tym kierunku, zwrócił się do Antosi z zapytaniem:

— Skąd pani wzięła ten wspaniały hymn? Czy jaki anioł z nieba spłynął i w boskiej harmonii go zanucił, na chwałę Polski i na rozpalenie serc?

— Hymn ten przed paru godzinami dostałam z Warszawy, przysłał mi brat mój, a przeczytawszy go, tak byłam nim zachwycona, że natychmiast postanowiłam, dorobiwszy na prędce, prostą, swojską nutę, wyuczyć moją komendę i nadspodziewanie moje dzieciaki w lot pochwyciły melodyę i zemną powtarzają strofy — wyobraź pan sobie, że pisklęta te nie rozumieją całej doniosłości myśli, a płakały z rozczulenia.

— Ale któż jest autorem tego pięknego śpiewu, nie powiedziałaś mi pani?

— Sama nie wiem — brat mój pisze tylko, że to jest młody człowiek, pełen ognia i na imię mu Juliusz.

— Ale nazwisko, proszę pani? — Nazwisko?

— Nazwiska nie wymieniają jeszcze — będzie ono błyszczeć jak drogocenny brylant na niwie naszej poezyi — świat je kiedyś uwielbi.

— Jeżeli jak Koerner nie polegnie w boju za sprawę wolności.

— Co hr. Gustaw mówi na to wszystko? — zapytała pani Snarska.

— Gucio należy do konserwatystów — na razie obawia się, żeby ruch narodowy nie ściągnął na nas piorunów zemsty — żeby lud, gdyby został powołany do czynu, nie obrócił się przeciw szlachcie, żeby się nie powtórzyły rzezie hajdamackie!

— Tegom się spodziewała — odpowiedziała smutnie staruszka — zawsze te obawy czerwonych widm; one paraliżują potęgę ruchu; ludu naszego wielcy panowie nie znają — bez niego nic dobrego zrobić się nie da.

— Ja sądzę — odparł Juliusz — że niedługo cały kraj podzieli to zdanie szanownej pani — lud zostanie wezwany, uzbrojony i poprowadzony na wroga.

— Czy tylko tyle, panie Juliuszu? — zapytała Antosia.

— O nie; pierwej zostanie uwłaszczony ziemią, którą posiada! — Pańszczyzna zniesiona — będzie wiedział czego broni, bo dotąd bronił tylko uciemiężenia swego i poddaństwa.

— Daj Boże! Daj Boże, żeby tak wszyscy myśleli — mówiła, zamyślając się staruszka — bardzo mi się podoba w tym hymnie wezwanie do Litwinów, ich nie można zostawiać zapomnianymi.

— I Wołyń i Podole i Ukrainę matkę — zawołał, zapalając się Juliusz.

— Gdyby inaczej było, biada nam — wyszeptało dziewczę.

Dziwną rzeczą zdaje się na pozór, że ci politycy wiejscy, zaściankowi, te słabe kobiety i ten chłopiec prawie dzieciuch jeszcze, mieli tak jasne pojęcia o potrzebie uczynienia ruchu prawdziwie narodowego, powołując lud i wszystkie zabrane prowincye do walki na śmierć i życie — a nie pojmowali tego dyplomaci, stojący u steru narodu, nie pojmował ten wódz wybrany, w którym złożono wszystkie nadzieje.

Tam wahano się, namyślano, rozprawiano tylko, wszelkiemi siłami chcąc położyć tamę temu jedynie zbawczemu środkowi.

Tu sprawdza się to stare, a tak potężne przysłowie, które niegdyś miało głos nieprzeparty:

Vox populi, vox Dei.

— Już mam prawie setkę ochotników — mówił dalej z rozjaśnioną twarzą Juliusz — stary Połeć zrzucił z karku 30 lat wieku — odmłodniał: wszędzie jest — wszystko widzi — munduruje — musztruje i jutro chciałby już poprowadzić masę kosynierów na plac boju. Czy wiecie panie, że najpierwszym ochotnikiem, który się zapisał na listę powstańców — był mój poczciwy Antek Psiarczyk — chłop z chłopów, krew ze krwi dawnych kmieci,

Tymczasem dzieci ze wsi zaczęły się już wybierać do domu, każde złożyło swoją paczkę szarpi i obiecując przyjść jutro rano, opuściły mieszkanie pp. Snarskich.

— No — i ja pożegnam moje panie — rzekł Juliusz — dużo mam jeszcze do roboty.

Tymczasem na dworze nastąpiła słota, deszcz się puścił rzęsisty — chmury zasłoniły niebo i ciemność okryła pola. — Koń Juliusza nie potrzebował jednak szukać drogi; wyciągniętym kłusem biegł aleją lipową z ogołoconych z liści drzew; wrony, które się tam ulokowały na noc z krzykiem złowrogim zrywały się i przefruwały na dalsze gałęzie, szukając innego noclegu.

Powóz hr. Gustawa zaprzężony w dzielną czwórkę koni wśród ciemnej, jesiennej nocy pędził gościńcem szerokim, pełnym jednak wybojów. Dyplomata pogrążył się w głębokie zadumy: był to człowiek, który znał całą doniosłość zadania, jakie się otworzyło teraz, potężny rozum pokazywał mu wszystkie kombinacye następstw, mogących teraz wypłynąć na wierzch — nikt ani wtedy, ani dziś nie wątpił i nie wątpi o jego patryotyźmie — ale człowiek ten wychowany wśród wyobrażeń arystokracyi, która już była zatracała potęgę czynu, z usposobienia dyplomata, był bardzo ostrożny — zanadto ostrożny — bo wojnę chciał prowadzić jedynie na papiery, na noty, wezwania, odpowiedzi dyplomatyczne i zdawało mu się, że broń ta jest stokroć skuteczniejsza niż kosy a nawet armaty... Nie wierzył w siły narodu, w jego energię, w wytrwałość; tak niestety sądziło i wielu innych w owej stanowczej chwili.

Na czele tych wszystkich, nie mających wiary, a ufających swoim rozumom stał książę Lubecki, mąż niepospolitego umysłu i umiejętnie kierował zacnym, ale słabym księciem Czartoryskim.

Lubecki, będąc ministrem, do świetnego stanu finansów przyprowadził Królestwo, kasy napełnił po brzegi pieniędzmi, założył Bank Polski i utarł nosa Moskalom, którzy już zrobili zakrój na włączenie Królestwa do Cesarstwa, z powodu, że Królestwo nie jest w stanie pokrywać oddzielnie wydatków na swoje utrzymanie. Ożywił handel — podniósł przemysł — pozakładał liczne fabryki i kraj pomimo wstecznych pragnień rządu, postawił w stanie kwitnącym; — a że znów z drugiej strony: armia pod kierunkiem oficerów napoleońskich ciągle ćwiczona przez księcia Konstantego, doszła do najwyższej doskonałości a zarazem reprezentowała prawdziwie artystyczną całość — kraj więc miał wszystkie warunki oddzielnego bytu i rzeczywiście przedstawiał potęgę nie bagatelną.

Lubecki, zatopiony w swoich planach, które dążyły powoli do samobytu, nie widział innej drogi do niego, jak tylko powolną pracę na drodze legalnej, w nią tylko wierzył, jej ufał i z niej oczekiwał zbawienia. Ruch rewolucyjny wszedł mu na drogę niespodzianie, pokrzyżował jego zamiary, popsuł sprawę — niechętnem więc okiem spoglądał na jego twórców i uważał ich za nieprzyjaciół kraju.

Powaga, jaką sobie wyrobił w Petersburgu znana była powszechnie — ze zdaniem jego liczyć się musiał nietylko Nowosilcow, ale i dziki brat cesarski.

Zaraz więc z początku rewolucyi utworzyło się stronnictwo arystokratyczne pod kierunkiem Lubeckiego które nietylko nie myślało popierać wojny, ale wszelkimi siłami dążyło do zatrzymania bystrego potoku; — do tej liczby należał właśnie ks. Czartoryski i Gustaw Małachowski.

Ten ostatni powracając z Końskich, gdzie chciał wylać kubeł wody zimnej na głowę ludzi, których nazywał zapaleńcami — nie zadowolony był ze swojej misyi, bo spostrzegł, że płomienie ognia szeroko się już rozlewają, że ruch staje się ogólny, że przenika do warstw najniższych; — głęboko zadumany o losach kraju, nie spostrzegł, że już od paru godzin kareta toczy się po kamienistym gościńcu, że podskakuje na kamieniach i grzęźnie w wybojach; — sen opanował dyplomatę. W nim marzył właśnie, że się znajduje w Petersburgu, że ma audyencyę u cara, widzi pysznie oświetlone pokoje, napełnione tłumem błyszczących mundurów — on wchodzi — dumnie spogląda po zebranych matadorach, uniżenie kłaniających mu się: — otwierają się drzwi i wchodzi car, w mundurze generalskim z wielką gwiazdą na boku — spogląda po tłumie nachylonym i dostrzega, że jeden tylko hr. Gustaw Małachowski i drugi przy nim krępy, przysadzisty mężczyzna z wielką głową — stoją wyprostowani i nie uginają czoła, hrabia poznaje w towarzyszu — księcia Lubeckiego.

Car marszczy brwi, ta śmiałość — ta duma Polaków nie podoba mu się — ale po chwili zmusza się do uprzejmego uśmiechu i pozdrawia posłów Narodu Polskiego.

Hr. Gustaw nieznacznie uśmiecha się — Lubecki postępuje krok naprzód, lekko pochyla głowę i zaczyna mówić:

— Najjaśniejszy Panie, Królu Polski!...

W tem niespodziewanie rozlega się straszny grzmot, ściany się trzęsą, światła gasną i hrabia czuje się mocą nieznaną rzucony o ziemię, po której go wloką jakieś czarne widma.

Budzi się z marzeń, spostrzega, że rzeczywiście leży w ciemności w ciasnej klatce, jak niedźwiedź uwięziony. — Wkrótce jednak pułap jego klatki otwiera się, podnosząc się do góry i w niej zjawia się jego lokaj.

— Co to jest — zapytuje zdziwiony hrabia.

— Przewróciliśmy się Jaśnie Panie.

— Do miliona djabłów z taką jazdą! — Podajże mi rękę i wywinduj mię z tej niewoli!

Nie tak jednak łatwo było to uczynić, hrabia był otyły, potrzeba się było wyprostować i wygramolić do góry — co z wielkim trudem zaledwie przy pomocy lokaja zrobić zdołał.

Noc była ciemna, deszcz jesienny pluskał łagodnie po twarzy, jakby przesiewany przez sito, — wicher zrywał z drzew pozostałe liście a w pewnej oddali unosił się wielki kłąb ognia z olbrzymiej wieży, rozrzucając iskry i zamieniał się jakby w bukiet fajerwerku, a kłęby czerwonego dymu otaczały, jak zawój turecki, jego głowę — po bokach zaś tego olbrzyma u dołu błyszczało kilkanaście świateł w okienkach domów.

— Gdzie jesteśmy, zapytał hrabia.

Pod Samsonowem, Jaśnie panie — to wielki piec, w którym topi się ruda żelazna.

— Gdzie ten niedołęga furman, który nas tak wiózł? — zapytał gniewnie hrabia.

— Ja tu, Jaśnie panie, przywalił mnie kozioł od karety i wydobyć się nie mogę.

— No — weźmy się do niego i poratujmy go.

Wspólnie z lokajem, nie żałując fatygi, hrabia zdołał podważyć trochę przód karety i wyciągnąć furmana.

— Czyś nie złamał ręki, albo nogi niezgrabiaszu, bo kark widzę jeszcze cało sterczy?

— Gnaty mnie bolą, ale jakoś cało się trzymają.

— Co się stało? Dlaczegoś wywrócił?

— Noc taka ciemna — wybój ogromny na środku drogi, licowy się czegoś strachnął, rzucił się w bok i kareta się wywróciła, proszę łaski Jaśnie pana.

— Ha — trudno! Podnieście karetę.

Łatwo było wydać podobny rozkaz, — ale wypełnienie go natrafiło na niezwyciężone trudności. Obydwaj służący próbowali raz i drugi dźwignąć ciężką karetę, a i hrabia parę razy dotknął przez rękawiczkę ciężaru, — ale usiłowania wszelkie pokazały się bezskuteczne, ciężkiej landary niepodobieństwo było ruszyć.

— Próżno czas tracimy — rzekł hrabia — dymaj do wsi, tam niedaleko się świeci; — sprowadź ludzi, niech nas wywindują z tego błota.

Lokaj czemprędzej udał się do wsi, oddalonej nie więcej, jako wiorstę — tymczasem hrabia, nie mogąc nigdzie się schronić przed deszczem — po-

stanowił filozoficznie wzbić się w cierpliwość. Wyjął kosztowną cygarniczkę, wybrał starannie cygaro hawańskie — poczem dobywszy krzesiwka z hubką, skrzesał ognia i otoczył się kłębem dymu. stając na wystającym kamieniu.

Wkrótce dały się słyszeć głosy ludzi, zbliżających się ode wsi: — zjawiło się pięciu silnych chłopów z drągami i ci przy pomocy służby, podnieśli karetę — hrabia zadowolony wyjął rubla i wręczył im za fatygę, ale kiedy już miał wsiadać, pokazało się że oś jest złamana... i podróż dalsza niemożebna. Zniecierpliwiony, zaklął wcale nie dyplomatycznie — nie było jednak innej rady, jak podłożyć drąg pod zepsuty ekwipaż i tak doprowadzić go do Samsonowa.

— A jest tam u was kowal przynajmniej, żeby zreperował osie?

— O, u nas Jasny panie nie brakuje kowali — toć to cały Samsonów zamieszkują górnicy i kowale.

— A daleko będzie do kuźni?

— A dyć się w niej świeci, jak w piekle! — Nie widzi to Jasny pan.

Hrabia spojrzał we wskazanym kierunku i zobaczył rzeczywiście płonące ognisko, a przy niem uwijające się jakieś ciemne duchy — wyjął zegarek, nacisnął sprężynę — przyłożył do ucha i przekonał się, że dzwonek wygłosił godzinę dwunastą.

Zastanowiło go to, że o tak późnej porze ludzie jeszcze pracują.

Ruszono ku wsi — hrabia rad nie rad musiał

podróż odbywać piechotą, po błocię, w cienkich bucikach.

— Cóż to tam za tak pilną mają robotę, że o północku jeszcze pracują? — zapytał.

— Albo to Jasny pan nie wie?

— A skądże mam wiedzieć?

— Toć przyszło rozkazanie od J. Wgo hrabicza Juliusza, z Końskich, żeby dzień i noc kuć kosy i przyrządzać piki.

Hrabia zdziwił się, lecz nic nie odpowiedział, — pomyślał tylko, że jest coś nadspodziewanego w tym pośpiechu — dziś on dopiero przybył z wiadomością o powstaniu, a tu już wszyscy krzątają się około pracy.

W obszernej kuźni, w której drzwi na rozcież były otwarte przy dwóch ogniskach z młotami w rękach, z odwiniętemi rękawami od koszul, krzątało się sześciu kowali — młoty ich migotały w powietrzu i spadały na rozżarzone do czerwoności żelazo. Na środku kuźni leżał stos kos świeżo pozdejmowanych — na drugim stosie leżały już wyprostowane kosy; kilku parobków toczyło je na okrągłym kamieniu, ostrząc jak brzytwy — kilku innych obsadzało do styliska i przybijało gwoździami do drzewa — jaka setka stała w kącie już gotowa do użycia.

Pomimo tak ciężkiej pracy wesołość panowała wśród robotników i słychać było śmiechy, a gdy hrabia stanął we drzwiach, jeden właśnie z parobczaków zanucił:

„Taki dobry młynarz, jak i Wojewoda!
„Wojewodzie robią ludzie — młynarzowi woda!

Hrabia zmarszczył brwi, myśl ulotnej piosenki nie podobała mu się — ale obeznany ze zwyczajami ludu, stanąwszy we drzwiach, głośno się odezwał:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków — odpowiedziano chórem.

Robota na chwilę zatrzymała się w kuźni, wszystkich oczy zwróciły się na nowoprzybyłego.

— Panie majster, zepsuła mi się oś u powozu potrzeba ją spiesznie zreperować.

Barczysty kowal, Piotr Jaros, człowiek 40-to letni, położył młot — założył rękę jedną za fartuch skórzany a drugą nachylając czapki, odrzekł:

— Trzeba będzie najpierw zobaczyć, co tam wypada zrobić.

— No to weźcie się, a skoro zrobicie, nie pożałuję pieniędzy.

— Ej — o pieniądze tam mniejsza, proszę Jaśnie pana, tylko że nie mamy czasu, na jutro musi być 200 kos gotowych.

— Alboż to już czas kośby — toć to jesień.

— Jasny panie, i w jesieni znajdzie się co kosić — odrzekł, uśmiechając się filuternie.

Majster jednak udał się do obejrzenia karety.

— Robota potrwa do rana, Jasny panie — oś trzeba odkręcić i zeszwejcować, a to zabierze niemało czasu.

Hrabia Gustaw widział, że inaczej postąpić nie można. Perspektywa przepędzenia nocy bezsennej w kuźni nie uśmiechała się sybarycie — ale cóż

robić wobec konieczności; — trzeba było jej uledz.

Czeladnicy raźno się zajęli odpasowaniem osi, zardzewiałe mutry nie łatwo puściły, a klucz kowalski nie pasował swemi rozmiarami do nich; zdołano je nareszcie odkręcić, oś włożono w ogień, rozpalano do czerwoności i zaczęto je obrabiać.

Zamyślony dyplomata usiadł na jakiejś przewalonej skrzyni, na której mu rozesłał lokaj dywanik, wzięty z powozu; — jakkolwiek nie spał już drugą noc, sen jednak nie ciężył mu na powiekach: — przypatrywał się robocie — wkrótce jednak uwagę jego zwróciła rozmowa kilku górników, stojących na boku — postanowił więc skorzystać z czasu i zbadać usposobienie ludu.

Okolice Końskich, na kilka mil w okrąg, mieszczą w sobie nieobliczone bogactwa rud żelaznych, miedzianych i cynkowych! — W owej epoce pod silną protekcyą przemysłu ze strony księcia Lubeckiego rozwijały się wspaniale, a pokłady rudy w znacznej części należące do dóbr kasztelana Małachowskiego, który znał ważność tej gałęzi bogactwa narodowego, nie ustępowały rządowym. Śliczna ludność górnicza, zatrudniona przy kopalniach rud, przy wielkich piecach, „fryszerkach“, walcowniach — pobierając znakomite zarobki, stała już i na pewnym stopniu rozwoju duchowego i rzadko można było spotkać pomiędzy nimi nie umiejącego czytać. Żołnierze napoleońscy, dość jeszcze w ów czas liczni, nosząc na twarzach swoich ślady przebytych wojen i opowiadając cuda spełnionych kampanii — rozgrzewali ducha ludu

i w długie wieczory albo uczyli dziatwę, a nawet dorosłych czytać, lub epopeją napoleońską, opowiadaną prostym językiem ludu, rozpłomieniali go. I teraz właśnie pomiędzy gromadką górników znajdował się stary Napoleoński wiarus z sążnistymi wąsami, z krótką glinianą stambułką w zębach na rogowym cybuszku.

— Prawda Jasny panie — zapytał już trochę podchmielony, stając frontem przed hrabią, nie zdejmując jednak czapki, — że tam generał Chłopicki wziął już Warszawę i tych dziegciarzy wymiótł het za Pragę! — No, ho! Znamy my się jeszcze z Hiszpanii — nasz „Chłopek" jak zacznie młócić, to paździerze lecieć będą że skóry kacapów.

— W Warszawie zrobiło się zaburzenie, ruchawka — odrzekł hrabia lakonicznie.

— Ale już wypłukali ją z Moskwy? Co?

— Wielki Książę ustąpił przed ruchem z Warszawy.

— A nie mówiłem wam, obracając się do robotników — rzekł weteran, — że kiedy Chłopicki weźmie cepy, to wymłóci na czysto! — A następnie zwracając się do hrabiego, rzekł: Żydki tu nam przynieśli wiadomość z Warszawy, że niektórzy ze starszyzny nie chcieli mu być posłuszni i tych generałów kazał rozstrzelać.

— To nieprawda — motłoch warszawski sam bez żadnego rozkazu napadł na kilku generałów i haniebnie się nad nimi znęcał.

Żołnierz spojrzał na mówiącego, przymrużył oko i zapytał:

— A za cóż to proszę Jaśnie pana tak z nimi postąpił lud?

— Jak zwyczajnie w takiej zawierusze, tłumy dopadły szynków, opiły się gorzały i pastwiły się nad każdym, kto nie krzyczał z nimi „śmierć Moskalom!“ i nie szedł pod arsenał dla zdobycia go.

— Aha! Teraz rozumiem — nie chcieli iść pod arsenał po broń — woleli iść do tej małpy bez nosa, Kostusia, po ordery — no i dostali ordery na wieczne czasy.

Stojący chłopi w milczeniu szturchali się łokciami i uśmiechali — hrabia spostrzegł, że jego odpowiedzi nie podobają się i że lud ma już swoje zdanie o ruchu — chciał się więc wynieść do karety, — gdy zastąpił mu drogę w samym progu smagły czeladnik-górnik i uchylając czapki, rzekł:

— Na wieść o powstaniu opuściliśmy szyby kopalni, posłaliśmy hasło po wsiach i za parę dni kilka tysięcy nas będzie gotowych; panicz Juliusz ma nas prowadzić na Moskali — a biada tym, którzy nie pójdą razem z nami.

Hr. Gustaw nie słuchał już dalej. — Co się tu dzieje? — Skąd ta wieść tak szybko przedostała się do ludu? — Dlaczego jego brata wszędzie stawiają na czele ruchu? — Ten szaleniec gotów sprawę popchnąć dalej, jak wypada, gotów obudzić te bezwiedne tłumy i zepsuć wszystkie plany dyplomacyi swoją gorączką.

— Nie, na to pozwolić nie można, trzeba temu zapobiedz, tu rozumowanie na nic się nie przyda — trzeba, żeby Chłopicki surowo zabronił tego szalonego ruchu.

Oś prędzej, niż się spodziewał została sporządzona, szybko wsiadł do powozu i kazał pospieszać.

— To jakiś nie z naszych panów — rzekł górnik.

— To brat hrabicza Juliusza — odparł drugi.

— Ale gadaj mi tam, to nie krew Małachowskich — to jakiś sprzedawczyk.

W dworku bohaterów.

Tak się zapatrywano na sprawę powstania w domach magnackich na lewej stronie Wisły, na stronie tej, gdzie leży serce Polski — Warszawa. — Przejdźmy na prawy jej brzeg i zajrzyjmy do dworów szlacheckich — a potem schyliwszy się zajdźmy do chat ubogich chłopów. Jeżeli wśród pochmurnego dnia jesieni, kiedy cały widnokrąg, zasłonięty jest chmurami, kiedy ciężkie mgły całunami okryją ziemię, a przygnębienie owładnie serca ludzi i pogrąży w jakąś bezwładność — jeżeli w takiej chwili niespodzianie rozedrą się czarne zasłony i raptem w całym blasku potęgi ukaże się tarcza wspaniałego światła — zabłyśnie słońce miliardami promieni i zwycięży ciemności, — to w jednej takiej chwili niknie troska smutku, rozjaśnia się w naszej duszy — nieznany wpływ rodzi nowe nadzieje i przekonywa nas, upadłych na duchu — że słońce jest, — że świeci, — że ożywia i wznieca nowe siły do życia — do walki i do znoszenia cierpień.

W dworek zamożnego obywatela, w domek pokryty słomą — na pozór ciasny, ale rozszerzający się na rozcież za przybyciem gościa, tak jako i ser-

ce gospodarza — wprowadzę teraz swoich współczujących towarzyszy myśli.

To dom jednego z nieznanych bohaterów narodu — świątynia honoru — bazylika spełniania obowiązków obywatelskich — dom, jakich było nie mało w Polsce.

Wieś Luboradz, w województwie Płockiem, rozciąga się na płaszczyźnie; w nieładzie rozrzucone chaty chłopów, w tym czasie całe pokryte grubą warstwą śniegu, podobne zdają się raczej do dużych kopców; — gałęzie drzew zwieszają się na dół pod ciężarem szronu, skrzypią żałośnie poruszane wiatrem, czasem łamią się z trzaskiem, przestraszając siedzące na nich wrony; wróble tylko, ci odwieczni obywatele naszej ziemi — umieją sobie znaleźć wygodne schronienie pod słomianemi strzechami dachów i jak Niemcy w betach pierzyn, delektują się ciszą i ciepłem.

Z małych okienek chałup błyszczy światło smolnych szczap sosnowych — przy nich siedzą prządki z kądzielami, snują długie nici przędzy i słuchają czarodziejskich bajek, które każda towarzyszkom opowiada po kolei. Parobcy przysposabiają paliwo, szturchając niby niechcący dziewuchy — śmiechy się rozlegają; w ciepłych chatach zapomnieli o zawierusze na dworze. — Od wsi ciągnie się długa aleja, wysadzona staremi lipami do dworu: — dwór również pokryty śniegiem, brama dziedzińca zawalona zaspą; we dworze jednak w oknach świeci się i często przesuwają się cienie osób. — Na ścianie wisi duży obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, na dużym kominie pali się suty

ogień a przed nim wyciągając się i grzejąc, spoczywają dwa ogary; komnata obszerna, niska, ale jasna i widna.

Na prostym, drewnianym stołku siedzi 16-to letni chłopiec, Aleksander i pilnie czyści skałkową dubeltówkę, wyciera ją pakułami, smaruje łojem, oliwą odwilża kurki. W twarzy jego widać jakąś zadumę, jakiś przedwczesny wyraz dojrzałości. Długie, płowe włosy spadają mu na ramiona — obok niego, trochę na stronie zasiada Jaś, 14-to letni brat, z nożem w ręku i pracowicie wyrabia potrzask do łapania kuropatw, które zimową porą cisną się pod zabudowania gospodarcze, przyciśnięte głodem, prześladowane od jastrzębi.

W Luboradzu było oddawna w zwyczaju ptaszyny te łowić w potrzaski zimową porą, przechowywać je do wiosny a następnie wypuszczać na wolność; wydział tej pracy ojciec na teraz przekazał Jasiowi. Twarda zima, na jaką się zanosiło, rozpoczęła się i młody chłopak z zapałem oddawał się swej pracy. Trzeci chłopczyna, Antoś, ulubieniec rodziców, liczący dopiero lat 11 z podpartą głową na ręku siedział przy nogach starej matrony, której całą uwagę pochłaniała książka „Żywoty Świętych" księdza Skargi. — Matka cichym, do serca przenikającym głosem czytała z niej te pyszne obrazy nauki i miłości, które nieśmiertelny mąż zostawił potomnym dla wiecznej czci i pamięci; spokój i szczęście — zdawało się — otaczały tę całą bogobojną rodzinę.

Sam jednak gospodarz domu, p. Klemens Lu-

boradzki znajdował się w przykrem bardzo położeniu, spoczywając na łożu złożony chorobą.

Był to mąż przeszło sześćdziesięcioletni — stary żołnierz jeszcze z legionów, odbył wszystkie kampanie Napoleońskie; wziął dymisyę z chwilą, kiedy wojska polskie przeszły pod dowództwo W. Księcia Konstantego, bo nie chciał służyć pod jego komendą. Z głęboką rysą przez środek czoła, — dziś już prawie inwalida, skurczony reumatyzmem, zdobytym na śniegach ziem moskiewskich, od trzech lat prawie bezwładny, mało wychodził z pokoju zimową porą; — w kaftanie flanelowym, na nim ceratowa bluza — na głowie watowana czapeczka, przykryty ciepłą wełnianą kołdrą — leżał zamyślony, słuchając czytającej żony.

Służąca weszła do pokoju, niosąc ciepłą polewkę.

— A zamykaj drzwi prędko — zawołał rozdrażniony. Tu takie przeciągi, że człowiek kostnieje od zimna.

W pokoju było parno, ale znano już uprzedzenia kapitana i obawy o zupełne sparaliżowanie — po cichu więc wykonano rozkaz, a żona zbliżyła się do łóżka i poprawiła starannie poduszki.

— Jakże ci Klemensie teraz, czy nie gorzej?

— W piekle będzie lepiej, bo tu już człowiek nawet nogą lub ręką ruszyć nie może; — o świat ten, świat gorzki!

— Uspokój się kochanie, to do jutra przejdzie; — na dworze zawierucha, wilgoć — mówiła żona — jutro znowu słońce błyśnie i bóle twoje ustaną.

— Jak mnie złożycie w trumnie! — Ale widząc, że te słowa przykre robią wrażenie, w jednej chwili uspokoił się i rzekł:

— Stary dzieciak ze mnie — przebacz mi Teresiu i czytaj dalej.

Niespodzianie psy wygrzewające się przed kominem, podniosły głowy, nastawiły uszy — powstały — a jednocześnie w sieni dał się słyszeć jakiś szelest.

— Kto się tam tłucze po nocy? — zapytał zdenerwowany kapitan.

Prawie w tym samym czasie drzwi się otworzyły i do izby wtłoczył się słup śniegu, przez który ledwie przeglądały czarne kolory ubrania.

Kapitan silniej pociągnął pod brodę kołdrę, westchnął, zmrużył oczy z rezygnacyą i czekał zdecydowany, że to wejście będzie dla niego fatalne. Psy warknęły tylko, ale jakby już zadość uczyniły swoim obowiązkom napowrót pokładły się przed kominem.

— Laudetur Jesus Christus — odezwał się głos od proga i przy drzwiach stanął człowiek w habicie Bernardynów, z którego śnieg tając od ciepła, zaczął spływać w postaci wody na podłogę.

Kapitan zmarszczył się, ale szanując prawa gościnności, odrzekł z powagą:

— Na wieki wieków.

— Amen — zawtórowało całe zgromadzenie.

— Otrząśnij się ze śniegu, księże kochany i siadaj przy ognisku, rozgrzej się — mówiła pani Luboradzka.

Nowoprzybyły był to człowiek młody jeszcze, pełen energii, ruchy jego były zamaszyste, wzrok pogodny — przenikliwy — i wcale w nim nie widać było tej pokory, jaką zwykle przybierają kwestarze. Pomału wyjął kraciastą chustkę, otrzepał śnieg z siebie i stanął w dali od ognia.

— Siadaj ojcze — rzekł stary żołnierz — rozgrzej się i opowiedz nam co tam słychać na świecie, bo my tu jak na pustyni żyjemy. — A z którego klasztoru Pan Bóg prowadzi? Powiedz nam jeśli wola.

— Z Kobyłki, z pod Warszawy z klasztoru OO. Bernardynów.

— A cóż was tam tak za bieda przycisnęła, że pośród zimy, jak wilcy włóczycie się po wsiach?

— A jakże na imię księdzu dobrodziejowi.

— Jestem tylko braciszek January, nie mam prawa do godności ojca — a co do tego zapytania jakie mi zrobił W. Pan dobrodziej, co nas po świecie tak miota, to odpowiem, że jestem gońcem dobrej wieści. — To mówiąc, wyjął okrągłą tekturową ogromną tabakierkę i podał ją uprzejmie choremu.

— Co tam dla nas za dobra wieść być może w dzisiejszych czasach; — nie wierzę już w szczęście i nie spodziewam go się — choroba mnie zmaga.

— A to źle robi pan dobrodziej: — po najburzliwszym dniu następuje zwykle pogoda — a co do choroby, to ta jak z dopuszczenia Boga przyszła, tak za wolą Jego się oddali — mam ja tu dobre lekarstwo na chorobę jegomości.

Kapitan smutnie się uśmiechnął i odrzekł:

— Trzy lata mnie już łamie reumatyzm, życie mi się sprzykrzyło, przejść przez pokój bez laski nie mogę, zostałem niedołęgą na starość — leczyli mnie różni doktorzy i wszystko to psu na budę się nie zdało; — ale cóż to za dobre jegomość przywozisz nam wiadomości, proszę powiedzieć.

Braciszek January wesoło się uśmiechnął jakby wyprostował się i rzekł głosem tak donośnym jakby przemawiał z kazalnicy, albo przed frontem żołnierzy:

— Warszawa powstała! — Moskale wypędzeni ze stolicy, Książę bez nosa uciekł! — Chłopicki stanął na czele armii i wojna! — Wojna święta rozpocznie się niebawem.

— Co! Co!? — zawołał kapitan, siadając bez żadnej pomocy na łóżku. — Czy ja śnię! Czy ty marzysz księże?

— Nie marzę, panie dobrodzieju — krew moskiewska już zbroczyła ulice Warszawy — armia cała stanęła pod rozkazami Chłopickiego i czeka na jego skinienie, ażeby się wziąć za bary z wrogiem! Nie kłamię, tak mi Boże dopomóż.

Kapitan na chwilę siedział, jakby rażony gromem — ale raptem ku zdumieniu wszystkich podniósł się sam, zerwał z piersi kaftanik flanelowy, odrzucił ceratę, cisnął w ogień watowaną czapkę, okrywającą mu łysinę i stanął wyprostowany, drżący, ale nieugięty.

— Nie czas chorować, nie czas wylegać się w betach, kiedy Ojczyzna woła o ratunek, kiedy bracia przelewają krew swoją! — Hej Tomek! O-

strogi przypasuj, spiesz się — konie niech będą gotowe do drogi.

Całe otoczenie ze zdziwieniem spojrzało po sobie: — ten starzec, który bez laski nie mógł przejść po pokoju, który bał się szpary w oknie, żeby go nie zawiało — teraz stał sam i donośnym głosem wydawał rozkazy.

— Cud! Cud! — zawołała żona, pobożnie składając ręce — czy cię siły nie łudzą.

— Cud! — powtórzył January — Bóg z grobu jeżeli zechce powoła swoich rycerzy do obrony świętej sprawy.

Najstarszy syn, Aleksander, odstawił strzelbę, którą dotąd trzymał i rzucił się w ramiona ojca. — Jaś przypadł do jego ręki i namiętnie ją całował — a mały Antoś, drżąc cały jak w febrze, spoglądał zdumionemi oczami po wszystkich, czując, że wiadomość ta jest czemś tak wielkiem, tak niespodziewanem, że człowiek może ją tylko czcić modlitwą; — dzieciak w jednej chwili upadł na kolana i wzniósłszy oczy do góry, w których łzy świeciły pogrążył się w cichej zadumie.

Kapitan pierwszy dostrzegł ten ruch — podniósł ręce do góry i zawołał donośnym głosem:

— Na kolana! Na kolana! Wszyscy dziękujmy Bogu za okazaną mi litość!

Brat January pierwszy wypełnił komendę, za nim poszli wszyscy obecni z kapitanem, który głośno mówił:

— Wola Boża spełniła się nademną, grzechy moje widać są odpuszczone, kiedy mi Bóg jeszcze pozwoli ująć karabin i użyć go na obronę Ojczy-

zny. — Bądź wola Twoja Panie! Przysięgam ci uroczyście, że wszystkie te siły, któremi mnie obdarzasz, poświęcę na obronę mojej ziemi i że albo jeszcze ujrzę ją wolną, lub krwią moją użyźnię jej niwy i kości moje położę w jej obronie. — Wszystko co mam, ofiaruję Ci Panie — zostawiam żonę — dzieci — i idę ci służyć Polsko — w imię Boże.

Cała gromadka cicho pogrążona w modlitwie, ze skupieniem wznosiła ducha do nieba — ale kiedy kapitan wyrzekł słowa „zostawiam żonę, dzieci i idę ci służyć" — szesnastoletni Aleksander zerwał się na nogi, wyprostował się i pochwyciwszy leżącą dubeltówkę, przystąpił śmiało do ojca i rzekł:

— Nie sam ojcze pójdziesz i ja tam będę, gdzie nakazuje obowiązek.

— Dobrze — odrzekł lakonicznie marszcząc brwi starzec — tak być powinno.

Po twarzy matki przebiegło coś, jakby lekkie drżenie, ale nie wyrzekła i słowa, złożyła tylko ręce i spojrzała ku niebu.

A w tejże chwili czternastoletni Jaś, na którego nie zwracano uwagi — przystąpił śmiało do ojca, ujął go za rękę i rzekł:

— Trzeci Luboradzki staje do szeregu — rozporządzaj mną kapitanie — a słowa te były wypowiedziane tak stanowczo, że ojciec spojrzał z dumą na młodego bohatera, krew krwi swojej — następnie wzrok skierował na żonę, która stała blada — z sinemi ustami i błagalnym wzrokiem patrzyła w twarz jego; — czuł, że w tem spojrzeniu jest modlitwa błagalna — nadając jednak twarzy

wyraz nieugięty rzekł, kładąc rękę na rozpalonej głowie Jasia:

— Błogosławię cię dziecko moje i pasuję rycerzem w imię Ojczyzny — na jej obrońcę.

Chłopiec, który nie dowierzał szczęściu jakie go tak niespodziewanie spotkało, dumnie podniósł głowę — potoczył wzrokiem po całem zgromadzeniu i widząc matkę drżącą, stojącą opartą o krawędź stolika i wątpiąc o jej zezwoleniu, rzucił się jej do kolan; — matka podniosła chłopczynę — przytuliła go serdecznie do piersi, — wzrok wzniosła ku niebu i cicho wyszeptała:

— Idź dziecko moje! — Idź kochany! — Błogosławię cię na śmierć i życie — na rany i cierpienia i powracaj zwycięzcą z twymi ukochanymi razem. — A gdybyś miał zblednąć wobec śmierci na polu chwały — gdybyś miał się cofnąć przed spełnieniem obowiązku, gdybyś miał stchórzyć — to nie powracaj do mnie — wolę, żeby mi cię przynieśli martwego, niż shańbionego.

— O matko! Czyż możesz to przypuszczać — czyż którykolwiek Luboradzki jest zdolny do shańbienia swego rodu! — O matko, przysięgam ci, że godnym zawsze będę swego ojca, ciebie i mojej świętej Ziemi.

Lecz nie zdołano jeszcze ochłonąć ze wzruszenia, gdy mały, 11-to letni Antoś, który wydawał się wzrostem zaledwie 8-letnim wyrostkiem — wysunął się na środek pokoju — pochwycił ojca za rękę i tłumiąc łzy, wyszeptał:

— Weź i mnie z sobą ojcze.

Teraz na twarzy kapitana odbił się wyraz takiego wzruszenia, że łza zaświeciła w oku, pręga przez twarz zaczerwieniła się, jak wstęga orderu honorowego — pochwycił chłopca w ramiona i głosem stanowczym rzekł:

— Służba! Zostaniesz w domu młokosie! — Nie czas jeszcze na ciebie.

— Nie zostanę! — zawołał zuchwale malec. — Nie zostanę.

Ojciec spojrzał surowo i jeszcze raz zakomenderował:

— Służba! Czy tak wypełniasz rozkazy władzy? — Przedewszystkiem subordynacya — posłuszeństwo winien żołnierz. — Ja, twój kapitan, nie ojciec, rozkazuję ci zostać i być obrońcą domu i twojej matki; — zrozumiałeś żołnierzu — służbę już pełnisz.

— Nie zostanę! Nie zostanę! — wołał uparciuch, bijąc pięściami w poręcz krzesła.

Teraz kapitan najeżył wąsy, twarz przybrała groźny wyraz — wyprostował się i rzekł zimnym stanowczym głosem:

— To nie subordynacya — to bunt! — Antoni Luboradzki, jesteś pod sądem wojennym i wyrok natychmiast zostanie na ciebie wydany. — Janie Luboradzki, jako najmłodszy z zasiadającej tu rady, masz głos pierwszy — oświadcz na co zasługuje żołnierz nieposłuszny swemu dowódzcy w czasie wojennym.

Wszyscy widzieli, że scena przybiera charakter na pół bohaterski, na pół komiczny, ale Jaś na chwi-

lę zamyślał się, jakby rozważał całą odpowiedzialność swego wyroku.

— No cóż — wypowiedz swoje zdanie — rzekł ojciec, uśmiechając się.

— Zasługiwałby na karę śmierci, gdyby już był w mundurze narodowym — teraz zasługuje na medal zasługi.

— Ho! Ho! — Pomału mój paniczu! Medal zasługi trzeba okupić wielką ofiarą, poświęceniem; — nie ważny głos.

— A ty, Olesiu, jakie twoje zdanie.

— I ja się zgadzam na wyrok wydany przez mego młodszego brata na najmłodszego — z tą różnicą, że medal przedwcześnie mu ofiarował — tymczasem ma zostać w domu i wzmacniać siły swoje, by — kiedy nas już nie będzie, stanąć w szeregu.

Kapitan teraz obrócił się do żony i uśmiechając się, zapytał:

— A ty Tereso, co myślisz o tym uparciuchu?

— Ja nie należę do sądu wojennego.

— Dobrze, uwzględniam to — i wydaję ostateczny wyrok bez apelacyi: — Antoś Luboradzki, mianuję cię komendantem placu w Luboradzu, masz pilnować matki — pilnować fortecy Luboradza, bronić go w razie potrzeby — przysposabiać prowianty i żywność, dla armii; dowiadywać się o ruchach nieprzyjaciół i donosić raportami o nich. Masz pyszne zadanie do spełnienia; — a jeżeli wykroczysz jeszcze raz przeciw subordynacyi wojskowej — to sąd już wyda inny wyrok: kula w piersi i wieczna hańba żołnierzowi nieposłusznemu!

Matka pochwyciła chłopaka w ramiona, czule go przycisnęła do piersi i cicho zapytała:

— I cóż?

— Zostanę — wyszeptał malec, kryjąc swoją zarumienioną twarzyczkę na łonie matki.

Brat January stał wzruszony mocno przez cały czas tej familijnej sceny — na twarzy jego malowało się stałe postanowienie czynu — nareszcie nie mogąc wytrzymać dalszej walki z sobą, wystąpił naprzód i rzekł:

— Błogosławiona ziemi, która rodzi takie ziarna, błogosławiony lud, który wydaje takie szczepy! — Bóg widzi te serca — przyjmie ich wonne pragnienia i da zwycięstwo dobrej sprawie. — Panie kapitanie, ubył ci jeden żołnierz z czynnej armii, którego zostawiasz na załodze w Luboradzu, trzeba ten brak zastąpić — na miejsce komendanta Antoniego Luboradzkiego zapisz pod swoją komendę Januarego Pniaka.

— Jak to? — zawołał zdziwiony kapitan — a habit? a święcenia?

Habit noszę wprawdzie należący do zakonu, — ale święceń jeszcze nie odebrałem, mam więc jeszcze prawo rozporządzać swoją osobą — i postaram się o święcenia na polu bitew za Ojczyznę — a krew moja wylana zastąpi święconą wodę i mam w Bogu nadzieję, że z serca płynącą ofiarę moją przyjmie łaskawie!

Kapitan Luboradzki uścisnął rękę Bernardyna i wyrzekł tylko:

— Dobrze — tak być powinno.

Dziwnem się to może wydawać uzdrowienie tak cudowne człowieka przez 3 lata dręczonego reumatyzmem i niejeden z lekarzy potrząśnie może z ubolewaniem głową i z uśmiechem przyjmie to opowiadanie. — A jednak jest to fakt autentyczny nie ulegający zaprzeczeniu — opowiadało mi go kilka osób zupełnie wiarogodnych, którzy znali Klemensa Luboradzkiego przez cały czas choroby i widzieli go potem w mundurze wojskowym.

Jak wytłumaczyć to niezwykłe zdarzenie?

Dla mnie tłumaczenie jest jasne: — ponieważ wszystko jest stworzone dla ducha, nie dla ciała — które jest tylko formą, jaką duch przybiera, wcielając się; — jeżeli duch na jakiś czas straci energię woli, forma sama odczuwa to, niedołężnieje, cierpi i zdaje się być już niezdatną do walki z życiem — ale jeżeli duch wstrząśnięty jakiemś niespodziewanem wezwaniem, otrząśnie się z apatyi, zbudzi się, ożywi energię woli — wówczas i forma życia — ciało — musi być posłuszne i działać pod jego rozkazami. — Bo wszystko stworzone jest dla ducha — nie dla ciała.

Kapitan postanowił natychmiast, — na drugi dzień rano, wyjechać z domu z dwoma synami i bratem Januarym do Warszawy i zgłosić się do Chłopickiego po rozkazy, — zdawało mu się, że każda godzina stracona jest krzywdą, wyrządzoną ojczystej ziemi; — zdawało mu się, że serca całej Polski biją mu do wtóru i czekają połączenia!

Wydał więc rozkazy, aby duża bryka brodzka była gotowa na ósmą godzinę rano: — pogoda była niepewna, nie wiadomo było, czy śniegi nie za-

sypały tak drogi, że na kołach odbyć jej nie będzie można, — puszczać się więc na saniach było również niebezpiecznie, bo zima była jeszcze nieustalona — wydał przeto polecenie, żeby zaprzężono cztery konie do bryki wyładowanej, a cztery wzięto luzem okulbaczone, na wypadek, gdyby ich potrzeba było dosiąść. Postanowiono jechać prawym brzegiem Wisły do Pragi.

Nikt całą noc oka nie zmrużył. Z lamusa wydobywano trochę broni, złożono ją na bryce, w kuchni pani przyrządzała zapasy żywności, — służba się krzątała i już dzień robić się zaczął, gdy kapitan ubrany w lisami podbitą czamarkę, nadzianą na stary mundur wojskowy, z synami postrojonymi również w barankowe czamary, z Januarym przebranym po cywilnemu, był gotów do drogi.

Ale stary szlachcic nie myśli się puścić w podróż pierwej, zanim zwyczajem swoich przodków, nie złoży podziękowań Bogu za cud dopełniony nad nim, — dopóki nie poleci opiece Boskiej domu, a nadewszystko nie zaniesie modłów do Stwórcy o błogosławieństwo dla sprawy, której się poświęcił.

Bardzo więc rano, bo zaledwie dzień się zaczął robić, zawiadomiony ksiądz w kościółku miejscowym, odprawił cichą Mszę św. na intencyę rycerzy, a służyli do niej brat January jeszcze w habicie bernardyńskim, a kapitan w mundurze, z krzyżem na piersiach, z całem skupieniem ducha, reszta familii i gromada chłopków z Luboradza na klęczkach słuchali nabożeństwa.

Wieść o cudownem wyzdrowieniu kapitana już się rozeszła po wsi i ci włościanie, którzy przez

trzy lata widywali go tylko albo w krześle siedzącego nieruchomo, lub zwolna przechadzającego się przy pomocy kija, poznali potęgę woli Bożej, potęgę ducha i kornie chylili głowy.

Nabożeństwo się skończyło, — pleban przeżegnał zgromadzonych, — rzucił krople święconej wody na pochylone głowy i wzniósłszy oczy do nieba wyszeptał:

— Idźcie rycerze Boży — idźcie tam, gdzie was wzywa obowiązek. Bóg doda wam aniołów, którzy się opiekować będą wami i powrócą was wolnymi do wolnej ziemi, — a jeżeli inne wam naznaczy losy i polegniecie dla niej lub otrzymacie rany, — Bóg to policzy i zmarnowanem wasze życie nie będzie.

Przed kościółkiem czekała cała gromadka włościan, — kobiety — nawet dzieci, nie zważając na dotkliwe zimno, stały jakby zasłuchane w jakąś pieśń — milczenia, a jednak głośno uderzającą z serca. — Wszystkie głowy odkryły się, gdy ci nowi rycerze wychodzili z kościoła, wszystkie czoła pochyliły się.

Kapitan powiódł wzrokiem po zgromadzonych cicha zaduma osiadła mu na czole, — potoczył okiem po wzgórzach okolicznych, po drzewach, które razem z nim wzrastały, po otoczeniu swego dworku, w którym się rodził; — teraz żegnał się z tem wszystkiem; za chwilę jednak czoło jego rozchmurzyło się: — może się zrodziło przypomnienie, że przed laty, przed dawnemi laty jeszcze jako niedorostek opuszczał również te same progi, pełen nadziei świetnych, spiesząc do Legionów we

Włoszech! — W jednej chwili przesunęły się przed jego oczyma przestrzenie, które przebył: Apeniny — Alpy — Moskwa — Berezyna — Lipsk — batalie, w których brał udział, zwycięstwa liczne i klęska — jedyna, — usłyszał huk wystrzałów, poczuł zapach prochu, tętent jazdy, grzmot armat! — To wszystko przeszło — minęło, a on wyszedł cało i powrócił w rodzinne progi, może da Bóg, że i teraz nie będzie inaczej — może jeszcze ujrzy swój pochylony dworek, swoją świętą żonę i ukochanego syna. Energia rozlała się na twarzy starca, — otrząsnął się i po wojskowemu robiąc zwrot do ludu, rzekł:

— Dzieci moje kochane, — ludu mój dobry, — nadeszła chwila, w której nam się potrzeba pożegnać. Nie uciemiężałem was, — nie przeciążałem pracą, starałem się być waszym ojcem, — opiekunem. — Czy ma kto do mnie z was jakie żale? — Czy nie czuje się kto pokrzywdzonym? — Przebaczcie mi, jeżeli by tak było.

Cichy jęk rozległ się w tłumie, łzy pokazały się na oczach przytomnych, — starsi gospodarze zbliżyli się i otoczyli kołem starca — młodzież i kobiety cisnęły się dokoła, — nikt jednak nie przerywał tej uroczystej ciszy.

— No, jakże, bracia moi — mówcie śmiało.

— Panie nasz i ojcze! — Bóg widzi nasze serca, a w nich niema nienawiści, byłeś nam ojcem, a jeżeliś karał to sprawiedliwie!

— Tak zawsze starałem się postępować, — a teraz odjeżdżając, — zapowiadam wam, że święta sprawa Ojczyzny potrzebuje waszej pomocy, wa-

szych rąk, waszej krwi — życia nawet! — Każdy, kto dobrowolnie zaciągnie się na ochotnika do wojska zostanie właścicielem ziemi, którą obecnie posiada, — ten, który jej niema, dostanie wydzielonych dziesięć mórg; — ten, który będzie ranny, zabezpieczenie starości, — a ten, który polegnie, zdobędzie zbawienie i łaskę Bożą.

Zdziwienie ludu objawiało się z początku cichem milczeniem, — ale wkrótce podniósł się szmer — a po nim odezwały się krzyki radosne:

— Panie mój — panie nasz — wszyscy pójdziemy za tobą!

— To za wiele, moje dzieci, — ci tylko pójdą co mogą, a inni zostaną na obronę wsi, zostawiam wam moją starą, wierną towarzyszkę życia, — zostawiam wam moje najmłodsze pisklę, Antosia, bądźcie im przychylni i czuwajcie nad niemi, a słuchajcie tego komendanta małego, bo jego tu robię zastępcą..

Ludzie spojrzeli na dzieciaka, ten zaś stał dumnie, podnosząc głowę i spoglądając po tłumie.

Bryki zaprzężone stały gotowe do drogi, podwodne konie parskały, grzebiąc kopytami, jednemu z nich miejscowy kowal przypasowywał ostatnią podkowę, kapitan miał się już zbliżyć do żony która stała milcząca, blada jak posąg z marmuru kanabryjskiego, opierając rękę na ramieniu najmłodszego syna i zamyślonym wzrokiem wodząc po licach ukochanych.

Proboszcz gotował się jeszcze parę słów wygłosić pożegnania, — gdy wtem niespodziewanie przed

kościół wtoczyły się małe łubowe sanki, zaprzężone w jednego konia.

Szkapa cała mokra, pomimo zimna oblana potem, robiła bokami od zmęczenia; saneczki małe drewniane pokryte były tylko jednym, plecionym z rokiciny półkoszkiem, na którym spoczywała wiązanka grochowin, związana powrósłem: zatrzymały się przed kościołem wśród powszechnego śmiechu wieśniaków, zakłócającego tę uroczystą chwilę. Ze sani zeskoczył żyd, broda jego pokryta szronem starości i soplami lodu, rozczochrana, spadała na piersi, kożuch barani, na którym miał chałat — czarny, zniszczony, ściągał pas czarny, bawełniany, czapka lisia, z dużemi na uszy w tej chwili pospuszczonemi klapami, przywiązanemi pod brodę, zakrywała prawie twarz. — Żyd raźno wyskoczył ze sanek, chciał zmarzłemi rękami odwiązać tasiemki, przytrzymujące czapkę, lecz zdrętwiałe palce odmówiły posłuszeństwa, — węzeł zamiast się rozwiązać, mocniej się zacisnął, a czapka cała zsunęła się na twarz przybyłego, z pod której mu tylko wyglądał nos, siny od zimna.

Żyd długo usiłował zdjąć przykrycie z głowy, lecz nie udawało mu się — śmiech pomiędzy młodzieżą chłopską wzmagał się, i zaczęły się sypać dowcipy:

— Szloma — zawołał jeden z parobczaków — zdejmcie głowę, to i czapkę łatwiej wam będzie zdjąć!

— Albo zawołajcie kowala, to wam szczypcami za nos wyciągnie głowę z czapki.

Kapitan spojrzał na zgromadzonych i natychmiast ucichły dowcipy.

Lud nasz ma to w naturze swojej, że wśród najpoważniejszej chwili nie zapomina o żartach. — Szloma, pachciarz z Luboradza, od lat już dawnych zasiedziały we wsi, — znał wszystkich — przyzwyczajony był do żartów i zupełnie się nimi nie obrażał.

Przez niego sprowadzane były wszystkie sprawunki na potrzebę dworu, przez jego ręce przechodziły wszystkie jaja, masło, cielęta, rodzące się na wsi, on był dostawcą nowin i zastępował gazetę.

Żyd spojrzał na zgromadzony lud, na stojące wypakowane gotowe do drogi bryki, na podwodne konie, na kapitana w mundurze i synów jego przybranych do drogi, — a zdoławszy nareszcie pokonać opór czapki, zdjął ją i zbliżając się do kapitana, rzekł:

— Wielmożny dziedzicu — jadę z Wyszogrodu, miałem tam na sprzedaż parę cieląt.

— A dajże mi teraz spokój z twojemi cielętami, co mnie to obchodzi.

— Wielmożny dziedzicu, na to kura grzebie, żeby co wygrzebała i biedny żydek musi żyć.

— Wiem o tem — zawołał zniecierpliwiony kapitan — co ważniejszego masz mi do powiedzenia?

— Wielmożny dziedzicu, te rozbójniki Moskale zabrali mi moje cielęta i dali kilka razy w kark, oj! oj!

— Gdzież są Moskale? — zapytał zaciekawiony kapitan.

— Wielmożny dziedzicu, oni uciekają z Warszawy ze swoim Kostusiem, — a po drodze gdzie kogo mogą obdzierają, — zabierają szlachtę na drodze, o której miarkują, że się zbiera do wojny; — sam widziałem jednego szlachcica, oj! oj! jaki szlachcic, grojse szlachcic, przykutego na łańcuchu do armaty i prowadzonego piechotą, mówią, że to jakiś Łukasiński.

Wiadomość ta była bardzo ważna, — książę cofał się ze swoimi pułkami, które tak lekkomyślnie wypuszczono z Warszawy, — mogąc je zabrać jako trznadle w potrzask — przeprawiwszy się na prawy brzeg Wisły, długo się namyślał, jaki obrać kierunek odwrotu.

Umową zawartą we Wierzbnie miał zapewniony spokojny odwrót z granic królestwa, — ale to tylko ze strony Rządu Narodowego: — najprostszem było na Litwę wprost rejterować, — ale doniesiono mu, że na tej drodze wszędzie tworzą się gromady powstańców, że, nie zważając na umowę, partyzanci łatwo mogą mu przeciąć odwrót i zabrać do niewoli. Wahał się więc, czy nie lepiejby było prawym brzegiem Wisły uciekać do Prus i w tym kierunku zrobił kilka marszów; rozniosło się to i wieść, że zabiera po drodze obywateli **niebłagonadiożnych**, rozbiegła się szybko.

Kapitan spostrzegł, że ze swoimi towarzyszami może wpaść w łapkę i dostać się do niewoli, pierwej zanimby rozpoczął działać, — trzeba więc było albo zatrzymać się, aż się przewali nawała wojsk moskiewskich, lub obrać inną drogę dostania się do Warszawy.

Czekać — ani przez chwilę nie mógł się zdecydować na to; każdą godzinę straconą uważał za przestępstwo. Niedługo namyślając się, zapytał jednego z najstarszych chłopków:

— Czy Wisła stoi już?

— Nie, Wielmożny Panie — kra idzie całem korytem.

— Gęsta?

— Dosyć gęsta, bo już zatrzymuje się przy brzegach.

— Ale będzie można pośród niej przedostać się Bartłomieju?—zapytał kapitan starego chłopa, doświadczonego przewoźnika na Wiśle.

Stary wystąpił naprzód, — zniszczony kożuch barani, opasany rzemiennym pasem i takaż czapka, okrywały go, — pokłonił się i odrzekł:

— Wielmożny kapitanie, — przy pomocy Boga to i przez ogień piekielny dusza przejdzie.

— Wiem o tem — ale przez Wisłę czy będziemy się mogli przeprawić?

— Trzeba zaczekać trochę, to i Wisła stanie, ma się na mróz.

— Nie gadaj mi o tem stary, ja muszę zaraz dostać się na lewy brzeg Wisły, — muszę — rozumiesz?

— Ha, toć możemy i próbować, — duża łódź wyciągnięta jest na brzegu, trzeba będzie ją spuścić.

— Weź stary trzech pomocników, opatrz dobrze łódź i przygotuj ją do przeprawy jak najprędzej.

— Ale Wielmożny Panie, przecież nie z końmi i bryką myśli się pan przeprawiać?

— Ani mi to w głowie, konie podwodne wrócą do stajni i bryka z nimi, — my zabierzemy tylko broń i trochę żywności; jest nas pięciu — rachując mego służącego, was ilu siądzie do łodzi?

— Zabiorę tych trzech, to mi i będzie dosyć, damy sobie jakoś radę.

— Klemensie — rzekła, zbliżając się żona, — czy nie za wiele ryzykujesz, — czy przeprawa jest możebna?

Kapitan obrócił się do wybladłej kobiety — czułym wzrokiem obrzucił tę ukochaną towarzyszkę życia i odrzekł:

— Widziałaś Teresiu, prawie cud, jaki Bóg nademną dopełnił, powracając mi tak niespodziewanie zdrowie, nad którego reperacyą napróżno pracowało tylu doktorów! — Czy myślisz, że On to zrobił bez wyraźnego celu? — On wskazuje mi drogę czynu, a robotnik, który leniwi się w wypełnieniu rozkazów gospodarza, zasługuje tylko na pogardę. — Ale bądź spokojna, moje dziecko, Wisła w tym roku zamarza przy małym poziomie wody, kra idzie spokojnie, przewoźnicy są ludzie doświadczeni, wszystko się odbędzie dobrze przy pomocy Boga, a zwlekać nam w pomocy Ojczyźnie w takiej chwili nie wolno!

Stanowczość charakteru postanowień kapitana, pomimo wyczerpującej choroby, znana była zanadto żonie i wszystkim obecnym, żeby ktośkolwiek poważył się stawiać opór.

— Ale przecież zaczem łódź wyszykują możecie jeszcze wstąpić do domu i przyjąć jaki posiłek na drogę.

— Nie, Teresiu moja, kiedym opuszczał progi mojego domu, poprzysiągłem sobie, że powrócę doń, albo wolnym obywatelem, lub wcale nie powrócę.

Udano się całą gromadą na brzeg Wisły szeroko rozlanej w tem miejscu, — baby i dzieciaki ze wsi nie oddaliły się do domów, ale postępowały za innymi.

Nad brzegiem rzeki, na piaszczystem wybrzeżu leżało kilkanaście łodzi, przewróconych do góry dnami, podpartych na okrąglakach od spodu.

Wybrano z nich łódź największą, przy pomocy chłopów przewrócono ją, zgarnięto śnieg i zaczęto opatrywać starannie — łódź jednak okazała się niezdolną do przeprawy, bo nietylko tramy bali były porozpuszczane — ale pokazało się, że stara łódź, załatana już dawniej deską, tak spróchniała, iż nowej łaty przybić nie można było.

Kapitan sam doświadczonem okiem ocenił niemożliwość użycia do drogi tego statku.

— No co, stary Bartku? — co mówisz o tej łodzi, czy będzie mogła nam służyć?

— Nijak nie — Wielmożny Panie — stare próchno nie da się zreperować.

Kapitan niecierpliwie targnął wąsa.

A jednak ja dzisiaj muszę być koniecznie na lewym brzegu, chociażby nam przyszło wśród kry przebierać się na małych łódkach każdemu z osobna.

Przewoźnicy stali zafrasowani, bezczynni.

— Wielmożny Panie kapitanie — rzekł Bartek, obracając się doń, — tam opodal leżą dwie

krypy, które przyszły z Buga z popiołem prowadzonym do Gdańska; — zima flisów zaskoczyła tutaj, — wrócili więc do domów, wyładowawszy popiół, a i krypy wyciągnęli na brzeg — na takiej dużej krypie to galanto by się można przeprawić.

— Dawaj je tu — zawołał kapitan uradowany.

— Ale to cudze — nie mamy do tego prawa — rzekł Pniak.

— Ojczyzna w niebezpieczeństwie ma do wszystkiego prawo, co się znajduje w jej łonie, — krypę zabieram w imię tych praw — a właścicielowi jak się zgłosi, każę wartość jej zapłacić sowicie. — Pójdźmy tam.

Brnąc po śniegu, dobito się nareszcie do leżącej krypy. Był to statek ogromny, zbity z grubych dębowych bali, połączonych skoblami żelaznymi. — Krypy takie budują tylko jeszcze nad brzegami Bugu, bo na zbudowanie ich potrzeba olbrzymich drzew dębowych, których niestety już w owym czasie brakowało bardzo. — Na Podlesiu jeszcze tylko można je było znaleść.

Krypa taka dostawszy się z Bugu na Wisłę i oparłszy się aż o Gdańsk, nie powraca już, bo holowanie pod wodę takiego ciężaru — za kosztowne.

Właściciel, którym pospolicie był żyd kupiec, spławiający potaż i dziegieć do Prus — nie złe jednak robi interesa, bo bale dębowe, które odbyły jedną tylko ryzę — rozebrane w Gdańsku miały wielki pokup na budowę okrętów holenderskich-żaglowych.

Jedna z dwóch kryp pokazała się doskonale odpowiadającą swemu przeznaczeniu, przewrócono

ją, starannie opatrzono klamry, pakułami poubijano szpary, które kobiety, z bliskich chałup, ochotnie ofiarowały i podkładając okrągłe walce, zrobione naprędce ze wziętych z płota żerdzi, wspólnemi siłami zaczęto tratwę pchać do brzegu rzeki, czynność ta odbywała się dosyć łatwo, brzeg w tem miejscu płaski, piasczysty, nie przedstawiał wielkich trudności.

Kapitan ze swoją świtą ani na chwilę nie odstępowali pracowników, wydobyto baryłkę wódki z kryki i kielich na rozgrzanie poszedł kolejką między chłopów, spełniony najpierwej przez kapitana i jego otoczenie.

Nareszcie dopchano statek do wody, — brzeg rzeki, miałki w tem miejscu, już pokryty był cienkim lodem, dosyć nawet mocnym i tak ślizkim, że krypa dostawszy się nań przodem z łatwością posunęła się jak po mydle i znalazła się na wodzie.

Poznoszono broń, — zapasy żywności niewielkie i równie niewielkie łuby podróżne.

Nastąpiła straszna chwila pożegnania ukochanych. — Na widok żony bladej jak płótno, a wyniosłej jak statua kobiety, opierającej się na ramieniu małego Antosia, jedynego syna, który przy niej pozostawał, którego konwulsyjnie cisnęła ku sobie, wiedząc, że to jest ostatni jej skarb, który jeszcze posiadać może, — serce kapitana zmiękło jak u dziecka. — Spojrzał na żonę, na ostatnią latorośl swoją, na stojących u boku jego dwóch synów, idących na straszną walkę — na chwilę zatrzymał się, jakby się wahał wsiąść do łodzi — ale wzruszenie to panowało tylko na moment. Przycisnął żonę do

piersi gwałtownie, złożył pocałunek ostatni na jej ustach i spiesznie chciał się usunąć, — kobieta jednak bezwładna zawisła na jego ramionach. — Aleksander i Jan rzucili się do jej kolan, a Antoś chwycił ojca za nogi i płacząc, całował je.

Starzec podniósł do piersi małego chłopaka, — przez chwilę wpatrywał się w jego jasne oczy — jakby z nich wyczytać chciał jego przyszłość; — wzrok, jaki odpowiedział na jego pieszczotę snać zadowolnił go — bo serdecznie go ściskając, rzekł:

— Dziecko moje drogie, pisklę ukochane — zostawiam cię jedynym gospodarzem domu, opiekunem matki, mam wiarę, że godnie spełnisz ten obowiązek; — błogosławię cię, przyszły rycerzu i obrońco naszej ziemi! Pamiętaj, że jesteś Polakiem i synem moim, to znaczy człowiekiem przeznaczonym do walki i gotowym na wszelkie poświęcenia.

— Na to wszystko ojcze, na śmierć i męki! — wyszeptał z płaczem Antoś.

Łzy stały w oczach zgromadzonego ludu i ciche jęki kobiet odzywały się dokoła.

— No, na tratwę! — zakomenderował kapitan gromkim głosem, w którym znać było ostatni wysiłek woli.

Na ten głos synowie oderwali się od uścisków matki i spiesznie spełnili rozkaz. Kiedy wszyscy znaleźli się już na pokładzie, słońce właśnie wyjrzało z za chmury i promieniami swemi ozłociło głowy bohaterów.

Czterej przewoźnicy pod komendą Bartka wybrali z płota kilka żerdzi, które miały służyć za

wiosła i do odpychania lodów, a pożegnawszy się wstąpili na krypę: powietrze było po burzliwej nocy spokojne — kra, zwolna płynąc po piasczystym brzegu, wydawała głuchy szum, trąc się jedna o drugą.

Stojący na brzegu ludzie, przypatrywali się w milczeniu odpływającym: — z początku wszystko zdawało się zapowiadać pomyślną przeprawę — krypa pchnięta silnemi żerdziami odsunęła się o kilkanaście kroków swobodnie — gdy niespodziewanie przód jej uderzył o ląd i zatrzymał się nieruchomy. — Wisła, ta stara arystokratka, jak zwykle wszystkie arystokratki, ma pełno fantazyi i zmiennego bardzo jest humoru. Często zmienia swoje prądy, a nawet całe łożysko: — tam gdzie dziś jest głębia, za kilka dni, przy jakimś nowym przyborze wody, formuje się wyspa piasku — a tam, gdzie była niedawno mielizna, tworzy się głąb. — Znają to doskonale nadbrzeżni mieszkańcy i flisacy i dla tego letnią porą, kiedy statki płyną po niej, przed każdym z nich musi płynąć retman na małem jak koryto czółenku i zielonemi gałęziami, zatykanemi w ziemię, wskazuje drogę prądu.

W tem miejscu właśnie o kilkanaście kroków od lądu, zaczął się tworzyć tak nazwany przez flisaków **hak piaskowy**; krypa uderzyła o niego i stanęła nieruchoma, jakby wmurowana.

Przewoźnicy, utkwiwszy żerdzie w ziemi, całych sił używali, żeby tratwę zepchnąć z „haka“, ale usiłowania ich wszystkie okazały się bezskutecznemi.

— Do drągów! Wszyscy! — zakomenderował kapitan — i cała załoga pochwyciła żerdzie, a wszystkich dziesięć osób połączyło siły, aby zepchnąć statek na wodę.

Napróżno — wszystkie usiłowania nic nie pomogły. — Od brzegu byli już oddaleni o kilkanaście sążni, przed nimi toczyła się kra biała w potrzaskanych kawałkach białych, jakby stado owiec na polanie. — Zgromadzona ludność na brzegu rzeki, widząc próżne usiłowania, stała milcząco, bezradnie. Pani Luboradzka i Antoś z zapartym oddechem śledzili wysiłki przeprawiających się.

Po półgodzinnym trudzie opadły im ręce, pot oblewał czoła, ale widoczne już było, że zepchnięcie krypy z „haku" nie uda się: — uwięzieni, jak na wyspie, odcięci od lądu wąskim przesmykiem — stanęli, naradzając się, co dalej robić.

Tymczasem na lądzie, najpierwej ciche dorady, a teraz już głośne uwagi słychać było:

— Nie zradzą, — rzekł jeden ze starszych flisaków — krypa powaliła się jak niedźwiedź na haku i tak już pozostanie do wiosny aż Wisła puści.

— No, a ludzie z niej co zrobią z sobą? — zapytała jedna z kobiet.

— No, ludzie muszą czekać, aż Wisła stanie zupełnie, — ma się na mróz, bo się iskrzy słońce, — przez noc ustali się lód i jutro rano dostaną się do lądu.

Osada krypy nabrała tego samego przekonania jeszcze raz rzuciła się do żerdzi, jeszcze raz wysiliłą wszystkie muszkuły rąk i nóg. Krypa wpraw-

dzie drgała i chwiała się, ale stała na miejscu: — pokazała się stanowcza niemożebność dalszej przeprawy.

Wysmukły parobczak, stojący na brzegu, bywalec na Wiśle, mówił do otoczenia:

— Żeby tak **szrykami** ją podważyć od tyłu, toby i chlusnęła w wodę — hak tam jest mały, bo się dopiero zaczął tworzyć, a woda, podpływając spodem krypy, **zendruje** sobie przejście.

— Toby trzeba wleźć po pas w wodę — odrzekł starszy flisak — a ty kiedy tak radzisz mądralo, to popróbuj kąpieli.

— Gdybym miał tylko towarzyszy do pomocy, to zobaczylibyście.

— Ho, ho, jaki mi zuchwały retman.

— Retman nie retman, ale pomoc dać potrzeba wojakom koniecznie — odrzekł dumnie chłopak. To mówiąc, spojrzał po zgromadzonych; dwóch jeszcze parobczaków przysunęło się do niego, okazując ochotę do pracy.

— A ty Baśka, nie przyniosłabyś kiecki i nie spróbowała kąpieli ze swoim narzeczonym — rzekła, śmiejąc się stara baba.

— Nie wydrwiwajcie sobie Wojciechowo — odparła Baśka — jak potrzeba będzie to i my dziewuchy pójdziemy.

— Co nie mamy iść — odezwały się inne — nie daleko do chałupy, to się osuszymy, jak powrócimy, ale i was Wojciechowo wypławimy potem galanto.

Mowa chłopaka, która go zrazu naraziła na drwiny, teraz zaczęła przybierać realniejsze kształty — widoczne było, że pomiędzy ludem jest kil-

ku ochotników, potrzeba tylko było jeszcze iskry, żeby zapaliła tę ochotę.

Wtem z łodzi dał się słyszeć potężny głos brata Januarego.

— A czy to tam nie ma pomiędzy wami chrześcijan i nie poratuje nikt swoich braci!?

— A widzita — zawołał Marcinek, który pierwszy podał myśl ratunku — tam panowie czekają naszej pomocy, — dalej do żerdzi! — to mówiąc i nie zwracając uwagi na to, czy go kto będzie naśladował — pochwycił silną żerdź z płota — podniósł poły kapoty i już był gotów: — przykład jego w jednej chwili zapalił innych, kilkunastu chłopów, a między nimi i stary flisak, który z początku naigrawał się z projektu Marcinka, teraz poszedł za jego przykładem, — wybrał kół dębowy duży i razem z innymi gotował się do wyprawy — ale obejrzał się naokoło i rzekł:

— Trochę nas za mało, bo tylko siedmiu, a krypa ciężka, jakby naładowana kamieniami.

— No to i ty Baśka, szykuj się — odezwała się naśmiewając się, stara Wojciechowa, markotna na nią, bo kiedyś Baśka odmówiła ręki jej synowi.

— O wej! Straszne mi rzeczy — odrzekła dziewczyna, a pomoc jej mogła się bardzo przydać, gdyż potężne ramiona i rozwinięte plecy muszkułów, przedstawiały jakby kamienną karyatydę; to mówiąc, zerwała żerdź z płota i stanęła wśród ochotników, — przykład dziewczyny, zawstydził tych, którzy się jeszcze wahali i niedługo większa połowa zgromadzonych, uzbrojona w żerdzie, postąpiła ku rzece. Pierwszy Marcinek, przy nim

Baśka wstąpili we wodę, przeżegnawszy się pierwej pobożnie.

Woda sięgała prawie do pasa, małe kawałki drobnej przy brzegu ostrej kry, ocierając się o nogi, boleśnie je kłuły.

— Bywajcie bracia — wołał rozradowany January — dalej, śmiało, do drągów.

Przybyli na pomoc nie potrzebowali tej zachęty; kiedy im tylko pierwsza fala zamoczyła nogi już się nie wahali, wnet przebrnęli małą przestrzeń, dzielącą ich od tratwy i uszykowawszy się w dwa szeregi z obydwóch stron łodzi, podważyli ją. — Osada krypy ze swej strony dołożyła także ramion — wspólne siły połączone prawie w jednej chwili podniosły tratwę: — najpierwej zachwiała się, zadrżała, jakby zdumiona odwagą tych ludzi i nareszcie długo się nie opierając, przebyła hak i znalazła się na prądzie wody.

—Wiwat! — krzyknęła osada statku — wiwat! — powtórzyli ratujący i jak który mógł najspieszniej wydostawali się napowrót na ląd, zadowoleni ze siebie.

Baśka w swojej wełnianej kiecce, z której strumieniami ciekła woda, najtrudniejszy miała powrót do chałupy. Wojciechowa już nie szydziła z niej, zbliżyła się nawet i wyżymała jej zmoknięte spódnice.

Nie zatrzymywano się dłużej na brzegu, każdy pospieszał do najbliższych chałup, żeby się osuszyć i ogrzać.

Lud potrzebuje tylko dobrego anioła — natchnienia, a spełni każdy czyn heroiczny.

Krypę zwolna zaczęła unosić fala, — wśród zmęczonej osady panowało przez długą chwilę uroczyste milczenie, — pierwszy je przerwał kapitan, mówiąc jakby sam do siebie:

— Co to za lud! Z takim ludem o wszystko pokusić się można!

— Byle go tylko umieć użyć — byle umieć przemówić do jego serca — odrzekł Pniak.

— Niestety! Dotąd my tego nie umieli — wyszeptał najstarszy syn kapitana, Aleksander.

— Ale zrobimy to, jak wybijemy się na wolność — rzekł Jan.

— Nie tak, moje dzieci — czekać nie trzeba na tę chwilę, ale natychmiast uwłaszczyć chłopów i zrobić obywatelami kraju — odrzekł pan Klemens.

Krypa tymczasem znalazłszy się na głębokim prądzie wody, co chwila uderzana kawałami kry płynęła z jej biegiem, na szczęście prąd kierował się ku lewemu brzegowi rzeki, na razie więc wysiłki flisaków nie były potrzebne, praca ograniczała się tylko do odpychania żerdziami większych kawałów kry, które leniwie niosła woda co chwila marznąca.

Pomiędzy krą jesienną i wiosenną jest ogromna różnica; — o ile wiosenna przy nagłem rozpuszczaniu się lodów, z łoskotem łamiących swoje zwierciadlane więzy, jest buntownicza, brutalna, jakby nożem świece przecinająca słupy drewniane — nie znająca żadnych zapór — niszcząca wszystko i unosząca z sobą jakby łupiny orzechów chaty i olbrzymie topole nadbrzeżne, — o tyle jesienna kra, zasypiającej w letargiczny sen wody-rusałki.

jest cicha, spokojna, jakby już na pół uśpiona, — pokrywająca na długie miesiące jej kryształowe strumienie, a w nich miliony istot bożych, które skazane są na nieoglądanie światła aż do czasu, kiedy wiosenny promień słońca roztopi te okowy, uniesie je do morza, a fale wolne swobodnie nieść znowu będą na swojem łonie krocie korcy pszenicy, całe zaś lasy tratew z drzewem i rybakom dadzą znowu sposobność do tropienia bezpiecznych dotąd pod puklerzem lodu mieszkańców wodnych.

Załoga łodzi odpoczywała teraz — flisacy posiadali na brzegach tratwy i bacznie tylko pilnowali, żeby większe kawały kry niezbyt napierały na płynącą łupinę.

Na krypach takich jest zawsze letnią porą przygotowane gliniane ognisko, na którem flisy gotują sobie strawę — teraz przy tak nagłym pośpiechu zapomniano tego urządzić, nie przygotowano ani ogniska, ani drzewa, wkrótce też dał się czuć chłód, lecz łagodny wiaterek nie zwiększał go, a promienie słońca neutralizowały zimno.

Prąd do pół rzeki kierował się ciągle ku lewemu brzegowi, ale tu kapryśna Wisła, zrobiła powolny zwrot na prawo i łódź długo płynęła środkiem jej, jakby szerokim gościńcem.

Słońce już nawróciło się z południa — zimowy dzień krótki zaczynał się już mroczyć, gdy Wisła znowu zmieniła kierunek prądu ku prawemu brzegowi — flisacy spojrzeli po sobie, potrząsnęli głowami, a jeden rzekł:

— Matka niesie nas znowu ku domowi.

— Chciałbyś się już dostać pod pierzynę!

— A tak — odrzekł drugi, — lecz odwróci się ona znowu niedługo na lewo i zaniesie nas na Włocławek.

Spróbowali wydobyć śię z głównego prądu rzeki, wszystkie jednak usiłowania mały odnosiły skutek, mrok tymczasem zapadał i kiedy ostatnie promienie słońca gasły, krypa znowu znalazła się niedaleko prawego brzegu, ale o kilka już mil od Luboradza.

— Co dalej będziemy robić?! — zapytał January siedzącego kapitana.

— Trzeba nam się uzbroić w cierpliwość i czekać aż znowu prąd zwróci się ku lewemu brzegowi.

— To takim sposobem my tu gdzieś zanocujemy na Wiśle.

— Więcej jak pewno, że tak będzie — odrzekł, uśmiechając się kapitan — lepiej było w klasztornej celi, księże January.

— Nie jestem księdzem, panie kapitanie, ale żołnierzem pod twymi rozkazami i ceratowych z flanelą kaftaników nie noszę, odparł trochę zirytowany Pniak.

Kapitan spojrzał na mówiącego, ale nie rozgniewał się tym przycinkiem i odrzekł:

— Obydwaj spełniliśmy swą powinność, ty rzuciłeś ciepłą celę klasztorną, a ja moje powijaki — nie mamy sobie nic do wyrzucania.

Tymczasem zapadła noc cicha, miesięczna, wydobyto zapasy żywności, w które pani Luboradzka nie zapomniała zaopatrzyć załogę, spełniono po kielichu kartoflanki, zakąszono na pół zmarzniętym

chlebem i kiełbasą — potem wydobyto krótkie fajeczki i puszczano z nich kłęby dymu.

Fajeczki wygasły wkrótce — kapitan powstał i obracając się do obecnych, rzekł:

Podziękujmy Bogu za opiekę dotąd nam udzieloną i prośmy go o błogosławieństwo dla dobrej sprawy, dla której pracujemy — i zaczął potężnym głosem śpiewać cudnie piękną pieśń, stworzoną przez wieszcza z Czarnego lasu:

„Kto się w opiekę poda Panu swemu!” itd.

Pieśń wśród ciszy wieczornej, rozlegała się wspaniale. Krypa znajdowała się właśnie naprzeciw jakiejś wsi, w oknach tam się już świeciło, a na głos pobożnej pieśni ludzie powybiegali z chałup i ciekawie przyglądali się płynącym — niektórzy nawet, sądząc, że krypa wylądować ma przy brzegu, pobiegli po powrozy, żeby je im podać.

Krypa jednak ku wielkiemu ich zdziwieniu nie okazywała bynajmniej zamiaru lądowania, — pomału, poważnie, wraz z płynącą krą, przesunęła się koło wsi i płynęła dalej z nurtem wody.

— Co to jest? — pytali mieszkańcy wioski.

— A Bóg ich wie, co to za jedni i gdzie płyną.

— Czy oni wśród lodów chcą dopłynąć do Torunia?

— A może i do Gdańska.

Śmiali się i powrócili do ciepłych ognisk.

Tymczasem noc się już zrobiła zupełna — powietrze, które dotąd było łagodne, zwilżyło się, zaczął padać drobny deszczyk, a że schronienia żadnego przed nim nie było na krypie, wkrótce wszystkie ubrania nasiąkły wilgocią, nabawiającą dreszczów—

brano się więc bez potrzeby do żerdzi i starano się rozgrzać, rozpychając krę. — Długa noc zdawała się nie mieć końca, nikomu jednak na sen się nie zbierało; nad ranem przestał padać deszcz, zaczął chwytać przymrozek, niedługo podłoga łodzi i wiosła olodziały, — odzież zupełnie zesztywniała i serdeczne zimno pochwyciło w swoje objęcia płynących. Jak to przewidzieli przewoźnicy, Wisła znowu zrobiła zwrot na lewo i kra wraz z łodzią znalazła się na środku rzeki, a następnie bardzo powoli, lecz ciągle zaczęła się przybliżać do brzegu, — już też i pomroki nocne zaczęły się rozjaśniać; słychać było pianie kogutów w nadbrzeżnej wiosce, a nawet w jednej z chałup zabłysło światełko, znać że gospodarz wstał, żeby podać karmę bydełku lub narznąć sieczki.

Wszyscy z niecierpliwością wyglądali poranku, nareszcie upragniony świt pokazał się, łódź znajdowała się już niedaleko brzegu, płynęła wolno z krą, — coraz bliżej była upragniona ziemia i można było mieć nadzieję wylądowania — ale stary flisak, stojący na przodzie z żerdzią w ręku, bacznie zaczął się wpatrywać w płynącą na przodzie krę, doświadczone jego oko poznało, że prąd wody odbity od brzegu, niedaleko robi gwałtowny zwrot i znowu kieruje się ku środkowi.

— A żeby wciurności nadały taką robotę — zaklął — my znowu płyniemy do prawego brzegu! Dalej wszyscy do wioseł i pchajmy się do lądu.

W jednej chwili pochwycono żerdzie, zanurzono w wodzie, a że nie było głęboko, oparłszy je, do lądu zawrócono.

Wkrótce krypa uderzyła potężnie dnem o przeszkodę i raptem, jak koń, zdarty munsztukiem jeźdźca, zatrzymała się w miejscu.

Flisacy spojrzeli po sobie, pokiwali głowami, a jeden z nich rzekł:

— Tu nam trzeba wylądować, bo by nas znowu uniosła fala.

Do brzegu było może 10 do 12 kroków — brzeg już był omarznięty, ale lód kruchy, bo łamał się pod uderzeniem żerdzi — nie było jednak rady, trzeba było natychmiast działać.

Przewoźnicy nie namyślając się, podkasali kapoty i wyskoczyli na lód, który zatrzeszczał pod ich ciężarem i zaczął się łamać, ale woda sięgała tylko nieco wyżej kolan.

Kapitan uśmiechnął się do swoich synów.

— No chłopcy, teraz i nam trzeba spróbować przeprawy, — dalej śmiało.

To mówiąc, skrzesał ognia, zatlił hubkę i zapaliwszy fajkę wszedł do wody; za nim postępował Aleksander i Jan a aryegardę stanowił January.

Wydostano się na ląd z tej kąpieli; miejsce było samotne, zaciemnione drzewami, ale o kilkaset kroków zaczął pies szczekać i przez gałęzie drzew ujrzano zabudowania ludzkie.

— Chwała Bogu — nie zmarzniemy — zawołał January.

Wszyscy spiesznie, nie zatrzymując się ani na chwilę, ociekając wodą, zbliżyli się ku zabudowaniom: — była to karczma stara, stojąca nad brzegiem rzeki, przeznaczona dla wygody flisaków w

czasie letniej spławy, brzeg piaszczysty wybornie nadawał się do zatrzymywania tratew, berlinek, szkut; gospodarz karczmy letnią porą ciągnął duże zyski od płynących. — Gospodarzem był żyd, który od niepamiętnych czasów arendował tę karczmę.

Mieszkańcy karczmy już zaczęli wydobywać się z betów, już rozniecono ogień na dużym kominie, stary arendarz, nadziawszy na czoło modlitewne przybory, w kącie izby kiwał się, odmawiając pacierze — gdy drzwi otworzyły się i do izby wtłoczyła się cała gromada ludzi, ociekających wodą.

Niespodziany ten napad z początku przeraził mieszkańców — nie umieli go sobie wytłómaczyć.

— No żydzie, dawaj wódki — zawołali flisacy, bo nam kulasy poodmarzają.

Żyd odwrócił się, bacznie spojrzał po tłumie, a widząc pomiędzy przybyłemi czterech ludzi przyzwoicie ubranych, uspokoił się i szybko zbliżając się do szynkwasu, zapalił łojową świeczkę, wydobył butelkę i nalewając, rzekł:

— Dlaczego nie mam dać — niech panowie piją na zdrowie.

Flisak najstarszy wziął kielich łapczywie i już go miał podnieść do ust, ale w tej chwili zmiarkował się i zbliżając się do Luboradzkiego, rzekł:

— Niech pan kapitan napije się na zdrowie.

— Dobrze, mój stary, kieliszek gorzałki nie zawadzi po takiej kąpieli — kielich obszedł koleją wszystkich; — tymczasem na glinianej podłodze karczmy zrobiła się kałuża błota od ociekającej wody z ubrań.

Każdy więc czemprędzej zaczął zdejmować zmokłą odzież; na komin dołożono drzewa, ogień buchnął wspaniale, a przed nim suszyły się zmarznięte ubrania.

Żyd pomiarkował się, że to nie są prości flisacy — dlatego krzątał się, nadskakując: — wydobył stare zeschłe bułki, postawił duży słój z marynowanymi śledziami, jakiś ser żółty od starości i rzekł:

— Niech wielmożni panowie spożywają na zdrowie.

— Dobrze panie arendarzu, daj co tylko masz do jedzenia — za wszystko ci zapłacimy — rzekł kapitan.

Żyd uradowany, pogłaskał brodę i ciekawie zapytał:

— A skąd to, jeśli łaska panowie.

— Co ci do tego, dawaj jeść, co masz.

— A możeby jajecznicę sporządzić — zapytała żydówka.

— Dawaj ją tu! to mi właśnie specyały — zawołał kapitan uradowany.

— A ile jaj rozbić?

— Ile masz tylko, widzisz, że tu jest nas sporo.

Żyd policzył oczami przybyłych.

— To może całą kopę jaj rozbić?

— Chociażby i dwie, damy temu radę!

— Ale jaja teraz drogie — kosztują po trojaku każde.

— Nie marudź do licha — zawołał kapitan — niechby były i po dukacie.

Żydzi usłyszawszy te słowa — poznali z kim mają do czynienia. Zaraz też z alkierza żydówka wyniosła faseczkę jaj, postawiła dwie miski, na ogień zaś dwie rynki, podpuściła smalcem i wkrótce rozkoszny zapach cebuli, nakrajanej na tłuszcz, mile łechtał podniebienia.

Tymczasem odzienia parowały, przed ogniem wysychając.

Wesołość nastąpiła ogólna — lekceważąc wspominano przebyte niebezpieczeństwa.

— Daleko stąd do Warszawy?

— Oj! Oj! będzie dobre 10 mil.

— Potrzeba nam furmanki dobrej.

— Nu! a skąd ją wziąć.

— Z pod ziemi wykóp — a furmanka być musi.

— A ile wielmożny pan da?

— Dam, co uczciwie się należy.

— Mam jednego konia i bryczkę małą.

— To nam się na nic nie zda, potrzeba wielkiej bryki, albo poprostu dużego woza drabiniastego, wysłanego słomą i dobrych parę, albo więcej koni.

— Ja nie mam takich.

— Wiem o tem, ale tu są zapewne chłopi, co je mają i wynajmują się do wożenia; — a jak się ta wieś nazywa i do kogo należy?

— To jest Wólka, a należy do Tokar, do Jaśnie Wielmożnego pana Dębowskiego.

— Do Dębowskiego, a to wybornie, stary kolega z Hiszpanii — a daleko do Tokar.

— Będzie z pół mili Wielmożny Panie.

— A pan Dębowski jest w domu?

— Niema, już kilka dni temu wyjechał do Warszawy.

— Ale kto go tam zastępuje?

— Jest sama pani — jest rządca — jest ekonom.

Kapitan zamyślił się chwilę — następnie wyjął notatnik, wydarł kartkę i śpiesznie coś na niej napisawszy, rzekł:

— Tę kartkę zanieść mi natychmiast do dworu.

— No, a kto zaniesie?

— Kto zaniesie, ten dostanie dobrą zapłatę.

— To chyba ja sam wsiądę na moją kobyłę i pojadę.

— Jak ci się podoba — tylko prędko.

Żyd wywlókł jakąś starą kulbakę, spiesznie się przybrał do drogi i nadspodziewanie dobrze dosiadłszy konia puścił się w drogę.

Tymczasem zaciekawiona żydówka, sprzątając misy próżne, nieśmiało zbliżyła się do kapitana i zapytała:

— To Wielmożny Pan jedzie do Warszawy?

— No tak; — a cóż tam słychać w Warszawie?

— Oj! Oj! Tam sądny dzień się dzieje, tam panowie pobili Moskali i ci już się z Warszawy wynieśli, ale mówią ludzie, co oni będą porywać żydziaków i palić wsie i rabować.

— A wam bardzo żal Moskali.

— Niech ich tam cholera zatrzaśnie, czego mamy żałować? Oni nam porywali dzieci i na prawosławie przerabiali — niech oni zdechną pierwej, zaczem powrócą.

— To żydki im nie będą pomagać?

— Ktoby im pomagał, niech tego Bóg ukarze — tam w Warszawie tak się ich trupy walały po ulicach, co i psy ich nie chcieli wąchać! — Oj waj! Co tam krwi popłynęło! Ale czy oni nie powrócą, Wielmożny Panie?

— Jak się wszyscy weźmiemy za ręce — szlachta, chłopi, żydzi nawet, to ich przepędzimy za dziesiąte morze — a jak raz przepędzimy to i nasienia po nich nie zostanie.

— Wielmożny Panie, a czy chłopi pójdą?

— A ty jak myślisz?

— Ja miszlę, co oni, żeby im darować pańszczyznę, toby wszyscy, jak są, poszli.

— A żydki co myślą robić, czy pójdą także na Moskali?

— No, proszę Wielmożnego Pana, mój tam nie pójdzie, bo już stary, ale są inni, co pójdą.—Mówią ludzie, że nasi rabini nakazują iść, kto może.

— To dobrze, moi ludzie — jak wypędzimy Moskali wszystkim będzie lepiej.

Żydówka pokiwała głową i nieśmiało rzekła:

— Obiecują panowie, my im wierzymy — dla czego nie mamy wierzyć — ale chłopi to są mądrale, im trzeba nie obietnic, ale zaraz dać do ręki.

Flisacy, którzy się przysłuchiwali tej rozmowie, spojrzeli po sobie i nic nie mówiąc uśmiechali się tylko. — Arendarz sprawił się dzielnie — dotarł do Tokar, kartkę oddał samej pani, dostał złotówkę za drogę. — Pani Dębowska natychmiast rozkazała zaprządz 4 konie do ogromnej bryki, wy-

słać ją dobrze słomą i sianem i wyprawiła do Wólki, oddając ją do dyspozycyi kapitana, nakreśliła też kilka słów życzeń i żalu, że kapitana osobiście poznać nie może.

Bryka zaprzężona w dzielne konie, zatrzymała się przed karczmą.

— W drogę nam czas chłopcy — a wy poczciwi moi ludzie, coście mnie przeprawili przez Wisłę, macie każdy po dukacie, wracajcie do domu, jak Wisła stanie, albo zupełnie puści.

— Zostajcie z Bogiem.

Flisacy uścisnęli kolana panów.

— No, teraz obrachujemy się, panie arendarzu.

Żyd wziął kredę, zaszwargotał parę słów z żoną i rzekł:

— Wielmożny kapitanie — pan idzie na wojnę — to już ja tam drogo nie będę rachował panu tego, coście spożyli: — za jajka nie będę rachował po trojaku, ale tak jak mnie samego kosztują po jednym groszu a i za wódkę i za śledzie tak samo, — to mówiąc, zaczął pisać kredą cyfry, które mu dyktowała żona — rachunek cały wynosił 8 złotych polskich groszy 11.

Kapitan, zapłaciwszy rachunek, podał rękę żydowi. Żyd, nie przyzwyczajony do podobnego obejścia, zdziwiony spojrzał na szlachcica i pokornie ucałował podaną rękę.

Wyruszono w podróż, — konie wypoczęte parskały i wnet ruszyły z miejsca, uwożąc czterech bohaterów. Droga podmarznięta, nie stanowiła przeszkód, raz tylko ujechawszy 8 mil, zatrzymano się

przed karczmą dla wytchnięcia koni. W karczmie napotkali jakiś oddział żołnierzy spieszących do Warszawy — radość odbiła się na twarzach wszystkich, rubaszne żarty żołnierskie z dziewuchami i śpiewki wojskowe rozlegały się — wszyscy, widząc kapitana w mundurze i domyślając się celu wyprawy, przyjaźnie nań spoglądali.

Nareszcie bryka zbliżyła się pod Warszawę; wieczór był, ale z okien oświetlonych, błyszczących widać było, że Warszawa jeszcze nie śpi, że czuwa.

W Warszawie.

Przez rogatki Marymonckie wtoczyła się bryka na bruk warszawski. — Ną przedmieściu tem było jeszcze dosyć cicho, ale kiedy zbliżono się ku ulicy Freta, to już życie kipiało całym warem. Lubo wieczór był dosyć zimny, trotoary zapełnione były przechodniami, często też można było usłyszeć brzęk szabli o kamienne płyty: — zbliżono się ku Podwalowi, i tu w jednym hotelu na tej ulicy zatrzymano się. — Aleksander i Jan pierwszy raz byli w Warszawie, ale stary pan Klemens i January znali ją dobrze: — pierwszy jeszcze z czasów księstwa; — obydwom przypomniała inne wspomnienia: kapitan pamiętał ją pełen żałoby, kiedy jeszcze z armią polską wracając z Francyi, prowadził zwłoki bohaterskiego księcia Józefa do ojczystej ziemi. Pamiętał hece parad W. Księcia na Saskim placu, dla których porzucił służbę wojskową, nie chcąc służyć pod rozkazami na pół komedyanta. a na pół dzikiego Księcia Konstantego.

Pniak, chłop z pochodzenia, przypomniał znów sobie, jak za młodu zostawszy sierotą, znalazł przytułek w konwencie księży Bernardynów na Krakowskiem Przedmieściu, — przypomniał sobie lata spokojnie przepędzone w tych murach, gotowanie się do stanu duchownego i pokusy, które go napadały. — A oto teraz uległ im, zrzucił habit klasztorny i przystroił się w mundur żołnierza, — coś jakby wyrzuty sumienia, zaczęło mu dolegać, czy dobrze zrobił, — czy jest na właściwej drodze; — postanowił jutro zaraz jak najraniej iść do księdza gwardyana i uspokoić swoje wątpliwości, — czuł jednak to stanowczo, że kość już losu rzucona, że cokolwiekby usłyszał, nie cofnie się już z nowej drogi, nie zdejmie munduru żołnierza, obrońcy ziemi rodzinnej.

Wynajęto dużą izbę w hotelu na Podwalu; z powodu wielkiego zjazdu nie było więcej wolnych; — dwa tylko były w niej tapczany, dwa więc jeszcze materace rozciągnięto na ziemi, które zajęli młodzi Luboradzcy, — kapitan i Pniak rzucili się na tapczany: — nic dziwnego, natura swoich praw się domagała, spędzili dwie noce bezsennie, umordowali się strasznie podróżą nocną na krypie — przeziębieni, nie spożyli nawet pokarmu, — a sen jedynem był ich pragnieniem, które nareszcie spełnić było im dane.

Kapitan wprawdzie chciał zaraz udać się do miasta na zwiady, lecz zastanowiwszy się, uznał, że po tylu latach nieobecności nie łatwo mu będzie odszukać znajomych, — postanowił więc do dnia

następnego być cierpliwym; — sam zaledwie wyszedłszy z choroby, chwiał się jeszcze na nogach — a chłopaki jego byli także fatalnie umęczeni; — jeden Pniak mógł był jeszcze dotrzymać placu, lecz i jemu w ciepłej stancyi oczy zaczęły się kleić i w pół godziny po przybyciu wszyscy zasnęli snem błogosławionych.

Na drugi dzień jednak wczesnym rankiem obudził się najpierw kapitan — przetarł oczy: — przez chwilę zdawało mu się, że śni jeszcze — on, który wegetując w Luboradzu wyglądał tylko spokojnej śmierci, złamany chorobą, teraz czuje się zdrów i silny; wyprostował członki i zerwał się z posłania.

Więc to nie sen — nie marzenie — on zdrów — ochoczy — czuje siły powracającej młodości, więc jeszcze ręka jego uchwyci szpadę i poprowadzi swój oddział do walki śmiertelnej.

— Boże jakżeś Ty dobry! — zawołał z uniesieniem i padłszy na kolana pogrążył się w modlitwie.

Chłopaki pobudzili się także i wraz z Pniakiem naśladowali starego wojaka.

— Chrześcijanin rozpoczyna wszystkie czynności z Bogiem, pójdziemy do kościoła najpierwej, podziękujemy Mu za łaskę, jaką na nas zesłał, a następnie zajmiemy się pracą — rzekł kapitan, ubrał się w swój stary, wyszarzany mundur, przypasał szpadę i w towarzystwie dwóch synów i ex braciszka udał się do kościoła księży Bernardynów.

Pomimo tego, że godzina była dość wczesna, w kościele już było pełno ludzi a pomiędzy nimi nie

brakło i wojskowych: konfesyonały, przy których słuchano spowiedzi, oblężone były po większej części przez kobiety i żołnierzy.

Ojcowie Bernardyni cieszyli się wielką sympatyą mieszkańców Warszawy, przodowali im wprawdzie Kapucyni w patryotyźmie, ale kościółek ich mały przy ulicy Miodowej nie mógł pomieścić tłumów ludu; zapełniała go przeważnie arystokracya.

Przed paru dniami rozeszła się wieść fatalna, czy wiarygodna, trudno zawyrokować — być może, że w niej była część prawdy, — a mianowicie twierdzono, że księża Misyonarze na Krakowskiem Przedmieściu nie chcą dawać rozgrzeszenia żołnierzom, którzy złamali przysięgę carowi i przeszli do szeregów buntowników — oburzenie więc na ten Zakon było powszechne wśród ludności Warszawy.

Wiadomo było, że księżna Sawicka, żona W. księcia Konstantego, była szczególniejszą opiekunką i dobrodziejką tego klasztoru, że go obsypywała darami hojnymi — być może więc, że jakiś niedojrzały umysł, fałszywie pojmując obowiązki obywatela, nie mający wiary w przyszłość, odezwał się na kazaniu nieprzyjaźnie o ruchu narodowym, — a przy zapalnem usposobieniu ówczesnem ściągnął na klasztor nienawiść ludu; jeżeli tak było rzeczywiście, to był tylko wyjątek, do którego przywiązywać znaczenia nie wypada!

Przed jednym z bocznych ołtarzy u Bernardynów klęczał pogrążony w głębokiej modlitwie oficer w mundurze ułańskim, czoło jego wzniesione ku niebu, wzrokiem pełnym zachwytu, promieniało cichą modlitwą. Luboradzki spojrzał przelotnie na

niego: zdała mu się jakaś twarz znajoma, nie rozpatrując się jednak bliżej, ukląkł obok niego z obu synami i Pniakiem.

Są pisarze i dużo ich jest nawet, którzy starych żołnierzy z armii Napoleońskiej przedstawiają jako libertynów, hulaków, jedynie jako rębaczy bez trwogi i Boga — błędne to jednak ocenienie, — jeżeli byli rzeczywiście pomiędzy nimi ludzie bez religii, to jednak przeważna część była głęboko wierząca i pełniąca ściśle obowiązki dobrych chrześcijan.

Msza skończyła się, zaczęto wychodzić z kościoła, wysłuchawszy krótkiego patryotycznego kazania; — teraz przed kościołem już, kapitan jeszcze raz spojrzał na ułana, — pamięć rozświetliła się nagle i zbliżając się wyciągnął rękę do dawnego znajomego kolegi.

— Franusiu! Toż ja cię widzę znowu po tylu latach!

Oficer ułanów spojrzał w twarz witającego i przypominając sobie widocznie, wyciągnął również rękę i odrzekł:

— Kapitan Klemens Luboradzki?

— Ten sam zawsze, a ty kniaź Ogiński-Kontrymowicz.

— Witaj kolego kochany — odrzekł kniaź i rzucił się w ramiona witającego.

— Ileż to lat my się nie widzieli?

— Około piętnastu zapewne!

— Ale niechże cię armata!... Wybornie wyglądasz kniaziu.

— Trzymam się jak mogę, — ale ty za to Klemensie wychudłeś jak sztokfisz — wyglądasz, jak wyciśnięta cytryna!

— Ciężką przecierpiałem chorobę: przez trzy lata prawie nie wychodziłem z pokoju i wyobraź sobie na wieść, że naród powstał, choroba w jednej chwili mnie opuściła, wstałem jak Łazarz z grobu.

Ułan spojrzał uważnie w lica mówiącego i odrzekł:

— Bóg z grobu nawet powołuje swoje sługi na usługi wolności; — a kto ci dwaj młodzieńcy?

— To moje chłopaki obydwa — przywiozłem ich, żeby stanęli do szeregu.

— To dzieciaki jeszcze, za młode to jeszcze orlęta!

— Mam już lat 14 — odezwał się zaczerwieniony Jaś — umiem dobrze strzelać i nie zlęknę się.

Starzy żołnierze spojrzeli sobie w oczy porozumiewająco i uśmiechnęli się z zadowoleniem; chwilowe zapanowało milczenie; wreszcie przerywając je kniaź, rzekł:

— Mój jedynak niema jeszcze dwóch lat, bawi się jeszcze blaszaną szabelką — co za szkoda, że nic starszy! Co za szkoda!

— I na niego kiedyś przyjdzie pora — odrzekł Luboradzki, — co tu słychać Franusiu — dawno tu jesteś?

— Bawię już od kilku dni, przyjechaliśmy razem z pułkownikiem Piotrem Rogójskim, znasz go?

— To ten, co pod Saragossą, został na wylot przestrzelony?

— Ten sam.

— No i co słychać? Co się robi? — Jakie plany na przyszłość?

Ułan smutnie zamyślił się na chwilę — potem odrzekł:

— Zapał między ludem wielki — wszyscy gotowi pochwycić za broń — armia i młodzi oficerowie pełni zapału — starsi trzymają się w rezerwie — ale co najgorsze to, to... że cały ruch starają się zwrócić na układy dyplomatyczne.

— Co! Co? Czy oni oszaleli! Czy oni nie znają Mikołaja? Na co oni liczą?

— Właśnie liczą na Mikołaja — chcą, żeby król Polski Mikołaj konstytucyjny bił się, a raczej układał z despotycznym carem Mikołajem.

— Ależ to absurd! On król konstytucyjny! On nienawidzi konstytucyi, onby ostatniego żołnierza poświęcił, żeby ją zdławić i nie dopuścić tej zarazy w granice swojego cesarstwa.

— Podzielam twoje zdanie, Klemensie, niestety wielu ludzi wpływowych, na których czele stoją książęta Lubecki i Czartoryski, są przekonani, że to jest jedyna droga wyjścia.

— A Chłopicki? Nasz dzielny generał? On co mówi na to?

— Chłopicki wścieka się, serce go ciągnie do poprowadzenia armii na pole boju — a dyplomaci wylewają nań ciągle kubły zimnej wody. Stary niecierpliwi się — waha raz w tę, drugi raz w drugą stronę — to niezdecydowanie drażni go i przyprowadza czasem do szału — nic jednak jeszcze nie zadecydowano.

— Gdzie idziesz Klemensie?

— Pragnę właśnie iść do Chłopickiego; przedstawić mu się z moimi chłopakami i czekać rozporządzenia.

— Ha, to pójdziemy razem, bo i ja miałem w tej samej myśli tam się udać.

Dom doktora Malcza, gmach imponujący, stał na samym środku Krakowskiego Przedmieścia — stanowił jakby olbrzymią barykadę na środku ulicy, którą w tem miejscu ucieśniał bardzo, przegradzając od ulicy Bednarskiej, tworzącej małą wąską uliczkę poprzeczną. — W nim to znajdowała się kwatera generała Chłopickiego: — przed frontowemi drzwiami przechadzał się żołnierz na warcie z karabinem na ramieniu.

W pierwszym pokoju, do którego weszli nowoprzybyli, znajdowało się kilku sztabs-oficerów i kilkunastu młodszych stopni, — kilku cywilusów i parę kobiet; — z drugiego pokoju dochodził gwar głośno prowadzonej rozmowy. Generał był dnia tego w najgorszym humorze — a w tej chwili znajdował się na audyencyi u niego Henryk Dębiński, kapitan dawnych wojsk Napoleońskich, który — dotąd oddając się gospodarce w swej wsi rodzinnej Sędziejewicach, przybył właśnie do Warszawy i oświadczył chęć formowania pułku ochotniczego z okolicznych włościan.

— Dajcie mi pokój z waszą ruchawką! To psu na buty się nie zda, wykarmienie takiej hołoty więcej by mnie kosztowało, niż to wszystko warto! — dawał się słyszeć gromki głos Chłopickiego.

— Ależ generale! — mówił Dębiński również prawie podniesionym głosem. — Mamy się bić, to

się bijmy, oprzyjmy się na ludzie, on nie zawiedzie. Wezwijmy do powstania Litwę, Podole, Wołyń, Ukrainę...

Na te słowa stary generał zerwał się ze stołka na którym siedział, do twarzy buchnęły mu płomienie krwi, oczy zapałały — potężnie uderzył w stół pięścią i głosem takim, jakby komenderował pułkiem wśród walki, zawołał:

— Co! Co! I wy starzy żołnierze dajecie mi taką radę! Wy chcecie mi narzucać krocie bezwartościowej ruchawki, poruszyć gniazda rezunów ukraińskich, uzbroić ich może w noże i wypuścić na rzezie szlachty — zerwać ostateczne nici układów z Moskwą, które nas jedne mogą przyprowadzić do zwycięstwa drogą ugody? Nie — nigdy! Dla Wołynia, Podola, Ukrainy i Litwy nie mam jednego karabina, nie dam jednej skałki!

Dębiński stał milczący i spokojnie wpatrywał się w rozognioną twarz generała, nareszcie, gdy się ten trochę uspokoił, rzekł:

— Więc generale nie liczysz nic na zapał ludu, nie pragniesz wielkiej o wielkie rzeczy wojny?

— Co ty myślisz, stary kamracie — że te tłumy przydadzą się na co? — To ruchawka bezwartościowa! Dajcie mi sto tysięcy starego, doświadczonego żołnierza, a wówczas zobaczycie, jak im skórę wytrzepię! — Ale z woluntarami — nie, nigdy próbować nie będę — umyję od wszystkiego ręce i usunę się.

Dębiński spostrzegł, że na teraz wszelkie przekonywania zacnego uparciucha nie doprowadzą do niczego, — ukłonił się więc po wojskowemu i wy-

szedł. — Nie spojrzał nawet po zgromadzonych w pierwszym pokoju, trzasnął tylko drzwiami odchodząc.

Teraz wsunęła się do gabinetu jakaś dama, cała czerwono ubrana, w jedwabnej sukni. — Kiedy drzwi się za nią zamknęły Luboradzki nachylając się do Ogińskiego, zapytał:

— Kto to jest?

— To hrabina Wąsowiczowa, mająca wielkie wpływy nad starym kozłem, i nieznacznie prowadząca go do stronnictwa dyplomatów.

— Skaranie Boże z temi babami!

Hrabina wszedłszy do gabinetu generała przez chwilę przypatrywała mu się z czułością, poczem wyciągnęła rękę, na której stary złożył pocałunek i rzekła:

— Znowu widzę cię wzburzonym, generale — wyglądasz jak piwonia! To źle — oszczędzaj swoje zdrowie, bo kraj w tobie tylko podporę i słońce zbawienia widzi.

Generał posadził nowoprzybyłą na taborecie, przez chwilę milczał, a następnie siadając sam, rzekł:

— Cierpliwość moja wyczerpała się.

— Której masz taką ogromną dozę — rzekła, żartując kobieta.

— No, mała, czy duża, to już trudno na to poradzić; — ale wyobraź sobie hrabino, że nietylko zapaleńcy z młodzieży, ale moi starzy koledzy — ludzie doświadczeni, którzyby powinni mieć rozum; wszyscy oni pchają mnie do rozpoczęcia wojny olbrzymiej, do pomszczenia zabranych prowincyi, u-

zbrojenia chłopów i tym sposobem uczynienia niemożebnymi wszelkich układów! — Co oni myślą, że wojna z Rosyą to bagatela? — Dobrze — rozpoczniemy walkę, położymy ich sto tysięcy, oni postawią drugie sto tysięcy, trzecie, dziesiąte, a my co?

— A więc może było lepiej nie ruszać się i nie psuć dobrych stosunków?

— Bez wątpienia, że byłoby lepiej — ale zapał młodzieży obalił wszystko i postawił sprawę na ostrzu miecza.

— A więc nic nie pozostaje, jak układy, jak poddanie się na łaskę i niełaskę?

— O nie, tak nie jest! Układy prowadzić potrzeba, ale z bronią na ramieniu — nie przyprowadzać rzeczy do ostateczności! — Książę Lubecki i Jezierski mają ogromne wpływy w Petersburgu. Lubecki przedstawi Mikołajowi wszystkie konsekwencye, zachwieje jego energię, bo zręcznie, ale stanowczo pokaże mu, że zezwolenie jego na układy jest zarówno korzystne dla Rosyi jak i dla Polski.

— A jeżeli pomimo tego car na to nie zwróci uwagi?

— No, wtenczas — zawołał stary generał — zagramy z innej karty — wtenczas stoczymy batalię i położymy pięćdziesiąt tysięcy trupa! Tego wymaga nasz honor i zaczniemy traktaty na nowo — ale zawsze traktaty — traktaty tylko nas ocalić mogą.

Nie słychać było, co mu na to odpowiedziała hrabina, rozmowa dalsza prowadzona była cichym głosem a wkrótce potem drzwi się otworzyły, Chło-

picki wyprowadził ją do drugiego pokoju i pożegnał.

Spojrzał po zgromadzonych w poczekalni, wzrok swój dłużej zatrzymał na Luboradzkim i skinąwszy mu głową zaprosił do swojego gabinetu.

Luboradzki wszedł w towarzystwie synów. Teraz generał podał mu rękę i zapytał głosem żołnierskim:

— Poznałem cię stary kolego po tylu latach nie widzenia! Co cię sprowadza do nas? A to kto te dzieciuchy?

Chłopaki zaczerwienili się i spojrzeli po sobie.

— Stawiam się, generale pod twoje rozkazy i przyprowadzam ci dwóch moich synów, którzy pragną włożyć mundury żołnierskie.

— Ależ to dzieciaki — zaprowadź ich lepiej do szkoły pijarskiej, niech się uczą gramatyki łacińskiej!

Teraz już Aleksander nie mógł się pohamować; oblany gorącym rumieńcem oburzenia, postąpił krok naprzód i łamiąc wszelkie przepisy subordynacyi wojskowej i nie zważając na wysoki stopień osoby, do której mówił, rzekł:

— Generale, młodzi obaj jesteśmy, to prawda, ale tyś nam dał przykład, ty nas nakłoniłeś do czynu, naśladujemy ciebie tylko!— Nie starszy byłeś od nas kiedy udałeś się na Wołoszczyznę, a potem wstąpiłeś do legionów.

Chłopicki bystro spojrzał na mówiącego, wspomnienie to znać przyjemne odnowiło mu obrazy, obrazy pierwszej młodości, bo na twarzy jego rozlało

się coś, jakby rozrzewnienie, jakby tęsknota za przeszłością.

Klemens Luboradzki przeraził się śmiałością syna, i sądził, że generał wpadnie w gniew — ale sprawa przybrała inny kierunek. Generał zbliżył się do Aleksandra, położył rękę na jego głowie i następnie uściskał go serdecznie, poklepał po ramieniu Jasia i rzekł:

— Szczygły bezwąse — zachciało wam się pięknego munduru — szabelki — konika? Dobrze, może wyjdziecie na ludzi — a obracając się do ojca rzekł, zmieniając ton mowy:

— Kapitanie Luboradzki, mianuję cię majorem i przeznaczam na formowanie 18-go pułku piechoty, który formuje się w Lipnowskiem. — Weź te poczciwe ptaszęta pod swoją komendę i poprowadź ich na pole sławy. — Dawno ci się należał ten stopień, a mam nadzieję, że jeszcze i pierś twoją ozdobi krzyż zasługi.

Ta niespodziewana zmiana w usposobieniu generała była widocznie wywołana wspomnieniami młodości, które mu tak śmiało przypomniał młokos. Pożegnał majora, który wyszedł rozpromieniony. — Z kolei wszedł kniaź Ogiński-Kontrymowicz.

— A ty czerwony kniaziu, co nam powiesz dobrego, czem ci mogę służyć?

— Czekam rozkazów twoich generale.

— W Sandomierskiem formuje się pułk kosynierów, sztyftuje go swoim kosztem Małachowski — potrzeba tam doświadczonych ludzi, bo tę wszystką zbieraninę w ryzach trzymać potrzeba; syn

Małachowskiego, Juliusz, zapalona głowa — bądź mu doradzcą — tam cię przeznaczam!

— Jam kawalerzysta — zrobił uwagę kapitan.

— To kłusem poprowadzisz swoją komendę kosynierów na wroga, rzekł Chłopicki i skłonił głowę.

Kapitan odkłonił się i nie mówiąc więcej, wyszedł. — Niesprawiedliwość mu się działa: on stary żołnierz, kawalerzysta, przeznaczony został do piechoty, bez podwyższenia stopnia — ale mąż to był dla którego osobiste sprawy nie istniały: — służyć Ojczyźnie zawsze i wszędzie było celem jego życia — dla tego nigdy nie dążył do zaszczytów, a skromnie poprzestawał na pełnieniu obowiązków dobrego Polaka.

Luboradzcy czekali w drugim pokoju na jego wyjście.

— Winszuję ci majorze stopnia tak zasłużonego — rzekł kapitan, wychodząc i ściskając rękę Klemensa.

— A ty Franusiu, czyż jeszcze dla ciebie nie nadeszła chwila zapłaty?

— Przeznaczył mnie do piechoty, mnie, starego ułana, zsadził z kulbaki! — Niebardzo mi się to uśmiecha!

— A awans?

— Zostałem przy moim stopniu kapitana, mam krzyże „Virtuti Militari” i „Legii honorowej” to dosyć, to wystarczy, żeby być zadowolonym.

— Stary zapomniał się widocznie — ale u niego przeznaczenie do piechoty jest już awansem —

kawalerye wiesz, że lekceważy — u niego grunt to bagnet, a nie szable.

Wszyscy czterej wyszli na Krakowskie Przedmieście — na ulicach spotykali mnóstwo młodzieży, poprzybieranej w świetne mundury co najmniej podporuczników, nikt ich nie mianował, nikt im nie naznaczał rang, i trzeba było rzeczywiście skromność ich podziwiać, że poprzestawali na randze podporuczników a nie poprzypinali sobie szlif pułkowników.

Brzęk szabel, rozpuszczonych na długich temblakach, uderzających o trotoary, rozlegał się wesoło — zamaszyście, dumnie roiła się młoda wiara, na której piękne mundury czule spoglądały urocze Warszawianki.

Teraz major z synami przypomniał sobie, że jeszcze nie jedli śniadania.

— Wstąpmy gdzie Franusiu i wypijmy po szklance kawy, bo i ty zapewne jeszcze na czczo?

— Zgadłeś majorze — niedaleko stąd na Podwalu jest sławna kawiarnia Honoratki; wstąpmy, tam się gromadzi cała młodzież.

Tymczasem przed kamienicą Malcza, kwaterą Chłopickiego, zgromadził się tłum rozmaitej młodzieży, pomiędzy, którą nie brakowało i wojskowych junaków i śpiewał niekoniecznie harmonijnym głosem:

Nasz Chłopicki wojak!
Dzielny! Śmiały!
Poprowadzi naszych zuchów
W pole zwycięstw! chwały.

Huk armat, szczęk pałaszy!
Brodaczów wnet wystraszy!
Hej! bracia w imię Boże!
Bóg nam dopomoże!
i t. d.

Niespodzianie wyszedł ze drzwi kwatery generalskiej adjutant i gromkim głosem zawezwał tłum, żeby się rozszedł:

— Generał nie życzy sobie takiej kociej muzyki!

Tłum posłuchał niechętnie rozkazu, ale, rozchodząc się, wielu jeszcze nuciło dalsze zwrotki popularnej piosnki.

Wszedłszy do Honoratki, mieszczącej się w dwóch dużych ciemnych pokojach parterowych, nic zrazu rozeznać nie można było, gdyż kłęby dymu z fajek tak zaciemniały powietrze i tworzyły takie obłoki, że zdawało się, iż niepodobieństwem żyć w takiej atmosferze.

Obydwa pokoje napełnione były po brzegi: — nowoprzybyli zaledwie zdołali znaleźć jakiś wolny stolik, przy którym zasiedli.

Nie pytając, zgrabna kawiarka, podała im natychmiast fajki na długich cybuchach z piórkiem na końcu, nabite wonnym „dreikenigiem".

Był to już zwyczaj i dodatek do kawy.

Uszy napełniał gwar rozmów, sprzeczek, niekiedy nawet gwałtownych sporów: — kiedy oczy po jakimś czasie przyzwyczaiły się do ciemności zaczęli nasi nawzajem rozpoznawać postacie: dostrzegli, że publiczność jest bardzo różnorodna, byli tu akademicy, podchorążowie — cywilni, książęta nawet; — ale Luboradzki został prawdziwie

zdziwiony, zobaczywszy w mundurze generalskim Umińskiego! Dzielny ten człowiek, nieustraszony żołnierz, lubiący jednak demokratyzować się, uciekłszy z więzienia Prusakom, gdzie był trzymany jako obwiniony o zamiary buntownicze, przed paru dniami przybył do Warszawy. Lubił on się mieszać w tłumy, jak Krukowiecki, — słuchać mów, ognista jego natura paliła się jak smolna pochodnia do czynu! Bezczynność — mawiał — to śmierć — czyn to życie godne człowieka.

Luboradzki znany był generałowi, nie zbliżył się jednak do niego zaraz, chcąc pierwej zbadać, jaką on tu odgrywa rolę.

Pomiędzy zgromadzonemi osobami zwracał szczególną uwagę na siebie człowiek, którego wygląd dziwny stanowił obraz.

Niewielkiego wzrostu, ubranie zaniedbane, bardzo szczupły, z zapadniętą piersią, twarz porysowana ogromnymi dzióbami po ospie — oczy blade, jakby zaszłe maślanką, ruchy spokojne; czoło miał nadzwyczaj wysokie, na które padały promienie pokudłanych, nieczesanych włosów. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że to jakiś krawiec, lub inny jaki rzemieślnik, który wszedł do knajpy po bezsennie, na hulance spędzonej nocy i teraz dokończa swej drzemki.

Jakże by się omylił ten, ktoby tak ocenił tego człowieka: — pozory były tu tak zwodnicze, tak wielkość duszy i umysłu różniły się od wątłej postaci, że forma, w którą się wcielił duch jego zdawała się najnieodpowiedniejszą swemu zadaniu. Kto bowiem drugi raz spojrzał na tę zagadkową postać

— nie mógł już od niej oczu odwrócić: człowiek ów był brzydki jak Mirabeau, zaniedbany jak Morat, a jednak imponował obecnym i kiedy odezwał się, wszystkie głosy milkły, wszyscy z uwagą słuchali słów jego. I wnet nikła jego brzydota, twarz opromieniała się zapałem, porywał swoim zamglonym wzrokiem, potęgą słowa i darem przekonywania.

Był to człowiek, kto wie, czy nie jedyny, który najjaśniej widział położenie rzeczy — którego głęboki umysł odgadywał przyszłość — podawał środki ratunku, wskazywał je — wielkim głosem wstrząsał publiką i chciał ją prowadzić do zwycięstw! Ale to był głos wołającego na puszczy, znano go, podziwiano — mała garstka uwielbiała go — większość nienawidziła.

Kierunek, który chciał nadać powstaniu, był jedyną drogą do osiągnięcia celu.

Nie zrozumiano go — nie słuchano.

Oplwano — spotwarzono i była chwila, że życie swoje ocalił tylko ukrywając się przed rozszalałym tłumem — obwiniony, iż jest jurgieltnikiem moskiewskim. Któż się nie domyśli, o kim tu mówię, dziś go znamy — ze czcią czytamy jego pisma, podziwiamy jasność poglądów i zaliczamy do mężów zasłużonych Ojczyźnie!

Był to Maurycy Mochnacki.

Siedział milczący, pogrążony w zadumie, gęste tylko kłęby dymu puszczając z cybucha.

— Panowie! — odezwał się jeden z młodych elegantów — mam dobre wiadomości! Deputacya wyjedzie do Petersburga, książę Lubecki i Jezier-

ski na czele! Mówiła mi to moja ciocia, która ma przystęp do wielkiego ołtarza.

— A czemu twojej cioci z sobą nie zabiorą, ułatwiłaby znacznie konferencyę.

Elegant skrzywił się, ale przybierając ton poważny, odrzekł:

— Tu panowie chodzi o rzeczy ważne — Lubecki to łepak, on takiego klina wbije carowi w mózgownicę, że go przekona, zmusi przejść na stronę naszą i obejdzie się bez krwi rozlewu.

Mochnacki słysząc to, odjął cybuch od ust, twarz jeszcze więcej przekrzywił i wyrzekł:

— Głupstwo.

— Nie chcemy układów, krwi nam trzeba i zemsty — zawołało kilku z młodzieży.

— Sądzę, że tak się nie stanie — odezwał się gromkim głosem generał Umiński — byłby to skandal.

— U nas wszystko możebne — odparł smutnie Mochnacki — Chłopicki podpadł pod wpływy egoistów konserwatywnych.

— Jak mi mówiła ciocia — szeplenił elegant — to generał w rzeczywistości podziela to zapatrywanie i nic nie ma przeciw temu — bo moi panowie, czy to jest możebne, żeby dla walki z Rosyą poruszać masy chłopskie gotowe do rzezi w każdej chwili?

— Upiory ci się jawią hrabiczu — nie pleć podobnych niedorzeczności — odparł jeden z młodszych poruczników.

— Coś jednak musi być prawdy w tej pogłosce — ktoś się wtrącił.

Teraz powstał Mochnacki — zdawało mu się jakby urósł, bezwymowne jego oczy zapaliły się ogniem, głos energiczny wydobył się z piersi i rzekł:

— Kto chce zwyciężyć w walce, ten winien wydobyć z siebie wszystkie siły, i naprężyć je! — Winien być przygotowany na wszelkie ofiary i umieć je spełnić! — Rewolucya to nie zabawka dzieci, za jaką teraz naszą chcą przedstawić. — Kiedy zmuszony uciskiem naród porwał się do broni i tak świetnie wszędzie okazał chęć do boju, — to nie należy go powstrzymywać, ale silnie ująć lejce i kierować nim. — Od chwili powstania popełniono mnóstwo błędów! — Błędem było wypuszczenie Konstantego z jego garstką siepaków, którzy wobec przeważnej liczby naszych, złożyliby broń — a my mielibyśmy drogocennego zakładnika;—tymczasem puszczono go i pułki jego powiększą siłę wroga. — My — robiąc powstanie, nie mieliśmy na celu tylko Kongresówki, ale całe obszary ziem Rzeczypospolitej! Jeżeli dziś Chłopicki nietylko nie wzywa ich do współdziałania, ale zabrania nawet dobrowolnych ruchów, pozbawia sprawę pojedyńczych sił, na których opierając się, możeby był pewny zwycięstwa! Układy w Petersburgu nie doprowadzą do niczego, zmarnujemy czas tylko! — Gdyby natychmiast wezwano Litwę do broni, to cały korpus litewski, w którym ¾ rang zajmują Polacy i Litwini, stanąłby po naszej stronie — śmiesznością jest wojnę czynić tylko obronną w granicach Kongresówki, kiedy przeciwnie prowadzić ją należy zaczepną. — Nie Modlin wziąć należy za punkt strategiczny, ale bagna Polesia — rozpłomienić pożar

wszędzie! To nas tylko zbawić może, a największy błąd, który pozwoliliśmy popełnić — to ta upowszechniona wiara, tak lekkomyślnie rozdmuchiwana do potęgi, że jedynym człowiekiem, człowiekiem opatrznościowym dla sprawy jest Chłopicki. — Nikt mu nie zarzuci braku odwagi, ani braku patryotyzmu — ale ten dzielny stary Napoleoński żołnierz mogący na polu walki świetne odnosić zwycięstwa, nie jest zdolny objąć całej wielkości zadania politycznego bytu Narodu. Gdyby go tylko zmuszono być generałem główno komenderującym, nie wątpię, że świetne byśmy otrzymali zwycięstwo — ale kiedy przyznano mu władzę Dyktatora, władzę Cromwella, to do tego on nie dorósł; zabagni całą sprawę! — W ręce, w której powinien trzymać szablę, trzyma gęsie pióro i niem przy pomocy takich Lubeckich, Jezierskich chce zwyciężyć cara! Straszna nas czeka katastrofa! — Człowiek ten uparty, samowolny, a nadewszystko nie wierzący w siłę ludu, na którego jednak czele stanął i podjął się nim kierować — zdradza ten lud swoją słabością charakteru i przyprowadzi go do przepaści — człowiek ten jest zdrajcą!

Słowo „zdrajca“ padło jak grom niespodziewanie — sam mówca zmięszał się wygłosiwszy je i chciał właśnie złagodzić doniosłość wyrażenia — gdy ze wszystkich prawie stron — odezwały się głosy oburzenia, protestu.

— Chłopicki zdrajca! On! Ten wódz niepokalany, czysty jak złoto, nieprzystępny mamonie!? — zakrzyknęły liczne głosy: nie zrozumiano mówcy, bo on nie posądził generała o przekupstwo, do któ-

rego nie był zdolny, ale o słabość charakteru, o brak wiary tylko.

Rzucono się ku mówcy, podniosły się cybuchy, zatrzeszczały krzesła i nad głową swoją zobaczył Mochnacki masę rąk wzniesionych.

Mochnacki nie przeraził się, stał założywszy ręce na piersi po Napoleońsku i zimnym swoim wzrokiem dumnie przebiegał po tłumie.

Skandal mógł się zamienić w groźną katastrofę, bo tłum rozpłomieniony nie umie się liczyć nigdy ze swoimi nagłymi wybuchami.

Kiedy chwila była najgroźniejsza, kiedy zdawało się, że razy spadną na głowę potępionego, — niespodzianie zerwał się z krzesła generał Umiński w swoim mundurze i rozepchnąwszy tłum dobył szabli i zatrzymał atakujących. — Widząc to Luboradzcy i kapitan Ogiński-Kontrymowicz, zbliżyli się do generała i stanęli obok gotowi do obrony.

— Panowie! — zawołał donośnym głosem Umiński — każdemu tu wolno mieć swoje zdanie i wolno mu je wypowiedzieć — jeżeli mówca za daleko się uniósł i wygłosił niebacznie słowo obelżywe, to możecie protestować, ale nie posuwać się do zbrodni! Jestem pewny, że pan Mochnacki usprawiedliwi się.

Mochnacki blady od wzruszenia, jednak spokojny, stał milcząco — a gdy wrzawa uspokoiła się rzekł:

— Nie cofam mojego słowa, nadmienię tylko. że nie posądzałem Chłopickiego o zdradę przekupstwa — ale tylko o niepojmowanie swojego stanowiska — onieliczenie się z odpowiedzialnością

przed historyą a ten, kto staje na czele ruchu i prowadzić chce naród błędnemi drogami, zasługuje na imię....

Nie pozwolono mu dokończyć — tłum przybrał znowu groźną postawę, kilkunastu jednak z młodzieży stanęło w obronie mówcy.

— Wyjdźmy stąd — rzekł Umiński, biorąc pod rękę Mochnackiego — tu rozumowanie nie doprowadzi do niczego.

Mochnacki, otoczony kółkiem swoich zwolenników, prowadzony pod rękę przez generała Umińskiego, smutnie się uśmiechał i opuścił knajpę w towarzystwie Luboradzkich — zimno się skłonił pozostałym i z kilku kolegami ze szkoły podchorążych oddalił się.

Teraz dopiero Luboradzki i kapitan zbliżyli się do Umińskiego i przywitali się z nim.

— Jak wam się podobają stosunki — zapytał generał — które tutaj panują?

— Za dużo brzęku na bruku i za dużo szumu w knajpach.

— A jednak w każdej rewolucyi inaczej być nie może.

— Ta młodzież z szablami, włócząca się po ulicach, jeżeli skinie na nią dzielny dowódzca i umiejętnie poprowadzi, cudów dokazać może —a ci deklamatorzy od Honoratki mogą się zamienić w poważnych mężów politycznych.

— Ale kto jest ten młody człowiek, który tak nierozważnie, a jednak mądrze mówił — zapytał major.

— Cała Warszawa go zna, jest to jeden z Belwederczyków, człowiek niepospolitej wartości i pełen odwagi ku wypowiadaniu głośno tego, co inni myślą potajemnie.

— A jednak w tem wszystkiem, co on powiedział o położeniu sprawy, jest wiele prawdy — rzekł Ogiński.

Pożegnano się z generałem, który szedł właśnie do Chłopickiego z jakimś interesem.

Chłopicki bardzo był wrażliwy na to, co mówi o nim opinia publiczna; lubo wymyślał jej ale nie lekceważył. — W bardzo prędkim czasie doniesiono mu, przesadzając rzecz, że u Honoratki klubiści publicznie ogłosili go zdrajcą, sprzedawczykiem moskiewskim i Bóg wie, co tam jeszcze dołożono.

Gniew, który opanował starego lwa, był straszny — skłonny do uderzenia krwi do głowy, zsiniał cały, zaledwie był w stanie wybełkotać słowa:

— Ja zdrajca! Ja szpieg, ja!... — i runął całym ciężarem ciała na podłogę.

Doktor Malcz, potęga naukowa, w którego domu mieszkał Chłopicki, spieszną tylko a energiczną pomocą puszczając krew, uratował generała.

Wieść o chorobie narodowego bohatera lotem ptaka rozeszła się po Warszawie — oburzenie było powszechne, zwłaszcza w pewnych kółkach młodzieży — ulice zasłano natychmiast grubymi pokładami słomy, żeby tłumiła wszelki hałas, utworzyła się zaraz honorowa straż z akademików, która zaciągnęła warty na kwaterze, pilnując, żeby nawet przechodnie swemi śpiewami nie naruszali spokoju chorego.

Wieść o chorobie człowieka, na którego tyle liczono, człowieka rzeczywiście zasłużonego, pełnego honoru, znanego przeciwnika W. Księcia, pod którym nie chciał służyć, lotem pożaru rozprzestrzeniła się po mieście — opowiadano, że atak apoplektyczny lada chwila może się skończyć zgonem — co chwila dowiadywano się o postępie choroby — adjutanci wychodzili i uspokajali lud.

Ale w jakiemże położeniu znalazł się sprawca tego nieszczęśliwego zajścia. Głosem poważnym młodzieży akademickiej, uznano go za prowokatora moskiewskiego i wnet rozległy się głosy pieniącego się tłumu:

— Śmierć zdrajcy! Śmierć zausznikowi moskiewskiemu! Śmierć Mochnackiemu! Na szubienicę z nim!

Zaczęto go szukać po całej Warszawie, ale wszystkie usiłowania nie doprowadziły do niczego: — Mochnacki zniknął.

— Niktby się nie spodział, gdzie znalazł schronienie potępiony: — właśnie u największego swego wroga, w biurach urzędowych księcia Lubeckiego, do którego go zaprowadził Umiński.

Dosyć długo podobno rozmawiał z ministrem, który pojmował całą doniosłość planów młodzieńca, ale mając swoją już wytkniętą politykę nie akceptował ich.

Powróciwszy do gospody swojej na Podwalu, Luboradzcy zastali już w niej Pniaka, przebranego w mundur żołnierza narodowego; były braciszek bernardyński hardo przechadzał się po stancyi i coś mruczał, trzymając świeżo nabity karabin.

Major spojrzał z zadowoleniem na tęgiego chłopa, który za jego wejściem sprezentował broń wcale składnie.

— A nie jesteś to jeszcze porucznikiem Pniaku? Tu odrazu przypina się szlify oficerskie — rzekł, śmiejąc się.

— Nie jestem niczem więcej, jak tylko prostym żołnierzem i skrzydeł sobie nie farbuję.

— Dobrze chłopcze — rzekł, klepiąc go po ramieniu major — razem z moimi synami dosługiwać się będziesz.

Po kilku dniach choroba generała przesiliła się ku dobremu — minęło niebezpieczeństwo, a z niem i opinia publiczna uspokoiła się. — Sprawca tylu wzruszeń mógł się nareszcie pokazać na ulicy — ale zniechęcony, myślał wyjechać za granicę i usunąć się z widowni politycznej. — Nie zrobił tego jednak, nie ustąpił ze stanowiska, tylko przywdział mundur prostego szeregowca i zaciągnął się na listę ochotników. — Za wielki to był duch, ażeby mógł tak zkarleć i szukać spoczynku w ucieczce, nie dopełniwszy obowiązku.

Major Luboradzki dzień tylko jeszcze jeden pozostawał w Warszawie, potrzeba było odebrać papiery, upoważniające go do sztyftowania pułków, wydobyć trochę pieniędzy na formacyę i zakupić niektóre rekwizyta wojskowe.

Niewiele odnajdywał dawnych znajomych, z kapitanem tylko Ogińskim nie rozstawał się prawie — a że i on wybierał się do Końskich, parę więc tylko godzin mogli poświęcić sobie.

Krótkie ale serdeczne uściśnienie ręki stanowiło całe pożegnanie, było to już ostatnie, jakie między sobą mieli zamienić w tem życiu.

Major najął dużą brykę brodzką, popakował w nią zakupione rekwizyta — zabrał swoją komendę, złożoną z synów i Pniaka i drugiego dnia o świcie puścił się w drogę do Lipna.

Zaciągi nie napotykały przeszkód: ludzi dobrej woli nie brakowało — ochotnicy spiesznie zgłaszali się do zapisu — i tak pułk 184 piechoty z dnia na dzień powiększał się i urósł wkrótce do poważnej liczby 3,000 ludzi.

Aleksander i Jan Luboradzcy, oraz Pniak, jako prości szeregowcy, zapisali się pierwsi.

* * *

Wkrótce dowiedziano się, że deputacya Lubeckiego w Petersburgu nic nie osiągnęła — on sam uważał już za właściwe nie powracać do Warszawy, a w rzeczywistości został przymusem woli cesarskiej zatrzymany.

Głosy oburzenia podniosły się teraz w całym kraju — zmarnowano tyle czasu na oczekiwaniu zwodniczych rezultatów owej konferencyi; — chcąc teraz nagrodzić tę chwilę zapomnienia z wielką energią wzięto się do formowania nowych pułków: — starano się sprowadzić broń z Austryi — fabryki żelazne dzień i noc pracowały nad odlewami armat, kuciem kos i wyrobem karabinów, — zapasy prochu przysposabiano gorączkowo i gdyby w tym kierunku dalej działano, można było przyjść do wielkich rezultatów. Ludzi nie brakowało, koni

było podostatkiem — pieniędzy były pełne kasy — zapał ogarnął kraj cały i zdolny był jak huragan wszystkie przeszkody obalić.

Brakowało tylko człowieka, któryby się podjął dowództwa.

Chłopicki złożył dyktaturę i pomimo wszelkich błagań nie chciał objąć dowództwa naczelnego.

Było kilku generałów wsławionych już za Napoleona — jak Kniaziewicz, ale ten bawił za granicą i pilnowany był przez policyę pruską gorliwie — był Krukowiecki, stary generał, ale charakter jego nie dawał żadnej rękojmi, że, pomimo niezaprzeczonych zdolności wodza, sprawą dość uczciwie kierować będzie. — Był Szembek, dzielny pułkownik, który pierwszy na czele swego pułku otwarcie stanął po stronie rewolucyi — lecz ten przez skromność wymówił się od dowództwa, — był Umiński, lwiej odwagi i niezaprzeczonego patryotyzmu, ale gra w karty namiętna rzucała cień na jego charakter, — był pułkownik Chrzanowski, wielki strategik, który odbył kampanię turecką w wojskach rosyjskich, — był Prądzyński najzdolniejszy ze wszystkich — byli i inni, których jeszcze nie poznano — ale przeciwko każdemu było coś do zarzucenia — największe zaś tu wpływy odgrywały interesy partyi, których się kilka utworzyło. — Jednem słowem, nie znaleziono człowieka, któremuby można było powierzyć buławę hetmańską.

Wśród takich okoliczności uczyniono najnieszczęśliwszy wybór.

Generał książę Michał Radziwiłł, znany z ofiarności swojej dla Ojczyzny, ale człowiek bez talentu wojskowego, z ciasnym bardzo umysłem — choć potomek wielkiego rodu, upatrzony został i wybrany na wodza, pomimo, że stanowczo się od tego wymawiał, znając swoje zdolności. Sądzono, że wybór Litwina korzystnie wpłynie na powstanie litewskie — któremu do tej pory nie dano żadnej zachęty.

Chłopickiego zdołano uprosić w charakterze prostego doradcy naczelnego wodza, przyobiecał swoją pomoc.

Nie zamianowano go szefem sztabu generalnego, a tym sposobem nie dano żadnej władzy aktualnej, któraby nakazywała, ażeby jego polecenia ściśle były wykonane przez generałów.

Błąd ten olbrzymi, tak krzyczący, straszne za sobą pociągnął skutki, jak wiadomo z historyi: — liczono na to, że Radziwiłł ślepo słuchać będzie wskazówek Chłopickiego i wykonywać jego plany i na Radziwille nie zawiedziono się pod tym względem — ale nie zwrócono na to uwagi, że inni generałowie niekoniecznie zechcą go naśladować.

Tymczasem armia rosyjska w sto dwadzieścia tysięcy, dowodzona przez Dybicza, generała pochodzenia polskiego, wkroczyła w granice Królestwa i odcięła tym sposobem Litwę, ubezwładniła Wołyń i masami swemi zalała całe okolice.

Przeciw niej stanęła już gotowa do boju ośmdziesiąt tysięcy licząca armia polska, w znacznej części jednak złożona z żołnierzy świeżych, peł-

nych zapału, ale takich, co to jeszcze nie wąchali prochu.

Dzielny, a skromny generał ułanów, Dwernicki, pod Stoczkiem odniósł świetne zwycięstwo, zabrał armaty i walcząc z trzy razy przewyższającą siłą, dowiódł, że przewaga ludzi nic nie stanowi — że armia polska śmiało może mierzyć się z nieprzyjacielem pomimo jego przewagi.

Chłopicki nabrał ducha wojskowego, odmłodniał, zaczął wierzyć w zwycięstwo; — duch armii był także wspaniały!

Trzy miesiące nie upłynęły jeszcze od chwili kiedy Warszawa wywiesiła chorągiew niepodległości, a już obficie krew się polała 19-go lutego pod Wawrem, 20 pod Grochowem, 25 pod Białołęką — a wreszcie trzymilowe pole walki od lasu Tarchomińskiego do bagien Gocławskich w dniu 25 lutego przedstawiało obraz walki, godnej opisu Homera.

Olszynka pod Grochowem, w której się rozgrywały sceny tragedyi bohaterskiej — której ziemia tak przesiąkła krwią, że dziś jeszcze po 80 latach od chwili rozegranej tam bitwy, wieśniak, przejeżdżając tamtędy i słysząc szept liści drzew, pobożnie wierzy, że to szepcą duchy pomarłych bohaterów i za nic w świecie nie utnie gałęzi z drzew tam rosnących, twierdząc, że z nich się sączy krew polska... Olszynka Grochowska, a raczej miejce to, na zawsze zostanie świętem wspomnieniem.

Dwieście dział Dybicza rozpoczyna piekielny ogień z pod Kawęczyna i Dąbrowej Góry na Olszynę, którą uważa Dybicz za klucz zwycięstwa.

Olszyny broni 7 bateryi polskich, stojących na prawo i na lewo lasku. — Pułkownicy Nieszokoć i Szatecki celnymi strzałami demontują działa rosyjskie, ale kule rosyjskie 50-ciu armat zasypują gradem bomb i granatów baterye Szateckiego i połowa polskich armat staje się niezdolną do strzału.

Gdy baterya Szateckiego zwolniła ognia — całą siłę armat skierował wódz rosyjski na Olszynę którą zajmował ze swoją dywizyą generał Żymirski; generał ten zimno z całym spokojem nieustraszonego żołnierza, czekał z karabinem na ramieniu na atak piechoty rosyjskiej.

Kiedy ogień bateryi Szateckiego przycichnął trochę, Dybicz rozkazuje generałowi Rosenowi na czele kilku dywizyi zdobyć Olszynkę. Rosen zabiera całą prawie piechotę rosyjską i zbliża się do fatalnego miejsca, w którem grad kul i granatów łamie gałęzie, obala drzewa, ćwiartuje ciała i tworzy grząskie kałuże krwi — jedna tylko baterya Nieszokocia dymiąc bez przerwy ze swych dział, zmiata całe szeregi atakujących, po których trupach postępują inni, na chwilę się nie zatrzymując, wciąż nowe idą szeregi. Jak mrowisko, jak chmura szarańczy zbliżają się: — setki poległych chłopów moskiewskich zastępują tysiące, depcą trupy i rannych bez względu, posuwają się wciąż naprzód i z bagnetem w rękach rzucają się na żołnierzy Żymirskiego! Ale tu napotykają skałę żelazną w piersiach walecznych pułków 3go i 7go: — bagnety Polaków pogrążają się w ciała moskiewskie jak w ciasto: — padają Moskale, tworząc z trupów swoich baryka-

dy, po których wdzierają się inni, — rowy zapełniają stosy ciał w bure szynele odzianych. — Całą godzinę zmagają się te dwie wrogie siły, całe pułki nieprzyjaciela już pokrywają ziemię, ale w miejsce ich następują nowe bataliony pijane gorzałką, poruszające się jak machiny, bezwiednie działające.

Pułk 3 i 7 krwawo opłaca swój bohaterski upór — już połowa żołnierzy nie może władać bronią, ścieśnia szeregi frontowe i zaczyna pomału ustępować w głąb lasku — ale Żymirski pospiesza im na pomoc z drugą swoją brygadą, stojącą w Olszynie i wnet wyrzuca atakujących, bijąc ich kolbami po mordach poza obręb Olszyny.

Dybicz wścieka się ze złości, pieni się i porusza całą swoją piechotę, stojącą w rezerwie.

— To szatany! — woła, wściekając się i nie myśli ustąpić, chociażby miał stracić ostatniego żołnierza, ponawia drugi atak, wyprowadza do niego wszystkie rezerwy, a chcąc stanowczy otrzymać tryumf wzywa W. Księcia Konstantego, żeby na czele swojej gwardyi zmiażdżył buntowników.

W. Książę Konstanty wysłuchał wezwania ponury i milczący, — szyderczo się roześmiał i klaszcząc w ręce, zawołał:

— To moja nauka! — To moje dzieci warszawskie!

I jakby obłęd szału przystąpił mu do głowy, cieszył się jak dziecko wciąż klaszcząc w ręce.

— A gdzież to czwartaki! Niema ich jeszcze w bitwie, z nimi się popróbujcie kacapy!

Czwarty pułk był ulubieńcem W. Księcia. Kto wie, jakie mu teraz myśli przyszły do głowy, być

może, że gdyby w tej chwili zobaczył swój pułk ulubiony, byłby dobył szpady i poprowadził go na armię cesarską. — Dziwny ten, nieodgadnięty człowiek uniósł z sobą do grobu tajemnicę swoich burzliwych myśli.

Drugi adjutant Dybicza przybywa na spienionym koniu, przynosząc na piśmie rozkaz głównodowodzącego, wzywający gwardyę do boju.

Konstanty ochłonął z przypływu uniesień — ponuro wydał rozkaz pułkom udania się do Dybicza, a sam zacięty w milczeniu ze wzgórza przypatrywał się upartej walce.

Siedmdziesiąt dwa tysiące piechoty, to jest całe cztery dywizye wydają okrzyki „hurra!" i tłoczą się na Olszynę — baterye konnej artyleryi osłaniają swoimi pociskami te masy i cztery pułki Żymirskiego otaczają wokoło: zdają się one niknąć wśród tej ćmy!

Dybicza czoło rozpogadza się na chwilę, myśli, że zgniótł, że połknął Polaków, ale spostrzega niebawem, że Żymirski ze zdziesiątkowanymi pułkami cofnął się tylko w porządku za rów Olszyny — i na nowo uszykował się pomiędzy bateryami Nieszokocia i Szateckiego — była to godzina pierwsza popołudniu.

Po bohaterskiej obronie Żymirskiego i po wzorowem jego ustąpieniu z Olszyny, Chłopickiego twarz się rozpogodziła, uważa, że nadeszła chwila wprowadzenia do ataku drugich pułków Skrzyneckiego i Szembeka, które dotąd stały z karabinem u nogi bezczynne. — Skrzynecki uderza jak piorun na lewy bok Olszynki, a Chłopicki z promieniejącą na-

tchnieniem twarzą, pałającem doświadczonem okiem obejmuje całe pole bitwy, widzi zwycięstwo i spieszy do niego.

Jedną ławą postępują obydwa oddziały, widzi to wódz rosyjski i wylewa z lasku na nie dwa potoki lawy wojsk swoich z dwunastu bateryami artyleryi. Piekielny hałas bębnów, trąb, huk dział ogłusza, dym zaciemnia powietrze i obydwie armie spotykają się na płaszczyźnie.

Skrzynecki na czele pułków 4, 8, 20 przewraca całą 14-tą dywizyę moskiewską, resztki jej uciekają za Olszynę. Skrzynecki ściga ją i za laskiem napotyka 15-tą dywizyę uszykowaną na nowo, rozbija ją i jak stado bydła pędzi przed sobą ku Dębowej Górze. Chłopicki przebywszy piekielny ogień, miażdży 3-cią dywizyę i niedobitki jej pędzi ku Wygodzie, tu napotyka 2-gą dywizyę, która tego samego doznaje losu. Chwila stanowcza nadeszła.

Bystry wzrok Chłopickiego widzi, że połowa armii nieprzyjacielskiej rozbita, druga połowa w zamięszaniu się cofa — teraz trzeba tylko nowej siły, świeżej, żeby dopełnić dzieła zwycięstwa, potrzeba tylko uderzenia ostatniego taranu, a klęska nastąpi pewna. Przygotował sobie takie siły przezorny wódz.

W jednej rezerwie stał generał Krukowiecki, który dotąd nie brał udziału w bitwie — siła, jaką rozporządzał, była dostateczną do zadania ostatniego ciosu armii rozprężonej. — Chłopicki szle do niego adjutanta z poleceniem natychmiastowego przybycia i uderzenia na cofającą się armię rosyjską. —

Ale... O zgrozo! Przekleństwo niecne niechaj cię obarczy zły duchu pychy!

Krukowiecki w chwili tak stanowczej odmawia posłuszeństwa Chłopickiemi i nie rusza się z miejsca, przez zęby mówi tylko do adjutanta:

— Nie znam Chłopickiego — jako Naczelnego Wodza, powracaj do niego i powiedz mu to, — a zresztą ja tu pilnuję pozycyi, żeby książę Szachowski, przybywszy od Jabłonny ze świeżymi pułkami nie rozbił nas. — (Szachowski był oddalony o kilkanaście mil od pola bitwy).

Gdy wiadomość ta jak grom uderzyła Chłopickiego, porwał się za głowę i krew mu tak napłynęła do twarzy, że obawiać się trzeba było nowego ataku apoplektycznego — zwycięstwo pewne wysuwało mu się z ręki.

Ale w chwili stanowczej nie stracił panowania nad sobą i energii: niedaleko stało sześć pułków jazdy gen. Łubińskiego, pałających żądzą boju ułanów — gdyby tylko przybyli, mogliby jeszcze przechylić szalę swoim znanym impetem.

Wysyła dwóch adjutantów z poleceniem Łubińskiemu, aby natychmiast przybywał i szarżował na nieprzyjaciela.

Wygląda go niecierpliwie.

Ale pułków ułańskich Łubińskiego nie widać nigdzie. Wybiła godzina stanowcza możebnego pogromu wroga, wybiła bezpowrotnie i — przeszła do historyi, do wspomnień narodu.

Generałowie rosyjscy wstrzymują pierzchające swoje dywizye — szykują je na nowo, popychają na front dwa ostatnie dotąd nietknięte od-

działy grenadyerów — rozstawiają na pagórkach swoje baterye i silnym ogniem artyleryi zasłaniają pierzchającą piechotę.

Chłopicki na cztery dywizye pierzchające sam prowadzi bataliony, płaszcz jego podziurawiony kulami, ale lew, parskając zapałem, miażdży wszystko przed sobą — szle adjutantów jednego za drugim do Łubińskiego wzywając go, żeby pospieszał, a ten odpowiada adjutantowi Leskiemu:

— Chłopicki nie jest wodzem, nie usłucham jego rozkazu, przynieście rozkaz na piśmie księcia Radziwiłła — szarża ułanów niemożebna, bo przed nią krzaki, błoto i zagony roli na poprzek poorane.

Uciekające już rosyjskie pułki robią zwrot zaczepny, obracają się frontem, wzmocnione gwardyami W. Księcia — cała rosyjska armia wychodzi z popłochu i zdobywając się na ostateczne wysilenie uderza po raz trzeci na Olszynkę.

Chłopicki na czele 40 pułku i Skrzynecki z grenadyerami stoją jak mur żelazny na płaszczyźnie przed Olszynką i wytrzymują przez pół godziny natarcie całej armii nieprzyjacielskiej, nie ustępując w tak nierównym boju ani jednego kroku, chociaż ich zasypuje grad kul i kartaczy i ćma niezliczonych kul karabinowych. Dwie tylko baterye Nieszokocia i Rylskiego zasłaniają polską piechotę, w której polegli już prawie wszyscy oficerowie batalionów.

Chłopicki przebiega front i zachęca do oporu, spodziewając się co chwila szarży ułanów Łubińskiego. Spiesznie przybywa kilka bateryi artyleryi rosyjskiej — ustawia się pod Kawęczynem, kule jej

druzgoczą drzewa, rozrywając konie i ciała ludzkie.

Dwóch nieustraszonych dowódzców dywizyi — Szembek i Skrzynecki stoją przed frontem i rażą śmiertelnymi groty nieprzyjaciela. — Pod Chłopickim dwa konie już zabite, bohaterski generał wstaje z ziemi, pomału otrząsa kurz z płaszcza, wypada zeń siedm kul i lubo odłam kartacza ranił go, nawet nie daje się opatrzeć, a komenderuje dalej. Widzi, jak przed nim i około niego żołnierze giną szeregami całymi, szefowie batalionów grenadyerskich i strzeleckich prawie wszyscy krwią brocząc zalegają ziemię. — Widzi jednak, że opóźnienie ułanów Łubińskiego trwa za długo: dosiada świeżego konia i sam pędzi po nich, zostawiwszy dowództwo Szembekowi.

Na brzeskiej szosie pod żelaznym słupem za Grochowem stoi bezczynnie sztab główny Radziwiłła; — tu Chłopicki dowiaduje się, że Łubiński nie chce go słuchać i przypuścić szarży, a nikczemny Krukowiecki stoi spokojnie w Białołęce.

Chłopicki czyni gorzkie wyrzuty Radziwiłłowi, ten wysyła natychmiast rozkazy dwom niesfornym generałom. — Niestety! Za późno to już się stało— bo dwie nieustraszone dywizye polskie cofały się już z lasku pod Grochowem.

Rozpacz opanowała nieustraszonego generała, widząc wydarte sobie zwycięstwo, złą wolą małych ludzi zmarnowane, tyle krwi nadarmo przelanej — zapragnął śmierci i wyrzekł słowa: „żeby zginąć, wszędzie jest pole“.

Ale nie zapomina o obowiązkach naczelnego wodza, — spiesznie dosiada swego konia i wraca na

plac boju, ażeby powstrzymać o ile możności odwrót i dać czas do ustawienia się reszcie armii na drugiej linii obronnej.

Cofające się polskie dywizye widząc powracającego bohatera, zatrzymują się i stawiają heroiczny opór! — Chłopicki już jest przed frontem, podnosi się na strzemionach, wznosi rękę, chce się odezwać, gdy w tem pęka granat pod jego trzecim koniem, obala go wraz z jeźdźcem na ziemię i generał ranny w obie nogi traci na chwilę przytomność — kosynierzy dopadają — biorą go na kosy i odnoszą na Pragę o godzinie w pół do trzeciej.

Przewaga moskiewskiej armii już widoczna!— Fałszywa wieść o śmierci Chłopickiego szerzy się wśród szeregów, ale nie osłabia energii, tylko rozbudza ducha zemsty.

Dybicz umie korzystać z tej chwili, teraz myśli całą siłą swojej przeważającej kawaleryi, która dotąd nie brała udziału w bitwie, zmiażdżyć piechotę polską, roztratować ją, a niedobitki zabrać do niewoli, potem wpaść na most praski i przeprawić się do Warszawy!

Wysuwają się szwadrony kirasyerów księcia Alberta, pułku zwanego „Niezwyciężonym”, z trupiemi główkami na hełmach — za nimi suną trzy inne pułki kirasyerskie, dalej ułany, dragony, kozacy azyatyccy — cała ta armia posuwa się początkowo zwolna, w porządku — nagle dwa szwadrony pułku kirasyerów ks. Alberta odrywają się od tej masy jednolitej, rozwijają się, puszczają galopem po wybornej szosie, przebijają się przez obie linie

polskie — lecz o dziwo! — obydwie linie polskie zesuwają się za nimi w porządku, zamykają i w ten moment tworzy się z nich nowa ściana, zagradzająca drogę dalszym szwadronom.

Jedna dywizya „Niezwyciężonych", przedarłszy się za drugą linię polską, spotyka 8 pułk piechoty ustawiony w czworobok, ten całą ścianą daje doń ognia, ściele trupem i rozprasza pijanych żołnierzy, na drugą dywizyę tychże „Niezwyciężonych", która zapędziła się aż pod słup żelzany, pod którym stał Radziwiłł ze sztabem, uderzają ułani 2 i 5 pułku i rozbijają go w puch — kirasyerzy rzucają szable i krzyczą „pardon"!

Cała atakująca kolumna Rosyan staje zdumiona tym wyskokiem pijanych żołnierzy, widzi jak utonęli w kłębach dymu i ognia, w tumanach kurzawy, a za nimi zamknęły się szeregi polskie.

Cała armia porusza się, pędzi naprzód, lecz polskie bateryе witają ją strzałami i ścielą trupem.

Dywizye Skrzyneckiego, Żymirskiego i Giełguda stoją jak las nieruchome i z karabinów swoich szlą tysiące kul... Żymirskiemu granat urywa rękę. Cała ta groźna chmura kirasyerów teraz cofa się i ucieka w nieładzie, wywracając własną piechotę i niknie wśród mroku zapadającego wieczora, a za nimi gonią kule polskich armat, obwieszczając ich haniebną ucieczkę.

Noc nadchodząca przerywa walkę. Skrzynecki zakrywa odwrót na Pragę, który odbywa się w porządku. — Na Pradze w jej okopach armia polska zostawia silny korpus w szańcu przedmostowym i

sama przechodzi na lewy brzeg Wisły do Warszawy. — Przy końcu dnia obie armie były tak wyczerpane i znużone, że żadna z nich nie mogła przedsięwziąć stanowczego ruchu: — ani Dybicz nie ważył się uderzyć na Pragę, by wpakować armię polską na jedyny most, który ją łączył z Warszawą i korzystając z zamięszania wedrzeć się do stolicy — ani Polacy nie mogli już zrobić ostatecznego wysiłku i uderzyć wszystkiemi siłami na zdemoralizowaną armię rosyjską, by zgnieść ją i zabrać do niewoli.

Wiekopomna ta bitwa była największą i najkrwawszą obok Ostrołęckiej — rozwinięto w niej ogromne siły i przelano krwi całe strumienie.

W bitwie Grochowskiej sto tysięcy Rosyan walczyło przeciwko 46 tysiącom Polaków: — 90 szwadronów pędziło równocześnie do szarży. — Walka trwała dzień cały bez przerwy, trupów moskiewskich naliczono 15 tysięcy, Polaków padło obok nich 5 tysięcy. — Wojsko polskie osiągnęło cel swój w tej bitwie, — wstrzymało armię rosyjską i uczyniło ją niezdatną do atakowania Warszawy.

Opis bitwy Grochowskiej oparłem na relacyach Mirosławskiego, Puzyrewskiego, a najwięcej na podaniu gen. Chrzanowskiego najkrytyczniejszego ze wszystkich. Bitwa pod Grochowem dała światu poznać i ocenić potęgę polskiej broni — rozpłomieniła nawet tych, którzy dotąd z niedowierzaniem spoglądali na walkę, ale okazała zarazem straszny błąd mianowania Radziwiłła wodzem, a Chłopickiego

tylko prywatnym doradzcą-ochotnikiem — to prywatne ochotnictwo zgubiło wszystko.

Wrażenie bitwy Grochowskiej silnem echem rozległo się w całej Europie — zaczęły odzywać się głosy sympatyi, a Prusy silnie zaniepokojone gotowały się pospieszyć z pomocą swojemu wspólnikowi zaborów.

Mochnacki z Lelewelem na czele, który jako prosty żołnierz, brał udział w bitwie, domagali się oddania pod sąd generałów Krukowieckiego i Łubińskiego: — opinia publiczna srożyła się przeciw nim — lecz zebrana rada wojenna uznała, że obydwaj nieprzekroczyli w niczem subordynacyi — gdyż tłómaczyli się, że Chłopicki, jako prosty ochotnik, zastępujący tylko prywatnie wodza, nie miał prawa wydawać im poleceń, a tem samem i oni wykonywać je nie byli obowiązani — legalność często prowadzi do wielkich absurdów.

Niezaprzeczonym jest pewnikiem, że gdyby Krukowiecki wpadł z całą swoją piechotą z 34-ma działami i Łubiński z jazdą — Polacy byliby odnieśli stanowcze zwycięstwo.

Nie tak postępowała rewolucya francuska ze swymi generałami, tam nie patrzono na literę prawa, a stosowano się tylko do przepisu, generał, który przegrał bitwę, zasługuje na gilotynę. — Głowy Krukowieckiego i Łubińskiego spadłyby tam do kosza, u nas — pozostali oni na swoich stanowiskach a pierwszy z nich uroczystą zdradą zakończył swój zawód wojenny.

Rannego Chłopickiego, który po bitwie Grochowskiej przekonał się, że żołnierz polski, cho-

ciaż świeżo oderwany od pługa, może się mierzyć z żołdakami moskiewskimi, — nabierał już ochoty do dalszych bojów, lubo narzekał na niesubordynacyę — wywieziono do Krakowa. Hrabina Wąsowiczowa spełniła tę misyę nieszczęśliwą, bo stary byłby nareszcie zdecydował się zostać naczelnym wodzem.

Radziwiłł sam czuł, że nie podoła zadaniu, które mu narzucił Rząd Narodowy; czuł, że odpowiedzialność przed narodem i historyą cięży na nim, — nie pragnął sławy wojennej ten prosty obywatel, dlatego zaraz po bitwie Grochowskiej podał się do dymisyi; — otrzymał ją i żegnając się z władzą, skromnie powiedział:

„Tym jestem teraz, czym byłem”, — a jakiś złośliwy głos dorzucił:

„Głupim Radziwiłłem”.

Trzeba jednak było koniecznie wyszukać nowego wodza — Kniaziewicz nie przybywał z zagranicy — Szembek nie chciał przyjąć odpowiedzialności, Umiński miał wielu nieprzyjaciół, Krukowiecki, jeden tylko, wszelkich intryg dokładał, żeby władzę osiągnąć — ale powszechny głos oburzenia potępiał go i czynił wybór jego niemożliwym.

Pozostawał bohater z pod Grochowa, który dał dowody nieustraszonego męstwa, oporu nieprzełamanego w trzymaniu się na stanowisku — świetny generał Skrzynecki.

Generał ten, jako pułkownik, odznaczył się w wojnach Napoleońskich, a teraz potwierdził swe męstwo pod Grochowem: — okazała postawa wo-

jenna, przepych, jakim lubił się otaczać, piękna wymowa, eleganckie obejście się — jednały mu wszędzie przyjaciół; — nikt głębiej nie zbadał charakteru — człowieka małych zdolności, dobrego wykonawcę rozkazów, ale nie posiadającego przymiotów naczelnego wodza: — żołnierze uwielbiali pięknego generała i opinia armii przeważyła.

Skrzynecki został mianowany naczelnym wodzem. — Generał ten pochodził z drobnej szlachty galicyjskiej, a byli nawet tacy, którzy mu zupełnie zaprzeczali szlachectwa, ale odebrał on bardzo staranne wychowanie, a stąd umiejętność gładkiego znalezienia się w każdej sytuacyi.

Świeżo zostawszy bohaterem narodowym — naczelnym wodzem tak pięknej armii, a w zaślepieniu swojem sądząc, że rzeczywiście na to zasługuje, — rozbudził w sobie tak olbrzymią pychę, że poprostu niekiedy przechodziła ona w śmieszność. — Utworzył około siebie sztab złożony z 24 adjutantów, kiedy Chłopicki posiadał ich tylko pięciu — adjutanci ci byli to wszystko synowie arystokracyi, hrabicze, baronowie, książęta...

Utworzył około siebie dwór iście królewski, a jak głoszono, to żona jego marzyła już nawet o koronie królewskiej!...

Wygodniś, sybaryta — spał zwykle do godziny 11-ej, rozbijał się w powozach, zabranych z wozowni cesarskich i nie pokazywał się zwykle inaczej jak w powozie 4-konnym ogierów cesarskich, zabranych ze Skierniewic.

Ludziom imponowało to, ale starzy żołnierze drwili z niego — wszystkoby to jednak jeszcze było

uszło, gdyby otoczony dyplomatami, nie zechciał sam stać się dyplomatą i na swoją rękę prowadzić sprawy narodu. Popadł pomiędzy ludzi, którzy jeszcze zawsze łudzili się możnością zakończenia dyplomatycznie wojny; — to go zgubiło, a z nim i sprawę Polski.

Nie mogę wdawać się w opowiadanie przebiegu wszystkich bohaterskich walk narodu, bo w takim razie wkraczałbym w prawa historyka, do czego nie mam pretensyi; — mnie, skromnemu powieściopisarzowi, pilno powrócić do moich bohaterów powieści.

* * *

Na odgłos niebezpieczeństwa Ojczyzny stawiło się z samego Województwa Sandomierskiego 60 tysięcy ochotnika! — Nie mniejszy zapał ożywił i inne prowincye — wkrótce armia mogła urosnąć do pół miliona, gdyby tylko stojący u steru ludzie, byli ożywieni tym samym duchem i z tym samym zapałem dążyli do jednego celu. Lud cały drgnął — oczekiwał narodzin wielkiego dzieła, które się miało począć najpierwej usamowolnieniem chłopów — a ukoronować niepodległością całego narodu. — Niestety wszystkie te oczekiwania przeciągały się, a wypełnianie ich opóźniało się dotkliwie.

Na obszernym placu przed kościołem parafialnym w Końskich stało już kilka kompanii umundurowanych ochotników — ale jedna tylko z nich uzbrojona była w doskonałe dubeltówki i ta stanowiła wyborną kompanię strzelców Juliusza Małachowskiego — inne zaś wszystkie miały tylko ko-

sy; — odbywała się musztra co dzień od świtu do późnego zmroku z przerwami tylko na śniadania i obiady.

Kapitan Ogiński i hrabia Juliusz bez przerwy prawie byli przytomni tym ćwiczeniom.

Stary Połeś, w mundurze oficera, odmłodniały, z najeżonym wąsem — gromkim głosem wydawał komendę.

Dziś właśnie zebrani ochotnicy mieli wyruszyć na linię bojową. — W środku placu ustawiono ołtarz z bębnów, w około niego powiewały chorągwie kościelne i narodowe, w górze błyszczały ostrza kos i migotały końce pik — kompanie uformowane w czworobok otaczały ołtarz, za nimi w tyle zgromadzone tłumy ludu, składającego się z żon, matek, sióstr i przyjaciół ochotników; uroczyste panowało milczenie, słychać było głos księdza i odgłos dzwonka, a wówczas głowy wszystkie pochylały się, serca korzyły i niejedno ciche westchnienie ulatywało z piersi.

Zakończyło się nabożeństwo — rozległ się głos komendy i nowosformowani żołnierze ruszyli w porządku, pobłogosławieni krzyżem świętym przez kapłana. Za nimi unosiły się serc bicia, za nimi dążyły westchnienia niejednej z dziewczyn i ciche łzy matek; — nastrój, lubo poważny, nie był smutny, wszystkich ożywiała nadzieja zwycięstwa i gragnienie walki. — Za postępującymi szeregami żołnierzy, ciągnęły się długiem pasmem wozy, odprowadzających wojsko krewnych i przyjaciół.

Zaciekawiał jednak wszystkich wielki wóz, zaprzężony w parę dobrych koni, pokryty płótnem

żaglowem, wyładowany tobołami, a w nim siedzące dwie kobiety w ciemno granatowych habitach, w białych welonach, z białymi wyszytymi krzyżami na piersiach, opasanych białymi paskami. — Jedną z nich z łatwością poznajemy, bo to nasza dawna znajoma dozorczyni gołębnika, panna Antonina Snarska; — pięknie jej w tym mundurze Siostry miłosierdzia, twarz jej poważna, zamyślona, promienieje jednak weselem i nadzieją. Towarzyszka jej podobnież przyodziana przedstawia oryginalny typ dziewczyny, w której natura wysiliła się chyba, żeby zatrzeć w niej wszelkie oznaki kobiecości: — potężnego wzrostu, szeroka w ramionach, z rękami tak muskularnemi, że śmiało mogłyby władać potężnym mieczem, a nie bawić się igłą; — rysy twarzy jakby tylko wyciosane siekierą, podziobane ospą, ożywione jednak dużemi czarnemi oczyma; z pod białego welonu wysnuwały się czarne obfite sploty włosów; gdy jeszcze dodamy do tego, że na wierzchniej wardze jej znać było wydatny czarny włos, zdawało się koniecznie, że to przebrany chłopak; — tak jednak nie jest.

Jest to panna Róża Wrzosek, córka organisty z Końskich, dziewica już przeszło trzydziestoletnia; trzech braci jej już nosi mundury, służące w czynnej armii — matka już dawno spoczywa w ziemi a i ojca przed paru miesiącami położyła do grobu — została sama — sierotą — o zamążpójściu w tych warunkach nie marzyła już.

Pod powłoką szorstką jej zewnętrznego wyglądu biło serce zacne, gorące nawet. — Serce każde-

go człowieka potrzebuje koniecznie coś ukochać — uderzać dla kogoś — a serce uczciwej kobiety potrzebę tę stokroć więcej odczuwa.

Róża po stracie rodziców oddała się i poświęciła pobożności — ukochała kościół, codziennie przepędzała długie w nim godziny na modlitwach i gdyby jej niespodziewane wypadki nie wywarły z tego stanu, niezawodnie resztę życia poświęciłaby klasztorowi jakiemu i przywdziała suknie zakonnicy.— Lecz oto panna Antonina Snarska poznała Różę i pomimo jej groźnej fizyognomii polubiła ją; pociągnęła ją szczerość Róży w mowie i postępkach, jej osamotnienie i podobna do własnej niedola.

Gdy tyko rozeszła się wieść o powstaniu, o formowaniu się ochotników — Róży natychmiast przyszła do głowy myśl zaciągnięcia się w szeregi powstańców — udała się do hrabicza Juliusza i chciała się zapisać na listę. Młody dowódzca nie chciał się jednak na to zgodzić — obiecał jej przecież, że wynajdzie dla niej zatrudnienie odpowiedniejsze.

Był również wieczór taki sam jak ten, w którym widzieliśmy Juliusza w Zdyszewie, — tak samo palił się ogień na kominie, tak samo pani Snarska spoczywała na łożu, jeno znacznie więcej ożywiona, a Antosia siedziała zamyślona.

Drzwi się uchyliły — wszedł Juliusz.

Dziewczyna podniosła się na przywitanie cała zapłoniona.

— Jak idą zaciągi?

— Nad wszelkie spodziewanie — świetnie: — ludzi ciśnie się tyle, że możnaby kilka pułków uformować, gdybyśmy mieli tyle broni.

— Czyż inaczej być mogło? — zapytała entuzyastka — kto żyje, winien stawać w szeregach!

— Czy i pani myśli powiększyć ich liczbę? — zapytał Juliusz, uśmiechając się.

— Ja do pałasza i do kosy nie jestem zdolna i prawdę mówiąc, nie potrafiłabym zabić człowieka, jednakże nie zostanę w domu i znajdę się tam, gdzie potrzeba.

Juliusz spoglądał z niedowierzaniem na mówiącą dziewczynę. Przez chwilę trwało milczenie — matka wlepiła wzrok w córkę i rzekła:

— Jak to rozumiesz, moje dziecko?

— Matko moja, czyż w chwilach takich jak obecna jest ktokolwiek na całych przestrzeniach Polski, ktoś uczciwy, w kim bije prawdziwe serce polskie, coby się czuł uwolnionym od obowiązku służenia świętej sprawie?

— Niestety! Są tacy — odrzekła cicho matka.

— Ale ja do ich liczby należeć nie będę, matko.

— Nie miałam nic podobnego na myśli i tu w domu, skubiąc szarpie możesz służyć Ojczyźnie.

— To nie dosyć, mateczko moja, to potrafią zrobić dzieci pod twoim dozorem — potrzeba te szarpie umieć położyć na rany, zatamować krew i otoczyć usługą serca tych, którzy te rany ponieśli.

— Nie przeczę temu, od tego są doktorzy i felczerzy.

— O to nie dosyć; — tam potrzeba opieki sio-

stry, czułości matki, tam trzeba nietylko ręki, ale i serca.

— Jakże to rozumiesz, moje dziecko?

— Poprostu, kochana mamo, chcę iść tam, gdzie się będzie krew lała, gdzie będą padać trupy, pierwszym goić rany, drugim zamykać oczy i odmawiać nad nimi ostatnie modlitwy.

Matka podniosła się na łożu, usiadła wyprostowana i zdumionem okiem wpatrywała się w twarz dziewczęcia.

— Czy podołasz temu zadaniu, dziecko moje? A mnie, starą matkę, zostawisz bez opieki?

— Bóg będzie twoim opiekunem, mamo, i dobrzy ludzie — Bóg mnie wzywa — On mi to nakazuje i będę posłuszna Jego rozkazom.

— A matka! Matka stara! Czyż nie żal ci jej będzie?

— Nie rozrywaj mi matko serca — nigdym ci nie dała powodu do powątpiewania o mojem przywiązaniu! Cierpię rozłączając się z tobą, ale święty obowiązek nakazuje mi to uczynić — nakazuje mi to Bóg i spełnię wolę jego. — Czyż w chwili takiej, kiedy się ważą losy narodu, nie mamy obowiązku poświęcić wszystkiego co nam najdroższe, dla ocalenia Ojczyzny? — Sama tu nie będziesz, matko moja, znalazłam już ludzi, którzy się tobą szczerze zajmą, otoczą opieką, a ja — ja iść muszę tam, gdzie mnie woła głos Boga.

To mówiąc, dziewczę zbliżyło się do łoża chorej kobiety, pochwyciło jej rękę i ukryło twarz swoją na jej piersi.

Mątka długą chwilę leżała milcząca — jakby się namyślając, jakby czekając rady, natchnienia — pomału twarz jej się wypogodziła, podniosła głowę dziewczyny, przycisnęła do niej swoje usta i robiąc znak krzyża nad jej czołem cicho wyszeptała:

— Idź, mój aniele! Tak Bóg chce... Błogosławię ci.

Juliusz dotąd milczący, wzruszony, zbliżył się do łoża chorej, przyklęknął i cicho wyrzekł:

— Pobłogosław i mnie, zacna polska matrono.

Staruszka podniosła ręce nad obojgiem dzieci i cichym głosem wyszeptała błogosławieństwo. — Błogosławieństwem swym jakby połączyła ich do wspólnej doli, do wspólnej pracy, do wspólnych cierpień, a może do wspólnej ofiary życia.

— Wstańcie, dzieci moje, rzekła — pogadajmy teraz o szczegółach twojego przedsięwzięcia, Antosiu, boś ty to musiała już wszystko dobrze ułożyć w swej główce — znam ja ciebie.

— Tak mateczko, nad sprawą tą dobrze się zastanowiłam, nie idę sama tylko, mam towarzyszkę Różę Wrzoskównę — ona i ja będziemy wszędzie tam, gdzie będzie potrzeba udzielić pomocy i Bóg da, że niejednę łzę może osuszymy matkom, powracając im synów, żonom ocalając mężów: — weźmiemy mały wózek, na nim umieścimy się z lekarstwami i podążymy spełniać obowiązki.

— Pozwoli pani, — przerwał Juliusz, że zmienimy cokolwiek ten program, mały wózek nie przyniółby odpowiednich rezultatów, bo ani was pomieścić, ani lekarstw i zapasów zabraćby nie mógł

— już ja się zajmę tą wyprawą: — znajdzie się odpowiedni ekwipaż i do niego konie — proszę mnie zostawić tę sprawę.

— Zgadzam się panie Juliuszu na tę propozycyę, ale wymawiam sobie, żebyś nie żaden powóz ani karetę nam ofiarował, ale prostą brykę dużą, krytą płótnem, której czasem używasz do polowania.

— Zgadzam się na wszystko i stanie się tak, jak sobie pani życzy.

— Wiesz Różo — rzekła do wchodzącej właśnie w tej chwili dziewczyny Antosia — wszystko się dobrze ułożyło, mamy już brykę, konia i wyruszymy razem z pułkiem.

— Woźnicy nam nie potrzeba — rzekła Róża — szkoda odrywać chłopa od kosy, ja sama potrafię doskonale powozić, — a w razie potrzeby potrafię ująć szablę, lub siekierę i stawić dobry opór napastnikowi — to mówiąc, wyciągnęła do góry swoje żylaste, potężne ręce i głośno się roześmiała.

Program został w zupełności wykonany z tym jednak dodatkiem, że obydwie odważne dziewczyny przystroiły się na drogę w opisane już kostyumy dla oznaki, kim są i jaki cel ich podróży.

Myliłby się, ktoby sądził, że hrabicz Juliusz i Antosia są w sobie zakochani, były to natury tak szlachetne, tak wyższe nad zwyczajne marzenia miłosne, że nie zdolne były szukać egoistycznego szczęścia — dwoje tych dzieci pochłaniała myśl jedna tylko, dla niej żyły, dla niej działały, dla niej niosły na ofiarę swoje młode życia — myśl służby Ojczyźnie!

Kiedy człowiek potrafi się tak wyanielić, że serce jego zapała miłością wielkiego czynu — czynu poświęcenia i ofiary dla swojej ziemi — wówczas nikną przed jego wzrokiem obrazy osobistego szczęścia, znikają namiętności, kryją się męty pożądań — i jedno tylko pragnienie — pragnienie wyższych duchów ogarnia je w swe panowanie — idea poświęcenia się za swoją ziemię ukochaną: — jest to już drugi stopień doskonałości ducha — wyższy nad miłość rodziny.

Chrystus dał nam wzór miłości całej ludzkości — niezrównany wzór, niedościgniony dla człowieka, a odbijający się tylko w miłości Ojczyzny, jak w kropli wody odbijają się promienie słońca: — ten kto nie kocha ziemi swojej rodzinnej i nie gotów dla niej cierpieć — a mówi, że kocha całą ludzkość — kłamcą jest.

Taka to miłość ożywiła tych dwoje dzieci — dla niej żyli, jej służyli — zobaczymy ich jeszcze w chwili spełnienia ofiary — w chwili czynu.

* * *

Po bohaterskiem odparciu napadu pod Grochowem nieprzyjaciela, po cofnięciu się armii polskiej na lewy brzeg Wisły, armia rosyjska znalazła się w bardzo niewygodnem położeniu; poniósłszy ogromne straty w krwawej bitwie, musiała obozować na zwilgotniałej ziemi wśród zgniłej zimy, gdyż wsie zostały popalone, a ludność rozpierzchła się na wszystkie strony — przed sobą miała groźnego nieprzyjaciela, którego męstwa już doświadczyła — wokoło siebie ponure lasy bez dróg, z tyłu liczne

oddziały powstańców i Litwę jakby z pod ziemi wyprowadzającą powstańców — niszczącą dostawy żywności i amunicyi — w dodatku głód, zimno, a nadewszystko choroby: armia ta przedstawiała istny cmentarz, lub olbrzymi szpital — obrazy piekielnych cierpień sprawiała cholera, którą ta szarańcza ze stepów Azyi spędzona, przyniosła z sobą.

Tymczasem z Petersburga wysłano resztki wojsk, którymi jeszcze mogli tam rozporządzać i gwardye z księciem Michałem, bratem cesarskim na czele, ale były one jeszcze bardzo daleko nad Niemnem i przy braku jakich takich drug nie mogły się przybliżyć.

Tymczasem szerzyło się powstanie chłopskie: na tyłach armii Dybicza; chłopi w małych kupach, jak roje upartych komarów, kręcili się i nabawiali wielkiego niepokoju feld-marszałka.

Nikt jednak nie powołał ludu do pospolitego ruszenia, a ruch ten mógł stanowić śmiertelną katastrofę dla Rosyan.

Niezdecydowane postępowanie Skrzyneckiego, który miał kilka razy sposobność zgnieść nieprzyjaciela, fatalne pociągnęło za sobą skutki — była chwila, w której można była odcięte armie wziąć do niewoli, a opieszałość wodza dała im ujść i połączyć się z główną armią Dybicza. — Aż przyszło do krwawej, a niepotrzebnej bitwy pod Ostrołęką — bitwy chlubnej, nieśmiertelnie zapisanej w historyi, ale bez rezultatów — bitwy, w której nieustraszone męstwo Polaków zajaśniało w całym blasku. Teraz dopiero naczelny wódz, który powinien był być

oddany pod sąd wojenny za bitwę Ostrołęcką, tak nierozważnie przyjętą, a został nagrodzony orderem i uznaniami, zdecydował się wyprawić na Litwę odpowiedni korpus dla wzmocnienia tam powstania i przecięcia komunikacyi z Rosyą armii będącej w Królestwie.

W całej Litwie gotowało się jak w ulu, wszędzie były już poformowane oddziały powstańcze i korzystając z położenia leśnego i bagnistego kraju, dotkliwe Moskwie zadawały klęski — do stoczenia jednak stanowczej bitwy były za słabe, bo uzbrojenie ich składało się ze starych strzelb, kos i pik żelaznych.

Z jakiemże uniesieniem, z jakimże zapałem Litwa przyjęła wiadomość, że pułki polskie pod dowództwem Chłapowskiego przekroczyły Niemen i zmiatając przed sobą wszystkie oddziały moskiewskie, zagłębiają się w środek puszcz litewskich.

Dzień 21-go maja, w którym Chłapowski przeszedł granicę litewską na czele swego małego korpusu, powitali Litwini okrzykiem radości, który rozległ się po wszystkich puszczach, lasach, wsiach i miastach tego pięknego kraju.

Chłapowski był nietylko dzielnym generałem, ale generałem tak pięknie się prezentującym, że wzbudzał sympatyę w każdym, kto się do niego zbliżył.

Rzucił on spory majątek w Księstwie Poznańskiem, stanął na czele oddziału — duma jednak szlachecka szeptała mu, że powinien tu być naczelnym wodzem: — źle zrozumiał instrukcye księcia

Czartoryskiego, które polecały mu tylko przecinać komunikacye Moskalom i wzmacniać powstanie litewskie, a nie tworzyć jednej masy, która w razie klęski wobec przewagi nieprzyjaciela, mogła zgubić powstanie.

Moskale na Litwie zachowywali się zupełnie inaczej względem miejscowej ludności, aniżeli w Królestwie: — o ile w Królestwie starali się nie drażnić chłopów polskich, o tyle okrucieństwa ich względem powstańców litewskich, którzy wpadli im w ręce, odznaczały się niesłychanem barbarzyństwem, pastwili się nad nimi jak tygrysy, wbijali na pale wziętych do niewoli, wyrywali im języki, ćwiartowali trupów... Któżby temu uwierzył dziś? A jednak tak było.

Na czele tych hord hulali dzicy Czerkiesi: wsie całe zostały puszczone z dymem, a setki trupów, ludzi zupełnie niewinnych, poniewierały się po drogach. — Postępowanie takie do najwyższego stopnia oburzało lud, który w obronie swoich siedzib porywał za siekiery i pałki i powiększał szeregi armii powstańczej. — Powstańcy przecinali komunikacyę, niszczyli mosty — zabierali prowianty — wszędzie byli i — gdzie ich znaleźć nie można było — staczali utarczki, kładli kilkadziesiąt trupów i — znikali w lasach.

Taki sposób wojowania dawał się bardzo we znaki Moskalom.

Wieść o wkroczeniu korpusu polskiego powitała Litwa jednym okrzykiem radości, cała ludność, złożona z Polaków i Litwinów, wyciągnęła

ręce ku sztandarom polskiego orła — ze łzami w oczach witano ukochanego ptaka — a Pogoń litewska, — rycerz na dzielnym koniu, z wzniesionym mieczem w prawicy, — całym pędem spieszył do bratnich szeregów z pomocą: — przypomniały mu się dawne wyprawy wspólne na Moskwę, na Tatarów, na Grunwald. Miecz litewski dawno już osechł z krwi wrogów, ale właśnie dla tego, tem bardziej był spragniony zabłyszczeć znowu słonecznie, jak przed dawnemi laty błyszczał pod swoim bohaterem — Witoldem, wojując wspólnie z Lachami, koroniarzami, z którymi go węzły serdeczne spajały przez wieki.

Noc majowa — urocza noc litewskiego nieba, pełna woni kwiatów leśnych, wyiskrzona tysiącami gwiazd z olbrzymim, jasnym księżycem na czele, pełna wrzawy słowików, rozciągnęła swoje opony nad pięknem miastem Rajgrodem, położonem na głównym trakcie, wiodącym z Królestwa do Kowna; — po lewej stronie miasta, sięgając nieledwie do podstaw jego, rozciągało się wielkie jezioro, dochodzące z drugiego brzegu do samej pruskiej granicy — po drugiej stronie traktu rozciągały się lasy liściaste — niewielkie tylko przestrzenie pól pod miastem, zasiane bujnem żytem, w tym czasie kwitnącem, kołysały się pod tchnieniem lekkiego wiatru.

Miasto Rajgród zajmowali Moskale pod dowództwem Lakena: — usypali dokoła okopy, drogę zatarasowali palisadami, ustawili artyleryę poza miastem, a mając bok jeden zabezpieczony głębo-

kiem jeziorem, drugi lasami, — spokojnie mogli oczekiwać nieprzyjaciela.

Laken o tyle nawet był pewny zwycięstwa, że nietylko postanowił bronić się w Rajgrodzie, ale dowiedziawszy się o zbliżeniu Polaków pod generałem Dębińskim, a nie znając prawdziwej jego siły, postanowił go podpuścić pod samo miasto, obejść swojem lewem skrzydłem lasami, otoczyć go i albo wepchnąć w jezioro, zatrzymawszy czoło oddziału polskiego swoją artyleryą i zgnieść lub zabrać do niewoli.

W całym Rajgrodzie nakazano zachować największą ciszę — zabroniono palić ogni na biwakach, a tymczasem lasami, krętemi drożynami, zdążały pułki za pułkami celem oskrzydlenia armii polskiej.

Generał Dębiński, w którego oddziale, w pułku 19 piechoty służyli trzej Luboradzcy, znajdował się na postoju o milę jeszcze od Rajgrodu.

Żołnierze zmęczeni pochodem całodniowym, rozpalili ogniska dla ugotowania strawy, nie zasypiali jednak, bo rozkoszne, wiosenne powietrze trzeźwiło i napełniało żądzą życia.

Major, Klemens Luboradzki, starzec z białą jak gołąb głową, siedział na bębnie i otaczał się dymem swojej fajki — niedaleko przy ognisku oparłszy głowę o tornister leżał 14-letni Jaś, a 16-letni Aleksander, wydobył z tornistra kawał chleba i potężną porcyę mięsiwa wędzonego, usiadł przy bracie i zabierał się do jedzenia.

— Chodźcie tu, chłopaki — odezwał się major

do synów — siądźcie koło mnie i spożyjmy razem dary Boże tak — jak to czyniliśmy w Luboradzu.

Podporucznik Aleksander, gdyż już w bitwie Ostrołęckiej uzyskał ten stopień i Jaś podchorąży spiesznie zbliżyli się do ojca i wypełnili polecenie.

— Noc piękna — mówił zamyślony major — taka sama tam jasność świeci i nad Luboradzem.

— A matka może w tej chwili wpatruje się w te gwiazdy — rzekł Jaś — i pyta ich, czy nas nie widzą? Czy jej coś o nas powiedzieć nie mogą.

— Być może, że spojrzenia nasze wspólnie teraz skierowane są na te piękności natury — mówił major — świat piękny — bardzo piękny — ziemia zaś nasza najpiękniejsza ze wszystkich, które widziałem, a widziałem ich dużo od Madrytu aż do Moskwy — niema, niema jak Polska ziemia—w żadnej tak słodko nie można spocząć, jak w niej.

Aleksander spojrzał na starca zadziwionym wzrokiem — skąd mu się wzięło to niezwykłe u niego rozczulenie — ale i stary żołnierz sam otrząsnął się z tej melancholii i rzekł:

— Odbyliśmy znaczny dziś marsz, każdy krok przybliża nas do Litwy! — Szkoda tylko, że tego, przed kilku miesiącami nie uczyniono, ale wszystko da się jeszcze naprawić. Dębiński, dzielny dowódzca, narobi tu takiego bigosu, że Moskale nie będą go mogli strawić.

— Ale Chłapowski coś nieprzyjaźnie usposobiony dla niego a i Giełgud krzywo na niego spogląda — rzekł Aleksander.

— Zwykłe to niesnaski w polskiej naturze — ale gdzie idzie o wspólną robotę, tam będą wszyscy

razem, nie wątpię ani o Chłapowskim ani o Giełgudzie. — Nie wiem, czemu mi jednak dziś jakoś smutno, całe roje wspomnień młodości cisną się przed oczy — ale precz widma, jutro, gdy słońce zaświeci spotkamy się zapewne z Moskalami i rozjaśnią nam się myśli, tymczasem przeżegnajmy się chłopcy i oddawszy się w opiekę Bogu, spocznijmy.

W tem rozległ się tętent koni wśród ciszy nocy i przed biwakiem majora stanął na koniu podporucznik Pniak, nie zsiadając z konia, salutując, odezwał się:

— Panie majorze, meldują, że znaczny oddział powstańców litewskich zbliża się ku nam, wyłonił się z lasów, prowadzi go książę Ogiński, zatrzymano go na forpocztach.

— Wybornie! Aleksandrze, jedź natychmiast do generała Chłapowskiego i zamelduj mu tę dobrą wiadomość.

Któżby poznał teraz w dzielnym jeźdźcu, ozdobionym już szlifami oficerskiemi dawniejszego braciszka Bernardynów: — opalony od słońca, z twarzą zgrubiałą od zimowych wiatrów, w pięknym mundurze z rycerską postawą, ten chłopski syn nie ustępował w niczem paniczom.

Major w towarzystwie Pniaka, dwóch swoich synów i kilku oficerów udał się natychmiast na spotkanie przybywającego oddziału ochotników księcia Ogińskiego.

Jasna, miesięczna noc pozwalała z całą dokładnością rozpatrzyć piękny widok, jaki przedstawiał rozłożony na piaszczystem wzgórzu oddział przybyłych powstańców.

Na widok majora zbliżającego się z otoczeniem — odezwały się litaury litewskie: — muzyka ta, przy której odgłosie starzy Kiejstut, Olgierd i Witold prowadzili na wrogów swoje zastępy, nieznana koroniarzom — dziwnem uczuciem przejęła serca: — pieśń litewskiego rogu smutna, a jednak energii pełna — ciągliwa i ciemna jak ich nieprzebyte lasy, a jednak rozbudzająca do czynu; ma ona to do siebie, że każdy, kto ją posłyszy, nuci ją w duszy, współczuje ją, zdaje mu się ona od dawna znaną, przetęsknioną, przypominająca mu w nieznanych dźwiękach dawne życie — może z przedtysiącletniego istnienia!....

Książę Ogiński przyprowadził z sobą 1000 ochotników, umundurowanych swoim kosztem, dobrze uzbrojonych — z nimi połączył się oddział 160 akademików wileńskich ze swoim profesorem Gronostajskim na czele; młodzież ta pełna zapału, odniosła niedawno świetne zwycięstwo pod Osztortanami i ociekająca jeszcze krwią i potem, stawała do apelu.

Oddział akademików wileńskich pełen zapału, entuzyazmu, rozgorączkowany stoczonemi bitwami, gotowy na wszelkie ofiary, na pierwszy rzut oka dziwny jednak przedstawiał widok. Wynędzniali trudami pochodów, wymykający się jak stado żubrów, otoczone liczną psiarnią — w najrozmaitszych ubiorach w jakich opuścili mury uniwersytetu, ale uzbrojeni w broń dobrą, którą zdobyli na nieprzyjacielu, bo prawie bezbronni wyszli z Wilna; — tak hardo przecie nosili głowy, że

czuć było, że znają swoją wartość i oczekują uznania od naczelnego wodza.

Ogiński i Gronostajski wystąpili przed front i oddawszy wojskowe honory majorowi, zameldowali swoje przybycie.

Major wyciągnął rękę do nich, serdecznie ich uścisnął i oświadczył, że już dał znać dowódzcy o ich przybyciu.

Młodzi oficerowie weszli pomiędzy akademików; zaczęły się powitania, uściski, wynurzenia i opowiadania przebytych trudów i walk.

Tymczasem przybył adjutant na koniu od generała Chłapowskiego i zakomunikował majorowi Luboradzkiemu polecenie dowódzcy.

— Przybyły oddział powstańców litewskich ma się zatrzymać w miejscu, gdzie go ten rozkaz dojdzie i z bronią u nogi czekać przybycia generała.

Rozkaz przyjęto w milczeniu, żołnierze oparli się na karabinach i spodziewali się lada chwila ujrzeć upragnionego dowódzcę.

Krótka majowa noc miała się już ku końcowi: — już brzaski dnia lazurem zaczęły złocić obłoki — a ciszy nic nie przerywało, — nie widać było generała.

Zmęczony oddział całodniowym pochodem i dokuczliwie dającym mu się odczuwać głodem, zaczął się niecierpliwić — ale groźne spojrzenie Ogińskiego nakazało cichość i szeregi oparte o lufy karabinów stały milczące — słońce się już podniosło znacznie, opary jeziora zaczęły opadać, powierzchnia fal jego, przed chwilą jeszcze srebrna, teraz bły-

szczała lazurami złota a w nadbrzeżnych oczeretach, rozległ się gwar dzikiego ptactwa i cichł pomału.

Nareszcie od strony polskiej około godziny 8 pokazał się mały oddział jeźdźców: — przybywał wódz naczelny.

Postawa generała Chłapowskiego zaiste mogła imponować — okazały wzrost, świetny mundur generalny, dzielne prowadzenie konia i dumny rzut oka, nakazywały uszanowanie — a świta otaczająca go powiększała blask.

Na widok zbliżającego się wodza szeregi się uformowały, rozwinęły chorągwie — odezwały litaury i trąby.

Ogiński wystąpił przed front i zameldował swoje przybycie.

Chłapowski grzecznie, ale zimno skłonił się księciu i przejechał przed frontem, nie okazując żadnego ukontentowania z przybycia ochotników i rozpatrywał jakby z lekceważeniem twarze Żmudzinów.

Wystąpił na front profesor Gronostajski i w pięknej, pełnej patryotyzmu mowie, wypowiedział pragnienie ludu litewskiego, jego patryotyzm, gotowość do poświęceń i zarazem radość, że może powitać na ziemi litewskiej tak dzielnego wodza.

Jakież było zdumienie i niezadowolenie wszystkich, gdy Chłapowski lekceważąco rzucił wzrok po oddziale walecznej młodzieży, nędznie ubranej i uzbrojonej w broń, zdobytą na nieprzyjacielu, również lekceważąco spojrzał na zasłużonego profesora i nic nie odpowiedziawszy, oddalił się.

Cichy pomruk dał się słyszeć w szeregach akademików. — Oni, którzy wśród życia akademickiego pałali żądzą czynów, którzy na pierwszą wieść o powstaniu w Polsce, nie wahali się porzucić mury świątyni nauk, nie wahali się opuścić starych rodziców, siostry, braci, niektórzy majątki — słuszną mogli rościć nadzieję, że zasługi ich uznane zostaną, tem bardziej, że w licznych potyczkach, które już stoczyli, dali dowody nieustraszonego męstwa; podobnież ten stary już, zasłużony profesor Gronostajski, który życie swoje całe poświęcił sprawie narodowej, który w wykładach swoich, pod grozą zesłania na Sybir, nie wahał się rozbudzać ducha narodowego, a teraz dopiąwszy tego celu, rozbudziwszy w młodzieży zapał, porzucił ukochaną żonę i dwoje dzieci i mierzył się z moskiewską siłą, mając z sobą 200 młodzieży — dziś pozostało mu z nich tylko 160 — czterdziestu krwią swoją zrosiło ziemię litewską, reszta gotowa była ich naśladować.

Czyż ta młodzież, ten zasłużony mąż nie mogli być słusznie zrażeni takiem przyjęciem?

Rozważny jednak umysł profesora Gronostajskiego natychmiast uznał szkodliwem okazanie niezadowolenia, zrozumiał, że popuszczając wodze nieukontentowaniu osobistemu, wprowadzi się niesurbordynacyę w szeregi; więc kilku słowy uspokoił młodzież i uciszył pomruki.

W oddziale powstańców, przyprowadzonym przez Ogińskiego znajdowały się dwa szwadrony ułanów w granatowych mundurach z aramantowymi rabatami; dowodził nimi stary, bardzo zasłużony, krzyżem legii honorowej ozdobiony oficer Horo-

dyski. — Oficer ten jeszcze z czasów kampanij napoleońskich znany był dobrze Chłapowskiemu: niestety kiedyś miał z nim jakieś zajście... Mściwy umysł generała zachował to w pamięci, więc teraz bez żadnego powodu nie tłumacząc się ani słowem, odebrał komendę Horodyskiemu i powierzył ją jakiemuś młokosowi z liczby oficerów, których z sobą przyprowadził. Ze zdumieniem wszyscy spoglądali na ten czyn samowoli i nie starali się ukryć swego oburzenia.

— Generale — odezwał się Ogiński — pozwól sobie powiedzieć, że kapitan Horodyski jest zasłużonym oficerem i patryotą.

— Co! — zawołał z gniewem generał, zwracając się do księcia: — pan chcesz wprowadzić niesubordynacyę w szeregi? — Czy myślisz pan, że znajdujesz się na sejmiku w swoim powiecie? — Milczeć i słuchać!

Po chwili dopiero, udobruchawszy się, dodał, widząc, że książę się zasępił:

— Kapitan Horodyski inne dostanie przeznaczenie, tymczasem tak się stanie, jak rozkazałem.

Tak Horodyski, jak Gronostajski i młodzież akademicka nie wyrzekli ani słowa protestu, znieśli z pokorą i w milczeniu niesprawiedliwość, wyrządzoną im przez generała, w którym teraz cała Litwa wszelką pokładała nadzieję i postanowili uczciwie zastosować się do kaprysu i chociażby na najniższych stopniach pełnić służbę dla ojczyzny.

W chwili, kiedy Chłapowski oddalał się od stojącego oddziału powstańców, przybył w towarzystwie dwóch tylko adjutantów generał Dębiński; przy

nim też znajdował się ksiądz na koniu w sutannie: — twarz tego człowieka dziwną jaśniała świętością, długie włosy spływały mu na ramiona, w ręku prawem zamiast szabli trzymał krzyż z czarnego dębu wyrobiony: był to ksiądz Adam Loga. — Młody ten kapłan z Księstwa Poznańskiego rodem, przybył razem z Chłapowskim; we wszystkich utarczkach, jakie dotąd stoczył generał, ksiądz Loga zawsze z krzyżem w ręku postępował na czele szeregów i prowadził do zwycięstwa; nie wahał się też nieraz gorzkie słowa prawdy wypowiedzieć generałowi, ścierając jego pychę.

Generał Dębiński przybywszy przed front, zeskoczył raźno z konia, uścisnął Ogińskiego, a kiedy mu ten przedstawił swój oddział i ochotników Gronostajskiego, ten natychmiast podał rękę zacnemu profesorowi, dziś komendantowi oddziału i zbliżywszy się do stojących akademików, a dopatrzywszy pośród nich chłopczynę bardzo wymizerowanego, obdartego, z raną niezagojoną przez czoło — skinął na niego, żeby się zbliżył i roztworzywszy ramiona, czule go uściskał.

— To jest pozdrowienie dla wszystkich was, dzielna młodzieży, w tym jednym pozdrawiam, w tym jednym uścisku łączę się z wami wszystkimi: Niech żyje młódź litewska!

— Niech żyje dzielny generał Dębiński — odpowiedzieli dzielni akademicy i szeregi rozłamały się, porwano generała na ręce i obnoszono w tryumfie.

Ksiądz Loga podniósł rękę do góry i głosem uroczystym wyrzekł:

— Pozdrawiam was i błogosławię dzielni rycerze Polski!

Młodzież litewska swych czasów głęboko jeszcze przechowywała w sercach uczucia religijne — widok czcigodnego kapłana, wsławionego już swojem poświęceniem, zawsze na przedzie idącego z krzyżem w ręku a miłością w sercu i słowami zachęty na ustach, wynędzniałego od trudów obozowych — silne zrobił wrażenie: zbliżono się do niego, z uwagą słuchano słów pojednania — na skargi wytoczone przeciw Chłapowskiemu i wkrótce zatarło się niemiłe zajście.

Rozpalono ogniska, nastawiono kotły, żołnierze gotowali się do spożycia pokarmu — gdy w tem niespodzianie rozległ się głos armatniego strzału gdzieś ponad brzegami jeziora, wkrótce zawtórowały mu inne i w tejże chwili w największym galopie przybył adjutant od Chłapkowskiego, przywożąc rozkazy Dębińskiemu.

Dzielny generał przez chwilę tylko się namyślał, natychmiast rozkazał powywracać kotły z gotującą się strawą, zatrąbić sygnał alarmowy i wszystkim oddziałom kazał być gotowym do marszu.

Smutnie niejeden z żołnierzy wygłodzonych spojrzał na tarzające się w piasku kawały mięsa, ten i ów pochwycił coś nie coś, schował do torby i stanął w szeregu.

Generał moskiewski Saken, zajął z liczną piechotą miasto Rajgród, na wzniesieniu za nim ustawił swoją artyleryę a na głównym trakcie, — po bokach, rozciągały się szeregi kawaleryi, złożonej

z pułków dragonów, ułanów i kozaków z Czerkiesami.

Postanowił nietylko bronić Rajgrodu, ale nie wiedząc, jakie ma siły przed sobą, śmiałym ruchem zamyślił oskrzydlić, nieprzyjaciela, lub rozpołowić go i zabrać do niewoli.

Po prawej stronie armii rosyjskiej rozciągało się ogromne jezioro, przechodzące aż za granicę pruską, brzegi błotniste, pełne trzęsawisk, przecinała tylko jedna wązka dróżka, wydeptana przez lato, z tej więc strony Saken czuł się doskonale zabezpieczonym.

Nad głównym gościńcem, przecinającym Rajgród, na wzgórzu, za miastem, ustawiono armaty, a domy mieszkańców, zajęte przez piechotę strzelców finlandzkich, silną stanowiły przeszkodę, prawie niemożebną do zdobycia w otwartym boju, zwłaszcza dla świeżej niewyrobionej armii, złożonej z ochotników; — po lewej stronie wokoło miasta ciągnęły się wązkim pasem pola, w tej chwili pokryte tak bujnem, kwitnącem żytem, że ledwie można było widzieć z niego rogi pędzonego bydła na paszę; — jeszcze dalej w lewo, poza działami zboża, ciągnął się czarny, liściasty las, przez który szły dwie drożyny w kierunku południowym.

Armia polska znajdowała się na samym froncie. — Dębiński ani chwili nie namyślając się, wydał spieszne rozkazy i wszystkie oddziały armii polskiej wyruszyły na swoje pozycye.

Armaty rosyjskie zaczęły grać ponad jeziorem i na czele armii, gdy tymczasem na lewem skrzy-

dle, na którem rozciągał się las, było zupełnie cicho. — Czy Dębiński miał już jakąś wiadomość od szpiegów, że manewr ten jest fałszywy i tylko demonstracyjny — czy też to gieniusz jego przewidział i odkrył prawdziwy cel wodza rosyjskiego oskrzydlenia przez lasy armii polskiej — niewiadomo — to tylko zadziwiło wszystkich, że główne siły, któremi rozporządzał skierował na sam środek, lekceważąc sobie obydwa boki.

Major, Klemens Luboradzki, dostał polecenie udania się ze swoim pułkiem, w którym byli obaj jego synowie, ponad same brzegi jeziora, zajęcia tam pozycyi i powstrzymania nieprzyjaciół — sam zaś Dębiński na czele kawaleryi ruszył prosto gościńcem do Rajgrodu, grad kul armatnich i karabinowych zasypywał gościniec — dzielna jednak jazda polska nie zwracając na to uwagi w największym galopie pędziła naprzód.

O jakie pół kilometra od miasta napotkała zatorowany palisadem gościniec. — Dębiński spostrzegł to i natychmiast rozdzielając swoje szwadrony na dwie połowy, puścił się naprzód, zostawiając po drodze ranne konie, lub jeźdców, a tak okrążywszy barykady, oddziały obydwa znowu połączyły się za niemi. Tymczasem piechota Ogińskiego z Gronostajskim i jego akademikami, biegnąc ile sił starczyło, opanowała barykady, bagnetami wykłuła obrońców i nie zatrzymując się, pospieszała dalej; — na małej ale urwiste brzegi mającej rzece, którą przebyć potrzeba było, most był rozebrany i stanowił silną przeszkodę, bo błotniste

brzegi niemożebne były do przebycia dla kawaleryi.

Tymczasem armia Sakena, dążąca przez lasy, wychyliła się z nich i chciała robiąc koło ku jezioru, okrążyć armię polską — ale tu napotkała samego Chłapowskiego, który dotąd nie pospieszył na pomoc Dębińskiemu.

Chwila była ważna — gdyby manewr ten udał się Rosyanom, armia polska byłaby istotnie zgubiona.

Chłapowski, mając pod swojemi rozkazami stare liniowe pułki żołnierzy z pod Grochowa i Ostrołęki, rachując na nich, odważnie przyjął zbliżającego się nieprzyjaciela i nietylko zatrzymał czoło jego kolumnom, ale zrobiwszy ruch naprzód ku Rajgrodowi, to jest idąc w ślady Dębińskiego, utworzył jakby ścianę żelazną i tym sposobem całe skrzydło lewe moskiewskie, znalazło się raptem samo, odcięte od głównej armii: — widząc to, zaczęło się ono spiesznie cofać w lasy, gęsto zaścielając drogę trupami.

Saperzy polscy zaczęli spiesznie most pod ogniem kartażon budować, a tymczasem pułki Chłapowskiego i Dębińskiego połączyły się i nie cofając się z miejsca, stały spokojnie pod gradem kul, czekając możebności przeprawy. Chłapowski ustawił swoje armaty na małym pagórku, zasłaniając ich ogniem pracujących saperów i tak oczekiwał końca roboty.

Budowa mostu pod ogniem nieprzyjacielskim nie była łatwem zadaniem, potrzeba było sprowa-

dzać drzewo ze świeżo ściętych chojaków i układać je.

Tymczasem Luboradzki że swoim batalionem, zbliżywszy się nad brzegi jeziora bez żadnej przeszkody, spostrzegł, że z tej strony można być spokojnym od nieprzyjaciela, który sądził, że same błota nadjeziorne, stanowić będą tamę i zasłonią go — zajął jednakże stanowczą pozycyę, rozkładając się w zaroślach olszowych. — Parę godzin upłynęło mu tam w bezczynności. — Bezczynność ta zaczęła w końcu bardzo męczyć starego żołnierza, a widząc opieszałe posuwanie się kolumn głównych, zatrzymanych przed mostem zrujnowanym — przedsięwziął zamiar nadzwyczaj zuchwały: — Słońce miało się już ku zachodowi, upał dnia zwolniał znacznie, żołnierze wypoczęli, nabrali fantazyi i ochoty, gdy major podniósł się i dał znak do powstania oddziałowi, dotąd spoczywającemu na ziemi.

— Poruczniku Pniaku! Weź 150 ludzi i idź zaroślami pod same miasto, nie dochodząc do niego, zatrzymaj się w ukryciu — a ty, poruczniku Luboradzki z równąż siłą, podsuń się pod ten wielki gmach, sterczący w mieście i staraj się zapalić go — ja z pozostałymi 400 ludźmi uderzę z frontu na załogę miasta, a gdy strzały się moje rozlegną, uderzcie całą siłą na nieprzyjaciela; tak mam nadzieję, że wyprzemy go z miasta, bo cała uwaga jego skoncentrowana jest w stronę naszej głównej armii.

Pniak natychmiast wykonał rozkaz — Aleksander stanął na czele drugiej kolumny, gdy ojciec zbliżył się doń i rzekł:

— Uściskajmy się mój synu.

Aleksander rzucił się w objęcia ojca.

— Idź z Bogiem i powracaj.

Skąd się temu staremu żołnierzowi wzięło na jakieś czułości w tej chwili, sam nie umiał wytłómaczyć; był pod Grochowem i Ostrołęką ze swojemi chłopakami, ognie tam piekielne otaczały ich wokoło, a nigdy podobne wzruszenie nie poruszyło jego serca; — dziś jakiś cichy smutek rozlał się na czole starca.

Obejrzał się, a widząc niedaleko stojącego Jasia, przyzwał go do siebie skinieniem ręki i również uściskał go.

Otrząsnął się jednak wkrótce i spokojnie patrzył na oddalające się obydwie kolumny.

Mrok już napełnił okolicę, — widocznem było, że nie zdążono postawić pomostu i że wodzowie polscy przeprawę odłożyli do następnego dnia — tymczasem odbywała jazda ściganie w lasach ustępującego, odciętego lewego skrzydła nieprzyjaciół: — wypędzono ich nareszcie na płaszczyznę i tu w popłochu uciekających zabijano, lub brano do niewoli.

Chłapowski zdecydował się, że gdy tylko most zostanie skończony, co dopiero nad ranem być może, armia przeprawi się i uderzy na Rajgród.

Przycichł ogień i artyleryi rosyjskiej — ogniska pokazały się na biwakach obu armii.

Noc zrobiła się pochmurna i dosyć ciemna — gdy w tem łuna pożaru roztoczyła się nad dachami miasteczka, zaczął się palić wielki gmach, sto-

jący na jednym jego końcu — jednocześnie odezwały się wystrzały w mieście — słychać było ogień karabinowy i krzyki mieszkańców.

Pniak i Luboradzki dopełniali danego im zlecenia, a major sam w tejże chwili na czele 400 ludzi z głośnym okrzykiem wchodził w ulice miasta.

Jeden tylko batalion strzelców finlandzkich zajmował domy przyległe ulicom, drugi rozłożony w rynku biwakował przy ustawionych w kozły karabinach — gmach, który udało się Aleksandrowi Luboradzkiemu podpalić był starym spustoszałym klasztorem, stał na wzniesieniu, a stąd ogień jego było widać na całą okolicę.

Na ten sygnał wysunął się Pniak z zarośli i szybko zbliżył się ku rynkowi — Aleksander z przeciwnej strony śmiało postępował naprzód: — ogień karabinowy zaczął się sypać ze wszystkich okien, ale wkrótce domy drewniane zaczęły się zapalać jeden za drugim i krwawa łuna pożaru roztoczyła się naokoło. — Kompanie Pniaka i Aleksandra zdobywały dom jeden po drugim i pomału zbliżały się ku rynkowi, na którym zaciętą już walkę prowadził sam major z dzielnie opierającym się batalionem Finlandczyków. — Przed przewagą jednak polskiego bagnetu szeregi nieprzyjacielskie zaczęły ustępować i cofać się do stojącego kościoła, którego drzwi wywalone leżały na ziemi: — w niem zgromadziło się już mnóstwo kobiet i dzieci, a teraz gdy i finlandcy żołnierze doń się wpakowali, zapełniony był cały.

Major z bagnetem w ręku sam prowadził swoich nieustraszonych żołnierzy, tuż przy boku jego

postępował 14 letni Jaś i kilku dzielnych żołnierzy. Finlandczyczy, widząc się otoczeni, zaczęli wołać „pardon” i wszyscy schronieni do kościoła, złożyli broń; — widząc to rozpierzchnięci po mieście żołnierze zaczęli uciekać, gdzie który mógł, padając pod strzałami karabinów polskich.

Lecz z poddaniem się Rajgrodu nie ustała jeszcze walka, główne siły znajdowały się poza miastem rozłożone, a gdy most tymczasem ustawiono, major Jaroma zdobył wieś Budy Rybacze — a kapitan Krosnowski, który się w potyczce pod Liwcem walecznością odznaczył z batalionem 7-go pułku, przebrnąwszy rzekę wpław, wśród najstraszniejszego ognia nieprzyjacielskiego, zdobył bagaże i mnóstwo amunicyi, którą Moskale rzucali, uciekając.

Teraz Dębiński wszedł do miasta zajętego już prawie przez Luboradzkiego, tu pułkownik rosyjski poddał mu się z 1,200 ludźmi.

A Saken z niedobitkami swemi uciekał, ile mu sił starczyło! Ścigał go Ogiński na czele swojej jazdy i pułkownik Szymanowski i urwać jeszcze potrafiono z cofającego się oddziału 1,500 ludzi, pomiędzy nimi 19 oficerów; zabrano także broni palnej tyle, że nią uzbrojono wszystkich kosynierów.

Przez ustąpienie Sakena z Rajgrodu, droga w głąb Litwy była otwarta — a gdyby Chłapowski, jak mu to radził Dębiński, wysłał był całą swoją kawaleryę w pogoń za Sakenem, klęska byłaby zupełna.

Polacy stracili zaledwie stu żołnierzy, ale poległ pomiędzy nimi waleczny major Mycielski w

chwili bohaterskiej szarzy na armaty, z których 6 zdołano zdobyć.

Major Luboradzki po zajęciu Rajgrodu, nie czekając na dalsze rozkazy i oddawszy miasto w posiadanie Dębińskiemu, sformował pospiesznie swój pułk i puścił się w ślad za kawalerya Szymanowskiego, zabierając po drodze mnóstwo jeńców.

Obydwaj synowie towarzyszyli ojcu — Aleksander wyszedł cało z krwawej walki, ale 14-to letni Jan, podporucznik, lekko został ranny odłamkiem kartacza w rękę.

Ojciec widząc upadającego syna, spiesznie zbliżył się do rannego, przekonawszy się jednak, że rana jest lekka, rzekł, uśmiechając się:

— Zostałeś pasowany teraz na prawdziwego rycerza Janku, niedługo się to zgoi, a teraz każę cię zaprowadzić do ambulansu, żeby ci opatrzono ranę.

— Niema potrzeby, ojcze — odrzekł zuchwały chłopak — rana przewiązana chustką jest nic nie znacząca, krew się wkrótce zatamuje, a ja towarzyszyć mogę oddziałowi i ścigać wrogów.

— Dobrze, niech tak będzie — rzekł ojciec.

Major z dumą teraz spojrzał na swego bohaterskiego syna — chłopię tymczasem podało rękę zranioną ojcu, który troskliwie ją obwiązał.

Kompania tymczasem, nie zatrzymując się, ścigała pierzchającego wroga: — gościniec zarzucony był różnego rodzaju sprzętami — zarówno karabiny jak i zapasy żywności poniewierały się, połamane wozy i ranni żołnierze zapełniali drogę.

W chwili, kiedy major wydawał nowy rozkaz do pośpiechu — niespodzianie z boku rozległ się strzał pojedynczy; bujne żyto dało schronienie uciekającym sołdatom rosyjskim;... jeden z nich wychylił się teraz ze zboża, trzymając jeszcze dymiący karabin w ręku... Fatalny, straszny strzał! — Major padł na ręce syna z przestrzeloną piersią i krew starca pomieszała się z krwią dziecięcia.

Żołnierze rzucili się w zboże z bagnetami w ręku, tam znaleźli śpiących kilkunastu tak pijanych Moskali, że jak kłody drzewa powywłóczyli ich za nogi na drogę, — a ten, który z nich był najmniej pijany i który ocknąwszy się, przypomniał sobie, że trzeba strzelać, — stał teraz zuchwale, trzymając nadstawiony bagnet; na wszystkie wezwania do poddania się, odpowiadał obelgami — rzucono się nań i zakłuto go bez miłosierdzia.

Jaś uklęknął na ziemi, uniósł ciało do połowy, położył głowę ojca na swoich piersiach i nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w twarz ojca. Rozerwano mundur na piersiach walecznego starca, mała tylko struga krwi wypływała z rany, na pierwszy rzut oka, zdawało się, że rana nie jest śmiertelną.

Starzec nie stracił przytomności, ale został bez władzy — zatrzymała się obok niego gromadka żołnierzy.

— Dalej — marsz! — ścigać bez przerwy — wyszeptał raniony.

Żołnierze posłuszni puścili się w dalszą pogoń zostało tylko czterech i ci rozciągnąwszy płaszcz

wojskowy na karabinach, złożyli nań rannego i tak unosili go z pola bitwy.

W tej chwili na czele swego oddziału przybył Aleksander: wieść go już doszła o nieszczęściu, z zakrwawionym bagnetem w ręku, szybko zbliżył się do jego kolan, zanosząc się od płaczu, jak dziecko.

Major otworzył oczy zamglone — wyciągnął do niego rękę, położył na jego głowie i cicho wyszeptał:

— Skończyło się — żegnajcie wszyscy — wszyscy ci, co tu i ci co tam zostali... Żegnajcie!

Gorączka zaczynała już działać: — w jednej chwili zmienionym głosem zawołał:

— Nie traćcie czasu — ścigać! Ścigać bez przerwy! — Poruczniku rozkazuję ci: — Marsz! — Naprzód!

A kiedy synowie ociągali się ze spełnieniem rozkazu, nie chcąc odstąpić rannego — chciał coś jeszcze silniej przykazać, ale głowa opuściła się na piersi i zemdlał....

Zaniesiono rannego do jakiejś przydrożnej chałupy, pustej teraz zupełnie i złożono go na nędznem łóżku, zasłanem słomianym barłogiem. Zjawił się niedługo felczer żyd, doktora nie tak łatwo można było wyszukać: — zdjęto mundur, teraz krew puściła się już obficiej — felczer obejrzawszy ranę, pokiwał głową obojętnie i oświadczył, że kula pozostała we wnętrzu, a on bez doktora nic nie poradzi.

Przybył nareszcie oczekiwany doktor — zapuścił sondę w otwór zrobiony kulą — gdzieś głębo-

ko namacał ją; nie tracąc czasu, szybko zrzucił mundur, kazał przynieść wody — przygotować miski i ręczniki; przy pomocy felczera, złożono chorego na dużej, dębowej ławie, która miała zastąpić stół operacyjny; jaszczyk z lekarstwami gdzieś daleko jeszcze się znajdował, na razie nie mógł więc być spożytkowany.

Doktor obejrzał się, a widząc obydwóch synów majora obecnych, stojących nieruchomo — rzekł:

— Położenie groźne — operacyi natychmiast dopełnić muszę — lepiej będzie, jeżeli panowie obydwaj opuścicie to miejsce.

— Nie, nie — odezwały się jednocześnie dwa głosy — w takiej chwili nie opuścimy ojca.

Doktor spojrzał na młodzieńców i odrzekł:

— A więc trzeba tu okazać siłę woli i być posłusznym moim rozkazom; jeden z panów musi rannego trzymać za ramiona, przyciskając do stołu, drugi musi podtrzymywać ręce, żeby nie przeszkadzały operacyi — czy zdobędziecie się na tyle męstwa?

Oblicza obydwóch młodzieńców jeszcze więcej zbladły — wzajemnie spojrzeli po sobie i jakby sobie nawzajem dodawali odwagi, odrzekli:

— Dla ocalenia ojca na wszystko starczy nam odwagi.

W owych czasach nieznane były jeszcze środki znieczulające i usypiające przy wszelkich operacyach, jakiemi dzisiaj rozporządza medycyna — chirurg krajał ciało, ucinał ręce i nogi i nie miał środków zmniejszenia bólu.

Jakże targały się serca tych dwóch młodzieńców, w jakich torturach wyciągnięte były ich nerwy, jakiej nadludzkiej siły potrzeba było, ażeby zachować przytomność umysłu i zimno spełnić powinność, spokojnie, bo najmniejsze pofolgowanie uczuciu, najmniejsze osłabienie woli, a ruch niewczesny chorego mógł spowodować katastrofę.

Doktor jeszcze raz spojrzał badawczo w twarze młodzieńców, ale dostrzegł widać we wzroku ich tak silne postanowienie wytrwania, że uspokojony zabrał się do operacyi — starannie obmył ranę wodą, przeżegnał się (wówczas jeszcze doktorzy żegnali się w chwilach stanowczych) i zapuścił szczypce w ranę, chory wyprężył się, otworzył oczy, świadomość błysnęła w nich na chwilę, poznał synów, nic nie mówiąc zacisnął zęby i spuścił powieki.

Zdawało się, że wieki trwa to szukanie w ranie, każdy obrót szczypców wiercił nietylko w piersiach rannego, ale powtarzał się, potęgował w cierpieniach synów: — jak automaty, jak maszyny bezduszne spełniali swoją powinność — doktor nie odwracał oczu od pacyenta, ręka jego bez drżenia coraz głębiej zapuszczała kleszcze i o, chwilo szczęśliwa, szczypce roztworzyły się w ranie, rozszerzyły — ujęły kulę i z tryumfem wydobyły ją na wierzch — teraz doktor uśmiechnął się i spojrzał na obu synów rannego — zimny pot spływał im z czoła, wargi zsiniały i lekkie drżenie przechodziło po ciałach.

— Mamy ją! — zawołał uradowany doktor. — Odstąpcie teraz panowie.

Major leżał bezwładny, nie dając znaku życia: — wyprężony, usta sine, białka tylko oczów bły-

szczały, cała czaszka obnażona z włosów, zżółkła, po bokach tylko białe włosy otaczały ją, jakby koronką.

Obaj chłopcy rzucili się na kolana i chwyciwszy opadające ręce starca, skropili je łzami.

— Stanowczo proszę ustąpić — następuje okres gorączki — cisza i spokój są niezbędne — proszę wyjść.

Wyjść i może już nigdy nie zobaczyć tego szlachetnego wzroku, — nie usłyszeć lubego głosu, pożegnać się na wieki?! — Młodzieńcy nie spieszyli się spełnić rozkaz doktora; ten, pojmując całą tragiczność położenia, wziął obu lekko za ramiona i wyprowadził z chaty, zostawiając chorego pod opieką felczera, obandażowawszy jeszcze poprzednio ranę. — Gdy wraz z doktorem znaleźli się przed chatą, kiedy ich owiało powietrze, odwaga i promień nadziei zawitały do serc.

— I cóż, panie doktorze? Jaki stan chorego? — zapytał Aleksander.

— Jak zwykle w takich razach — nastąpi gorączka.

— Ale czy jest nadzieja ocalenia?

— Ja nigdy nie tracę nadziei, dopokąd życie trzyma się chociażby na jednym włosie — i twarz doktora okryła się maską... nieprzeniknioną...

Wróćmy do opisu i spraw armii polskej.

Porażka nieprzyjaciela pod Rajgrodem była zupełną, korpus Sakena cofał się, a raczej uciekał ile sił; otwarta była brama do Litwy jak ramiona Litwinów na przyjęcie braci koroniarzy — trzeba tyl-

ko było śmiało bez wahania przekroczyć progi zaczarowanej okolicy, iść bez wahania na Wilno i Kowno, przeciąć komunikacyę armii posiłkowej i rozpłomienić pożar powstania na wszystkie strony. Wielkie to zadanie pojmował jeden Dębiński tylko! Naczelny wódz Giełgud nie dorósł do tego stanowiska, upojony powodzeniem, spoglądał więcej na swoją sławę i interesa partyi, niż na sprawę ogółu, — zarówno zdolny rozbudzić w sobie szalone nadzieje, jak i przejść przy małem niepowodzeniu do zupełnego zwątpienia.

Chłapowski, który znał całą małotę wodza, który spodziewał się, dosyć zresztą słusznie, że naczelne dowództwo jemu powierzone zostanie, doznawszy zawodu swojej dumy i przechodząc pod rozkazy Giełguda zachował w sercu zawiść i żal; zaczął teraz zachowywać się biernie, rady których udzielał niechętnie Giełgudowi, równie niechętnie przyjmowane, musiały zrodzić niepewność poruszeń, wahania się, opieszałość i zawieść najpiękniejsze nadzieje.

Wojska przebywały Niemen i znalazły się na złotem litewskiem wybrzeżu — nie w tem jednek miejscu gdzie powinne były stanąć, bliżej Wilna, ale w majątku Giełguda, Giełdziszkach, które chciał uczynić historycznem miejscem swojej sławy.

Wspaniała uczta odbywała się w zamku na cześć imienin naczelnego wodza: — powstrzymano pochód i oddano się słodkim marzeniom — a Moskale tymczasem gromadzili nowe siły w Wilnie, które dotąd było prawie ogołocone z wojska i łatwe do wzięcia.

Jakkolwiek cała już nadniemeńska okolica zajęta była przez Polaków, snuły się jednak po niej liczne kupy kozactwa, a zwłaszcza Czerkiesów, odznaczających się okrucieństwem i dopuszczających się nadludzkich barbarzyństw: — nic dla nich nie było świętego, czy to żołnierz wzięty z bronią w ręku, czy ranny w lazarecie, dziecko czy kobieta, starzec lub mąż, wszystko padało pod okrutnymi ciosami ich kindżałów barbarzyńskich — dla tego lazaretów z rannymi nie pozostawiano w miejscach bezbronnych, które opuszczało wojsko, postępując dalej, ale wleczono je za sobą, z miejsca na miejsce się przenosząc.

Ranni więc i chorzy z oddziału Chłapowskiego ulegali temuż samemu losowi.

Na dużej wyspie, położonej w środku Niemna, znajdowało się kilka chat litewskiego ludu, numy te (tak nazywają te chaty), ukryte w cieniu starych wierzb, otaczających je naokoło, prawie z brzegów rzeki były niewidzialne.

Około num takich świergotało ptactwo swobodnie; nie zważając na huk armatnich strzałów, rozlegających się po brzegach. — Tu założono lazaret polski.

Jedna z takich num zbudowana z bierzwion dębowych, dach miała pokryty jodłowemi darnicami, na które nasypano ziemię, obecnie porosłą bujną murawą, zabezpieczającą od pożaru, dwa małe okna, z zielonemi szybkami — dwoje drzwi naprzeciw siebie, jedne, małe, przeznaczone dla ludzi, a drugie duże dla wpędzania bydła, które zimową porą mie-

ściło się w numach wraz z ludźmi; — nad drzwiami wyrąbano małe otwory dla wypuszczenia dymu i przepuszczenia światła; otwory te stanowiące wentyle, w czasie zimy zasuwa się deszczułkami; — w pośrodku numy wykopano jamę na półtory łokcia głęboką — okrągłą, brzegi tej jamy wyłożono płaskimi kamieniami; jama stanowiła ognisko, z którego dym zaścielał całą izbę i dopiero napotkawszy otwory nad drzwiami wynosił się.

Major Luboradzki znalazł schronienie w takiej chacie — ponieważ była to letnia pora i ogniska nie potrzeba było rozniecać, przez otworzone na przestrzał drzwi dochodziło świeże powietrze, a fale Niemna chłodziły upał dnia i świergot ptasząt się odzywał z gałęzi drzew; było to więc względnie bardzo miłe przytulisko.

W numie znajdowała się teraz stara kobieta i dwoje dzieci, mąż flisak popłynął z klepkami na rzece do morza.

Major niby przychodził do siebie, ale gorączka jeżeli na jakiś czas ustąpiła, powracała znowu bez powodu i gra pomiędzy życiem a śmiercią była dotąd nie rostrzygnięta.

Obydwaj synowie, pełniąc obowiązki oficerów, dorywczo tylko mogli doglądać chorego ojca — zostawał więc tylko pod opieką ordynansa, starego żołnierza.

W tej chwili majora opuściła trochę gorączka, świadomość powróciła na jakiś czas — otworzył więc oczy i zaczął się przypatrywać otoczeniu.

Kobieta wydostała z szafy garnek mleka słodkiego, wylała go na dużą miskę i postawiła na zie-

mi; dzieciaki z drewnianemi łyżkami raźno zabrały się do jedzenia, trzymając w rękach spore kawały czarnego chleba.

Wtem dał się słyszeć lekki jakiś szelest w kącie chaty, tam, gdzie właśnie znajdowało się łoże majora; jakieś ciche, jakby szept sykanie się rozległo; ku zdziwieniu chorego z pod jego łóżka wyczołgał się spory, srebrno nakrapiany wąż... podnosił na kilka cali głowę w górę, rozejrzał się po izbie, sykając ciągle, i bez pośpiechu, pomału zaczął się czołgać do miski, stojącej na ziemi, z której jadły dzieci.

Majora ten widok nietylko zadziwił ale i zaniepokoił — słabym więc głosem zawołał:

— Kobieto! wąż idzie do dzieci.

— To nic panoczku, to nasz stary duch domowy; on tu już 20 lat mieszka razem z nami.

Wąż tymczasem przyczołgał się do miski z mlekiem, uniósł się i zaczął pić mleko.

— A to już wylazłeś stary — rzekł jeden chłopczyna i bez ceremonii lekko uderzył węża łyżką; wąż syknął głośniej, opuścił zajmowane miejsce, przeszedł na drugą stronę i znowu zaczął pić mleko.

Młodszy chłopiec tymczasem posiliwszy się, położył już łyżkę i zaczął głaskać węża — jakiś czas delektował się słodkim napojem — potem podniósł znowu swoją ładną główkę, zasyczał, opuścił miskę i zbliżywszy się do dzieciaka, spiął mu się do szyi, obwinął ją jakby sznur paciorków i widocznie pieszcząc się sykał, jakby coś szeptał do ucha

malcowi; — ten go brał w rękę, podnosił, bujał w powietrzu, głaskał i odzywał się doń.

— A co, najadł się stary? — A dobre mleko? — A może jeszcze spróbujesz chleba?

— Nie męcz starego ducha, nie ściskaj go za bardzo — odezwała się matka i odebrała chłopcu węża, który się jej obwinął miękko około ręki.

Zdumiony major tym widokiem przez chwilę sądził, że mu się to majaczy jeszcze w gorączce, zapytał jednak słabym głosem:

— Co to za gad?

— To panoczku nasz duch, opiekun domowy— on nic złego nikomu nie zrobi, on lubi dzieci i w kołysce sypiał z niemi, kiedy były małe — a jakby jemu kto zrobił jaką krzywdę, to nieszczęście spadłoby na naszą numę — on wie wszystko i wszystko rozumie.

Wąż jakby pojmował jej słowa, podniósł głowę, wśliznął się na ramię kobiety; zbliżywszy się do ucha powtarzał swoje sykanie, jak szept zegarka.

— Daj mi go tutaj — odezwał się major.

Kobieta natychmiast zbliżyła się do łóżka i zwolna na kołdrze złożyła węża. Ten przez chwilę rozglądał się, podnosił łebek ciekawie i niespodzianie złapał muchę, która natrętnie kręciła mu się około głowy.

Major wyciągnął rękę i pogłaskał zwierzątko, które wyprostowało się, popatrzyło mu w oczy i zwolna wczołgawszy się, umieściło się pod samą szyją rannego: — miły chłód sprawiało jego zimne ciało; kobieta chciała wziąć węża, lecz major wi-

docznie był zadowolony tą zabawką, bo skinął, żeby go zostawiła.

Nie tak to łatwo odwieczne zwyczaje i wyobrażenia wyrwać z serc ludu; te—raz zaszczepione, wsiąkają w krew, grają w niej i w późne wieki jeszcze dają znać o sobie.

Lud litewski w czasach pogańskich głęboką czcią otaczał węże, chowano je po świątyniach, opiekowano się nimi i obficie karmiono; — ze świątyń przeniesiono je pod dachy num i każda z nich miała swojego węża.

Z wprowadzeniem chrześcijaństwa na Litwę skończyły się dobre czasy dla gadów — wycięto lasy, zburzono pogańskie świątynie, rozpędzono ich podziemnych mieszkańców — lud jednak, który obojętnie patrzał jak przewracano i rąbano jego bożków — jak topiono Perkuna i Marzannę, zachował w sercach sympatyę dla swych towarzyszy, zamieszkujących pod jednym z nim dachem. — Wąż domowy ukrył się w głębokiej jamie pod przyciesią chaty, a kiedy ucichły prześladowania, wysuwał się z tej swojej kryjówki i coś szepcząc, żądał dawnej gościnności: — nie odmówiono mu jej — ukryto go, pielęgnowano i pomimo nawoływań duchowieństwa które w tem widziało jeszcze ślady bałwochwalstwa, lud zachował przyjaźń dla węży do dni dzisiejszych — tak do dni dzisiejszych, bo często jeszcze i dziś w chacie żmudzkiego chłopa można się spotkać z oswojonym gadem.

Major polubił to niewinne stworzenie i nietylko pozwalał mu spoczywać na swojem łożu, ale pieścił się niem, o ile mu na to zdrowie pozwalało.

I oto w czasie takiej zabawy rannego, drzwi numy otworzyły się cicho i na progu stanął generał Dębiński, w aystencyi obu synów majora, oraz w towarzystwie swego adjutanta Pniaka.

Na widok węża, z którym się bawił ranny, jakby z jakim ptaszkiem, generał zatrzymał się zdziwiony.

— To towarzysz moich nudów generale — odezwał się rozjaśniony widokiem miłych osób major.

— Ten wąż, ale to niebezpieczny zwierz.

— Równie jak biały baranek. — Co słychać generale?

— Tymczasem ucztujemy — wyprawiamy imieniny w Giełdziszkach — bawimy się.

— A Moskale?

— Moskale za to już gromadzą się, otrząsają z trwogi i dążą ku Wilnu, które dotąd jest bezbronne i którebyśmy mogli wziąć tak w garść jak ty swojego węża.

Na twarzy majora wystąpiły czerwone wypieki oburzenia.

— To źle — to źle generale — trzeba żebyś wziął w swoje ręce kierunek sprawy, inaczej wszystko przepadnie.

— Ja tu podrzędną tylko jestem figurą. — Giełgud a raczej Chłapowski prowadzą swoje plany — ja milczeć muszę i słuchać, jeżeli nie chcę być oddany pod sąd wojenny tak jak ty majorze.

— Jak ja? Co to znaczy, generale?

— Śmiechu to warte wprawdzie, ale fakt się stał:—nie wiesz o tem, że kiedy przy pomocy twego

mistrzowskiego obrotu zdobyliśmy Rajgród — ty za nieposłuszeństwo rozkazom wodza, ponieważ nie pytając się, opuściłeś wskazane ci stanowisko nad jeziorem i zdobyłeś — tak, bo rzeczywiście ty zdobyłeś miasto bez nas, — zostałeś zakwalifikowany pod sąd, a tylko twoja prawie śmiertelna rana ocaliła cię, no i mój głos tam coś znaczył.

Major spojrzał zdumiony w oczy Dębińskiego, ale po chwili milczenia rzekł:

— A jednak w zasadzie Chłapowski czy Giełgud mieli racyę — nie wypełniłem rozkazu.

— Ale zdobyłeś miasto, punkt tak ważny dla nas.

— A jednak naruszyłem karność wojskową i zasługuję na surową karę.

— Nie bajdurz, stary marudo — dobrze się stało i gdybyś już nie miał krzyża, dziś bym ci go przypiął, ale ranga pułkownika ci się należy i tę właśnie przynoszę ci w tym papierze.

— Nie przyjmuję jej, to będzie kara mego wybryku.

— Służba! Milczeć i słuchać! — zawołał, udając surowego zwierzchnika Dębiński. Ale muszę cię pożegnać drogi kamracie, ma tam być jakaś rada wojenna, idę na nią; — to mówiąc, wyciągnął dłoń do rannego.

— Żegnam cię, dzielny generale — rzekł smutnie Luboradzki.

— O nie, tylko do widzenia.

— Bóg to wie.

Kiedy Dębiński opuścił kwaterę majora, a raczej podpułkownika — pozostali synowie i Pniak spostrzegli, że rozmowa ta ogromnie wyczerpała chorego — pragnąc żeby spoczął chwilę, chcieli cicho wyjść za próg chaty, ale on spostrzegłszy to skinął, żeby się zatrzymali — i rzekł:

— Dzieci moje drogie, idźcie po zwycięstwo, Bóg z wami, a mnie już czas spocząć po tylu trudach, nadeszła już chwila, w której się musimy pożegnać na wieki.

Obydwaj synowie, widząc powiększającą się gorączkę, zaniepokojeni spojrzeli po sobie. — Nastąpiła cisza.

Wtem przez otwarte okno dał się słyszeć silny stuk dzięcioła po wypróchniałem drzewie — ptak jakby uderzenia zegara wygłaszał sekundy czasu.

Kobieta usłyszawszy ten stuk złowrogi, szybko zerwała się z siedzenia, wyleciała na dwór i złapawszy pierwszy kamień, jaki jej wpadł pod rękę, rzuciła na pukającego ptaka.

— A kysz! A kysz! — zawołała silnym głosem i rzucała znowu znalezionemi kamieniami.

— Co to znaczy? — zapytał cicho Jaś.

— Podług przesądów ludu tutejszego, kucie dzięcioła w spróchniałe drzewo oznacza zabijanie ćwieków w trumnę — rzekł cicho Pniak.

Wszystkich twarze zasępiły się ponuro.

Któż dzisiaj wierzy podobnym przesądom, kto dziś nie roześmieje się z podobnej wróżby — ale w owych czasach inaczej ludzie zapatrywali się na podobne wypadki — jak pięknie mówi o tem poeta:

Ale bo wówczas, ziemią staroświecka,
I pilnowały człowieka jak dziecka, —
Dzisiejsze dziwy, dziwami nie były,
Grały widomie, niewidome siły

W powietrzu, w drzewach, w kamieniach pod wodą,
Krewne współczucie ludzie znajdowali
Bo nie gardzili na ów czas przyrodą
Bo ją jak matkę znali i kochali.

Starzec jeden tylko nie zwrócił uwagi na złowrogą przepowiednię.

Gorączka wzmogła się i zaczął majaczyć.

— Proszę paniczów, trzebaby po księdza — rzekła gospodyni.

— Co? Na co? — zapytał Jan.

— Nie zaszkodzi — odezwał się poważnie Pniak.

— Legiony, majaczył ranny—Kniaziewicz, Dąbrowski — pod Somosierrą — Moskwa — Lipsk!... Tereso! — Jutro przez Berezynę! — Kra idzie. — A on gdzie? — Na skale u świętej Heleny... — Niech żyje cesarz Napoleon! Antosiu, dziecko moje.

Nagłe pogorszenie zdrowia zatrwożyło wszystkich, posłano ordynansów po doktora i księdza.

Prawie jednocześnie, bo na jednej łodzi przeprawiając się, przybyli obydwaj.

Doktor szybko zbadał stan chorego, opuścił głowę:

— Jakieś silne wzruszenie musiał pacyent przejść przed chwilą.

— Tak, w samej rzeczy — odrzekł Pniak.

Doktor wziął czapkę i żegnał się z pozostającymi.

Ks. Loga poprosił, żeby przytomni oddalili się na jakiś czas, gdyż chce wysłuchać spowiedzi umierającego; lekkie tylko niekiedy oznaki przytomności dawał chory — ksiądz udzielił mu rozgrzeszenia, namaścił olejami świętymi i sam uklęknąwszy, wezwał wszystkich do zaniesienia modłów za odchodzącego ducha.

Teraz nastąpiła nagła przemiana w stanie zdrowia majora; gorączka ustąpiła zupełnie, pozostało tylko nadzwyczajne osłabienie; zsiniałe miał usta i szeroko otwarte oczy — skinął na synów, ażeby się przybliżyli; więc uklękli z obu stron łóżka i ujęli jego ręce.

— Kochałem ziemię moją — was dzieci moje — Antosia — Teresę — umieram szczęśliwy, bo zwycięstwo jest przy nas, umieram na wspólnej ziemi Litwy i Polski. Tu pochowajcie mnie. — Żegnam was ukochani. — A Pniak! Ty także uściskaj mnie... i dalsze słowa przerwała mu czkawka; nastąpiła długa agonia.

Synowie w niemym smutku spoglądali na bohatera, który już opuszczał narodowe sztandary. — Nie powstanie on już na głos trąby wzywającej do boju, nie wyda gromkiej komendy, nie poprowadzi na bagnety swoich towarzyszy!

Aleksander przycisnął do piersi młodszego brata i wyprowadzając go, rzekł:

— Dwóch nas zostało tylko dla służenia Ojczyźnie.

— Dorasta Antoś w Luboradzu — odpowiedział młodszy, wybuchając krótkim płaczem.

I usypano mogiłę na wyspie Niemna: ziemia w połowie polska, w drugiej połowie litewska, przykryła trumnę; i dwie jej garście, jak dwie ukochane siostry przygarnęły bohatera do siebie, zasiały nasionami wspólnych kwiatów, ozdobiły barwami białych róż litewskich i amarantowych polskich; niemi otoczyły podnóże prostego dębowego krzyża, jaki mu wyciosali żołnierze własnemi rękami.

Spoczywaj nieznany żołnierzu. Tysiące podobnych tobie żyło i umierało dla Polski, cicho, bez rozgłosu! Któż zna wszystkie te imiona, kto im oddał winną cześć? — Kto ich dzisiaj jeszcze wspomina, kto tęskni za nimi?

Jeżeli dziś wędrowcze, płynąc Niemnem, zatrzymasz się u wyspy, położonej naprzeciw Giełdziszek i zobaczysz mały wzgórek, w którym zaledwie rozpoznasz mogiłę, porośniętą wikliną, z pośród której wydobywa się krzak czerwonej róży polnej, zagłuszony bujnym wiklin porostem — to zdejm czapkę, a spojrzyj wstecz, w ubiegłe lata: dostrzeżesz, że duch przeszłości tam żyje, że z mogiły tej wydobywają się westchnienia tęsknoty. — Uklęknij i w modlitwie połącz się z westchnieniem bohaterskiego cienia.

* * *

Po bitwie Grochowskiej, która nieśmiertelną sławą okryła armię polską, po bohaterskim odwrocie z Pragi do Warszawy — wojsko znalazło się w bardzo korzystnych warunkach: — ciepłe kwatery w stolicy, sympatya, jaką dla żołnierzy żywiła ludność, obfitość pożywienia zbytkownego na-

wet, obudzone wielkie nadzieje zwycięstw, podnosiły zapał powszechny do potęgi, a nazwisko Skrzyneckiego opromienione sławą ostatniej batalii na wszystkich było ustach! — Spodziewano się czynów niesłychanych i życie pełne nadziei kipiało wszędzie: — wyglądano dnia tryumfalnego.

Rozumie się, że ranni, napełniający nietylko lazarety, ale i prywatne mieszkania, które im z największą uprzejmością ofiarowano, byli przedmiotem najczulszych starań; nie tylko doktorzy czuwali nad ich łożami, ale damy z najwyższego towarzystwa, ubrane skromnie, całe dnie i noce poświęcały pielęgnowaniu chorych; walczyły o pierwszeństwo zaszczytu ochroniarek i z prawdziwie chrześcijańskiem zaparciem się spełniały swoje obowiązki.

W takiem położeniu rzeczy — dla Antosi i Róży w Warszawie, gdzie się znalazły po bitwie Grochowskiej, nie było pola do rozwinięcia ich działalności, więc przepędzały dnie trapiąc się bezczynnością.

Pułk kosynierów Juliusza, który brał udział w bitwie Grochowskiej, poniósł znaczne straty w ludziach, ale przyjął pierwszy chrzest żołnierskiego pasowania na rycerzy: — z oficerów jeden tylko Połeć został pałaszem kirasyera lekko raniony — hrabicz Juliusz i kapitan Ogiński-Kontrymowicz wyszli cało i wszedłszy z pułkiem do Warszawy, poświęcili się z całym zapałem ćwiczeniu młodych żołnierzy w robieniu bronią.

Jednego wieczora na kwaterze hrabiego Juliusza znajdującej się w klasztorze Dominikanów przy

ulicy Freta, zgromadzonych było kilku oficerów, żywą prowadząc rozmowę o toczących się wypadkach; znalazły się tam obydwie nasze bohaterki: Antosia i Róża.

Życie wojenne zbliża ludzi, poufali, zacieśnia związki przyjaźni i zaciera różnice stanów, które tak wybitnie zaczynają się w zwykłych czasach.

— Za długo już odpoczywamy — odezwał się Juliusz — wódz obmyśla rozległe plany — Prądzyński i Chrzanowski co dzień nowe mu przedstawiając projekty, a on nie może się zdecydować na żaden.

— Boję się, że dyplomaci nasi będą górą — ciągle się łudzą nadzieją układów — a to psu na budę się nie zda — rzekł kapitan Kontrymowicz.

— I ja tak myślę — rzekł Juliusz — wczoraj mówiłem z bratem Gustawem: pełny jest nadziei, a nadzieje te pokłada nietylko w pertraktacyach z Petersburgiem, ale liczy na czynne wdanie się dyplomacyi europejskiej. — Francya żąda stanowczo przewlekania wojny i obiecuje w tym czasie rzucić swoje ultimatum; — Austrya jak sfinks milczy, ale Metternich nie odmawia swego poparcia;— Anglia też nam dosyć sprzyja.

— I wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły — odezwała się nieśmiało zarumieniona Róża..

Wszyscy roześmiali się na to proste wyrażenie opinii, ale ona niezmieszana, mówiła dalej:

— Kiedyśmy już zaczęli robotę i włożyli żelazo do ognia, to dalej młoty w górę i kuć póki go-

rące, gdy ostygnie to i dyabeł nic z niego nie zrobi na zimno.

— Tak jest — odezwał się kapitan Ogiński — lud cały rozpłomienił się, rozgorzał żądzą boju; poczuł siły swoje. — Jeżeli się dowie, że bitwy toczyć tylko zamyślają na papierze, ostygnie on, opuści ręce i trudno będzie bardzo drugi raz wzniecić w jego sercach ufność w zwycięstwo.

— Nie powiedziałem wam jeszcze jednej szansy, na którą rachują pewni dyplomaci, a którą w zasadzie potępiają legaliści nasi: — są wiadomości z Petersburga, że nad Newą jest silna partya, która nam sprzyja, życzy zwycięstwa i tajemnie chce dopomagać — jest to partya rewolucyonistów rosyjskich.

— Partya ta przed sześcioma laty została zdruzgotana, dowódzców jej Ryljewa, Murawiewa i Bestużjewa powywieszano — odrzekł kapitan — stronników wywieziono do kopalń syberyjskich, lub zaknutowano i całemu ruchowi zadano cios śmiertelny, z pod którego nieprędko będzie mógł podnieść głowę.

— A więc i tam są jednak ludzie serca— wtrąciła swoją uwagę Antosia.

— Nie przeczę temu — rzekł Ogiński.

— Trzeba ich na nowo poszukać, rozbudzić i spożytkować dla naszej pracy — dodała.....

Lekki uśmiech przebiegł po licach prawie wszystkich obecnych.

— Jak to rozbudzić, bohaterska panno Antonino?... — zapytał Juliusz. My tu, a oni o tysiąc

mil od nas, najsilniejszy głos deklamacyi tam nie dojdzie.

— Znalazłbym sposób na to, gdyby mi pozwolono działać.

— Jakiż to sposób, jeżeli wolno zapytać?

— Propagandę trzeba rozwinąć nie w Petersburgu, ale tu na polach polskich, w obozach moskiewskich.

Zdumienie wyryło się na twarzach wszystkich.

— Więc pani myślałaby wysłać emisaryuszów do obozu Dybicza? — odezwał się jeden z oficerów, uśmiechając się. — I gdzież ich znajdziemy, w jakim charakterze tam się przedstawią, zresztą któż się na to poważy?!

Dziewczyna ożywiła się, oczy jej zapalały ogniem poświęcenia bezgranicznego i z dumą prostując się, odrzekła:

— Ja i moja towarzyszka Róża, będziemy pierwszymi emisaryuszami. Długo myślałam nad sposobami wprowadzenia tej myśli w czyn i nareszcie znalazłam sposób.

Wszyscy obecni z zaciekawieniem słuchali.

— Przyznajcie panowie — mówiła dalej, jeszcze więcej się ożywiając — że w ludzie rosyjskim są pierwiastki szlachetne, które potrzeba tylko rozbudzić, wielu z żołnierzy i oficerów jest nietylko polskiego pochodzenia, ale żywią oni tajne sympatye dla naszej sprawy — trzeba im tylko oczy otworzyć.

— Ale jak to zrobić? — propaganda ustna jest niemożebna i pojedynczy gdzieś pomiędzy ni-

mi działacz nic nie zrobi — gazet nie czytają i odezwy nasze tym sposobem nie miałyby wpływu.

— Jest na to sposób i to dosyć łatwy — poróbmy chorągiewki, na nich napiszmy słowa: „Za naszą i wászą wolność” — chorągiewki te należy umieszczać na forpocztach rosyjskich — rozrzucać je wszędzie, dostać się z niemi aż w środek obozu i tym sposobem zaszczepić myśl wolności wśród tłumu niewolników. — Zadanie to nie jest tak trudne, jak się na pozór wydaje; ja sama i moja towarzyszka nie pożałujemy trudów w tej pracy.

Zdumienie wyryło się na twarzach wszystkich obecnych — myśl dziewczęcia była tak niespodziewana, taka nowa i brzemienna następstwami, że milczenie zapanowało przez chwilę.

— Niech żyje nasza bohaterka! — zawołał Juliusz, z uwielbieniem patrząc na dziewczynę.

— Myśl to wielka — rzekł zamyślając się kapitan Ogiński i po chwili dodał—tak wielka, że tylko czasy dalekie ocenić ją potrafią — dla tego mam obawę, czy trafi do serc i umysłów tej dzikiej tłuszczy.

— Promienie światła przenikają najmniejszemi szparami do najgłębszych lochów, dla czego więc prawda nie ma trafić do ciemnych umysłów? — rzekła Antosia.

— Ja zgadzam się zupełnie na ten pogląd, pani i jeżeli środek ten, jako próba nie przyniesie na razie spodziewanych rezultatów, to zaszkodzić nie może — a świat się dowie, jak Polacy pojmują swoje zadanie walki.

— Tego jednak bez upoważnienia naczelnego wodza zrobić nie wolno — rzekł jeden z oficerów.

— Natychmiast udaję się do brata Gustawa, przedstawię mu projekt, poproszę go, żeby się zobaczył ze Skrzyneckim i wyjednał u niego upoważnienie! — zawołał Juliusz.

To mówiąc, zerwał się z siedzenia, przypasał pałasz i nie żegnając nikogo, szybko się oddalił.

— Ale ty moja Różo coś milczysz, czy nie zgadzasz się na mój projekt? — zapytała Antosia.

Róża w miejsce odpowiedzi serdecznie uściskała towarzyszkę i rzekła:

— Jam zawsze z tobą i wszędzie.

— A więc do roboty! Sklepy jeszcze nie pozamykane, lecz wkrótce je zamkną — spieszmy się: — idźmy kupić białego perkalu i niebieskiej kitajki i zacznijmy szyć odpowiednie chorągiewki.

— A ja będę przysposabiał napisy na papierze — rzekł jeden z oficerów.

— To byłoby nie praktyczne, deszcz lub śnieg spłókałby napisy i rozmoczyłby papier — trzeba kupić tuszu i dużemi literami na białym perkalu wypisać te piękne słowa! — zauważył drugi.

— Ależ panno Antonino — przemówił kapitan nie wiemy jeszcze, czy naczelny wódz zgodzi się na ten patryotyczny czyn i czy go zaakceptuje.

— Dotąd go nie zabronił, nie będzie więc przestępstwem, a że naród wezwany jest, żeby każdy, kto żyje, czem może służył Ojczyźnie, to i czynu tego nikt za zły poczytać nam nie może — a zresztą nie spodziewam się, żeby nie został zaakceptowa-

ny... — Mówiąc to Antosia już była gotowa do wyjścia, więc nie wdając się w dalsze spory, skinęła na Różę i obydwie wyszły do miasta.

Na ulicach pełno jeszcze było ruchu, młodzi eleganci włóczyli się po chodnikach z rozpuszczonymi na długich temblakach szablami, brzęcząc nimi po kamieniach.

Dwie dziewczyny idąc spiesznie, nie spostrzegły, że za niemi podążało trzech takich brukowych rycerzy, a nawet starali się zabiedz im drogę. — Na skręcie ulicy Freta i Długiej dokonali swojego planu, stanęli tak, że zatarasowali drogę idącym.

— Gdziesz to tak spieszno sikorki? — zapytał jeden.

Dziewczęta nie odpowiadając nic, chciały się przemknąć obok niego.

Ale waleczny rycerz brukowy, młodzian gołowąsy, a zdaje się w stanie już podchmielonym, czupurząc się jak kogut — rozkrzyżował ręce i chciał niemi objąć Antosię — dwaj towarzysze jego stali, przypatrując się tej scenie z uśmiechem.

— Na bok! Precz! — zawołała Róża, wysuwając się naprzód.

— Waleczna Amazonko, nie irytuj się, to twojej twarzy może ująć uroku, który ci nadaje ów mech pod nosem; — zapewne zapomniałaś tabakiery i stąd twoja irytacya! — To mówiąc zbliżył się znowu do Antosi i chciał powtórzyć swój manewer, ale nie zdążył jeszcze ręką dotknąć dziewczęcia — gdy silna dłoń Róży pochwyciła go za kołnierz od eleganckiego munduru — wykręciła nim w powietrzu młynka i odrazu rzuciła na ziemię.

Obydwaj towarzysze junaki wybuchnęli głośnym śmiechem, on zerwał się spiesznie, czapka jego została w rynsztoku, szabla plątała się przy boku powalana błotem — ale wściekłym gniewem uniesiony, pochwycił za rękojeść, wydobył z pochwy ostrze szabli i zamierzył się na stojące bezbronne dziewczęta!... Teraz Antosia wysunęła się naprzód podniosła dumnie głowę, jak królowa wydająca rozkazy i głosem wzgardy rzekła:

— To przebrany Moskal — to nie może być Polak. — Polak nigdy jeszcze nie podniósł szabli na kobietę bezbronną, stojącą w obronie swego honoru! — Precz wyrzutku!

Mowa ta silne zrobiła wrażenie na dwóch towarzyszach młokosa, pochwycili go za ramiona i wstrzymali od popełnienia zbrodni.

Tymczasem ludzie zaczęli się gromadzić, odezwały się wyrazy wrogie, waleczna więc trójka uważała za najlepsze „dać nogę“, jak mówią Litwini i zniknąć w ciemnościach wieczoru.

Za nimi jednak poleciały grudy ziemi i kamienie rzucane rękoma uliczników — Warszawa wtenczas nie wszędzie była brukowaną, o materyał więc pociskowy nie było trudno.

Scena ta odbywała się niedaleko latarni, oświetlonej słabo olejowym knotem, a że w dużych miastach zwykle, gdzie tylko zgromadzi się dwóch, trzech ludzi, zaraz zjawi się dziesięciu i więcej ciekawych, uformował się przeto dosyć duży tłum, w którym robiono różne uwagi i przypuszczenia; w tem jakiś młody oficer rozepchnął dłonią cieka-

wych i znalazł się obok stojących kobiet — był to hrabia Juliusz Małachowski.

Zobaczywszy Antosię i jej towarzyszkę w tak niespodziewanem otoczeniu, nie rozumiejąc sceny, a sądząc, że lud im chce wyrządzić jakąś zniewagę, groźnie zawołał:

— Co to jest, kto tu napada na bezbronne kobiety?

Z tłumu nic nie odpowiedziano, lecz Antosia zbliżywszy się doń, rzekła:

— Uspokój się panie Juliuszu — tych, którzy nam chcieli wyrządzić obelgę już niema, a ten lud stanął w naszej obronie i żadnej nam krzywdy wyrządzić nie myślał.

— Więc co się stało?

— Szumowiny miejskie chciały nas obryzgać swoją pianą, szumowiny przywdziewające bez pozwolenia mundury chlubne żołnierzy polskich, ale dostali już nauczkę; nie mówmy o tem.

— Och! Jakżebym chętnie tych wszystkich donżuanów oddał pod rózgi moskiewskie — wstyd przynoszą nam i ściągają hańbę na imię Polaka.

— Nie mówmy o tem — powtórzyła jeszcze raz Antosia — skąd się pan tu wziąłeś tak niespodziewanie, przed chwilą zaledwie nas pan opuścił.

— No, nie tak bardzo przed chwilą, bo godzina już upłynęła od tego czasu — pójdźmy — odprowadzę pánie i opowiem. Ruszyli.

— Otóż nadspodziewanie dobrze udało mi się załatwić całą sprawę — mówił Juliusz — zastałem Gucia już w rękawiczkach, udającego się do Skrzy-

neckiego; nie siadając nawet, ażeby go nie zatrzymywać, opowiedziałem mu nasz projekt — sądziłem, że będzie deklamował przeciwko temu, ale zdziwiłem się nie pomału, kiedy wysłuchawszy mnie, nietylko zgodził się na nasze poglądy, ale zaakceptował je, obiecał przedstawić je naczelnemu wodzowi i skłonić go do aprobaty.

— Więc sprawa idzie jak najlepiej?

— Tak niewątpliwie; zrobił wprawdzie uwagę, żeby się jeszcze powstrzymać do jutra, ale potem pomyślawszy trochę, dodał:

— Róbcie zresztą jak chcecie — to zaszkodzić nie może, a odpowiedzialność za to biorę na siebie; widzisz pani, że Gucio nie zawsze jest oponentem i w chwilach stanowczych umie się prędko decydować.

Uwaga ta Juliusza zrobiona była dla tego, że często w rozmowach Antosia silnie powstawała przeciw Gustawowi za jego konserwatyzm.

— Ale gdzież mam jeszcze panie odprowadzić?

— Nie idziemy jeszcze do kwatery naszej; udajemy się na ulicę Grzybowską, tam są sklepy żydowskie, gdzie można taniej kupić potrzebnych nam materyi na chorągiewki, bo zaraz weźmiemy się do szycia ich.

— Towarzyszę paniom i może się przydam do noszenia sprawunków.

Wkrótce wszyscy troje, obładowani sztukami materyi, powracali do kwatery obu dziewcząt, które znalazły schronienie w domu hrabiny Hortensyi Małachowskiej na Nowym Świecie; — hrabina

Hortensya była siostrą stryjeczną Juliusza, a córką hr. Ludwika z Białaczewa.

Pałac Małachowskich na Nowym Świecie cały zajęty był na lazarety dla rannych z pod Grochowa; hrabina Hortensya całą duszą poświęcała się pielęgnowaniu, liczne mając pomocnice w domach z najwyższych arystokracyi — nie sądźmy ich, jeżeli nie wszystkie kierowane były nie tyle patryotyzmem i miłością chrześcijańską, jak może wpływem mody.

Panna Snarska wraz z swoją towarzyszką znalazła schronienie w małym pokoiku na poddaszu, tu też zniesiono zakupione materye i otworzono zakład szycia chorągiewek, znalazło się jeszcze parę współpracownic, które nie kładąc się spać wcale i pracując przez całą noc, na rano gotowych już miały przeszło sto chorągiewek, na których następnego dnia porucznik Ignacy Poniatowski wykaligrafował dużemi literami wspaniały napis:

„Za naszą i waszą wolność walczymy".

Dzień cały zeszedł na przygotowaniach do wyprawy, która następnego dnia rano miału wyruszyć w drogę, iść prosto w paszczę wilka: — do obozów Moskali.

Na wózku, zaprzężonym w parę nie tęgich szkapiąt, powożonym przez Różę przebraną za chłopaka w prosty barani kożuch, — zasiadła Antosia czarno ubrana na tłomoku, w którym mieściły się przygotowane chorągiewki: — ułożono plan tłómaczenia się na wypadek zatrzymania — taki: że wyjeżdża ona z Warszawy w Płockie do rodzi-

ców chorych, od których list skoncypowany miała pod ręką — że była uczenicą w wyższej klasie na pensyi, a teraz chciałaby się dostać do domu.

Wiadomo było, że Dybicz nakazał łagodne obchodzenie się z mieszkańcami z pod Warszawy, nie chcąc sobie pomnażać wrogów wśród ludności; — podróżnych więc dosyć łatwo przepuszczano, nie żądając wielkich legitymacyi, a zwłaszcza na kobiety nie wielką zwracano uwagę.

Nie tak się jednak działo w dalszych już okolicach i im bliżej było granicy Litwy, tem obostrzenia były surowsze; często jednak i w okolicach bliskich Pragi snujący się kozacy napadali podróżnych i rabowali ich mienie.

Na wątłych więc podstawach bezpieczeństwa opierała się wyprawa naszych odważnych bohaterek.

Przebywszy most warszawski, z Pragi rzuciły ostatnie pożegnanie ukochanemu miastu i piaszczystym gościńcem, wlokły się ku Zabłonnie; — tu jeszcze okolicę zajmowali Polacy; — za Wyszogrodem jednak natrafiły już kobiety na pikiety kozackie, ale te je przepuściły, wcale się nie pytając o cel podróży. — Nadzieja wstąpiła w serca kobiet, że podróż odbędzie się pomyślnie.

Dzień się miał już ku schyłkowi, kiedy zmęczone kobiety dowlokły się do wsi Pomianowo, będącej własnością obywatela Pomianowskiego, byłego posła do sejmu; — tu we dworze stał pułkownik dragonów ze swoim sztabem. Wsi niepodobna było pominąć, a zresztą tu już rozpoczynało się pole działania.

Dragon stojący na warcie zatrzymał wózek i pomimo tłómaczenia się panny Snarskiej, kazał jej udać się z paszportem do kwatery pułkownika. — Trzeba było poddać się konieczności.

Róża, siedząc na wozie a chcąc dobrze odegrać rolę chłopa, wyjęła małą glinianą fajkę na krótkim rogowym cybuchu obsadzoną, nałożyła ją tytoniem i chociaż niemiłosiernie się krzywiła, zaczęła z niej dym wypuszczać, więcej oczywiście dmuchając, niż ciągnąć w siebie.

Pułkownik, jeden z elegantów petersburskiej młodzieży, rzutem oka umiał ocenić dystynkcyę i piękność podróżnej; — zadawszy kilka grzecznych pytań, co do celu podróży, nietylko nie robił żadnych przeszkód, ale wydał jej tak nazwaną **przepustkę** czyli paszport na dalszą drogę aż do Pułtuska.

Uszczęśliwiona dziewica już miała wychodzić, ażeby wsiąść na swoją furkę — gdy drzwi z naprzeciwka kwatery pułkownika otworzyły się, a w nich pokazała się sama pani Pomianowska i zaprosiła ją na parę chwil spoczynku do pozostawionego jej mieszkania.

Pani Pomianowska była osobą młodą, znacznie młodszą od swojego poważnego małżonka, który w tym czasie pełnił jakieś obowiązki urzędnika narodowego i nie znajdował się w domu.

Gdy tylko weszła Antosia do jej pokoju i oznajmiła jej swoje nazwisko, ta ze zdziwieniem podniosła się i zawołała.

— Pani Antonina Snarska, ależ matka twoja jest Pomianowska z domu, niedaleka krewna moje-

go męża — witaj pani pod tą strzechę i uważaj ją za swoją!

— Tak, rzeczywiście mama moja jest Pomianowska z domu, co za dziwny przypadek spotkania tak niespodziewanie krewnych!

— Nie, kochana kuzyno, tu niema nic dziwnego, szlachta polska od lat wielu tak jest poplątana węzłami pokrewieństwa, że kto zna cokolwiek genealogią rodów, łatwo wynajdzie krewniaków nawet nad Dnieprem, lub Niemnem; dla tego to pokrewieństwo szlachtę tak solidaryzuje z sobą, że stanowi ona jakby jedną rodzinę. — Ale gdzie pani jedziesz w Pułtuskie, jak to paszport wskazuje? Tam o ile mnie wiadomo, nie mamy żadnych krewnych.

Antosia zaczerwieniła się jak burak, trudno jej było zdobyć się na kłamstwo, a kłamstwo to tak widoczne było na jej licu, że przez chwilę zachowała milczenie.

Pani Pomianowska bacznie jej się zaczęła przypatrywać, widać jakieś wątpliwości rodziły się w jej umyśle — twarz dziewczęcia jednak pokazywała taką poczciwość, oko z taką dziecięcą skromnością spoglądało na nią, że odrzuciła od siebie niegodne podejrzenia i odezwała się:

— Kogo masz tam pani z krewnych pod Pułtuskiem zamieszkałego?

— Nie będę kłamać — odezwała się śmiało, patrząc w oczy pytającej — nikogo tam nie mam z krewnych, ani nawet ze znajomych.

— A więc?

— A więc jadę nie w swoim interesie, ale w interesie sprawy narodowej.

— Cyt! — wyszeptała pani Pomianowska, porywając ją za rękę i uprowadzając do dalszego pokoju. — Tu za blisko jesteśmy smoczej jamy, może ktoś podsłuchać.

Kiedy się znalazły w drugim pokoju, przy zamkniętych drzwiach, usadowiła dziewczę zmęczone podróżą na wygodnym fotelu i rzekła:

— Źle zrobiłam, że się tak niedyskretnie wypytywałam; przebacz mi to, rozgość się a potem z Bogiem jedź dalej i dobrze strzeż swojej tajemnicy.

— Nie przed tobą, pani — jesteś Polką również, jak i ja; więc nietylko powiem ci cel mej podróży, ale zasięgnę twojej rady w pewnym względzie.

— Dobrze, na co mnie stać, wszystko uczynię, boć to sprawa nasza wspólna, — mam ci i ja syna w wojsku, a od czasu batalii pod Grochowem nie mam o nim żadnej wiadomości.

— Czy nie pan Ignacy Pomianowski? — zapytała Antosia.

— Czy go znasz, dziecko moje? — Czy żyje? — Czy zdrów?!

— Z radością mogę zapewnić panią, że pan Ignacy, podporucznik ułanów, cieszy się najlepszem zdrowiem; zostawiłam go w Warszawie.

— O! niedobry chłopak! tak długo nie dał mi o sobie żadnej wiadomości.

— To łatwo wytłómaczyć, łaskawa pani: — poczty nie funkcyonują regularnie, a prywatnie

przesyłając list, mógł narazić rodziców na szykany, gdyby pismo wpadło w ręce wrogów.

— Jestem szczęśliwa, że zadość uczynić mogę temu pragnieniu.

— Masz więc list — niedobra dziewczyno! I tak długo mnie wytrzymałaś! — Daj! Daj! Co prędzej!

Listu nie mam żadnego, gdyż nie spodziewaliśmy się, że będę miała takie spotkanie — lecz mam coś innego, równie drogiego, a może i droższego, niż pismo, kreślone jego ręką.

— Dawaj dziewczyno droga!

— Towarzyszka moja, przebrana za woźnicę, którą zostawiłam na wózku, pilnuje mego tłómoka, a w nim są chorągiewki przeznaczone dla Moskali: — na tych to chorągiewkach pan Ignacy Pomianowski własną ręką pisał wielkie słowa:

— Nic nie rozumiem? Co za chorągiewki?

— Uradziliśmy w Warszawie, że może korzystnie byłoby dla naszej świętej sprawy odezwać się i do serc Moskali, otworzyć im oczy, pokazać, że walczymy nietylko za naszą ale i za ich wolność i tym sposobem przyjść w pomoc Ojczyźnie.

Pani Pomianowska z szeroko otwartemi oczyma siedziała, spoglądając na mówiącą.

— Co? Co ty mówisz dziewczyno — nic nie rozumiem! — Do serc Moskali przemówić! — Ależ to jest to samo co mówić do skały kamiennej! — Jakież środki macie do tego?

— Uradziliśmy porobić chorągiewki z narodowymi kolorami i z napisami na nich „Za naszą i waszą wolność walczymy!” Chcemy je rozrzucić

w obozach rosyjskich, tak by wpadły w ręce żołnierzy: — ciekawość nakaże je odczytać, wieść się rozniesie po obozach i kto wie, jakie z tego będą skutki; chorągiewki owe wiozę z sobą, a pisane są ręką pana Ignacego, syna pani, gdzie mogę rozrzucam je i tak szerzę propagandę.

—Ach, teraz zrozumiałam scenę, jaka się wczoraj odbyła w moich oczach, a która dotąd była dla mnie zagadą! Kozak, stojący na pikiecie, przywiózł coś tajemniczego, jak mówiono chrągiewkę; sądziliśmy, że przejęto jakieś papiery — ale zdziwiło nas nadzwyczajnie, kiedy tego kozaka natychmiast aresztowano, odosobniono od wszystkich towarzyszy — i wydano surowe polecenie, żeby żaden nie ważył się przynosić coś podobnego do obozu — na nieszczęście zjawił się niedługo inny kozak i przywiózł nową zdobycz podobną — a żołnierze ciekawie zaczęli coś czytać, — kozaka tego również aresztowano, żołnierze zaś i winowajca dostali rózgi. W głowę zachodziliśmy, co to znaczyć może. Teraz mi się otworzyły oczy, gdzież są te chorągiewki? Trzeba natychmiast przynieść tu tłómok i zabezpieczyć go! — Ale żebyśmy były zupełnie spokojne — poczekaj trochę, udam się do pułkownika: jest to człowiek bardzo ugrzeczniony, zwłaszcza dla kobiet — i powiem mu, że moją krewną zaprosiłam na noc do siebie, czy nie ma co przeciwko temu, zapytam.

To mówiąc wyszła i kazała się zameldować pułkownikowi, a wkrótce powróciła i oświadczyła, że dowódca nie ma nic przeciwko temu.

Lokaj, wysłany do wózka, na którym siedziała Róża, chciał zabrać tłomok, lecz mądra dziewczyna nie powierzyła w niczyje ręce swojego skarbu — sama wzięła ciężar i zjawiła się w pokoju pani.

—Idź — rzekła pani Pomianowska do lokaja — każ ekonomowi, niech umieści konie tej pani w stajni i da im wygodę; pani ta nocować u nas będzie, jest to moja krewna.

Lokaj spełnił natychmiast dane mu polecenie.

Kiedy trzy kobiety znalazły się same — gospodyni z uwagą zaczęła się przypatrywać Róży; jej wąsiki, które starała się jeszcze uwidocznić bardziej, wysmarowawszy je sadzą i łojem, znacząco odrysowały się na wardze — wzrost duży, szeroko rozwinięte ramiona, długie włosy spadające po obydwóch stronach szyi na ramiona, obcięte tylko nad czołem, przedstawiały tak rzeźkiego parobczaka, że nikt przypuścićby nie mógł, iż pod tym ubiorem ukrywa się kobieta.

— To jest panna Róża Wrzosek — zarekomendowała cicho Antosia.

Zdumiona gospodyni wyciągnęła do niej rękę, silnie ją uścisnęła i rzekła: Siadaj heroino.

Nie pani, muszę iść do koni; tam na wózku noc przepędzę; — gdyby ktoś spostrzegł taką niezwykłą poufałość pań ze mną, mogłoby nastąpić nieszczęście — to mówiąc, przybrała pozór nieokrzesanego chłopa, pokłoniła się do kolan czapką i powróciła do swego wózka.

Rozpakowano tłómok, wydobyto chorągiewki z napisami. — Pani Pomianowska z rozczuleniem wpatrywała się w napisy zrobione ręką syna, —

chwilę długą panowało milczenie, przerwała je matrona:

— Czy wiesz, dziecko moje, że oprócz strasznej kary jaka by cię spotkała, gdyby odkryto twą misyę, narażasz się jeszcze na drugie, równie groźne niebezpieczeństwo: w obozach rosyjskich rozwielmożniła się straszna, zaraźliwa choroba — cholera azyatycka; przynieśli nam ją w podarunku Moskale, choroba ta zabiera co dzień setki, tysiące biednych żołnierzy i — niema na nią lekarstwa.

— Wiem o tem, widziałam już dwa żołnierskie trupy sine, leżące w rowie przy drodze.

— I nie zastrasza cię to, kochanie?

— Śmierć dla Ojczyzny — czyż może przerażać Polkę? — A zresztą, życie jest w ręku Boga.

Rozrzewnienie wyryło się na twarzy poważnej matrony — przez chwilę wpatrywała się z uwielbieniem w piękne, ożywione rysy entuzyastki — pochwyciła ją w ramiona i przycisnęła do piersi.

— O, Polska żyje! Polska jest nieśmiertelna! Dopóki takie wydaje dzieci, dopóki takie serca biją dla niej, promienie sławy tych czynów otaczają ją i każą przed nią zgiąć kolana.

Zasiadły kobiety do skromnej wieczerzy, po skończeniu której długo jeszcze trwała narada.

— Zmienimy cokolwiek twój plan postępowania, kochana Antosiu; zostawisz mi pewną ilość tych chorągiewek, ja tu znajdę poczciwych chłopków, którzy je bardzo zręcznie potrafią nocną porą pozatykać ponad drogami — i tym sposobem oddadzą je w ręce przeznaczone; następnie udasz się stąd, mając przepustkę — dalej; we wsi Zbujno

o dwie mile stąd odległej, mieszka pan Zboiński, prawy Polak, dam ci do niego kartkę, nie wątpię, że i on weźmie udział w tej robocie i znowu odprawi cię dalej do kogoś ze znajomych, dobrze myślących ludzi; tym sposobem potrafisz wypełnić swoje zadanie — ale jak daleko myślisz się posuwać, lube dziewczę?

— Do samego obozu naczelnego wodza Moskali.

— A więc aż do Kleczewa pod Pułtuskiem, bo tam jest obecnie główna kwatera.

— Chciałabym tam dotrzeć, być może, że powezmę jakie wiadomości, które się naszym na coś przydadzą.

Pani Pomianowska spostrzegła, że dziewczę jest nadzwyczajnie zmęczone podróżą i doznanemi wrażeniami, spiesznie się więc zajęła wygodnem ulokowaniem gościa, odprowadziła ją do swojego sypialnego pokoju, gdyż z całego obszernego domu zostawiono jej tylko dwa pokoiki, resztę zajmował pułkownik i sztab jego.

Dziewczę nim się rzuciło na przygotowaną sofę do spania, uklękło przed obrazem Boga-Rodzicy i pobożnie odmówiło modlitwę. — Tymczasem Róża rozebrała konie, uwiązała je u wózka, założyła im torbę z obrokiem na karki a sama przykrywszy się derką spoczęła na wiązance słomy, stanowiącej siedzenie bryki.

Na drugi dzień, jeszcze świtać nie zaczęło, gdy obydwie nasze podróżne puściły się w dalszą drogę.

* * *

Armia rosyjska po krwawej bitwie pod Ostrołęką, w której poniosła ogromne straty, po bitwie jednej z najstraszniejszych w XVIII wieku, w której nie potrafiła zmusić Polaków do ustąpienia z placu pomimo ogromnej przewagi ludzi i armat,—znalazła się w nie rozkosznem wcale położeniu; przed sobą miała stolicę, ożywioną nieustraszonym zapałem, o której zdobyciu nawet marzyć nie można było. wiedząc, że na przeprawie przez Wisłę armia rosyjska zmiażdżonaby została; — bok jeden lewy armii miał przeciw sobie potężne siły — zagrożeni tu byli Moskale odcięciem komunikacyi z Rosyą, ze swoimi magazynami i rezerwami — prawy bok ich armii dotykał granicy pruskiej, lecz Prusy dotąd nie oświadczyły się z pomocą a nawet sympatyą; — traktowano dopiero z niemi, a rezultat konferencyi hr. Orłowa, wysłanego do Berlina przez żonę cara a córkę króla pruskiego z listami błagalnymi o pomoc, nie był wiadomy.

Cholera też tak rozpuściła swoje zagony, takie straszne zadawała ciosy, że obóz rosyjski przedstawiał istotne piekło. — Nic więc dziwnego, że naczelny wódz był strasznie przygnębiony i napisał list z pod Grannego do Petersburga, wprost rozpaczliwy; w nim nietylko nie obiecywał zwycięstwa, ale przepowiadał smutny koniec wyprawy.

W Petersburgu zakotłowało się od oburzenia, pycha narodowa została silnie upokorzona, dwór i liczni nieprzyjaciele Dybicza podnieśli alarm, okrzyczeli go zdrajcą i pijakiem; — za nimi gazety zagraniczne w jeden chór powtarzały te same gło-

sy. — W Kleczewie niedaleko Pułtuska Dybicz założył swoją główną kwaterę.

Dzień 9-go czerwca był parny, powietrze ciężkie, jakie zwykle poprzedza burzę, okna domu zajmowanego przez naczelnego wodza były pootwierane; — cichego szeptu liści drzew, otaczając dom, nic nie przerywało — cisza panowała w powietrzu, — ale nie w duszy wodza.

W pierwszym pokoju od wschodu siedziało kilku adjutantów, pomimo gorąca szczelnie pozapinanych na wszystkie guziki, na wszystkie haftki; — dwóch grenadyerów u wejścia z karabinami na ramieniu odbywało straż honorową — w dali słychać było turkot przeprowadzanych armat, cicho i jakby nieśmiało toczących się po piasku.

Drugi obszerny pokój, do którego wchodzimy, zastawiony był na środku ogromnym, z tarcic ułożonym stołem, na którym porozkładane były mapy, plany i różne papiery — dwa tylko proste drewniane stołki znajdowały się w pokoju, na jednym z nich siedział w rozpiętym, letnim białym mundurze człowiek około lat sześćdziesięciu, gruby, nizki, z krótkiemi nogami; włos jego siwy nizko przystrzyżony nie zasłaniał bardzo nizkiego czoła, w oczach malował się upór niesłychany, a zaciśnięte usta, pokryte przystrzyżonym wąsem nadawały twarzy wyraz melancholii i zaciętości — do dalszego pokoju, którego okna wychodziły na ogród, prowadziły drzwi szklane; — ponieważ to był wieczór, pokój pierwszy był oświetlony sześcioma woskowemi świecami, drugi pokój pozostawał w zupełnej ciemności; — pokój ten stanowił sypialnię wodza —

żelazne łóżko, przykryte na sienniku burką krymską i skórzaną poduszką, stanowiło posłanie. Człowiek ten nie dbał o wygody, nie lubił się pieścić i źle patrzał na oficerów-sybarytów.

Generał klasnął w ręce, na znak ten wszedł dieńszczyk w prostym mundurze gwardyjskiego żołnierza i stanął wyprostowany u progu.

— Fajkę i wina — zaledwie dosłyszanym głosem wyszeptał wódz.

— Natychmiast Wasze Wysoko-Prewoschoditielstwo.

Dzieńszczyk postawił na prostej blaszanej tacy butelkę krymskiego wina i dużą szklankę, — przyrządził na długim cybuchu osadzoną glinianą fajkę, napakowaną sułtańskim tytoniem — i skrzesawszy ognia, od którego zapalił hubkę, podał ją generałowi.

Dybicz bezwiednym ruchem wziął cybuch do ręki, zaciągnął się dymem i nalawszy szklankę wina, lecz, nie biorąc jej do ręki, pogrążył się w zadumę.

Mrok zapadł już zupełny; melancholijny nastrój wodza pogłębiał się.

Naraz dało się słyszeć lekkie pukanie w drzwi wchodowe: — generał niecierpliwie odwrócił głowę i odezwał się przyciszonym głosem:

— Wejdź!

Na progu pokazał się młody adjutant, kniaź Bebutów, w randze już podpułkownika.

— A co tam?

— Przyprowadzono ważnego szpiega.

— Odesłać go do generała Folla.

— Właśnie generał Foll kazał go przedstawić Waszemu Wysoko-Preschoditielstwu.

— Nowe szykany Folla — wycedził przez zęby wódz — niech go wprowadzą.

Wkrótce drzwi się otworzyły i najpierwej wstąpił w nie grenadyer z karabinem w ręku a za nim wkroczyła śmiałym krokiem dziewczyna ze związanemi powrozem rękoma — za nią pokazał się drugi grenadyer z przyłożonym do jej pleców bagnetem.

Dziewczyna była blada, zmęczona — ale w oczach jej gorzał ogień: — nietylko nie spuściła oczu przed groźnym wzrokiem generała, ale podniosła z dumą czoło, i mając ręce obydwie związane na piersiach tak silnie, że aż posiniały, stała wyprostowana, czekając zapytania.

— Kto ją aresztował i za co? — zapytał Dybicz adjutanta.

— Aresztowano tę panią w chwili, gdy w lesie przyległym zawieszała tę chorągiewkę, którą mam zaszczyt przedstawić JW. panu.

Dybicz wziął chorągiewkę do ręki, przeczytał na niej napis i długo nic nie mówiąc, popadł w głębokie zamyślenie; — jakie myśli nasuwały się temu ruskiemu żołnierzowi, w którym jednak płynęła krew polska? — Coś, jakby współczucie zamajaczyło na jego twarzy — a widząc, że dziewczyna mocno cierpi od więzów, krępujących ją, rzekł:

— Rozwiązać ręce i warta niech ustąpi. — W tej chwili kniaź Bebutów dopełnił zlecenia, zdaje się z wielką nawet przyjemnością.

Warta oddaliła się, pozostał tylko generał, adjutant i uwięziona.

— Siadaj pani — rzekł smutnie — i odpowiadaj na moje pytania.

Dziewczyna prawie upadła na krzesło, które jej podał adjutant.

— Kto pani jesteś?

— Antonina Snarska.

— Szlachcianka?

— Tak.

— Gdzie pani jechałaś w chwili, kiedy cię aresztowali?

— Do obozu rosyjskiego.

— Po co? W jakim celu?

— W celu zbliżenia przyjaznego dwóch bratnich ludów w celu pokazania Rosyanom, za co walczymy.

— I te chorągiewki miały doprowadzić do tego celu?

— Sądziliśmy, że słowa prawdy, płynące z serca, trafią do serc waszych.

Ponura twarz Dybicza rozjaśniła się śmiechem, śmiechem tak szczerym, że nie można go było posądzać o komedyę.

— Co za szaleństwo! Wy zamiast rzucać kule w piersi nasze, chcecie ciskać słowa?! — Słowami chcecie nas zwyciężyć.

— I miłością chrześcijańską! Mówiąc to Antosia jeszcze więcej zbladła i pochyliła głowę, niemal mdlejąc.

Dybicz widząc to, skinął na adjutanta, rozka-

zał mu nalać kieliszek wina i podać dziewczynie;— przyjęła i wychyliwszy do połowy, rzekła:

— Dwie mile pędzono mnie piechotą wśród takiego gorąca; osłabłam więc — dziękuję za pomoc.

Dybicz z coraz większą uwagą wpatrywał się w dziewczynę.

— A czy pani wiesz, na co się naraziłaś?

— Na śmierć tylko, a śmierć lekka temu, kto spełnia swój obowiązek.

— Na śmierć! Niekoniecznie! — odpowiedział generał. — Na coś gorszego może, na katorgę, w kopalniach, na życie pod ziemią.

— I tam jest Bóg i tam on nie opuszcza tych, którzy Mu ufają.

Kniaź Bebutow, słysząc te słowa, nie mógł ukryć swojego wzruszenia, a i na licu generała odbijało się nieznane jakieś wzruszenie.

Dybicz zaczął chodzić po pokoju, jakby namyślając się, jak postąpić z więźniem; — podług prawa wojennego, szpieg złapany na gorącym uczynku, a za takiego prawo nakazywało uważać aresztowaną, powinien być natychmiast powieszony; żal mu się jednak zrobiło niewinnego dziewczęcia i w duszy bardzo był nie rad, że mu przychodzi wyrokować w tej sprawie.

— Czy sama tylko spełniałaś pani tę misyę?

— Zupełnie sama.

— A twój woźnica, może przebrany za chłopa oficer?

— Nie — on o niczem nie wie — jest to tylko prosty chłop — skłamała biedna, ale uczyniła to

dla ocalenia życia Róży i nie czuła z tego powodu wyrzutów.

— Trzeba będzie — zaczął mówić generał, obracając się do adjutanta, gdy w tem, dał się słyszeć jakiś niezwykły ruch na dworze.

— Idź, zobacz, co to znaczy?

Adjutant spiesznie się oddalił i za małą chwilę wrócił.

— Generał Orłow przyjechał z Petersburga i pragnie się natychmiast przedstawić Waszemu W. Prewoschoditielstwu.

Na te słowa lekki dreszcz przeszedł po ciele Dybicza. — Skinął adjutantowi przyzwalająco na wprowadzenie niespodziewanego gościa, a w tymże prawie czasie drzwi się otwarły, lecz zanim wszedł nowo-przybyły, Dybicz mocno zmięszany, wskazał Antosi drzwi szklane drugiego pokoju, pogrążonego w ciemności. — Dla czego to zrobił, samby może nie umiał wytłómaczyć; nie chciał widocznie, żeby Orłow zastał go przy butelce wina i pięknej dziewczynie — a może, może też miał inne myśli. — Antosia nie namyślając się, schroniła się w ciemności — przeraziła się jednak swojego czynu — i już miała powrócić, gdy zobaczyła wchodzącego Orłowa.

O ile Dybicz swoją figurą nie imponował, a stanowisko feldmarszałka winien był tylko osobistym zasługom, o tyle Orłow samą postacią swoją wskazywał znakomitość wybitną: nos wschodni, rysy dumne, obłudny zawsze uśmiech na twarzy, maniery pełne uprzejmości wytwornej.

Zasługi familii Orłowów dla domu carskiego Romanowów sięgały bardzo dawnych czasów: — żadna może z rodzin arystokracyi rosyjskiej, nie była tak wtajemniczona w ciemnice polityki bezprawia, żadna na sumieniu swojem nie dźwigała tyle odpowiedzialności, co Orłowy. — Tragiczna śmierć cesarza Pawła uduszonego szarfą, była ich dziełem; — dziwna zaiste rzecz — gdy narzędzia takie zwykle po spełnieniu swojego zadania usuwają się gdzieś w cień, albo je się po prostu niweczy, żeby zatrzeć ślady występku, — oni nie schodzili z wyżyny, na którą się dostali swoją bezczelnością występku! — Orłow to za podstępem Katarzyny zwabił na swój okręt księżniczkę Tarakanów, mającą prawo niezaprzeczone do tronu, a odgrywając rolę rozkochanego, nikczemnie przywiózł ją do Petersburga, gdzie osadzona w więzieniu podziemnem, skazaną została na zatopienie w czasie przyboru Newy i męczeński zakończyła żywot.

Cesarz Mikołaj znał wartość podobnych narzędzi, które bez żadnej litości, bez wahania wypełniali zadania im powierzone, zawsze zostawali wierni ręce, co ich obsypywała dostojeństwami; jednakże żaden z tej familii nie odznaczył się większym geniuszem i nie oddał Rosyi poważnych, prawdziwych usług.

Wiadomo już było generałowi Dybiczowi, że Orłow został wyprawiony do Berlina z prośbą o szybką pomoc w wojnie polskiej, która mogła bardzo fatalnie skończyć się dla Rosyi; — właśnie teraz powracał z powierzonej mu misyi, a co z sobą przywoził, nikt nie wiedział.

Dybicz nie wyszedł na spotkanie gościa: jako feldmarszałek zajmował nierównie wyższe stanowisko i słusznie należały mu się honory wojskowe od młodszego w służbie generała; powstał więc tylko, a oparłszy się o poręcz krzesła, milcząc, oczekiwał wieści.

Orłow zachował także wszelkie pozory urzędowego charakteru — wszedł do pokoju w kasku na głowie, przy zawieszonym u boku pałaszu, w białych rękawiczkach — szybkiem spojrzeniem obrzucił pokój, spojrzał na rozłożone mapy, coś jakby szyderczy uśmiech prześliznęło się po jego twarzy, która jednak natychmiast przywdziała na się maskę obojętności, i głosem uroczystym wygłosił:

— Fligel-adjutant Jego Cesarskiej Mości, Orłow.

— Dobrze, znamy się, — proszę odpasać szablę i zająć miejsce — rzekł Dybicz, sam zasiadając na krześle i nie patrząc, jak postąpi nowoprzybyły.

— Z czem przybywasz, generale?

— Z rozkazami Najjaśniejszego Pana, oraz przywożę wiadomość z Prus, z których właśnie powracam.

— Słucham z pokorą rozkazów Najjaśniejszego Pana.

— Najpierw mam rozkaz zdać Waszemu Wysoko Prewoschoditielstwu sprawozdanie z misyi mojej w Berlinie.

— Jakież jest ultimatum z Prus?

— Najjaśniejszy król pruski, który dotąd zachowywał neutralność, widząc niepowodzenie armii naszej i obawiając się, żeby burza nie przedo-

stała się w granice jego państwa, a pożar równie nieszczęsny nie objął jego terytoryum — nadto powodowany przyjaźnią dla naszego dworu i związkami pokrewieństwa, odrzuca dotychczasową neutralność i gotów jest w razie potrzeby pomagać nam czynnie.

— To dobra wiadomość, mamy tym sposobem przywróconą komunikacyę z Rosyą i zabezpieczony bok prawy armii — oraz możemy, korzystając z pozwolenia, przeprawić się w Prusach na lewy brzeg Wisły.

— Szkoda, że Wasza Ekscelencya nie zrobił tego zaraz po bitwie pod Grochowem.

Dybicz podniósł swoje nizkie czoło do góry, zaczerwienił się z oburzenia, że młodszy generał śmie krytykować jego działanie i odrzekł:

— Łatwo plany układać przy zielonym stoliku w petersburskich buduarach — trzeba tam było być i widzieć wysiłki moich żołnierzy, a żelazny mur bagnetów polskich.

— To nie moje zdanie — odrzekł, uśmiechając się Orłów — to zdanie Najjaśniejszego Pana.

— Bo w fałszywem świetle przedstawili mu nasze czynności moje wrogi.

— W Petersburgu mówią ludzie kompetentni, że armia polska była zdemoralizowana; lód na Wiśle, dostatecznie trwały, mógł unieść nietylko piechotę i kawaleryę, ale nawet armaty; — w mieście był popłoch, władze zaczęły uciekać i gdyby zamiast niepotrzebnej szarży kirasyerów, która tak opłakane miała rezultaty, wysłano lekkie pułki ko-

zaków a za niemi piechotę — Warszawa nie potrafiłaby się była bronić.

— Ten, kto tak mówi, nie zna Polaków; ustąpili z Pragi do Warszawy nie dlatego, że musieli, ale że tam właśnie przyjąć nas chcieli i złożyć do grobu! — Armia moja była zdemoralizowana, wycieńczona i byłbym ją poświęcił na jatki, gdybym wszedł był do Warszawy.

— Mówią także — odezwał się Orłow — że i po bitwie Ostrołęckiej, w której Wasza Ekscelencya pozwoliłeś tyle wytoczyć krwi rosyjskiej napróżno — można było ścigać rozproszonych Polaków i razem z nimi wejść do stolicy, a tymczasem nie pomyślałeś generale o tem i pozwoliłeś się Polakom na nowo zorganizować.

Teraz Dybicz powstał i prostując o ile mógł swoją przysadzistą figurę, cały zaczerwieniony od oburzenia, gromkim głosem zawołał:

— Więc to tak!? Więc chyba ja po prostu jestem zdrajcą!

Orłow milczeniem odpowiedział na ten wykrzyk — nareszcie rzekł:

— Nikt o formalną zdradę nie posądza Waszej Ekscelencyi, — Najjaśniejszy pan jest jednak bardzo niezadowolony tokiem wypadków i pragnie bardzo, żeby niepowodzenia naszego oręża raz się zakończyły.

— Bez znacznych posiłków to jest niemożebne! Cholera dziesiątkuje moich żołnierzy — powstanie na Litwie grozi zupełnem odcięciem nas od podstaw.

— Posiłki już są w drodze, 50 tysięcy idzie w sukkurs, prowadzi je waleczny książę Erywański Paszkiewicz, przy doradach którego możesz się Wasza Ekscelencya spodziewać dobrych rezultatów.

— Co ja mam przechodzić pod jakieś kontrole i dyspozycye świeżo upieczonego bohatera, który w łatwej wojnie ze źle uzbrojonymi tłumami, nie żałując przytem pieniędzy na przekupstwo, łatwe odnosił zwycięstwa! — Ja, stary żołnierz, zdobywca Warny, wsławiony przejściem nieprzystępnych Bałkanów, ja, który położyłem tyle zasług dla Rosyi, mam na starość jak kapral słuchać Paszkiewicza? — Nie! — Nigdy! — Podobnej hańby nie dopuszczę, pierwej umrę, niż poddam się temu niesprawiedliwemu wyrokowi.

Wódz chodził głęboko zadumany po pokoju — Orłow bacznie mu się przypatrywał; szyderczy uśmiech igrał wciąż na jego twarzy; — nareszcie się odezwał:

— I to przewidział Najjaśniejszy Pan w swojej mądrości i obmyślił na to odpowiednie środki.

— Więc aresztować przyjechałeś mnie generale?

— Podobny czyn byłby skandalem dla nas, a Europa cała wybuchłaby wielkim śmiechem ukontentowania nad naszą nieporadnością.

— A więc dajcie mi wskazówkę, żebym się sam podał do dymisyi! — Prosiłem o nią już w liście moim do cesarza i teraz gotów jestem prośbę moją powtórzyć.

— Najjaśniejszy pan z wielu względów na to zgodzić się nie może — ale pragnie, żeby książę E-

rywański Paszkiewicz był kierownikiem wyprawy, a Wasza Ekscelencya ściśle się stosował do jego wskazówek, które poprowadzą do zwycięstwa; — zresztą wszystko dziać się będzie w imieniu Waszej Ekscelencyi i Europa podziwiać będzie rezultaty walki.

— Mam być manekinem w ręku nowego karyerowicza? Na mnie ma ciężyć odpowiedzialność za klęski, gdyby nastąpiły, a w razie gdyby czynności armii naszej zostały uwieńczone powodzeniem — mam słyszeć jak wszystkie dzienniki, a za nimi głosy bezmyślnych tłumów powtarzać będą: „to Paszkiewicza plany — to Paszkiewicza pomysły — stary Dybicz, pijanica, musiał im się poddać i dobrze zrobił, bo inaczej byłby wszystko zgubił“! Więc to taką nagrodę przygotowaliście mojej starości, za moje trudy i tyloletnią wierność? Nietylko chcecie mnie zgubić, ale co gorsza, ośmieszyć w oczach całej Europy! — I sądzicie, że się stary weteran na to zgodzi? — Nie! — Nigdy nic podobnego nie nastąpi, pierwej umrę, nim podpiszę na siebie wyrok niesławy!

Orłow, zachowując zimną krew siedział nieruchomy, a uśmiech nie opuszczał jego oblicza. — Gdy stary feldmarszałek zmęczoną swoją długą apologią przestał na chwilę mówić i zasapany umilkł, Orłow odezwał się:

— Najjaśniejszy pan w swojej mądrości przewidział i ten upór Waszej Ekscelencyi i w takim razie, jako ostateczny środek na zapewnienie chwały Rosyi i jej potęgi — doręczyć mi polecił swoje własnoręczne pismo Waszej Ekscelencyi.

To mówiąc, wydobył z pod lenty, która okrywała mu piersi z pod orderów św. Jerzego, Stanisława i innych mały bilecik zapieczętowany sygnetową pieczęcią carską.

— Proszę obejrzeć, że pieczęć nienaruszona.

Dybicz lekceważąco spojrzał na bilet i milcząc, rozłamał pieczątkę. — Kilka tylko słów własnoręcznych Mikołaja skreślonych było na bilecie: — kiedy je odczytał, po twarzy jego przebiegł lekki dreszcz, ale przybrawszy natychmiast maskę obojętności, rzekł spokojnym głosem:

— Otrzymałem rozkaz bardzo lakoniczny „spełnić bezwarunkowo rozkazy hr. Orłowa mojego fligiel-adjutanta" — gotowy jestem je wysłuchać, proszę mówić.

— Przykrą misyę bardzo przyjąłem na siebie, spełnić ją jednak muszę dla dobra Rosyi. — Widzimy, że dymisya Waszej Ekscelencyi, czy dobrowolna, czy udzielona z najwyższej woli jest niemożebna; — poddać się pod kierunek Paszkiewicza Wasza Ekscelencya nie chce — nie widzę przeto innego wyjścia, jak ciche, dobrowolne usunięcie się z widowni, zachowując honor i wszystkie przywileje stopnia.

— To znaczy? — zapytał, podnosząc spocone czoło Dybicz.

— To znaczy śmierć.

Kiedy te straszne słowa zostały wymówione zdawało się, że powietrze w pokoju zamieniło się w czeluść piekielną; twarz Dybicza oblana potem, zbladła nagle; pochwycił szklankę napełnioną winem i chciał ją podnieść do ust. Orłow gestem ręki powstrzymał go.

— Chwilę tylko generale, rada jaką udzieliłem nie wyszła z rozkazu Najjaśniejszego pana, on nie wie nawet, że na nią się zdobędę, ale cesarz udzielił mi nieograniczonego pełnomocnictwa, a ja nie widzę innego wyjścia.

— Ależ jeżeli sobie wpakuję w łeb kulę — co na to powie świat?! — Skandal się zupełnie nie zmniejszy, przeciwnie przybierze olbrzymie rozmiary!

— Zgadzam się zupełnie z Waszą Ekscelencyą, czyn taki jest niemożebny, trzeba wynaleść inny sposób wyjścia. — Zresztą, cóż to jest życie? Świetlna bańka, która się utworzyła, nabrawszy powietrza, jeden podmuch wiatru, bańka pęka i nie pozostawia po sobie śladu — idzie tylko o to, żeby zakończenie ostatniego aktu istnienia uczynić nietylko niebolesnem, ale nawet przyjemnem. — Wszystko proch — wszystko próżność — deklamował Orłow. Ot, ta szklanka z winem, kiedy w nią wpuścimy kilka kropel przeźroczystego jak brylant płynu, uspokoi nasze cierpienia i da słodkie zapomnienie naszego bytu.

To mówiąc, wyjął z kieszeni malutki kryształowy flakonik, odkorkował go i cicho jak kot, zbliżywszy się do stolika, na którym stała napełniona winem szklanka, wpuścił do niej kilkanaście kropel płynu.

Dybicz siadł; przed chwilą tak wzburzony uspokoił się zupełnie — na twarzy jego rozlała się powaga i wyraz silnego postanowienia.

— Jeżeli to potrzebne dla szczęścia Rosyi nie będę się wahał, ale tak nagły zgon stanie się także powodem skandalu.

— Zapominasz Ekscelencyo, że wkoło nas roztoczyła swoje sieci cholera; — wszyscy jesteśmy śmiertelni; w każdej chwili jej zatruty jad dosięgnąć nas może i nikogo to nie zadziwi, iż generał pozostający w środowisku zarazy, co chwila stykający się z zarażonymi, zwiedzający lazarety, sam uległ jej wpływowi.

— Bezczelność twoja generale podziwienia godna; ot unoszę ze sobą wzgardę dla was wszystkich.

To mówiąc, wziął szklankę do ręki, podniósł ku światłu, a widząc płyn klarowany, rzekł:

— Czy długo cierpieć będzie potrzeba?

— W dwie godziny wszystko się skończy.

— A więc zdrowie twoje, czcigodny aptekarzu.

Dybicz milcząc, podniósł szklankę do ust, przechylił ją i wypił do ostatniej kropelki.

— Nie miej do mnie żalu generale — to dla dobra Rosyi.

Przez chwilę panowało przerażające milczenie. Orłow widząc to, że spełnił swoje zadanie, powstał, ale w tejże samej chwili Dybicz wydał jęk straszny, twarz jego, pierwej purpurowa, stała się siną i upadł bezwładny na stołek.

— Spełniło się przeznaczenie — wyszeptał bez najmniejszego wzruszenia truciciel — klasnął w ręce, a na znak ten spiesznie wszedł adjutant.

— Doktora co prędzej! — Cholera pochwyciła wodza!

Adjutant spojrzał zdumiony, a widząc wijącego się w bólach Dybicza, spiesznie się oddalił, ażeby wydać polecenie sprowadzenia doktora.

Orłow znał działanie trucizny i wiedział, że mądrość medycyny nie ma środka na pokonanie jej — bez obawy więc popsucia swoich planów mógł pozwolić na poradę lekarską.

Trzech doktorów jednocześnie wpadło do pokoju chorego, wszyscy byli Niemcy: Schlegel, Thuermer i Koch. — Zanim się zbliżyli do pacyenta, Orłow rzekł do nich:

— Macie tu panowie straszny wypadek cholery azyatyckiej — tak, to cholera, niema wątpliwości; — życzę ażeby wasze rady coś pomogły — ale nie mam nadziei, bo cholera azyatycka kończy się zawsze śmiercią....

To mówiąc, opuścił pokój, a nie zatrzymując się już ani chwili, wsiadł do czekającego go powozu i odjechał.

Mimowolnym świadkiem strasznej tej sceny, była znajdująca się w drugim ciemnym pokoju panna Antonina Snarska: szklane drzwi doskonale pozwalały słyszeć każde słowo rozmowy, która cała prowadzoną była w języku francuskim, a ten doskonale rozumiała Antosia.

Jakie uczucia pochłaniały to dziewczę, gdy patrzyło na zbrodnię! — Co się działo w jej duszy? — Siedziała na fotelu jakby uśpiona, zdawało się jej, że zmora jakaś snuje przed jej oczyma fantastyczne obrazy, że niedługo się przebudzi i otrząśnie z tych strasznych widzeń! Ale kiedy przybycie doktorów i gwar rozległ się w pierwszym pokoju, opamiętała się — spojrzała dokoła siebie i zobaczyła niespodziewanie stojącego obok niej jakiegoś oficera: — drzwi szklane z tego pokoju wychodzi-

ły do ogrodu, w tej chwili były otwarte i niemi to widocznie dostał się do pokoju oficer.

Spojrzała na niego i poznała w nim adjutanta, który jej na polecenie Dybicza rozciął więzy — kniazia Bebutowa.

Oficer położył dwa palce na wargach, dając znak milczenia; nic nie mówiąc, podał jej rękę i wskazał szklane drzwi do ogrodu; dziewczę bacznie spojrzał na kniazia — ten nachylił się do jej ucha i wyszeptał:

— Uciekaj pani, — ani chwili niema do stracenia.

Namyślać się dłużej, to znaczyło zgubić się — cicho więc przekroczyła drzwi pokoju i w towarzystwie adjutanta znalazła się w zarośniętym ogrodzie, żołnierz stojący w tem miejscu na straży, widząc adjutanta prowadzącego pannę, sprezentował broń w milczeniu i przepuścił ich.

Ogród dosyć duży, zaniedbany, zarośnięty staremi drzewami, pod jasną pokrywą nieba cicho szumiał liśćmi, w pośród których głośno rozlegał się śpiew słowika: — niezrównany artysta wywodził trele cudnie pięknej pieśni; — chociaż wokoło otaczała go wojna i zaraza, chociaż życie ludzkie w tej chwili, w tem miejscu, ot ledwie o kilkanaście kroków, kończyło się straszną tragedyą, on śpiewał....

Natura nie wie, co to śmierć, ona tylko umie tworzyć, przeistaczać formy, budować nowe postacie i kusząco wzywać do nowego życia, do nowych trudów i do nowych cierpień; nigdy nam nie pokaże odwrotnej swojej strony, nie podniesie maski, nie

uchyli zasłony tajemniczej i wśród najstraszniejszej grozy położenia przymila się i przyhołubia swoje twory.

Kniaź, widać obeznany z miejscowością, prowadził w milczeniu ciemnemi ścieżkami Antosię, dziewczyna z ufnością poddawała się jego woli; przebyto zarośla i oboje znaleźli się na skraju ogrodu, otoczonego żywopłotem z jakichś pnących się roślin. — Gałęzie były poplątane dzikiem chmielem i stanowiły trudność ciężką do przejścia; — kniaź dobył szabli i odrąbawszy kilkanaście gałęzi otworzył wolne przejście. — Wyszli na pole pokryte bujnem kwitnącem żytem, którego pył, unosząc się w powietrzu, roznosił zapach tak luby dla każdego rolnika.

— Teraz zatrzymaj się pani tu chwilkę, gdyby nadchodził patrol, ukryj się w żyto, przy tak jasnem świetle księżyca z łatwością go zdaleka dostrzeżesz; ja udam się po twoją furmankę, która dotąd stoi zaprzężona pod opieką twojego furmana — sprowadzę ją i — da Bóg — szczęśliwie wyprawię was w drogę.

Dziewczyna milcząc, skłoniła głowę na znak zgody.

— Skąd się wziął ten niespodziewany wybawiciel? — myślało dziewczę. — To wróg?! To Moskal! A jednak okazuje jej współczucie i sam się narażając, ocala ją. — Zamyśliła się i nagle nowa myśl zajaśniała w jej głowie: — on czytał napis na chorągiewkach, zrozumiał go, odczuł — i poszedł za jego wezwaniem! — A więc nie na próżno narażała swoje życie! Nie były bez korzyści jej

trudy! Ziarno zasiane jej ręką już zaczyna wydawać plony i jest istotnie zarodkiem zbliżenia do siebie dwóch ludów, dotąd wrogich! — Ucieszyło ją to rozumowanie niezmiernie i natchnęło nową nadzieją.

Gdy takim oddawała się myślom, w pewnej oddali na drożynie biegnącej około ogrodu spostrzegła błysk bagnetów i usłyszała miarowe kroki zbliżającego się patrolu. — W jednej chwili, nie namyślając się, rzuciła się w bok i zanurzyła się jak przepiórka w bujnem zbożu.

Patrol szedł krokiem miarowym — ciężkim, zachowując głębokie milczenie, składało go trzech żołnierzy i podoficer.

Zatrzymując dech w sobie, przeczekała aż się oddalą, wówczas podniosła się z ziemi; z gąszczu bujnego żyta zaledwie głowę jej było widać.... Zaczęła teraz rozmyślać nad okropną sceną, której była mimowolnym świadkiem: — w oczach jej dopełniło się zabójstwo, mord haniebny — więc teraz armia rosyjska pozbawiona jest wodza! Tak niespodziewanie, olbrzymie jej ciało zostało bez głowy, bez mózgu! — Czy Polacy potrafią z tego odnieść jakie korzyści? — Bądź co bądź trzeba się starać jak najprędzej zawiadomić o tem władze polskie, sam Bóg może dopomógł jej do zdobycia tajemnicy, która mogła wpłynąć na losy wojny. — Zaczęła się niecierpliwić; furmanki obiecanej nie było widać, ani też zbawcy; miałżeby ją oszukać, albo nie udało mu się znaleźć Róży z jej wózkiem?

Każda minuta stawała się jej wiekiem, niecierpliwość paliła ją, a tymczasem księżyc wybiwszy się z pośród chmur przesuwał się wspaniale po niebo-

skłonie — a śpiew słowika z oddali w pysznych kaskadach napełniał powietrze... Po długiem czekaniu, które jej się zdawało bezgranicznem, usłyszała nareszcie stąpanie koni i wkrótce dojrzała swój wózek, zbliżający się, a obok postępującego oficera.— Poznawszy dokładnie swój ekwipaż, spiesznie wychyliła się z żyta i wyszła na drożynę.

Róża na jej widok zacięła konie i wnet zbliżyła się do niej, — oficer pozostał cokolwiek w tyle, ale spiesznym krokiem podążył za furmanką; — jakież było jego zdziwienie, gdy zobaczył, że parobek powożący spiesznie zeskoczył z wózka, roztworzył ramiona, a dziewczyna rzuciła się w nie i objęła go za szyję.

Kniaź stanął zdziwiony i oburzony tym postępkiem.

— A więc ja byłem tak naiwny, że to dziewczę poczytywałem za anioła — myślał. — Czyby to był jej mąż?!

Zbliżył się, a widząc, że Antosia nie opuszcza szyi mniemanego chłopaka i przytula się do niego coraz bardziej, uśmiechnął się złośliwie.

— Winszuję i cieszę się, że miałem sposobność temu panu tak się przysłużyć — rzekł szyderczo.

Antosia, trzymając za rękę Różę, spostrzegła nieporozumienie, starała się więc je zaraz wyjaśnić:

— To jest moja towarzyszka podróży i jedyna przyjaciółka, panna Róża.

Oficer stanął zdumiony.

— Jak to? Kobieta?

— Tak niewątpliwie, a tylko przebrana za furmana.

Teraz kniaź roześmiał się sam ze swoich przypuszczeń — otrząsnął się z podejrzenia i ukłoniwszy się z całą elegancyą, rzekł:

— Popełniłem omyłkę — przepraszam. — Ale trzeba się spieszyć! — Nagły i niespodziewany wypadek choroby naczelnego wodza, a stąd powstałe zamieszanie ułatwiły mi zadanie. — Oto jest przepustka z pieczęcią głównego sztabu: za jej okazaniem bezpiecznie pani przejedziesz wszystkie posterunki rosyjskie. — Żegnam i życzę szczęśliwej drogi.

— Panie! — odezwała się Antosia i wyciągając rękę, zbliżyła się do szlachetnego człowieka — przyjmij moje podziękowanie za czyn twój szlachetny i pozwól wyrazić radość, iż pracą moją potrafiłam zbliżyć dwa bratnie ludy, że znalazłam chociaż jedno serce Moskala, które nas zrozumiało.

— Nie jestem Moskalem — odparł żywo kniaź: — jestem mieszkańcem wolnego Kaukazu, prawie dzieckiem, rannego porwano mnie z placu boju do niewoli; — wychowano w Petersburgu, a poznawszy, że pochodzę z wysokiego rodu kniaziów kaukazkich, oddano mnie do szkoły kadetów; starano się wszelkimi sposobami zabić we mnie pamięć świetnej wolnej przeszłości, otumanić potęgą Rosyi, przykuć do siebie, zagłuszyć wszystko, co szlachetne w człowieku i uczynić ze mnie niewolnika ślepego, wypełniającego rozkazy! — Nie udało im się! — mówił smutnie, zamyślony. — Iskra wolności raz zatlona w sercu nie wygasła i pod mundu-

rem rosyjskiego oficera — każdy powiew wiatru od gór kaukazkich rozdyma ją, potęguje i kiedyś, kiedyś, mam nadzieję, że zaświeci pożarem. — Tam są jeszcze bracia wolni, tam jest bohaterski Szamil, tam są konie Kabardyńskie, co jak kozy przeskakują przepaście, są janczarki i serca wolne i przyjdzie godzina, że przywdzieję znowu burkę czerkieską i odetchnę gór moich powietrzem!....

Przez pewną chwilę zapanowało znowu milczenie.

Kniaź Bebutów, jakby budząc się z uśpienia, nagle podniósł głowę, dotąd pochyloną i mówił dalej:

— Kiedy zobaczyłem wasze chorągiewki z tym cudnie pięknem wezwaniem, pomyślałem sobie: jakże ci szlachetni ludzie łudzą się! Słowa ich nie odbiją się w sercach niewolników! Och, gdyby takie słowa rozległy się wśród gór naszych, tamby odbiły się tysiącznem echem, wiatr niósłby je od aułu do aułu, kobiety by je dzieciom spiewały i wzywały do czynu. Niestety — za daleko jesteśmy od siebie — nie znamy się — ale i u nas są podobne twemu pani bohaterskie serca. Widząc cię tak mężnie znoszącą niewolę i twoje poświęcenie dla Ojczyzny, powiedziałem sobie — „ocalę ją". — Zbieg okoliczności wielce ułatwił mój zamiar; — jesteś pani wolna, oby Ałłach dał, żeby i cały twój i mój kraj był wkrótce wolny! A jeżeli potraficie się jeszcze utrzymać kilka miesięcy, znajdziecie kilkadziesiąt tysięcy pomocnych janczarek kaukazkich górali, które silną wywrą dywersyę przeciw moskiewskiej armii. — To, co ci pani powiedziałem, tak niespodziewanie wybuchnęło z mo-

ich piersi, że sam się dziwię, iż zdradziłem tak niespodziewanie moją tajemnicę; tajemnica ta uczyniła mnie twoim niewolnikiem, — ale spokojny jestem, bo złożyłem ją w ręce szlachetnej córki wielkiego narodu. — Żegnam cię, bohaterska dziewczyno jeszcze raz, może kiedy jeszcze usłyszysz o mnie.

Antosia, wzruszona do głębi serca, milcząc uścisnęła dłoń oficera; zaledwie też rzec mogła:

— Tej godziny nie zapomnę nigdy w życiu — ona mi otworzyła nowe światy, a tajemnicy twojej, panie, nie potrafią wydrzeć ze mnie i najstraszniejsze tortury; — żegnam.

Bebutow pomógł jej usadowić się na wózku, złożył pełen szacunku pocałunek na ręku dziewczyny i rzekł:

— Ta droga na północ idzie ku Litwie, na południe ku Warszawie, jedź, gdzie cię wiedzie przeznaczenie.

Antosia, nie namyślając się, wskazała drogę ku Warszawie; — tam był naczelny wódz, tam mieścił się cały węzeł sprawy: — powiadomienie naczelnego wodza o niespodzianych wypadkach uważała za święty obowiązek; — wódz potrafi skorzystać z położenia, wyzyska je i poprowadzi armię do zwycięstwa!

Kiedy kniaź Bebutów powrócił do kwatery naczelnego wodza, zastał tam już wszystkich doktorów mocno zafrasowanych nieznaną chorobą: — Dybicz od pierwszej chwili spożycia śmiertelnego płynu popadł w silną gorączkę, cierpienie objawiało się tylko gwałtownemi kurczami i cichym jękiem; — twarz cała przybrała z razu kolor cegły czerwonej,

a wkrótce przybrała kolor ziemisty; chory leżał bezwładny wśród straszliwych cierpień.

Nieład, panujący wśród armii i w wydziale medycyny, objawił się teraz w całej pełni: — gdy doktorzy przepisali jakieś lekarstwo, pokazało się, że apteka wojskowa go nie posiada; — wysłano przeto do Pułtuska do miejskiej aptekei po leki.

Aptekarz Zimmermann, Niemiec, nie znalazł w swoim składzie żądanego lekarstwa, zastąpił je więc innem odpowiedniem, które jednak przywiózł żołnierz, kiedy generał znajdował się już w agonii.

Pomimo tego wlano mu lek całą siłą w usta — rozumie się bez żadnego skutku — Moskale tak jednak potracili głowy, że generał Foll bez żadnej racyi, kiedy feldmarszałek skonał, — kazał aresztować Zimmermanna obwiniając o otrucie. — Czyn ten samowolny usprawiedliwiał się pozornie twierdzeniem jednego z czterech doktorów, Kocha, że objawy choroby nie były choleryczne. — Niebaczne to twierdzenie doktora wlot pochwycono i chciano przyczynę śmierci zwalić na intrygę polską. — Wkrótce jednak zoryentowano się w położeniu i zastanawiano się nad skutkami tego twierdzenia; — generał Foll rozkazał pisać protokół, w którym doktorzy Szlegiel, Thurmer, Kreutze, a nawet Koch, który spostrzegł niebezpieczeństwo swego twierdzenia, podpisali protokół zejścia i uznali jako przyczynę śmierci—cholerę—kazano też protokół podpisać Zimmermannowi, aptekarzowi, który swoją drogą, ani nawet nie widział chorego.

Raport przesłano do Petersburga i tak formie uczyniono zadość.

Wieść o śmierci Dybicza wnet rozniosła się po całej Europie: — w Petersburgu nie zrobiła ona żadnego wrażenia, jak gdyby była przewidziana; — w Warszawie nie dostatecznie oceniono jej doniosłość i nie skorzystano z chwili zamętu i bezrządu, jaki zapanował w armii rosyjskiej.

Lubo generał Foll objął dowództwo, a był to generał jeden z najzdolniejszych w armii, — ale niewzruszone przepisy wojskowe krępowały jego działalność, bo zaprzeczały mu prawa jakichkolwiek ważniejszych poruszeń, zmiany stanowisk, przyjmowania stanowczej bitwy itp., przez kilkanaście więc dni, zanim przybył nowo mianowany wódz Paszkiewicz, książę Ewaryński, armia pozostawała w bezczynności, trapiona coraz więcej szerzącą się zarazą.

Paszkiewicz przybywał na czele 50 tysięcy karabinów nowego wojska; — ale pomimo tego wzmocnienia nie bardzo ufał swym siłom a postanowił cofać się ku granicy Prus i tam dopiero przeprawić się przez Wisłę.

Ruch taki narażał go na wielkie niebezpieczeństwo: przeprawa przez Wisłę, tuż przy granicy pruskiej, oznaczona była jedynie dla tego, żeby sprzymierzeniec w razie potrzeby pospieszył z pomocą, lub żeby armia rosyjska mogła swobodnie przekroczyć granicę w razie prawdopodobnej klęski przy przeprawie.

Niestety Skrzynecki nie pojął ważności położenia i nie umiał zeń skorzystać: pomimo domagań się żołnierzy, odkładał bitwę i pozwalał Paszkiewiczowi przeprawić swoją armię na lewy brzeg Wisły.

Był to straszny błąd strategiczny, który pociągnął za sobą nieobliczone następstwa — a twierdzenie sztabu Skrzyneckiego, iż pod Warszawą wróg znajdzie grób, pokazało się lekkomyślne.

* * *

Tajemnicza kraino Perkuna — ziemio Litewska, tak hojnie zroszona, niemal na każdym kroku, krwią swoich bohaterskich synów — ziemio świętych gajów dębowych i serc stalowych — ziemio cicha, smutna, urocza w swojej zadumie, a tak pełna majestatu — do Ciebie przychodzą bracia z nad Wisły, ażeby piersiami swemi zasłonić twoje kajdany, ażeby podać ci rękę przyjaźni, odnowić święty związek małżeński Horodła i raz dłoń przy dłoni, pierś przy piersi, serce przy sercu żyć swobodnie albo spocząć w jednej trumnie; — losy a raczej wola przeznaczenia najmędrszego połączyła się na wieki z szlachetną Lachów krainą, na wieki zacisnęła węzeł przyjaźni i niema siły, niema potęgi, chociażby nią kierowali szatani, któraby te święte prawa rozkruszyć mogła. — Tam wśród twoich uroczych lasów, wśród twoich piaszczystych pól, wśród niedostępnych oczeretów żyją i żyć będą na wieki serca bratnie, związane z nami nicią wspomnień wspaniałych historyi — wspólnych tryumfów i wspólnych klęsk; każda rana zadana nad Niemnem Litwinowi drga bolem nad Wisłą, — każdy ból Nadwiślanina odtwarza się cierpieniem nad Wilią, boć to jeden organizm, jedno ciało, jedna dusza: połączyła was z nami wspólność religii, wspólność celów, współdziałać krwi zmięszanej — i któż będzie

tak śmiały, by odważył się pod wspólny dach rzucać iskrę niezgody, wlewać krople trucizny do wspólnego kielicha, by zatruwał go jadem nienawiści, fałszował historyę i zapragnął dwa bratnie ludy uzbroić przeciwko sobie i poruszyć do walki! — Ślepy tylko człowiek, lub nikczemny wyrodek mógłby wywiesić takie sztandary i głosić rozbrat!

Czyż wy nie widzicie, wy, którzy się na to ośmielacie, że jesteście tylko narzędziami w ręku odwiecznego wroga, że on was chce użyć do swoich celów wstecznych, do trzymania nas wszystkich w niewoli?! — Czyż nie widzicie, że to jest ten sam duch kozacki, który uzbrajał rękę szlachetnego Witolda, zamordowawszy mu pierwej dzieci w kolebce, przeciwko bratu Jagielle, obawiając się potęgi, którą stwarzała Polska, połączona z Litwą? — Czyż nie widzicie, że to jest ów szatan moskiewski, kierujący dziś przeciw nam prawosławie? — Ten to sam wstecznik, który stworzył kwestyę rusińską, wpycha jej noże w rękę i wzywa do mordów bratobójczych?! — Bo on jasno widzi, że Polacy, Rusini i Litwini, połączeni razem, tworzyliby potęgę, której wszystkie władze piekielne skruszyć by nie potrafiły, że duch despotyzmu skonaćby musiał — jak skorpion zatruty własnym jadem; on widzi, że przyszłość ludzkości należeć będzie do ludu, który rozumie owo posłannictwo i piersi swoje nadstawi w jego obronie. — Nigdy Polska nie prześladowała żadnych narodowości jej podległych, nigdy nie przeszkadzała ich rozwojowi; i dziś, jeżeli z pośród was wyjdą i zabłyszczą słońca — jak nasze — Mickiewiczów, Słowackich, Krasińskich, radować się

będzie dusza polska i rozbudzać dumę w sobie ze zdobycia takich skarbów wspólnych — o, bo skarby te są dorobkiem i własnością całej ludzkości; one podnoszą ją, uszlachetniają i zbliżają dzień zmartwychwstania ludów w imię miłości i sprawiedliwości.

Biada temu, kto nie pojmuje owego szczytnego zadania, przekleństwo temu, kto powstaje przeciw niemu! Prawda i miłość zwyciężyć muszą na ostatku i zatkną na gruzach samowoli troisty sztandar Orła białego, Pogoni i Św. Michała!

* * *

Bohaterskie poświęcenia i ofiary, jakie złożyła w roku 31 Litwa i Polska, należą do epopei narodów! Homera trzeba lub Dantego, żeby je godnie opowiedział i księgi świętej, a nie powieści, która tylko pragnie na łamach swoich, jak w kropli wody odbite promienie słońca, — przedstawić czyny kilku synów bohaterskich swojej ziemi.

Wysłanie Chłapowskiego i Giełguda na Litwę dla wzmocnienia powstania, powołania ludu do walki, a oddanie tym ludziom kierunku sprawy narodowej było najnieszczęśliwszym wyborem.

Chłapowski, człowiek nie bez zdolności, ale dumny i zarozumiały, chciał kierować wszystkiem i być prawdziwym wodzem nieograniczonym — Giełgud — starszy od niego rangą generał, był mu w karyerze przeszkodą, więc przybycie jego na Litwę, jako główno dowodzącego, było bardzo niemiłe Chłapowskiemu.

Giełgud, niezaprzeczony patryota, człowiek uczciwy, ale małych zdolności wojskowych, potrzebował mieć kogoś w swoim sztabie, ktoby mu rad udzielał i kierował losami wojny — sam, zostawiony sobie, był bezsilny jak Radziwiłł, ten jednak o tyle wyższy był od Giełguda, że ten znał swoją bezsilność i przyjąwszy z musu dowództwo, z ukontentowaniem je złożył w danej chwili. — Giełdud zaś wszelkich środków używał, żeby władzę zachować w swojej ręce.

Chłopicki dawał Radziwiłłowi rady szczere i dobre — Chłapowski obałamucał Giełguda i zachowywał się dwuznacznie, chcąc, żeby wszelkie niepowodzenie spadło na naczelnego wodza, on sam zaś, żeby wyszedł czysty z nieczystej roboty.

A robota to była zła i małoduszna! Pomimo, że Chłapowski widział wszędzie dowody poświęcenia bez granic, pomimo męstwa, okazującego się na każdym kroku i w każdej potyczce — po strasznym błędzie atakowania Wilna wtedy, gdy się już doń zgromadziły ogromne siły moskiewskie, a które o kilka dni wcześniej można było zdobyć z łatwością, bo znajdowała się w niem bardzo mała załoga — stracił wiarę w powodzenia oręża i w nim to powstała hańbiąca myśl schronienia się do Prus z całą armią: — odtąd też wszystkie jego plany wojenne zasadzały się na tem, żeby się zbliżyć do słupów z pruskiemi orłami.

Jakże naiwne były jego poglądy! Wyobrażał sobie i przekonania te rozprzestrzeniał między oficerami, że Prusy zachowają neutralność, że po-

zwolą armii polskiej w innym punkcie przejść napowrót granice z bronią w ręku i powrócić Królestwu potężną siłę, która połączy się z główną armią! — Oprócz tego łudził się nadzieją powstania w Rosyi!

Armia więc, odbywając męczące marsze, ciągle zbliżała się ku granicy pruskiej, pomimo protestu ze strony Dębińskiego. — Nareszcie nadszedł fatalny dzień 12-go czerwca, — dzień smutku i żałoby, w którym Giełgud i Chłapowski na czele swoich pułków przekroczyli granice i rzucili walecznych żołnierzy w paszcze pruskie, nie zawarłszy poprzednio umowy o wolność powrotu.

Znalazł się oficer, Skalski, który uniesiony rozpaczą, położył kres życiu nieszczęśliwego Giełguda, pakując mu w piersi kulę z pistoletu.

— Niewinny jestem!... były ostatnie słowa księcia.

Tak, prawda, niewinien był zdrady, jeżeli patrzeć na nią będziemy z punktu przekupstwa, ręka jego nigdy nie skalała się przyjęciem rubli moskiewskich — ale był winny, iż nie czując w sobie zdolności odpowiednich, przyjął kierunek świętej sprawy w swoje ręce, że małodusznie dla utrzymania się przy władzy nie złożył jej, chociaż tego żądało całe wojsko, w ręce Dębińskiego, który jedynie mógł na tym terenie walki oddać nieobrachowane zasługi sprawie narodowej, mógł i chciał powstrzymać Moskali na Litwie i nie pozwolić im się połączyć z armią Paszkiewicza pod Warszawą: — ten czas stanowić mógł o losach kampanii, — gdyż tymczasem Ramoryno mógł powrócić do Warszawy

ze swoim wyborowym korpusem i rzeczywiście można było wykopać grób Moskalom u murów stolicy.

Trzeciego dnia, t. j. 15go czerwca — Roland stoczywszy jeszcze kilka krwawych bitew, naśladował przykład Giełguda, ale pierwej zastrzegł sobie umowę z pułkownikami pruskimi, że armia jego po odbyciu 20-dniowej kwarantany z bronią w ręku powróci do Polski.

Co za złudzenie! Generał pruski, który przybył później po zawarciu umowy, oświadczył, że pułkownicy nie mieli prawa zawierać takich układów i unieważnił je.

Nikt nie jest w stanie opisać, jaka rozpacz opanowała żołnierzy, kiedy po przejściu granicy, kazano im broń — tę broń poświęconą w tylu bitwach, złożyć u stóp żołdaków pruskich; kiedy potrzeba było łamać szable i lance napojone krwią wrogów—opuszczać wiernych towarzyszy pochodu — bojowe rumaki, bo nikt nie wierzył, żeby im znowu pozwolono wrócić do Polski i krew swoją przelewać dla niej.

Znaleźli się jednak ludzie, których serca nie były w stanie znieść tego losu, którzy nie mieli odwagi opuścić ziemię rodzinną, dopóki pałasze mieli u boku: — dwu dzielnych kapitanów z armii Rolanda, Jaciński i Skotnicki, w kilkadziesiąt koni oderwali się od oddziału i przebywszy niesłychane trudy przedarli się do Warszawy; zasługuje też na wspomnienie nieustraszony Staniewicz, bohater litewskich magnatów, który zebrawszy swoich litewskich

powstańców, zanurzył się w lasy i wiódł dalej partyzantkę.

Pozostał jeszcze Dębiński na czele 4,000 ludzi, równie zagrożony przez Moskali, otaczających go naokoło: — stary, nieustraszony Napoleończyk, lew niezwyciężony, z rozpaczą w cercu patrzał na małoduszne czyny dwóch generałów! — Naśladować ich ani mu to na chwilę nie postało w umyśle! — On miałby złożyć broń, którą tak chlubnie władał, w ręce wroga, on miałby się uniżyć i skalać swoje tak świetne życie? — Nie — podobna hańba nie zbezcześci go na stare lata! — Zginąć! Tak. Ale upaść przed wrogiem — to hańba!

Żołnierze jego oddziału poznali go, ufali mu; onże miałby ich zdradzić i upokorzyć na całą resztę życia?!

Nie, Dębiński podobnego czynu się nie dopuści, albo doprowadzi swój korpus do armii polskiej w Królestwie, albo kości swoje położy na ziemi litewskiej; z popiołów zrodzą się kiedyś nowi rycerze.

Więc waleczny wódz postanowił stanowczo przebić się do Królestwa z towarzyszami. — A w jakimże stanie znajdowali się ci ludzie waleczni? — Obdarci, boso, wygłodniali i wycieńczeni byli ciągłemi pochodami.

W kasie znajdowało się wszystkiego 15 rubli czyli sto złotych polskich i to miało wystarczyć na wyżywienie armii w czasie długiego jej pochodu! — Wychodząc z Kurszan miał korpus 2,800 ludzi i sześć armat, ale tylko 450 ładunków! — Nim Dębiński wyruszył w pochód kazał ustawić się całej swojej armii dla zrobienia przeglądu. — Żołnierze

stanęli smutni, ale pewni ufności w swojego wodza; ten mówił:

— Jesteśmy naokoło otoczeni, jak odyńce przez liczną psiarnię, która nas chce rozszarpać. — Towarzysze nasi z korpusów Giełguda i Rolanda schronili się już do Prus. — Wy jesteście głodni i umęczeni! — Oni w tej chwili używają już spokoju i są syci. — Wy stoicie jeszcze pod paszczami armat, oni są już bezpieczni; — wy jeszcze trzymacie w swoich rękach sztandary narodowe i karabiny, oni je już rzucili pod stopy obcych na pohańbienie..... Dzieci moje, czy chcecie ich naśladować?

— Nie — nigdy! — rozległ się ogólny okrzyk wśród wojska.

— Czy chcecie broń swoją wsławioną tylu zwycięstwami oddać Prusakom i zatknąć w ziemi bagnety u ich stóp na znak pokory?

— W piersiach je tylko wrogów zatkniemy — odpowiedział Aleksander Luboradzki w imieniu innych, a groźny wyraz twarzy żołnierzy potwierdził tę odpowiedź.

— Nie ukrywam wam, że czekają was trudy niesłychane, krwawe bitwy, nadludzkie wysilenia — śmierć chlubna, lub sława nieśmiertelna! — Czy zgadzacie się na to wszystko?

— Prowadź nas! W piekło pójdziemy za tobą.

— Tegom się po was spodziewał, dzieci moje! — Tak spełniać obowiązki winien każdy uczciwy Polak — i ja wam przyrzekam słowem uczciwego człowieka, że albo was doprowadzę do Warszawy i połączę z bracią naszą walczącą tam o wolność, lub

zapewnię wam nieśmiertelność w historyi i chlubny grób na rodzinnej ziemi.

— Formuj się! — Naprzód, marsz! — Poruczniku, Aleksandrze Luboradzki, stanowić będziesz przednią straż: — bądź baczny na każdym kroku, czaj się, jak lis w gąszczach, uderzaj jak lew, nie rachując nieprzyjaciół. — Marsz! W imię Boże!

Z Miszkuć posuwała się silna kolumna moskiewska, idąca z Kurlandyi; trzeba ją było obejść cicho koniecznie, gdyż przyjąwszy bitwę, ściągnęłoby się wszystkie oddziały nieprzyjacielskie rozłożone w okolicy na siebie.

Natychmiast znaleźli się przewodniczący z prostego ludu, znający doskonale okolicę, przez bagna i zarośla w największej cichości przeprowadzili korpus, oddzielony tylko wązkim lasem od armii rosyjskiej, która rozłożyła się poza nim, a której dymy z biwaków widać było ponad wierzchołkami drzew. Armia maszerowała w takim porządku wzorowym, przeciągając armaty po okrąglakach, ułożonych na błotach, że dowódca przyszedł do przekonania, iż bohaterskie jego przedsięwzięcie udać się musi; zasmucił się jednak, odebrawszy od Chłapowskiego odpowiedź odmowną na swój list, w którym prosił go o przyłączenie do jego oddziału pierwszego pułku ułanów.

— Tak pięknego pułku — odpowiedział brutalnie Chłapowski — na oczywiste jatki posłać nie mam odwagi; szalone przedsięwzięcie Dębińskiego — rzekł do swoich — zgubi wszystko!

Dębiński miał do przebycia 40 mil kraju, zalanego wszędzie potopem nieprzyjaciół, których załogi znajdowały się w każdem miasteczku.

Każdy inny zadrżałby na tę myśl, ale nie zadrżał Dębiński.

Dzień dziesiąty lipca rozpoczął nieśmiertelną kampanię: przeszedłszy i minąwszy pod Miszkuciami główne siły nieprzyjacielskie, napotkał Dębiński za lasem wysłane dla furażowania 3 kompanie moskiewskie, bezpiecznie kąpiące się w rzece wśród upalnego dnia i nie spodziewające się w tym punkcie nieprzyjaciela; otoczył je więc tak umiejętnie dokoła, że pułkownik dowodzący poddał się z półtysięcem ludzi, oddając zarazem kasę pułkową, w której znajdowało się 480 dukatów w złocie. Suma ta stała się wielce pożyteczną i pomocną dla chudej kasy Dębińskiego.

Dnia 11go lipca przeszedł wódz polski Pokroje, Jachoniszki; tu ludność sympatyzująca z nim doniosła mu, że generał rosyjski Sawojna, czekał go do wczoraj w Poniewieżu chcąc mu przeszkodzić w dalszym pochodzie, ale niedoczekawszy się i zbałamucony fałszywemi wiadomościami, jakby mu chcąc drogę otworzyć, opuścił Poniewieże, zostawiwszy tylko dla komunikacyi z sobą 70 huzarów i stu ludzi z piechoty z pięciu oficerami. — Trzeba ich było napaść i otoczyć tak cicho, żeby strzały ich nie uwiadomiły Sawojny o zjawieniu się Polaków.

— Podporuczniku Jasiu — tak pieszczotliwie nazywał młodszego Luboradzkiego — weźmiesz twój pluton, złożony z 25 ludzi — objedziesz miasteczko gąszczami naokoło, zbliżysz się do jego rogatek, przekonasz się, jak rozłożone są siły nieprzyjaciół i zdasz mi raport dokładny.

Czternastoletni podporucznik, który już jednak w tylu bitwach proch wąchał, pełen odwagi i zapału wyruszył na czele swojego małego oddziału.

Noc ciemna zapadła po bardzo ponurym dniu — piechota rosyjska biwakowała na odkrytem polu, paląc ognie i gotując strawę, — przekonana, że w okolicy nigdzie nie znajdują się Polacy; — zaniedbano nawet rozstawić pikiety — tymczasem kawalerya zajęła ogromną drewnianą stajnię karczemną, koniom rozsiodłanym, powiązanym u płotu założono obroki, a żołnierze, nasławszy sobie świeżo skoszonego siana w stajni, swobodnie rozłożyli się do odpoczynku; — jeden tylko żołnierz z pałaszem w ręku przechadzał się pod ścianami budynku.

Przez szpary stajni przebijało się światło, palącego się na środku ognia wśród świeżo pod ścianami złożonego siana; — jedna nieostrożność — jedna iskra, a pożar mógł ogarnąć cały budynek — ale cóż to znaczy dla rozpasanego żołnierza; toć to był kraj nieprzyjacielski, — to była Litwa wroga — a że jeden budynek się może spalić, tem lepiej — niech znają buntownicy potęgę cara.

Wtem niespodzianie na żołnierza, trzymającego wartę, gdy właśnie przechodził obok dużego krzaka, rosnącego przy płocie, rzuciło się dwóch ludzi, uchwyciło go z obu stron za ręce i zanim miał czas dać wystrzał, ubezwładnili go, a przykładając mu bagnet do piersi, rzekli cicho:

— Cicho! Ani słowa, bo śmierć!

Żołnierz przerażony niespodziewanym napadem, nie wydał ani głosu, — spokojnie oddał obnażony pałasz i oczekiwał wyroku.

Stajnia, w której się znajdowali huzarzy, miała dwie bramy w dwóch przeciwnych bokach; — przy każdej z nich Luboradzki postawił po sześciu żołnierzy z bagnetami, a stało się to tak cicho, że nie wzbudził najmniejszego podejrzenia wśród zgromadzonych w środku; — sprośne śpiewy dawały się słyszeć z wnętrza stajni, a kilku nawet kozaków na klepisku glinianem wyskakiwało w prysiudach narodowy swój taniec. — Cóż dziwnego? Byli napasieni, gorzałkę zabrali arendarzowi — Lachy, — jak im głosili oficerowie, — wszędzie uciekają — można więc było duszy pozwolić — można było pohulać!

Naraz drzwi stajni rozwarły się z łoskotem i w ramach ich ukazał się oddział polskich żołnierzy, na czele których stał Jaś Luboradzki.

— Złożyć broń, bo śmierć! — zawołał silnym głosem.

Przerażenie odbiło się na twarzach huzarów, porwali się jednak do szabel i pistoletów i widząc drzwi jedne obsadzone Polakami, rzucili się do drugich, lecz i tu napotkali mur bagnetów.

Nikt nie odważył się dać ani jednego wystrzału.

Teraz naprzód postąpił parę kroków młody dowódca i w towarzystwie dwóch żołnierzy, przekroczywszy śmiało próg stajni — porwał leżący snopek słomy w swoją rękę, a w drugą zapaloną szczapę z ogniska i zawołał:

— Rzucić broń i poddać się, bo jeżeli wahać się będziecie — to wszystkich was żywcem upiekę— jesteście otoczeni dokoła!

Żołnierze spojrzeli po sobie — wyjścia obydwa były zagrodzone bagnetami, naokoło otaczała ich słoma i siano, dość było rzucić jedną pochodnię, a palny materyał zająłby się i spowodował śmierć męczeńską.

— Zdajem się — pardon!—rozległo się wśród zgromadzonych.

— Ciskać pałasze i pistolety na kupę i wychodzić po jednemu.

Pierwszy wachmistrz rzucił swój pistolet i odpasawszy szablę, zbliżył się do drzwi rozbrojony.

Przykład jego naśladowali inni — tymczasem Jan Luboradzki cofnął do siebie swoich dziesięciu żołnierzy, postawionych u drugich drzwi, które kazał zamknąć, a które widząc pierwej obwarowane, nie domyślali się jeńcy, że mogliby się tędy ratować.

Huzarzy niepomiernie byli zdziwieni, że poddali się tak małemu oddziałowi, — lecz teraz już byli bezbronni pod lufami karabinów. — Pięciu oficerów rosyjskich huzarów zasypiało snem spokojnym w jednym domu, który wskazali żołnierze — jako ich kwaterę, a zanim mogli przetrzeć oczy, już zostali rozzbrojeni.

Tymczasem oddział piechoty rosyjskiej, biwakującej na odkrytem polu, został ze wszystkich stron tak szczelnie otoczony przez polską armię, że znalazł się, jakby stado kuropatw pod siecią ptasznika — żołnierz, stojący na pikiecie, widząc zbliżające się szeregi nieprzyjaciół, wystrzelił: — jak w roju pszczół, rzucony kamień, robi zamęt, tak

żołnierze opuścili kociołki z kaszą, a kapitan dowodzący oddziałem — spiesznie zakomenderował, nie tracąc przytomności.

— Strój się w karabatalion!

Żołnierze dosyć wprawnie wykonali nakazany obrót i stanęli w czworobok z najeżonymi bagnetami, gotowi do walki.

Dębiński widząc, że wszystkich ptaszków ma pod swoją siatką, posłał podporucznika Pniaka do dowódzcy rosyjskiego z wezwaniem, żeby się poddał.

Dzielny jednak oficer odpowiedział, że nie widzi potrzeby tego uczynić, gdyż garstka Polaków, z jakiej się zapewnie składa oddział cały, nie imponuje mu wcale.

— Więc przekonaj się pan, posławszy swego oficera, że jesteście naokoło otoczeni — nie garstka tu was otacza, ale cały korpus polski; spojrzyj pan tam na lewo stoi baterya artyleryi, która zasypie was w jednej chwili kartaczami — tu stoi piechota, a tu kawalerya — opór próżny, poddaj się waleczny kapitanie.

Kapitan przy blasku księżyca, który właśnie wyszedł z za chmur, istotnie ujrzał ze zdumieniem paszcze armat, skierowane na swój oddział — przy nich stojącą konnicę, a w dali gęste szeregi błyszczących bagnetów.

Położenie było bez wyjścia — uczuł to, że się znajduje w klatce — widział, że pozostaje mu tylko chlubna śmierć bez nadziei zwycięstwa — nie tracąc jednak odwagi chciał wystrzałami oznajmić

głównej armii o niebezpieczeństwie i zdecydował się zginąć, a nie poddać się.

Oddział jego składał się w trzech czwartych częściach ze świeżo wcielonych rekrutów litewskich i małoruskich; ci nie podzielali zapału swojego dowódcy — obraz, który zobaczyli, przeraził ich, a może i ciche sympatye rozbudziły w ich sercach, dość, że kiedy kapitan zakomenderował: „ognia!" to ani jeden karabin nie skierował się ku nieprzyjacielowi, ani jeden wystrzał nie rozległ się w powietrzu.

— Ognia! Padlecy! — krzyknął dowódca.

Głuchy pomruk wśród tłumu był jedyną odpowiedzią na to wezwanie.

Wówczas młody kapitan — wystąpił przed front — złamał, o kolano oparłszy, swoją szpadę i cisnął ją w twarz stojącemu oficerowi, — w tejże chwili wydobył pistolet i przyłożywszy go do swego czoła, pociągnął za cyngiel i w skroń sobie wpakował kulę.

Bohaterska śmierć kapitana nie zrobiła jednak żadnego wrażenia na jego oddziale — żołnierze cisnęli karabiny i jednym przeciągłym głosem zawołali:

— Pardon! Zdajemy się.

Otoczono ich i rozbrojono. — Dębiński przybył na plac, a kiedy mu Pniak zdał raport z dopełnionego czynu, odkrył głowę i przekonawszy się, że dzielny człowiek już nie żyje, kazał go pochować z oznakami szacunku i usypać mogiłę.

— To wróg, ale dzielny żołnierz! Niech spoczywa w spokoju.

Wziętym do niewoli żołnierzom odebrano broń i amunicyę, kazano pozdejmować mundury, a zatrzymawszy tylko kilkunastu rdzennych Moskali, resztę puszczono na wolność, dawszy każdemu rubla srebrnego na rękę. — Rekruci wydali okrzyk radości na cześć polskiego wodza i spiesznie zaszyli się w gąszcze lasu, powracając do swoich siół rodzinnych.

Kilkunastu z nich jednak, pochodzących z drobnej szlachyt litewskiej z okolic Lubocza, wstąpiło do szeregów polskich, jako ochotnicy.

Od wziętych niewolników dowiedział się Dębiński dokładnie o rozłożeniu wojsk rosyjskich i o ich stanowiskach, co mu wielce ułatwiło dalszy pochód.

Gdy dzień zaświtał i Poniewieże, miasteczko, zobaczyło się niespodzianie uwolnione od wroga, mieszkańcy tłumnie wyszli na przyjęcie wojaków — nieśli z sobą żywność, a nawet na prędce złożyli poważną sumę pomiędzy sobą i ofiarowali ją na potrzeby wojska; bez względu na to, że postępując tak, narażali się na krwawą zemstę Moskali.

Była chwila, w której waleczny generał namyślał się, czy nie lepiejby było zostać na Litwie i zacząć partyzantkę; zapytał też o radę swoich oficerów, ale większość oświadczyła się za powrotem do Królestwa.

Ruszył tedy w dalszy pochód, przeszedł bez zaczepki Rów i w Kowarsku przebył rzekę Świętą, gdzie dano mu znać, że Sawojna postępuje za

nim z całym korpusem; Dębiński kazał zniszczyć most na rzece Świętej, a tym sposobem odgrodził się na chwilę od nieprzyjaciół i zwrócił się ku Kurklom, żeby ominąć Wilno, w którem się znajdowała potężna załoga; — tu też napotkał dzielnego partyzanta Kontrymowicza na czele małego oddziału cudów waleczności dopełniającego nieomal w środku armii nieprzyjacielskiej; zarazem dowiedział się w Owancie, że Sawojna okrąża go z całą armią — wyprawił tedy majora Matuszewicza z 200 ludźmi dla maskowania swego odwrotu, a sam cofał się w porządku ku Małacie; — tu okolica była zupełnie otwarta, przemknąć się cicho niepostrzeżenie prawie było niepodobieństwem, potrzeba było: albo broń złożyć, albo przyjąć bitwę i zginąć z chwałą.

Nieustraszony major Janowicz, jeden z najlepszych oficerów tego korpusu został pierwszy zaatakowany z taką gwałtownością, iż zdawało się, że poprostu zdepczą go na proch; ale Moskale napotkali mur żelazny, który ich nie puścił, dopóki piechota pod Sierakowskim nie doszła do Małat i nie oparła się o nie.

Cztery tysiące Polaków miało przeciwko sobie z trzech stron 15 tysięcy wroga doskonale uzbrojonego i pewnego zwycięstwa; z czwartej strony rozciągało się jezioro pod Jaturkami, na którem most jedyny mógł znajdować się już w ręku nieprzyjaciół. — W Ścięcianach i Niementynie na prawo i na lewo też byli Moskale — Sawojna pewny był, że tym razem zagarnął w matnię cały korpus polski, nie szczędząc więc żołnierza przypuścił atak ze wszystkich stron odrazu i parł do środka.

Rozpoczęła się około południa bitwa krwawa na wszystkich punktach odrazu: Dębiński odpierał tylko ataki, ścieląc trupami moskiewskimi ziemię; dzielnie trwając, doczekał się wreszcie wieczoru, a wówczas pomału w największym porządku wyprowadził wojsko swoje z placu boju i schronił się do lasu. — Żelazna obręcz jednak nie została przerwana: chcąc się z niej wybawić potrzeba było przebyć mostem jezioro, nie ściągając na siebie przy przeprawie gromów. — Żołnierze umęczeni całodziennym bojem, głodni, pełni jednak byli ufności w swojego wodza.

— Weźmiesz poruczniku Aleksandrze Luboradzki — komenderował wódz — dwie kompanie piechoty, — brat twój młodszy może ci towarzyszyć i zajmiesz most na jeziorze, a jeżeli go już zastaniesz zajętym — zdobędziesz go, bo to klucz do drzwi naszej kaźni; czekać tam będziesz tak długo, aż armia nasza cała przejdzie, a natenczas spalisz most i jeżeli żywy będziesz, połączysz się z nami.

— Uczynię według rozkazu twojego, generale.

— To jest stracona pozycya — tam prawdopodobnie czeka cię śmierć.

— Utrzymam pozycyę i nie cofnę się przed śmiercią, gdy tego wymaga dobro Ojczyzny; — śmierć wszędzie nas czeka.

— Idź chłopcze i spełnij obowiązek; — ja cię błogosławię...

Aleksander Luboradzki powrócił do oddziału; wszedł do zrobionego z gałęzi baraku brata i zastał go pogrążonego w głębokim śnie; — siły

chłopca były wyczerpane długim bojem — umęczenie malowało się w wynędzniałych rysach, tak, że zdało się, iż to już trup nie człowiek żyjący.

Aleksandra silny żal ścisnął za serce, w jednej chwili stanęła mu cała przeszłość przed oczyma: Luboradz i stara matka z małym pisklęciem, Antosiem: sami oni opuszczeni! — Przesunął mu się przed oczami duszy cień ojca nad Niemnem i ten dzieciak Jaś, z tak bohaterską duszą męża — i on sam nareszcie z ukochaniem w sercu tej pięknej ziemi, jej lasów cienistych, jej pól pokrytych bujnemi zbożami; uczuł zapach kwiatów, niw rodzinnych i jakiś żal niewytłómaczony za tem wszystkiem tak go opanował, jak gdyby miał to wszystko utracić, jakby się już żegnał z tem wszystkiem.

Otrząsnął się jednak z wrażenia: — nie czas w tak ważnej chwili oddawać się marzeniom — obowiązek nakazywał mu być mężem, więc zdusił w sobie żałość.

— Co u licha, czy jak stara baba będę się oddawał jakimś przeczuciom smętnym? — Luboradzki, bądź sobą! — rzekł głośno, uśmiechając się i przywołując do porządku swoje myśli.

Teraz pochylił się nad śpiącym Jasiem, przez chwilę wpatrywał się w jego wynędzniałą twarz, nachylił się i złożył serdeczny pocałunek na ustach śpiącego.

— Wstawaj podporuczniku! — rzekł głosem męskim. — Służba!

Chłopiec otworzył oczy, wyciągnął ręce, objął niemi szyję brata i wycisnął na jego ustach serdeczny pocałunek.

— Śniła mi się matka i Antoś, tak tam pięknie teraz w Luboradzu!

Aleksander, nie odpowiadając nic na te słowa, powtórzył głosem urzędowym.

— Wyruszamy natychmiast na zajęcie mostu na jeziorze, przez który nam zostaje jedyna droga do Polski. — Podporuczniku, zbierz swoją kampanię i za 20 minut bądź gotów do drogi.

Na te słowa Jaś zerwał się na równe nogi, szybko otrząsnął się ze snu, przypasał szpadę — przeżegnał się i wyszedł, milcząc — ale natychmiast z poza proga wrócił jeszcze i rzekł:

— Uściśnijmy się jeszcze raz, bracie!

Aleksander przycisnął czule brata do piersi.

— Służba!

Na to słowo Jaś spiesznie się oddalił i wkrótce słychać było poruszenie całego oddziału, gotującego się na wyprawę.

— Z miejsca, w którem się znajdowano, było dobrych kilkanaście kilometrów do mostu, jeżeli postępowano doń drożyną, wijącą się wśród piasków; Aleksander zapragnął skrócić drogę, więc rozkazał wezwać miejscowego chłopaka, którego znaleziono ukrytego w stodole. Chłopak miał zaledwie lat 16 i bose nogi; podarta na nim świta i brudna koszula przedstawiały obraz biedaka.

— Tutejszy jesteś? — zapytał Aleksander.

Chłopak nic nie odpowiedział.

— Dlaczego milczysz i nic nie odpowiadasz?

— On nie rozumie po polsku — objaśnił przytomny przy tej rozmowie podoficer.

— Pytaj go się więc po litewsku.

Podoficer powtórzył zapytanie w tym języku:

— Znasz te okolice dobrze?

— Chłopiec roześmiał się i odrzekł:

— Znam każdy krzak nad jeziorem, wiem, w którym się lęgną czajki, a w którym składają jaja kaczki dzikie i gęsi.

— To dobrze — powiedział do siebie Aleksander.

— Czy można się dostać do mostu krótszą drogą, niż ta, która przed nami.

— Drogi drugiej tam niema — ale ścieżkami wijącemi się pośród bagien, któremi chodzi bydło można dostać się prędzej.

— Dużo będzie bliżej?

— O, bardzo dużo.

— A błota nie bardzo wielkie?

— Rozmaicie się trafia, ale przejść można.

— Prowadź nas chłopcze tą bliższą drogą, a dostaniesz dobrą nagrodę.

— A da mi pan karabin i prochu?

— Dam, tylko nie marudź i prowadź dobrze.

— Bo i ja chcę zostać żołnierzem.

— Bardzo dobrze.

Wkrótce dwie kompanie ruszyły pod przewodnictwem chłopaka przez moczary nadjeziorne ku mostowi — jedną prowadził Jaś Luboradzki, a drugą ex-bernardyn January, a teraz porucznik Pniak; — przy pierwszej kolumnie postępował ksiądz Loga z krzyżem w ręku.

Ścieżka wiła się wśród zarośli, silny zapach kwitnących roślin błotnych roztaczał swoje wonie

naokoło, tu i ówdzie zrywało się ptactwo błotne, spłoszone ze swoich siedzib i z krzykiem ulatywało dalej.

Ścieżka była tak wązka, że zaledwie jeden człowiek za drugim mógł postępować — na czele kroczył przewodnik — obok niego postępował Aleksander.

W niektórych miejscach znajdowały się wśród zarośli przerwy i niemi toczyły się małe strumyki, ściekające do jeziora; w niektórych miejscach potrzeba było przeskakiwać przez nie po korzeniach wodnych roślin, a niekiedy brnąć po kolana w błocie.

Pochód odbywał się w największej cichości, niekiedy pokazywały się wody jeziora, niekiedy zagłębiali się idący w gąszcze rokociny i wynurzali się z nich znowu jak stado żurawi.

Po godzinie męczącego pochodu cała kolumna wyłoniła się na płaszczyznę, przed nią rozciągało się jezioro; zdaleka czerniał, jakby czarna wstęga, most.

Aleksander oddech zatrzymał w piersi, teraz zbliżała się stanowcza chwila, — czy most jest zajęty już przez Moskali, czy jest wolny?

Oddział zatrzymał się na chwilę — dwóch żołnierzy wysunęło się z szeregu i śmiałym krokiem posunęło się ku mostowi; gdy tymczasem obie kompanie trzymały ręce na kurkach karabinów, dla dania w razie potrzeby ognia; — wkrótce jednakowoż powrócili obydwaj żołnierze, wyprawieni na zwiady i z radością dla wszystkich oświadczyli, że most jest wolny.

— Naprzód! Marsz! — zakomenderował Aleksander. Szeregi szybko się posunęły i zajęły stanowisko na moście i w przyległych zaroślach.

Jedna wielka przeszkoda została usunięta — potrzeba zdobywania szturmem mostu.

Wyprawiono natychmiast dwóch posłańców do generała z tą pomyślną wiadomością.

Jezioro, przez które zbudowano na palach pomost bardzo długi, nie było głębokie, ale na jego błotnistem dnie od wieków gniły miliardy roślin i stanowiły nieprzebyte dla człowieka podłoże; szerokie liście grzywien wodnych i żółta rzęsa pokrywały powierzchnię zdradliwych przepaści.

W oddali naokoło, na wzgórkach paliły się ogniska obozów nieprzyjacielskich, żołnierze znużeni całodziennym bojem tam spoczywali, będąc pewni w dniu jutrzejszym zwycięstwa.

Polska armia nie mogła sobie pozwolić na taki zbytek.

Dla czego wódz rosyjski nie zajął mostu na jeziorze? — Zbytnia pewność zwycięstwa otumaniła go widocznie; nie przypuszczał nawet, żeby armia cofająca się obrała ten kierunek ku Wilnu, a zatem w samą gardziel nieprzyjaciół.

Wkrótce dało się słyszeć stąpanie licznych koni, a w świetle księżyca zamigotały ostrza żelazne lanc ułanów polskich i wnet generałowie Sierakowski z Dębińskiem, jadący na czele, zjawili się u mostu; za nimi w dali snuła się długa wstęga piechoty najeżona bagnetami, następnie postępowały armaty i za niemi znowu parę szwadronów ułanów.

— W jakim stanie most? — zapytał generał Dębiński, salutującego porucznika Aleksandra Luboradzkiego.

— W doskonałym — przejście swobodne.

— Materyały palne masz z sobą?

— Mam, generale.

— Trzymaj się ostro — a gdy ostatnie nasze szeregi się przeprawią, zapal most i cofaj się za nami.

— Stanie się według rozkazu.

Dębiński przemówił parę słów do Sierakowskiego, a ten natychmiast wydał rozkaz wstąpienia na most.

— Marsz! — cichym głosem rozległa się komenda.

Ułani sformowali trójki i wkroczyli na skrzypiące belki mostu; poręczy mostowych po żadnej stronie nie było; — konie trochę zaczęły się strachać, ale dzielni jeźdźcy wnet przyprowadzili je do porządku.

Generał Dębiński, przy nim dwóch adjutantów, usunęli się na stronę, przepuścili kawaleryę, a po sporej chwili widząc, że już ta dosięga przeciwnego brzegu i formuje się za nim, z zadowoleniem uśmiechnęli się.

Tuż za pułkiem ułanów wsunęły się na most bataliony piechoty, za nimi armaty i szwadron ułanów eskortujący działa.

Zdawało się już, że cała wyprawa przez jezioro odbędzie się spokojnie i że niezaczepiony korpus znajdzie się w bezpiecznem miejscu.

Generał Dębiński ostatni wstąpił na pomost, skinął ręką Luboradzkiemu i przyłączył się do oddziału ułanów, stanowiących aryergardę.

Wtem niespodziewanie rozległ się głos armatniego wystrzału w obozie nieprzyjacielskiem, był to znak, że spostrzeżono ruch armii polskiej, a jednocześnie prawie zatętniała ziemia, rozległy się krzyki w powietrzu — i dziki szwadron Czerkiesów i Kałmuków pędził z podniesionemi szaszkami na pomost, ale tu stał już Aleksander na czele swojej kompanii i przywitał nacierających rzęsistym ogniem karabinowym — tuż przy nim stał ksiądz Loga, krzyż trzymał w ręku wysoko wzniesiony do góry i wyglądał niewzruszony jak statua kamienna. Rozległy się strzały z janczarek czerkieskich, które zraniły kilku żołnierzy — odpowiedziały im nasze i kilkunastu jeźdźców spadło z koni, tarzając się w piasku. — Atakujący, widząc się tak przyjętymi, nie śmieli powtórzyć natarcia, rozbili się jak stado wróbli i krążąc ponad brzegiem, zdaleka posyłali swoje strzały.

Tymczasem spiesznie, co sił starczyło, zbliżała się piechota rosyjska, a za nią posuwała się baterya sześciu armat, szukając dogodnej pozycyi do ustawienia się. Koniec już tylko długiego węża armii polskiej znajdował się na moście. — Nadeszła teraz chwila stanowcza zniszczenia mostu — spostrzegł to Aleksander i natychmiast zaczął działać.

Spiesznie zaczęto rozbierać przęsła mostu od strony nieprzyjaciół, silnie jednak poprzybijane belki nie były łatwe do poruszenia w pierwszym przę-

śle — następne przęsło uległo i w mgnieniu oka zostało rozebrane.

— Poruczniku Pniaku — zakomenderował Aleksander — nie zdążymy rozebrać całego mostu, rozrzuć przygotowane palne materyały na środku i zapal je, ja tymczasem stawiać będę opór.

Szeregi piechoty rosyjskiej zbliżyły się już na strzał karabinowy: — rozległa się salwa i zaraz Aleksander trafiony w ramię prawe wypuścił szpadę, którą trzymał w ręku; — tymczasem most w środku zaczął się palić pomału. — Aleksander obejrzał się i uśmiechnął się z zadowoleniem; — przy nim stał ksiądz Loga i bacznie się wpatrywał w twarz porucznika; — kule jak grad zaczęły się sypać, kilkunastu żołnierzy padło już — Aleksander, chociaż ranny, nie ustępował, chcąc powstrzymać nieprzyjaciół tak długo, aż cały most stanie w płomieniach.

Nagle zachwiał się, druga kula karabinowa trafiła go w piersi! Upadł na ręce księdza Logi.

W tejże chwili garstka żołnierzy przestała strzelać; nie było w niej ani jednego nie ranionego żołnierza; tłumy piechoty rosyjskiej wdarły się na pomost, kłując bagnetami rannych i zabitych.

Jan znajdował się już po drugiej stronie ognia, widząc padającego brata, chciał się rzucić w płomienie, lecz Pniak chwycił go w ramiona i zatrzymał.

Postępowanie Moskali udaremnił pożar mostu — suche belki sosnowe, raz zająwszy się, postawiły zaporę, której przebyć było niepodobna. — Kilku odważnych, a może pijanych Czerkiesów rzuciło się we wodę, chcąc wpław przebyć jezioro, ale ko-

nie ich natychmiast zanurzyły się w błocie i zniknęły wraz z jeźdźcami.

Tymczasem artylerya polska już ustawiła się na drugim brzegu wzgórzystym i silnie zaczęła razić nieprzyjaciela bezradnego.

Żołdacy pastwili się nad rannymi, których znaleźli na pomoście, bagnetami przebijali leżących na ziemi: — jeden z nich chciał właśnie zanurzyć swój sztych w piersi bezprzytomnie leżącego Aleksandra, gdy wtem ksiądz Loga, jedyny zapewne nietknięty w całym oddziale zasłonił go swoim ciałem i odebrał w ramię cios, przeznaczony dla rannego; — ksiądz upadł, przykrywając ciałem swojem Aleksandra.

Zjawił się na szczęście oficer i zabronił dalszego pastwienia się nad rannymi; — księdza Logę ciężko rannego i Aleksandra, dającego jeszcze znaki życia, rozkazał odnieść na miejsce opatrunkowe.

Armia polska na ten raz została ocalona, odgrodziła się od nieprzyjaciół potokami ognia i wody, a Sawojna, wściekając się ze złości i zmartwienia, kazał aresztować i oddać pod sąd pułkownika, który miał rozkaz pilnować mostu.

Rannych opatrzono: ksiądz Loga nie stracił przytomności, ale Aleksander Luboradzki nie rokował najmniejszej nadziei wyzdrowienia; — już miano go zostawić na pobojowisku, gdy tylko prośby księdza wyjednały u doktora, że postanowiono odesłać obydwóch do lazaretu w Wilnie.

Po zniszczeniu mostu i uniemożebnieniu tym sposobem Moskalom natychmiastowego natarcia, armia polska mogła nareszcie kilka godzin wypo-

cząć, zanimby nieprzyjaciel zdałał obejść naokoło rozległe jezioro, nad którego brzegami nie było drogi.

Sawojna nie przypuszczał, żeby Dębiński obrał kierunek odwrotu na Podbrzeże, które leżało w pobliżu Wilna, zajętego przez ogromne siły — dlatego stojący tam oddział wojska, złożony z 2000 piechoty i armat ściągnął do głównej armii, pozostawiwszy tylko 150 piechoty z pięciu oficerami i 30 ułanów, pilnujących mostu na rzece Musze.

Przychylna ludność okoliczna uwiadomiła wodza o tem szczęśliwem zdarzeniu, a on, z błyskawiczną szybkością umiał skorzystać z tego położenia: — wysłał natychmiast pułkownika Brzeżańskiego na czele Poznańczyków, którzy, jak piorun, wpadli na ucztujących w karczmie ułanów i zabrano ich do niewoli. — Dębiński galopem podprowadził pod budynki jedną armatę i swoją konną piechotę (tak była nazwana dlatego, iż w razie potrzeby zsiadała z koni i z karabinami w ręku odgrywała rolę piechoty, wprowadzając w błąd nieprzyjaciela), w których stali kwaterą jegry, ci zaś widząc się otoczeni i zagrożeni, rzucili broń i poddali się dobrowolnie.

Świetne to zwycięstwo przyniosło dla wyczerpanego trudami wojska wielkie korzyści, bo oprócz zabranych do niewoli ludzi, znaleziono 40 tysięcy ładunków karabinowych — suchary — wódkę — 50 tysięcy złotych w kasie pułkowej, a co nadewszystko ważniejsze, to aparaty saperskie do budowy mostów, których zupełnie nie posiadało wojsko

polskie, które miało się jeszcze przeprawić przez Wilię i Niemen, zanimby stanęło na ziemi polskiej.

Dębiński czuł jednak, że znajduje się wśród mrowiska, które go zasypać może ze wszystkich stron — potrzeba było w błąd wprowadzić nieprzyjaciela i ukryć się. — Klasycznie też tego dokonał — zrobił zwrot na północ ku Święcanom i szedł 12 wiorst w tym kierunku, każąc rozgłaszać po drodze, że cofa się w głąb Litwy i tam prowadzić zamyśla partyzantkę na dużą skalę. — Wieści te doszły do Sawojny, zaniepokoiły go i zmusiły do obrotów wstecz — tymczasem wojsko polskie raptem zrobiła zwrot na południe i bocznemi drożynami a raczej wertepami, zaroślami, w których potrzeba było wycinać drogi, słać faszyny w błotach i przeciągać armaty po ułożonych dylach, — dostało się do Michaliszek.

Tu szczęśliwym trafem wpadła w ręce generała poczta rosyjska, a z zabranych papierów dowiedział się ważnych rzeczy — a mianowicie, że żołnierze zamordowali tam swoich oficerów; zdawało się, że z tego powodu nastąpią ważne wypadki.

Sawojna przez trzy dni nie miał wiadomości o ruchu polskiej armii, tymczasem ona posunęła się o siedm mil pod samo Wilno i żywiąc się zabranemi nieprzyjacielowi prowiantami, zbliżyła się do Wilii; trzeciego dnia, t. j. 19go lipca, stanęła niezaczepiona pod Daniszewem, gdy tymczasem Moskale szukali jej na północy.

Dębiński obawiał się, żeby Sawojna nie zwrócił się przez Wilno wprost do Oszmiany i tym sposobem ubiegłszy go nie zatamował przeprawy

przez Niemen, a wiedział dobrze, że dopóki nie przeprawi się przez tę rzekę, dopóty pozostaje w matni wrogów; jedyny sposób ocalenia bohaterskiego oddziału pozostawał, aby schronić się w lasy mińskie.

Zaczął Dębiński dla wprowadzenia w błąd nieprzyjaciela — jak lis manewrować: wysłał trzy mocne oddziały w trzy przeciwne strony ku Wilnu, Mińskowi i Smorgoniom (w których dawniej była sławna „akademia" niedźwiedzi księcia Radziwiłła). Oddział, który ku Mińsku prowadził Pniak zabrał pocztę moskiewską, z której dowiedziano się o śmierci W. Księcia Konstantego w Witebsku. Wielki Książę w Witebsku znajdował się jakby na wygnaniu i nie ukrywał się wcale ze swoją radością, widząc ciągłe zwycięstwo polskiego wojska, które on przecie wykształcił, z którego był dumny i sądził, że okazywane męstwo Polaków jest jego dziełem: — pragnął on dokuczyć bratu Mikołajowi, którego w duszy nienawidził; — jego samego zaś nienawidził nietylko car, ale i magnaci rosyjscy, którymi on pogardzał od czasu ich spisku na życie jego ojca, Pawła.

Gabinet rosyjski nie wiedział, co robić z W. księciem, już był bowiem zdecydował, że w razie zwycięstwa zniesie prawa Królestwa Polskiego, skasuje wojsko i konstytucyę, a wiedział dobrze, że Konstanty nigdyby nie pozwolił na to, by jego ulubieni żołnierze zniknęli z widowni, a on przestał być ich dowódcą; niepotrzebny więc był i trzeba było, aby się usunął.

Śmierć nagła jego jest niewyjaśnioną zagadką... Przybycie Orłowa do Witebska i głośna jego z księciem sprzeczka o wyjazd do Petersburga, którą miała godzić aż księżna osobiście — później w kilka godzin śmierć człowieka, dotąd zupełnie zdrowego, dużo daje do myślenia i może kiedyś w przyszłości wyjaśnioną będzie stanowczo, bo to, co dotąd o niej wiemy, nie ma żadnego znaczenia.

Ostatnie słowa Konstantego do żony przed zgonem były: „Powiedz cesarzowi, że umierając, zaklinam go, by przebaczył Polakom”.

W kilka tygodni zeszła ze świata i jego żona, kobieta wyniesiona tak niespodziewanie z pod strzechy szlacheckiego dworku, na wyżyny, o których marzyć nigdy nie mogła — na których ciernie życia głęboko się wbijały w jej serce i czyniły ją prawdziwą męczennicą.

Z papierów zabranych poczcie rosyjskiej ucieszył się Dębiński bardzo, gdyż przekonał się z nich, że Rosyanie dotychczas nie wiedzieli, jakie były jego istotne siły, ani też, w jakim szedł kierunku; dalej, że gen. Safjanow z dwoma tysiącami wojska i 7 armatami dąży ku Dźwinie — a inny oddział równie silny do Wilejki; — były i smutne wiadomości donoszące o okrucieństwach Moskali popełnianemi nad obywatelami i jeńcami, pochodzącymi z prowincyi litewskich... —Spiesznie więc pod Markowicami przeprawił się Dębiński przez Wilię i dnia 20go lipca stanął w Smorgoniu; tu chciał się zaopatrzyć w materyały potrzebne do zbudowania mostu na Niemnie, ale znalazł tylko u żyda cztery kopy bretnali... Przebył jednak szczęśliwie Krewe — i u-

dał, że się udaje ku Mikołajewu, a za nim podążyli tuż w tropy Moskale i już dotarli do Oszmiany.

Dębiński jednak nagle zwrócił się przez Boruny w lewo do Olszan, gdy tymczasem Sawojna, wypędzając ostatnie siły z żołnierzy swoich, padających od umęczenia, dążył do Mikołajewa — gdzie... nie zastał nikogo i dowiedział się, że Dębiński jest w Borunach; pospieszył i tam, ile mu sił starczyło, ale oddział polski zyskał tym sposobem 4 godziny odpoczynku, którego bardzo potrzebował, spodziewając się co chwila ujrzenia nieprzyjaciela, będącego od niego oddalonego tylko o 12 wiorst, a liczącego 12 tysięcy, 8 armat i dwa pułki kawaleryi.

Nie zasnąwszy ani minuty Dębiński o godzinie 2-ej rano wyruszył przez Iwie ku Zboiskom, gdzie wysłał najpierw saperów na kawaleryjskich koniach dla postawienia mostu na Niemnie.

Nagle — niespodziewanie ukazała się kawalerya nieprzyjacielska, pędząca w największym nieładzie gościńcem — na chwilę sądził Dębiński, że go już dosięgnął nieprzyjaciel, ale jakże się zadziwił, gdy zobaczył, że huzary raptem skręcili w bok i uciekli co sił. — Zagadka rozwiązała się wkrótce: — oddział ten huzarów napadnięty był przez powstańców Nowogrodzkich i znaczne poniósłszy straty, uciekał na oślep; tym sposobem wpadł na tylnią straż Dębińskiego, a spostrzegłszy omyłkę w nowej ucieczce szukał ocalenia.

Tymczasem wódz nasz kazał majorowi Janowiczowi i pułkownikowi Radziszewskiemu osadzić Iwie — a Sierakowskiemu rozciągnąć swoją kawaleryę aż do Niemna do punktu, w którym budowa-

no most. — Była godzina 9 wieczór, gdy pierwsze ufnale zaczęli wbijać w belki mostu; — obrachował Dębiński, że Sawojna na godzinę 5tą rano może go dognać z całą armią i uniemożebnić przeprawę: — ośm godzin pozostawało mu wszystkiego do zbudowania mostu i przeprowadzenia armii.

W dwie godziny po rozpoczęciu budowy przeprawiono pierwsze działo — ale już o godzinie 3ej zrana Sawojna dotarł do Iwia i zaczepił majora Janowicza, lecz ten odparł go tak dzielnie, że powstrzymał jego pochód. O godzinie 4ej przeszło ostatnie działo polskie na lewy brzeg Niemna. — Sierakowski na czele swojej kawaleryi rzucił się wpław i przepłynął rzekę szczęśliwie — tymczasem pokazała się piechota nieprzyjacielska na brzegu, — ale już i armaty polskie zajęły wzgórze poza Niemnem i przywitały ją kartaczami, a tymczasem piechota polska przeprawiła się przez rzekę.

Dębiński mógł się uważać za ocalonego, bo Rosyanie na żaden sposób ścigać go dalej nie mogli.

Odwrót ten należy do nieśmiertelnych czynów tego znakomitego wodza i promieniami sławy otoczył dzielnego generała i jego waleczne wojsko.

Ba zaiste, czyż nie do walecznych prawie czynów zaliczyć należy tę wyprawę, w której korpus, nie liczący całych 4,000 żołnierza, zaraz po rozpoczęciu marszu atakowany, — w czternastu marszach odcinał się nieprzyjacielowi, jak odyniec zgrai psów i ustępował zwycięsko. — W siedmnastu miejscowościach naokoło, znajdowały się większe oddziały nieprzyjaciół z armatami, a w dwudziestu

mniejsze, utrudniające pochód korpusu, który pośród tych miast musiał przechodzić, ścigany przez 12 tysięcy wojska z potężną artyleryą!

W pięć dni po przejściu Niemna korpus Dębińskiego znalazł się w puszczy Białowiezkiej. W Dzięciołach kwaterował oddział moskiewski, lecz ten na wieść o zbliżaniu się Polaków uciekł czemprędzej, pozostawiwszy znaczną ilość amunicyi.

Pomimo tego szczęśliwego wydarzenia, potężna jeszcze zapora stała Polakom na drodze, złożona z kilku pułków jegrów mogących przeciąć naszym drogę. I tu jednak dzielny generał wyprowadził wroga w pole — udał, że się kieruje ku Słonimowi, wysławszy tam oddział kawaleryi; — raptem zwrócił się z całym korpusem na Więzowiec do Woli, gdzie się przeprawił przez spławną rzekę Szczarę, niszcząc za sobą mosty i powstrzymując w pochodzie Sawojnę.

W Derczynie zabrał huzarom wiele koni, wielkie zapasy płótna, rzemieni, amunicyi i siedm koplic bojowych — tu też przyłączyło się do jego korpusu 250 silnych strzelców powstańców, dowodzonych przez Brońskiego, którzy sami dotychczas w puszczy Białowiezkiej cudów waleczności dokazywali.

Puszcza Białowiezka naokoło obsadzona była kawaleryą rosyjską, broniącą chronienia się do niej powstańcom; Dębiński dopiero otworzył sobie do niej drogę i 27go przez Porosów zanurzył się w lasach, przebywszy 120 mil wśród tylu niebezpieczeństw.

Ale tu zaczęto głosić wieść, puszczoną przez nikczemnego Łempickiego, że w Białowieży Dębiński przekupiony, myśli się poddać wraz ze swoją armią, że Sierakowski nawet już się poddał... — Ile podobnego jak Dębiński człowieka kosztowała taka potwarz! Któż to opowiedzieć potrafi? A potwarz szybko się rozniosła!....

Ów Lempicki, kapitan 3go pułku ułanów, odłączywszy się od korpusu, dopuszczał się rabunków, później jednak zmuszony był powrócić do korpusu. Dębiński surowo go przyjął i obiecał oddać pod sąd — stąd zemstą powodowany rozgłaszał potwarz na generała i dopiero Janowicz aresztował go, gdy do niego przybył.

Dębiński był bardzo drażliwy na punkcie honoru i podobna podłość oburzyła i dotknęła go ogromnie — usiadł smutny na powalonym Dębie i oddał się głębokiej zadumie — samotność jego przerwało zjawienie się porucznika Pniaka.

— Co powiesz chłopcze, jakie wieści?

— Dobre, generale — od Narewki zbliża się pułkownik Różycki ze swoim oddziałem.

— Co, Różycki tutaj! Na Litwie? — To chyba błędne wieści!

— Nie, generale, spotkałem jego forpoczty i rozmawiałem z oficerem.

— Ależ on jest w Sandomierskiem.

— Nie, generale, w Białowieży.

— Dzielny wódz! A jak liczy jego oddział? Wypytałeś się o to?

— Korpus składa się z batalionu strzelców Kuszla, z jednego szwadronu ułanów w województwie

kaliskiem formowanych,ze szwadronu z samych oficerów złożonego, przeznaczonych na instruktorów dla Litwinów i z dwóch armat.

— To wybornie! Wybornie — mój poruczniku; podać mi konia! Natychmiast jadę na jego przyjęcie, — ale niech pierwej złożę dziękczynną modlitwę Bogu za tę Jego łaskę! — To mówiąc, upadł na kolana i w krótkich a szczerych modłach wynurzył swoje uczucia; — tak ten stary polski szlachcic pojmował życia obowiązki.

Objaśnić nam wypada, jakim sposobem Różycki znalazł się wśród Białowieży.

Skrzynecki, naczelny wódz, nie lubił oficerów, którzy przyćmiewali jego sławę i działali samodzielnie; odebrawszy wiadomość o nieszczęśliwej bitwie pod Wilnem, stoczonej przez Giełguda — postanowił wysłać jakiś oddział do południowej Litwy dla powstrzymania partyzantką korpusów rosyjskich, dążących ku Warszawie, — Krępowicki wymówił się od tej wyprawy niebezpiecznej, ale Różycki z zapałem ją przyjął.

Na czele szwadronu kaliskiego ułanów przybywszy nad Bug, nie czekając na budowę mostu, wpław przeszedł rzekę, uderzył na miasto Drohiczym, przed którym został uformowany batalion grenadyerów rosyjskich i w świetnej szarży, przypominającej Somosierrę, w puch ich rozbił! Zabrał do niewoli pułkownika, kilku oficerów i 140 szeregowców, wziął przeszło 50 koni, bagaże i magazyny. — Nie tracąc czasu, udał się do Sieniatycz, gdzie znowu zabrał 40 ludzi i 600 karabinów, które natychmiast rozdał pomiędzy powstańców, licznie

się zjawiających — a znalazłszy też wiele sukna, umundurował kompletnie batalion Kuszla. — Postępując dalej ku puszczy, stoczył zwycięską potyczkę z generałem Paniutynem, którego wziął do niewoli z wielkimi bagażami i znaczną kasą i wkroczył pod sklepienia odwiecznych drzew Białowieży: — tu jeszcze na samym jej kraju stoczył kilkagodzinny bój z cztery razy liczniejszym korpusem generała Bohlena. — Nad Narewką dowiedział się o Dębińskim i odtąd starał się z nim połączyć.

Gdy dwaj generałowie zjechali się, zeskoczyli z koni i rzucili się w objęcia.

Po krótkiej rozmowie pokazało się, że mają różne poglądy na dalszą wojnę. — Dębiński pragnął jak najprędzej połączyć się z główną armią pod Warszawą dla wzmocnienia jej, a Różycki zamyślał dostać się w lasy pińskie i tam zatrzymywać posiłki moskiewskie, dążące do wzmocnienia Paszkiewicza. — Lubo nie zgodzili się na jeden plan, udali się jednak wspólnie przez Orlą i Borki do Ciechanowca i zwiedli powtórnie gen. Bohlera, kóry myślał zatrzymać ich w Bielsku i napędzić na generałów Sawojnę i Stankiewicza. — Manewr naszych mistrzowski ocalił korpus z położenia najgroźniejszego, albowiem, generał Rosen czekał już od tygodnia na Polaków ze znacznym korpusem w Sieniatyczach — a tak był pewny zwycięstwa, że pokazywał swoim oficerom na mapie punkt pewien i powtarzał:

— Tu Dębińskiego grób.

Zgromadzone na kupę korpusy Rosena i Sawojny, pułki kirasyerów, liczną artylerya — pewne

były, że już trzymają w klatce mały oddział Dębińskiego i pozostaje im tylko zatrzasnąć drzwiczki, ażeby go wziąć do niewoli; drzwiczki te spodziewali się znaleźć pod Bielskiem, którędy — jak przypuszczali — koniecznie musi postępować waleczny wróg. — Dębiński jednak omylił ich rachuby. — Zwołał radę wojenną na otwartem polu pod starą gruszą, stojącą samotnie i przedstawiwszy swój plan dalszego pochodu, rzekł:

— Potrzeba koniecznie utrzymać Rosena w tem mniemaniu, że Bielsk jest celem naszego pochodu; tymczasem korpus pójdzie ku Sterdyniu, gdzie się przez Bug przeprawimy i znajdziemy się w granicach Polski. — Czy zgadzacie się na to panowie?

Podporucznik, Janek Luboradzki, jako najmłodszy z oficerów miał najpierwszy głos: — dziwnie się to zdawać mogło, iż piętnastoletni chłopczyna przypuszczony był do tak poważnej narady, — ale wielokrotne on już dał dowody swojego męstwa i rozwagi, a przytem śmierć ojca i brata nadawały mu pewne wyróżnienie wśród zasłużonych oficerów.

— Tak generale — odpowiedział więc Luboradzki — lecz trzeba zrobić zasłonę od strony Bielska i ściągnąć tam główne siły nieprzyjaciela.

Dębiński i starsi oficerowie uśmiechnęli się i sympatycznie przyjęli te słowa: — nikt też nie zaprotestował przeciwko planowi wodza naczelnego.

— Kiedy więc panowie — rzekł generał — zgadzacie się jednomyślnie na mój plan, to i wykonamy go. — Oddział złożony ze stu ochotników, po-

zostawionych na stracenie zajmie las na drodze do Bielska; polegnie tam, ale powstrzyma nieprzyjaciela przez sześć godzin, a tyle mi właśnie czasu potrzeba; kto z panów podejmie się dowodzić tym oddziałem?

Pierwszy major Horodyski, stary napoleoński jeszcze żołnierz, którego Chłapowski tak lekceważąco przyjął, ojciec sześciorga dzieci — na nieszczęście, jak mawiał, samych dziewuch, niezdatnych do boju; ten oświadczył, że podejmie się zadania, ale nie dokończył jeszcze mówić, gdy wysunął się naprzód podporucznik Janek Luboradzki: — oko jego pałało zapałem, twarz, zwykle bladą, pokrył rumieniec i głosem stanowczym rzekł:

— Jako najmłodszy mam prawo pierwszego głosu; jako sam dziś sierota, nie mam nic do stracenia; pozwól mi generale zająć to chlubne stanowisko, bo dzielny major Horodyski, ojciec tylu dzieci, przydać się może we ważniejszej chwili.

Milczenie zapanowało przez chwilę wśród oficerów — każdy spoglądał z uznaniem na młodego bohatera — przerwał je Dębiński:

— Syn poległego Klemensa i brat walecznego Aleksandra, zostającego w tej chwili w niewoli, ma niezaprzeczone prawo pomścić pamięć drogich sobie osób: — Podporuczniku, Janie Luboradzki, mianuję cię dowódcą oddziału, przeznaczonego na stracenie, ale ocalającego armię naszą:—Ojczyzna ci tego nie zapomni.—Wybierz sobie stu żołnierzy ochotników i idź w imię Boże spełnić powinność dobrego Polaka.

Rada zakończyła się. — Oficerowie oddalając się, szczerze uścisnęli dłoń Janka i życząc mu powodzenia, rozeszli się.

Janek, dumny odniesionym zaszczytem, w pół godziny już miał pod swojemi rozkazami stu dzielnych ludzi, uzbrojonych w karabiny i pożegnawszy się z Pniakiem, który mu nie mógł towarzyszyć, zagłębił się w lasy bielskie.

Noc zapadła, czarne chmury nagromadzone i parne powietrze zapowiadały zbliżającą się burzę; kiedy niekiedy odzywający się grzmot i przesuwające się błyskawice pokazywały, że to jednak nie zaraz nastąpi.

Janek cicho przeszedł las ze swoim oddziałem krętemi ścieżkami, prowadzony przez przewodnika; na skraju lasu pokazywały się pola, oddzielające go od Bielska, oddalonego o kilka wiorst. — Tu oddział zatrzymał chwilę i rozkazawszy wszystkim swoim żołnierzom rozciągnąć się w jak najdłuższą linię, uformował front, każdy żołnierz oddalony o pięćset kroków jeden od drugiego, miał zapalić obok siebie ognisko i gdyby się zbliżała kawalerya, razić ją ogniem karabinowym, nie ustępując z miejsca ani kroku.

Tak uformowany oddział, który mógł przedstawiać długą linię flankierów, umieścił się w środku i spokojnie oczekiwał ataku nieprzyjaciela.

W jednej chwili ognie zajaśniały w stu punktach, a blaski ich zdaleka były widne.

W kwaterze Rosena, przy stole zastawionym ogromnym samowarem i licznemi butelkami araku siedział Rosen, Sawojna, Bohlen i kilku pułkowni-

ków i popijając gorący czaj, na pół z arakiem, prowadzili wesołą pogawędkę.

Rosen mówił:

— Trzeba przyznać, że Dębiński jest niepospolitym wodzem; tak umiał się wykręcać, z tylu wyszedł pułapek i doprowadził oddział aż tutaj!

— Po to — odparł Sawojna — żeby go ofiarować w darze Waszemu Prewoschoditielstwu.

— Teraz nam się nie wymknie — dodał Bohlen.

— A ważna to rzecz, bo buntowniki na Litwie upadną na duchu, a z nimi i powstanie.

— Wiedziałem ja, jak zastawić sidła na ptaszka, i chociaż długo unikał naszych sieci, tu nareszcie znajdzie grób — dodał Rosen — pokazując punkt jakiś na mapie.

— Czy tylko nie łapiemy ryb przed siecią? — wyszeptał cichym głosem jeden z pułkowników, do siedzącego obok kolegi.

Ten ruszył tylko ramionami i nic nie odpowiedział. Posłyszał jednak słowa te Rosen i cała twarz oblała mu się szkarłatem, a nie hamując się w gniewie, zawołał:

— Są ludzie pomiędzy nami, którzy wątpią, iż plany moje są po mistrzowsku obmyślane, że mogą się nie udać! Brak im wiary w siebie i w waleczność naszych żołnierzy! Tacy najlepiej zrobią, pozostawiając te uwagi dla siebie; niech czekają końca! — Co do mnie, to gotów jestem stawić w zakład sto, nie, nawet tysiąc dukatów, że zanim 24 godzin upłynie korpus Dębińskiego już istnieć nie będzie — bo zważcie sami panowie — 4,000 jego ludzi ma w tej chwili obręcz na karku, złożoną z 24

tysięcy nieustraszonych naszych wojsk! — Czyż można powątpiewać o zwycięstwie?

Pułkownik, który tak nierozważnie się odezwał, miał głowę mocno zamroczoną trunkiem, przecie odparł jeszcze:

— Tak, jeżeli przyjmie bitwę.

— Ależ musi ją przyjąć koniecznie — lub zdać się na naszą łaskę!

W tej chwili jakby na potwierdzenie słów generała, drzwi kwatery otworzyły się i stanął w nich, salutując, pułkownik kozacki.

— Mam honor zameldować Waszemu Prewoschoditielstwu, że armia polska znajduje się w lesie Bielskim, — rejterując w kierunku tego miasta — jest już na skraju lasu — rozłożyła ogniska liczne i gotuje się do dalszego marszu.

— A co! Nie mówiłem wam tego? — zawołał rozjaśniony Rosen. — Wysłać natychmiast oddziały kawaleryi dla przekonania się, jak wróg jest liczny — a wy, panowie, każdy do swoich oddziałów; ze wschodem słońca przypuścimy ogólny atak!

Wkrótce dał się słyszeć na wszystkich prawie punktach odgłos bębnów — zabrzęczały w powietrzu trąby kawaleryjskie i dał się słyszeć huk toczących armat po twardym gruncie.

Ptaszki były więc w samotrzasku, podług twierdzenia Rosena, nie potrzeba się było spieszyć, by ich nie spłoszyć przedwczesnym atakiem, starano się tylko przez resztę nocy, porozmieszczać dokładnie oddziały wojsk, tak, żeby i ptak się nie przesunął w stronę Bielska.

Ruchy owe jednak nie były wykonane z taką dokładnością, jaka cechuje obroty dzisiejszych wojsk: — oddziały mieszały się z sobą, zastępowały drogę jeden drugiemu, zatarasowały ją sobie i sprawiały nieład, gdyż dowódcy wydawali często rozkazy przeciwne sobie.

— Nie potrzeba się spieszyć — powtarzał generał — ptaszki w klatce! I co chwila spodziewał się parlamentarza, traktującego o poddaniu się. — Parlamentarz jednakże nie przybywał.

— Ten szaleniec jeszcze coś myśli przedsięwziąć, to może lepiej dla nas; nie zabierzemy ich do niewoli, ale wytniemy co do nogi — myślał Rosen.

Słońce już było wysoko, kiedy puścił dwa szwadrony Czerkiesów na rekonesans do lasu — — azyatyckie hufce z krzykiem dzikiego ptactwa, rzuciły się wprost na linię polską, uformowaną na skraju lasu.

Przypuszczono ich na bardzo bliski dystans.

W jednej chwili na całej długiej linii rozległ się huk wystrzałów, sto karabinów celnych strzelców zionęło pociski i zaraz kilkanaście koni czerkieskich wraz z jeźdźcami padło na ziemię, reszta zaś w niesłychanym popłochu zawróciła konie i uciekła.

Widząc to Rosen uśmiechnął się tylko; tego się nawet spodziewał po tym „nie wyegzecyrowanym motłochu": teraz popróbuje, jak się popiszą huzarzy i wysłał adjutanta do stojącego niedaleko pułkownika huzarów z poleceniem zaatakowania buntowników.

Pułkownik, stary dowódca, który odbył niedawno kampanię turecką, zdumiał się tym rozkazem: atakować w lesie ukrytą piechotę kawaleryą?! Kazał sobie drugi raz powtórzyć rozkaz, a wysłuchawszy, nic już nie rzekł, tylko wydobył szablę i zakomenderował:

— Wolnym kłusem! Marsz! — A w duchu myślał; Pijanica!

Błyszczący oddział huzarów, w pięknym szyku, we wzorowym porządku posuwał się naprzód: — przestrzeń, którą potrzeba była przebyć, zasłana była pooranymi w poprzek zagonami; niewygodny to teren dla jazdy: konie zaczęły się potykać, szyk się złamał, i kiedy pułk przybył na skraj lasu już nieład panował, a gdy na całej linii znowu rozległy się wystrzały polskie i kilku jeźdźców zwaliło się z konia — pułkownik widząc bezskuteczność takiego ataku, zakomenderował odwrót i przeklinając w duchu dowódcę, cofnął się.

Rosen widział to i uznał teraz sam, że kawalerya nic tu dokazać nie zdoła, a i piechotę, którą by mógł rozrzucić do lasu, mogła być narażona na wielkie straty, postanowił tedy nie hazardować i rozkazał ustawić cztery bateryе artyleryi, a zasypać las granatami i kartaczami.

— Zgnieciem ich, nie poniósłszy żadnej straty — rzekł do otoczenia.

Na dany znak zionęły granatami paszcze 48 armat: kłęby dymu rozciągnęły się nad polami i zasłoniły widnokrąg — spłoszone ptactwo unosiło się z krzykiem w powietrzu, a łoskot łamanych gałęzi i padających drzew zwiększał chaos. — Las

cały jęczał jak człowiek rozciągnięty na ławie tortur, wzdychał, płakał, skrzypiąc gałęziami, niby wydający ostatnie tchnienie męczennik. — Tymczasem kule armatnie przelatywały wysoko ponad głowami małego oddziału Luboradzkiego, nie sprawiając mu żadnej szkody.

Janek spokojnie przechadzał się od jednego żołnierza do drugiego; żaden jeszcze nie był ranny! Przykazywał stać z bronią u nogi i być gotowymi do odparcia ataku piechoty, której mógł spodziewać się każdej chwili.

— A co? Piękna muzyka? — rzekł do podoficera.

— W niebie chyba nie grają piękniej — odrzekł tenże.

Żołnierze, widząc bezskuteczność strzałów artyleryjskich, nietylko nie ulękli się groźnej nawały, ale nabrali humoru i lica ich rozjaśniały się.

Bombardowanie lasu nie ustawało ani na moment, tysiące drzew leżało rozłupanych, miliony gałęzi zwieszało się połamanych, a dzielny atak artyleryi nie ustawał ani na chwilę.

Była już godzina siódma wieczorem, kiedy Rosen zdumiony takim oporem armii polskiej, która, jak zrozumiał, znajdowała się w lesie, kazał zaprzestać strzałów armatnich i postanowił rzucić na las kilkanaście batalionów piechoty; ale — żeby szturm ten odrazu był uwieńczony pomyślnym skutkiem, chciał go dopełnić ze trzech stron jednocześnie.

Chwilowo nastała cichość, jaka zwykle przed powstać mającą burzą nastaje.

Piechota zaczęła się formować i zmieniać stanowisko.

Spojrzał Luboradzki i zrozumiał zamiar. — Teraz nadchodziła chwila, w której rozstrzygnąć się miały losy walki — spojrzał na zegarek: wskazówki pokazywały pół do ósmej, — a więc czas, jaki potrzebny był Dębińskiemu do wykonania odwrotu, już upłynął i armia w tej chwili jest już bezpieczna! — Podniósł wzrok do góry z wdzięcznością ku Bogu i cicho wyszeptał:

— Dzięki Ci Panie!

Niebo dotąd pogodne, raptem się zachmurzyło, ciemność spiesznie roztoczyła się naokoło i w tej właśnie chwili Luboradzki spostrzegł jeden batalion Moskali, główną drogą maszerujący prosto do lasu. — Śpiesznie ściągnął cały swój oddział, dotąd rozrzucony, w jedną linię w jedną całość, i ustawił go cicho po obydwu stronach drogi. Batalion jegrów śmiało zbliżył się i wkroczył na drożynę leśną z nadstawionymi bagnetami — na cichą komendę Janka żołnierze jego dali ognia i odrazu czterdziestu dwóch jegrów padło na ziemię, zanim zdążyli wystrzelić. — W tej chwili ulewny deszcz, połączony z gradem runął z obłoków, a ciemności tak się powiększyły, że pod zielonymi gałęziami drzew zapanowała zupełna noc.

Batalion jegrów zachwiał się — zatrzymał na chwilę i zaczął się cofać w nieładzie.

— Naprzód, wiara! — rozległ się głos Janka.

Nasi żołnierze rzucili się z bagnetami jak tygrysy na ustępujących Moskali — a ci sądząc, że mają przeciw sobie przeważne siły, zaczęli rzucać

broń i uciekać w popłochu tak, że wkrótce w lesie pozostali tylko ci, którzy już zalegli pobojowisko.

Oddział Janka chciał ścigać nieprzyjaciół — ale on, wiedząc, że już zadaniu swemu zadość uczynił — spiesznie sformował oddział, w którym tylko kilku żołnierzy było rannych i nakazał odwrót.

W losach pojedyńczego człowieka, jak i w losach całych narodów, odgrywa często ważną bardzo rolę ów czynnik niezbadany, który pospolicie nazywamy trafem, przypadkiem, ziarnkiem piasku, co to dostało się pomiędzy tryby zegarka i zatrzymało w biegu cały mechanizm; — ziarnko to piasku stanowi czasem o przeznaczeniu narodów i dziwnie pomaga albo szkodzi. — Ziarnko piasku spowodowało Waterloo i nadało inną postać światu.

Ulewa, która rozpoczęła się z wieczora i przerwała bitwę, zamieniła się w istny potop wylewający całe strumienie wody: — ucichły wystrzały broni palnej, ale zato rozległy się głosy gromów piorunowych, uderzających w olbrzymie drzewa lasu, wyrywających je z korzeniami i zapalających gdzieniegdzie smolne sosny.

W ciągu bardzo krótkiego czasu wezbrały wszystkie strumienie, a powierzchnia ziemi została zamieniona w olbrzymie jezioro — wszelkie ruchy wojsk stały się narazie niemożebne: — oddziały moskiewskie zatrzymały się, błądząc w ciemnościach — a tymczasem Janek Luboradzki, na czele swego małego oddziału prowadzony przez doskonale znającego miejscowość przewodnika, cofał się lasami, śpiesząc do połączenia się z armią. Dwa

mosty na rzeczkach małych zwyczajnie, a teraz wezbranych, zniszczył, a tak odgrodził się od Moskali, którzy formalnie potracili głowy, nie wiedząc ani z jaką siłą mają do czynienia, ani w którą stronę obrócił swój pochód, cofający się nieprzyjaciel.

Gdy nad ranem burza się uspokoiła, pozostawiając wszędzie ślady wielkiego zniszczenia — pułki rosyjskie z nastawionymi bagnetami ruszyły naprzód, śmiało wkroczyły do lasu, przeszły go bez oporu i... nie znalazły nikogo.

Nie jesteśmy w możności przedstawić wściekłości Rosena jaka go opanowała, gdy się przekonał, że walczył tylko z widmem armii polskiej, że nieprzyjacielem jego były wiatraki Don Kiszota, a Dębiński zakpił sobie z niego znowu i wystawił go na pośmiewisko podwładnych.

W chwili, gdy właśnie dosiadłszy konia, stanął na pagórku pod lasem, gotowy do ataku, a zaniepokojony trochę milczeniem, jakie panowało wokoło, gdy co sekunda spodziewał się usłyszeć ryk dział, a jeszcze więcej spodziewał się parlamentarza, donoszącego o poddaniu się armii polskiej — nagle ze zdumieniem zobaczył przybywającego w największym galopie samego generała Sawojnę, który dowodził lewem skrzydłem okrążającej armii.

— No co, gdzie Polaki? — zapytał Rosen drżącym od gniewu głosem.

— Czort ich wie — pułki moje zagłębiły się w las i nie napotkały żadnego śladu nieprzyjaciela.

— To niemożebne! Mylisz się generale!

— Być może, że z prawego skrzydła odbierzemy lepsze wiadomości i trafimy na ślad Dębińskiego.

W tej samej chwili przybył adjutant od generała Bolhena z prawego skrzydła; koń jego wycieńczony długim forsownym biegiem, zarył się w ziemię kopytami przed samym główno-dowodzącym i zanim adjutant miał czas złożyć raport, padł trupem, obalając jeźdźca.

Kiedy kapitan-adjutant wydobył się z pod konia, Rosen poskoczył do niego i chwytając go za ramiona, zawołał:

— Mów! Mów! Gdzie Polacy! Co się z nimi dzieje?

— Wymknęli się, Wasze Wysokoprewoschoditielstwo.

Rosen tracąc wszelką miarę panowania nad sobą, pochwycił adjutanta za bokobrody i targał niemi tak silnie, że w garści zostały mu włosy i zawołał:

— Łżesz mierzawiec!

Adjutant stał blady, drżąc przed gniewnem obliczem wodza; a Rosen z pianą na ustach, zdarł swoją czapkę z głowy, cisnął na ziemię, podeptał ją i rwąc się za włosy przez kilka chwil ani słowa nie mógł przemówić.

— A maszennik! Ja jego! Ja go każę na sztyki nadziać.

Sawojna tylko uśmiechnął się zjadliwie, ale służba nakazywała milczenie.

Fakt się jednak stał. — Korpus Dębińskiego zniknął.

....Posłano raport do Petersburga, że oddział Dębińskiego został rozproszony w krwawej bitwie, że pojedyncze niedobitki tułają się po lasach, że wyłowienie ich jest tylko kwestyą czasu — że od-

dział Dębińskiego już nie istnieje i nie grozi komunikacyom armii.—Rosen został ozdobiony wysokim orderem a generał Sawojna i Bohlen dostali drogocenne reskrypty zadowolenia monarszego...

Burza, jaka przeszkodziła Moskalom zdobyć laury nad garstką Janka Luboradzkiego, opóźniła i jego pochód: — żołnierze byli wyczerpani i głodni, a tu nie można było ani chwilę się zatrzymać dla odpoczynku, chcąc dognać główną armię, która spiesznymi marszami zbliżała się do Bugu i nareszcie w Sterdyniu dosięgła go, przekroczyła i wreszcie znalazła się w granicach Królestwa Polskiego.

Dębiński przeprawiwszy się przez Bug, czuł się ocalonym — oddział Janka uważał za stracony, za pogrzebany, dla tego więc nie czekając na jego powrót, wydał polecenia rozebrania mostu na Bugu i saperzy przystąpili już do roboty, gdy nagle ujrzeli spiesznie powracający rekonesans, złożony z 6 ułanów, których Dębiński wysłał był na zwiady. Podoficer prowadzący, widząc rozpoczętą robotę około rozbioru mostu, wypuścił konia galopem i dał ręką znak powstrzymujący zniszczenie; w galopie przebył most, a spotkawszy stojącego przy brzegu generała Dębińskiego, który zwykle pilnował wykonania swoich rozkazów, raportował:

— Porucznik Luboradzki zbliża się ze swoim oddziałem.

— Co? — zawołał zdumiony generał. — Nie mylisz się?

— Dotarłem do niego, prowadzi oddział prawie cały, ale upadający od zmęczenia.

— Jak daleko znajdują się?

— Zostawiłem go poza tym lasem sosnowym; w tej chwili jest zapewnienie dalej jak o 3 wiorsty.

— Czy nie ścigają go Moskale?

— Nie, od 24 godzin stracili go już z oczów.

— Dzielny dzieciak! Dzielny, bohaterski oficer — zawołał wzruszony.

Rozbiór mostu powstrzymano aż do czasu zbliżenia się Luboradzkiego; kilku oficerów, dostawszy pozwolenie, spiesznie udało się na spotkanie bohaterskiego oddziału.

Dębiński na stronie Królestwa rozkazał uszykować się w szeregi całej, jaka się w tem miejscu znajdowała, armii i sam stanąwszy na jej czele, oczekiwał powracających.

Wkrótce pokazał się kłąb kurzawy, a wśród niego odbijały się błyski bagnetów: — dał się słyszeć bęben bijący tryumfalnego marsza i na wzgórku ukazała się gromadka żołnierzy, otoczona grónem kolegów witających.

Oddział postępował wolno; snać byli wyczerpani. — Przebyli most i zobaczywszy generała zatrzymali się, a Janek wystąpiwszy przed front zaraportował:

— Mam honor raportować, że dopełniłem rozkazu; — Moskali powstrzymałem i powracam z moim oddziałem pod rozkazy.

— Ilu straciłeś ludzi, poruczniku?

— Dwóch zabitych i czterech lekko rannych.

Dębiński zsiadł z konia, wyciągnął ramiona i wobec całej armii uściskał Jana, a następnie odpiąwszy krzyż srebrny ze swej piersi, przypiął go 15-letniemu dowódcy.

Rozległa się komenda i szeregi armii sprezentowały broń, a gdy przed nimi przechodziło stu walecznych, okrzyk „hura!" rozległ się ze wszystkich piersi.

Natychmiast most rozebrano, poczem Dębiński dał armii 6 godzin wypoczynku.

Teraz Janek i jego waleczni towarzysze, czując się pośród swoich, mogli rozprostować strudzone ramiona, opatrzeć nogi pokaleczone od śpiesznych marszów i po trzydniowym poście zaspokoić głód; przez cały czas odwrotu nie mieli bowiem ani chwili, którąby mogli poświęcić spoczynkowi.

Janek posiliwszy się, zdjął buty z obrzękłych i otartych nóg i rozciągnąwszy się pod drzewem, miał zamiar zasnąć na parę godzin, gdy przed nim zjawił się żołnierz, który lekko ranny wzięty był do niewoli razem z jego bratem Aleksandrem i razem z nim popędzony został do Wilna.

— To ty Tłuczek, co tu robisz? — zapytał zdziwiony Janek.

— Byłeś wzięty do niewoli?

— Byłem.

— A jak się tu dostałeś?

— Uciekłem z Wilna z lazaretu.

— A mój brat, Aleś? Co się z nim dzieje?

Żołnierz milcząc, wyjął z zanadrza list i podał go Jankowi, a ten widząc obce pismo, zapytał:

— Od kogo?

— Od księdza Logi.

— A brat mój?

— Tam stoi wszystko w liście — odrzekł smutnie żołnierz.

Janek rozłamał pieczęć i zaczął list czytać.

Ksiądz Loga pisał:

„Kiedy porucznik Aleksander, ranny ciężko, wzięty został do niewoli i ja także raniony podzieliłem jego losy — porucznika umieszczono na wozie, wysłanym sianem i wraz z innymi transportowano go do Wilna, mnie, chociaż dwie ciężkie rany odniosłem, traktowano inaczej; ksiądz to buntownik, to tylko burzyciel rozszerzający ducha buntu; dla niego niema ani litości ani miłosierdzia, — kiedy więc powalony zostałem na ziemię i straciłem chwilowo przytomność, obudziły mnie z omdlenia razy nahajki kozackiej, — otworzyłem oczy i zobaczyłem nad sobą stojącego oficera Czerkiesów, wybijającego takt pletnią po mojem ciele. Zadrżałem z oburzenia, iż tego dopuszcza się oficer, ale w tej chwili przypomniałem sobie, że Chrystus Pan nasz, nie równie większych doznawał obelg od dzikiego tłumu i ofiarowałem wszystko Bogu, z rezygnacyą czekając Jego wyroku. — Ręka moja jedna była przestrzelona a w udo od nogi wbił się kawał żelaza od spisy kozackiej, ułamanej przy samem ciele — oficer schylił się nademną, sądziłem, że chce wyjąć z rany odłamek piki, ale jakież było moje zdziwienie, gdy poczułem, że on wpłycha go głębiej w ranę. Ścisnąłem tylko zęby od bólu i wyrzekłem cicho: „Daruj im Panie, bo nie wiedzą co czynią”. Na szczęście moje nadjechał jakiś pułkownik i widząc pastwiącego się oficera, rozkazał mu odstąpić, a mnie zabrać do lazaretu — wrzucono mnie na jakąś furę bez garści słomy: dzień był upalny, słońce piekło, jak rozpalone żelazo, — gorączka mnie opano-

wała, nieznośne pragnienie dręczyło tak, że za jedną kroplę wody, oddałbym był wszystkie skarby świata — i wyobraź sobie mój drogi Janku moje oburzenie, kiedy mię wieziono przez płytki strumyk, toczący kryształową wodę, gdy konie z lubością nią się chłodziły, kiedy rannym żołnierzom ruskim, a nawet naszym podawano chłodzący napój, mnie ten sam barbarzyński oficer, który nas eskortował, ten sam, co mi wiercił odłamkiem spisy w ranie, nie tylko nie pozwolił podać napoju, ale wziąwszy w czarkę blaszaną wody, zbliżył ją do mych ust, a ja kiedy złudzony tym ruchem posunąłem się ku niej, wylał ją, śmiejąc się. — Wot tobie, swiaszczennik! rzekł — widziałem oburzenie na twarzy prostych żołnierzy eskortujących, ale nikt nie poważył się sprzeciwić oficerowi... — Straciłem znowy przytomność; jak i kiedy dojechaliśmy do Wilna nie mam pojęcia; gdy otworzyłem oczy i przyszedłem do przytomności, zobaczyłem się leżącym na słomie w opróżnionej stodole; czterema szeregami ranni, po większej części Moskale spoczywali tu pokotem — na środku stodoły na kozłach rozciągnione były duże szerokie tarcice i te stanowiły stół operacyjny, kilka nóg i rąk odciętych poniewierało się na ziemi. — Widok ten przejął mnie zgrozą — pijany doktor co chwila żłopiąc gorzałkę, która w dużej flaszce stała obok na stołku — w zabrukanym płóciennym kaftanie, z nieomytemi rękoma, dokonywał operacyi.

„Wydobyto i mnie nareszcie ostrze spisy. — Przez chwilę doktor namyślał się, czy mi uciąć nogę, czy zostawić, ale za łaską Bożą zaniechał tego,

kazał więc mnie usunąć i podać innego rannego; spojrzałem na niego i poznałem twego zacnego brata Aleksandra. — Boże mój, jakiż żal ścisnął moje serce na widok tego bohaterskiego młodzieńca! Twarz jakby z wosku, żółta — tylko oczy nie straciły zwykłego wyrazu dumy. Czyż operacya była konieczna? nie wiem; — wiem tylko, że Aleksander nie chciał się jej poddać. — Nie zważając na jego protesty, rozciągnięto go na deskach, których nawet nie opłukano z krwi poprzednich pacyentów — i widziałem jak pijany doktor, połknąwszy pierwej kilka łyków gorzałki, nie obtarłszy nawet instrumentów, zaczął rznąć bez miłosierdzia. — Aleksander nie stracił przytomności, nie wydał nawet jęku; jak statua z marmuru bezwładnie leżał, dopokąd nie skończyła się ta tortura.

„Przeczuwałem zaraz złe skutki, widząc nieczystość instrumentów; a to, co przeczuwałem, rzeczywiście spełniło się, bo nasz wspaniały bohater i nieustraszony żołnierz, w kilka dni oddał Bogu ducha. — Nie masz go już pomiędzy żyjącymi na ziemi, ale duch jego żyje i pamięć jego uczci późna potomność.

„Wyrzekłem wreszcie straszne słowo „śmierć", ona nam odebrała bohatera, tobie brata, który już połączył się z duchem walecznego ojca i żyć będzie w gronie nieśmiertelnych synów Ojczyzny.

„Ostatnie chwile umierającego były tak pełne wzniosłości, że ja nie jestem w stanie ich opisać. — Pożegnał się ze mną, kazał mi przesłać tobie ostatnie uściśnienie i zapewnienie, że szczęśliwy umiera za Ojczyznę, że czuje, iż prędzej, czy później będzie

wolną — że ty, Janie godnie spełnisz czarę życia i równie gotów będziesz wszystko poświęcić dla Ojczyzny. — Uciąłem pasmo jego pięknych włosów i posyłam ci je — a ciało jego, jak prosił, pochowaliśmy na brzegu Niemna, nad którym spoczywa i wasz bohaterski ojciec.

„Co się zemną zrobi, nie wiem — gdzie nas poprowadzą? — Ufam, że Bóg sprawiedliwy nas nie opuści. — Błogosławię cię dziecko i przyjacielu; bądź zawsze godny nazwiska Luboradzkich.

„Nie wiem, czy ten list dojdzie, bo wysyłam go przez Tłuczka, który ma nadzieję dostać się do swoich; czy mu się uda, w Boskiej to woli, tymczasem ja spełniam swoją powinność i żegnam cię kochany i błogosławię. — X. Loga".

Ręka, w której Janek trzymał nieszczęsne pismo, pozostała sztywna, wzrok jego błędny, utkwiony w papier, zdawał się przebijać go na wylot, starał się napotkać jakiś wyraz nadziei, obraz, widmo zniklego brata; zdawało mu się, że to sen, że lada chwila się obudzi i napotka wzrok Olesia! Ani jedna łza nie zawisła mu na oku, usta tylko zsiniały, a pięść tak silnie się zacisnęła, że paznogcie wpiły się w ciało, aż pokazały się obok nich wązkie strumyki krwi.

A więc to prawda, a więc to już nie sen! Bohaterski jego ojciec, ukochany brat, obydwaj położyli życie swoje w obronie Ojczyzny; obu kości spoczywają nad brzegiem Niemna, tej rzeki, która jak arterya życia prowadzi swoje wody zarumienione krwią polską i litewską przez olbrzymie ciało Rze-

czypcspolitej Polskiej: dwa jej brzegi łączą dwa bratnie narody a smutny śpiew, z jednej strony Laszki, a z drugiej Litwinki, kołysze do wiecznego snu bohaterów! — Czemuż los okazał się dla niego tak srogi, czemuż kula moskiewska nie zanurzyła się raczej w jego piersi, on najmłodszy, on najmniej potrzebny, powinien był się usunąć pierwszy a ci dwaj ukochani żyć powinni! — Został sam jeden, — ostatni! Jak prędko przyjdzie wyrok na niego? O, z radością powita śmierć! — Ale w tej chwili rozpaczliwe jego myśli przeniosły się nad brzegi Wisły do Luboradza, gdzie stara matka z małym Antosiem oczekuje swoich ukochanych... Nie zobaczy ich już — nie; nie uściśnie starego męża, nie przyciśnie do łona Olesia! — On jeden, on jeden jeszcze żyje i to młode pacholę, Antoś. — Walka przecie nie skończona, nie wolno mu więc upadać na duchu, trzeba rozbudzić energię do czynu i być przykładem młodemu pisklęciu, Antosiowi. O, jak tam biedna matka przyjmie te straszne wiadomości! — Aleć ona prawa Polka, może ich już dawno opłakała? — A zresztą, Bóg jest wielki! Jeżeli zesłał grom nieszczęścia to znajdzie i zdrój chłodzącej pociechy i przekonanie, że darowała męża i syna Ojczyźnie umocni ją — ożywi; może też nadejdzie jeszcze chwila, że on rzuci się jej w ramiona, utuli jej boleść i zapewni spokojną starość. — A zresztą (tu blady uśmiech przemknął po jego twarzy), tam w Luboradzu jest dowódca załogi, Antoś Luboradzki. — Jak oni tam żyją? Czy mają jakie wiadomości z placu boju? Czy Antek gotuje się do boju? Biedny dzieciak, biedna mateczka! — Myśli tłumne,

bezładne, jak uparte widma przesuwały się po jego głowie, aż pomału chrześcijańska rezygnacya odpędziła je, złowrogie przeczucia ustępowały, a myśl, że ofiary te są złożone na ołtarzu Ojczyzny, rozciągnęła nad nim słodką melancholię, przytłumiającą nawet boleść.

Głos trąbki wzywający do pochodu i odgłosy bębnów przyprowadziły wreszcie Janka do równowagi: wziął pukiel włosów Olesia, przycisnął go do ust i owinąwszy starannie w papier ukrył go na piersiach; milcząc, z zaciśniętymi ustami przypasał szpadę do boku, poprawił ubranie i wyszedł dla wydania rozkazów swojemu oddziałowi.

Kilku oficerów, którzy się od Tłoczka dowiedzieli już o zgonie walecznego towarzysza, a brata Janka, zbliżyło się doń, lecz żaden z nich nie miał odwagi przerwać uporczywego milczenia; — jeden tylko Pniak roztworzył ramiona, przycisnął Janka do piersi i hamując łzy, napływające do oczu, rzekł:

— Wola Boża — **Quid tibi hodie, mihi eras.**

— Tak, wola Boża — powtórzył, silnie ściskając go, Janek.

Jakkolwiek korpus Dębińskiego, zwalczywszy tyle przeszkód, był już w nierównie korzystniejszem położeniu i miał wszelką nadzieję dostania się do stolicy, potrzeba jednak było jeszcze zachowywać wszelkie ostrożności, ażeby przepłynąwszy morze, nie utonąć na małej rzece.

Pierwszego sierpnia korpus znalazł się już w Kosowie, ale następnego dnia musiał się zwrócić ku Radzyniowi, gdyż odebrał wiadomość, że kor-

pus jenerała Gołowina rozłożony jest w Mińsku i w Stanisławowie.

Jak znakomicie umiał zachować tajemnicę swoich obrotów dzielny nasz generał, dowodem tego jest rozkaz naczelnego wodza Skrzyneckiego, wydany w dniu poprzedzającym wkroczenie jego korpusu do Warszawy, a polecający, żeby z korpusem swoim pozostał... na Litwie! — Rozkaz ten odebrał Dębiński, będąc już tylko o trzy mile oddalony od stolicy.

Rozkaz ów, spóźniony, dowodzi małej ze strony Skrzyneckiego pilności wywiadowczej, o którą przecie nie było trudno wśród swoich, ale tę tak lekceważono, że chłopu, który przedarł się przez linie nieprzyjacielskie i przyniósł ważne wiadomości, kazano wypłacić 15 groszy.

W samo południe, dnia 3-go sierpnia, znużony mocno ciągłymi pochodami, znalazł się w Markach, oddalonych o godzinę drogi od Warszawy; — teraz dopiero waleczny wódz i jego nieustraszeni towarzysze mogli spokojnie wypocząć po przebytych trudach.

A Warszawa?! Warszawa, którąśmy tak dawno opuścili, gotowała się do odparcia szturmu zbliżającej się armii Paszkiewicza, który pod okopami jej i na barykadach jej ulic miał znaleźć grób dla siebie i swojej armii.

Warszawa silnie była niezadowolona z powodu planów naczelnego wodza, Skrzyneckiego, który nie umiał skorzystać ani z chwili, w której wojska nieprzyjacielskie, rozciągłe na kilkunasto-milowej

przestrzeni, dążyły do Ciechocinka i łatwe były do rozbicia, ani z przeprawy ich przez Wisłę przy granicy pruskiej, ani wreszcie z dalszych często błędnych ruchów wahającego się Paszkiewicza.

Bohaterska stolica wrzała z oburzenia jak wulkan na Skrzyneckiego.

Wtem wieść niespodziewana, wieść nieprawdopodobna, nagle, jak piorun, spadła na mieszkańców Warszawy: „**Dębiński powraca z Litwy ze swoim korpusem, prowadzi jeńców, zdobyte armaty, niesie sztadary nieprzyjacielskie i już jest w Markach, o godzinę drogi od Warszawy**".

Nie było jednego serca, któreby nie zabiło silniej. W krociach oczów łzy stanęły radości, tysiące rąk wyciągnęło się ku niebu — zapał opanował stolicę i wybuchnął potężnym okrzykiem.

W jednej chwili setki powozów, tysiące wozów i dorożek, niezliczone tłumy ludu — wszystko spieszyło do Marek, dla powitania bohaterskiego korpusu.

Na czele tego wspaniałego pochodu jechał książę Czartoryski, generał Ostrowski, gubernatorowie Warszawy i Pragi — Gustaw Małachowski, Węgierski, Dziekoński, wielu posłów i arystokracyi rodowej i kupieckiej; — za nimi dążyła niezliczona gromada pieszych ludzi, składająca się z obywateli miasta bez różnicy stanu i płci: — dzieci, kobiety z kwiatami, starcy, spieszyli do Marek! Zapał ogarnął tłumy, każdy pragnął zobaczyć bohatera, który tak wysoko podniósł honor oręża polskiego, człowieka czynu, prawego syna Ojczyzny, której zachował do przyszłej walki kilka tysięcy nieustraszo-

nych rycerzy. Mieć takiego człowieka pośród siebie, to znaczyło pobudzić ospałych, uzbroić lud i — zwyciężyć.

Nikt nie wątpił, że Dębiński otrzyma wielką rolę w ostatnim akcie tragedyi, która się właśnie rozegrać miała pod Warszawą.

Ze zdumieniem Czartoryski i lud cały spoglądali na narodowego bohatera postać: — Średniego był wzrostu, ale muskuły miał atlety; twarz surowa, ozdobiona niebieskiemi ognistemi oczyma, oblicze spalone od słońca i wiatrów, przedstawiało brunatny kolor raczej Indyanina niż Polaka; nos orli, wąsy żółte, tak duże, że końce ich spadały aż na brodę; nie przedstawiał on typu piękności Apollina, a jednak wszystkie serca biły dla niego i każdy radby był uścisnąć dłoń jego.

Lud cisnął się przez most na Wiśle na Pragę: pierwszy jeździec, którego ujrzano, był to pułkownik Sierakowski, który wymknął się naprzód dla powitania swojej żony i dzieci — pułkownik posadził na kulbace obok siebie pięcioletniego pięknego, jak cherubin synka, który zaraz deklamował ojcu z zapałem wiersz Krasickiego:

„Święta miłości kochanej Ojczyzny”.

Wkrótce ukazał się i sam Dębiński ze swoim sztabem: na jego widok tłum, złożony z przeszło sześćdziesięciu tysięcy ludzi, zdjął czapki i kapelusze i jednym głosem zanucił śpiew:

„Jeszcze Polska nie zginęła”.

Tuż za sztabem wodza postępował 3-ci szwadron ułanów, dalej sapery konno i strzelcy piesi. dalej Poznańczycy, dwie armaty artyleryi konnej,

strzelcy 3-go pułku, 18-ty pułk piechoty, oddział Radziszewskiego, batalion Matuszewicza, jazda Nowogrodzka, dalej znowu 4-ry armaty — a następnie prowadzono licznych jeńców; za nimi szła kawalerya z Płocka, 13-ty pułk ułanów i wolni strzelcy z Nowogródka i Słonina — potem już ciągnął się długi rząd powozów, bryk, jaszczyków z bagnetami Litwinów, prowadzono też kilkaset koni Moskalom zabranych. — Co też tam była za rozmaitość ubiorów? — Żadna maskarada nie przedstawi nic podobnego: — mundury zarówno polskie, jak i rosyjskie, zdjęte z jeńców, kurtki myśliwskie Litwinów, oraz mundury akademików Wileńskich, staroświeckie kapoty i tużurki najnowszej mody, kontusze wyszarzane — po pradziadach i ucięta po kolana sutanna, albo habit braciszka-zakonnika; — uzbrojenie także było najrozmaitsze: pułki miały karabiny i lance, całe oddziały flinty myśliwskie, inne janczarki czerkieskie; konie, zacząwszy od pysznego araba, na którym wyjechał z Sędziejewic, swego majątku, Dębiński i odbył całą kampanię — przedstawiały wszelkie rasy; żmudzkie książąt Ogińskich, czerkieskie, kabardyńskie i kozackie krzywonose, przybrane w najrozmaitsze rynsztuki i czapraki. — Znaczna większość piechoty była bosa, a za wielu Litwinami posuwały się wozy z żonami i dziećmi, które obawiając się okrucieństw Moskali, nie chciały zostać w domu.

Ale na wszystkich tych twarzach, zczerniałych od słońca, wiatrów i pochodów, a szczególniej na twarzach Litwinów malował się taki zapał, taki wyraz poświęcenia, że spojrzawszy na nich, każdy

czuł, iż ma przed sobą kwiat narodu! — A kiedy 18-ty pułk piechoty przeciągnął i w nim zobaczono młodego, 15-to letniego Janka Luboradzkiego, ozdobionego krzyżem srebrnym, prowadzącego swoją kompanię, oklaski rozległy się naokoło, a książę Czartoryski, dowiedziawszy się o nazwisku i zasługach Janka — zapisał sobie jego nazwisko i wyjednał mu wkrótce od sejmu „List pochwalny Sejmowy", jako dobrze zasłużonemu Ojczyźnie obywatelowi.

Korpus stanął obozem pod wałami Pragi, a Dębiński, w towarzystwie księcia Czartoryskiego i wielu innych generałów, udał się do Warszawy.

Kiedy wjechał za rogatki praskie, okrzyki nie ucichły, owszem huczały wokoło jak burza! — Żołnierze prascy uprosili go, że im oddał swoją wyszarzaną czapkę, w której odbył kampanię i przyrzekli przechować ją jako świętość pułkową wraz ze sztandarami.

Lud wyrzucał czapki w górę i wołał: „Niech żyje Dębiński", — kobiety obsypywały bohatera kwiatami, wśród niezliczonej liczby ludzi orszak zbliżył się do pałacu namiestnikowego, gdzie czekali go czterej członkowie rządu.

— Panowie senatorowie — odezwał się Dębiński, — przybyłem tu, lubo pragnąłem zostać w lasach litewskich i gdyby nie zdrada i niedołęstwo, które wtłoczyły armię do Prus, nie oglądalibyście mnie tutaj z moimi towarzyszami.

— Generale — odpowiedział Wincenty Niemojewski, — tak jak senat i lud rzymski, przyjmował

powracających z pod Kannów, z takiem samem uczuciem przyjmujemy ciebie i twoich towarzyszów! — Na chwilę szczęście opuściło szeregi polskie na Litwie, lecz wy zostaliście wiernymi świętej sprawie Ojczyzny. — Dziękujemy ci w imieniu narodu; Ty powróciłeś żonom mężów — i ocaliłeś Ojczyźnie tylu synów!

— Panowie senatorowie — odrzekł Dębiński,— żony te, teraz niezawodnie zostaną wdowami, a dzieci sierotami, wy bowiem i cała stolica swojem przyjęciem tak rozpłomieniliście naszą chęć do boju, że każdy z nas nie zawaha się poświęcić życie, by się okazać godnym miłości i pamięci takiego narodu!

Dębiński w otoczeniu swoich oficerów, senatorów i posłów sejmowych, wśród tłumów ludu udał się do kościoła katedralnego, gdzie się odbyło wspaniałe nabożeństwo; piękną mowę powitalną wygłosił ks. Puławski. Warszawa cała przybrała się świątecznie, wieczorem nastąpiły iluminacye.

Tymczasem armia rosyjska, nie powstrzymywana niczem, zbliżała się lewym brzegiem Wisły do stolicy.

Armia polska, spragniona boju, cofała się, złorzecząc Skrzyneckiemu, mając jednak nadzieję, że pod Warszawą stoczony zostanie bój, który ją okryje nieśmiertelną chwałą i naród uczyni wolnym.

Niestety!... Pierwsze tylko z tych pragnień spełnionem zostało, drugie pozostało na długie jeszcze lata zadaniem przekazanem późniejszym pokoleniom, — nam — dziś żyjącym i wam co po nas idziecie Polacy!...

Ale teraz poszukajmy ludzi, których wyprowadziliśmy na widownię powieści, a których tak dawno utraciliśmy z oczu.

Zobaczymy inny teren działania, w innej okolicy, ponad brzegami Wisły; duch tam ten sam, tożsamo bohaterskie męstwo i ten sam promień sławy, roztaczający swoje tęcze nad ich głowami, bo nie tyle zwycięstwo i powodzenie opromienia chwałą głowy bohaterów, ale raczej żelazna wytrwałość w nieszczęściu, cierpliwa umiejętność czekania nowego błysku słońca — a wyszukania nowego pola do pracy i poświęceń. Tych to przymiotów nie zabrakło walecznym i szlachetnym rodakom owej epoki.

Koniec tomu Igo.



JAN OGIŃSKI - KONTRYMOWICZ.

ORLE GNIAZDO

Powieść historyczna z XIX wieku.

Oryginalnie napisana dla
Dziennika Chicagoskiego.

(Część druga powieści „W promieniach Sławy".)



CHICAGO, ILL.
DRUKIEM SPÓŁKI NAKŁAD. WYDAWNICTWA POL.
1911

TOM II.

Kiedy armia Paszkiewicza, lewym brzegiem Wisły zbliżała się ku stolicy, nie napotykała na drodze żadnych przeszkód, bo naczelny wódz Skrzynecki, raz popadłszy na błędną drogę politykowania, łudzony przez dyplomacyę francuską i austryacką obiecywaną interwencyą, nie chciał stoczyć stanowczej bitwy rozstrzygającej, lecz pragnął wszystkie siły, jakiemi rozporządzał, mieć do wspólnego z kłamliwymi przyjaciółmi działania i starał się sprowadzić armię rosyjską pod stolicę Polski, by tu jej grób zgotować.

Paszkiewicz sumiennie postępował podług jego planów i wkrótce stanął u okopów Warszawy — i wtedy dopiero spostrzeżono, że miastu zabraknąć może żywności dla ludzi i koni! — Czy tak było w samej rzeczy? Jeszcze to wielka kwestya, lecz przekonanie to rozszerzono i zdecydowano się wyprawić dwadzieścia tysięcy ludzi najdzielniejszego wojska, pod dowództwem cudzoziemca włoskiego, generała Ramorina, dla sprowadzenia żywności do Warszawy. Polecono mu wprawdzie nie oddalać się zbytnio i być gotowym do powrotu na każde wezwanie, ale Genueńczyk nie wiele dbał o losy narodu a interes własny i bezpieczeństwo własnej osoby było głównem jego zadaniem.

Do korpusu tego przyłączył się książę Czartoryski jako prosty ochotnik, Gustaw Małachowski,

hrabia Władysław Zamojski i wielu z arystokracyi. Taka świta sztabu zupełnie pozbawiła rozwagi generała Ramorina i oddała go na pastwę intryg: — zwycięskie potyczki jakie na każdem miejscu staczał z ustępującymi Moskalami, uniosły go tak dalece, że niespodzianie znalazł się u progów Brześcia i myślał o oblężeniu tego miasta wbrew instrukcyom z Warszawy.

Czyto był błąd, czy zdrada? Trudno na to odpowiedzieć i nie miejsce tu w powieści o tem rozstrzygać.

Kiedy wiadomość o szturmie na Warszawę nadeszła do korpusu Ramorina, a wiadomość ta powinna była dodać mu skrzydeł, by lotem ptaka zjawić się u szańców stolicy, rozpoczął Ramorin żółwi pochód ku miastu, chociaż wojsko rwało się do boju i pragnęło krwią swoją zalać okopy stolicy.— Nareszcie jak grom nadeszła wiadomość o kapitulacyi Warszawy, a jednocześnie ogłoszono rozkaz naczelnego wodza, ażeby korpus pośpieszał połączyć się z armią polską pod Modlinem. Ramorino zwołał radę wojenną i tak zręcznie potrafił przedstawić jej niepraktyczność tego planu, że postanowiono udać się albo do Lublina, lub przeprawić się przez Wisłę w okolicach Kaźmierza albo Zawichosta i prowadzić dalszą walkę na lewym brzegu Wisły.

Armia więc Ramorina zaczęła pochód na południe. Tu już nic nie usprawiedliwia niedołężnego cudzoziemca i jego doradzców! — Rozkaz był wyraźny, nie dopełniono go — więc zdrada to jawna i kara śmierci tylko mogła być nagrodą takiego czy-

nu; zaraz też oficerowie poważniejsi i doświadczeńsi przewidywali, że prawdziwą myślą Ramorina jest schronić się do Galicyi i tam broń złożyć.

Dlaczego Opatrzność takie zero wysunęła wówczas na czoło ostatniej armii, okrytej tylu zwycięstwami, dla czego losy narodu tak walecznego spoczęły w ręku niedołężnego cudzoziemca? Któż na to odpowiedzieć potrafi? — Historya ma często bardzo dziwne przeskoki i nie obrachowane kombinacye; znać miara kary jeszcze za nasze czyny nie była wypełniona — znać potrzeba było jeszcze ofiary długich cierpień, aby naród obmyty w potokach krwi i łez, stał się czysty i trzeba było ażebyśmy — my, potomkowie tych bohaterów, prowadzili dalej walkę i byli nareszcie uczestnikami zwycięstwa.

Noc była ciemna, parna, ani jedna gwiazdka nie błyszczała na nieboskłonie — gęsty las dębowy rozłożył się na prawym brzegu Wisły i podnóże jego sięgało aż pod starą wieżę pod Kaźmierzem, wystawioną jeszcze za czasów Kazimierza Wielkiego.

Wązką drożyną, prowadzącą ku Wiśle postępował oddział Krakusów, na czele jego jechał kapitan Ogiński-Kontrymowicz. — Lance opuszczone na dół, żeby — zawadzając o gałęzie, nie przeszkadzały w pochodzie, zalecono największe milczenie; kiedy niekiedy tylko żelazna podkowa końska uderzając o krzemienisty grunt wysypywała iskry, które jak świętojańskie robaczki, błysnąwszy na chwilę, niknęły; tupot koni jakkolwiek cichy przerywał ciszę pochodu.

Potrzeba było zająć most jaki się znajdował pod Kaźmierzem na Wiśle i tym sposobem ułatwić całej armii przeprawę na lewy brzeg rzeki.

Jak wielkie siły nieprzyjaciół będą bronić mostu nie wiadomo było; — oddział Krakusów, wysłany przodem, miał się o tem przekonać i zająć most, jeżeli to będzie możebne — za nim postępował batalion celnych strzelców Małachowskiego, złożony z 240 ludzi i batalion kosynierów prowadzony przez nieustraszonego Juliana Małachowskiego.

Pikieta postępująca na czele Krakusów, złożona z dwóch żołnierzy niespodzianie napotkała w lesie jakiegoś człowieka śpieszącego ku niej.

— Kto idzie? — zapytała cichym głosem.

— Swój! Przyjaciel! — odpowiedziano równie cicho.

— Dokąd dążysz?

— Do was —, z wiadomościami; prowadźcie mnie do dowódzcy.

Kapitan postępujący na czele oddziału, wydał cichą komendę zatrzymania się.

Szwadron stanął cały, jak w ziemię wkopany.

Człowiek, który tak niespodzianie znalazł się na drodze postępującego wojska, gdy kapitan krzesał ognia dla zapalenia fajki o ile można było rozeznać przy słabym błysku, był... kobietą. — Pozwolimy sobie pomimo panującej ciemności opisać ją: wzrostem nie ustępowała żadnemu z grenadyerów, szerokie rajtury z białego zgrzebnego płótna, pokrywała sukmanka bura, przepasana rzemiennym pasem, za którym błyszczały dwa pisto-

lety; na głowie z pod dużego owczarskiego kapelusza, wysuwały się pukle włosów.

— Kto jesteś kobieto? — zapytał kapitan.

— Znasz mnie kniaziu, po głosie poznałam cię.

— Ale ja ciebie nie poznaję.

— Nic dziwnego, takie jak ja kobiety, nie ściągają na siebie uwagi.

— Więc proszę mi powiedzieć swoje nazwisko.

— Róża Wrzosek.

— Ach! To ty jesteś dzielna pani. — Jakież wiadomości? Z czem przybywasz?

— Most poniżej Kaźmierza złożony tylko z powiązanych galerów, zajęty jest przez dwa bataliony jegrów; z drugiej strony Wisły stoją dwie armaty i zdaje się, że Moskale mają zamiar ustąpić za zbliżeniem się naszych i most rozebrać.

— Ale dotąd tego jeszcze nie uczynili?

— Nie.

— A więc nie wolno nam tracić ani jednej chwili; most musimy zdobyć — znasz okolice? Prowadź nas!

— Dajcie mi konia i postępujcie za mną — odrzekła śmiała kobieta.

Koń znalazł się natychmiast, dosiadła go śpiesznie i puściła się przodem.

Szwadron Krakusów, nie zachowując już teraz ostrożności, wyciągniętym kłusem puścił się naprzód.

Zorze na wschodzie zaczęły się ukazywać, blade, przyćmione zamajaczyło światło — odezwał się gdzieniegdzie głos zięby w lesie lub pogwizd kosa

i wkrótce purpurowe kolory dnia wschodzącego roztoczyły swoje blaski.

Oddział wydostał się z lasu na płaszczyznę. — Co za pyszny widok przedstawił się oczom. Wisła szeroką wstęgą toczyła się u stóp starej wieży, dumnie sterczącej na wzgórzu, u stóp jej naokoło, szumiał dębowy las, w amfiteatr zasadzony przez naturę — na lewo trochę na niskim już brzegu Wisły, nad samemi jej brzegami wyrastały, jakby z ziemi wyrosłe liczne murowane śpichlerze, wystawione przez Wielkiego króla Kazimierza, trochę jeszcze dalej rozciągało się miasteczko Kaźmierz, ze swoim wspaniałym kościołem, ze starożytnemi kamienicami, z których każda była cackiem architektury XIV wieku; na przeciwnym brzegu na wzgórzu, rozciągały się ogromne rozwaliny zamku w Janowcu.

Kapitan chwilę tylko krótką powiódł okiem po wspaniałym pejzażu: — nie czas było oddawać się podziwowi piękności natury; celem jego był most, który jak przepaska ciemna przecinał wstęgą srebrną Wisłę.

Most to był tymczasowy, połączone galary, jakich pełno na Wiśle, używane do przewozu soli i węgla, stanowiły jego podstawy; — linami i łańcuchami połączone ze sobą galary takie w bardzo krótkim czasie mogły być rozpuszczone, dość było na to przeciąć liny i rozczepić łańcuchy.

Nieprzyjaciel dostrzegł pędzący z góry szwadron Krakusów i zaraz rozległy się najpierw dwa strzały armatnie, a prawie jednocześnie z nimi posypał się grad kul karabinowych.

Widoczne jednak było, że nieprzyjaciel nie myśli uparcie bronić mostu, gdyż jeden batalion jegrów, pozostawiony u przyczółka mostu na prawej stronie Wisły uszykowawszy się w czworobok, wysyłał tylko swoje strzały, a drugi spiesznie przechodził most pragnąc się przedostać na lewy brzeg Wisły.

Tymczasem ogień artyleryi nie ustawał ani na chwilę i siał zniszczenie pomiędzy szeregami Krakusów.

Wzgórkowate położenie, które zajęli nasi sprzyjało bardzo ich szarży.

Kapitan Ogiński-Kontrymowicz, jednym rzutem oka ocenił położenie, spostrzegł, że zamiarem nieprzyjaciela jest, zburzyć most i tym sposobem uniemożliwić przeprawę!

Jednej chwili nie było do stracenia — wydobył pałasz i rzucając się jak huragan ze swoim szwadronem na czworobok moskiewski, zakomenderował:

— Za mną, wiara! Co sił! Co tchu!

Zniżyły się chorągiewki, ułożyły nad uszami koni, iskry zabłysły w oczach żołnierzy i nie zwracając uwagi na rój kul, który już zranił kilkunastu jeźdźców, pomknęli. Wnet lance zanurzyły się w czworoboku moskiewskim, przewróciły pierwszy szereg i dostały się do progu mostu — zdeptały przelękłych piechurów ciskających broń i krzyczących pardon i wpadły na pierwszy galar, który zatrząsł się pod ciężarem koni i jeźdźców.

Oficer rosyjski, prowadzący batalion uchodzący, znajdował się już ze swoim oddziałem niedaleko

lewego brzegu; nie zważając więc na to, jaki los spotka towarzyszy pozostawionych, a chcąc się sam ocalić, natychmiast rozkazał przeciąć liny, wiążące galery; czynności tej dokonano w mgnieniu oka i kiedy Krakusi ze swoim dowódzcą dobiegli do środka mostu, oto — przepaść otworzyła się między nimi a wrogami — prąd Wisły natychmiast porwał obydwa końce uwolnionego z pętów mostu i coraz dalej rozchylając je, powiększał podział.

Kilkunastu Krakusów z dowódcą na czele nie mogąc powstrzymać rozpędzonych koni, wskoczyło w nurty Wisły, i ci przywitani zostali salwą karabinową, na szczęście jednak dla nich, główny prąd wody toczył się przy lewym brzegu i tym sposobem bohaterscy jeźdźcy mogli się przeprawić napowrót do swoich, małe poniósłszy straty.

Dwudziestu kilku jednak Krakusów zostało rannych w tej utarczce, ale zato 146 jeńców poddało się do niewoli; nie wielka to była pociecha, bo — co było robić z jeńcami armii, która szukała przejścia, sama ścigana przez przeważne siły nieprzyjaciół.

Pomiędzy jeźdźcami, którzy zapędziwszy się na most wpadli w fale Wisły — znalazła się i Róża; prowadząc oddział znajdowała się ona na czele i gdy wydano komendę szarży—nie cofnęła się, ale dobywszy pistoletu, uderzyła wraz z jeźdźcami i położywszy trupem podoficera, a roztratowawszy żołnierza, dzieliła los zwycięstw.

Krakusy zatrzymali się teraz na brzegu, opatrując rannych i czekając na zbliżających się forsownym marszem celnych strzelców Juliusza.

Cel nie został osiągnięty — most został zburzony i przedział między wrogami dokonany.

Kapitan spostrzegł jednak, że przy brzegu stoją jeszcze inne galary, napełnione solą — obrachował je i przekonał się, że mogą wystarczyć na budowę nowego mostu — rozkazał tedy sól wyrzucić i zabrać galary na budowę mostu.

Ogień artyleryi rosyjskiej z lewego brzegu Wisły nie ustawał ani na chwilę — kartacze sypały się jak krople ołowianego deszczu, tworząc bańki świetlne na wodzie — co chwila też rozlegał się jęk Krakusa, trafionego pociskiem.

Tymczasem batalion celnych strzelców Małachowskiego, złożony z 240 ludzi, poprzedzany kompanią kosynierów dowodzonych przez porucznika Połcia, przyśpiesznym marszem zbliżał się do brzegu Wisły. Obydwa te oddziały znajdowały się w krytycznem położeniu, przed sobą miały Wisłę z zerwanym mostem, na tyłach ich znajdowała się armia moskiewska, następując im prawie na pięty, a tymczasem główna armia generała Ramorina, odebrawszy już wiadomość o niemożebności przeprawienia się przez Wisłę pod Kaźmierzem, zwróciła się na południe i wysłała polecenie postawienia mostu pod Zawichostem, a niezawiadomiwszy wcale hrabiego Juliusza o tym zamiarze, pozostawiła go tem samem na pastwę przeważnych sił nieprzyjaciela.

Dnia poprzedniego Juliusz widział się z bratem Gustawem, który wraz z księciem Czartoryskim towarzyszył sztabowi Ramorina; krótka roz-

mowa, jaką dwaj bracia ze sobą przeprowadzili, niemiłe na Juliusza zrobiła wrażenie.

— Dokądże my idziemy wreszcie? — zapytał zdenerwowany Juliusz. — Tam Warszawa! Tam nas czekają pod Modlinem, a my co chwila oddalamy się od naszych.

— Warszawa kapitulowała — odparł Gustaw. Armia jest zdemoralizowana i w nieładzie uchodzi do Modlina, gdybyśmy się z nią połączyli i nasz dotąd niezachwiany w męstwie żołnierz ulegnie tym wpływom; zresztą z poddaniem się Warszawy los wojny już się przeważył.

— Czyż Warszawa stanowi Polskę? Czy po wzięciu stolicy tylu krajów Napoleona ich narody uważały się już jako podbite? Czy to Moskale sami nie umieli poświęcić Moskwy i zagrzebać ją w gruzach popiołów, aby ocalić kraj?

— Tak, mój bracie, ale tam było inne położenie! Nam, gdybyśmy oddali cały kraj po prawej stronie Wisły w ręce nieprzyjaciela, pozostawałoby się bronić na szczupłym bardzo terenie.

— Tak, ale teren ten ma góry Świętokrzyskie, bardzo niedostępne, teren ten zasobny jest w żywność dla armii; Paszkiewicz, wziąwszy zdradą Warszawę, musi połowę armii zatrzymać w niej, a z drugą połową, zdziesiątkowaną chorobą i naszemi kulami, damy sobie radę wziąwszy za podstawę akcyi góry Świętokrzyskie.

Gustaw uśmiechnął się i odrzekł:

— Co za szkoda, że ciebie nie zrobiono naczelnym wodzem!

Przerwał mu Julian niecierpliwie:

— Twoje żarty są wcale nie w porę! Każdy rozsądny człowiek widzi błędy a może i zdradę! Nie idzie o to, co się stało już i odstać nie może, ale o to co dalej robić potrzeba.

— Podług mnie — odrzekł Gustaw — to przeprowadzenie armii naszej na lewy brzeg Wisły nie rozstrzygnie zadania, drogocenna krew tylko napróżno się rozleje.

— Więc cóż ty i rada podobnych tobie filozofów i dyplomatów przewidujecie i co wskazujecie robić?

— Armia przeprawi się na lewy brzeg rzeki pod Zawichostem, bo tak postanowiono, ale podług zdania ludzi kompetentnych, najlepiej było przejść granicę Galicyi i schroniwszy się na jakiś czas za granicę, rozpocząć zbrojne traktowanie o pokój!

Juliusz zerwał się rozpłomieniony — spojrzał bratu w oczy i rzekł, cały drżąc:

— Takie pogłoski kursują już wśród żołnierzy, że korpus nasz spotka los Dwernickiego i Giełguda, że żołnierz na obcej ziemi będzie zmuszony rzucić broń wsławianą w tylu bitwach, zbeszcześcić narodowe sztandary i oddać je wrogom, ażeby potem służyły za ozdoby jego muzeów.

— Co do mnie, przysięgam tu wobec Wielkiego Boga, że noga moja nie przekroczy granicy! Jak pies położę się na sztandarach naszych i albo trup mój spocznie w ziemi rodzinnej, lub wolny kraj powitam jeszcze i wolny w nim żyć będę.

Gustaw spojrzał smutnie na młodego entuzyastę: on nie miał wiary w możliwość zwycięstwa; dla niego tylko istniała nadzieja w dyplomatycznych układach.

— Zresztą mamy się przeprawić przez Wisłę, ja nie twierdzę, że Galicya jest celem naszego pochodu; będziesz się jeszcze mógł bić ze swoimi kosynierami i prowadzić ich na armaty!

— Tak zrobię, Gustawie, nie wątp o tem ani na chwilę, a gdybym odebrał rozkaz przejścia haniebnie do Galicyi — to nie usłucham go!

— Szaleńcze! Marzycielu! Zginiesz jak kropla wody w oceanie.

— Kropla nie ginie w oceanie, rozpływa się tylko; — żegnam cię Gustawie.

— To mówiąc wyciągnął ramiona do brata Twarz jego taką anielską pałała pięknością, a w oczach taki niebiański błyszczał ogień, że można było myśleć, iż to jest archanioł, zesłany od Boga dla umocnienia serc małowiernych.

Wzruszony Gustaw przytulił do piersi młodzieńca, coś, jakby łza zakręciła się w jego oku i złożył serdeczny pocałunek na twarzy Juliusza.

— Żegnam cię, Guciu.

— Nie, tylko do widzenia w lepszych czasach, Julku!

— Bóg to wie — rzekł smutnie Juliusz — i wyszedł zadumany.

Krakusi, zajęci ściąganiem tratew i przysposobieniem się do budowy mostu, ujrzawszy zbliżających się prędkim krokiem strzelców Juliusza, wydali okrzyk: hura! na co strzelcy odpowiedzieli

tym samym okrzykiem; za nimi, tuż biegnąc pokazał się oddział Kosynierów, prowadzony osobiście przez Juliusza i porucznika Połcia — ale w tym samym prawie czasie i wzgórze Kazimierza zabłysło bagnetami a bateryе artyleryi śpiesznie zaczęły się ustawiać na wzniesieniach nadbrzeżnych.

Wszyscy sądzili, że to jest postępująca armia polska, którą pozostawili za sobą, ale jakież było zdumienie tej garstki walecznych, gdy armaty uszykowawszy się na wzgórzach, zadymiły. Rozległy się strzały i kłęby dymu rozciągnęły się nad okolicą.

Z początku kule armatnie nie dosięgały małego oddziału i padając przed frontem, ryły ziemię.

Kapitan Ogiński-Kontrymowicz — porucznik Połeć i hrabia Juliusz na chwilę znaleźli się razem; zdziwienie wyryte było na ich twarzach.

— „Co to znaczy” zapytał kapitan, zwracając się do Juliusza — sądziłem, że to nasi i omyliłem się.

— Jesteśmy odcięci od głównej armii — rzekł stary Połeć — to widoczne!

— Na chwilę to zapewne tylko — odrzekł kapitan — armia nasza jest w tyle za Moskalami i sprawdzi się stare przysłowie polskie:

Schwycił kozak tatarzyna,
A tatarzyn za łeb trzyma.

— Niedługo usłyszymy na tyłach Moskali wystrzały naszych dział i będziemy ocaleni!

Juliusz smutnie spojrzał w oczy kapitanowi i rzekł:

— Nie myślisz tak kapitanie; armia nasza już minęła Kazimierz i znajduje się na drodze do Zawichosta, gdzie mają pośpiesznie budować most; nam pozostaje tylko albo się cofać prawym brzegiem Wisły ku Zawichostowi dla połączenia się z Ramoriną, lub też przeprawić się przez Wisłę dla połączenia się z Różyckim, lub wreszcie...

— Poddać się — rzekł ponuro Połeć, który przysłuchiwał się tej rozmowie.

— Nigdy! Nigdy! — zawołał Juliusz z ogniem, kto śmie mówić o poddaniu się!?

— Mylisz się, hrabio posądzając mnie, że zalecam poddanie się: stary Połeć swoich siwych włosów nie shańbi pochyleniem ich przed wrogiem; powiedziałem tylko, że jest takie trzecie wyjście, ale za niem nie głosuję bynajmniej!

Tymczasem ogień armatni tak się powiększył że w szeregach strzelców, Kosynierów i Krakusów, co chwila rozlegał się jęk i padał żołnierz zabity lub raniony.

Kapitan spojrzał po nadbrzeżu Wisły i zobaczył, że z jednej strony i z drugiej, piechota rosyjska zajęła już pobrzeże, i co chwila nowe bataliony powiększają jej siłę; odwrót więc po nadbrzeżach Wisły był niemożebny.

— Tylko tratwy ocalić nas mogą i przewieźć na przeciwną stronę! Ja z kawaleryą spróbuję wpław się przedostać, bo mała woda na Wiśle, ale to dopełnię dopiero wtedy, gdy naszą piechotę będę już widział ulokowaną na tratwach.

Rzucono się więc z największym pośpiechem do wiązania tratew i galarów dla utworzenia z nich

mostu — tymczasem wysunęły się cztery bataliony jegrów i zbliżyły się ku brzegom.

Kapitan sformował swoich Krakusów, przejechał przed frontem i odkrywszy głowę, którą białe włosy otaczały, jakby śnieżną koroną — zakomenderował:

— W imię Boże! Naprzód! Marsz!

Runął oddział biegiem, szarża jednak była pod górę bardzo trudna, a konie umęczone pochodami i wygłodzone, nie miały tego rozpędu, jaki potrzebny jest dla kawaleryi do zwycięstwa — batalion jednak piechoty rosyjskiej, najpierwszy został rozbity i w nieładzie ustępował — drogo jednakże Krakusi okupili to swoje zwycięstwo: dzielny kapitan raniony kulą karabinową, zachwiał się na siodle a w tejże chwili, koń jego ugodzony granatem padł, przytłaczając sobą jeźdźca!

Wysunięty z boku szwadron Czerkiesów, z kindżałami w zębach, z czaszkami w rękach, wpadł na Krakusów i rozpoczął straszną rzeź. — Kilku żołnierzy starało się pochwycić swego rannego dowódcę, lecz wnet padli pod ciosami Azyatyków, a rannego kapitana pojmano w niewolę.

Ten bohaterski atak Krakusów powstrzymał na chwilę postępującego nieprzyjaciela, bataliony zatrzymały się; odezwała się trąbka i wnet zobaczono trębacza rosyjskiego, zbliżającego się w towarzystwie oficera do oddziału Juliusza.

Ogień na chwilę i z polskiej strony ustał, żołnierze oparli się na karabinach i kosach i ponuro spoglądali na wroga.

Adjutant rosyjski, w randze kapitana, zbliżywszy się do Juliusza i Połcia i oddawszy im wojskowe pozdrowienie, rzekł:

— Jestem posłany przez naczelnego wodza.

— Z czem przybywasz, kapitanie?

— Jesteście panowie otoczeni — możemy was zmasakrować zupełnie, generał jednak szacując wasze męstwo, zgodzi się na poddanie wasze i złożenie broni.

— Napróżno trudziłeś się kapitanie— odparł Juliusz, — stając do boju z wami, przysięgliśmy broń naszą wtenczas wypuścić z ręki, kiedy już śmierć nie pozwoli jej podnieść w obronie Ojczyzny; potrafimy z nią zginąć, jeżeli będzie tego potrzeba.

— A jednak całą waszą armię czeka niewola! Bo wasi dowódcy mylą się, myśląc, że znajdą most pod Zawichostem, tam nic nie zrobiono i przeprawa na lewy brzeg rzeki nie możebna; mogę ci to powiedzieć waleczny Panie, bo to już nie jest tajemnicą. — Honorowi już zadość uczyniłeś, rozsądek nakazuje poddać się.

— Ale obowiązek względem Ojczyzny nakazuje mi zginąć! Żegnam pana.

Adjutant milcząc, wysłuchał tej odpowiedzi, znać było podziw na jego licu; oddawszy ukłon wojskowy, oddalił się.

Zaledwie powrócił do swoich i zdał raport ze swego poselstwa, gdy na nowo rozległy się strzały armatnie i zaczęły zasypywać kulami garstkę naszych.

Rozbity szwadron Krakusów, utraciwszy swego walecznego dowódcę, na chwilę zatrzymał się nad brzegiem rzeki.

Juliusz spiesznie spostrzegł, że kawalerya na nic się tu już przydać nie może, że powtórzona szarża jej po górę jest niemożebna, więc kiedy wachmistrz zbliżył się po rozkazy, rzekł:

— Próbujcie wpław przedostać się na drugą stronę, tam jest Różycki, a my za wami pośpieszymy na galarach.

— Według rozkazu! — odrzekł stary napoleończyk.

Szwadron sformował się w jednej chwili.

— Naprzód! Marsz! — rozległa się komenda — a konie jak stado kaczek buchnęły w wodę, która od tej strony była płytka prawie do połowy rzeki przy przeciwnym dopiero brzegu płynął nurt główny. — Kartacze jednak ścigały ich, wielkie luki robiąc w szeregach.

Pokazało się jednak, że połączenie galarów w jedną ławę nie da się uskutecznić, zabrakło powrozów do wiązania ich między sobą, można więc było tylko wsiadając na pojedyncze galary i tratwy, dokonać przeprawy.

Celni strzelcy Juliusza zajęli cały brzeg Wisły, słabo pokryty zarastającą wikliną i rozrzuciwszy się, w tyraliery, morderczym ogniem razili zbliżającego się coraz liczniejszemi rotami nieprzyjaciela.

Obręcz nacierających coraz stawała się ciaśniejszą i zaciskała węzeł duszący; zdawało się, że niechybnie już zadusi tę małą garstkę.

Tymczasem kosynierzy, którzy pierwsi mieli się przeprawić, stali w szyku bojowym na nadbrzeżu, wystawieni na pociski kul zanurzających się w ich ciałach i rozrywających je na kawałki.

Nareszcie jeden galar był gotowy do przeprawy; zakomenderowano:

— Wsiadać! Pomału! Ostrożnie!

Ale w tejże chwili, kiedy kosynierzy obrócili się ku rzece, dowódca Czerkiesów rzucił się ze swoimi chcąc naszych niedopuścić na galary.

Stary Połeć widząc to, gromkim głosem zatrzymał kosynierów i huknął:

— Kosy w górę — do ataku! Marsz!

W jednej chwili nieustraszeni chłopcy nasi zrobili zwrot, kosy zabłyszczały w powietrzu, podniosły się w górę i świszcząc, spuściły się na karki Czerkiesów i ich koni. Konie pomimo nahajek zaczęły się wspinać i cofać i tratować jeźdźców, którzy się znaleźli na ziemi.

— Jeszcze raz chłopcy! — zakomenderował Połeć. — Na pożegnanie! Jeszcze raz!

Znowu kosy zaświszczały, cienkie ich ostrza zanurzyły się w ciała, przecięły kości, niektóre poszczerbiły się nawet, aż szwadron Czerkiesów cofnął się w nieładzie, zostawiając ludzi i koni sporo na pobojowisku.

— Wsiadać — zakomenderował teraz Połeć.

Krakusy w największym porządku dopełnili zlecenia.

Przepełniony galar zanurzył się w wodzie prawie po same burty.

— Dziesięciu wysiąść i zostać na ochotnika — komenderował Połeć.

Widoczne było, że ci, którzy pozostaną, albo muszą uledz liczbie wrogów i poddać się do niewoli, lub też zginąć.

Galar już miał popłynąć z wodą, gdy Józefek Pobiegacz, Antek Psiarczyk, Kuba Mucha, Walenty Bieniak, ci czterej z owej piątki, która się pierwsza zapisała w Końskich, wyskoczyli na brzeg; piątego z nich Gandka nie było już pomiędzy żyjącymi: zginął pod Ostrołęką, — sześciu innych przyłączyło się do nich.

Połeć spojrzał z zadowoleniem na wysiadających, wiedział, że ci nie z tchórzostwa opuszczają galar; że na nich liczyć może..

Galar odbił od brzegu i skierował się na środek Wisły, ciągle zasypywany śmiertelnymi pociskami.

Szykowano drugi i trzeci galar do odpływu: pomału zdołano całą kompanię kosynierów spuścić na wodę. Kiedy już ostatni kosynier znalazł się na tratwie, Połeć skinął na waleczną czwórkę i dał jej znak, żeby pozostała przy nim na lądzie.

Napór wojska rosyjskiego, ze wszystkich stron zbliżającego się, był tak natarczywy, że tyralierzy strzelców musieli opuścić zarośla i sformowali się teraz w czworobok, na czele którego stanął Juliusz i raził śmiertelnym ogniem wrogów. Nasi jednak padali dziesiątkami, czekając na przygotowane dla nich galary do przeprawy.

Połeć ze swoimi czteroma ochotnikami połączył się z oddziałem strzelców i znalazł się tuż koło Juliusza.

— Ty tu, poruczniku. — zapytał Juliusz — sądziłem, żeś już na galarze razem ze swoją komendą.

— Oni już dopełnili swego zadania a ja przyprowadziłem ci twoich wiernych, którzy poprzysięgali, że cię nie opuszczą.

Juliusz z rozrzewnieniem zobaczył Antka, Józefka i innych towarzyszy dawnych łowów myśliwskich, a dziś towarzyszów niechybnej śmierci.

Bataliony nieprzyjacielskiej piechoty, już tak blisko otoczyły garstkę walecznych, że armaty musiały zaprzestać ognia, nie chcąc ćwiartować zarówno swoich, jak obcych.

Sformowali jednak czworobok. Na jednym jego kącie stanął stary Połeć z najeżonymi wąsami i zmarszczoną brwią; struga krwi spływała mu od lekkiej rany zadanej spisą w głowę. Na drugim końcu stał Juliusz, a obok niego powiewał dumnie sztandar z białym orłem na amarantowem tle.

Celni strzelcy Juliusza z zimną krwią, jakby na paradzie wojskowej, mając tył zabezpieczony Wisłą i opierając się o jej brzegi, ze trzech frontów zasypywali nieprzyjaciela tak celnymi i śmiertelnymi pociskami, że uformował się naokoło nich formalny wał z ciał ludzkich, ale co chwila i pośród nich rozległ się jęk, ktoś padał, robiła się luka, a tu wciąż słychać było tylko komendę: „Szlusuj! Nastąp!” — i w miejsce powalonego żołnierza, na-

stępował jego towarzysz, a za chwilę padłszy o-twierał znowu miejsce dla nowego bohatera.

Sztandar jednak Polski postrzelany jak rzeszoto, dumnie jeszcze powiewał i zdawał się urągać wrogom — a dopóki żołnierz widzi swoją chorągiew, dopóty i wiara w zwycięstwo nie gaśnie w jego sercu.

Nadeszła jednak chwila fatalna, trzeci już chorąży legł trupem, chorągiew pochyliła się i miała u-paść na ziemię, — w tejże jednak chwili Róża Wrzosek, która znajdowała się tuż obok w szeregu, pochwyciła drzewce ze sztandarem i uniosła go napowrót w górę, a na ten widok rozległ się o-krzyk radości wśród żołnierzy.

Niespodzianie ogień nieprzyjacielski ustał na chwilę i ten sam adjutant rosyjski, który już poprzednio przyjechał, zbliżył się spiesznie na koniu.

Z oddziału Juliusza było już zaledwie 30 ludzi.

— Poddajcie się! Krzyczcie pardon! — zawołał zdala.

— Całuj psa w nos! — huknął potężnym głosem Połeć, i jednocześnie podniósłszy karabin, zmierzył zeń do adjutanta. Ten zawrócił konia, a zaledwie powrócił do swoich, ogień karabinowy rozpoczął się z całą wściekłością i trwał tak gwałtowny, że co chwila kule wyrywały kogoś z szeregów.

Juliusz z dymiącym karabinem stał blady od wycieńczenia, ale w oczach jego pałał taki zapał poświęcenia, że ktokolwiek spojrzał nań, widział, że jest to męczennik, przeznaczony na ofiarę, śmiało, dobrowolnie idący na stos.

Dwie rany już odebrał, ale siłą woli pokonywał ból i komenderował bez ustanku.

— A co, ciepło? — zapytał Połeć, zbliżając się do niego i otaczając go kłębem dymu z fajki.

— Juliusz nie zdążył mu jeszcze odpowiedzieć, gdy stary Napoleończyk padł rażony kulą w samo czoło.

— Szlusuj! — zakomenderował Juliusz — ale nie było już komu szlusować... Spojrzał: kilku już tylko jego wiernych towarzyszy młodości trzymało się jeszcze, ale nad nim wciąż jeszcze powiewał sztandar w ręku Róży. Żal mu się zrobiło tych ostatnich bohaterów, których wyrwał z objęć rodziny i poprowadził na bój śmiertelny: — dziwnym trafem byli to ci sami czterej ochotnicy, którzy się pierwsi w Końskich zapisali na listę powstańców.

Józef Pobiegacz i Psiarek stali obok niego, gotowi zasłonić go swojem ciałem przed pociskami.

Nareszcie z przestrzelonej ręki Róży wypadł sztandar! Wiatr go rozwinął i rozesłał niby drogocenny dywan na ziemię; Juliusz spiesznie schylił się, ażeby go podnieść, ale w tejże chwili kula ugrzęzła w jego piersi — wyciągnął ręce do góry i zaledwie zdolny był wyrzec słowo — „Stać!” — runął na rozesłany sztandar krwią swoją rumieniąc białe skrzydła ukochanego ptaka narodowego.

A w tej chwili rozległ się okrzyk przeraźliwy i jakaś kobieta z rozpuszczonymi włosami przedarłszy się przez szeregi moskiewskie, rzuciła się na leżące ciało bohatera.

Kobieta ubrana była w suknię krótką na pół świecką, na pół zakonną, niebieską z białym pa-

sem i z takimże krzyżem wyszytym na piersiach.

Uniosła głowę śmiertelnie ranionego, spojrzała w gasnące oczy i głosem pełnym rozpaczy mówiła:

— Juliuszu! Czy to już opuszczasz nasze szeregi! Julku, powstań! Ojczyzna ci nakazuje żyć!

Raniony ciągle spoczywając na sztandarze, otworzył zamglone oczy, poznał nachyloną nad sobą kobietę i usta jego, już siniejące, szepnęły:

— Antosia! — Spodziewałem się... Dotrzymałem słowa... — Nie przeżyję upadku Ojczyzny; skonam jak pies, położywszy się na chorągwi.

— Żyć będziesz! Żyć musisz bohaterze!

— Nie ruszajcie mnie, nie ratujcie, nie chcę umierać, jako niewolnik, takie piękne łoże mam, — taka rozkosz umierać za Ojczyznę na jej sztandarze, zrosiwszy go krwią własną.

W tej chwili dostrzegł trzech żołnierzy rosyjskich zbliżających się doń, aby go podnieść i zabrać do lazaretu.

— Nie dajcie mnie! — zawołał tak rozdzierającym głosem, że zdawało się, iż pierś, która go wydała, ma jeszcze pełnię życia.

Antosia w jednej chwili przemieniła się w lwicę broniącą swego dziecięcia — pochwyciła leżący na ziemi karabin i kobieta, która nigdy w ręku swem nie miała broni, zmierzyła i strzeliła do zbliżających się wrogów; wystrzałowi jej wtórowały dwa inne: Psiarka i Pobiegacza. Trzech żołnierzy nieprzyjacielskich zwaliło się na ziemię.

— Dzięki ci Antosiu! — wyszeptał Juliusz. — Pożegnaj mnie!

Dziewczyna nachyliła się nad gasnącem obliczem, i gorący, pierwszy i ostatni pocałunek złożyła na ustach konającego....

Z pocałunkiem tym dusza Juliusza uniosła się do nieba.

Antosia podniosła się jak statua marmurowa, stanęła z załamanemi rękoma, nie zważając na to, że ćma wrogów, rozwścieczonych oporem, z nadstawionymi bagnetami biegła na garstkę naszych. Psiarek i Pobiegacz wystrzeliwszy karabiny, pochylili leżące kosy i zataczając krąg niemi ponad głowami swemi, powstrzymali nacierających, próżna tutaj jednak była już obrona, koło ścisnęło się, bagnety zabłyszczały i dwóch ostatnich obrońców ciała bohaterskiego wodza — padło obok niego; — dziewczyna jednak stała jeszcze, zdawało się, że skamieniała.

Gromadkę jegrów raptownie roztrącił pijany brodaty kozak i podniesionym końcem szaszki ugodził w głowę; dziewczęcia, choć bujne włosy znentralizowały się uderzenia, Antosia jak lilia na kwiecistej łące, uderzona kosą kosiarza, pochyliła się i upadła obok ciała Juliusza.

Tragedya dziczy była skończona. — Zwycięstwo — okrzyki azyatyckiej dziczy rozległy się wokoło; zaczęto zbierać rannych i rozpoznawać umarłych.

Z całego oddziału Juliusza, liczącego 240 strzelców, tylko 14tu ciężko rannych znaleziono żywych jeszcze, wszyscy inni wraz ze swoim dowódcą, polegli śmiercią walecznych.

Juliusz już nie żył, spoczywał na swoim sztandarze, ale blada twarz zachowała taki wyraz nieustraszonego męstwa, taki wspaniały majestat śmierci, że żołnierze nieprzyjacielscy spoglądając nań, żegnali się i szeptali:

— To nie człowiek, to święty.

Pomiędzy rannymi podniesiono i dwie kobiety, Różę, dwa razy ranną i Antosię Snarską, której piękne czoło, ozdobione teraz zostało szramą, zadaną szaszką czerkieską.

Obydwie dostały się do niewoli.

Musimy tu jednak objaśnić, skąd się wzięła Antosia na polu walki.

W starej wieży, pod Kaźmierzem, na pół rozwalonej założony był lazaret polski i tam to Antosia pełniła służbę Siostry miłosierdzia, gdy niespodziewanie oddział Juliusza i lazaret zostały odcięte od głównej armii. Dziewczyna zdaleka poznała mundury strzelców Koneckich, — poznała Juliusza, widziała bohaterski bój, niebezpieczeństwo, w jakiem się znajdował, i zapominając o wszystkiem, rzuciła się na jego ratunek.

Ratunek! Jakiż ratunek dać mogła biedna dziewczyna? Nie zastanowiła się nad tem ani chwili, jakiś głos wyższy, nieznany rozkaz ducha, popchnął ją bezwiednie, coś tajemniczego szepnęło jej, że ostatni raz widzi swego towarzysza młodości, czuła, że go musi pożegnać, musi raz jeden w życiu, złożyć pocałunek na jego czole, — raz jeden — pierwszy i ostatni, by wycisnąć pieczęć wiecznego z nim przymierza....

Kiedy ranna otworzyła oczy i zdolną była zebrać myśli, już na całem pobojowisku zaległa ci-

sza; po skrwawionej roli włóczyły się postacie w nieprzyjacielskich mundurach, podnosząc rannych swoich, lub obdzierając martwych. — W dali na wodach Wisły unosiły się tratwy, na których płynęły niedobitki kosynierów; na lewym brzegu Wisły widać było majaczące postacie jeźdźców Krakusów, którym udało się szczęśliwie przepłynąć, a na widok których uchodziły kolumny rosyjskie w popłochu, sądząc widać, że za Krakusami cała armia się przeprawia.

Stawiono jeńców rannych przed dowódcę oddziału: stary pułkownik pamiętający jeszcze czasy wojen Napoleońskich — bystrym okiem przebiegał po gromadce — nie wiele ich było, ale dwie kobiety pomiędzy nimi zwróciły jego uwagę.

— Kto to jest? — zapytał stojącego obok adjutanta.

— Także dwa buntowniki.

— Kobiety?

— Tak, kobiety, ale widziano je z bronią w ręku, strzelające do naszych.

— Ale to jakiś dziwny ubiór na tej młodej — co to znaczy?

— To niby ma być oznaka sanitarki, ale sanitarki z bronią w ręku, umiejącej mordować — odrzekł adjutant, złowrogo się uśmiechając.

— Widzę, że obie ranne są; wziąć je do lazaretu, opatrzyć tymczasowo, a o losie ich później się postanowi.

— Panie pułkowniku — odezwała się nieśmiało Antosia — po francusku — czy mogę zanieść prośbę do pana?

— Słucham panią — odrzekł nieco zdziwiony pułkownik.

— Pomiędzy poległymi z naszej strony, znajduje się potomek wielkiego rodu, czy nie pozwoliłbyś pan podnieść jego ciało, ażeby je można odesłać starym rodzicom, dla uczczenia pogrzebem i pochowania w grobach rodzinnych?

— Któż to jest ten bohater?

— Jest to hrabia Juliusz Małachowski.

— Czy nie brat hr. Gustawa, tegoż samego nazwiska?

— Tak, panie.

— Hr. Gustawa znałem w Warszawie w towarzystwie, i nie myślałem, żeby i on przyłączył się do buntu, ale teraz, on już jest za granicą z całym korpusem Ramorina.

Na tę wiadomość tak bolesną, Antosia zachwiała się na nogach — śmiertelnie zbladła, ale pokonując rozpacz siłą woli, odezwała się:

— Czy to przeszkadza oddaniu czci, należnej poległemu?

— Nie, pani, ja nie należę do smoków pożerających ludzi, — ciało hrabiego Juljusza każę przenieść tymczasowo do kościółka w Kaźmierzu i zawiadomię depeszą hr. Gustawa, a stosownie do jego odpowiedzi pozwolę postąpić z nieboszczykiem, przewieść go do familijnych grobów, lub pochować na polu walki.

— Dziękuję ci, panie — odrzekła wzruszona dziewczyna, a ośmielona uprzejmością starego żołnierza, zapytała jeszcze:

— Panie pułkowniku, pod Zawichostem miał być most na Wisłę, którym korpus Ramorina miał

się przeprawić; dla czegóż więc nie korzystał z tego i bez stoczenia bitwy przeszedł do Galicyi?

Pułkownik uśmiechnął się:

— To coś nowego, że jeniec, jakim jesteś pani, wypytuje się dowódcy nieprzyjacielskiego dlaczego jego przeciwnik tak lub owak postąpił!

— Nie powinienbym odpowiadać, lecz dla pani to uczynię i odpowiem jednym słowem: Ramorino jest kiep!

— To nie Polak, pułkowniku.

— Wiem o tem i dlatego tak otwarcie wypowiadam moje zdanie. — A teraz udaj się pani ze swoją towarzyszką do lazaretu, tam opatrzą twoją ranę, o ile to jest możebne w naszem położeniu; o losie twoim pani postanowi generał.

— Rana moja jest mało znacząca, prawie jej nie czuję, pozwól mi, panie pułkowniku, pełnić tam obowiązki Siostry miłosierdzia i opiekować się rannymi.

— Tam po większej części są nasi, a wy ich niecierpicie.

— Nie jest tak zupełnie! Dopóki żołnierz z bronią w ręku stoi przeciw nam, uważamy go za wroga, ale kiedy bezwładny spoczywa na łożu lazaretowem, przestaje być wrogiem, a jest tylko naszym bliźnim.

Zdziwienie wyryło się na twarzy starego żołnierza.

Milcząc, przeszedł się po izbie i nareszcie odwracając się do Antosi, rzekł:

— Zgadzam się na pani żądanie, ale pod jednym warunkiem.

— Słucham cię, panie pułkowniku.

— Pani jesteś jeńcem, bo jakkolwiek nosisz suknię Siostry miłosierdzia, to jednak wzięto cię z bronią w ręku na placu boju; jako jeniec wojenny musisz zostać pod dozorem, ale jeżeli dasz mi słowo, że nie będziesz myślała o ucieczce, pozostawię cię na wolnej stopie i swobodnie będziesz się mogła oddawać twej wzniosłej roli, aż do czasu gdy generał zawyrokuje o twoim losie.

— Przyrzekam to, panie pułkowniku i honorowo dopełnię zobowiązania.

— Nie wątpię o tem — a i pani towarzyszka czy toż samo gotowa uczynić?

— Ręczę za nią, pułkowniku.

Rozmowa skończyła się — obie bohaterki zaprowadzono do lazaretu.

Tymczasem ciało Juliusza przeniesiono istotnie do parafialnego kościółka, za całun służył mu sztandar z orłem polskim; na pobojowisku usypano dużą mogiłę, pod którą pochowano zwłoki dzielnego porucznika Połcia, Psiarka, Pobiegacza i innych naszych bohaterów. — Drugą mogiłę usypano żołnierzom rosyjskim.

* * *

Kiedy przed trzydziestu laty zwiedzałem owo pobojowisko, zasłane niegdyś tylu trupami, — mogiły już zarosły bujnie krzewami malin i jerzyny — stary, spruchniały krzyż osikowy, postawiony przed laty leżał przewalony, jakiś ptaszek usłał sobie gniazdo wśród kępy malin i kwilił wesołą piosnkę pisklętom, które mchem zaledwie porosłe wyciągały główki do góry i piszcząc, domagały się

pokarmu. Opodal pastuszek bosy w kapeluszu ze słomy pszennej, pasł dwie chude krowy i na piszczałce wierzbowej wygrywał pieśń znaną: — zdziwiłem się niepomiernie, kiedy w melodyi tej poznałem nutę nieśmiertelnej Pieśni Legionów:

„Jeszcze Polska nie zginęła”.

Zbliżyłem się do dzieciaka. — Na widok mój przestał grać — podniósł się, zdjął kapelusz i badawczo zaczął mi się przypatrywać.

— Co ty grałeś, chłopcze?

— Ot, tak sobie.

— Kto cię tego nauczył?

— Tu wszystkie chłopaki to umieją — ale raptem myśl jakaś smutna odbiła się na jego opalonem obliczu; nieufnie spojrzał na mnie i chciał się oddalić; zatrzymałem go.

— Nie odchodź, chłopcze, zagraj mi jeszcze.

— Ja nic nie winien, proszę pana.

— Co to znaczy? Czegóż się boisz?

— Bo może pan mnie weźmie do wójta.

— Do wójta? Cóż znowu! A za co? Toć każdemu grać wolno.

— Ale to strażnicy nie dają tak grać i biorą do kozy, gdy usłyszą to granie.

— A ty się nie boisz i grasz przecież?

— Bo tu nikt nie słyszy — tylko...

— Tylko kto?

— Tylko ci, co śpią pod mogiłą i Bóg.

Serce zabiło mi silnie; pochwyciłem chłopię w ramiona i wycisnąłem na jego opalonem czole gorący pocałunek.

Zdziwiony chłopak stał chwilę, milcząc, — łza zakręciła mu się w oku — nareszcie nieśmiało zapytał:

— Pan — nie Moskal?

— Nie, dziecko moje drogie; — taki sam ja biedny, jak ty, niewolnik.

— A czy, panie, będzie Polska?

— Jest i będzie i nikt jej zabić nie potrafi dopóki ziemia ta rodzić będzie takich, jak ty, chłopców, dopóki nuta ta chociaż w cichości, chociaż przy mogiłach rozlegać się będzie nad Wisły brzegiem; a znasz ty słowa do tej nuty?

— O, znam panie; toć kiedy ją śpiewamy w chałupie, to wszyscy płaczą, jak dzieci.

I głosem, nie uczonym, ale pełnym uczucia, przejmującym do głębi serca zaczął śpiewać:

„Jeszcze Polska nie zginęła”.

— Czy Bóg to słyszy, panie?

— Głosy aniołów donoszą mu te słowa, więc niezawodnie słyszy je, mój mały braciszku.

— Ja umiem jeszcze piękniejszą śpiewkę.

— Jaką? Śpiewaj.

— **„Boże coś Polskę — przez tak liczne wieki”.**

Siedziałem zadumany, słuchając pieśni tego dziecka ludu; wtórowałem mu w myśli. Serce potężnie biło mi w piersi: odżyły wszystkie moje nadzieje — zwątpienie precz ustąpiło, a w duszy zapanowała wiara w zmartwychwstanie; — bo, zaprawdę, gdzie pieśń taka przenikła do piersi ludu, tam jest życie, więc zmartwychwstanie w dniu oznaczonym nastąpić musi.

* * *

Tymczasowy lazaret wojskowy założony był w dużej chłopskiej stodole; na ziemi potrząśniętej garstkami słomy, w nieładzie rzucone były ciała chorych; nie widać było ani doktora, ani felczera. Rana Antosi nie przedstawiała żadnego niebezpieczeństwa, ale z Różą miało się zupełnie inaczej, dwa razy ranna, zaledwie mogła się utrzymać na nogach i zaledwie ją wprowadzono do lazaretu, upadła z wycieńczenia i upływu krwi na brudny barłog.

Antosia ze zdziwieniem obejrzała się naokoło: lazarety polskie odznaczały się czystością i możliwie troskliwem zaopatrzeniem; tu nie było widać najmniejszego starania o życie ludzkie: całym zbytkiem, jakim się odznaczało to miejsce, była beczka wody dobranej na pół z kwasem, jaki się wyrabia w Rosyi z kiszonego chleba, napój to jest chłodzący i przyjemny, ale jako lekarstwo bezpożyteczny; drugiem naczyniem, stojącem obok, była na pół przerznięta beczka, w którą zlewano nieczystości, wydające obrzydliwą woń.

Ale ważniejsze jeszcze spostrzegła Antosia nieporządki, pociągające za sobą straszne niebezpieczeństwo; oto ranni leżeli obok chorych na cholerę, pomieszani bez żadnego ładu i względu na rodzaj choroby. Choleryczni wydawali przeraźliwe jęki, a odór od ich nieczystości napełniał obszerną stodołę; ranni, którzy mieli jeszcze przytomność, ze wstrętem znosili to okropne sąsiedztwo.

Nareszcie wszedł doktor, za nim felczer; — czerwona, nabrzękła twarz pierwszego i wstrętny zapach gorzałki, buchający od niego, wskazywały

jasno pijanicę, rzeźnika raczej, niż doktora. Zatrzymał się w progu stodoły, której drzwi na rozcież otwarte odświeżały powietrze, najpierw przeżegnał się trzy razy, a skinąwszy na felczera, odebrał od niego kwartową butelkę wódki i pociągnął z niej porządnie, poczem oddał ją felczerowi, który zaraz naśladował swego zwierzchnika.

— No tok, co? — mówił nie przestępując progu stodoły. — Trupów każ usunąć czemprędzej — rannym porobił obandażowania, a cholerycznych (machnął ręką), czort z niemi, napoisz kwasem.

To mówiąc, spojrzał i zobaczył Antosię, stojącą na środku stodoły; — skinął na nią, żeby się zbliżyła.

— Wy kto?

— Siostra miłosierdzia i pojmana.

— Co tu porabiacie?

— Jestem trochę ranna, ale to najmniejsza sprawa, pułkownik pozwolił mi pełnić posługi w lazarecie pod kierunkiem pana doktora.

— Nu, tak pełnij, — czort z wami.

— Cóż mam robić?

— Opędzaj muchy gałązką i dawaj im kwasu. — A może napijesz się wódki?

Dziewczę ze wzgardą spojrzało na opoja, który nie troszcząc się o nic więcej, odwrócił się i wyszedł.

Pozostał tylko felczer, który zdawał się nie tyle być pijanym, co jego zwierzchnik.

— No, weźmijmy się do pracy — rzekła dziewczyna — czy są szarpie i płótna potrzebne do opatrunku?

— Niema — Polacy zabrali furgon z lekarstwami i tym sposobem na razie nie mamy nic pod ręką.

— Pić, wody! — zajęczał jeden z rannych Moskali.

Dziewczyna śpiesznie zbliżyła się do beczki i napełniwszy blaszaną czarkę, podała ją choremu.— Drugi prosił, żeby mu poprawiono opaskę, — trzeci, do którego się zbliżyła, prosił o księdza, chcąc zrzucić z siebie brzemię grzechów.

Księdza nie było w całym obozie, a kapelan gdzieś tam przy głównym sztabie miał się znajdować. — Najstraszniejszy obraz przedstawiali choleryczni: wijąc się w mękach, wyrzucali niewyraźne słowa, a kilku już zsiniałych umilkło na wieki; nie przykryci niczem wzbudzali litość i obrzydzenie.

Antosia zbliżyła się ku drzwiom chcąc zaczerpnąć swieżego powietrza — gdy wtem dwóch pijanych sołdatów (w armii rosyjskiej stan pijaństwa był chroniczny; mogło brakować mięsa, kaszy, chleba i brakowało nieraz tego wszystkiego, ale kufy z okowitą zawsze musiały być napełnione), wniosło położonego na dwóch karabinach kozaka. — Poznała go dziewczyna po żółtej brodzie, był to ten sam, który ją swoją szaszką płatnął w głowę. Kozak wił się w strasznych boleściach, pochwycony cholerą: twarz jego stała się sina jak ziemia — oczy prawie wychodziły na wierzch, a zaciśnięte pięści i kurcze rąk przedstawiały straszny obraz cierpienia — rzucono go na snopek słomy i żołnierze oddalili się obojętnie.

Dziewczę stanęło na chwilę nad chorym i smutny wzrok utopiło w jego twarzy.

Na chwilę ustąpiły kurcze i bóle — pot zimny wystąpił na czoło chorego i usta jego wyszeptały słowa:

— W imię Chrystusa! ratuj mnie matuszka!

Dziewczę nie namyślało się ani chwili; litość zamieniła się w czyn — przeżegnała się i schyliła nad biedakiem.

Czem tu było ratować, gdy nie było żadnych lekarstw?

— Pić! — wyszeptał, mając spalone od gorączki usta.

Zaczerpnęła kwasu, bo nic innego nie miała do rozporządzenia i podała choremu; — ten wbił w nią swój zwrok, raptem, jakby sobie coś przypomniał i przerażenie odbiło się na jego twarzy.

— To ja ciebie ciął w głowę! Przebacz!

— Zapomniałam o tem — bądź spokojny.

Niedługo kurcze ponowiły się i chory zaczął się wić w boleściach.

Antosia nie namyślała się ani chwili, zakasała rękawy i pochwyciwszy jakiś płat starego sukna, zaczęła nim trzeć co sił ciało biedaka — pot występował jej na czoło — ręce mdlały, ale nie ustawała ani na chwilę.

Dziwna ta azyatycka choroba, którą zawdzięcza Europa armii rosyjskiej powracającej ze Wschodu, gdzie jest cholery ojczyzna; dziwne ma kaprysy w swoich objawach; pojawia się niespodziewanie, najmniejsze nieraz zetknięcie z chorym zaszczepia ją — szerzy się jak pożar wyschłych ste-

pów, setki, tysiące, sta tysięcy zabija ludzi — wyludnia całe obszary, — są jednak wypadki, w których ludzie zupełnie jej nie ulegają pomimo najstraszniejszego narażania się.

Pod wpływem tarcia, skóra chorego zaczerwieniła się, zdawało się, że z jej komórek krew wytryśnie — ale kurcze ustały i nastąpiły silne poty.

W chwili, kiedy Antosia oddawała się tej bohaterskiej pracy — na progu stodoły stanął pułkownik w towarzystwie bardzo młodego, bo zaledwie dwadzieścia kilka lat liczącego człowieka; chłopak ten, student medycyny z Moskwy, sam, bez wezwania pośpieszył do armii i ofiarował swoje usługi.

Pułkownik zdumiał się zobaczywszy wątłą dziewczynę oddaną tak szczerze przykrym tym, a dobrowolnie przyjętym obowiązkom.

Studenta podziw przeszedł w jakiś rodzaj osłupienia, nie wierzył własnym oczom, bo dotąd nie napotkał podobnego przykładu.

— Lwie Piotrowiczu — odezwał się pułkownik — dzielnego będziesz miał pomocnika w tej pani.

— Kto ona jest? — zapytał nieśmiało student.

— Jeniec — szlachcianka — Polka.

— To bohatersko-odważna kobieta.

Felczer, który gdzieś drzemał w kącie, ujrzawszy pułkownika zerwał się i stanął wyprostowany.

— Gdzie doktor? — zapytał pułkownik.

— Nie mogim znał — odpowiedział z żydowska po rosyjsku felczer.

— Pijanica, zapewne gdzieś śpi.

— Toczno tak wasze wysoko błagorodje.

— A ty mierzawiec, co robisz dla chorych?

— Niczewo, wasze wysoko błagorodje.

Pułkownik wziął się za głowę.

— Precz skatina.

— I co pan poradzi z takim bydłem! Przysłano mi do pułku doktora pijanicę — który wtenczas tylko coś dobrego czyni, kiedy śpi i nie zabija swojemi poradami chorych. — Biedna, biedna Rosya, niema w niej ludzi! — Oddaję ci chorych w opiekę, radź sobie jak możesz — lekarstwo zabraliśmy z lazaretu polskiego — rozporządzaj niem.

Lew Piotrowicz tymczasem śmiało wszedł do stodoły, zrzucił mundur i kazawszy sobie podać wody karbolowej, obmył nią ręce, pierwej jednak podał takową Antosi i prosił żeby tej czynności dopełniła.

Przedewszystkiem kazał uprzątnąć wszystkich rannych w boju do osobnej stodoły, by oddzielić ich od cholerycznych.

— Weźmiemy się najpierwej do rannych — rzekł do dziewczęcia — tamci są już skazani na śmierć, jeżeli natura sama nie przyjdzie im z pomocą, a ci potrzebują opieki i mogą szczęśliwie zwyciężyć rany przy naszej pomocy.

Usunięto chorych cholerycznych, gdy przyszła kolej na wyniesienie kozaka, którego tak strasznie pielęgnowała Antosia, spostrzeżono, że popadł on w głęboki sen, tylko pot kroplisty zraszał jego czoło.

— Ten uratowany — rzekł Lew Piotrowicz — nastąpiły poty; sam widziałem parę takich wypadków, winien to łasce pani.

— Nie, Lwie Piotrowiczu, Bóg tylko uczynił mnie za narzędzie swojej woli.

— No, tak... — odrzekł student, sceptycznie się uśmiechając, — ale to rozgrzanie skóry tarciem i wzbudzenie transpiracyi powróciło mu życie.

— Racz pan opatrzyć moją towarzyszkę niewoli, ranna jest, zdaje się poważnie.

— Gdzie ona?

— Ot tam, pod ścianą.

Róża tymczasem leżała majacząc w gorączce.

Student obejrzał dokładnie rany; jedna z nich była lekka, ale druga, w rękę, w samą dłoń, mocno się zaogniła. — Lew Piotrowicz przyjrzał się bacznie, a dostrzegłszy jakby siną obrączkę około rany, wyszeptał:

— Źle, może się wdać gangrena, trzeba będzie zapewne uciąć rękę.

— Oh, doktorze! Czy nie ma innego środka ratunku?

— Przedewszystkiem muszę zapuścić sądy i zbadać ranę — proszę potrzymać chorą, ale silnie.

Antosia uchwyciła rękę towarzyszki i małemi swemi rączkami ścisnęła ją z całej mocy.

— Kula jeszcze jest w ranie, musimy ją wydobyć.

Nie łatwa też sprawa była z Różą, silna kobieta miotała się, broniła, a wyczerpana Antosia wszystkich sił dobywała; — doktor nie wezwał do pomocy nikogo, obawiając się, żeby pomocnik nie udzielił mu zarazy cholerycznej.

— Otóż ją mamy nareszcie — pokazując na dłoni kulę karabinową, którą wyjął z rany. — Ale

rana niedobry ma wygląd — boję się gangreny; trzeba odciąć rękę.

— Na miłość Boga, wstrzymaj się pan jeszcze aż to już będzie koniecznością.

— Dobrze, dam parę godzin do działania naturze, a potem zobaczymy. Tymczasem skropił bandaże, nałożył szarpie, zmaczane w jakimś płynie i nareszcie ukończył robotę.

— No, teraz pójdę do cholerycznych; tam już pomoc pani jest mi niepotrzebna, proszę i zakazuję stanowczo, nie zbliżać się tam, mogłabyś pani, zbliżając się następnie do innych chorych przenieść chorobę.

Student wyszedł, złożywszy głęboki ukłon.

Antosia mając teraz dostarczone lekarstwa, gorączkowo poświęciła się staraniu około chorych; chciała może zagłuszyć żal śmiertelny, który się zagnieździł w jej duszy; chciała może, żeby śmierć uspokoiła jej boleść.

Zły obrót walki narodowej, wiadomość o zdobyciu zdradą Warszawy, śmierć Juliusza — wszystko to mogło zabić wrażliwą kobietę i uległaby ona rozpaczy niezawodnie, gdyby wychowanie religijne i głęboka wiara w sprawiedliwość Boga, nie dodawały jej siły i nadziei w lepszą przyszłość.

Została sama; zmrok zapadł i głębokie ciemności zaległy stodołę, słabo oświetloną dwoma łojowemi świecami. Antosia pogrążyła się w zadumę, ale pomału uchyliły się jej kolana, padła za ziemię i po raz pierwszy potok łez spłynął na jej rozpalone policzki; — ulżyło jej to znacznie — kojące działanie

modlitwy uzbroiło jej ducha i podniosło go do nowej walki.

Długo pozostawała klęcząc, długo rozmawiała z Bogiem, a kiedy nareszcie ocknęła się z tego stanu, wyrwana głośnym jękiem jednego z rannych, uczuła, że już nowe siły w nią wstąpiły i że godnie odpowie swemu postanowieniu.

* * *

Dzień się już miał robić, kiedy Antosia podniosła się z ziemi.

Jesienne słońce przenikało promieniami mgły, snujące się nad Wisłą i ozłacało mury, stojące w rozwalinach starożytnego zamku Janowca; Wisła płynęła cicha, poważna, wspaniała jak zawsze — nic nie wskazywało, aby natura odczuła klęskę narodu, by się smuciła losem pokonanych.

Antosia na chwilę uczuła się zawstydzona, bo przypomniała sobie, że przez całą noc nie pomyślała o swojej wiernej towarzyszce Róży, nie widziała jej, a ona może i bardzo potrzebowała jej opieki i pomocy.

Szybko przechodząc pomiędzy szeregami rannych, zbliżyła się do drugiego przedziału, gdzie spoczywała Róża, — mocno zaniepokojona w jakim stanie zastanie chorą; — ku wielkiemu swemu zdziwieniu zobaczyła, że Lew Piotrowicz stoi już przy posłaniu rannej i starannie ją opatruje. Przed niedawną chwilą wszedł on cicho do stodoły, niespostrzeżony przez Antosię i oddał się swoim obowiązkom.

Różę opuściła gorączka, silna natura wzięła przewagę nad chorobą, więc powitała Antosię przyjaznym choć smutnym uśmiechem.

— Wszystko dobrze — rzekł student, odwracając się do przybyłej — towarzyszka pani ma się dobrze i wkrótce będzie mogła powstać i towarzyszyć pani.

— Dziękuję panu za dobrą wiadomość.

Róża wlepiła badawczy wzrok w lice dziewczęcia, chciała zmierzyć całą głębię smutku i niedoli, ale lica Antosi były jak z marmuru wykute, odbijały tylko siłę woli niezłomną i bezgraniczną ufność w przyszłość.

— A Juliusz? — zapytała nareszcie Róża.

— Już jest w gronie wielkich duchów narodu. Pułkownik pozwolił na odprowadzenie ciała do Końskich, gdzie stara złamana matka i stary starzec czekają go, żeby mu oddać ostatnią posługę. Cześć jego pamięci a wieczny odpoczynek duszy.

Mówiąc to Antosia, zdawała się taka spokojna, jakby mówiła o człowieku zupełnie dla niej obcym.

Lew Piotrowicz z podziwieniem patrzał na dziewczynę.

— Dziwne, niezrozumiałe te polskie kobiety — wyszeptał cicho.

Dziewczyna zwróciła się do studenta i zapytała:

— Może mi pan raczy udzielić wiadomości, czy bitwa została stoczoną z korpusem Ramorina.

— Nie pani, bez boju poszedł on z całym swym korpusem do Galicyi; — pod Borawem tylko, wsią, leżącą na samej już granicy, zatrzymał się i rozpo-

czął ogień armatni, jak gdyby dla zemsty tylko, boć nie miał innego celu, a skutkiem tego wieś została zamienioną w perzynę; padło nawet po paręset ludzi z jednej i z drugiej strony bez wszelkiej potrzeby.

Dziewczynie bladej, usta zsiniały od zgrozy, nie odrzekła ani jednego słowa — po chwili dopiero zapytała:

— Czy pomiędzy rannymi, którymi się pan opiekujesz, znajduje się dowódca Krakusów, kapitan Ogiński-Kontrymowicz?

— Domyślam się, o kogo pani pytasz, — pomiędzy rannymi był tam istotnie stary kapitan.

— Jak to „był”? — Czy już nie żyje?

— Nie pani, — ale wczoraj jeszcze wyprawiono transport rannych do lazaretu w Radomiu, a pomiędzy nimi wniesiono i kapitana, o którego się pani pytasz; — doradziłem to pułkownikowi, bo tam mogą znaleść jakiś opatrunek, którego tu żadnym sposobem dopełnić nie możemy. — Wkrótce zajadą podwody, pospędzane ze wsi okolicznych, i nasi chorzy, do których i pani należysz, tak samo tam zostaną przetransportowani — oprócz cholerycznych, którzy tu zostaną, bo przewóz ich mógłby roznieść zarazę.

— A z nimi co się zrobi?

— Oni zostawieni będą naturze; który wyzdrowieje sam, będzie ocalony, a który skończy, to i koniec będzie miał cierpieniom.

Dziewczę smutnie się uśmiechnęło.

— Pani się dziwisz mojej mowie, ale ja mówię na seryo. — My jesteśmy bezsilni przeciw tej stra-

sznej chorobie, nie znamy jej zupełnie i nie posiadamy środków do jej zwalczania: — wszystko, co się robi w tym względzie jest prostą komedyą; ona się nie poddaje naszej władzy. — Ale — dziwna jest wytrzymałość naszej moskiewskiej natury, czasem zdaje się, że pokonywa samą śmierć! — Wyobraź sobie, pani, że kozak jeden Dimitrij, któremu pani pierwszej udzieliłaś pomocy, jest już kompletnie zdrów, a dziś o swojej sile opuścił lazaret. Przed chwilą widziałem go, jak nakrajawszy sobie pełną miskę ogórków i posoliwszy je, z największym apetytem, spożył je; — chciałem mu wytrącić miskę z ręki, ale nie dał sobie tego zrobić i na wszystkie moje uwagi, odpowiadał jedno:

— Niczewo baryn, wsio budie haraszo.

— Machnąłem ręką i odszedłem. Może on mądrzejszy, niż ja. Ale prosił mnie koniecznie, żebym mu pozwolił widzieć się z panią, bo chce podziękować za opiekę. — Nie pozwoliłem na to, tylko oświadczyłem mu, że jeżeli choroba napowrót go nie pochwyci, to pozwolę mu towarzyszyć transportowi do Radomia.

— Więc stąd wyruszymy niedługo?

— Za parę godzin zjadą podwody i ruszymy w pochód.

Antosia postanowiła jeszcze raz odwiedzić i pożegnać ciało bohaterskiego Juliusza — spiesznie więc udała się do kościółka, w którym spoczywały zwłoki.

W prostej, sosnowej trumnie, przy której paliły się cztery woskowie świece—spoczywały szczątki bohaterskiego młodzieńca; wieko trumny było

odkryte, jakaś stara baba klęczała obok samotnie i szeptała pacierze, przebierając paciorki różańca.

Jakże on był piękny teraz, kiedy dlań wszystkie namiętności ziemskie ucichły, a na jego twarzy rozlał się spokój wieczności.

Dziewczyna stanęła z załamanemi rękoma, żaden nerw nie drgnął w jej twarzy, żadna zmarszczka nie pojawiła się na obliczu, zdawało się, że to statua kamienna, ustawiona obok trumny ręką artysty.

Jakże on był piękny w tej chwili, jeszcze raz powtórzyła; śmiertelna bladość twarzy, zamknięte oczy, ręce złożone spokojnie na piersiach, lekko spoczywały obok srebrnego krzyżyka „Virtui Militari", który uzyskał za bitwę pod Ostrołęką. — Zdawało się, że sen spokojny otacza to wzniosłe czoło, pełne dumy i poświęcenia bez granic; — ktoś, może ta baba, klęcząca przy trumnie, włożyła mu w ręce prosty, mosiężny krzyżyk, jaki sprzedają na każdym odpuście, a ręka zmarłego zdawała się ściskać go konwulsyjnie.

— Więc osiągnąłeś Juliuszu to, czegoś tak gorąco pragnął, śmierć na polu walki, za swoją ziemię i na swojej ziemi! — Więc oczy twoje zamknęły się pierwej, zanim miały zobaczyć upadek nadziei, a zwycięstwo i tryumfy niesprawiedliwości. — Bóg odsunął od ciebie tę boleść upokorzenia; nadzieja nie opuściła cię nawet w chwilę zgonu! — Szczęśliwy bohaterze! Ty nie widzisz sromoty upadku, nie czujesz upokorzenia, spełniłeś swój obowiązek. — Cześć twojej pamięci! — Sława wieczna twojemu imieniowi! — Nam biednym pozo-

staje tu spełnić resztki z puharu goryczy — a spełnimy go jak przystoi chrześcijańskiemu ludowi Rozpacz nie opanuje naszych serc, zwątpienie niech nie wstąpi do duszy! Żegnaj Juliuszu! — Naród nie zapomni, co tobie winien, co winien twojej pamięci, dopóki żyć będzie choć jedno polskie pacholę, dopóki żyć będzie myśl odrodzenia ojczyzny, za którąś dał życie.

Myśli dziewczęcia niespodzianie przerwane zostały: ktoś się zbliżył i szepnął:

— Chodź, pani.

Obejrzała się; przy niej stał młody student i wzrokiem smutnym wpatrzył się w jej oblicze.

— Chodź pani, — powtórzył szeptem — zechciej się pani oprzeć na mojej ręce. — Pokój umarłym! Podwody już po rannych nadeszły, a do transportu tego należysz i pani. — Proszę pójść za mną.

Spojrzała na niego, jakby go pierwszy raz widziała; zbliżyła się do trupa, schyliła nad nim, ucałowała rękę; potem małemi nożyczkami odcięła pukiel jego czarnych włosów i starannie schowała go na piersi. — Następnie nie przyjmując ręki studenta, sama, bez żadnej pomocy, nie uroniwszy łzy i jednej, wyszła z kościółka dopełniwszy pożegnania na wieki, a raczej na długie tylko rozstanie na ziemi.

— Żegnaj Juliuszu! To było ostatnie słowo, które wyszeptały jej usta.

* * *

Warszawa po trzech dniach bohaterskich wysileń w czasie oblężenia, do którego tak niebacznie doprowadził Skrzynecki, po przelaniu strumieni krwi, swojej i wrogów, pełna była jeszcze zapału i gotowa była, postawiwszy barykady, na ulicach, bronić się, z męstwem lwicy, broniącej swoich dzieci.

Nikomu przez głowę nie przechodziło, że Warszawa poddać się może, mieszkańcy pałali pragnieniem walki, — na Starem Mieście lud prosty, roboczy, przekupnie, kobiety i dzieci gotowe były na wzór mieszkańców Saragossy bronić każdej piędzi ziemi, z każdego okna miały posypać się strzały, z każdego dachu runą kamienie na głowy wkraczających wrogów.

Armia rosyjska poniosła olbrzymie straty, wyczerpała się jej amunicya i Paszkiewicz stanowczo zwątpił o zdobyciu miasta szturmem; szturmem też nie zdobył Warszawy, ale szatan dopomógł mu i zrobiła to zdrada, czego żadne wysiłki armii sprawić nie mogły.

Nieszczęście chciało, że gubernatorem Warszawy naznaczony został człowiek nikczemny, pełen pychy i zarozumiałości, a co nadewszystko — nie wierzący w siły narodu.

Skrzynecki grzeszył wiarą w działanie dyplomacyi europejskiej; na niej zasadzał zbawienie i spodziewał się, że interwencya wszystko ureguluje, grzeszył też brakiem wiary w waleczność armii, podobnie jak Chłopicki, ale nikt ani Skrzyneckiego ani Chłopickiego nie mógł posądzać o przekupstwo. — Inaczej się sprawa przedstawiała z Kruko-

wieckim. — Ten stary generał, jeszcze z czasów Napoleońskich, oprócz wad poprzednio wymienionych, posiadał jeszcze trzecią: brak honoru; sprawę osobistego interesu stawiał nadewszystko; dla interesu własnego gotów był poświęcić kraj cały!

W nocy, poprzedzającej kapitulacyę Warszawy — na forpocztach ukazał się parlamentarz donoszący, że pułkownik generalnego sztabu, Berg, nadjeżdża z propozycyami pokojowemi.

Pułkownik Berg, w czasach późniejszych generał-gubernator warszawski — wcale nie zaszczytnym zasługom zawdzięczał swoją karyerę. — Niemiec, Kurlandczyk z rodu, był prostym szpiegiem przy Paszkiewiczu. Pozwolono mu nosić mundur wojskowy — choć niejednokrotnie przebierał się za kolonistę niemieckiego i w przebraniu tem snuł się między polskim oddziałem, donosząc potem wiadomości Moskalom. Znakomicie Berg spełniał swoje zadanie; — mundur pułkownika był tylko pokrywką nędznego denuncyanta.

Wysłanie takiej figury do Warszawy wskazywało już, że układy, z którymi przybywał, są niekoniecznie czysto wojskowej natury. — Krukowiecki doskonale wiedział, z kim ma do czynienia i nie zawahał się splamić munduru polskiego generała, traktując z taką osobistością.

Krukowiecki nie miał też żadnego prawa zawierać układy o poddanie miasta, i Paszkiewicz pragnął może jedynie dowiedzieć się o prawdziwem usposobieniu ludu warszawskiego, o środkach, jakiemi rozporządza wielkie miasto, o usposobieniu załogi, chciał wiedzieć jak traktować o kapitulacyę,

której zupełnie się nie spodziewał. Drżał na myśl, że mu przyjdzie szturmem zdobywać gród, mając wyczerpaną amunicyę i zdziesiątkowaną chorobami i bojem armię, a przytem spodziewał się co chwilę wiadomości, że 20,000 korpus wyborowego wojska Ramorina może się zjawić pod Warszawą. Klęska jego przy męstwie wojsk polskich, którego doznał w trzechdniowym boju pod okopami, zdawała się być nieuchronna, wysłał więc Berga z nieoznaczonemi propozycyami i obietnicami, któremi miał zasypać oczy Polakom. — Berg w nocy przybył do Warszawy w towarzystwie tylko adjutanta i odbył tajną naradę z Krukowieckim; co mówili i jakie były te układy tajne, na zawsze to zostaje tajemnicą, rezultatem jednak ostatecznym tej konferencyi było.... ustąpienie armii polskiej na Pragę.

Rozgłoszono wiadomość, że Praga jest zagrożona, że ratunek stolicy wymaga, by pułki jak najprędzej znalazły się na prawym brzegu Wisły i kiedy mieszkańcy Warszawy kładli się spać, gotując się do uporczywej walki, wojsko tymczasem pościągane z okopów, przechodziło cicho na Pragę.

Wczesnym rankiem straszna wieść o kapitulacyi Warszawy rozniosła się pośród mieszkańców. Z początku nikt nie chciał wierzyć jej, ale rzeczywiście biła w oczy; z rozpaczą widziano odchodzące ostatnie bataliony, które niedawno dały dowody takiego bohaterskiego męstwa, a teraz ustępowały ze stolicy, której już nie miały więcej oglądać.

Ta straszna tragedya wymagałaby całego tomu, by ją należycie opisać, ale to należy do historyka, ja potrącę tylko niektóre szczegóły, o ile o-

ne dotyczą jednego z naszych bohaterów, Janka Luboradzkiego.

Sejm i rząd postanowił przenieść się do Zakroczyma pod Modlinem. Dębiński radził i mocno obstawał przy tem, żeby wojnę przenieść w lasy litewskie na Podlasie i Pińszczyznę, gdzie błota, a liczne rzeczki stanowiły dobrą obronę; tam można było przerwać komunikacyę armii rosyjskiej z Petersburgiem i dalej prowadzić wojnę. — Ale nie usłuchano Dębińskiego.

Gdy Krukowiecki zamyślał razem z ustępującą armią przeprawić się na Pragę, spotkał go bardzo niemiły wypadek. Cała kompania 18-go pułku piechoty, którą dowodził Janek Luboradzki, zatrzymała się na końcu ulicy Bednarskiej, przepuściła około siebie inne wojska i oparłszy się na karabinach, stanęła nieruchomo, milcząca, groźna, gotowa do spełnienia jakiegoś niezwykłego czynu; Janek lekko ranny, wyczerpany trudami oblężenia, stał na jej czele pochmurny z zawziętością w oku.

Wojska przechodzące około uszykowanej kompanii ze zdziwieniem spoglądały na tę garstkę, nie biorącą udziału w odwrocie, ale dowodzący pułków sądzili, że kompania ta naumyślnie pozostawiona została dla pilnowania porządku, każdy więc batalion smutnie przechodził koło niej, małą na nią zwracając uwagę.

Porucznik Pniak, który jakoś został odcięty od swoich, teraz samotny zbliżał się ku mostowi, gdy niespodziewanie spostrzegł Janka, stojącego na czele swej kompanii.

Zbliżył się i zapytał:

— Co tu robisz, poruczniku? — Czy odebrałeś rozkaz zatrzymania się?

— Nie.

— A więc?

— Zostaję bez rozkazu.

Zdziwiony Pniak spojrzał w twarz młodzieńca i na twarzy jego spostrzegł taką boleść, takie rozpaczliwe postanowienie, że będąc pewny, iż entuzyasta chce poledz dobrowolnie i nie ustąpić z ulic Warszawy — przeraził się.

— Janku — zawołał serdecznie — nic jeszcze nie stracone — Warszawa, nie Polska; Polski trzeba bronić!

— Aż do ostatniego tchnienia — odrzekł Janek.

— A więc czemu nie idziesz razem z armią?

— Mam do spełnienia obowiązek — trzeba pierwej ukarać zdrajców za krew ojcą mego, za krew brata, za śmierć tylu walecznych, za łzy i pożogi wrogów ja wezmę pomstę.

— Co myślisz, nieszczęsny?

— Wypłacić Krukowieckiemu to, co mu się należy za jego zdradę.

— Więc tak? — zawołał Pniak zdziwiony. — Zdradę, jeżeli ona była, zostawmy Bogu i historyi; wszak znamy tylko pogłoski, ale jeszcze nie wiemy końca — nie sądźmy przed czasem, nie wydajmy wyroku, który może być straszną omyłką.

Twarz Janka zapałała oburzeniem, chciał coś powiedzieć, ale Pniak, nie czekając na to, dodał:

— Janku mój, znasz mię i wiesz dobrze, że równie jak ty kocham Ojczyznę i nie wchodząc w to,

o ile zamiar twój jest słuszny — mogę cię zapewnić honorem oficera, że Krukowiecki namyślił się i wcale nie myśli przedostawać się na Pragę; on postanowił zostać w Warszawie i zdać się na łaskę Paszkiewicza.

— Czy tak? — zawołał zdumiony Janek.

— Mogę cię zapewnić, że tak jest. Sam widziałem go na Krakowskiem Przedmieściu, jak zwrócił konia i udał się ku kolumnie wkraczających Moskali.

— Przekleństwo mu! — zawołał oburzony chłopiec i obrócił się do swojej kompanii.

— Słyszeliście towarzysze, może to i lepiej, taki wyrodek nie zasługuje na kulę polską, dla niego odpowiednim jest tylko stryczek. — A potem zakomenderował:

— Na lewo, formuj się, marsz!

Pniak przyłączył się do kompanii, która w największym porządku postępowała naprzód; na twarzach żołnierzy widać było oburzenie i boleść z niedokonanego czynu.

Kompania, postępująca ku Jabłonce, napotkała na drodze mnóstwo fur z kobietami i dziećmi, uchodzącemi przed wrogiem; wielu posłów sejmu szło pieszo, a na czele ich postępował Lelewel z laską w ręku, tak osłabiony, że co chwila ktoś podtrzymywał go pod ramiona; — nie dał się jednak namówić, aby wsiadł na którą podwodę.

— Ta wygoda dla rannych bohaterów, kobiet i starców — odpowiadał na robione mu propozycye.

Cały czteromilowy trakt od Warszawy aż do Modlina, zapchany był wojskiem i podwodami. —

W Wyszogrodzie miał się zgromadzić sejm i postanowić o dalszych losach wojny — nieład jednakże zaczął się już wkradać w szeregi. Naczelnym wodzem był już teraz generał Rybiński; nie stracono jeszcze wiary w możliwość zwycięstwa, nie wiedziano, że korpus Ramorina już w Galicyi: ważyły się dwa plany: — Dębiński ciągle obstawał za tem, aby udać się na Litwę i tam prowadzić walkę aż do ostatniego żołnierza, — Rybiński jednak myślał inaczej, pragnął się napowrót przeprawić przez Wisłę pod Włocławkiem, mając ze sobą pontony potrzebne do budowy mostu, i tak przenieść walkę na lewy brzeg Wisły, za podstawę biorąc góry Świętokrzyskie.

Ani jeden, ani drugi plan nie został wprowadzony w wykonanie, dla rozmaitych przyczyn.

Armia, okryta tylu zwycięstwami, licząca w szeregach swoich tylu bohaterów, nie była zdolna poddać się na łaskę i niełaskę wroga, — nieład powiększał się, nieszczęśliwy wybór na naczelnego wodza generała Rybińskiego, który nie dorósł do tego zadania, niezgoda i zawiść pojedyńczych generałów sprawiły, że cała armia przeszła granice Prus i tam przymuszona była złożyć broń.

Rozpacz żołnierzy nie miała granic, oddawać te armaty, których potężny odgłos napełniał podziwem całą Europę; rzucać te karabiny, które żołnierz ukochał, pieścił, pielęgnował, jak najmilsze dziecię, chroniąc je od wilgoci, sypiając oparty na kolbie; łamać te kosy, które wieśniak polski przekuwać kazał na sztorc, które jak brzytwy zmiatały łby, albo żmije zanurzały się w piersiach wro-

gów! O, była to boleść dla żołnierzy, przechodząca miarę, — ale kiedy kawalerzystom przyszło żegnać się ze swoimi rumakami, towarzyszami trudów i bojów, łzy stawały w oczach starych żołnierzy — całowali je i ściskali i potrzeba było nadludzkiej siły woli, żeby się rozstać z towarzyszami tylu niebezpieczeństw. Wielu było żołnierzy rannych, którzy nie zważając na trudy pochodu, pozdejmowali z poranionych koni kulbaki i tłomoki dla ulżenia im i dźwigali je, idąc pieszo, a prowadzili luzem szlachetne zwierzęta — nie chcąc się z niemi rozstawać.

Ile tam łez wylano, ile piekielnych męczarni przecierpieli ci nieszczęśliwi! Któż to policzy? Ten tylko, który widzi serca ludzkie i rozporządza ich losami.

Fakt się stał, armia przeszła słupy graniczne, nie poddała się, ale już i walczyć dalej nie mogła. Widoczne było, że Prusacy nie wypuszczą jej ze swoich kleszczy.

*   *   *

Od krwawego pola bitew usuńmy się z boleścią w sercu i zbliżmy się do orlego gniazda Luboradza, z któregośmy przed kilku miesiącami wyprowadzili trzech bohaterów.

Luboradz — wiadomo już po części — nie był starem nieprzystępnem zamczyskiem na jakiejś niezdobytej skale, a jednak „orlem gniazdem” w całej okolicy nazywano go i słusznie zasłużył na to miano, albowiem z niego stary orzeł wyprowadził z sobą dwoje piskląt na boje, a stoczywszy je, z za-

krwawioną piersią spoczął ze swoim najstarszym synem, na brzegach Niemna.

Chłopski wóz, wysłany słomą, zaprzężony we dwa konie, nieprzywykłe widocznie do uprzęży, mające powycierane krzyże od kulbak, pomału zbliżał się do Luboradza; żołnierz w wytartym, starym mundurze kierował końmi; a na wozie siedział porucznik Pniak, zamyślony, puszczając dym z krótkiej swojej fajeczki, a obok niego na wiązce słomy spoczywał Janek Luboradzki. W czasie szturmu Warszawy został on lekko raniony, teraz jednak rany odebrane na Litwie zaczęły się otwierać a trudy kampanii i straszne nerwowe wstrząśnienia ostatnich dni pokonały silną naturę. Teraz oto zbliżając się do rodzinnego gniazda popadł w takie wycieńczenie, że zaledwie był w stanie nawpół siedząc, nawpół leżąc, spoczywać na wozie.— Słońce miało się ku zachodowi, kiedy wóz wjechał na wzgórek, z którego już można było widzieć Luboradz — długa lipowa aleja prowadziła do dworca; zmęczone konie zatrzymały się na wzgórku a Janek o ile mu siły pozwalały, uniósł się na siedzeniu i spojrzał.

Przetarł oczy raz i drugi i ze zdziwieniem obracając się do Pniaka, rzekł:

— Co to znaczy? Nic nie widzę! A z pagórka tego powinienem już widzieć dokładnie dwór w Luboradzu?

Pniak także pilnie przypatrywał się miejscowości, ale pomimo wszelkich wysileń niczego dojrzeć nie mógł.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał, drżąc nerwowo Janek. — Czy oślepłem? — Nic nie widzę!

— A ja widzę dym unoszący się w powietrzu.

— Ale to nie w tem miejscu gdzie dwór.

— Tak, zdaje mi się, że się kurzy z komina jakiejś chałupy we wsi.

Piekielne przeczucia ogarnęły umysł młodzieńca — twarz wykrzywiła się strasznym wyrazem bólu, ale milcząc, zacisnął zęby i zaledwie był zdolny wyszeptać:

— Jedź, jedź, co sił — prędko!

Żołnierz zaciął konie, które, odpocząwszy, trochę raźniej się zaczęły spuszczać z pagórka, — następny wzgórek zasłonił znowu widok Luboradza, ale kiedy furmanka dostała się na wierzch jego, już teraz pokazały się nieomylnie... ruiny spalonego dworu i dworskich zabudowań.

Janek chciał wyskoczyć z wozu, żeby się prędzej znaleść na miejscu, ale Pniak powstrzymał go a i siły nie pozwoliły na wykonanie tego zamiaru.

Nareszcie furmanka wtłoczyła się na pusty dziedziniec. Porozrzucane wokoło opalone kawały drzewa, na pół spopielone gonty i jakieś resztki mebli, kawałki cegieł z rozwalonych kominów, przedstawiały smutne widowisko.

Spojrzał, gdzie stały gumna, stajnie, obory, — wszędzie toż samo: — zwaliska i popioły, które wiatr podmuchiwał i pyłem ich zasypywał przybyłych.

Pniak dopomógł Jankowi wysiąść z wozu. Stanęli obaj nad rumowiskiem i milcząc, smutnie się wpatrywali w ten obraz zniszczenia. — Z jakiegoś

kąta wysunął się pies, stary ogar, parę razy szczeknął bojaźliwie na przybyszów i chciał się schować.

— Zagraj! zawołał Janek — Zagraj, nie poznajesz mnie!

Na ten głos pies rzucił się naprzód i wydając ciche skomlenie, zaczął się wić u nóg Janka.

— Cóż się to stało strasznego? — wyszeptał Janek.

— Zwyczajnie pożar — odrzekł Pniak, chcąc uspokoić go, lubo sam pełen był obawy.

Trzy tylko chałupy na wsi stały całe, reszta zabudowań chłopskich uległa podobnież niszczącemu żywiołowi.

Spostrzeżono widać przybyłą furę, gdyż z jednej chałupy wychyliła się postać kobieca, za nią wyszedł niedorostek jakiś i śpiesznie zaczęli zbliżać się do niespodziewanych gości.

— Matka! matka idzie — zawołał z uniesieniem Jan — przy niej Antoś! O, chwała ci Boże!

Matka poznała także swojego ukochanego, wyciągnęła ku niemu ręce i śpiesznie biegła; chustka, którą była okryta, spadła jej z ramion, włosy wiatr roztrącał. Antoś chciał się pierwszy rzucić w objęcia brata, ale chwiejny krok matki powstrzymał go i hamując siłą woli niecierpliwość, podtrzymywał idącą do Janka.

— Matko moja! — zawołał Janek wzruszonym głosem i zanosząc się od płaczu rzucił się jej w otwarte ramiona.

— Janku, dziecino moja ukochana — wyszeptała matka. — Więc cię widzę jeszcze — a oni

gdzie? Gdzie? — i niespokojnym wzrokiem wpatrzyła się w twarz chłopięcia.

Janek nie był w stanie słowa przemówić — wzrok wlepił w żółtą twarz matki i zachował milczenie — wyręczył go Pniak.

— Tamci dwaj — nasi ukochani — zostali na straży Niemna.

— Na straży Niemna, czyż jeszcze są jakie siły na Litwie? — zapytała zdumiona kobieta.

— Są nieśmiertelne i nigdy nie wygasną dopóki Niemen będzie toczył do Bałtyku swoje wody.

— Co to znaczy? — Mów jasno! — Niczego się nie obawiaj. — Na wszystko jestem przygotowana. — Wszystko zniosę.

— A więc, matko moja — odrzekł, serdecznie ją przyciskając Janek — nie ujrzysz już więcej naszych ukochanych na ziemi; mogiły ich i krzyże na nich, świadczą tylko, że spełnili swój obowiązek i polegli za naszą ziemię.

Nogi kobiety zadygotały — żółta cera kobiety stała się więcej śniadą, usta zsiniały, ale ani jedna łza nie pokazała się na oku. — Przez chwilę wpatrywała się w wybladłą twarz Janka, jakby chciała policzyć wszystkie cierpienia, które przeszedł — pomału wzrok jej opuścił się na piersi syna, dojrzała na wytartym mundurze porucznika krzyż „Virtui Militari", a blizny na czole i milcząc uścisnęła go długo, a potem cicho mówiła:

— Klemens! Aleksander! Wieczny im odpoczynek... A ty?....

— Ja nie mogłem poledz w ich towarzystwie —

Bóg widzi jak pragnąłem śmierci, — On jednak inaczej rozporządził.

— To źle, mój Janku, śmierć sama przyjdzie, kiedy Bóg naznaczy jej termin. Ty powinieneś pragnąć żyć, ty masz obowiązek żyć, bo sprawa Polski jest nieśmiertelna i nie trupy ją prowadzić będą, ale żywe serca. — Któż ją wyswobodzi z niewoli, jeżeli zwątpienie zakołata do waszych serc? — A ty godnie spełniłeś obowiązek syna Ojczyzny, świadczy o tem honorowa odznaka. Więc witam cię choć zbolałem sercem, mój ukochany, i dumna jestem, że mi Bóg pozwolił być żoną i matką bohaterów. — Chodźmy do chaty.

Chałupa, w której mieściła się pani Luboradzka, pokryta słomą, składała się z dużej izby i z ciasnego alkierza z małem okienkiem o jednej szybie; stare jakieś, sosnowe łóżko, parę takichże stołków i stół zrobiony z nieheblowanej deski, stanowiły całe umeblowanie, w alkierzu tapczan z desek, pokryty jakimś starym kilinem, przedstawiał łóżko dla Antosia. — Stary, na miedzianej blasze malowany obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, którego wygięcie i skówki po bokach widocznie pokazywały, że służył kiedyś za ryngraf rycerzom, wisiał nad łóżkiem matrony.

— To wszystko co nam ocalało z pożaru — rzekła matrona, pokazując ręką w około.

Pniak z Jankiem smutnie spojrzeli po izbie i stanęli, milcząc; tymczasem Antoś, który dotąd nie mógł się nacieszyć bratem, dając przewagę uczuciu, rzucił mu się raz jeszcze na piersi i łkając, wyszeptał:

— Poruczniku! ja broniłem powierzonej mi fortecy, robiłem wszystko, aby ją obronić, ale nie mogłem, nie mogłem podołać.

— Wszystko zrobiłeś, co człowiek zrobić może — nie masz potrzeby się rumienić — spełniłeś obowiązek. — Ale cóż się stało, opowiedźcież mi, na miłość Boga! — mówił wzruszony Janek.

— Nic tak strasznego, spalili nas tylko i chcieli żywcem upiec — odrzekła matka. Sądzę, że podobny los spotkał i wielu innych, dla czegóż więc my mielibyśmy być lepsi? A widząc, że Janek chwieje się na nogach, z troskliwością ujęła go pod ramiona i zaprowadziwszy do alkierza, ułożyła na tapczanie Antosia — podłożywszy jedną poduszkę ze swego łóżka pod utrudzoną głowę.

We drzwiach chałupy ukazała się stara kobieta, trzymając w ręku garnek z mlekiem i w chusteczce kilkanaście jaj.

Wieść się już rozniosła po wsi o powrocie panicza. Ze schronisk zrobionych ze ziemi, a pokrytych darnią, zaczęły się wynurzać ciekawe twarze i radzić pomiędzy sobą.

Nie czekała jednak stara piastunka Janka na ukończenie narad — spiesznie zakrzątnęła się i pochwyciwszy co się dało z zapasów żywności, udała się do chałupy będącej teraz rezydencyą Luboradzkich.

— Niech będzie pchwalony Jezus Chrystus — rzekła, wchodząc.

— Na wieki wieków — odpowiedziano.

— Przyniosłam trochę mleka dla panicza.

— Bóg zapłać, matko — a nie powitacie się ze swoim wychowańcem? — zapytała pani Luboradzka.

Na te słowa stara zbliżyła się nieśmiało do porucznika, znać mundur wojskowy ją onieśmielał i chciała go ująć za kolana.

Janek na to nie pozwolił, ale przycisnął ją do piersi i czule uściskał.

— Jak to panicz — na psa urok — wyrósł — a stary pan, a pan Oleś?

— Niema ich już — odrzekł smutnie Pniak.

Stara spuściła głowę na piersi.

— Niechże się państwo naprzód posilą po takiej drodze — to mówiąc, postawiła na stole garnek z mlekiem, kawał pieczonego pod popiołem placka i chusteczkę z jajkami.

Skromna uczta, ale gorącem sercem podana nie została odrzuconą: — natura ma swoje prawa, którym i największy smutek ulegać musi. — Tymczasem ze wsi przybyło jeszcze kilku gospodarzy i kobiet, których fartuchów trzymały się dzieciaki, dla powitania przybyłych — ktoś przyniósł miskę pełną miodu, ktoś bochenek chleba, jakaś kobieta niosła kilka kurcząt, inna pieczone kartofle i wkrótce cały stół był założony potrawami.

Poczciwy ten lud; złote serca biją pod temi siermięgami, skarby tam nagromadzone nieprzebrane, a korzystać z nich może każdy, kto tylko znajdzie klucz do tych serc i otworzyć je potrafi. — Nigdzie na całym świecie niema ludu, któryby sercem był większy od polskiego.

Pani Luboradzka widząc bladość coraz bardziej rozpościerającą się na twarzy Janka, ułożywszy go na pryczy, przymknęła drzwi alkierza, a ułamawszy gałązkę zieloną krzewu, który ocalał jakimś cudem od pożaru, usiadła obok i zaczęła nią oganiać muchy z nad głowy Janka, którego oczy pomału przymknęły się i sen spokojny pierwszy raz po tylu miesiącach poniewierki otoczył go swojemi ramiony. — Tymczasem w pierwszej izbie gwar nie ustawał.

— Pamięta Wielmożny pan — rzekł jeden z przybyłych chłopów do Pniaka — jakeśwa przed Bożem Narodzeniem łońskiego roku, przebywali na galarze Wisłę pośród kry?

— Pamiętam, któżby zapomniał o takiej chwili; ale na razie nie poznałem was.

— Oj, oj! Paniczu, ile to się zmieniło od tego czasu, gdzie nasze piękne wojsko, nasze wojaki? A tak to błyszczało, że aż serce skakało z radości — a teraz wszystko poszło na marne.

— Nie gadalibyście byle co Bartku — odezwał się jeden z gospodarzy — źle się obróciło, to prawda; ale na marne jeszcze wszystko nie poszło — jeszcze żyjemy i nie damy się.

— I żyć będziemy zawsze — dorzucił Pniak, — jeżeli nie zatracimy w sobie wiary naszej i naszego języka, dopóki nie przerobimy się dobrowolnie na prawosławnych i Moskali.

— Oho! Niedoczekanie! — odezwało się kilka głosów. — Nikt nie przejdzie na ruską wiarę, nikt nie zapomni swego języka.

— Ale jakże się to stało — to nieszczęście z pożarem; opowiedzcie mi prawdę?

— Oto panie, tak było — ja opowiem — odezwała się jedna z gospodyń.

— Dajcie pokój, Antoniowa, lepiej niech stary Bartosz opowiadają; im to pójdzie składniej.

— A niechta i tak będzie, ale i jabym opowiedziała.

— Cichajcie — przerwały jej inne kobiety.

Stary zaś Bartosz tak opowiadał:

— Jak Wielmożny kapitan — wieczny odpoczynek daj Panie jego duszy — z paniczami i księdzem Bernardynem, przeprawili się przez Wisłę, a myśwa powrócili do domu, wszystko było spokojnie. Słyszeliśmy, że się biją nasi w rozmaitych miejscach, że dobrze łupią skórę Moskalom. Od czasu do czasu przez wieś przechodzili nasi, ale płacili za wszystko, co wzięli dla siebie i koni, a i człowiek tam tego nie żałował, boć to wszystko szło na chwałę Bożą. — Ogłosili nam, że pańszczyzna już ustała, że każdy będzie miał swoją chałupę i grunta wedle niej — złożyliśmy się więc na świętą wotywę, zanieśliśmy naszemu proboszczowi — odprawiło się galante nabożeństwo — cały ołtarz był zastawiony jarzącemi świecami — rozwinęły się chorągwie, uderzono w bęben na chórze, odprawiliśmy procesyę na podziękowanie Bogu i cieszyliśmy się, gdy nas dochodziły wieści, że nasi piorą Moskali. — Potem kazano nam złożyć podatki na ofiarę dla kraju i każdy ostatni grosz wyskubał z pod strzechy i z ochotą oddał. — Nasi pośli kajś daleko, a do naszej wsi weszli jednej nocy Kozacy, skaranie Boże z nimi:

rwetes się stał wielki, ludzie — gdzie kto mógł — się pochowali — ale kozunie jakoś nie robili brewe- ryi, tylko, że konie puścili w zboże i wyniszczyli nam do cna nasze pole. — Ale mówiliśmy sobie — „Wola Boża!" Z ludźmi przecie obchodzili się mi- łosiernie — tylko nam powiadali, że to wszystko nie prawda, co obiecują panowie, że już wszę- dzie pobili, że pod Grochowem noga już nie zosta- ła polska i że będziemy musieli robić jak wprzó- dy. Ale my dobrze wiedzielil, że oni łżą, bo był Icek w Warszawie i powiedział, że tam są generałowie polslcy i że tam chmara wojska ta- ka, że go jak mrowia wszędzie pełno. — Zeszliśmy się — zwyczajnie, my gospodarze i zaraz między sobą tak wykalkulowaliśmy, że Moskale o pańszczy- źnie łżą, iżto niby panowie chcą ją przywrócić, żeby nas na panów rozbiesić i pociągnąć na swoją stronę.

Aż tu potem dowiedzieliśmy się, że Moska- le nad granicą pruską przeprawili się przez Wi- słę — a nikt im oporu nie stawił; — że idą pod sa- mą Warszawę! — Mówiliśmy, dobrze tak; tam im zadadzą bobu nasi. Toć nabili ich chmarę, to praw- da, ale przecie Mośki dostali się do Warszawy; ha, Wola Boża! Potem znowu zaczęli się pokazywać w naszej wiosce i okolicy, ale to już byli nie ci sa- mi co na początku, dawniej, kiedyto nie śmieli ni- czego ruszyć i starszyzna im srogo zabraniała wszelkich breweryi! Teraz — jak weszli do wsi, to ani się pokazuj na oczy; wszystko brali, o nic się nie pytając, a jeżeli kto się upomniał o zapłatę — to nahajem go i tyla! Przeszłej niedzieli przyszły dra- gony do wsi — zboża już były napakowane w sto-

dołach, powprowadzali konie na klepiska i snopy pszenicy słali pod nie. O rany Chrystusa! — Widziałże kto takie zbytki? Ale co było robić, tylkośmy zęby ściskali i wyglądali, czy się gdzie nie pokażą nasi. Dwór cały zajęli na kwatery, tak, że Wielmożna Pani dziedziczka w kuchni tylko się pomieściła. — Stali tu trzy dni, a nam się zdawało, że trzy roki! Pili od rana do nocy — a na zberezieństwa się puszczali — ot obraza Boska! Napastowali kobiety, kazali sobie kury gotować na rosół, a jak która przyniosła co innego, nie mięso, to jej łeb garnkiem rozbijali. — Panicz, niby Pan Antoś, już tego nie mógł wytrzymać, bo kiedy jeden z sołdatów już późnym wieczorem wszedł do kuchni, gdzie była pani i zaczął wymyślać, to nasz panicz, niby pan Antoś, złapał stojącą w kącie siekierę i poskoczył do niego; Moskal uciekł, ale narobił krzyku, że Polacy bunt podnoszą! Panicza porwali i zaprowadzili do starszego, a ten mu nasobaczył i powiedział, że go każe powiesić; — ale jakoś potem zmiarkował się i wypuścili go, a w kilka pacierzy wybuchnęła łuna ode dworu, zapaliły się stodoły, wichura przeniosła iskry na dwór i na wieś i w kilka godzin wszystko zamieniło się w kupę popiołu— ludzie przybyli na ratunek, ale żołnierze odpędzali ich, bo mówili, że takich buntowników, których ojciec i dwóch synów jest w wojsku, nie trza ratować. — Nieboraczka nasza pani w tem tylko, w czem była, ledwie uciekła — dom zaś — zwyczajnie drewniany, stary, suchy, to się palił jakby smołą oblany; tymczasem Moskale zatrąbili jakiegoś skocznego i wymaszerowali, śmiejąc się i śpiewając;

trzy tylko chałupy pozostały całe z takiej dużej wsi. Ot i wszystko.

Skończył opowiadanie i smutnie pochylił głowę na piersi.

Pniak siedział także równie smutny i zamyślony.

— Ale Bóg da — podjął znowu Bartek — że wszystko to się pomału odreperuje. — Chwalić Boga, lasu nam jeszcze nie brakuje; — najwięcej tylko biedy z chlebem i karmą dla dobytku, której ten i ów uratować nie potrafił. Czem się tu będziem przez zimę żywić — Bóg jeno wie, kartofle jeszcze nie wykopane zostały, ale obrodziły haniebnie. Noc już zapadła pełna gwiazd, księżyc w pełni krążył wysoko, kiedy Bartek skończył swoje opowiadanie.

— Niech wielmożny porucznik i panicz Antoś, pójdą do mojej chaty, co mi ocalała łaską Bożą od ognia, — jest tam parę kopek koniczyny dzisiaj zwiezionej pod bragiem, to i wyszykuje się nocleg.

Pniak nic nie mówiąc powstał, naśladował go Antoś i obaj, ze spuszczonemi głowami udali się za Bartkiem, postępującym na przedzie — ludzie także opuścili chatę i cicho powynosili się do domów.

Chałupa Bartka, stojąca opodal, ocalała szczęśliwie — na podwórku gospodarz pokazał ręką wóz z koniczyną i odszedł mówiąc:

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków.

Nie rozbierając się spoczęli na kupie koniczyny, z której również stojące obok dwa konie, któremi przybyli, skubały trawę.

Ponure myśli, jak ćmy, zaczęły się cisnąć do głowy byłego braciszka, nie mógł usnąć pomimo zmęczenia a i Antoś także nie spał.

— Co teraz będzie? zapytał nareszcie chłopak.

— Co Bóg przeznaczył, to się stanie.

— Więc bić się już nie będziemy?

— Na teraz — nie.

— A z wojskiem co się zrobi?

— Bóg to wie — teraz ich rozbrajają Prusaki — którzy obiecywali neutralność, — Europa może się ujmie za nami, a zresztą jest Bóg i on o wszystkiem postanowi. Tymczasem pani Luboradzka, siedziała cicho na sosnowym zydlu obok pryczy, na której spoczywał jej syn, co jej jeden został tylko z tej szlachetnej trójki, która przed dziewięciu miesiącami opuszczała Luboradź pełna nadziei w zwycięstwo. Tamci dwaj! O jakiż im los zgotowało przeznaczenie? Ale wiedziała pani Luboradzka, że niema ofiary, którąby spełniona nie przyniosła więcej rozkoszy, niż kosztowała bólów w chwili poczęcia.

Więc chrześcijańska ta niewiasta z rezygnacyą poddała się woli przeznaczenia: nadzieja i wiara w lepszą przyszłość ani na chwilę jej nie opuściły. Oleś, ten bohaterski młodzieniec, nie odrodził się od ojca, poszedł za jego przykładem i został tam, na straży Niemna... Spojrzała na syna pogrążonego we śnie głębokim: — jakże on był zmizerowany — jak się postarzał przed czasem! — Po chwili wydobyła z jakiejś szufladki stolika, jeden z ostatnich numerów „Gazety Zakroczymskiej" i zaczęła czytać cyrkularz rządu do jego agentów dyplomatycznych przy dworach europejskich skreślony ręką

Teodora Morawskiego. Brzmiał on jak następuje: „W tej chwili, zbieramy nasze siły, wyszukujemy ostatni grosz, rekwirujemy resztę zboża i ostatni kęs mięsa. Ze wszystkich stron wznoszą się głosy: „Do broni!” A dawna polska pieśń, hasło Polaków od pół wieku: „Jeszcze Polska nie zginęła” brzmi wszędzie, na nowo! Sejm wyrzekł na wszystkich zdrajców przekleństwo, utwierdził się we wieczności i uchwalił zagrzewające proklamacye do narodu i wojska! Rząd pójdzie za tym szlachetnym przykładem. Tak mocni, jak teraz jesteśmy, nie byliśmy na początku wojny. Nie rozpaczajmy więc jeszcze względem pomyślnego skutku! — Rujnowaliśmy stare mury domów naszych, wyszukiwaliśmy odwieczne ruiny zamku skropione tyle razy krwią naszych przodków, ażeby pozyskać parę garści saletry do robienia prochu. — Uczyliśmy się dopiero kuć pałasze, lać działa — pozabieraliśmy z kościołów naszych srebra, dzwony i walczyliśmy! Walczylim z potężnym nieprzyjacielem, wyrwaliśmy z rąk jego większą część broni, jaką teraz posiadamy. — Uzbrajaliśmy słabe dzieci (tu matka spojrzała na spoczywającego obok Janka i czytała dalej), chcąc to poświęcenie uwieńczyć, zniszczyliśmy nasze żniwa na polu i deptaliśmy nasienia przyszłego wzrostu.

Na próżno błagaliśmy wśród takich wysileń Zagranicę o pomoc. — Teraz opuszczeni, sami sobie pozostawieni przedsięwzieliśmy zapomnieć, że istnieje na ziemi sprawiedliwość, i że żyjemy we wieku oświeconym! U dawnych ludów poczytywano

za największą hańbę obywatela, gdy rozpaczał o oswobodzeniu ojczyzny.

Tego występku nie dopuszczą się Polacy nawet w najsmutniejszych okolicznościach! — Mówimy więc, że nasz Naród, pomimo doznane klęski, wiernym zostanie przysiędze w obliczu całego świata złożonej, że jest gotowym umrzeć w obronie wolności i napadu barbarzyńców! — Cokolwiek się stanie. Polacy zachowają swój honor, nieskażony i wierni mu pozostaną do końca.

Zamyśliła się głęboko staruszka. Gazeta drżała w jej ręku, po chwili wzrok padł na inny artykuł; były to słowa czcigodnego generała Małachowskiego do tych, którzy wątpili w siły narodu:

— Byłem w St. Domingo i widziałem Negrów, bijących się z rozpaczą o wolność nago, w kije tylko i pałki uzbrojonych: — a trzydzieści tysięcy Polaków z 80 działami, mieliżby się zdać na łaskę wroga, który tylko pragnie wykopać grób ich ojczyźnie.

Niestety święte słowa starca nie potrafiły wpłynąć na prowadzenie dalszej upartej walki aż do ostatniego żołnierza, jak on wskazywał. — Armia przekroczyła granice, opuściła kraj, a zdziwiona niespodzianym obrotem sprawy, w który ją wprowadziła niezgoda kierowników, przygnębiona smutkiem, jednak gotowała się jeszcze do dalszej walki. Chociaż rozbrajana, łudziła się nadzieją, że losy jej jeszcze nierozegrane, — że Europa, że świat cały nie potwierdzi czynu niesprawiedliwości! — A Europa? — Były wtedy dwie Europy! — Europa reprezentantów ludu i Europa rządów. Pierwsza

współczuła i bolała klęsce, która dotknęła polski lud — druga — cieszyła się tryumfem siły nad prawem.

Armia bezbronna już, postanowiła tymczasowo zażądać gościnności ziemi francuskiej. — Wszakże ta ziemia tyle jej winna, tak zadłużona względem niej! — Gdzież bo się nie toczyła krew Polaków w imię Francyi, jej interesów i sławy? — Ale na tronie Francyi zasiadał wówczas sojusznik moskiewski Ludwik Filip, który intrygami uzyskał tron; gotowy na każde skinienie Mikołaja robić, co on każe, — nie śmiał wprawdzie odmówić gościnności bohaterskim żołnierzom, ale tajnie słuchał wskazówek z Petersburga i wypełniał je, pomimo oburzenia ludu francuskiego. — Zręczny komedyant odgrywał dobrze rolę, którą mu naznaczył Petersburg. —

Całe Niemcy oprócz Prus, które są wyrzutkiem tej wielkiej nacyi, głośno oświadczały sympatye dla przegranej sprawy polskiej. „Kiedy kolumny oficerów Polskich i członków Sejmu, opuściwszy Prusy, ciągnęły przez Europę do Francyi, gdy szły przez kraje Niemieckie, to lud płacząc wszędzie z rozczulenia i wzruszenia, nosił ich na rękach — kobiety obsypywały ich kwiatami, a liczne składki na nieszczęśliwych wychodźców sypały się ze wszystkich stron“.

Oto słowa jednego z nielicznych, bezstronnych historyków niemieckich.

Tymczasem w Polsce po ustąpieniu wojsk rozkiełzały się wszystkie szatany zemsty moskiewskiej.

Ukazy jeden po drugim, wydawane z Petersburga, spadały coraz krwawsze, coraz okropniejsze

— coraz więcej barbarzyńskie! — Uderzały, jak pioruny w nieszczęśliwy naród, więc zdawało się ludziom mało-dusznym, że fala ta zaleje — zatopi Polskę. — Wówczas Mikołaj w Petersburgu nie wahał się wyrzec:

„Niema jej imienia! — Nie ma jej imienia! — długo będzie ona tylko wspomnieniem historycznem”.

Zniesiono armię polską, żołnierzy jej i oficerów zaczęto wcielać do pułków rosyjskich; — zniesiono język polski w sądach, w szkole zabroniono nim mówić studentom; — jedno duchowieństwo śmiało oparło się ukazowi polecającemu kazania i spowiedź dopełniać w języku rosyjskim.

Polskie społeczeństwo zamknęło się w grobowem milczeniu i zaciętości. — Czekało. — Nastąpiły straszne dni prześladowania, tępienia wszystkiego, co mogło przypominać Polskę! — Kto się odważył z jakąkolwiek oznaką barwy narodowej pokazać, chociażby tylko nosił razem z niezapominajką białego narcyza — narażał się na cytadelę.

Starano się rzucić iskrę niezgody pomiędzy chłopów i szlachtę: — rozdmuchiwano każde nieporozumienie wsi z dworem i stając niby w obronie chłopów, podszczuwano ich przeciw panom. — Ale lud polski, chłop polski swoim zdrowym rozsądkiem odgadywał fałszywą grę i milczał: — odrabiał, jak dawniej, pańszczyznę, tylko czasem na wieczornicy, lub w karczmie odzywał się głosem ponurym:

— „Panowie zgubili Polskę”.

Głos ten z początku cichy, następnie coraz głośniejszy, szerzył się pomiędzy ludem.

Wnet znaleźli się agenci moskiewscy, którzy umieli głos ten potęgować; kopali oni tę przepaść, w której chcieli cały naród pogrążyć.

Nastąpiły smutne bardzo czasy; — nastała w Polsce atmosfera prawdziwie zabijająca.

Nasz bohater, Janek Luboradzki, popadł w stan mocno chorobliwy — teraz dopiero wysiłki nerwów, naprężonych przez tyle miesięcy, zaczęły się odrywać w całej pełni; z początku pragnął odpocząć parę dni tylko w domu, albo udać się wraz z armią do Francyi — obłożna jednak choroba przeszkadzała temu. — Potem całe dnie siedział nieruchomy, milczący, sen zupełnie go opuścił, pokarmy tylko wtenczas przyjmował, kiedy matka zmusiła go do tego; apatya z dniem każdym powiększała się a wezwany lekarz oświadczył, że zagraża mu poważna choroba nerwowa; myśleć teraz o przedostaniu się za granicę i podobieństwa nie było, a wreszcie rozmowa z porucznikiem Pniakiem stanowczo go zdecydowała do pozostania w kraju.

Dnia jednego, w jakiś czas po powrocie obu do Luboradza, wczesnym rankiem, kiedy Janek, jak zwykle, siedział zamyślony przed domem, wszedł Pniak.

Jakież było zdziwienie Janka gdy zobaczył, że mundur swój, w którym odbył całą kampanię, rzucił precz i przyoblókł się napowrót w dawny habit Bernardyna.

— Co to znaczy, przyjacielu? — wreszcie zapytał Janek z cicha — Więc to tak łatwo zmieniłeś skórę? Czy w tem przebraniu myślisz się przedostać za granicę?

Pniak smutnie się uśmiechnął i odpowiedział:

— Janku mój drogi! — Długo myślałem nad tem jak mi w tym wypadku postąpić wypada. — Serce ciągnęło mnie do połączenia się z naszymi towarzyszami niedoli i sławy, — a jednak postanowiłem pozostać w kraju.

— Co — opuszczasz naszych towarzyszy — opuszczasz świętą sprawę?

Pniak spojrzał dumnie na mówiącego i odrzekł:

— I ty mnie możesz o to posądzać, Janku? Ty, któryś widział, że nie szczędziłem życia nigdzie i gotów byłem w każdej chwili poświęcić je Ojczyźnie?!

— A jednak nie idziesz tam, gdzie cię wzywają towarzysze.

— Idę tam, gdzie mi nakazuje obowiązek. Emigracya, mam to smutne przeczucie, nie potrafi nic dla nas pomyślnego utworzyć we Francyi. Pozbawi kraj tylu sił dzielnych i ułatwi wrogom walkę, przez osłabienie nas ostateczne.

— A więc najlepiej siedzieć z założonemi rękami! Najlepiej nic nie robić i czekać aż manna spadnie nam z obłoków.

— Poruczniku, jakże źle oceniłeś moje postępowanie! — Ojczyzna tutaj! Ona pośród swego ludu potrzebuje niestrudzonych pracowników, ażeby rozbudzić ducha i przygotowywać naród do nowej walki. — Tam zmarnują się te siły w niezgodach stronnictw, które prawem konieczności muszą się wytworzyć; — bezczynność, rozpacz, złymi są przewodnikami i na bardzo błędne drogi poprowadzić mogą. Tu mamy obszerne pole do pracy, nie

powierzajmy jej w inne ręce, siejmy ziarna dobre, a dobre owoce zrodzić się muszą. — Ja powracam do klasztoru, mam nadzieję, że mi władza moja przebaczy moją krewkość; więc jeżdżąc, albo chodząc za kwestą klasztorną objaśniać będę lud, tłómaczyć mu jego obowiązki i utrwalać w nim ducha miłości Ojczyzny, a tam, gdzie go jeszcze niema zaszczepiać go będę. — Tak, — jeżeli chwila czynu znowu nadejdzie, znajdzie się tam znowu Pniak — ten Pniak, który zapuścił głęboko korzenie w swojej ziemi i wykarczować się z niej nie da.

Janek milcząc słuchał, ale widoczne było, że nie podziela poglądów towarzysza. Matka z uwagą wysłuchała mowy Bernardyna, a nie chcąc Janka irytować stanowczem przechyleniem swego zdania na stronę Pniaka, rzekła:

— Zastanówmy się nad ostateczną decyzyą co do twego Janku, wyjazdu trochę. Dziś stan twój zdrowia nie pozwala ci wyruszyć w drogę. Jak przyjdziesz do siebie, gdy nabierzesz sił, postanowisz, co ci nakaże honor i rozsądek. — Ale panie poruczniku, a raczej Bernardynie January, czy też nie za wcześnie przybrałeś się w strój klasztorny i chcesz się już odgrodzić od nas murami? Odzywam się do twego serca ja biedna wdowa i sierota.

Zdziwiony Pniak spojrzał pytająco w twarz pani Luboradzkiej.

— Czemże ja mogę być pomocnym pani i jej familii?

— I bardzo nawet, jeżeli będziesz miał dobrą wolę — oto widzisz, jestem bez dachu: z dwoma

synami. Janek chory, Antoś za mały jeszcze, żeby mógł się wszystkiem zająć — potrzeba budować dom, zwozić drzewo, zakupywać materyały, godzić się z majstrami. — Czuję, że temu nie podołam — zostań u nas i dopomagaj nam.

Pniak nie namyślał się ani chwili.

— Dobrze pani. Dzieliłem jedno posłanie z mężem twoim i synami, wspólnie cierpieliśmy głód i wylewali krew, — słuszna jest, żebym, ile mi sił starczy, dopomógł wam w podniesieniu z ruiny waszej chaty. Zostanę przeto tak długo, jak będzie potrzeba.

W parę dni po tej rozmowie, przed chałupą, którą tymczasowo zajmowała nieszczęśliwa wdowa, zjawiło się kilkunastu włościan, na czele ich stał znajomy nasz, stary Bartosz.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — przemówił.

— Na wieki — odpowiedziała pani Luboradzka. — A z czemże tam moje dzieci do mnie przyszliście?

— Najpierwej z Bogiem, a potem według tego drzewa.

— Jakiego drzewa?

— A tośby trzeba, żeby kto znający się wycechował na pniu chojary, które się zdadzą na budowę dworu, tobyśmy zwieźli — bo i zima za pasem, a przed śniegami trzebaby, żeby wielmożna pani z dziećmi miała pomieszczenie.

— Nie mam pieniędzy moje dzieci, a pańszczyznę, jak wam raz darował świętej pamięci mój mąż, tak i nie żądam żebyście odrabiali.

Chłopi pokłonili się do kolan.

— My tam nie żądamy zapłaty, tak z serca chcemy dopomódz.

Rozrzewnienie odbiło się na wszystkich twarzach — z serca uczyniona ofiara, sercem została przyjęta.

— Bóg wam zapłać, moi poczciwi.

— Niema za co, wielnożna pani — tylko kto tam wybierze zdatne drzewa?

— Ja to zrobię, zaraz dziś, moi bracia — rzekł brat January — Bóg was natchnął i On wam to nagrodzi.

— A to pójdźwa do lasu — rzekli chłopi.

— Dobrze — pójdźmy i zacznijmy w Imię Boże — rzekł January.

Wkrótce też rozległo się rąbanie drzewa w niedalekim lasku.

Pniak cechował sztuki przeznaczone do cięcia. Siekiery nurzały się w ciała sosen, łoskot upadających drzew wystraszał spokojną zwierzynę z łożysk, a jednocześnie fury, zaprzężone wołami, ładowano klockami i wywożono z lasu.

Wnet na zgliszczach zabudowań dworskich pojawiły się stosy drzewa, zdatnego do budowy; — robota zakipiała całą siłą — odgrzebano stare fundamenty murowane, poprawiono je, gdzie tego zaszła potrzeba i dębowe przyciesy założono. Dla przyśpieszenia roboty, postanowiono nie obrabiać kloców, ale tak jak wyrosły w lesie układać okrąglaki w ściany, ściosując tylko sęki i równając boki, odarłszy je z kory. Robota pod kierunkiem Pniaka postępowała szybko — w oczach rosła; pani Lu-

boradzka często zwracała się do Janka z rozmaitemi sprawami, chcąc go wyrwać z apatyi, w którą popadł i zmusić niejako do rozpoczęcia nowego życia. Długo usiłowania jej nie odnosiły żadnego skutku, — czas jednak — ten jedyny lekarz na wszystkie ludzkie cierpienia, robił swoje — pomału: porucznik zaczął się interesować budowlami, czasem wydał jakiś rozkaz majstrom, a Pniak naumyślnie często do niego wysyłał robotników, zapytujących go o szczegóły, na które im musiał dawać odpowiedzi. — Jesień w tym roku nieszczęścia narodowego, przedłużyła swoje dni, aż prawie do połowy grudnia i gdy nadeszły święta Bożego Narodzenia, dom mieszkalny już stał gotowy do przyjęcia mieszkańców. — Sąsiedzi przysłali słomy na pokrycie dachu — zaszły jakieś furmanki od nieznajomych osób i przywiozły trochę sprzętów i wiktuałów, co wszystko było bardzo potrzebne, gdyż całe zbiory zboża uległy były pożarowi.

Sąsiedzi, a mówiąc to nie mam na myśli samej szlachty, ale i włościan ze wsi sąsiednich, każdy — czem mógł — starał się pośpieszyć z pomocą pogorzelcom.

Dnie zaczęły toczyć się na pozór bezbarwne, jednakowe; cichy smutek przerywany był tylko kiedy niekiedy przybyciem konnych żandarmów śledzących najmniejsze objawy buntowniczej ludności; ale żandarmerya ówczesna sformowana była cała z żołnierzy, dawniej służących w armii polskiej; zwleczono z nich tylko uniformy narodowe, a przybrano w niebieskie mundury z czerwonymi wypustkami, zagrożono batami i zdawało się Mo-

skalom, że już w tych ludziach zabili serce polskie. Żandarm taki wlókł się zazwyczaj na opasłym koniu od wsi do wsi, zjawił się we dworze, zapytywał, czy niema kogo obcego — gdzie się znajduje właściciel, czy kto nie śpiewa, lub nie gra na fortepianie buntowniczej pieśni i dostawszy dwuztukówkę do ręki, a w karczmie odebrawszy parę miarek owsa zsypanego przez gromadę, najadłszy się jajecznicy, którą w kolej musiały przynosić kobiety i skropiwszy ją odpowiednią miarą siwuchy, jechał dalej, rzuciwszy na pożegnanie słowa: — „Zostajcie z Bogiem”. — Żaden z nich nie umiał po rosyjsku, bo nie przysposabiano jeszcze wtedy ogarów, które później musiały tak doskonałe urządzać nagonki.

Komendanci żandarmeryi także byli dawnymi oficerami armii polskiej, których niedostatek zmusił przyjąć obowiązki, i trzeba przyznać, że nie wielu było takich, na których mieliby potrzebę skarzyć się obywatele.—Patrzyli oni przez szpary na dostrzegane tu i ówdzie objawy „niebłachonadiożne” i często przestrzegali przed jaką biedą ze strony władz.

Kraj na pozór zasypiał snem znużenia, ale pomimo, że granice jak najściślej były zamknięte, że paszporty bardzo trudne były do uzyskania, że wszelka korespondencya z emigrantami podpadała surowej karze — mimo to po kraju zaczęły krążyć pisma i książki przemycane z Francyi. — Emigracya, skazana na bezczynność, nie próżnowała przecie; zaczęły się tworzyć różne kluby i towarzystwa i mnóstwo pism swoich partye te wysyłały do

kraju. Dwa sprzeczne prądy uformowały wówczas towarzystwo francuskie, pośród którego znalazła się polska emigracya: obydwa podkopywały tron Burbonów. — Republikanie dążyli do zaprowadzenia Rzeczypospolitej, a czciciele sławy wielkiego cesarza Napoleona — do odbudowania cesarstwa.

Wychodźcy nasi, znajdujący się na ziemi francuskiej, pomimowolnie musieli stawać w jednym lub drugim obozie, mając jednak zawsze sprawę narodową polską na pierwszym planie,a stąd rząd francuski nieprzychylnie musiał być względem nich usposobiony: rozterki nastąpiły tak w pojęciach, jak i czynach nieszczęsnych tułaczy.

Teraz dopiero zaczęły się otwierać oczy europejskim ludom, teraz zaczęły oceniać, jaki to cios poniosły one same, pozwalając upaść Polsce, a rozwielmożnić się despotyzmowi. W ośm miesięcy po upadku Warszawy w całych Niemczech przygnieciono wolność druku i mowy, zniesiono prawa i konstytucyę; czterech najznakomitszych pisarzy niemieckich osadzono w więzieniu za sympatye ich dla Polski, innych wygnano z kraju, skazując na nędzę, a ci, którzy potrafili pozostać w kraju, podpadli pod dozór policyi; każde słowo ich komentowano i pociągano do odpowiedzialności za najmniejszy pozór nieprawomyślności. Jeden z najzacniejszych i najpotężniejszych myślicieli niemieckich, Karol de Rottek, został skazany przez „Bundestag” na pięcioletnie milczenie! — W Rosyi despotyzm Mikołaja zapełniał więzienia patryotami rosyjskimi! — Wtenczas poczuły ludy ucywilizowane, że

bez przywrócenia Polski, despotyzm zapanować musi w całej Europie — rozpoczęły się więc spiski na całym jej obszarze.

Rządy despotyczne najpierw zwróciły uwagę na wychowanie młodzieży, pragnąc z niej uczynić wierne sobie narzędzia. Główny reżyser tej orkiestry, Metternich, kierował z Wiednia całym koncertem, a Mikołaj dzielnie mu dopomagał.

Wśród takich okoliczności, jak trudna do rozwiązania, była kwestya polskich rodziców — gdzie zawieść synów dla kształcenia ich, jakim kierownikom powierzyć ich wychowanie?

Pozakładano wprawdzie gimnazya i szkoły powiatowe w Polsce, ale w tych wszystkich zakładach jedyną dążnością była rusyfikacya — wszystkie przedmioty, z wyłączeniem jednej religii, nakazano wykładać w języku rosyjskim. — Nie łatwe to było zadanie, bo pod ręką nie było ludzi odpowiednich, a „dieńszczyków" nie mieli jeszcze Moskale czoła przysyłać do Polski na „profesorów"; — po większej więc części gimnazya zapełniały się profesorami polskimi, którzy zdali egzamin z języka urzędowego.

Takie gimnazyum było w Płocku, gdzie trzech tylko rodowitych Moskali pełniło obowiązki. Pierwszy był pop — ogromny chłop z rozczochraną brodą, który dobrowolnie przeszedł z Unitów na prawosławie — ten wykładał język słowiański — drugim był Markow — jezyk rosyjski — i Głuszkow wykładał historyę polską i rosyjską.

Majorowa Luboradzka po naradzeniu się z Pniakiem i Jankiem uznała koniecznem oddanie An-

tosia do tego właśnie gimnazyum. — Chłopak rósł, trzeba było myśleć o jego przyszłości: — szkoły były złe, ale zawsze osądzono, że nawet zła szkoła jest lepsza, niż żadna. Bojkotów szkół nie znano jeszcze wówczas!

Antoś, który w czasie niebytności ojca i dwóch braci, na seryo pojmował swoje obowiązki „komendanta” i przywyknął już do samodzielności, nie łatwo mógł nabrać ochoty do poddania się pod rygor szkolny — zwłaszcza tak wstrętny, jaki był wówczas.

— Trzeba się uczyć chłopcze — powiedział mu Pniak — trzeba się uczyć, chociażby i od wrogów pochodziła nauka; broń to potężna, którą w danej chwili spożytkować można na dobro Ojczyzny, tu w domu niemasz dalszego sposobu kształcenia się: trzeba iść do szkół!

Chłopiec, milcząc, zgodził się i Pniak odwiózł go do Płocka. Wyszukał dlań stancyę u profesora — byłego oficera, — sprawiono Antosiowi mundur niewypowiedzianie szkaradny w narodowym kolorze rosyjskim — ciemno-zielony surdut, z czerwonym kołnierzem i białymi guzikami; ciemno-zielona czapka z dużym, czerwonym lampasem i ze sztywnym daszkiem, były tak podobne do mundurów policyantów, że tylko młody wiek ucznia odróżniał go od nich. Na niedzielę i galowe święta przeznaczony był frak, także ciemno-zielony z czerwonym kołnierzem i dwoma srebrnemi belkami na nim, zupełnie taki sam, jaki nosili policmajstrzy.

Z obrzydzeniem przywdział Antoś ten wstrętny uniform — kupiono mu książki przepisane ustawą

szkolną. — Antoś chciwie się wziął do przeglądania ich, ale ani słowa nie mógł zrozumieć bo wszystkie były w języku rosyjskim, oprócz paru łacińskich drukowanych znanym mu drukiem.

Profesorom nie było wolno odzywać się inaczej jak po rosyjsku, — śmieszne więc dziwolągi tworzyły się bardzo często, kiedy profesor, sam nie wiele umiejący tego języka, starał się w nim tłómaczyć w klasie: aleć szkoła była jednolita, nie było w niej ani żydów, ani Moskali, pierwszym nie przysługiwało prawo pobierania nauki, a drugich wcale jeszcze nie było w Polsce — chłopcy więc pomimo zakazu, wszyscy mówili między sobą po polsku.

Pop, pospolicie pijany, przychodził do klasy, wchodził na katedrę, rozłożył jakąś bumagę i drzemał, a kiedy hałas się wszczynał otwierał oczy, przeciągał się i wołał:

— „Ne barmotaj!" — i na nowo pogrążał się w lubą drzemkę.

Profesor języka rosyjskiego ściśle zajmował się swoim przedmiotem, ale widział, że wśród młodzieży, która w dniu nie słyszała i słowa po rosyjsku, nie wiele zdziała, mechanicznie więc zadawał lekcye i tylko wysłuchał ich.

Ale profesor historyi polskiej i rosyjskiej Głuszkow, który przed rewolucyą służąc u generała za kamerdynera, nauczył się po polsku — jedynym był okazem, który odważył się wykładać przedmioty swoje po polsku! — Chytry Moskal zrozumiał to, że łatwiej trafi do pamięci słuchaczy, wykładając w zrozumiałym dla nich języku i zaszczepi swoje

„kazione" pojęcia. — A więc głosem, pełnym namaszczenia, mówił:

— Wszystko co Bóg stworzył, podlegać musi władzy cesarza, cesarz rosyjski jest potomkiem cesarzy rzymskich i z nich przeszła władza na jego osobę! — Polska nigdy nie istniała na tych ziemiach, które są własnością Rosyi, mieszkały różne narody: Pieczyngi, Łatwa, Jakuty, Polacy i cesarz pozwolił się rządzić pod swoimi książętami. — Ale chytrzy Polacy często się buntowali przeciwko dobremu ojcu. — Zbuntował się Stefan Batory, który był żydem, poszedł do Rosyi, ale zdążył nawet uciekać, jak car wyprawił przeciw niemu swoje wojska. — Cesarz kazał drugiemu księciu polskiemu, Sobieskiemu, bić Turków i przy pomocy ruskich ludzi, dobrze mu się udało, za co go car nagrodził; — ale potem chytrzy Polacy zbuntowali się, car więc rozpędził ich na cztery wiatry — zakazał się nazywać Polakami i teraz niema żadnych Polaków, — ale car dobry pozwala się młodym ludziom starać o zdobycie mundurów, orderów i pieniędzy i być panami, mieć swoje wsie, mieć mużyków i pić, ile się podoba szampańskiego wina.

Ktoś mógłby mnie posądzić o przesadę, ale mowę tę nieśmiertelną profesora Głuszkowa w owych czasach znali powszechnie i krążyła ona w tysiącach opisów po całym kraju.

Czy taki system dozwolony przez władzę, a przeholowany przez takiego Głuszkowa, mógł odpowiedzieć interesom rządu, czas to pokazał, bo wszyscy ci, którzy słuchali podobnie wspaniałych wykładów, pozostali przecie dobrymi Polakami —

a chociaż nauczyli się doskonale języka rosyjskiego, żaden po ukończeniu szkół nie używał go w praktyce — i dzisiejsze więc zakusy rusyfikacyi, a taksamo niemczenia w Poznańskiem podobne wydadzą owoce.

Lubo granica była strzeżona, pisma jednak z emigracyi przekradały się i kursowały pomiędzy uczniami. — Czytane potajemnie rozpłomieniały wyobraźnię i popychały do czynów szlachetnych, ale usprawiedliwonych rozumem.

Na stancyi u profesora stał razem z Antosiem Luboradzkim Hilary Weber, syn nadleśniczego z lasów rządowych, chłopiec tego samego wieku co i on.

Chłopiec, wychowany w lasach od najmłodszych lat, chodził z ojcem po polowaniach i lubo dopiero miał lat czternaście, strzelał znakomicie. — Teraz, oddany do szkół, tęsknił za knieją, za psami myśliwskimi, za dubeltówką, a że i Antoś miał w swojej przeszłości podobne wspomnienia — przeto chłopcy poznali się, zaprzyjaźnili, pokochali i zawsze ich można było widzieć razem żywo rozmawiających.

Nie wielu innych towarzyszów przypuszczali do swojego towarzystwa.

O czem te dzieciaki tak zaciekle rezonowali? Nikt się nie zdziwi, gdy odpowiem: o odbudowaniu Ojczyzny.

Starzy spoczęli na chwilę zmęczeni, wyczerpani i pogrążyli się w rezygnacyi, ale młode umysły pracowały bez przerwy.

Jeżeli ster nawy wypadnie z ręki doświadczonego sternika, chwyta go zwykle ten, który się najbliżej znajduje, niekoniecznie ten, któryby mógł nim najlepiej kierować — wszyscy wiedzą, że nawę trzeba kierować do portu, wszyscy się spieszą i sprawiają zamieszanie, które czasem przyspiesza rozbicie.

Tak się stało i ze sprawą ratowania Polski. — Ile było stronnictw na emigracyi, każde było ożywione najpoczciwszymi zamiarami, każdy pojedyńczy człowiek miał swój plan i w nim upatrywał jedyne zbawienie; powstał zamęt niesłychany — rozwielmożniła się nienawiść między wychodźcami, — każdego, który wyznawał inne zasady, nazywano zdrajcą — szpiegiem moskiewskim, — lub Prusakiem. Takiego losu doznał np. Czartoryski, człowiek, który ani chwili nie wahał się poświęcić sprawie narodowej olbrzymich swoich majątków, zdrowia i życia; takiegoż samego ocenienia doczekał się Mirosławski i Mochnacki a nawet któżby uwierzył, — nasz wieszcz — Adam Mickiewicz!

Wszyscy się rwali do pracy i przeszkadzali jeden drugiemu — inaczej nawet być nie mogło.

Dlatego to historya nasza wyrzekła ogólne przebaczenie wszystkim ludziom dobrej woli, którzy nawet działali błędnie, ale byli przekonani, że działają dobrze, i że z pracy ich skorzysta Ojczyzna.

W Luboradzu zaczęły się wlec dni na pozór jednostajne, smutne, męczące, w których gdzieś tylko bardzo daleko świtało jakieś światełko nadziei.

Pniak, chociaż się wybierał do klasztoru, widząc apatyę Janka i bezsilność zacnej matrony, dał się uprosić i pozostał przy niej, zajmując się zarządem gospodarstwa.

Ze czcią schowano w jakąś skrytkę — pod podłogę mundury narodowe i broń ocaloną z zawieruchy, a kiedy zbliżał się wieczór, mała ta gromadka zasiadała przy kominie, na którym się palił wesoły ogień i albo w cichości rozmyślała nad nieszczęśliwymi losami Ojczyzny, lub też snuła nić opowiadań i nadziei.

Dosyć często pojawiał się w Luboradzu żandarm konny; wizyty te z początku denerwowały staruszkę, ale pomału przywykła do nich, bo poczęstowawszy żandarma kieliszkiem wódki i dawszy mu dwusztukówkę, kupowało się spokojność.

Upłynęło już dwa lata od owej katastrofy, gdy wojsko polskie opuściło ziemię rodzinną.

Jednego dnia, kiedy towarzystwo siedziało właśnie przy kominku, nagle psy zaczęły szczekać zajadle na podwórzu.

— Ktoś tam obcy do bramy się zbliża — rzekł Janek.

Pniak, nic nie mówiąc, podniósł się, by wyjść dla przekonania się, ale w sieni dał się słyszeć brzęk ostróg i pałasza i drzwi się otworzyły, a w nich ukazał się wachmistrz żandarmeryi.

Wachmistrz ten dobrze był znany mieszkańcom dworu, — był to stary żołnierz napoleończyk, lubiany, bo nie tylko nie robił żadnych szykan, ale często przywiózł jakieś wiadomości i przestrogi, którychby inną drogą uzyskać nie było można.

Pochodził z drobnej szlachty Mazowsza — nazywał się—Twardowski.

— Pozdrawiam szanowną panią majorową i obydwóch poruczników — jak zdrowie służy?

— Trzymamy się jak możemy — odrzekł Pniak a pani Luboradzka dodała:

— Siadaj pan, panie Twardowski i powiedz nam, co tam słychać na świecie, zanim ci podadzą jaki posiłek.

Wachmistrz usiadł wyprostowany na samym brzegu krzesła, poprawił wąsów i obracając się do mężczyzn, rzekł:

— Bóg wie, czy na dobre, czy na złe się zanosi, ale to pewne, że jakaś burza się zbliża.

Na te słowa Pniak i Janek podnieśli głowy i bacznie zaczęli wpatrywać się w twarz mówiącego.

— Tak, proszę łaski panów poruczników, zanosi się na coś ważnego. — Moskale — tu obejrzał się naokoło — odebrali wiadomości, że z Francyi nasi wysłali emisaryuszów, co mają tu nurtować pomiędzy chłopami i pobudzać do powstania, by rozpocząć partyzantkę na całych ziemiach naszych, ale biedni ci ludzie nie domyślają się nawet, że Moskale doskonale wiedzą nietylko ich nazwiska, ale i dzień wyruszenia w podróż, oraz przybycia do kraju, że mają najdokładniejsze rysopisy ich i wszędzie już zastawili pułapki na nich, tak, że biedaki popadną w nie jak ptaki w samotrzaski.

— Czy to być może — zawołał Janek — skądże Moskale mogli powziąć takie dokładne wiadomości?

— Pomiędzy pszenicą musi się czasem znaleść kąkol, a nasz car ma dosyć rubli — odrzekł Twardowski.

Mężczyźni smutnie spuścili głowy, a po chwilowem milczeniu Janek rzekł:

— Ej, czy to tylko nie wieści rozpuszczone naumyślnie, żeby złapać kilku gorętszych i wycisnąć z nich okup?

— Nie, panie poruczniku; — rodacy nasi na obczyźnie tęsknią, niecierpliwią się i wybierają się do kraju.

— Ale któż stoi na ich czele, któż prowadzi to dzieło?

— I to mogę powiedzieć panom; — na czele stoi znany partyzant z Litwy — pułkownik Józef Zaliwski.

— Pułkownika Zaliwskiego znam z Litwy — partyzant dzielny, ale o ile mnie się zdaje, nie ma on odpowiednich kwalifikacyi na naczelnego wodza. — Wprowadził w błąd Giełguda i Chłapowskiego, donosząc im o jakimś dwudziestotysięcznym korpusie rosyjskim, zbliżającym się do nich — co zupełnem było kłamstwem — a na obroty naszych generałów wiadomość ta bardzo źle oddziałała.....

— Przysłano nam jego rysopis — mówił dalej wachmistrz — ma wejść od strony Galicyi — czekają już na niego zastawione wnyki. — Ale kazano nam bardzo śledzić byłych oficerów polskich i młodzież szkolną.

— I cóżeście wyśledzili?

— Dotąd nic i daj Boże, żeby tak było do końca! — No, tymczasem żegnam państwo i radzę być

bardzo ostrożnym. — Pocałował w rękę panią majorową, skłonił się po wojskowemu porucznikom i wyszedł.

Pozostali spojrzeli po sobie pytająco.

Pierwsza głos zabrała majorowa:

— Jeżeli się zanosi na nową zawieruchę, jak opowiada Twardowski — to ciężkie przyjdzie nam przeżyć czasy! — Dotąd mieliśmy broń, wojsko wykształcone, pieniądze, a dziś!....

— Nadewszystko mieliśmy wiarę w siebie, a dziś znacznie ona osłabła — powiedział Pniak.

— Daj Boże, żeby to nie było nowe nieszczęcie! Ten Zaliwski — zdaje mi się — lekkomyślnie poczyna; nieobrachowawszy się z położeniem kraju nie znając go — żyjąc za granicą — bierze się do rzeczy.... — Jeśli rozrzuci odezwy do powstania, co robić w takim razie? — zapytała majorowa.

— O powinności nie wolno rozumować, lecz ją spełnić zawsze należy — odpowiedział Janek.

Matka spojrzała z miłością na wybladłą twarz chłopca.

— A więc opuścić mnie chcesz znowu?

— Matko moja, — zawołał Janek, ożywiając się i pochwyciwszy jej dłoń wychudłą, złożył na niej długi pocałunek. Matko, czyżbyś mnie zatrzymała, gdyby ta druga moja matka, ta królowa moja — ta najpierwsza, potrzebowała mojej ofiary? Ale uspokój się moja najmilsza, lekkomyślnie nie rzucę się w otchłań; nie wolno mi tego robić przez wzgląd na dobro sprawy — my tu właśnie w Luboradzu nic nie wiemy co się dzieje na świecie,

drzemiemy pogrążeni w smutku — a tam, obok nas, niedaleko, biją serca szlachetne — pracują umysły wytrwałe.

— Trzeba koniecznie posiąść jakieś stanowcze a prawdziwe wiadomości. Dlatego myślę, że dobrze by było, bym wyjechał do Płocka, tam zobaczę się z tym i z owym z moich dawnych kolegów z wojska — pogadam z nimi a i od Antosia nie mieliśmy dawno żadnej wiadomości, jak się tam ten chłopak uczy i sprawuje.

Majorowa bacznie wpatrywała się w twarz mówiącego, zdawało jej się, że Janek już powziął stanowczą decyzyą, że to tylko dlatego tak mówi, żeby ją uspokoić, a rzeczywiście myśli się rzucić w wir wypadków!

— Janku! — Czy nie starasz się mnie w błąd wprowadzić? Czy zrobiłeś już jakie postanowienie?

— Nie, mateczko moja; nic nie postanowiłem, bo to zależeć będzie od okoliczności. — Bądź tylko pewna, że uczciwie spełnię zawsze mój obowiązek.

— Powrócisz więc z Płocka?

— Z całą pewnością, uspokój się najdroższa.

— Ha, więc jedź mój synu, Antosia tak dawno nie widziałam, a chłopak to nad wiek rozwinięty, jestem o niego mocno niespokojna.

— Może i ja się tam na coś przydam w Płocku — rzekł Pniak, zwracając się do majorowej — mam tam kilku znajomych i od nich będzie się można czegoś dowiedzieć. Dlatego jeżeli nic przeciw temu nie ma pani dobrodziejka, będę towarzyszył porucznikowi.

— Ależ i owszem, jedź z Jankiem, kochany panie i przywieźcie nam dobre wiadomości.

Na drugi dzień, wczesnym bardzo rankiem, bryka zaprzężona w trzy konie wyruszyła do Płocka wioząc obydwóch młodych ludzi. Na rogatce już w Płocku zauważyli pewne zmiany, bo oprócz zwykłych strażników akcyzowych, dostrzegli urzędnika policyjnego. — Żądano od nich paszportów, okazali je, bo o nie wtedy nie było trudno; w owych czasach wójtowie gmin, a pospolicie byli nimi właściciele dóbr, sami sprawowali te obowiązki; tym sposobem sami sobie wydawali paszporta.— Nasi podróżni zajechali do żydowskiego hotelu i wyszli, przebrawszy się, na ulicę. Fizyognomia miasta miała w sobie coś tajemniczego, na twarzach przechodniów widać było zamyślenie, tworzyły się na ulicach grupki, złożone z kilku ludzi, coś z sobą po cichu rozmawiających, oglądających się bojaźliwie za zbliżeniem się obcych.

Nie spotkali nikogo ze znajomych, udali się więc do mieszkania profesora Mańkowskiego, u którego na stancyi stał Antoś. Profesor chodził śpiesznymi krokami po dużym pokoju, puszczając dym z długiego cybucha, głęboko zamyślony.

— A, witam szanownych panów, co was sprowadza do Płocka?

— Witamy cię kapitanie — Mańkowski służył dawniej w artyleryi. — Co u was słychać dobrego?

— Co słychać! Co słychać!? Ot nie dobrze słychać, wiatr niesie tumany pyłu, zasypując oczy. — Nic nie widać, a coś się zbliża, coś, co przepowiada burzę.

— Tłumacz się jaśniej, kapitanie.

— Nowa zawierucha nadciąga — weszli emisaryusze z Francyi — rozrzucają odezwy — młodzież kipi — wre — formują się oddziały po lasach! — A tu sieci rozstawione wszędzie! — Moskale czekają wybuchu, ruchawki i chcą napędzić wszystkich do matni. — Ma to być niby ogólne powstanie w całych obszarach polskich jednocześnie! — Widzę nieszczęście, wielkie nieszczęście, ruinę, widzę wsie zburzone i spalone.

— Toby było najmniejsze nieszczęście, wsie można odbudować, lasów nam jeszcze nie brakuje — rzekł Janek.

— Tylko braknie serc gotowych do poświęcenia — odrzekł profesor — a poświęcenie tu będzie bezpłodne, bo to jest szalone przedsięwzięcie.

— Nie wydawajmy wyroku przedwcześnie — rzekł Pniak.

— Tak — zapewne — czekajmy — rzekł smutnie Mańkowski — tu słychać, że Artur Zawisza, bogaty, młody człowiek z Litwy, ma poważny oddział, nie źle uzbrojony, ale ukrywa się z nim w lasach; tajemnica to jeszcze, ale być może, że i plotka.

— Gdzież Antoś? — zapytał Janek.

— Ach Antoś! Z tym swoim przyjacielem, Weberem jest zupełnie spokojny, nie boję się o nich — obaj uczą się po całych dniach na wybrzeżu Wisły; tam ich teraz zapewne zastać będzie można. — Inni chłopcy u nas znoszą się, spiskują, ale te moje obydwa chłopaki milczą jak ryby i jestem spokojny o nich.

— Pójdziemy ich poszukać nad Wisłą — rzekł Janek. — Pożegnamy cię profesorze i dziękujemy za wiadomości.

Uściśnięto dłoń staremu profesorowi i milcząc, obydwaj młodzieńcy udali się na poszukiwanie Antosia.

Wspaniały widok roztacza się od stóp katedry Płockiej na równiny, pokryte lasami lewego brzegu Wisły. — Wysokie, bardzo urwiste wzgórze, na którym wznosi się katedra, stanowi, jakby teatralną lożę, z której można oglądać dalekie bory. — Na wzgórzu tem wznosiło się kilka śpichlerzy, stojących tuż nad samem korytem Wisły, z których drewnianemi rynnami zsypywano pszenicę do bark i berlinek wiozących ją aż do Gdańska. — Na wzgórzu panowała cisza, ale za to na brzegu Wisły ruch był znaczny ładujących pszenicę. Korytem rzeki przypłynęło kilkanaście galarów i tratew z drzewem, poprzedzanych każda przez retmana na malutkiem z jednego pnia drzewa wyciosanem czółenku; retman ślizgał się po modrej wodzie, jak jaskółka, wyszukując prądu, — w niektórych miejscach zatykał zielone gałęzie rokiciny, ostrzegając o mieliźnie — lub wznosząc w górę wiosło i trzęsąc niem, donośnym głosem wołał:

— A wara tam! Wara od haka!

Na ten głos naprężały się ramiona flisaków, podnosiły się drągi. A galar albo tratwa mijały złowieszczą mieliznę i znowu jakiś czas płynęły swobodnie. Pyszną, srebrną wstęgę Wisły zaścielały jakby stada łabędzi żagle białe, fruwające w powietrzu.

Ileż tu bogactw roztacza ta kraina, ile skarbów niesie zamorcom? Ilu ludzi żywi swoją pszenicą! — Nie dziś, nie wczoraj powstała ta praca i jak źródła wody spływające z pod lodowców, tak ona płynie ciągle od wieków — na wieki.

Przez chwilę młodzi ludzie przypatrywali się temi widokowi. — unoszące się rybitwy nad rzeką raz po raz wydawały okrzyki, zwiastując niechybną burzę — przepowiednie te znają flisacy i cieszą się, mówiąc:

— Będzie marka. —

Marka to znaczy, że wiatr północny od Bałtyku napędzi chmury na Karpaty — tam rozbijają się one o gór wierzchołki i zamieniają się w potoki deszczu; wzbiorą strumienie i rzeki stanowiące przypływy do Wisły i woda w Wiśle się podniesie, zakryją się haki podwodne i mielizny, odpoczną retmani, a statki wszelkie popłyną swobodnie aż do ujścia rzeki.

W takich chwilach panuje zwykle radość na rzece.

Nasi młodzieńcy obeszli całe wzgórze, ale nigdzie nie dostrzegli Antosia. — Już się mieli puścić napowrót do miasta, gdy zobaczyli mały wąwóz ciągnący się od wierzchołka góry ku Wiśle, zarośnięty krzakami dzikiej róży i pnących się po stokach jeżyn.

Zdawało im się, że głos jakiś słychać z wąwozu i zbliżyli się doń cicho i oto ujrzeli w dole dwa czerwone kołnierze i takież lampasy czapek; jakiś kamień stoczył się z pod ich stóp w wąwóz — dwaj siedzący uczniowie szybko podnieśli głowy, a zoba-

czywszy dwu ludzi, ukryli za kamieniem jakieś papiery, a rozłożyli na kolanach książki szkolne i na pozór głęboko w nich się zatopili.

— To nasz Antoś i pewnie jego przyjaciel, ów Weber — rzekł Jan i to mówiąc spiesznie się zaczął spuszczać do wąwozu.

Antoś poznał zbliżających się, szybko zerwał się z kamienia, na którym siedział i pospieszył na przeciwko.

Janek wyciągnął do niego ramiona, a chłopiec rzucił się w nie, czule tuląc się do piersi brata; drugi chłopiec powstał także, ukłonił się i stał milczący.

— Co tu robicie, chłopaki?

— Uczymy się rosyjskiej gramatyki — odrzekł uśmiechając się, Weber.

— Czyż aż tu musicie się z tem chować?

— Tu nam nikt nie przeszkadza; — to mówiąc, zaczęli zbierać książki rozłożone na kamieniach.

— Jakże tam idzie nauka? — zapytał Pniak.

— O, bardzo dobrze — odrzekł Antoś — już wiemy, że Skatina to znaczy Moskal — a koźnaczej to złodziej — a pałkowńik to znaczy ten co daje pałki.

— Żebyście tylko ich nie spróbowali czasem, bądźcie ostrożni.

— To i co, skóra wytrzymała, nie tacy, jak my kosztowali tego rosyjskiego dobrodziejstwa, to i my się go nie lękamy.

Pniak z Jankiem zamienili ze sobą spojrzenia.

— Czy to prawda — zapytał Antoś, że Zawisza wzywa do powstania?

— Co za Zawisza — nie słyszałem nic o tem — odrzekł na pozór obojętnie Janek.

— Ale u nas tu mówią, że kilkanaście tysięcy naszych już jest u niego gotowych do boju!

— Wierutne kłamstwo! Nie pojmuję kto rozpuszcza takie wieści?

— Oto nie są płonne wieści — zawołał Antoś, unosząc się — są już odezwy pułkownika Zaliwskiego — czytaliśmy je.

Pniak i Janek spojrzeli po sobie zaniepokojeni.

— Być może, że jakiś rozpaczliwy czyn przygotowuje się — rzekł wreszcie Pniak — ale bardzo to być mogą i sidła moskiewskie, zastawiane na łatwowiernych. — Trzeba więc być bardzo ostrożnym i nie dawać się unieść niewczesnemu zapałowi.

— A ty nie pójdziesz? — zapytał Antoś Janka, zwracając się wprost do niego i patrząc mu w oczy.

Janek obydwie ręce położył na jego ramionach i rzekł po chwili:

— Luboradzcy nigdy nie pozostaną głusi na głos Ojczyzny wzywającej ich pomocy — ale teraz nie widzę najmniejszej szansy powodzenia i dla tego nie przyjąłbym udziału w takiem przedsięwzięciu. — Pójdźmy do miasta, tam pożegnamy się, bo my dziś jeszcze powracamy do domu, gdzie nas oczekuje niespokojna matka.

— Biedna matka! — wyrwał się pomimowolnie Antoś i smutnie pochylił głowę na piersi.

Powróciwszy do Płocka odprowadzili chłopców na stancyę, a kiedy już furmanka zaszła i gdy że-

gnali się z profesorem Mańkowskim, dziwna czułość opanowała Antosia; ściskając brata, przytulił się do jego piersi i łkając, wyszeptał:

— Tak mi smutno bez mojej mamusi kochanej! Tam tak teraz pięknie w Luboradzu, tak miło, a tu wszyscy obcy, wszyscy nie nasi.

Rozczulenie to chłopca przypisano tęknocie za rodzinnem gniazdem. — Uspokoił go Janek, zalecił ostrożność w mowie i znajomościach i poprosiwszy profesora o czułą opiekę, odjechał z Pniakiem do domu.

Pani majorowa z niespokojnością wyglądała ich powrotu i chociaż późny już był wieczór, nie spała jeszcze, chodząc niespokojnie po pokoju.

Kiedy tylko bryczka zatoczyła się przed ganek i młodzi ludzie znaleźli się w pokoju, zastępując im drogę od progu, zapytała:

— I cóż słychać? Co robi Antoś? Co mówi — co myśli?

— Niech mama będzie spokojną — wieści są chaotyczne i kłamliwe; mówią o jakichś oddziałach partyzantów, które miały już wkroczyć w różnych stronach — ale lud wszędzie spokojny i nie widać żadnego ruchu, a nie tak drga serce narodu, gdy się gotuje czyn wielki.

— A Antoś? Mówcie mi o nim! To burzliwa natura, zapalna, żeby chłopaka nie pociągnięto w przepaść.

Janek, chociaż sam czuł pewną niespokojność, chcąc jednak matkę uspokoić, odrzekł wesoło:

— Zastaliśmy go zdrowym, uczącym się gramatyki rosyjskiej ze swoim nieodstępnym przyjacielem, niejakim Weberem.

Długo jeszcze rozmawiano poufnie, o mogących nastąpić wypadkach, aż pianie kogutów zwiastowało północ, więc udano się na spoczynek.

Parę dni upłynęło wśród ogólnej ciszy. Nikt nie zajrzał z sąsiadów, żaden żyd się nie zjawił, któryby przyniósł jaką pocztę. Wczesnym rankiem dnia jednego, kiedy zaledwie rozjaśniać się zaczęło, Pniak wyszedł na podwórze dla wydania dziennych rozporządzeń służbie. — Majorowa spoczywała jeszcze, a Janek lubo nie spał, leżał jednak pogrążony w myślach. Kiedy Pniak rozpatrywał się dokoła u bramy podwórza, zjawił się konny posłaniec z przewieszoną torbą borsuczą na plecach; pomału zlazł z konia, uwiązał go u płotu i zdjąwszy czapkę zbliżył się do stojącego.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków. — A skąd to człowieku?

— Z Płocka, wielmożny panie — z listem.

— Od kogo?

— A bo ja tam wiem — jakiś profesor mnie najął i kazał pismo zawieść do Luboradza.

Janek posłyszał widocznie tupot konia, bo też w tej chwili wyszedł.

— Dawaj list.

Posłaniec rozpiął kaftan, wydobył okręcony kilkoma papierami list i wręczył go.

Janek spiesznie spojrzał na adres, a zobaczywszy, że list jest do niego pisany, rozdarł kopertę zapieczętowaną opłatkiem i zaczął czytać:

„Wielmożny panie Poruczniku, Dobrodzieju!— Wczoraj wieczorem chłopcy położyli się spać w mojej obecności. Zaobserwowałem, że się gorąco

modlili, co im bardzo pochwaliłem. Kiedy rano poszedłem ich obudzić, żeby sobie przepowiedzieli zadane lekcye — nie zastałem żadnego, to jest ani Antosia — ani Webera. — Cały dzień ich szukałem i — nie znalazłem. Widocznie sprzykrzyła im się nauka i zapewne już znajdują się w domu — trzeba im dobrze uszów natrzeć i odstawić nam zbiegów, a my nad nimi roztoczymy dozór. — Pełen szacunku, Profesor Mańkowski".

Po przeczytaniu listu Janek milcząc, podał go Pniakowi — a ten przebiegłszy treść jego oczyma, nie namyślając się, rzekł:

— Cokolwiek się pokaże — nie trzeba nic o tem wspominać pani majorowej, by nie niepokoić jej, a co dalej robić wypadnie — to zobaczymy. — Teraz trzeba odprawić posłańca jak najprędzej.

— Masz dwuzłotówkę za drogę i jedź z Bogiem — rzekł Janek.

— A odpisu nie będzie?

Na oddartej z listu kartce napisał Janek tylko dwa słowa: „List odebrałem" i podpis: Jan Luboradzki.

Posłaniec skłonił się, wziął konia za uzdę i udał się do karczmy, stojącej zdala.

— Co robić? — spytał smutnie Janek.

— Ja myślę, że chłopcy udali się szukać oddziału partyzantów, o których tu nic nie słychać by byli w okolicy — przebłąkają się trochę, przymrą głodem i powrócą.

— Trzeba ich jednak odszukać i ułatwić im powrót.

— Wiatru w świecie szukać będziemy! — Milczeć tymczasem i nie dać po sobie poznać, żeśmy odbierali taką wiadomość.

* * *

W salach rozległych niedaleko Krośniowic, na małej polance, na której sklecona stała buda węglarza, dymił się ogień z mokrych gałęzi, a przy nim spoczywało na mchu kilkunastu ludzi uzbrojonych w dubeltówki i kosy. Wyczerpanie znać było na wszystkich twarzach; oddziałek ten Artura Zawiszy, dzielnego partyzanta, od kilku dni staczał już małe potyczki z kozakami, chroniąc się w lasach.

Plan Zaliwskiego nie udał się! Polegał on na tem, że na całych przestrzeniach Polski, miały jednocześnie powstać oddziały zbrojne i rozpocząć bój. — Sam Zaliwski wszedłszy z Galicyi za Wisłę, cofnął się wnet napowrót, widząc niepodobieństwo walki i odwołał pochody, głosząc, że naznaczy inny termin. — Te więc oddziały, które były dalej, jak Artura Zawiszy i Michała Wołowicza na Litwie, nie odebrawszy powiadomienia z bohaterską odwagą szły na stracenie, nie spodziewając się nawet zwycięstwa, a walcząc już tylko o to: jak mówi poeta: „Aby życia co cięży nie oddać z sromotą”.

Moskale nie znali prawdziwych sił tych oddziałów, dla tego postępowanie ich było nieśmiałe i niezdecydowane, ale obmyślili szatański plan wygubienia ich: nakazali obławy z chłopów miejscowych pod dowództwem oficerów i przy pomocy wojska! Chłopi szli niechętnie, ale iść musieli, bo nahajki kozaków nie próżnowały i łomot ich rozlegał się na grzbietach.

Dnia tego właśnie taka obława przeszła przez lasy krosnowieskie. Chłopi pod dowództwem wójta spostrzegli garstkę powstańców z palcami na cynglach strzelb, stojącą około budy węglarza, — kiwnęli na nich przyjaźnie i porozumiawszy się pomiędzy sobą, rozeszli o kilkanaście kroków od nich, udając, że ich nie widzą i nie zaczepiając ich. — Oddział na ten raz czuł się ocalony, lubo był zdecydowany na rozpaczliwą walkę.

Obława przeszła — w lasach ucichło, powstańcy odetchnęli, postawili broń i spojrzeli na młodego dowódcę.

— Jesteśmy ocaleni — wyrzekł wesoło Artur Zawisza.

Był jednak pośród nich samych straszliwszy niż Moskale nieprzyjaciel — nieprzyjaciel, któremu nikt oprzeć się zdoła, który żelazną swoją siłą pokonywa najwaleczniejszych, a nieprzyjacielem tym był głód! — Powstańcy od trzech dni nic nie mieli w ustach — zbliżyć się do wsi, chociażby nocną porą, obawiali się, ażeby nie narazić jej mieszkańców na zemstę moskiewską — gdyż ogłoszono rozporządzenie, że ktokolwiek udzieli jakiejkolwiek pomocy buntownikom, zostanie powieszony, a majątek jego ulegnie konfiskacie, lub zniszczeniu.

Kiedy więc Artur wyrzekł słowa: „jesteśmy ocaleni", z pomiędzy powstańców odezwał się głos:

— Ocaleni — jeżeli nie pomrzemy z głodu.

Zawisza smutny wzrok rzucił na swoich walecznych towarzyszy, chwilę namyślał się, nareszcie rzekł:

— Musimy zdobyć żywność; bądźcie cierpliwi przyjaciele; dwóch musi się udać do Krośniewic, zostawiwszy broń, tam kupią żywności i powrócą do nas.

Powstańcy, lubo byli niektórzy w zwykłych ubiorach, spojrzeli po sobie i nic nie odpowiedzieli, gdyż każdy to czuł, że baczne oko policyi pozna go przez skórę.

Wtem jakby jedną sprężyną tknięci powstali dwaj młodzi chłopcy, obdywaj w mundurach studenckich z czerwonymi kołnierzami i takiemiż lampasami u czapek. — Byli to dwaj nasi zbiegowie: Hilary Weber i Antoś Luboradzki.

— My pójdziemy i przyniesiemy żywności — rzekł stanowczym głosem Antoś.

— W tych waszych mundurach? — zawołał dowódca — ależ was natychmiast poznają.

— Jużeśmy umyślili, jak zaradzić temu — rzekł Weber — węglarz, około którego budy jesteśmy, ma takich samych jak my dwóch synów, przebierzemy się w ich ubrania — uczernimy twarze i śmiało wśród dnia udamy się do miasteczka po żywność dla węglarzy, o których wszyscy wiedzą, że tu wypalają smołę i węgle.

Plan był dosyć prawdopodobny do spełnienia, wprawdzie fizyognomia chłopców, krótko strzyżone włosy, delikatne ręce, mogły nasuwać podejrzenie; ale nie było wyboru; głód skręcał kiszki, a w chwilach takich człowiek jest zdolny wszystko postawić na jedną kartę.

Węglarz, chory na febrę, dobre człowieczysko, przytem wynagrodzony hojnie, rozkazał swoim

chłopakom zdjąć z siebie odzienie i brudne zasmolone koszule, w które się przystroili nasi młodzi bohaterowie. — Nogi bose jednak zanadto wyglądały delikatnie i lubo poczernione — mogły ich zdradzić; chłopcy wzięli worki stare na plecy, koszule przepasali lipowem łykiem i gotowi byli do drogi. — Towarzysze pomagali im niecierpliwie w przebraniu.

Zawisza ze łzą w oku spoglądał na młodych junaków, dał im kilka rubli na zakupienie żywności i uściskawszy czule wyprawił.

— Zostańcie z Bogiem!

— Jedźcie z Bogiem! — były ostatnie słowa pożegnania.

Kiedy chłopcy już odeszli o kilkanaście kroków — Zawisza zawołał, żeby się jeszcze zatrzymali, zbliżył się do nich i cichym głosem zapytał:

— A na wypadek, gdyby was ujęto, poznano, zmuszono biciem do wskazania miejsca naszego obozu — jak postąpicie?

— Damy się zabić — a nie zdradzimy towarzyszy naszych — odparł Antoś.

— Jeszcze jedno wam powiem — że w czasie waszej nieobecności może przyjdzie oddziałowi nagle zmienić miejsce pobytu; przeto wiecie, że cofać się będziemy ku granicy pruskiej; no — niech was Bóg prowadzi.

Chłopcy ożywieni najlepszemi nadziejami puścili się w drogę. — Wkrótce wydostali się z gąszczów lasu na drożynę boczną a nią dotarli do głównego gościńca wiodącego do Krosnowic. — Gościniec był pusty i dosyć posuwali się swobodnie, aż

w dali ukazała się fura parokonna, a przy niej dwóch kozaków na koniach.

Na furmance jechał burmistrz z jakiegoś miasteczka w ciemno-zielonym mundurze z czerwonymi lampasami u kołnierza i czapki; miał taki sam mundur, jaki oni przed chwilą zrzucili. Kiedy zrównali się z furą i mijali ją, burmistrz zawołał na nich, żeby stanęli — wykonali więc rozkaz i stanęli z odkrytemi głowami.

— A skąd to idziecie?

Ha! — odpowiedział Weber.

— Pytam się, gapiu, skąd idziecie.

— A z lasu, wielmożny panie.

— A co tam robiliście?

— A cóż? — Kurzyliśmy węgle i tyla.

— Gdzie to jest? W której stronie?

— A tam wej, prosto.

— A gdzie idziecie?

— Gdzie idziemy? — A prostą drogą.

— Pytam się gawronie, dokąd idziecie?

— Do Krośniowic według karmy dla tatula.

— A są tam w lesie jakie zbóje?

— Nie widzieliśmy nijakich zbójów — odrzekł Weber.

— Ale nieprawda — przerwał mu nagle Antoś — dziś rano przewaliła się przez las ćma kozaków i sołdatów.

— Co ty głupcze pleciesz—tożto żołnierze nasi.

— A ja myślał, że się Wielmożny pan o nich pytają.

— Jedź, — zawołał zniecierpliwiony burmistrz. To gawrony z lasu! Niczego się człowiek od nich nie dopyta.

Przybywszy do Krośniowic zastali cały rynek zapakowany wojskiem. — Piechota w kozły ustawiła karabiny — kozacy porozkulbaczali konie, wetknęli piki pomiędzy kamienie i zrzuciwszy po wiązce siana koniom, rozpalili ogniska, zawiesili kociołki nad nimi i gotowali strawę.

Chłopcy nie tracąc czasu zajęli się zakupnem żywności; — wybór był prosty i łatwy: — kilkanaście bochenków razowego chleba; parę serków, kopa śledzi, a do tego gąsiorek wódki i kilka paczek tytoniu stanowiły całą spiżarnię. Zmęczeni, usiedli na przyzbie karczmy, ukrajali sobie po kawale chleba i okrasiwszy go śledziem zaczęli smacznie spożywać ten posiłek po trzydniowym głodzie.

W otwartych drzwiach karczmy słychać było rozmowy żołnierzy, głośno wyjawiających swoje zdanie.

— Sława Bohu! Nie naszli buntowczyków, a to całe chodź za niemi, a oni jak w wodę wpadli.

— A ty wiesz Wasil, co pułkownik nasobaczył naszemu komendiru, że on nie znalazł buntowszczyków — i on teraz z całym batalionem ruszy na poszukiwanie.

— Czort jeho pobioryt.

— Nie będzie brał już do pomocy chłopów, bo to także polskie buntowszczyki.

— No, ich tam niema w tym lesie, oni uszli w inne strony.

— Oni tam są, ty głupi, ale ukryli się w gąszczach, szpieg nam doniósł, co oni tam ukryli się na pewno, ale, ale Boh znajet skolko ich. — No

my ich teraz złapiemy jak ryby w samotnię. — Oni nam już teraz nie ujdą.

Chłopcy spojrzeli po sobie, wysłuchawszy tej rozmowy, widocznie wyprawa druga gotowała się do lasu. — Nie można było tracić czasu, trzeba było zawiadomić wcześnie towarzyszy o nadciągającej burzy; — spojrzeli więc tylko po sobie, powstali z przyzby, worki zarzucili na plecy i puścili się w drogę.

Zaledwie opuścili rogatki, rozległ się głos bębna, jednocześnie prawie odezwały się trąbki kawaleryi i wkrótce spostrzeli za sobą patrol kozacki złożony z czterech ludzi, postępujący lekkim kłusem, — patrol minął ich, nie zaczepiając, ale tuż za nim szła sotnia kozaków, następnie batalion piechoty i sześć armat artyleryi — a oddziały te postępowały tak szybko, że musieli im ustąpić z gościńca, skierowali się tedy na ścieżkę ponad rowem.

— Za późno przybędziemy — szepnął Hilaremu Antoś — nie zdążymy ich wyprzedzić.

— Może nasi już zmienili miejsce obozu i Moskale zastaną tylko popiół i ogniska. Bądź co bądź spieszmy się.

Wydobywając ostatnie siły, dążyli okrążając trakt główny, gdy tymczasem wojsko znacznie już ich wyprzedziło; wkrótce widać tylko było tumany kurzu, w którym kiedy niekiedy błysnęło ostrze piki kozackiej.

Tyczasem Zawisza zmienił istotnie stanowisko i posunął się bliżej ku miastu, kierując się ku granicy pruskiej.

Wojsko dokładne widać miało wiadomości — bo kozacy rozbiegli się galopem i otoczyli mały lasek, w którym znajdowali się partyzanci; za nimi podążyła artylerya, ustawiła się na małym wzgórzu i bez namysłu skierowawszy paszcze armat ku laskowi, dała ognia. — Huk armatnich strzałów zakłócił spokój w powietrzu. Dymy rozległy się naokoło — nie długo jednak trwała ta kanonada artyleryi, bo była ona tylko znakiem innym oddziałom, okrążającym lasek, do zbliżenia się. Piechota ścisnęła obręczą zarośla i zanurzyła się w nie. — Niedługo odezwało się kilkanaście strzałów w nieregularnych odstępach, znać z niekarabinowej broni, a zwykłych dubeltówek; łatwo to było rozpoznać. — Na strzały te odpowiadały salwy karabinowe. Bój się rozpoczął rozpaczliwy, bój garstki walecznych z tłumem nieprzyjaciół.

— Ciskajmy wszystko i pędźmy co sił na pomoc naszym — zawołał Hilary.

— A broń? — Nie mamy jej z sobą!

— Koły z płota tymczasem nam posłużą, dopóki jej nie zdobędziemy na wrogach.

— Tam bitwa! Bitwa w sprawie świętej! — zawołał Antoś. — A my z założonemi rękami stać będziemy? Pędźmy co sił.

Tymczasem wystrzały coraz gęstsze, coraz bliższe się rozlegały; wojsko postępując naprzód, niezważało na to, co się dzieje w jego tyłach, więc chłopcy nie widziani przemykali się naprzód. — Na drodze napotkali zabitego piechura. Antoś pochwycił spiesznie jego karabin, znalazłszy ładunki, nabił go i stanąwszy za drzewem, wymierzył do ko-

menderującego oficera. Rozległ się strzał i oficer zwalił się z konia — strzał ten dany z tyłu armii przeraził atakujących — kilku żołnierzy zatrzymało się, a widząc tylko dwóch chłopaków rzuciło się do nich. Antoś nie zdążył już nabić powtórnie karabinu, oparł się więc plecami o drzewo, a nastawiwszy bagnet, bronił się bohatersko.

— Żywcem brać miatieżnika, — zawołał pułkownik, który z konia przypatrywał się tej scenie.

— Poddaj się! — Krzycz pardon! — wołali żołnierze, opasowując coraz ciaśniej dwóch chłopców.

— Niedoczekanie wasze! — odparł Antoś i wpakował bagnet w brzuch najbardziej nacierającego podoficera — Weber tymczasem z kołem dębowem w ręku, stojąc oparty plecami o drzewo silnem uderzeniem w bagnet żołnierza, przetrącił go! Ale cios był to ostatni bohaterskiego chłopca. Jakiś kozak popędził nahajką konia i rzucił się na chłopca. Koń z pianą na wędzidłach spiął się i uderzył nogami przedniemi Hilarego... Ten upadł, a żołdacy spiesznie pochwycili go.

Antoś jednak nie stracił odwagi. Bagnet jego zaczerwieniony krwią groził napastnikom, wkrótce jednak omdlały mu ręce od znużenia, zachwiał się, drzewo, o które się opierał wysunęło mu się z pod płeców, w oczach zaćmiło się i padł omdlały na ziemię.

Rzucono się na niego i w jednej chwili skrępowano powrozami.

Pułkownik zdziwionym wzrokiem spojrzał na bohaterskich dzieciaków.

— Wziąć ich i odstawić na podwodę i żywcem dostawić do naczalstwa.

Krótki bój w lesie przycichł zupełnie — zwycięstwo odniosło stu przeciw jednemu! — Wszyscy towarzysze Zawiszy, broniąc się do ostatnich sił, polegli, a on, pyszny naśladowca Leonidasa, ranny, dostał się do niewoli. — Skrępowany powrozami znalazł się w podwodzie chłopskiej wraz z dwoma młodziutkimi towarzyszemi niedoli.

Rozległy się tryumfujące okrzyki; wojska, złożone z kawaleryi, piechoty, armat powracały do Krośniewic upojone tryumfem, wśród śpiewów, bicia w bębny, przeraźliwego wrzasku piszczałek — a skrępowani więźniowie musieli słuchać w milczeniu tych piekielnych aryi upojonego zwycięstwem żołdactwa.

* * *

Tryumf armii rosyjskiej był zupełny — sławę jego rozniosły gazety całego świata. — Europa pokłoniła się przed majestatem potęgi mocarza północy.

Warszawa w milczeniu ponurem pogrążona, cicha na pozór, jak Wisła u jej stóp płynąca, niedostępna objawom boleści na zewnątrz, z niepokojem oczekiwała nowych ukazów — nowych wyroków z Petersburga. — Tuż obok niej, niedaleko Marymontu i Powązek, zaczął się formować obrzydliwy wrzód, zaczęła wyrastać Cytadela. Zburzono znaczną ilość domów, oczyszczając teren dla fortecy i wnet zielone dachy cerkwi pokazały się nad brzegiem starej Wisły, wyrosły mury, wyłoniły się

okopy, wyżłobiły fosy; wybudowano koszary i więzienia.

W obszernej sali w świeżo wystawionym gmachu cytadeli, zasiadł sąd wojenny na przestępców politycznych — sąd piekielny — bez litości — godny szatanów, w nim zasiadających.

Sąd ten składała obrzydliwa trójka, która zmazała się wkrótce tylu zbrodniami, ile tylko śmiertelny człowiek popełnić może.

Prezydującym był generał Jałszyn — dość spojrzeć było na tego człowieka, żeby po ciele przeszedł dreszcz mimowolnej grozy! — Wysoki wzrostem, ociężały w ruchach, wąs czarny po mongolsku na dół spadający — oczy zawsze spuszczone na ziemię, nigdy nie podnoszące się na osobę, do której mówił, tak ponurym świeciły blaskiem i tak krwiożercze ciskały iskry, że zdawało się, że to dziki tygrys wypuszczony z klatki, gotowy rozszarpać każdego, kogo napotka na swojej drodze.

Drugi pułkownik Kozakiewicz, był chłopem niezgrabnym; ogromny wzrostem, jakby nalany, czarny jak cygan, ze wzrokiem zaspałym, jakby go nic nie obchodziło, palił bez przerwy cygara i zwykle milczał zacięcie, rzucając tylko słowa rozstrzygające.

Inny zupełnie przedstawiał typ trzeci człowiek sądu wojennego, pułkownik Laichte: jakże natura często dziwaczy w swoich pomysłach, jakże oszukańczo przedstawia obrazy i w błąd wprowadza; wszystko, co może przyciągać wzrok i wzbudzać sympatyą pomieściła ona w tym człowieku; jednak pod maską tą żył zwierz spragniony krwi, tyran bez

litości, podlec, któremu podobnych nie wiele liczy ludzkość. — Średniego wzrostu, ruchy zgrabne i eleganckie, oko niebieskie zdające się błyskać samą szczerością i łagodnością; wąs śliczny, złoty, zawiesisty, wił się na wardze, pokrywając białe, jak słoniowa kość zęby. — Mowa cicha, gładka, jakby pieszcząca się z każdym wyrazem, wzbudzała zaufanie i sympatyę. — Gdy obydwa pierwsi członkowie sądu szczelnie zapięci w swoich mundurach, obwieszeni krzyżami, zdawali się myśleć tylko o swojej dostojności, Laichte z rozpiętym mundurem, o zaniedbanej jakby umyślnie powierzchowności, mając tylko przypiętych parę wstążeczek od orderów, zdawał się człowiekiem, nie dbającym o takie bawidła. — Często można było widzieć tego pięknego pułkownika, w starym mundurze, włóczącego się pomiędzy straganami przekupek na Starem Mieście, kupującego owoce, rzucającego dowcipy i wdającego się w rozmowy z przekupkami; nie odezwał się nigdy inaczej jak najczystszym polskim językiem, biadał na ciężkie czasy i pilnie się przysłuchiwał co mówi lud Starego Miasta, śledził, jak bije serce w tym szarym tłumie; nieraz też udało mu się pochwycić jakąś wiadomość, którą umiał spożytkować. — W chwili, którą chcemy opisać, Jałszyn chodził opuściwszy wzrok na dół, zamyślony, po obszernej sali. — Kozakiewicz rozwalił się na fotelu i otaczał się kłębami dymu z cygara, Laichte uśmiechnięty, jak zawsze, przeglądał papiery, leżące na stoliku pokrytym czerwonem suknem, na którym w miejsce krzyża, który się zwyczajnie znajduje w salach sądowych, leżało pismo z carskim ukazem.

— Czas do teatru, generale; godzina 8-ma — coś tam ciekawego dziś grają — każ wprowadzić więźniów — rzekł niedbale Kozakiewicz — trzeba im odczytać wyrok i raz zbyć tę nieprzyjemną robotę.

Jałszyn skinął, potakując głową i wydał rozkaz odpowiedni.

— Najjaśniejszy pan w swojej dobroci — rzekł Laichte swoim słodkim głosem — zanadto złagodził wyrok tym szubrawcom, skazując tych dwóch błaznów na pobyt w kopalniach — a wymierzając tylko Zawiszy zasłużoną karę. Ale wola jego jest święta jak osoba; sądzę więc, że nie przekroczymy udzielonej nam władzy, oświadczając Luboradzkiemu i Weberowi łaskę cesarską dopiero pod szubienicą. Niech się ta swołocz, trochę pomartwi, niech pozna całą doniosłość spełnionej zbrodni — niech zadrżą i upokorzeni proszą o życie.

Jałszyn milcząco kiwnął głową — a Kozakiewicz rzekł:

— Niech i tak będzie.

Otwarły się drzwi i pod silną eskortą żandarmów wprowadzono Zawiszę, Luboradzkiego i Webera.

Na twarzach więźniów nie znać było żadnej bojaźni — głowy ich były podniesione, a wzrok spokojnie spotkał się ze wzrokiem „sędziów”.

Sędziowie bystro spojrzeli na przybyłych.

Jakiż smutny, a zarazem wzniosły obraz przedstawiali ci ludzie. — Zawisza, najstarszy z nich, piękny — jak posąg Apollina — z czarnymi włosami — blady, ale wzrok, pełen dumy, rzucił po obec-

nych, następnie zwrócił się do towarzyszy i stał milczący. — Antoś Luboradzki i Weber z uwielbieniem spoglądali na swego dowódcę, zdawając się zapominać, gdzie się znajdują.

Monotonnym głosem Kozakiewicz przeczytał wyrok sądu wojennego, skazujący — wszystkich trzech na karę — śmierci przez powieszenie. Przeczytawszy, spojrzał na stojących, pragnąc dostrzedz blady strach na ich twarzach. — Zawód jednak spotkał go dotkliwy, chłopcy bowiem stali z rozpromienionem okiem, jakby dziękując niebu za łaskę, a Zawisza dumnie podniósł czoło i głosem męskim, donośnym, rzekł:

— Sprawiedliwość carska tu się kończy, a zaczyna się sprawiedliwość Boga — On mnie i was osądzi. — Niech żyje Polska!

— Niech żyje Polska! — zawtórowali mu obaj towarzysze.

— Buntowniki niegodne! — Precz! — wykrzyknął Jałszyn. — Jutro wyrok będzie spełniony o 8 rano! — Precz!

Kozakiewicz siedział, nie patrząc na nich, przyglądając się kółkom dymu, które wypuszczał z ust, — Laichte manifestacyjnie wyjął chustkę od nosa i ocierał nią niby łzę, która nie istniała.

— Wyprowadzić ich! — rzekł do straży.

Zawisza coś chciał mówić, lecz żandarmi pchnęli go ku drzwiom i wyprowadzili.

— Na teraz jesteśmy swobodni i możemy trochę pohulać — rzekł Laichte.

— Ale po teatrze i kolacyi musimy się znowu zebrać na śledztwo względem innych — rzekł Kozakiewicz.

— To się opłaci — odrzekł uśmiechając się Laichte.

* * *

Słońce smutnie wstało z pościeli i oświeciło trzy szubienice, stojące na stoku cytadeli i trzy groby wykopane pod niemi. — Oddział wojska uformował się w czworobokach i w milczeniu oczekiwał ukazania się delikwentów. — Starszyzna, złożona z oficerów i świty żandarmów, przechadzała się w milczeniu po stokach, — na wałach armaty z rozdziawionymi paszczami zdawały się wyczekiwać ofiar, na które by mogły plunąć żelazem.

Warszawa — lubo wieść o wykonać się mającym wyroku rozniosła się już, pozostała milcząca, groźna, majestatyczna w swojem milczeniu; nieliczne tylko tłumy publiczności zaległy płaszczyznę.

Wrota cytadeli otworzyły się na rozcież i najpierw pokazał się oddział kozaków, za nimi szedł batalion piechoty, a wśród niego prowadzono trzech delikwentów. — Wszystkich oczy zwróciły się na nich.

Kroki ich były spokojne i poważne, majestat nieśmiertelności bił z ich twarzy. Każdego postawiono pod przeznaczoną dla niego szubienicą i odczytano wyrok.

Trzech księży Kapucynów towarzyszyło nieszczęśliwym; założono im stryczki na szyję i czekano znaku pociągnięcia do góry.

Chwilę tak umyślnie pozostawiono więźniów, a chwila ta niezawodnie wydała im się wiekami tortury! — Zniecierpliwieni kaci spoglądali pytająco po sobie, dziwując się zwłoce; — w tem wystąpił przed front generał Jałszyn i głosem bezdźwięcznym odczytał „najmiłościwsze" uwolnienie Luboradzkiego i Webera od kary śmierci, a skazując ich na dożywotnie katorgi w kopalniach w Syberyi. — Jednocześnie dał znak by stryczki odczepiono im ze szyi, zdjęto śmiertelne koszule i rozwiązano ręce; a w tejże samej chwili powróz Zawiszy wyprężył się, szubienica zaskrzypiała!... Zadrgało ciało i strzepnęło się, jak anioł na skrzydłach, wiatr powiewał białą koszulą śmiertelną jakby żegnając przytomnych. — Tłumy z odkrytemi głowami, oniemiałe, cichym jękiem odpowiedziały tylko na tę zbrodnię. — Odezwały się bębny i przy ich odgłosie odprowadzono dwu więźniów na powrót w mury cytadeli. Zbrodnia znowu została spełniona.

Bohaterski duch Zawiszy przepłynął nad zgromadzonym ludem, przeniknął do jego serc — zasiał tam nasiona pamięci zemsty i zaszczepił na wieki pragnienie zwalczenia przemocy, — pragnienie, które i dziś ożywia całą Polskę, która istnieje i nigdy nie wygaśnie w sercu Polaka!

— Więc nie pozwolono nam nawet umrzeć razem z naszym ukochanym dowódcą — rzekł smutnie Weber.

— A ja tak tego pragnąłem — odrzekł Antoś, — ażeby duchy nasze razem się uniosły do nieba, stanęły tam przed tronem Boga i opowiedziały mu nasze krzywdy.

— On je zna i prędzej, czy później wyrzecze swoje słowo sprawiedliwości.

— Kopalnie Sybiru nie straszą mnie — rzekł Antoś — ale straszy mnie ból matki mojej, kiedy się dowie o losie, jaki nas czeka.

— Bądź spokojny bracie, kopalnie to jeszcze nie śmierć, chociaż męczarnie tam większe od śmierci. — Beniowski wydobył się z Kamczatki, toć i dla nas nie przyłożona jeszcze pieczęć przeznaczenia. — Wierzę i ufam, że my tam nie zginiemy, że i dla nas jeszcze wybije godzina uwolnienia się i da nam sposobność nowej pracy, nowej walki za Ojczyznę.

* * *

W Luboradzu tymczasem czcigodna staruszka nic nie wiedziała, ani o zniknięciu Antosia z Płocka, ani o dalszych jego kolejach.

Pniak i Janek zachowywali względem niej głębokie milczenie, starając się nie zakłócać jej spokoju. — Doszły ich już wiadomości o losach oddziału Zawiszy, dowiedzieli się, że obaj chłopcy zostali wzięci do niewoli; — ale łudzili się, że wyrok dla czternastoletnich przestępców nie będzie zbyt surowy. Pniak z Jankiem wybierali się właśnie do Warszawy, żeby poszukać protekcyi do Paszkiewicza i wyjednać uwolnienie.

— Coś nasz Antoś dawno już do nas nie pisał — rzekła jednego południa majorowa, robiąc pończochę.

— Zajęty chłopak pracą — odrzekł Pniak.

— A jednak nie powinien o nas zapominać.

Janek chciał coś odpowiedzieć, ale na podwórzu zrobił się hałas — zabrzęczał dzwonek pocztowy i przed ganek zatoczyła się bryczka; w niej siedział oficer żandarmeryi, a na przodzie wachmistrz z żołnierzem.

Janek wyjrzał przez okno — krew zastygła mu w żyłach, ale chcąc uspokoić matkę, rzekł:

— Zapewne będzie u nas rewizya, bo przyjechał komendant Dąbrowski — niech się mama nie niepokoi, nic niema i niczego nie znajdą.

Kobieta wzniosła oczy do nieba, robota wypadła jej z rąk, ale nie rzekła ani słowa.

Drzwi otworzyły się i na progu ich ukazał się porucznik żandarmeryi Dąbrowski. Człowiek ten, na splamienie bohaterskiego wodza Legionów, nosił to samo nazwisko — zresztą innego był herbu i wcale nie spokrewniony z nieśmiertelnym generałem; — odznaczał się on nie tylko tem, że był nałogowym pijakiem i wyprawiał brewerye po domach obywatelskich, ale gorliwością swoją w prześladowaniu wszelkiej myśli polskiej zjednał sobie u Paszkiewicza znaczne łaski. Rozpuściwszy z temblaka pałasz i brzęcząc nim po podłodze sieni, wszedł do pokoju, a za nim tuż postępował wachmistrz i żołnierz. — Na widok poważnej matrony Dąbrowski zmięszał się trochę i kłaniając się, rzekł:

— Pozwoli pani majorowa, że z polecenia władzy będę musiał dopełnić rewizyi w jej domu — przykry to obowiązek, ale cóż robić, służba nie drużba.

— Rób pan co się panu podoba — odrzekła staruszka — nic tu u mnie nie ma podejrzanego.

— A to syn pani? — obracając wzrok na Janka — zapytał.

— Tak, syn, Jan Luboradzki, porucznik ośmnastego pułku liniowego — rzekł Janek, prezentując się.

— Porucznik! Hm! hm! Tak młody! — Ja dwadzieścia lat musiałem służyć zaczem się dorobiłem dwóch gwiazdek! — A to kto? — zapytał znowu, pokazując oczami Pniaka.

— Mój rządca, pan Pniak — odrzekła majorowa.

— A paszport pan ma?

— Mam.

— Proszę pokazać.

Pniak poszedł do swego pokoju i wrócił z paszportem, który Dąbrowski starannie przejrzał.

— No dobrze — przystąpimy teraz do rewizyi.

— Gdybyście panowie raczyli powiedzieć, czego właściwie szukacie, uprościłabym wam pracę szukania.

— Czego szukamy? Broni, ukrywających się ludzi, papierów, zakazanych książek.

— Nic tu podobnego u mnie nie znajdziecie — proszę szukać.

Zaczęto otwierać stoliki, komody, przewracać meble, odbijać od nich przykrycia, przetrząśnięto nawet spiżarnię i garderobę, — ale niczego nie znaleziono, coby mogło kompromitować właścicielkę.

Tymczasem postawiono na stole skromną zakąskę i poproszono komendanta, żeby się posilił.

Dąbrowski nie dał się prosić, skinął na żandarmów, żeby wyszli i sam zasiadł do stolika, nie od-

pasowując jednak szabli. Był to znak, że jeżeli przyjął zaproszenie, to nie zrzeka się jednak swego urzędowego stanowiska.

— Złe czasy nastąpiły, szajki buntowników rozsypały się po kraju, podburzają głupców, do łączenia się z nimi i ściągają na kraj nieszczęście. Szubienice już skrzypią pod trupami winowajców.

Usłyszawszy straszne słowo „szubienice”, majorowa aż pobladła, — Janek i Pniak zacisnęli zęby i milczeli uporczywie.

— Tak — mówił dalej Dąbrowski — w Wilnie już powiesili Michała Wołowicza. Człowiek był bardzo bogaty i potrzebne mu było kłaść ręce w ogień, ale rząd inaczej postępować nie może z buntownikami

— A u was, w Warszawie co słychać? — zapytał Pniak.

— A i Warszawa miała piękne widowisko, wczoraj powiesili na stokach cytadeli Artura Zawiszę — a pani dobrodziejce mam honor powinszować szczęścia — syn jej został uwolniony od śmierci i tylko skazany na Sybir.

Majorowa spojrzała takim wzrokiem na mówiącego, że zdawało się, iż oczy jej wyjdą z oprawy; — wargi zsiniały i zaledwie zdolna była powiedzieć:

— Nie rozumiem, co pan mówi! — Mój syn?! On jest przy mnie tu!

— Ale drugi syn pani — w Warszawie!

— Co? Antoś? Toć to dzieciak jeszcze! Jest w szkołach!

Dąbrowski uśmiechnął się szyderczo i odrzekł, nalewając sobie już trzeci kieliszek wódki.

— Widzę, że pani nic nie wie; — a mógłby pan porucznik objaśnić panią, bo zapewne lepiej w to wtajemniczony, że syn jej najmłodszy zbiegł ze szkół w Płocku i przyłączył się do bandy Zawiszy. Ujęli go z bronią w ręku i był osądzony przez sąd wojenny na tę samą karę co Zawisza, ale najjaśniejszy pan ułaskawił go i kazał tylko zasłać do kopalń syberyjskich.

Staruszka wyprostowała się, postać jej nabrała takiego majestatu, że biły od niej promienie, jakby od jakiej świętej męczennicy. — Milcząc, powstała z krzesła i opierając się na ramieniu Janka, rzekła:

— Ty mi tylko pozostałeś mój jedynaku.

— Pan porucznik będzie także musiał pożegnać panią majorową, bo na jakiś czas potrzebny jest do sprawdzenia kilku szczegółów w śledztwie, potem powróci! — To mówiąc, powstał od stołu i obracając się do Janka, rzekł:

— Czas nam w drogę — proszę się zabierać zemną — i jednocześnie uchylił drzwi od sieni i skinął na żandarma, który wszedł z gołą szablą w ręku.

Jankowi pozwolono zaledwie przebrać się; nie chcąc powiększać bólu matki, rzekł jej, uśmiechając się:

— No to jedziemy, nie długo tam zapewne zabawię i prędko do ciebie, mamo, powrócę; bądź spokojną, mam nadzieję, że i Antosia ci przywrócę.

Nie uspokoiły jednak te słowa stroskanej matki; dreszcz przeszedł ją od stóp do głowy — nic

nie wyrzekła, wyciągnęła tylko ramiona do ostatniego dziecka, w które rzucił się Janek, potem padł do jej kolan, a ona podniosła rękę do góry i pożegnała klęczącego, mówiąc:

— Nie upadaj, Bóg cię ma w swojej opiece.

— Bądź zdrowa matko — wkrótce się zobaczymy — to były ostatnie słowa pożegnania.

— Jeżeli nie tu, to tam, gdzie już nas nikt nie rozłączy — odparła zrezygnowanym głosem.

— Co do pana — rzekł Dąbrowski zwracając się do Pniaka — to lubo właściwie powinienbym go aresztować, jako mocno podejrzanego, lecz zostawiam go wolnym, żeby nie robić pani majorowej kłopotu w zarządzie dóbr.

— Czas nam w drogę — odwrócił się i chciał podać rękę majorowej — ale ta udała, że tego nie spostrzegła.

Dąbrowski zgrzytnął zębami, włożył kask i wyszedł, kazawszy naprzód postępować więźniowi.

Matka bez łez stanęła w oknie i patrzyła na brykę pocztową, na której już siedział Janek między dwoma żandarmami. — On uśmiechnął się do niej — ona wyciągnęła ręce i zrobiła jeszcze raz znak krzyża nad odjeżdżającym.

Pniak z synowską troskliwością zbliżył się do niej, chcąc ją pocieszyć, ale spojrzawszy w jej twarz przeraził się, bo twarz to była jakby skamieniała! Żaden nerw w niej nie drgał — żaden muskuł, oczy tylko patrzały szeroko otwarte; po długiej dopiero chwili usta jej odchyliły się i głosem tak donośnym, że echo jego rozległo się w komnacie, wyrzekła:

— Tobie Polsko na ofiarę oddałam wszystko, co mi było drogie, co święte — nic już nie mam do ofiarowania Ci, nic! Biedna nędzarka, oddaję Ci boleści moje, serce moje, duszę moją — rozporządzaj mną i moimi skarbami. Po chwili nagle otrząsając się z przygnębienia, zwróciła się do Pniaka i rzekła z mocną decyzyą:

— Jedziemy natychmiast!

Pniak nie pytał gdzie, dokąd, widział, odczuł to, że matka jedzie pożegnać się z synami i dać im ostatni macierzyński uścisk.

W godzinę po wyjeździe Janka — cztery konie najlepsze, zaprzężone do lekkiej bryki — unosiły majorową i Pniaka po piaszczystej drodze.

Milczenie z początku panowało zabijające — tylko od czasu do czasu słychać było głos pani Luboradzkiej do woźnicy:

— Jedź — nie żałuj koni.

Woźnica roztaczał bicz nad czwórką, rozlegało się trzaśnięcie, podobne do wystrzału z pistoletu i konie biegły wyciągniętym kłusem, a jeżeli na chwilę zwolniły biegu, wnet dawał się słyszeć głos:

— Jedź — spiesz się. — Pierwsze trzy mile konie przebiegły raźno i lubo pot ściekał im z boków, nie pokazywały zmęczenia. — Przed karczmą w Wyszogrodzie woźnica zatrzymał czwórkę.

— Trzeba koniom trochę wytchnąć, proszę Wielmożnej pani.

— Jedź, niech padają wszystkie — a jedź.

Ruszono tedy w dalszą drogę. Na piątej mili jeden z młodych koni dyszlowych zaczął opóźniać się, utykać, i widoczne było, że nie podąży za in-

nymi; mimo razów koń nie podążał — aż padł i nie myślał się podnieść.

— Odprząż go i zostaw na drodze.

Woźnica zsiadł z kozła i chciał zaplątane postronki na orczyku odwiązać.

— Przetnij nożem postronki i dalej! — gorączkowo rozkazała majorowa.

Woźnica milcząc, spełnił rozkaz; jednego z licowych zaprzężono do dyszla i pozostawiwszy na drodze upadłego konia, ruszono dalej.

Nie długo drugi koń uległ temuż samemu losowi, wyprzężono go i pozostawiono jak pierwszego.

Jedna już tylko para koni wytężyła ostatnie siły i zaledwie zawlec zdołała brykę do Jabłonnej — tu już pokazała się stanowczo niemożebność dalszego użycia koni — ale w Jabłonnej, tej historycznej siedzibie ukochanego księcia Józefa, była już poczta, więc można było z niej skorzystać.

Przebyto most łyżwowy na Wiśle i gdy Pniak namyślał się, do którego zajechać hotelu, bryka pocztowa zrównała się z zamkiem królewskim. Już miała go mijać, udając się na Podwal, kiedy majorowa zawołała:

— Stój!

Konie zatrzymały się — kobieta wysiadła przed bramą zamku i skinąwszy na Pniaka, żeby szedł za nią, skierowała się ku bramie zamkowej. W tej właśnie chwili powóz zaprzężony w cztery konie, w poręcz otoczony, z kilkunastu malowniczo ubranymi Czerkiesami wpadł w bramę zamkową; siedział w nim książę ewaryński Paszkiewicz z adjutantem. Za powozem, jednokónną parelotką, przeprzężoną w

dzielnego konia, w asystencyi trzech konnych kozaków, pospieszał oberpolicmajster Warszawy, sławny ze swoich wyskoków, Abramowicz.

Konie czerkieskie o mało nie roztratowały kobiety i towarzyszącego jej Pniaka! Zdawało się, że kobieta zdąży zabiedz drogę Paszkiewiczowi, gdy będzie wysiadał z powozu — ale bystre oko Abramowicza spostrzegło ją; — skinął na stojących obok policyantów i natychmiast dwóch przytrzymało za ramiona nieszczęśliwą matkę.

Abramowicz spiesznie wyskoczył z parelotki i zbliżywszy się parę kroków, zapytał:

— Ty kto? — Gdzie idziesz?

— Majorowa Luboradzka — proszę mnie puścić — chcę pomówić z księciem.

— Oho! — pomówić z księciem — właśnie książę ma czas do rozmowy z babami! A ty co chciałaś od księcia?

— Dwóch synów moich jest uwięzionych...

Nie dokończyła jeszcze, gdy Abramowicz jej przerwał:

— Luboradzcy wszyscy buntowniki, znam ja ten ród, kiedyś służyłem z twoim mężem! Coś ty chciała?

— Chciałam mieć posłuchanie i nie czekając odpowiedzi oberpolicmajstra przedzierała się ku schodom.

— Precz z nią! — Podaj proszenie!

I odtrącono biedną matkę, nie pozwolono nawet zbliżyć się do schodów.

Tymczasem zebrała się przed gankiem garst-

ka publiczności, którą nahajkami zaczęli rozpędzać Czerkiesy.

Pomiędzy zgromadzonymi wyróżnił się człowiek już nie młody — krępy, niski, z zawiesistymi wąsami, w szaraczkowej czamarce, ozdobiony wstążeczką czarno-niebieską krzyża Virtuti militari. — Ten przecisnął się przez tłum i zbliżywszy się do Pniaka, zapytał cichym głosem:

— Kto to jest?

— Majorowa Luboradzka.

—Ach znam! — Tu nic nie zrobicie, nieszczęśliwi. — Jedźcie do hotelu, przyjdę tam zaraz; najlepiej na Podwale. — To mówiąc, wykręcił się i zanurzył w tłumie.

Majorowa bezwładna, niemal nieprzytomna, dała się odprowadzić Pniakowi, który dopomógł jej wsiąść na brykę; schroniono się więc do hotelu.

Zaledwie Luboradzka zdołała wysiąść i ulokować się w jednej ze stacyi, — drzwi się otworzyły i wszedł policyant, pytając o paszporty. — Nie było ich! Zbyteczny pośpiech kazał im zapomnieć o tem. Ale na szczęście z ruskimi policyantami łatwo się można porozumieć, nie rozmawiając nawet. — Pniak wyjął pięcio-rublówkę, wsunął ją w rękę policyanta, objaśnił go co się stało, a ten, skłoniwszy się, wyszedł.

W tej samej prawie chwili wszedł człowiek, któregośmy widzieli przed zamkiem, nie meldując się wcale.

— Jestem pułkownik Piotr Ragujski, towarzysz męża pani jeszcze z Hiszpanii. — Widząc

przykre położenie pani, przyszedłem ofiarować swe usługi, może się tu na co przydam.

— Ach, pułkowniku, ratuj mnie! — Pragnę zobaczyć moich synów, ocalić ich! Dopomóż mi, jeżeli możesz.

— Uspokój się pani majorowa, wszystko się tu da zrobić, tylko trochę cierpliwości i znajomości rzeczy jak się to tutaj drzwi otwierają. Racz pani opowiedzieć mi, jak stoi sprawa?

— Alboż ja wiem? — Straciłam męża i ostatniego syna w ostatnim boju. — Teraz porwali mi dwóch młodszych synów. — Za co? — Alboż ja wiem nieszczęśliwa?

— Nie trzeba rozpaczać — Bóg złamie kark złemu, a jak mówi proste przysłowie chłopskie: „Samo złe rozbije się o Bożą Mękę".

— Tak — ale ja chcę widzieć moich synów.

— Popróbujemy i tego, a mam nadzieję, że nam się to uda. — Tu, w Warszawie, w której kazano mi siedzieć pod dozorem policyjnym i nie wyjeżdżać, obznajmiłem się ze wszystkimi stosunkami, i sztuczkami jakie się odgrywają. W cytadeli stanowi o wszystkiem wszechpotężny trymwirat — 3-ech łotrów, Jałszyn, Kozakiewicz i Laichte; na szczęście pieniędzmi można sobie do nich otworzyć drogę i zyskać ich protektorat. — Z tych trzech infamisów najgorszym może, ale najłatwiejszym do przekupienia jest Laichte. — Trzeba, żebyś pani udała się do niego, mieszka stąd niedaleko na Krakowskiem Przedmieściu, w domu Dobrycza, a jestem pewny, że coś się da zrobić.

— A więc nie tracąc czasu idźmy tam.

— Ja panią tylko mogę zaprowadzić, nie lubi on rozmawiać z interesantami w więcej jak w cztery oczy.

— Idźmy więc — jak można najprędzej.

Na pierwszem piętrze wskazanej kamienicy miał pułkownik Laichte kwaterę, składającą się z 8 pokoi i salonów. — Kiedy tylko zabrzęczał dzwonek u drzwi wchodowych, natychmiast pokazał się lokaj wygalowany i wprowadził do przedpokoju.

— Kogo mam zameldować — zapytał po polsku.

— Majorowa Luboradzka.

Lokaj zniknął na chwilę, ale wkrótce powrócił i wprowadził przybyłą do salonu, wykwintnie umeblowanego; kosztowne dywany pokrywały posadzkę, wielkie lustra zasłaniały ściany — a na środkowej wisiał portret, przedstawiający w naturalnej wielkości cara Mikołaja.

Drzwi otworzyły się i w progu ukazał się pułkownik Laichte w galowym mundurze, obwieszonym krzyżami, widocznie wybierał się gdzieś z wizytą; — wskazał uprzejmie krzesło i zapytał:

— Czem mogę pani łaskawej służyć?

— Jestem matką dwóch Luboradzkich ostatnio uwięzionych; pragnęłabym widzieć ich i prosić o uwolnienie.

Na te słowa Laichte, podniósł się z krzesła i głosem zimnym, jak stal, odrzekł:

— To być nie może.

Kobieta nie zmieszała się tą odpowiedzią, wyjęła z torebki rulonik trzydziestu dukatów i położywszy go na stole, rzekła:

— Znana jest pańska potęga i uprzejmość, jeżeli zechcesz pan, to pocieszysz strapioną matkę i ułatwisz mi widzenie.

Laichte bystrym okiem ocenił wartość rulonika, błogi wyraz przeszedł po jego twarzy i siadając napowrót na krześle, rzekł:

— Przeceniacie państwo moją władzę! Bóg widzi, że gdyby to odemnie zależało, to wszystkich tych nieszczęśliwych uwolniłbym i jeszcze uściskał, wypuszczając. — Ale cóż? Ja jestem bezsilny. — Chłopców pani dobrodziejki znam obydwóch. — Ten najmłodszy — cóż to za śliczny dzieciak! Pokòchałem go. Ale wyrok nie odemnie zależał, płakałem prawie, czytając go i patrząc na twarz tego chłopca, jak mężnie tego wysłuchał. — Posyłają go na Sybir! Ale tam nie jest tak źle, jak rozgłaszają; niedługo może cesarz go ułaskawi. Jutro ma być wysłany z partyą aresztantów, — napiszę, żeby się z nim dobrze obchodzono.

— A czy będę go mogła widzieć?

— Dlaczego nie — dam pani przepustkę zaraz i jutro o godzinie 8-ej rano na zbornym punkcie na Pradze będziesz się pani mogła z nim pożegnać.

— A starszy syn mój Jan! Czy z nim będę się mogła także widzieć?

— To żadnym sposobem teraz nastąpić nie może — śledztwo w toku — a zapieraniem się udziału w buncie pogarsza ją. — My wszystko wiemy. Na nic mu się więc nie przyda przeczenie.

— Ależ on do niczego nie należał, o niczem nie wie! Cóż więc może powiedzieć?

— Wiemy my dobrze, że był naznaczony na naczelnika powiatu okręgowego.

— To fałsz, panie pułkowniku — zaręczam ci honorem, że fałsz!

— No to się pokaże ze śledztwa. Niech pani dobrodziejka będzie spokojna, sprawiedliwość będzie wymierzona.

Sprawiedliwość! — Ten człowiek, ten zbir śmiał mówić o sprawiedliwości i na nią się powoływać.

Chwilę panowało milczenie.

— Więc nie będę mogła widzieć mego syna starszego?

— Tego nie mówię, — ale nie teraz; potem zobaczymy, a tu jest przepustka dla pani na zborny punkt jutro o ósmej rano. — Powstał, dając znak, że rozmowa skończona.

Zacna matrona miała tyle siły woli, że wyszła na pozór spokojnie; na ulicy przed bramą zastała pułkownika Rogujskiego i Pniaka.

— I cóż? — zapytali prawie jednocześnie.

— Jutro o ósmej na Pradze na zbornym punkcie będę mogła zobaczyć mego Antosia. Ale z Jankiem nie pozwalają mi się widzieć, obwiniają go o udział w partyzantce, chociaż to jest wierutne kłamstwo.

— To zwykła metoda warszawskich satrapów, obwiniają, żeby wyciągnąć łapówkę! — Dałaś mu co pani?

— Zostawiłam na stole trzydzieści dukatów.

— To dobrze, znajomość już zrobiona, resztą się sama ułoży.

Zmęczona całodzienną podróżą i walką uczuć, jaka się rozgrywała w jej duszy, biedna kobieta wróciwszy do hotelu, rzuciła się nierozebrana na posłanie, ale całą noc oka zmrużyć nie mogła. Ciemno jeszcze było, gdy już chodziła po niewielkim pokoju, spoglądając co chwila na zegarek.

Pniak, który zajmował drugi numer w hotelu, także przepędził noc bezsennie.

— Już czas — wyszeptała pani Luboradzka, spoglądając na zegarek, który dopiero wskazywał godzinę szóstą; — zadzwoniła na numerowego i kazała mu poprosić Pniaka; ten za chwilę zjawił się zupełnie ubrany.

— Idźmy już, ja się palę cała z niecierpliwości.

— Dobrze — odrzekł lakonicznie porucznik, podając rękę chwiejącej się na nogach matronie.

Poranek był chłodny, gęsta mgła zasnuwała ulice. Dorożki tak rano jeszcze nie włóczyły się; nie czekając więc na nie, skierowali się znajomi nasi na Krakowskie Przedmieście i przeszedłszy około domu Malcza, zagłębili się w Browarną ulicę, dążąc ku mostowi.

Robotnicy tylko, idący do pracy, przechodzili obok nich, niosąc w zawiązanych chusteczkach śniadanie; smutek i przygnębienie malowały się na wszystkich twarzach. — Około samego mostu stało parę bryczek żydowskich, tak zwanych dorożek praskich, obszarpanych, zaledwie przykrytych brudnym łachmanem. — Furmani widząc postępującą starą kobietę i przy niej młodego człowieka, domyślili się, że potrzebują oni dorożki i hurmem

rzucili się do nich, zachwalając swojego konia. — Do pierwszej z brzegu bryczki wsiedli oboje.

— A gdzie mam jechać? — zapytał żydek.

— Na zborny punkt na Pradze — odrzekł Pniak.

Żydzi zaczęli szwargotać, ciekawie lustrując przybyłych.

— A ile dostanę?

— Jedź — niecierpliwie zawołał Pniak.

— Ile chcesz?

— Rubelka tylko.

— Dobrze.

Żyd zaciął chudą szkapę i bryczka wtoczyła się na most. — Wisła cała spowita była mgłą, nic więc widzieć nie było można. Na Pradze po wyboistej niebrukowanej ulicy żyd, okładając konia, wlókł się pomału.

W pół godziny zarysowały się mury fortu Śliwickiego, na którym był zborny punkt dla aresztantów, których wysyłano w głąb Rosyi.

Prawie nikogo nie spotkano na tej drodze. — Mgła cokolwiek rozrzedziła się i dozwalała widzieć bliskie przedmioty.

Ogromna brama żelazna zamykała wejście do fortu — przed bramą chodził żołnierz z karabinem. — Żyd stanął, bo wjeżdżać w bramę nie było wolno.

— Kto idiot? — zapytał żołnierz.

— Oto przepustka — rzekł Pniak, pokazując papier.

Żołnierz nic nie mówiąc do przybyłych, zbli-

żył się do bramy i przez małe okienko przywołał podoficera.

Podoficer obejrzał przepustkę, skinął na żołnierza, żeby uchylił bramę — ale kiedy majorowa przekroczyła próg a Pniak chciał za nią pośpieszyć, zagrodzono mu drogę słowy:

— Tu tylko jest pozwolenie dla tej pani, a pan nie wejdzie bez pozwolenia.

— Oto jest przepustka druga, rzekł Pniak — wciskając rubla w łapę podoficera.

Ten milcząc schował łapówkę i kazał przepuścić Pniaka.

Podwórze, na którem znaleźli się przybyli, stanowiło wielki czworobok, z trzech stron wznosiły się koszary, nowo wystawione, pomalowane żółtą farbą, — wstrętny dla oka przedstawiały widok; — całe podwórze było puste, żadnego ruchu, żadnego człowieka — istne ćmentarzysko.

Gdy rozglądali się naokoło, pragnąc poinformować się, dokąd się udać, z jednego pawilonu wyszedł pisarz wojskowy i zbliżywszy się, zapytał, czego pragną.

— Mamy pozwolenie widzieć się z jednym aresztantem, który się tu ma znajdować — objaśnił Pniak.

— Jak się nazywa?

— Antoni Luboradzki.

— O, ten mołodziec! On tam już stoi na drugiem podwórzu w partyi aresztantów, ale tam iść nie wolno.

— Mamy pozwolenie od pułkownika.

— Gdzie ono?

— Odebrał podoficer stojący przy bramie.

— Trzeba mu było nie oddawać — a bez przepustki na drugie podwórze wejść nie wolno.

Pniak w jednej chwili poznał, że te utrudnienia są tylko na to robione, ażeby nową łapówkę wydusić, nie namyślając się więc, wydobył znowu trzyrublówkę i podał ją pisarzowi.

— Na co to? — To nie potrzebne! — mówił pisarz, chowając jednak banknot. — Ot niech państwo pójdą za mną, przeprowadzę. — Dlaczego nie!

To mówiąc, skierował się do jednych z drzwi kasarnianych, przeprowadził naszych znajomych przez ogromną pustą salę i znowu przez jakiś korytarz wyprowadził ich na obszerne podwórze.

Na podwórzu tem stało kilkunastu kozaków na koniach w szeregu; pospuszczane piki oparli na ziemi, przed frontem ich przechadzał się oficer, paląc fajkę na krótkim cybuchu.

Prawie w tejże chwili drzwi od kasarni otworzyły się na rozcież i zabrzęczały kajdany, a tłum kilkudziesięciu postaci wysypał się na podwórze. Postacie te tak dziwny i niezwykły przedstawiały widok, że można było sądzić, iż są to widma, stworzone w sennej fantazyi.

Pisarz wojskowy z podoficerem zaczął je ustawiać w jeden rząd długi.

Kto potrafi opisać ubiór tych ludzi? Bure opończe z grubego sukna, skromne, na wzór ubiorów, w jakich nam karykatury przedstawiają Chińczyków, lecz bez tych jaskrawych ich kolorów; opończe te na niektórych wyższych sięgały ledwie kolana, niższym wlokły się po piętach; niektórzy prze-

pasali się postronkami, inni, za ubodzy na taki zbytek, pozostawili je rozpięte; czapki ogromne bez daszków z tegoż samego materyału z dużymi nausznikami, zawiniętymi do góry, wpadały na czoło; niektórzy z więźniów mieli kajdany na rękach i nogach, inni tylko na rękach, a byli i tacy, którzy nie nosili tych okowów; — szczególniejsze wyróżnienie stanowiły przyszyte na plecach, duże, wielkości rubla łaty z ponsowego sukna! miało to oznaczać największych zbrodniarzy, skazanych na wieczność do kopalń. — Widok tych nieszczęśliwych przejmował dreszczem litości! — Niektórzy stali, opierając się na laskach i ponuro spoglądając naokoło; u innych spostrzedz było można boleść i łzę w oku, inni wreszcie stali apatycznie zrezygnowani na wszelkie cierpienia.

Na końcu długiego szeregu stało dwóch chłopców. Obaj mieli na plecach przyszyte łaty czerwone — ale wolni byli od kajdanów, obaj jakby urągali niewoli, śmiało rozglądali się po tłumie towarzyszy i do góry trzymali podniesione głowy.

Oficer zbliżył się do nich i zapytał pisarza dlaczego nie mają kajdanów.

— A to, Wasze błagorodje, potomu, że w całym składzie kajdanów niema takich, któreby pasowały na tych malczyków. Wszystkie robione na dorosłych ludzi, a ci mają takie małe ręce, że kajdany spadają im z rąk; dlategośmy ich nie ubrali, mogliby zgubić, a ktoby zapłacił rządowi?

— Tak dajcie jakich powrozów i związać ich, inaczej to oni gdzie w drodze uciekną.

— Niema koziennych powrozów.

Oficer zamyślił się chwilę i właśnie miał skinąć na jednego z Kozaków, żeby troki od uzdy odwiązał i skrępował biedaków, gdy przed frontem zjawiła się majorowa w towarzystwie Pniaka.

— Pani co potrzeba? — zapytał oficer.

— Ta pani ma przepustkę i pozwolenie na pożegnanie syna.

— A który to jest?

— Ot, właśnie jeden z tych dwóch malców.

— On szlachcic?

— Tak, syn majora.

— On polityczny przestępca?

— Tak jest.

Oficer spojrzał jakiemś przyjaźniejszem okiem i miał coś powiedzieć, — gdy Antoś ujrzał zbliżającą się matkę, w jednej chwili wysunął się z szeregu i upadł jej do nóg.

— Synu mój — rzekła tylko pani Luboradzka, podnosząc go i tuląc do piersi.

— Matko! Matko moja biedna! — łkając, szeptał Antoś.

Oficer spoglądał ze wzruszeniem na tę scenę.

W chwili, kiedy matka tuliła do piersi ukochane dziecko, czapka Antosia spadła z głowy na ziemię i pokazała się głowa jego nawpół ogolona; druga połowa głowy pokryta była ciemnym włosem. Widok to był tak przykry, tak zmieniający fizyognomię, że przez chwilę matka nieszczęśliwa nie mogła uwierzyć własnym oczom, czy to ten syn jej stoi przed nią własny. Załamała ręce, wznosząc oczy do nieba. Oficer tymczasem skinął na Pniaka i odprowadził go na stronę, pytając:

— Za co ten malec dostał się pomiędzy zbrodniarzy?

— Za miłość swojej Ojczyzny kapitanie; brat jego i ojciec zginęli walcząc za nią, drugi brat jego jęczy w cytadeli, a ta biedna stara matka, która utraciła wszystko, co miała najdroższego, zostaje sama.

— Oto nasze miłościwe rządy — rzekł wzruszony kapitan — powiedz pan matce i zapewnij ją odemnie, że w czasie transportu pod moim dozorem, a ten trwać będzie aż do Moskwy, nie pozwolę żadnej krzywdy zrobić — temu dzieciakowi.

— A ten drugi mały?

— To jego kolega szkolny, obaj opuścili szkołę, zaciągnęli się do partyi partyzantów, popadli w niewolę i teraz znoszą.

— Małodcy! — wyrzekł cicho kapitan i spojrzał na zegarek.

— Czas w pochód! 8-ma za dwie minuty, a o ósmej mam rozkaz wyruszyć; — możecie im dać coś pieniędzy, ja o tem nie będę wiedział, bo to surowo zabronione.

Pniak szybko zbliżył się do Antosia uwieszonego u ręki matki i ściskając go, wsunął mu w rękę mały rulonik złota, ostatni, jaki wywieźli z Luboradza.

— Formuj się! — zagrzmiał głos oficera.

Kozacy otoczyli partyę dokoło. Matka konwulsyjnie ściskała dzieciaka, jak gdyby nie chciała mu pozwolić oddalić się.

— Formuj się, do szeregu! — rozległ się powtórnie głos komenderującego.

Biedna kobieta zadrżała na całem ciele, dech jej zaparł się w piersiach, wypuściła rękę ukochanego dziecka i padła bez przytomności na ziemię, zaledwie zdoławszy wyszeptać:

— Błogosławię was obydwóch.

— W pochód! — Kozak wziął pod ramiona Antosia, wprowadził go do szeregu — i cały oddział brzęcząc kajdanami wyszedł za bramę fortu.

Pniak uścisnął rękę kapitana i zaklął go w imię honoru oficerskiego, prosząc, żeby dał opiekę biedakom.

Podwórze zostało puste — zbliżył się pisarz i przypomniał, że powinni wychodzić, lecz widząc zemdloną kobietę, zakręcił się, przyniósł w butelce wody i skropił jej twarz.

Na chwilę majorowa przyszła do przytomności, o tyle, że przy pomocy Pniaka i pisarza zdołano ją zaprowadzić do bryczki, która czekała za bramą fortu. — Bezwładną umieszczono na niej i żydek zacinając znowu swoją szkapę puścił się ku Warszawie.

— Niech ich diabuł weźmie, — rzekł, obracając się do Pniaka — ja tyle czekałem czasu, to wielmożny pan coś dołoży do tego rubelka.

— Dobrze, dobrze, tylko jedź prędko do hotelu, żeby można wezwać doktora.

Przybywszy do Warszawy, Pniak zastał już w hotelu czekającego pułkownika Rogójskiego. Ten przeraził się widokiem pani Luboradzkiej, bo zestarzała się w ciągu tego ranka o lat 10; włosy jej stały się siwe, a twarz okryta zmarszczkami, była żółta jak maska woskowa.

Wezwano najznakomitszego w Warszawie doktora, Malcza, ale sztuka lekarska okazała się bezsilną wobec cierpień moralnych; jedyną radą jakiej lekarz udzielił było, żeby pacyentkę jak najprędzej odwieść do domu i zostawić leczenie niezawodnemu lekarzowi — czasowi. Pułkownik Rogójski użyczył swego powozu i tego samego jeszcze dnia wyprawił w drogę nieszczęśliwą matkę, przyrzekłszy, że będzie pamiętał o sprawie Janka i ma nadzieję, że go wkrótce wypuszczą; boć koniec końcem, nie było przeciw niemu żadnych dowodów przestępstwa.

Jakże się mylił zacny człowiek, sądząc, że sama niewinność i brak wszelkich dowodów, będą dostateczne do uwolnienia! Ten, kto raz popadnie w szpony tygrysa, nie może wyjść z nich, nie okupiwszy się krwią.

Jedenaście miesięcy trwały męczarnie, któremi torturowano więźnia — starano się koniecznie przekonać go, że naznaczony był na okręgowego powiatu, a jeżeli sam nie poszedł do partyzantki i wysłał tylko brata, to dlatego tylko, żeby oszukać władzę — i w danej chwili wesprzeć ruch buntowniczy.

Z początku wtrącono Janka do celi podziemnej, która miała zaledwie 10 łokci średnicy; małe okienko wychodziło na Wisłę, okuto go w kajdany — nie dano słomy na posłanie — żywiono tak nędzną strawą, że wygłodniały pies zawahałby się jeszcze, zanimby jej pokosztował. Badania odbywały się zwykle w nocy, kiedy więzień zdenerwowany, wyrwany ze snu, nawpół był zaledwie przytomny. Ale wszystkie usiłowania sędziów nie mogły z więźnia

wydobyć ani słowa, któreby im mogło służyć za podstawę do potępienia go.

Zresztą — co miał powiedzieć, kiedy rzeczywiście nic nie wiedział i do niczego nie należał.

Po dziesięciu miesiącach takiej inkwizycyi niespodzianie zjawił się w jego norze Leichte; rozkazał wyjść dozorcy i stanąwszy na środku celi załamał ręce, wyjął chustkę do nosa i ocierając łzy udane, mówił:

— Biedny człowieku, do czego cię przyprowadził upór! Serce mi pęka od bólu, patrząc na ciebie. Ja służyłem z twoim ojcem, kochałem go! I ja jestem Polakiem, chociaż noszę nazwisko cudzoziemskie. Ale — głową nikt muru nie przebije! — Tu walka niepodobna — mówił szeptem. — Rosya to mocarz, jakiego drugiego niema w świecie. Usłuchaj mnie — poruczniku, ulituj się nad twoją starą matką, powiedz tylko kilka nazwisk obywateli, a będziesz wolny! Ja ci ręczę za to moim honorem! Natychmiast każę cię przeprowadzić do innej, przyzwoitszej celi — wyrobiłem też pozwolenie, którego ci dotąd odmówiono, na napisanie listu do matki; niech ona przyjedzie lub wasz przyjaciel, ten Pniak, niech się zobaczy ze mną, — a podam im środki ratunku! Tobie radzę tylko, żebyś napisał kilka nazwisk; trzeba coś wilkom wpakować w gardziel! — Kilka nazwisk, nie pisząc nawet, co robili, a wszystko się ułoży dobrze. — Namyśl się dziecko mojego przyjaciela! — To mówiąc, podał mu cygaro i rozkazał natychmiast przenieść więźnia na pierwsze piętro, obiecując, że będzie się mógł zo-

baczyć z matką jak tylko przyjedzie do Warszawy.

Janek milcząc, wysłuchał tak długiej, a tak pełnej podłości gadaniny, i dobrze zrobił, że umiał milczeć, bo wyrazy pogardy, które mu się cisnęły na usta, byłyby niezawodnie bardzo pogorszyły jego położenie. — Umieć niekiedy milczeć, to znaczy być mądrym.

Nowa cela była stancyjką niewielką, ale schludną, było w niej łóżko, stolik i stołek, okienko, lubo zakratowane, dozwalało widzieć dachy Pragi, a dla biednego więźnia wielką to już było ulgą. Dostarczono mu papieru i pozwolono list wyprawić do matki; — wiedząc dobrze, że list będzie czytany, napisał tylko, że jest zdrów, i że mu pozwolono widzieć się z matką, gdyby przyjechała do Warszawy i że potrzeba, żeby się pierwej zobaczono z pułkownikiem Laichtem.

Niestety stan zdrowia majorowej nie pozwalał na odbycie tej podróży, Pniak więc sam tylko przyjechał i natychmiast udał się do kwatery pułkownika.

Laichte przyjął go bardzo grzecznie.

— No, zrobiłem co tylko było w mojej mocy — przyspieszyłem koniec śledztwa i w tych dniach zapadnie wyrok; — jaki, nie wiem jeszcze, ale będę się starał, żeby był, o ile można, łagodny! To mówił, chodząc po pokoju, — niespodzianie zatrzymał się przed oknem zamyślony, podniósł rękę i bezmyślnie niby napisał na zroszonej szybie cyfrę 1000, poczem znowu zaczął chodzić po pokoju, parę ra-

ży zwracając się do szyby i poprawiając cyfrę napisaną.

Postępowanie to zwróciło uwagę Pniaka, spojrzał na cyfrę 1000 i domyślił się wszystkiego: — Tysiąc dukatów mogło całą sprawę umorzyć i wyprowadzić na dobrą drogę!

— Będę się starał postąpić w myśl pułkownika — rzekł zimno, żegnając się.

— Dobrze pan zrobisz, innego wyjścia niema.

Pniak mocno się zafrasował. — Widocznem było, że żądają 1000 dukatów za uwolnienie — a tu skąd je wziąć w tak krótkim czasie?

Gospodarstwo było zrujnowane, w Luboradzu nie było nic do sprzedania, za zastawione klejnoty rodzinne u żyda dostała majorowa 100 dukatów i te dała Pniakowi, to był cały fundusz, którym mógł rozporządzać.

Przyszła mu myśl zobaczenia się z pułkownikiem Rogójskim. Pułkownik przyjął go z otwartemi rękoma.

— Co słychać? — jak idzie sprawa Luboradzkiego?

Pniak opowiedział mu wszystko.

— O, łotry bez sumienia — zawołał oburzony. A jednakże z nimi inaczej tu nic się zrobić nie da. Czy macie pieniądze?

— Skądże byśmy je mogli mieć? Luboradz — to mała wioska i wyniszczona, mamy wprawdzie piękny las, ale czy sprzedać potrafimy w krótkim czasie. Gdy przywiozę tę wiadomość do domu, zabiję nieszczęśliwą majorową! Przywiozłem z sobą

sto dukatów i to jest cały fundusz, jakim rozporządzamy.

Rogójski zamyślił się i chodząc po pokoju spiesznym krokiem, nareszcie rzekł:

— Musimy temu zaradzić! Masz sto dukatów, ja mam czterysta, to razem stanowi pięćset. To mówiąc, wyciągnął z pod łóżka szkatułę i wydobył z niej pieniądze. — Masz, bierz je! — mówił do Pniaka. — Idź do tego łotra i przedstaw mu, że niepodobieństwem wam wystarać się o więcej. — Moskale są naiwni. — Mam nadzieję, że wszystko da się załatwić pomyślnie — mnie oddacie, jak będziecie mogli.

Pniak uścisnął rękę zacnego męża i nie tracąc czasu, udał się napowrót do kwatery Laichtego.

Puszczono go natychmiast. — Laichte stał wyprostowany.

— Z czem pan przychodzisz?

— Przynoszę pięćset dukatów, które zaledwie potrafiłem wydostać; — chociażby nam głowy ucięto, więcej nie potrafimy wyszukać.

Laichte udał oburzonego.

— Któż żąda od was jakich pieniędzy? — Ja ich się dotknąć nie chcę, — ale — obok mnie są ludzie interesowani, z tymi inaczej gadać nie można, jak tylko położywszy im widoczne brzęczące dokumenty na stole.

— A jednak mówiłeś panie pułkowniku, że służyłeś ze starym, dziś już nie żyjącym Luboradzkim, czy żywisz sympatyą dla nieszczęśliwej matki, która w tak krótkim czasie pozbawiona została mę-

ża i trzech synów! Ratuj ją, panie, weź te pieniądze i użyj jak będziesz uważał za właściwe.

— Siadaj pan — rzekł uprzejmie Laichte — pomówimy otwarcie w cztery oczy: Ta swołocz moskiewska, jest bardzo chciwa — obydwaj członkowie sądu, generał Jałszyn i Kozakiewicz ułożyli sobie, że powinni w tym interesie zarobić po pięćset dukatów, a tu sprawa redukuje się do połowy! Obawiam się, że zaledwie w połowie wydadzą wyrok zadawalniający, przecież moglibyście pożyczyć i zatkać paszczę smokom.

— To niepodobna jest dla nas, panie: kredyt zamknięty, kapitału niema i ta suma jest pożyczoną; nie potrafimy nic więcej zrobić.

— Ha, trudno — będę próbował, ile się da, tyle zrobię i zawiadomię pana jutro o rezultacie.

Pniak wyszedł ze słabą iskierką nadziei, zostawiwszy rulon złota na stoliku.

Na drugi dzień wczesnym rankiem zjawił się w jego numerze jakiś podrzędny urzędnik policyjny i objaśnił mu, że pułkownik Laichte czeka go w swojem mieszkaniu o godzinie pierwszej.

Co miała przynieść ta nowa audyencya? czy zburzenie wszelkich nadziei, czy słowa pociechy i upragnioną wolność?

— Udało się wszystko dobrze — rzekł zaraz Laichte, gdy w oznaczonej godzinie zjawił się u niego Pniak. — Wyrok zapadł bardzo łagodny, potrafiłem zmiękczyć okrutne serca; Jan Luboradzki skazany został tylko na dziesięć lat służby wojskowej na Kaukazie. — Co za świetna karyera otwiera się przed tak młodym człowiekiem! — Tam wśród

rozkosznego powietrza, przepysznych widoków natury, wśród równie dzielnych jak on towarzyszy na pysznym czerkieskim koniu z szablą w ręku, będzie mógł zdobyć w krótkim czasie szlify oficerskie i powrócić zasłużonym oficerem na łono matki. — Wprawdzie w wyroku nie powiedziano, że mu służy prawo dosługi stopnia, ale to bagatela — w pierwszej lepszej potyczce da dowody męstwa, z którego jest znany, a książę Woroncow główno-dowodzący tamtejszy, ma prawo zrobić mu ulgę i pozwolić mu do dosługiwania się stopnia oficerskiego.

— Ale to wszystko zależeć będzie od dobrej woli główno-komenderującego?

— Tak, bez wątpienia — lecz książę Woroncow znany jest z tego, że robi, ile może, dobrego wszystkim, zostającym pod jego komendą. Jestem pewny, że i tym razem inaczej nie postąpi; — zresztą wyrok jest już wydany ostateczny i nie służy przeciw niemu żadna apelacya.

— Dziękuję ci, panie pułkowniku, za te wiadomości, chociaż tak smutne, — bo jednak biedna matka pozostanie sama, a przy jej wątłem zdrowiu, przy sędziwym wieku, mało może mieć nadziei doczekania powrotu syna. Czy pozwolisz jej przynajmniej widzieć się ze synem, przed wyprawieniem go do pułku?

— Dla czego nie? Śledztwo już skończone; — prawo pozwala pożegnać rekrutów. — Trzeba, żeby zaraz przyjechała do Warszawy, gdyż za parę dni będzie wysłany z partyą na Kaukaz.

— Ależ ona jest obłożnie chora i niepodobieństwo dla niej odbyć taką męczącą drogę! — Ulituj

się pan, panie pułkowniku i pozwól synowi pożegnać się z nią w Luboradzu.

Laichte zamyślony chodził po pokoju, nareszcie obracając się do Pniaka, rzekł:

— Dużo pan wymaga odemnie, bo gdybym na to pozwolił, odpowiedzialność za więźnia spadnie na mnie. — Potrzebaby wystawić kaucyę dwa tysiące rubli, że nie uciecze! — Kto to zrobi, kiedy mówicie, że nie macie pieniędzy?

— Ja to zrobię — odezwał się głos od proga i w otwartych drzwiach ukazał się pułkownik Rogójski, który wszedł, nie meldując się; — miał widać ten przywilej, bo przez jego ręce niejeden więzień został uwolniony i Laichte brał od niego pieniądze niejednokrotnie.

— Ha! Jeśli tak, to dobrze, napisz pan zobowiązanie, że na wypadek, gdyby Jan Luboradzki usiłował uciec, pan z majątku swego zapłacisz bezsprzecznie dwa tysiące rubli kary.

Pułkownik Rogójski usiadł i na podanym mu arkuszu papieru, napisał dyktandem Laichtego żądany cyrograf.

Laichte przeczytał go i rzekł:

— A więc, moi panowie, jutro rano Jan Luboradzki, pod dozorem żandarma, będzie mógł udać się z panem porucznikiem Pniakiem do Luboradza, dla pożegnania się z matką; tam zabawić może 24 godzin, a następnie wróci do partyi. — Widzicie panowie, że robię wszystkie ustępstwa, jakie tylko są w mojej mocy — a teraz żegnam was.

Pniakowi pozwolono jeszcze tego samego dnia

zobaczyć się z Jankiem i naradzić się o podróży do Luboradza.

Na drugi dzień z cytadeli wyjechała bryka pocztowa, na której w asystencyi wachmistrza żandarmeryi i Pniaka, siedział wymizerowany Janek. Bryczka szybko potoczyła się drogą ku Jabłonnie.

Pniak z troskliwością braterską wpatrywał się w twarz towarzysza. — Znać na niej było straszne przejścia cytadeli; — wzrok ponuro błądził po polach okolicznych, jakby rachował zagony i drzewa przydrożne i żegnał się z niemi.

Żandarm siedział na przodzie obok pocztyliona, zdając się zupełnie nie zważać na powierzonego jego straży więźnia.

Długa upłynęła chwila, a nikt ani jednem słowem nie przerwał milczenia. — Słychać było tylko tupot koni i niekiedy głos trąbki, ostrzegający zbliżającą się jaką furę, żeby usunęła się na bok.

Zarysowały się nareszcie aleje starych drzew w Jabłonnie: — pałac księcia Józefa, koło którego przejechali, stał pusty i milczący, żadnego ruchu, wszystko zdawało się martwe i uśpione. W Jabłonnie, nowa stacya pocztowa, — żandarm spiesznie załatwił się z podorożnią i konie ruszyły znów ku Modlinowi.

Modlin, ileż on teraz przypominał wspomnień obu oficerom nie istniejącego już wojska!

Kiedy armia ustępowała ku pruskiej granicy, oni obaj zostawieni byli na załodze w Modlinie, pewni będąc, że twierdza ta nie podda się stanowczo. Jakaż tedy rozpacz owładnęła ich, gdy Modlin kapitulował. — Spojrzeli na baszty, na których wierz-

chołkach nie powiewały już sztandary narodowe! Na najwyższej wieży wiatr rozsuwał chorągiew z barwami moskiewskiemi, na której rozpościerało skrzydła straszydło dwu głowe — coś jakby potworny nietoperz; stado wron i gawronów unosiło się nad murami i przeraźliwymi krzyki napełniało powietrze — na wałach stały armaty, które oni znali, których strzegli: koło nich przechadzały się w białych płaszczach straże żołnierzy i milczące mijały się z sobą.

Widok ten ścisnął serca młodzieńców — jednocześnie odwrócili głowy, nie chcąc patrzeć na te zmiany.

Za Wiszogrodem dopiero Pniak zwrócił uwagę na żandarma siedzącego na przodzie, który teraz obrócił się do podróżnych, prosząc o krzesiwko z hubką dla zapalenia fajki.

— Ach, ty panie Twardowski nas eskortujesz? — zapytał zdziwiony Pniak — sądziłem, że jesteś w Płocku.

— Tak, panie poruczniku, mnie przypadł ten smutny obowiązek. Wysłany byłem z depeszami do Warszawy i właśnie kiedy miałem powracać, rozkazano mi zatrzymać się i eskortować więźnia politycznego, Luboradzkiego, do Luboradza; trochę zdziwiłem się, ale i ucieszyłem zarazem, że będę mógł, o ile to odemnie zależy, zrobić jakąś ulgę porucznikowi. Instrukcyę mam bardzo surową, nakazano mi, że gdybym dostrzegł chęć ucieczki więźnia, a nie położył go trupem na miejscu, to sam będę rozstrzelany. Mój Boże! do czego to już przyszło mnie, staremu polskiemu żołnierzowi! Nie

dosyć, że muszę nosić nienawistny mundur, ale jeszcze trzeba słuchać takich nikczemnych poleceń.

— I zrobiłbyś to panie Twardowski, gdyby rzeczywiście porucznik, o czem nie myśli, usiłował uciec?

Twardowski gniewnie spojrzał na pytającego Pniaka — nic nie odrzekł, splunął tylko na stronę i otoczył się kłębami dymu z fajki.

Janek zachowywał głębokie milczenie aż do samych granic Luboradza. — Ale kiedy zobaczył wyciągniętą aleję drzew prowadzącą od dworku, kiedy poczuł zapach znajomych pól, na twarzy jego odmalowało się wzruszenie, wyciągnął ręce do ukochanego widoku i łza męska zabłysła w pięknem jego oku.

— O ziemio, moja ukochana! Wsi moja droga! Więc ja was znowu mam pożegnać — może na wieki, razem z tą biedną sierotą, cierpieniami złamaną matką moją!

Pniak położył rękę na ramieniu kolegi, a silnie ją przyciskając i wpatrując się przenikliwym wzrokiem w twarz jego, zapytał:

— Czy chcesz poruczniku zadać ostatni cios zranionemu sercu matki, jeżeli jej okażesz smutek i zwątpienie? — Nie upadaj na duchu, bracie! — Przyszłość jest w ręku Boga i ostatnia karta przeznaczeń twoich jeszcze nie zapisana.

Janek spojrzał w oblicze kolegi i jakiś czas milczał. — Twardowski odwrócił się i przypatrywał się rozmawiającym. — Nareszcie Janek otrząsając się z przygnębienia, rzekł:

— Bądź spokojny, kolego, wytrwam mężnie, los mnie nie złamie i nie pokażę się matce upadłym na duchu, bo wiem, że zabiłbym ją, gdyby się zawiodła na mnie i dostrzegła słabość, niegodną Polaka.

Bryka pocztowa zatoczyła się przed ganek; — nikt nie wyszedł na spotkanie — grobowa cisza panowała dokoła.

Janek spiesznie wyskoczył z bryczki, pies jakiś rzucił mu się do nóg, on spojrzał nań, przebiegł parę schodów i znalazł się w pokoju matki.

Kobieta-męczennica, wycieńczona trudami życia, wyżółkła z białymi włosami, siedziała na pół leżąc w fotelu — nie ruchoma; nogi jej sparaliżowane nie pozwoliły jej powstać; wyciągnęła tylko ręce, rozkrzyżowała je i czekała, aż syn się w nie rzuci.

Janek przypadł do nóg rodzicielki objął jej kolana i ze czcią je całował. Pniak tylko towarzyszył mu do komnaty. — Twardowski, nie chcąc widokiem niebieskiego munduru zakłócać spokoju staruszki, został przed gankiem, usiadłszy na stojącej ławeczce.

— Jesteś nareszcie Janku, jesteś dziecino moja! I ręką przesuwała po jego płowych włosach i pieściła go po twarzy. Wtem rzuciła okiem w okna i niespodzianie zobaczyła żandarma, — ręce jej opadły bezwiednie i cichym głosem zapytała:

— A ten żandarm, co znaczy?

— To mamo poczciwy Twardowski — nie przerażaj się.

— Ale co znaczy jego bytność w Luboradzu?

— Zwykła formalność rosyjskich urządzeń; odstawia aresztantów — rzekł Pniak.

— Trzeba go poprosić do pokoju — to dobry człowiek.

Stary wiarus wszedł do pokoju nieśmiało, zbliżył się do matrony i z uszanowaniem pocałował jej rękę.

Na chwilę zapanowało milczenie; matka nie wypuszczając z rąk głowy syna przerwała milczenie

— Zmęczeniście podróżą i przebytemi cierpieniami, odpocznijcie i pożywcie się trochę, zaraz wam podadzą posiłek.

— O, nie prędko cię teraz, mój Janku, od siebie puszczę.

Obecni spojrzeli po sobie i nie wiedzieli co odpowiedzieć; kobieta dostrzegła to i wlot domyśliła się, że wszystko jej jeszcze nie powiedziano; wlepiając tedy badawczy wzrok w twarz syna, rzekła:

— Wy coś kryjecie przedemną! Mówcie. — Janku mów, jestem silna, wszystko wysłuchać mogę.

— Matko moja musimy się jeszcze rozłączyć. Tę jednę tylko noc mogę przepędzić pod dachem rodzinnym; ja jutro muszę wyjechać!

— Gdzie, gdzie?! Nie ukrywaj niczego! Mów, rozkazuję ci rzec całą prawdę.

— A więc jestem skazany na kilka lat służby wojskowej. Nie długo to potrwa; zdobędę stopień oficera i po roku służby oficerskiej wezmę dymisyę, by powrócić do ciebie, droga matko.

Matka wlepiła weń wzrok sięgający do głębi duszy, starając się przeniknąć najtajniejsze myśli syna.

— Co, ty stopień oficera w wojsku rosyjskiem? Czyby cię ten murdur nie spalił na popiół, gdybyś go nosił dobrowolnie?! Nie, Luboradzki żaden nie będzie odstępcą! Jeżeli przemocą włożą na ciebie mundur prostego żołnierza to nie będzie to hańbą, bo jako bezsilny ulegasz przemocy, ale oficerowie już służą dobrowolnie, a tej hańby nie zniosłabym! Wolałabym cię widzieć w całunie śmiertelnym, niż w mundurze wroga!

— Ukochana moja matuchno. I ja tak myślę! Ale co robić w naszem położeniu?! Dopiero jako oficer mam prawo żądać uwolnienia! Pozwolono mi pożegnać cię, przepędzić 24 godzin z tobą i to tylko za kaucyą dwóch tysięcy rubli złożoną przez zacnego pułkownika Rogójskiego; na wypadek, gdybym uciekł, onby musiał zapłacić tę sumę!

— Mamy las: sprzedamy go za bezcen, wrócimy Rogójskiemu, a ty musisz być wolny!

— Jest tu jeszcze jedna okoliczność pogarszająca położenie — odezwał się Pniak. Wachmistrz Twardowski przypłaciłby swoją własną głową ucieczkę Janka.

Teraz dopiero pani Luboradzka spojrzała na siedzącego wachmistrza, który słyszał tę rozmowę i nie odzywał się ani słowem.

Spostrzeżono, że niewcześnie się wygadano; przerażenie odmalowało się na twarzy kobiety. —

Spojrzała w twarz żandarma, jakby go wzrokiem zapytywała...

— Ja prosty człowiek — odezwał się Twardowski — ale i mnie już pali ten mundur! Kilka razy w łeb sobie już palnąć chciałem, bom człowiek biedny i nie mam się jąć niczego i tak już dłużej nie potrafię wytrzymać — niech się raz wszystko skończy.

Przytomni ze zdziwieniem spojrzeli na starego żołnierza; twarz ta na pozór była tylko surowa, obojętna, ale drgnienia oka i warg wskazywały silne wzruszenie.

— Cóż więc, panie Twardowski, podług ciebie w tym wypadku robić wypada — zapytał na pozór obojętnie Pniak.

— Panowie tam macie lepsze głowy niż ja, prosty człowiek, to i rady wam nie potrzeba, ja wiem tylko tyle, że jak słusznie mówi pani majorowa, mundur rosyjskiego oficera spaliłby na popiół porucznika Luboradzkiego, a dosłużyć go się nie tak jest to łatwo jak się zdaje; pierwej trzeba niejednokrotnie nadstawić głowę na kulę z janczarki czerkieskiej, nacierpieć się biedy, znosić obelgi i razy od byle bydlęcia ruskiego, mordować biedny naród tak, jak i my uciśniony, a dopiero potem, po latach spodziewać się można przedstawienia do stopnia. — Znam ja to dobrze! — Wiem, że na podobne praktyki porucznikowi Luboradzkiemu nie wystarczy sił, ni odwagi.

Janek zbliżył się do siedzącego wachmistrza i milcząc, uściskał mu rękę.

Stary wstał, wyprostował się po wojskowemu i rzekł:

— Tu niema co ukrywać przed panią majorową; wcześniej czy później i tak dowiedziałaby się prawdy. Wyrok sądu wojennego skazuje porucznika Luboradzkiego w proste sołdaty na 10 lat, a nadzieja dosłużenia się stopnia oficerskiego jest bardzo mała. Setki tam już ludzi zmarniało i zmarnieje jeszcze! Tu niema się co namyślać!...

— Tak jest, — podnosząc głos, odezwała się czcigodna matrona — tak jest, trzeba myśleć o przedostaniu się za granicę. Ja sprzedam las i z wdzięcznością zwrócę tych dwa tysiące rubli zacnemu pułkownikowi; zostanę na starość samotną, ale będę miała pewność, że choć jeden syn mój jest wolny i że kiedyś może wróci na łono swojej ziemi. Trzeba,... trzeba zaraz dziś zrobić przygotowania do podróży! Ale w tej chwili ożywiona jej twarz pobladła — nowa myśl napłynęła do mózgu i zamroziła rysy.

— Ale co się stanie z tobą czcigodny wachmistrzu, mamże prawo ocalać moje dziecko ofiarą twojej wolności, a może i życia?

— Nie przyjmę wolności mojej okupionej tak drogo! — rzekł Jan. Płacić śmiercią zacnego człowieka za swoją wolność, na to się nie zdobędzie Luboradzki.

— Panie poruczniku, — rzekł wachmistrz — nie bój się o mnie! Nie głupim oddać szyję moją pod stryczek, albo dać się zabić pałkami.

— A więc?.... — zapytał Pniak.

— A więc i ja z panem porucznikiem razem opuszczę tę naszą ziemię i udam się za granicę, może się tam jeszcze na co przydam! Wprawdzie nie umiem nic takiego, coby mi dało utrzymanie, ale ręce mam jeszcze silne i chociażby przyszło tłuc kamienie, to wolę to jak wysługiwać się wrogom.

Prosty ten człowiek swoim chłopskim rozumem rozstrzygnął, gdzie prawda i po której stronie stanąć powinien.

— A więc — odezwała się matrona — sprawa jest zadecydowana; udacie się do Francyi! Idzie tylko o to, żeby ułożyć plan ucieczki taki, któryby nie podlegał wątpliwości, że się uda. — Przejście przez granicę nie należy do najtrudniejszych i to mnie mniej niepokoi — ale najważniejsza jest znaleść pieniądze na drogę, bo tych na razie nie mam... Wprawdzie żyd z Płocka ciągle się kręci i che kupić za bezcen resztki lasu, ale te pieniądze potrzeba dostać w kilkunastu godzinach, bo jutro już nie należy do nas — a posłać do żyda z propozycyą zgody na kupno, to znaczy zdradzić się.

— Matko droga, — rzekł Janek, trzymając w swojem ręku jej wychudłą dłoń — nie troszcz się o to; my zdrowi jesteśmy i silni (lecz kiedy to mówił, widoczne było na nim wyczerpanie), damy sobie radę!

Matka smutny wzrok utopiła w pobladłem jego licu i odparła:

— Mam tylko 20 dukatów z wizerunkiem Matki Boskiej, które mi w dniu mojego ślubu ofiarował Klemens na pamiątkę. Była to święta dla mnie pamiątka i myślałam, że ją zachowam dla was ja-

ko drogi depozyt po ojcu — ale dziś oddam je tobie; jest to cała suma jaką dać wam mogę!

— To i bardzo wiele! Wystarczy nam mamo,— nie kłopocz się.

— Tymczasem wkrótce las się sprzeda, nie zwracając podejrzenia—rzekł Pniak—i pieniędzy, ile będzie można, wam dostarczę. Dajmy więc pokój tej kwestyi, a zastanówmy się jak odbyć tę ryzykowną podróż.

— Do samej granicy w moim mundurze żandarma mogę bezpiecznie odgrywać rolę dozorcy, można to tak urządzić, że się zrobi wieczór właśnie w chwili, gdy będziemy na granicy, szwarcownicy przeprowadzą nas cichaczem i basta — mówił Twardowski.

— Plan śmiały, ale za ryzykowny, możecie napotkać patrol straży pogranicznej, a temu jak się wytłómaczycie z swego kierunku drogi.

— No, w takim razie mamy pistolety i na zapytanie ich odpowiemy kulami.

— Nie — to nie jest rozwiązanie zadania — rzekła majorowa — odwaga wasza nie przyniosłaby pożytku, bo gdybyście zwyciężyli nawet, schronili się do Prus, to Prusacy pochwycą was i wydadzą. Ja mam inny projekt i zdaje mi się, że pewniejszy.

— Jakiż to, kochana matko?

— Macie przed sobą obszerny gościniec Wisły, na drodze tej niema żadnych straży, po jej wodach na lekkiej łódce prześliźniecie się z łatwością do Torunia, nie obudzicie czujności władz pogranicznych, a raz tam znalazłszy się, swobodnie będziecie mogli udać się dalej.

— Wyborny plan — zawołał Pniak — trzeba tylko obmyśleć przebranie, dla kochanego Twardowskiego, boć przecie w swoim mundurze niebieskim płynąć nie może.

— O to mniejsza, weźmie sukmanę naszego karbowego, który jest tego samego wzrostu co on, a mundur spalimy zaraz, żeby, gdyby nastąpiła rewizya, niczego nie znaleziono — rzekł Janek — bo, mateczko moja, musisz być przygotowana na rewizye i śledztwa.

— Damy sobie radę z Pniakiem, o nas się nie kłopocz; trzeba tylko zaraz posłać po starego Bartosza przewoźnika i z nim ułożyć całą sprawę.

Na ten plan zgodzili się wszyscy.

Twardowski przebrał się w kapotę chłopską, Janek nie potrzebował zmieniać ubrania, bo był po cywilnemu, a kiedy wezwany Bartosz przybył, już mundur żandarma został spalony, a pałasz i pistolety postanowiono wrzucić do Wisły, ale Twardowski na to zgodzić się nie chciał i postanowił broń zatrzymać bądź co bądź.

Bartosz pokłonił się do kolan majorowej i do Janka nic nie mówiąc, stanął przy drzwiach, z pod oka tylko spoglądał na nieznajomego sobie Twardowskiego, który przebrany w kapotę chłopską, dosyć zagadkowo wyglądał pośród tego towarzystwa.

— Czy pamiętacie Bartoszu — zapytał Janek — jakeśmy przed paru laty wśród kry na Wiśle, przebijali się na lewy jej brzeg, dla połączenia się z braćmi naszymi, którzy już zmagali się wówczas z Moskalami w Warszawie?

— Bogać tam miałbym zapomnieć! — Wisła burzyła się i krą się przewalała, a nieboszczyk świętej pamięci pan kapitan i pan Oleś z paniczem zachęcali nas do pośpiechu! No, i przy łasce Boskiej szczęśliwie nam się udało.

Na to wspomnienie zasępiły się twarze wszystkie. — Ileż to nadziei niosła wtenczas Wisła na swoich falach, jakie horyzonty roztaczały przed płynącą gromadką ochotników, śpieszących na ratunek drogiej ziemi!? A dziś połowa już ich nie żyje, a druga połowa w niepewności o życie myśli o schronieniu się przed zajadłością wroga.

Szala niepowodzeń przeważyła bohaterstwo — męstwo uległo przemocy, ale sprawa, na pozór stracona, żyje jeszcze i biją jeszcze serca do poświęceń.

— Czy Bartoszu będziecie mogli nas dwóch, — tu Janek wskazał na siebie i Twardowskiego — przewieść Wisłą do Prus, tak, żebyśmy nie wpadli w ręce Moskali?

— Jak trzeba, to trzeba, wielmożny poruczniku, a kiedyby to państwo chcieliby puścić się w drogę?

— Nie mamy ani chwili do stracenia! Im prędzej, tem lepiej! — odezwała się majorowa. — Dziecko to ostatnie chcą mi porwać Moskale i zasłać gdzieś na koniec świata, trzeba go ratować, dobry mój Bartoszu.

Bartosz spojrzał smutnie na Janka.

— Tyle krwi marnie się przelało, tyle mogił okryło ziemię świętą! — Bóg nie dopomógł — wola Jego! A co do naszej drogi, to trzeba tak wykalku-

łować, żeby łódka naszą przybyła nad komorę graniczną w Nieszawie już na zmroku, bo tam za Nieszawą na kępie wiślanej, poniżej Ciechocinka jest przykomórek i straż pograniczna na lądzie; poczem mknąć się więc koło nich musimy tylko cichaczem — nocą. — Chwała Bogu, noce są teraz ciemne, miesiąc wschodzi bardzo późno, już nad ranem to i mam w Bogu nadzieję, że się przemkniemy koło przykomórka cicho, jak węgorze.

— A na Wiśle czy niema żadnej straży? — zapytała majorowa.

— Na całej Wiśle możemy bujać swobodnie, po brzegach jeżdżą patrole, ale łódkom rybaków wiślanych nic nie mówią i nie zważają na nie. Dopiero za Nieszawą pilnują ostro.

Ułożono się następnie, że jak tylko dzień się zacznie robić, Bartosz z łódką będzie czekał przy brzegu, przyszykuje dwie podrywki do łapania ryb, żeby nie zwrócić podejrzenia patroli i wśród dnia puszczą się w drogę.

Bartosz wyrachował, że zmrok tegoż samego dnia powinien ich już zaskoczyć w Nieszawie, a zaczem dopłyną do Ciechocinka, zrobi się noc ciemna i ułatwi przeprawę. Pożegnał się stary oryl i towarzystwo zostało same.

Była to ostatnia noc, w której biedny wygnaniec mógł mieć serce matczyne, bijące dla niego, przy sobie! Jutro, skoro świt, musi opuścić wieś rodzinną, ukochaną matkę złamaną chorobą, szczerego i wypróbowanego przyjaciela i wszystko, co kochał, aby iść w świat pomiędzy ludzi nieznanych i obojętnych! — Nie chcąc zakrwawiać matce serca,

udawał, iż jest przekonany, że to jest tylko rozłączenie chwilowe, opowiadał o działaniu dyplomacyi, kierowanej przez księcia Adama Czartoryskiego, o spodziewanej interwencyi mocarstw i nadziejach lejszej przyszłości. — Ale czujne oko matki nie łatwo oszukać — majorowa znała prawdziwe położenie, nie łudziła się, a jednakże, nie chcąc i jemu sprawiać boleści, udawała, że wierzy w prędki jego powrót i w powrót Antosia, za którym robili starania i że nadejdzie ten dzień, w którym ich obydwóch jeszcze położy głowy na swoich piersiach, przyciśnie do łona i pobłogosławi.

I syn i matka nieszczęśliwi oboje, starali się wzajem siebie omamiać.

Całą noc nie zmrużono oka i ani się spostrzeżono, kiedy na wschodzie pokazały się pierwsze brzaski dnia. Wówczas drzwi uchyliły się i na progu ukazała się bosa dziewczyna, córka Bartosza.

— Tatulo przysyła i prosi pięknie, żeby panowie zaraz przybyli do brzegu, bo już czas.

Milcząc, Janek uklęknął u kolan matki, ta położyła drżącą swoją rękę na jego głowie, uniosła oczy ku niebu i cichą wyszeptała modlitwę, polecając ostatniego syna opiece Boskiej.

— Idź dziecko moje... Żyj i pracuj dla ziemi, która cię zrodziła, a jak będziesz mógł bezpiecznie, powracaj zamknąć oczy starej matce, która codziennie błagać będzie Boga o wasze zdrowie.

Ani jedna łza nie pokazała się w jej oku, zdawała się być zmienioną w statuę marmurową. Biedny męczennik ze ściśniętem sercem dał ostatni

uścisk swojej rodzicielce — powstał i kładąc rękę na piersi, rzekł:

— Matko moja! Serce mi o mało nie pęknie od bólu, ale wierzę, że Bóg pocieszy cię jeszcze! Co do mnie, to zaręczam ci i klnę się na drogą pamięć ojca mojego, że zawsze będę godny ciebie i jego i niczem nigdy nie splamię nazwiska Luboradzkich....

Głos zastygł mu w piersiach; siłą woli stłumił łkanie i obracając się do Pniaka, rzekł jeszcze:

— Przyjacielu! — Oddaję ci w opiekę wszystko, co mam najdroższego, czuwaj nad matką moją i zastąp jej, o ile się to da, jej synów.

Pniak uścisnął wzruszony dłoń Janka i odrzekł:

— Bóg niech mnie skarze, jeśli chociaż na chwilę zapomnę o tem!

— A ty, Janie Twardowski — rzekła staruszka do byłego żandarma, podając mu rękę na pożegnanie — bądź towarzyszem, przyjacielem i opiekunem mojego Janka; — Bóg ci nagrodzi twoje poświęcenie!

— Pani majorowa, ja tylko prosty człowiek, ale jest tam coś pod tą sukmaną, co mi każe kochać i służyć porucznikowi całą siłą.

— A więc wachmistrzu — w drogę marsz! — zawołał Janek na pozór spokojnie, prawie wesoło i po chwili wyszedł z Pniakiem i Twardowskim.

Majorowa zrobiła drżącą ręką krzyż w powietrzu za nimi i nie mogąc się ruszyć z miejsca, cichą tylko modlitwą towarzyszyła synowi, wpatrując się ze łzą w oku, w krzyż Zbawiciela, zawieszony na ścianie.

Cicho, trzymając się za ręce z Pniakiem, podążył Janek za bosonogą dziewczyną, za nimi szedł Twardowski ku brzegom Wisły, zarosłym rokiciną. — Dzień był pochmurny i wietrzny, zanosiło się na deszcz. — Na łodzi drewnianej, uwiązanej do korzeni wierzby, stał już stary Bartosz oparty o wiosło i zdawał się niecierpliwie oczekiwać przybyłych; — w środku łodzi sterczała żerdź, która stanowiła maszt, a na niej przywiązana była duża płachta, mająca reprezentować żagiel.

— Idź do chałupy Baśka — rzekł, obracając się do córki stary oryl, — ja dziś do domu nie powrócę, nie czekajcie na mnie z wieczerzą, a może i jutro tak samo — niech tam wszystko będzie w porządku. A ty pilnuj chaty — i jak się kto zapyta o mnie z ludzi, to powiedz, że pojechałem ryby łowić. — Niech panowie wsiadają i w drogę.

Jeszcze raz splotły się ramiona dwóch przyjaciół, jeszcze jeden uścisk serdeczny i Janek wyrywając się z objęć przyjaciela, wskoczył do łodzi, a za nim Twardowski.

— Zostań z Bogiem!

— Jedź z Bogiem!

To były ostatnie słowa pożegnania.

— A odwiąż Baśka powróz od wierzby — zawołał Bartosz, stojąc już w łodzi i opierając się o wiosło.

Łódka odbiła się od brzegu swobodnie, pierwsze promienie dnia pokazały się na wschodzie i wkrótce słońce wyłoniło się, ale jakieś czerwone, zamglone, w „lisiej czapce", jak mówią flisacy, i wkrótce zasłoniła je znowu chmura.

Bartosz spojrzał ku słońcu i potrząsnął głową:

— Nie będzie pogody dzisiaj — a i morka ciągnie od Gdańska, rybitwy się tłuką nad falami, zanosi się na burzę.

Łódź wydostała się na środek Wisły — kilka berlinek i kilka tratew z drzewem płynęło jej korytem, ale żagle opuszczone na berlinkach nie pomagały obwisłe na rejach; raczej wyglądały, jakgdyby swoimi zwojami obwijały jakieś szkielety.

Mgła roztaczała się po brzegach i zakrywała widoki.

Wkrótce zaczął padać deszcz, a zachmurzone niebo stawało się coraz czarniejsze i sprowadzało równie czarne myśli. Łódka nie mogła odwinąć swojego żagielka, bo przeciwny wiatr, pomimo zręcznego nastawiania zrywał go, termosił jakby go chciał kąsać, płynęła więc powolnie z biegiem wody, posiłkowana tylko kiedy niekiedy wiosłem.

Około godziny ósmej zawiał nagle wiatr jeszcze silniejszy — deszcz rozpuścił się na dobre, fale rzeki zaczęły się bałwanić, okrywać pianą, a morskie jaskółki coraz silniej piszczały i tłukły się nad falami dokoła łódki.

— Licho nadało taką robotę, ta morka wcale nam nie na rękę, bardzo opóźni naszą przeprawę, — rzekł Bartosz, krzesząc ognia do fajki.

— Ale za to brzegi puste — powiedział Twardowski — nikt nas nie spostrzeże i popłyniemy spokojnie.

— Kpię ja tam sobie z kozuniów, jak jestem na rzece; razu jednego jak wiozłem szwarcunek do

Prus, to mało piętnaście razy strzelali, a ja ino pokazałem dziurawe portki i tyła.

Tymczasem wiatr co chwila zwiększał się; deszcz jednocześnie nie przestawał padać, bałwany rosły i z wielką tylko trudnością łódź mogła się posuwać dalej.

Było już z południa, kiedy przypłynęli do Płocka. Wysoki brzeg, na którym spoczywa miasto, zasłaniał nieco rzekę od wiatrów i łódź tu mogła płynąć trochę swobodniej, ale zaledwie opuścili brzegi Płocka, nie dopłynęli jeszcze ani do Wrocławka, kiedy burza tak się rozhulała, że łódź nie tylko nie mogła płynąć, ale co chwila cofała się, a wszelkie wysiłki, by temu zaradzić okazały się bezskuteczne.

Ściemniało się, a podróżni nie przybyli jeszcze na wysokość Wrocławka. — Zapadła noc ciemna, a burza nie ustawała ani na chwilę; przybić do brzegu i wysiąść, uważali za niebezpieczne, bo im bliżej granicy, tem czujność straży była większa! Nad ranem dopiero ujrzeli wieżę Wrocławka, a w dali, na prawym brzegu Wisły rozwaliny starożytnego zamku krzyżackiego Złotoryi.

— Źle nam wypadło panowie! — rzekł Bartosz, ciskając z gniewem kapelusz na dno łodzi. Toć my tak, jakbyśmy szli w gardło wilków, przybędziemy do Nieszawy i na przykomórek w Ciechocinku w biały dzień.

— Cóż więc robić nam wypada? — zapytał porucznik.

Bartosz pomyślał chwilę podrapał się po czuprynie i odrzekł:

— Musimy wylądować w Złotoryi, cały dzień tam poczekać, a jak się ściemni, ruszymy dalej.

Na te słowa obaj zbiegowie spojrzeli po sobie niespokojnie.

— Ależ tam tak blisko komory, bo naprzeciwko samej Nieszawy, nie ujdziemy oka straży, pochwycą nas jak węgorzy w matnie.

— Niechno panicze nie strachają się; na wszystko jest rada i przy pomocy Boskiej nie utoniemy przy brzegu.

Prawy brzeg Wisły, na którym sterczały mury rozwalonego zamku Złotoryi był płaszczysty, a zarośnięty cały rokicinami, które daleko wchodziły we wodę i pośród których łódka mogła się przekradać jak kaczka aż do samych rozwalin.

Na przeciwnym lewym brzegu Wisły, widać było komorę Nieszawską; widziano tedy liczne berlinki zatrzymywane do rewizyi i straże pograniczne pilnie dopełniające rewizyi.

Deszcz nie ustawał ani na chwilę i fale Wisły nie uspokoiły się. Łódka wcisnęła się w rokiciny nadbrzeżne i zwolna popychana wiosłem przybliżyła się do samych murów. Ruiny te świadczyły, że zamek Złotorya, wybudowany przez komtura Toruńskiego, nie należał do największych. Ocalała tylko jedna wieża i liczne mury zewnętrzne. Wisła widocznie w owych czasach inne miała koryto, bo mury stały na pół zatopione w wodzie, a niepodobna przypuszczać, żeby je tak zbudowano.

Bartosz wysiadł z łódki w wodę, która mu sięgała po kolana i dał znak, żeby towarzysze wysiedli. Łódkę podprowadził w najbardziej gęste

krzaki, uwiązał — oddzielnie ukrył wiosła i skinął na podróżnych, żeby postępowali za nim.

Nikogo nie było widać w pobliżu: przekroczyli stare rozwalone mury; podwórze zasypane było gruzami i kamieniami. Bartosz obejrzał się z uwagą na wszystkie strony, a nie dostrzegłszy nikogo, nachylił się i wszedł do jakiejś rozwalonej piwnicy. Janek i Twardowski postępowali za nim. Korytarz, którym szli, także był pełen gruzów, a w niektórych miejscach trzeba się było na kolanach posuwać. Nareszcie znaleźli się na końcu korytarza i zdawało się, że podziemie już się skończyło — na boku jednak była duża dziura, zawalona kamieniami. — Bartosz odsunął kamień i skinąwszy żeby postępowano za nim — wśliznął się do lochu.

Loch, w którym się teraz znaleźli podróżni, był obszerną piwnicą oświetloną małą szczeliną w murze wychodzącym na Wisłę; fale tu wyraźnie pluskały o ścianę.

— A co? Czy złą wybrałem kwaterę? Tu musimy cały dzień przepędzić, aż nastanie noc, dopiero ruszymy dalej.

Położenie uciekających nie było jednak do pozazdroszczenia: — piwnica dawała wprawdzie schronienie, ale bliskość Nieszawy, leżącej na przeciwnym brzegu Wisły, którą widać było jak na dłoni, oraz kilkanaście godzin, które potrzeba było przebyć w lochu, przedstawiały poważne niebezpieczeństwo.

Wnętrze lochu zasypane drobnym piaskiem, zarzucone było resztkami jakichś kości starych i świeżych — pierwsze były może resztkami jeńców

krzyżackich, którzy w tych podziemiach pomarli, a drugie wyraźnie zwierzęce, pokazywały, że są resztkami uczty, która się tu niedawno odbywać mogła.

Twardowski milczał, wyjął pistolety, obejrzał je z wielką uwagą, podsypał świeżego prochu na panewki i oddając jeden Jankowi, a drugi zatrzymując sobie, rzekł:

— Teraz te pukawki mogą się na coś przydać. Co do mnie, to mnie żywcem nie wezmą! Lepsza śmierć z własnej ręki, niż pod rózgami moskiewskiemi.

— Ja — odpowiedział Janek — samobójstwem nie chcę kończyć, ale bronić się będę do ostatka; gdybym uległ i pozostał przy życiu, to — wola Boża — z nią się zawsze zgadzam.

— Niechno panicze nie wywołują wilka z lasu; czasem łatwo można powiedzieć w złej godzinie. Nieraz ja tu już byłem i wszystko się ułożyło dobrze.

Jakby na zaprzeczenie tych uspakajających słów, Janek, który wyglądał przez mały otwór na Wiśle, odwrócił się nagle i rzekł:

— Jakaś łódka odbiła od Nieszawskiego brzegu; widocznie zbliżają się do naszych ruin w Złotoryi.

Twardowski jeszcze raz obejrzał pistolet. Bartosz odsunął Janka od okienka, a sam się przybliżył do szczeliny i zaczął się bacznie przypatrywać.

— Te łotry dostrzegli nas — rzekł po chwili milczenia, — ale to jeszcze nie znaczy, żeby nas

spotkało jakie nieszczęście; na wszystko znajdzie się rada.

Łódka tymczasem, w której siedziało dwóch objeszczyków i przewoźnik, gnana prądem od lewego brzegu, szybko przybliżyła się do rozwalin Złotoryi.

Bartosz na krok nie odstępował od swojego obserwatoryum. Po dłuższem oczekiwaniu łódka tak się zbliżyła, że już można było rozpoznać siedzących w niej ludzi.

Twarz Bartosza nie pokazywała żadnego wzruszenia — wkrótce dno łodzi uderzyło o piasek i obaj objeszczycy wysiedli na ląd, pozostawiając przewoźnika w łodzi.

Pomału przebyli kilkanaście kroków, człapiąc po wodzie w długich butach, zaczem dostali się na suche miejsce.

Widocznem było, że zmierzają do rozwalin; jakoż wkrótce dały się słyszeć kroki i strażnicy zatrzymali się u wejścia do piwnicy.

— Po jakiego dyabła będziemy się tam na kolanach wtłaczać — rzekł jeden — trzeba się dowiedzieć najpierw kto tam jest.

— Na nicbym sobie powalał błotem mój nowy mundur włażąc tam — rzekł drugi — ozwij się Wasil.

— A jest tam kto w piwnicy, wychodźcie do nas!

Kiedy głos ten usłyszał Bartosz, uśmiechnął się zadowolony i mrugając znacząco na towarzyszy, wyszedł do strażników.

— Ha, to ty stary smyku! — zapytał jeden z przybyłych, poznając starego szwarcownika.

— A no ja, z łaski Boga.

— Co tam wieziecie?

— Nic nie wiozę, bo dopiero płynę do Torunia, toć panowie widzieli, z której strony przybywam.

— A cygara masz?

— A skądbym miał, dopiero jak powrócę z Torunia, to będą.

— On prawdę mówi — rzekł Wasil — on dopiero jedzie po szwarcunek.

— Ale ty bratku teraz nie tak tanio się okupisz, jak dawniej! Teraz zaostrzone przepisy! Teraz musisz dać nie po trzy ruble od każdej przywiezionej paczki towaru, jak dawniej — ale po pięć rubli.

— Jak tak, to się wolę wrócić do domu, nie opłaci się człowiekowi; ja sam tylko biorę po pięć rubli.

— No, no, stary smyku, żydzi płacą ci więcej! Ale my dobrzy ludzie, poprzestaniemy na starej ugodzie, zapłacicie po trzy ruble, ale dla każdego z nas przywieźcie jeszcze po pudełku cygar.

— Nie kijem go, ale pałką, pudełko cygar kosztuje dwa ruble, a skądbym ja brał na to; niech jednak stracę, dla obydwóch panów przywiozę jedno pudełko; niech się tam ścierwa żyd wścieka, a ja tak zrobię.

— A kiedy będziesz powracał i którędy?

— Dziś mamy słotę, jutro będę w Toruniu, po szabasie będą na mnie czekać; niedziela, to dzień Boży, nie wypada pracować; w poniedziałek więc w nocy na wtorek przypłynę tutaj.

— No dobrze, jedź stary, a nabierz dużo paczek, ale bądź ostrożny na przykomórku; tam jest teraz jeden nowy objeszczyk, którego jeszcze nie znamy i nie wiemy, czy mu warto powiedzieć nasze interesa.

— To oni może i tam będą żądać znowu zapłaty?

— Nie bój się, my ich tam już uwiadomimy i wszystko pójdzie gładko; ruskie przysłowie mówi:

— **Wsio możno — ostorożno.**

— A może tam panowie mają troszkę tytoniu, bo nam już zabrakło. Do Torunia jeszcze daleko Cały dzień siedzieć bez fajki, to cni się człowiekowi.

— No jest. Dlaczego nie dać dobremu człowiekowi. Jak będziesz wracał, to nam oddasz — to mówiąc objeszczyk wyjął kapciuch zrobiony z wieprzowego pęcherza, zanurzył w nim rękę i wyjął garść tytoniu.

— Ale kto z tobą jest więcej stary?

— Jedzie Walek i Marcin.

— A czemu oni do nas nie wyszli?

— Popiło się to jak nieboskie stworzenie i teraz śpią zmęczeni. — Myśleliśmy przebyć granicę w nocy, ale wichura nam przeszkodziła.

— No, czort z wami proszczejcie.

To mówiąc strażnicy oddalili się i wkrótce widać było znowu łódkę ich kołyszącą się na falach Wisły.

Bartosz powrócił do piwnicy, trzymając garść tytoniu w ręce.

Rozmowę ze strażnikami słyszeli obaj zbiegowie i błoga radość zapanowała w ich duszy.

— No, teraz wszystko dobrze będzie — rzekł Bartosz. — Możemy spać spokojnie i ażeby nam się nie przykrzyło, strażnicy dali nam tytoniu.

— Wybornie — zawołał Twardowski — głód nam wprawdzie dokucza, ale przetrzyma się to, bo jak mówi ruskie przysłowie: **Kak jest sól, chleb, woda, niet gołoda.**

Janek uśmiechnął się i odrzekł:

— Tytoń mamy i wodę, ale ani chleba ani soli.

— Może się i tu co znajdzie — poszukamy: tu szwarcownicy zostawiają czasem zapasy żywności — powiedział Bartosz i zaczął pilnie przetrząsać kąty piwnicy.

W samym rogu, przytrząśnięty garściami liści, znalazł worek, a w nim ku wielkiej radości chleba bochenek i suchy duży serek.

— No, widzicie panowie, że Bóg o nas nie zapomina, doczekamy jakoś do wieczora; w Toruniu kupimy sobie flonder gdańskich i zakropimy bawarem.

Pomimo głodu, Janek jadł nie wiele, smutne myśli opanowały mu duszę. Był to ostatni dzień, który przepędzał na rodzinnej ziemi, za którą walczył — krew swoją przelewał, w której spoczęły kości jego walecznego ojca i brata, na ziemi, z której porwano tego dzielnego dzieciaka, Antosia i Bóg wie, gdzie go zapędzono! A on jeden, który ocalał z tego orlego gniazda, idzie jak tułacz w obce kraje, pomiędzy obcych ludzi, którym imię Pol-

ski mało znane, którzy może z litością, ale bez miłości spoglądać będą na wygnańca, może niechętnie podzielą się z nim swoim chlebem... Co go tam czeka? Nędza może? Tej się nie obawiał. Młody jestem — mówił do siebie — na kawałek chleba wszędy zarobić potrafię. — Ale czyliż to celem ostatecznym ma być mojego życia? Nie! Tam mnie czeka praca, dla Sprawy narodowej! Tam jest tysiące braci moich, ożywionych tąż samą myślą! Sprawa nasza nie przepadła, zwycięstwo na końcu musi być przy nas i zwyciężymy, jeżeli tylko wszyscy wspólnie będziemy pracować dla jednego celu. — Tu mu się przypomniał wiersz wielkiego mistrza Narodu naszego i cicho zaczął powtarzać:

Hej ramię do ramienia
Wspólnemi łańcuchy,
Opaszmy ziemskie kolisko
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko,
I w jedno ognisko duchy.

Po tylu wrażeniach, wyczerpany bólami, które przechodził, wreszcie Janek pogrążył się w śnie. Widma przeszłości przesuwały mu się przed oczami, smuciły, niekiedy dręczył go widok pola walk, na których przelewał w swoją, słyszał zwycięskie okrzyki na Litewskiej ziemi. Widział nieustraszonego swojego ojca i brata, walczących jak lwy i padających na czarną ziemię; to znowu widma cytadeli przesuwały się przez głowę — Laiche — Jałszyn — mały Antoś w szynelu moskiewskiego aresztanta; matka wybladła, błogosławiąca go na drogę — poczciwy kolega Pniak, a dalej jakieś kraje nieznane,

jacyś ludzie obcy... Całe te szeregi widm przesuwały się przez zmęczoną głowę młodzieńca.

Słońce już zaczęło zapadać, gdy się obudził i spojrzał po rozwalonych murach piwnicy: — ciemno tu już było: — Twardowski chrapał tak głośno, że zdawało się, iż się ktoś dusi, ale stary Bartosz już nie spał,siedział na kamieniu i puszczał zwolna dym ze swojej fajki.

— Chwała Bogu — rzekł, gdy zobaczył, że porucznik już nie śpi — dzień się zakończył spokojnie; niedługo się ściemni i wyruszymy w drogę dalszą.

— Ażeby już nigdy tu nie powrócić — rzekł smutnie Janek.

— Niech panicz tak nie myśli, wszystko jest w mocy Bożej, ufajmy mu.

— Może ja bluźnię, tracąc na chwilę wiarę. Ten prosty człowiek daje mi naukę — pomyślał Janek.

Deszcz i wiatr, który w ciągu dnia trochę przycichł, z nastaniem zmroku znowu zaczął harcować z całą siłą; — chmury pokryły widnokręg i ciemności roztoczyły się nad ziemią.

Zbudził się nareszcie i Twardowski.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał rozespany.

— Wstawaj wachmistrzu i gotuj się do dalszej drogi.

Gdy opuszczono wilgotną piwnicę, strugi deszczu polały się na wychodzących, trudno się było zoryentować w położeniu, światełka tylko z okien Nieszawy wskazywały drogę do brzegu rzeki.

Bartosz postępował pierwszy, za nim kroczył Janek, a tyły zasłaniał wachmistrz.

Kiedy już łódka została odczepiona z uwięzi i kiedy już miano wsiadać, Janek zatrzymał się chwilę i z rozkrzyżowanemi rękoma rzucił się na ziemię, szlochając.

— Żegnam cię, moja święta ziemio! Żyłem dla ciebie, dla ciebie walczyłem i dla ciebie jednej żyć pragnę. — Wziął garść przemokniętej ziemi i podnosząc się, ułamał gałązkę z rokiciny, co razem ukrywszy na piersiach, zwolna udał się za przewodnikiem.

Łódź wreszcie wypłynęła na koryto Wisły; deszcz zalewał oczy, ale kierunek wiatru się zmienił: wiał teraz od południa i zachodu i ułatwiał bieg łódce. — Szybko przesunięto się przed oknami Nieszawy — minięto Cichocinek, aż znaleziono się pomiędzy kępą, będącą na środku Wisły, na której był przykomórek i straż pograniczna, a brzegiem. Wisła w tem miejscu rozdziela się na dwa ramiona, tworząc dużą wyspę, zarośniętą olbrzymiemi topolami nadwiślańskiemi; na niej to pobudowano teraz komory i umieszczono straż pograniczną. Tędy właśnie przeprawiała się armia Paszkiewicza w trzecim roku. — W oknach świeciły się ognie: — zbiegowie płynęli tuż koło samego brzegu; dostrzedz można było łódki strażackie, stojące przy brzegu i strażnika, otulonego w bury płaszcz, schronionego do budki, stojącej na samym cyplu. Żołnierz w budce, oparty o karabin, drzemał widocznie i mało zwracał uwagi na to, co się dzieje na wodzie. Łódka przesunęła się w cichości swobodnie, jak kaczka, unosząc się na falach.

W oddali na przodzie, spostrzeżono światełka błyszczące z okien.

Bartosz odwrócił się trzymając wiosło w ręku i rzekł:

— To już Prusy — jesteśmy wolni.

Prusy? — Dlaczego lud już tę ziemię nazywa Prusami? — Przecież to także Polska — pomyślał Janek, ale nic nie odpowiedział.

— Tu już możemy gadać swobodnie i zapalić nasze fajki, a kozunie nic nam nie zrobią.

Na przykomórku pruskim nie było żadnej straży. — Prusacy nie tylko nie przeszkadzali przekradać się przez granicę, ale dopomagali otwarcie do szwarcunku. Wśród ciemnej nocy ukazały się mury Torunia — fortecy niegdyś krzyżackiej — potem polskiej, a teraz pruskiej.

Nie było jeszcze późno, mogła być 11-ta godzina. — Łódź zatrzymała się wśród nagromadzonych berlinek, stojących na kotwicach i wśród tratew z drzewem, popiołem i klepkami.

Tuż ponad brzegami Wisły, wznosiły się czerwone mury fortecy, a w nich sterczała brama wysoka, zaopatrzona silnemi dębowemi wrotami; żadnej jednak straży przy niej nie było.

Bartosz przywiązał łódź do jakiegoś łańcucha zwieszającego się od pala, wbitego w ziemię i wysiadłszy wraz z towarzyszami, skierował się wprost w bramę. — Tuż o kilkadziesiąt kroków wznosił się kościół katolicki św. Jakuba. Przeszedłszy około niego, wszyscy znaleźli się w małej, ciasnej uliczce, zabudowanej wąskimi, średniowiecznymi domami. — Tu się zatrzymali.

— Proszę łaski panów, teraz ja się muszę udać do kantoru expedytury bankiera Giełdzińskiego i tam u niego dowiedzieć się, jaką drogą panowie dalej się puszczą.

— A czy on to ma nam wskazywać drogę — zapytał Janek.

— Wszyscy panowie, co się przedostają za granicę tak robią. On ułatwia podróże.

Dom Adolfa Giełdzińskiego, był to stary i znany dom komisowy; kierownik jego od dawna już zamieszkały w Toruniu był żydem wykształconym, pochodzącym z Królestwa; liczne miał stosunki handlowe z Kongresówką, prowadził obszerne interesy przemysłowe, a między innymi, będąc zwolennikiem wolnego hadlu, nie zaniedbywał i przemysłu kontrabandy — dobrze na tem wychodził i należał do najbardziej wziętych firm kupieckich.

W milczeniu udano się do kantoru, w którym pomimo późnej godziny, świeciło się jeszcze. — Kantor znajdował się prawie przy samej bramie toruńskiej.

— Niech się tu panowie trochę zatrzymają w sieni, a ja pójdę i rozmówię się z Giełdzińskim, — może tam jest kto taki, coby nie dobrze było, żeby panów widział.

Janek i Twardowski stanęli w obszernej sieni i czekali na rezultat odwiedzin.

W kantorze, lubo już tak późna była pora, siedział sam właściciel, p. Adolf Giełdziński i zatopiony w rachunkach, zdawał się zapominać o całym świecie.

Drzwi skrzypnęły i na progu ich stanął ociekający wodą Bartosz.

Giełdziński był to człowiek jeszcze młody, średniego wzrostu, wygolony, pulchny i zarumieniony jak świeżo upieczona bułeczka, na twarzy malowało się znużenie pracą, ale w oczach tliła energia.

Bystre rzucił spojrzenie na wchodzącego i na pozór nie zważając na jego przybycie, kończył obrachunki.

Bartosz stanął skromnie u drzwi i milcząc, czekał aż do niego przemówi.

Milczenie trwało kilkanaście minut, nareszcie bankier zamknął księgę, położył pióro i zbliżywszy się do stojącego u drzwi chłopa, podał mu rękę i rzekł:

— Jak się macie, stary — dobrze żeście przybyli, jest tu 30 paczek towaru łokciowego do przewiezienia. Oddacie we Włocławku — jutro będzie można łódź naładować, a na wieczór puścić się w drogę — ale zapomniałem zapytać, czy suchą granicą przedostawać się będziecie, czy wodą?

— Ja zawsze wodą — to mój gościniec — na nim nie zbłądzę, a w razie czego złego, czego Boże uchowaj, to i Wisła ukryje na dnie towar, ale mnie się to nieszczęście jeszcze nie przytrafiło.

— Dobrze, przyjedźcie jutro, to obejrzycie paczki i interes załatwimy.

— Ale ja tu mam jeszcze ładunek z Królestwa.

— A co takiego, może słonina? To do mnie nie należy, tem się nie trudnię.

— Nie słonina, ale żywe mięso, a chude tak, że najzawziętszy strażnik pruski nie uzna go za słoninę.

— Mówcie jaśniej, nie mam czasu.

— A to jest tu dwóch panów, którzy uciekają z Królestwa i trzebaby ich popchnąć dalej.

Na te słowa twarz bankiera się zachmurzyła — prędko zapytał:

— Kto oni?

— Jeden jest mój panicz Luboradzki, był porucznikiem naszego wojska, a drugiego nie znam.

— Gdzie oni?

— Stoją tu w sieni.

Giełdziński zbliżył się do drzwi, otworzył je i spostrzegłszy dwie postacie przy ścianie stojące, odezwał się:

— Proszę panów do kantoru.

Gdy obydwaj przybyli znaleźli się w kantorze cali przemoknięci, strugi wody spływającej z ich ubrań, zalały podłogę.

Giełdziński bystrem okiem zmierzył obu.

— Który z panów jest pan Luboradzki?

— Ja jestem — odezwał się Janek.

— Znałem ojca pańskiego przed kilku laty. — Bywał u mnie. — Kupowałem od niego pszenicę. A teraz gdzie jest? Bywał z małym chłopcem, ale to nie pan.

— To był brat mój starszy Aleksander. — Pyta się pan, gdzie jest mój ojciec i brat? — Obydwaj spoczywają już w mogiłach nad brzegami Niemna.

Giełdziński spojrzał smutnie na mówiącego.

— Tyle ofiar! Tyle ofiar! I na próżno!

— Bóg to wie, czy na próżno!

— Wy zawsze marzycie niepoprawieni! — Siadajcie panowie — rzekł bankier, podając im jednocześnie cygara, a przedłużając dalszą rozmowę, zapytał:

— Więc trzech było panów Luboradzkich i wszyscy tak jakby zginęli.

— Czterech nas było i stara matka.

— To przynajmniej jeden syn został staruszce.

— Nie, najmłodszy mój brat, Antoni, chłopiec 14-letni, w tych dniach został wysłany na Sybir, a matka chora, sparaliżowana, została sama.

Współczucie odbiło się na twarzy bankiera żyda.

— A ten pan kto?

— To pan Twardowski.

— Nie znam. — Co panowie myślicie robić dalej?

— Chcemy się przedostać do Francyi, bo nas czeka więzienie w Polsce.

— Do Francyi? Nie koniecznie bym radził tam szukać losu. — Francya dziś nie ta, co dawniej. Ludwik Filip odgrywa tylko komedyę liberalizmu, a w duszy jest to żandarm moskiewski, gotowy spełnić każdy rozkaz Mikołaja! Przytem Francya przepełniona jest emigrantami; tam trudno o kawałek chleba! Chyba, że panowie macie odpowiednie fundusze na utrzymanie.

— Nie mamy żadnych.

— To źle bardzo — czeka was ciężkie życie;— nie radzę — nie radzę udawać się do Francyi.

— Więc gdzie się mamy udać, może do Berlina w paszcze Prusaków?

— Nie, moi panowie, także nie do Berlina, ale np. do Brukseli! Tam tylko jeszcze jest jedyne miejsce, gdzie Polak może znaleść sposób wyżywienia się. — Mamy my wiadomości kupieckie dokładne. — Tam już jest wielu Polaków i Belgowie nie zapominają, że wolność swojego kraju zawdzięczają Polsce. — Ale panowie zapewne głodni — zadzwonił i gdy na odgłos dzwonka weszła służąca, polecił spiesznie podać pożywienie. — Czy panowie nie macie się w co przebrać? Jesteście zupełnie przemoczeni!

— Jeżeli pan pozwoli, to dopełnimy tej operacyi, w tłumoczkach naszych mamy drugie ubiory.

— Ależ bardzo proszę, nie krępujcie się i przebierzcie się. — Ale co do podróży trzeba się śpiesznie zdecydować, gdzie się udać. — Władze pruskie stały się od jakiegoś czasu bardzo podejrzliwe! Były już przykłady kilku aresztowań Królewiaków i wydanie ich Moskwie. Lepiej im tedy nie wchodzić w oczy.

— Wszystko nam jedno, gdzie nas losy poniosą! — Nie mamy nic przeciwko Belgii. — Wszędzie można być użytecznym sprawie narodowej.

— Niepoprawni wy jesteście, moi panowie! Ale na to nikt już nie poradzi, natura wilka ciągnie do lasu, a Polaka do wolności.

Tymczasem służąca wniosła na dużej tacy opleciona butelkę wódki gdańskiej, jakąś marynatę

i ryby, szynkę, ser szwajcarski i piękny pszenny chleb.

Wygnańcy śpiesznie zmienili suknie, i uprzejmie zaproszeni przez gospodarza, zabrali się do spożywania posiłku; zasiedli doń wszyscy nie wyłączając Bartosza.

Giełdziński siedział milcząc i przypatrywał się apetytowi gości, ćmiąc wonne cygaro.

— No, moi panowie, kiedy zdecydujecie się iść za moją radą i udać się do Belgii, to czasu tracić nam nie wypada — im prędzej opuścicie Prusy, tem lepiej — teraz jest — tu spojrzał na zegar — godzina 1-sza, a o trzeciej odchodzi karetka do Berlina, — trzeba, żebyście nią wyjechali; — macie wszystkiego dwie godziny czasu na przygotowanie się do podróży.

— Aż nadto dosyć — odrzekł smutnie Janek.

— A teraz najważniejszą kwestyę poruszyć muszę — kwestyę finansów waszych. — Ile macie pieniędzy?

— Nie wiele, ale zawsze tyle, że wystarczy nam na podróż do Berlina i na parę tygodni życia; — my żołnierze umiemy się małem zadowolić.

— Nie bierzcie mi za złe tak otwarcie postawionego pytania, ale pieniądz jest duszą wszystkich czynności, kluczem do otwarcia każdych drzwi, a wśród ludzi obcych, niezbędnym dokumentem; mało macie — mogę was poratować, a gdy powrócicie do kraju ze swymi sztandarami — na twarzy jego mignął smutny uśmiech — to mi wrócicie z procentem! — To mówiąc, zbliżył się do biurka, wyjął tekę i zaczął wydobywać pieniądze.

— Wstrzymaj się zacny człowieku — rzekł Janek — umiemy cenić twoją szlachetność, ale obecnie jeszcze nam nie potrzeba a jeżeli później bylibyśmy zmuszeni zakołatać do twojej kasy, to zrobimy to, upoważnieni dzisiejszą twą propożycyą.

— Niech i tak będzie — ja żyd polski — majątek zrobiłem w Polsce — czuję względem niej obowiązki i o ile mnie stać wypełniam je; — w razie potrzeby nie zapominajcie o Giełdzińskim.

Obydwaj wygnańcy zdziwieni byli tą pochopnością żyda do ofiarowania pieniędzy.

— Ależ pan jesteś człowiek wyjątkowy — zawołał Luboradzki — dotąd nie zdarzyło mi się spotkać podobnego człowieka.

— A dodaj pan do tego — żyda. Tak, moi panowie, ja jestem krewny Berka Joselewicza, który zginął pod Kockiem; — już to samo mnie obowiązuje! A zresztą nie trzeba wydawać wyroku potępienia dla całego ludu, na zasadzie chociażby większości; — wszędzie są źli i dobrzy ludzie! Ale dość o tem. Jakie panowie macie pieniądze — może rosyjskie, to trzeba będzie zmienić je na pruskie.

— Mamy złoto.

— Złoto wszędzie ma kurs, ale zawsze na drobne wydatki, trzeba trochę pruskich talarów — zmienię je wam, proszę pokazać.

Janek wyjął dukaty i podał Giełdzińskiemu.

— Co widzę! To stare nomizmaty! Te mają tylko kurs pomiędzy znawcami nomizmatyki, a są o wiele więcej warte od nowych; tych przecie w podróży nikt wam nie zmieni bez znacznej dla was straty.

— Cóż więc zrobić nam wypada?

— Znajdzie się zaraz na to sposób: to pewnie pamiątka familijna, — zostawicie je u mnie jako fanty, będą leżeć zapieczętowane w oddzielnej kopercie, a ja wam dam za nie talarów. — To mówiąc, zbliżył się do biurka i wydostawszy z niego sto talarów, odrachował je na stole.

— Ależ zdaje mi się, że one nie przedstawiają takiej wartości — rzekł Janek.

— Bankier nie oszuka się, moi panowie. — Wiem co są warte i wcale złego interesu nie robię; trzeba wam się udać na pocztę i zamówić miejsce w karetce — to wam ułatwi mój subjekt, którego z wami wyszlę.

Tym razem zbliżył się do zwieszającego się sznurka od dzwonka, prowadzącego na piętro i targnął nim raz i drugi.

Wkrótce po schodach prowadzących do kantoru, zeszedł młody człowiek na pół ubrany.

— Morytz — ubierz się, pójdziesz zaraz na pocztę i kupisz dwa bilety do Brukseli na imię swoje i Kohna i oddasz je tym panom, których wyprawisz w drogę — zrozumiałeś?

— Dlaczego ja nie mam rozumieć — odrzekł subjekt, pilnie się przypatrując osobom wskazanym.

— Prędko — godzina późna — ruszaj Morytz. A teraz nie pozostaje mi nic, jak tylko pożegnać się z wami, moi panowie i życzyć wam wszystkiego dobrego. — Ja was nie odprowadzę na pocztę. — Lepiej, żeby mnie tam nie widzieli — a gdybyście zapragnęli przesłać wiadomości do kraju, piszcie

listy pod moim adresem, to niezawodnie dojdą. — Powstał, uścisnął serdecznie ręce obydwóch i odwracając się do Bartosza, rzekł:

— Ty stary wiesz, gdzie poczta — zaprowadź panów, a jutro rano przychodź, to pogadamy o naszym interesie.

Przed pocztą czekał już Moritz i wręczył im dwa bilety; — weszli do komnaty pasażerskiej; tam zastali już 8 osób czekających na karetkę. — Miejsca dla nich były oznaczone numerami 9 i 10, a zatem wypadały na wierzchu dyliżansa.

Odezwała się trąbka pocztowa. Janek i Twardowski ścisnęli rękę Bartosza i ucałowali go serdecznie. Wsiadając już na wierzch wehikułu, Janek mu szepnął:

— Powiedz matce, że wszystko poszło dobrze; po przybyciu na miejsce napiszę list na ręce Giełdzińskiego, a ty doręczysz go matce. Czy dobrze?

— Dobrze, kochany panie poruczniku, — dojdzie on bezpiecznie do rąk dziedziczki.

— Zostań z Bogiem, mój stary przyjacielu!

— Niech was Bóg prowadzi w podróży i opiekuje się wami; niech wam powrót do nas ułatwi!

Dwaj nieszczęśliwi wygnańcy, opuszczali ziemię ojczystą z bólem w sercu, ale pełni nadziei, że jej się jeszcze na coś przydadzą, że jej jeszcze służyć będą. Tak myśleli wszyscy, którzy opuszczali zakrwawioną Ojczyznę.

Karetka ruszyła po bruku — przebyła most łyżwowy na Wiśle i wydostała się na wyborną szosę. Trąbka znowu odezwała się, jak gdyby na

pożegnanie i uniosła dwóch dzielnych ludzi na bryczce.

Szczęśliwie, po kilkodniowej podróży, bez żadnego wypadku opuścili Prusy i przebyli granice Belgii, i teraz dopiero poczuli się prawdziwie wolnymi. W Brukseli znaleźli się wśród grona Polaków z zacnym generałem Kruszewskim na czele, który już przyjął służbę w belgijskiem wojsku.

Armia ta, nie liczna, nie była w stanie pomieścić w swoich szeregach wszystkich napływających ochotników, rozbitków armii polskiej. Przy wpływach Kruszewskiego i jego staraniach, Janek Luboradzki i były żandarm Twardowski przyjęci zostali w stopniach prostych kanonierów artyleryi, chociaż Janek w Polsce zdobył już stopień porucznika i odbywszy tak szczytnie kampanię w roku 31, pierś swoją miał ozdobioną dwoma orderami.

Sporteński charakter orlęcia umiał się spokojnie zastosować do tego położenia i dziesięć lat służyć jako prosty żołnierz, kontentując się przeznaczoną gażą żołnierską. Do matki wysyłał często listy i donosił jej zawsze, że stoi materyalnie w interesach dobrze i zaklinał ją, żeby sobie nie zmniejszała wygód i nic mu nie przysyłała.

Raz jednak, kiedy sercem matka domyślając się biedy, wysłała mu pieniężny zasiłek, — zwrócił go i stanowczy oświadczył protest.

Po dziesięcioletniej służbie w artyleryi w niższych stopniach brygadyera, po zdaniu świetnych egzaminów i po odbyciu kampanii przeciw Holandyi, w której się odznaczył nieustraszonem mę-

stwem, godnem Polaka, w r. 1845 został nareszcie podporucznikiem, w cztery lata potem porucznikiem, to jest powrócił do stopnia, który krwią swoją zdobył, przed kilkunastu laty na ziemi rodzinnej i zdawało się na pozór, że już ma zapewniony skromny byt.

Myliłby się jednak ten, ktoby przypuszczał, że mściwa ręka cara Mikołaja przestała ciężyć nad wygnańcami.

W roku 1851, po zamachu na Napoleona w Paryżu, Belgia znalazła się w położeniu takiem, że musiała żywić pewne obawy ze strony Francyi. — Królestwo Belgijskie nie było jeszcze uznane przez Rosyę; dyplomacya jej czyniła wielkie wysiłki w tym kierunku. — Cesarz Mikołaj obiecał uznać królestwo Belgijskie, ale pod stanowczym warunkiem, że wszyscy oficerowie polscy, pozostający w służbie belgijskiej, będą wydaleni ze służby.

Co za straszna nienawiść — co za podłość zemsty! Czem ci ludzie mogli mu szkodzić w takiem oddaleniu — pozostając na usługach tak małego kraiku? — On jednak wiedział, że sprawa Polski nie jest skończona — że przy pewnym zbiegu okoliczności odżyje znowu i drżał na myśl, że ma jeszcze doświadczonych ludzi, którzy mogą znowu stanąć gotowi do śmiertelnej z nim walki.

Rząd belgijski uległ naciskowi dyplomacyi rosyjskiej i pruskiej i dwunastu oficerów polskich, a pomiędzy nimi i Jana Łuboradzkiego uwolnił ze swojej służby, przyznawszy im jednak emeryturę, co wywołało wściekły gniew Mikołaja i o mało nie unieważniło układów.

Janek w czasie służby wojskowej nie marnował jednak czasu, jak to czynią pospolicie oficerowie. — Poświęcił się naukom matematycznym — więc po opuszczeniu służby wojskowej, znalazł zatrudnienie jako inżynier przy budowie drogi żelaznej, a pracą swoją i nauką, umiał wpoić w Zarząd taki dla siebie szacunek, że w roku 1869 mianowany został dyrektorem Towarzystwa budowy kanału Blaton Ath i Dondre sanalisee, a potem uzyskał order Leopolda i zamieszkał w miejscowości Meele pod Brukselą.

Nie ujrzał już więcej Luboradza, ani starej osieroconej matki.

Świetne nadzieje odbudowania zawalonego gmachu Ojczyzny przygasły, ale człowiek ten, ani na chwilę nie zwątpił do samego zgonu, że wybije godzina zmartwychwstania i Orzeł polski jak niegdyś, roztoczy znowu wspaniałe skrzydła nad ziemiami Rzeczypospolitej.

Samotny, opuszczony, przepędzał smutne godziny żyjąc nadzieją, która żywym ogniem tliła w jego piersi.

Poczciwy Twardowski, jedyny jego towarzysz, w czasie kampanii Holenderskiej padł, przeszyty trzema kulami i skonał w jego objęciach.

— Może Bóg mnie skarał — wyszeptał, umierając — żem dla kawałka chleba przywdział na chwilę mundur moskiewskiego żandarma, ale i w tym mundurze chciałem służyć mojej ziemi jak umiałem i nie mam niczyjej krzywdy sobie do wyrzucenia.

Janek miał jednak na obczyźnie jednego człowieka, przed którym odkrywał serce, z którym się dzielił najtajemniejszemi myślami, z którym rozmawiał o przyszłości Polski, w której zmartwychwstanie wierzył niezłomnie.

Na poddaszu jednej z kamienic Brukseli, w dosyć dużej stancyi, zarzuconej mnóstwem książek, pergaminów i rękopisów, — złożonych na podłodze, porozrzucanych na nędznem łóżku, na stole i wszystkich miejscach — mieszkał mąż europejskiej sławy, uczony, filozof, historyk, nieposzlakowany patryota Lelewel, członek Rządu Narodowego.

Janek często zachodził do dumnego z swego ubóstwa starca i przepędzał z nim długie godziny.

Nędza wyglądała tam z każdego kąta. — Sam mędrzec, okryty jakimś starym łatanym płaszczem, przepasany konopnym powrozem, przyjmował gościa czerstwym kawałkiem czarnego chleba, zeschłym serem, popijając tę Luksusową ucztę wodą z glinianego dzbanka.

Za dumny był, żeby cokolwiek od kogokolwiek przyjąć a honorarya literatom wówczas mało przynosiły, zwłaszcza traktaty uczone.

Trafiło się jednego razu zdarzenie, które całą Brukselę na parę dni zajęło i dało temat do licznych rozmów.

Lelewel często odbywał spacery w swoim obszarpanym płaszczu, poza rogatkami miasta. Razu jednego zdarzyło się, że żandarm zwrócił swoją uwagę nań i uważając człowieka nędznie ubranego za jakiegoś włóczęgę, aresztował go i prowadził do miasta. Na szosie, nagle pokazał się powóz królo-

wej belgijskiej; kobiety wysoko ukształconej i znającej osobiście Lelewela. — Jakież było zdumienie żandarma, kiedy powóz zatrzymał się i królowa uprzejmie pozdrowiwszy więźnia, zaprosiła go do swojego powozu.

Uczony ten oryginał, różnił się z Luboradzkim swojemi poglądami religijnemi — Janek wychowany po staropolsku, w surowych zasadach katolicyzmu, częste musiał staczać walki z wolnomyślicielem Wolteryaninem, zgorzkniałym na obczyźnie wśród biedy, lecz Lelewel pomimo swoich rozumowań, nie potrafił zachwiać ani na chwilę jego przekonań religijnych, które były jego siłą umacniającą go w walce z życiem. — Często więc sprzeczali się, czasem na parę dni pogniewali, ale ponieważ szczerość przekonań ożywiała obydwóch, zawsze potem następowała zgoda, bo obydwóch łączyła wspólna myśl miłości dla Polski.

Na obczyźnie, wśród biednych wygnańców, zaczęły się plenić chwasty nowych błędnych pojęć społecznych i religijnych. — Wielu ulegało im, Luboradzki nie sympatyzując z nimi trzymał się na uboczu.

Tak upływały dni za dniami, smutno. Tęsknota za ziemią rodzinną nurtowała piersi, więc popadł w chorobę piersiową i dopiero dobroczynna śmierć dała uspokojenie... Może duch jego mógł dopiero powrócić do Luboradza i widzieć ukochane miejsca...

(Koniec tomu II-go.

JAN OGIŃSKI - KONTRYMOWICZ.

ORLE GNIAZDO

Powieść historyczna z XIX wieku.

Oryginalnie napisana dla
Dziennika Chicagoskiego.

(Część druga powieści „W promieniach Sławy".)



CHICAGO, ILL.
DRUKIEM SPÓŁKI NAKŁAD. WYDAWNICTWA POL.
1911

TOM III.

W SYBERYI.

W SYBERYI.

Przenieśmy się teraz w krainy nieznane, tajemnicze, pomimo tylu opisów im poświęconych.

Syberya! — Ileż ten jeden wyraz, nasuwa uwag i daje tematów do rozmyślań!

My sobie zawsze wyobrażamy Syberyę, jako bezgraniczną płaszczyznę, pokrytą wiecznemi śniegami, pustymi, nieprzebytymi lasami, w której tylko niedźwiedzie i sobole przemieszkują — jako krainę, która zakrzepła mrozem jeszcze od epoki lodowej ziemi i trwa w tym stanie — przechowując w warstwach swej ziemi, kości przedpotopowych zwierząt mamuntów i innych potwornych olbrzymów, do których niegdyś należała.

Wyobrażamy sobie ludy ją zamieszkujące jako stada dzikich hord i inteligentów w kajdanach tu zasłanych, jako krainę bezpłodną i niezdolną wyżywić swoimi płodami większej ilości mieszkańców. Wszystko to jest prawda, ale jest i cokolwiek inaczej.

Mówić „znam Syberyą", kto przebywał w pewnej miejscowości, jest takim samym nonsensem, jak mówić znam Amerykę, kto przebywał w Stanach Zjednoczonych, a nie był ani w Kanadzie, ani w Brazylii — ani na południowym przylądku — ani nie doświadczał mrozów Klondiki, ani upałów zwrotnikowych. — Kto widział tylko Jankesów oddanych pracy, a nie widział leniuchów południo-

wych republik — ten nie może twierdzić że zna Amerykę. Syberya opisana jest ta tylko, do której przemoc zasyła więźniów politycznych — a ta, pustynna, w której żyją autechtony jej, jest tajemnicą.

Wśród tych okolic poszukam naszych znajomych.

Opisywać podróż etapami Antosia Luboradzkiego i Hilarego Webera, aż do przybycia ich na miejsce przeznaczenia do kopalni Nerczyńskich, byłoby to odtwarzać drogę kalwaryi męczenników polskich, niejednokrotnie już opowiedzianą przez ludzi, którzy odbyli tę pielgrzymkę piekielną.

Złączeni w jedną partyę ze zbrodniarzami pospolitymi, złodziejami, podpalaczami, zbójcami, szli długie tygodnie, miesiące, nędznie żywieni, wśród upałów i mrozów, wśród deszczów, wichrów i zamieci śnieżnych — znajdując schronienie co 30 wiorst, w licho zabudowanych stacyach etapowych, przez ściany których często wiatr wnosił miałkie szrony — a dach przepuszczał wodę.

Często się zdarzało, że na drugiej stacyi napotykali drugą partyę aresztantów, przybyłą z innych stron, która już pierwej zajęła budynek i rozlokowała się na nocleg. Nowoprzybyłe jednak stado, trzeba było koniecznie pomieścić pod dachem — wówczas odbywały się sceny, których pióro nie jest w stanie opisać. — Otwierano wrota i bijąc kolbami po karkach, starano się wpakować do zajętej już obory nowe bydło. Dawniej przybyli opierali się i nie chcieli wpuścić nowo przybyłych. — Ci pchani, popychani przez kozaków, wtłaczali się, poczem

rozpoczynały się bójki, które nieraz kończyły się ranami a czasem i śmiercią aresztanta. Kiedy nareszcie partya została wtłoczona pod dach, jak śledzie do beczki, zamykano drzwi. Małe okienka nie mogły dostarczyć świeżego powietrza, więc zaduch z tylu natłoczonych centnarów żywego mięsa czynił niemożebnem oddychanie świeżem powietrzem. — Duszono się, chcąc się zbliżyć do okienka; trzeba było kułakami zdobywać krok każdy, a ci, którzy umęczeni drogą, padli na wylepioną gliną podłogę — deptani, opluci ślinami, podnosili się rano niepodobni do ludzi, a miliony pluskw i robactwa unosili na swojej skórze.

Gdyby Dante kreśląc swoje grozą przejmujące obrazy piekła, widzieć mógł te sceny, stworzyłby obraz, wobec którego zbladłyby wszystkie inne opisy.

Po takim odpoczynku partya wyruszała w dalszą drogę, zostawiając często trupa na miejscu noclegu. Silniejsi, jak wszędzie, zdobywali lepsze warunki — a dwaj mali chłopcy, przyczepieni do tego łańcucha potępieńców, jako jedno jego ogniwo, byli jak piłki porzucone na samowolę przemocy.

Dziwna jednak jest natura ludzka. Zdarza się niekiedy, że istota pozbawiona na pozór zupełnie szlachetniejszych cech człowieka, skalana wszelkiego rodzaju zbrodniami, poczuwa w piersiach swoich coś, jakby powiew wiosennego promienia ciepła — rozdmuchuje go i wydobywa na wierzch niespodzianie dokument człowieczeństwa, dokument duszy nieśmiertelnej. W każdej takiej partyi aresztantów zostaje wybrany tak zwany starosta,

do którego należy przez cały czas podróży władza zwierzchnicza, którego słuchają wszyscy ci, którzy nie chcieli słuchać prawa i wypełniają rozkazy bez apelacyi. Starosta taki przechowuje u siebie wszystkie datki, jakie włościanie składają na rzecz nieszczęśliwych, sądzi spory i staje w obronie, o ile to jest możebne, przeciw nadużyciom władz.

Starostą takim, pospolicie wybrany zostaje największy zbrodniarz, doświadczony bywalec, który już niekiedy kilka razy uciekał z Syberyi, przeszedł rózgi, nie wydał towarzyszy i tym sposobem zasłużył na ufność ogółu.

W partyi, w której się znajdował Antoś i Hilary, był także taki starosta. Był to chłop z Małorosyi, olbrzymiego wzrostu i siły, szedł zakuty w kajdany na rękę i na jedną nogę, które, mówiąc nawiasem, umiał zawsze zdjąć i tylko nakładał wtedy, gdy się zbliżał przegląd. Mówiono, że ręce jego splamione są krwią ludzką. Dwa razy uciekał, dostał rózgi i teraz znowu popadł w sidła gdzieś pod Smoleńskiem i przeznaczony był do kopalni Nerczyńskich; człowiek ten poznał zaraz, że obydwaj chłopcy nie należą do jego kategoryi przestępców, że pochodzą z wyższego stanu. Na pierwszej więc stacyi skinął na nich i odprowadziwszy na stronę zapytał:

— Wy polityczni?

— Tak, polityczni.

— Polacy?

— Tak.

— Na długo skazani do kopalni?

— Bóg to wie — może do śmierci.

— Bóg! — Jaki Bóg? — Żeby był Bóg, toby nie pozwalał na męczenie ludzi niewinnych — a czy wy wiecie, że każdy aresztant ma obowiązek złożyć do wspólnej kasy wszystkie pieniądze, jakie ma przy sobie?

— Słyszeliśmy, że nie wszystkie, a tylko oznaczoną składkę jednego rubla i tę gotowi jesteśmy złożyć na twoje ręce — rzekł Weber i to mówiąc, wydobył sakiewkę i odliczył dwa ruble, za siebie i za Antosia.

Starosta przyjął pieniądze ofiarowane dobrowolnie, ale widząc, że sakiewka jeszcze nie wypróżniona, rzekł:

— Wy malczyki myślicie, że potraficie pieniądze swoje przechować w całości, a to nie wyjdzie i kilka dni a ukradną je wam i na nic się nie zda, chociażbyście porozprówali skóry swoje i tam je ukryli. Ja zbój, katorżnik, zabiłem własną żonę — ale mam honor aresztancki i słowa święcie dotrzymam. Wszyscy to wiedzą, więc żal mi was szczygły. — Oddajcie mnie pieniądze do przechowania, a będą pewniejsze, jak by były w kasie żelaznej bankiera.

Chłopcy spojrzeli po sobie, zapytując się wzrokiem wzajemnie jak postąpić. Wiedzieli dobrze, że umęczeni podróżą i głodem, w nocy snem twardym zasnąć mogą, a wówczas i pieniądze zostaną im zabrane. Nie długo się więc namyślając, Antoś rzekł:

— Wierzymy ci starosto i wszystko co mamy oddajemy ci do schowania. — To mówiąc, wyjął

swoją sakiewkę zawieszoną na piersiach i oddał w depozyt. — Weber milcząc, uczynił to samo.

Starosta przeliczył pieniądze i schował je do kieszeni nic nie mówiąc.

Postępek ten dokonany wobec wszystkich aresztantów uwolnił ich od niebezpieczeństwa nietylko utraty pieniędzy ale może i życia.

* * *

Starosta odtąd wziął w swoją opiekę obydwóch chłopców i nie pozwolił im zrobić żadnej krzywdy; opieka taka była to rzecz bardzo cenna.

Po długich pochodach piechotą, obydwaj aresztanci przybyli nareszcie do Nerczyńska. Lato było w całej pełni swoich ułud i okolice miasta przedstawiały bardzo miły widok. Przez rozkoszne błonia snuje się wężykowata rzeka Nercza. Rozległe, bezleśne wzgórza na jej obydwóch brzegach, pokryte mnóstwem nieznanych w Polsce kwiatów; gromady ptaków rozmaitych, przecinały powietrze i roztaczały ożywiony obraz życia. W dali widać było wspaniałą rzekę Szyłkę, a nad nią ogromny monastyr Uśpieński — i dużą wieś Szyłkę, z kopalniami srebra, w której sterczały mury huty szklanej. — Dziwna to kraina ta Daurya, na całych jej obszarach, nad Szyłką, Ononem i Narczą, znajdują się na górach i dolinach, starożytne, tajemnicze grobowce, budowane z kamienia w formie dużych izb bez pułapu. Podłoga w nich brukowana płaskiemi kamieniami, a pod największą płytą, leżącą na samym środku, spoczywają kości nieznanego ludu i czasu; — kościotrupy umieszczone są w formie

siedzącej. Do jakich ludów one należą? nikt nie odgadnie.

Ani Tungury ani Mongoły nie chowają swoich umarłych w ten sposób, bo albo ciała palą na stosie, lub zostawiają w puszczy na pożarcie dzikich zwierząt. — Prawdopodobnie są to szczątki starożytnego ludu Najmarów, wytępionego przed wiekami przez Mongołów.

Wielki ten cmentarz, nie zbadany dotychczas, chowa tajemnice ukryte wraz z kościami mamutów, może już na wieki przed badaczami przeszłości.

W Nerczyńsku był kres podróży obydwóch skazanych. Trzy dni zaledwie pozwolono im wypocząć.

Miasteczko, a raczej duża wieś Nerczyńsk, licząca nie więcej jak 4,700 mieszkańców, oprócz zesłańych, których liczba toż samo prawie wynosiła, rozrzucone jest na wielkiej przestrzeni. Domki niskie, a przed każdym z nich podwórko pełne cuchnącej gnojówki, wypływającej z obór. Ulice pełne błota, nie brukowane, chociaż kamienia nie brakuje w okolicy. — Największymi gmachami są koszary wojenne i więzienne, w których jednak nie mogą pomieścić się więźniowie. O ile w letnich miesiącach jest powietrze umiarkowane z przewagą wielkich upałów, o tyle zimową porą mrozy dochodzą do 40 stopni Reomira.

Dwaj bohaterscy młodzi ludzie znaleźli się raptem wśród dziwnego, nieznanego sobie świata, wśród strasznych i nieznanych ludzi w kopalniach. Robota wyznaczona była na wydział. Każdy z are-

sztantów obowiązany był pewną ilość taczek ziemi, mieszczącej w sobie metal drogocenny, wykopać i wywieść do płukarni. Praca to była ciężka, zwłaszcza dla ludzi nie przywykłych do niej.

Kiedy spuszczeni zostali obydwa do kopalni, wraz z partyą robotników, nikt nie zwrócił na nich uwagi, nikt nie spojrzał, nikt nie powiedział ciepłego słowa. — Dozorca, milcząc, wskazał im miejsce, taczki i rydle i siadłszy na bryle ziemi, ćmił pomału swoją fajkę. — Chłopcy przeżegnali się pobożnie i wzięli rydle i kilofy.

Oddanie czci Bogu, czynność na pozór tak zwyczajna, zwróciła uwagę dwóch, obok nich pracujących robotników; jeden z nich zesłany za zabójstwo, cynicznie się roześmiał i rzekł:

— Wot! nowe szczygły, żegnają się. — Im się zdaje, że oni coś żegnaniem wyproszą — ot głupcy — smarkacze. Może za zabicie kury kusej przysłani tutaj! Żegnaj ty się czy cariu czy dyabłu, to wszystko jedno.

Gdyby już dłużej przebywali wśród tak zepsutych ludzi, wiedzieliby z doświadczenia, że na takie bluźnierstwa, najlepszą jest odpowiedzią milczenie, ale młoda krew, uczucie krzywdy wyrządzonej religii, rozpłomieniły Antosia zawsze gotowego do obrony prawdy. Obrócił się więc i odrzekł, naigrawając się:

— Oto filozof ze Smorgońskiej widać akademii. On wie co komu przeznaczone, a nie widzi końca swego nosa.

Na te śmiałe słowa, aresztant przestał praco-

wać, stanął, oparł się na kilofie i z zaognionym wzrokiem, chrypliwym głosem rzekł:

— A tobie miło jeszcze oglądać słońce? Ty małpo, milcz ze swojemi modlitwami i nie psuj nam niemi humorów, bo ci tym kilofem łeb roztrzaskam jak łupinę orzecha.

— A ty jesteś bydlę! — odparł zuchwały chłopak, unosząc się. — Ja pod Boga jestem opieką i bez Jego woli, włos mi z głowy nie spadnie.

Rozwścieczony zbir splunął na stronę, pochwycił kilof, roześmiał się na całe gardło, i podniósłszy go raptem gwałtownym ruchem w górę, już miał spuścić cios na głowę chłopaka — gdy w tem ręka jego zawisła w powietrzu, zatrzymana silną dłonią, przechodzącego właśnie w tej chwili starosty partyjnego.

— A ty nie śmiej jego dotknąć — zawarczał mu nad uchem głos potężnego chłopa — on jest pod moim pokrowitelstwem; nie śmiej, bo inaczej ze mną będziesz miał do czynienia.

Na ten głos zbir obrócił się i znając widocznie przemawiającego doń starostę — opuścił kilof i milcząc, wziął się do roboty, złowrogo tylko spoglądając na wydartą sobie ofiarę.

— A wy gołąbuszki nie draźnijcie nieszczęśliwych, bo to i o nieszczęście nie trudno. Zabije jak pchłę i co mu za to zrobią? — Oćwiczą rózgami i tyle.

Nauka była bardzo rozumna — więc chłopcy wzięli się do roboty — ale pomimo wysiłku pracy, niewprawne ręce nie zdołały na czas wydobyć i wywieść przeznaczonej ilości rudy.

Aresztant, z którym mieli zajście, uśmiechał się szyderczo, pracując obok nich i wkrótce ukończył swoją robotę.

Groziła obydwom kara za lenistwo: pozbawienia obiadu, a raczej wieczerzy. Aresztańci w kopalniach, wychodząc rano do roboty, dostają po dwa funty chleba razowego i to im powinno wystarczyć na cały dzień. Dopiero po ukończeniu robót wieczorem, udają się wszyscy na obiad, złożony pospolicie z rozgotowanych liści kapuścianych, zasypanych kaszą jęczmienną i okraszonych łojową świecą. — Obrzydliwa to strawa i długiego potrzeba czasu, żeby się do niej przyzwyczaić, ale w końcu staje się niezbędną dla utrzymania życia.

Takiego obiadu mieli być pozbawieni biedacy. W czasie długich pochodów przyzwyczaili się już do tej karmy, bo siła natury brała górę i pobudzała apetyt.

— No, wy mołodcy, dziś nie będziecie jedli obiadu, — a ta cała wasza robota, nie warta i niucha tabaki — rzekł, śmiejąc się dozorca.

— Nie mamy sił więcej, a nie próżnujemy ani chwili — rzekł Weber.

— Masz, czy niemasz siły, a robota musi być wykończona. Car tak kazał i tak być musi, a jak wam braknie sił, to ja tu mam lekarstwo na wzmocnienie. To mówiąc, pokazał nahajkę kozacką i trząsnął nią nad karkami chłopców.

Aresztant spojrzał szyderczo na Antosia i Hilarego. Ci, milcząc, pracowali bez przerwy, wydobywając ostatnie siły.

Zbliżała się godzina opuszczenia kopalń, a im jeszcze brakło dużo rudy do oznaczonej ilości.

Starosta, stary bywalec w kopalniach, dawno już ukończył swoją pracę, zbliżył się i stanął, patrząc na ich wysiłki.

— No, dużo jeszcze brakuje rudy, panowie polityczni. Trzeba wam pomódz, bo inaczej to bieda z wami. To mówiąc odebrał kilof Antosiowi, zamigotał nim w powietrzu i silnem uderzeniem odwalił od razu ogromny kawał rudy od skały. Pokruszył go na drobniejsze kawałki i dopełniwszy tej czynności rzucił na ziemię. Teraz pakujcie do taczek rudę i wszystko będzie po formie, a naczalstwo nie zje waszego obiadu. A ty — rzekł zwracając się do aresztanta, który ze zdziwieniem spoglądał na jego czyn, nie biesisia nad biedniakami! To młode wróbelki i ja im oskubać piór nie dam.

W kopalniach, jak wszędzie przy rozpoczęciu nowej pracy, początki były najprzykrzejsze i warunki trudne bardzo do zniesienia — ale natura ludzka jest niewyczerpana w swoich siłach, jakiemi rozporządza. Są ludzie, którzy ulegają przy małych nawet przeciwnościach, ale są i inni, dla których walka jest ożywieniem, potrzebą, która nie tylko nie osłabia ich energii, ale ją wzmacnia fizycznie. Są jednak okoliczności, w których uledz muszą najsilniejsze organizmy, jak to ma miejsce w kopalniach Nerczyńska, w których wśród metalu poszukiwanego, znajdują się wielkie żyły merkuryuszu. Te fatalnie oddziaływają na ciało ludzkie. Merkuryusz wciska się niewidocznie w kości,

zajmuje je i w parę lat czyni niedołęgami najsilniejszych ludzi.

Wszystko to jednak człowiek znieść może i chociaż kości próchnieją, są natury, że zachować potrafią energię życia i przechować święte uczucia na dnie serca. — Ale biednych wygnańców nawiedza jeszcze straszliwy wróg, nie ubłagany, bez litości gnębiący, wysuszający wszystkie źródła życia i jeżeli nie nastąpi zmiana miejsca, to następuje śmierć. — Nieprzyjacielem tym jest tęsknota za rodzinną ziemią, za kątem, w którym człowiek przepędził dzieciństwo, za rodzinną chatą, za suchemi drzewami stojącemi około drogi, za ptaszynami, które się wiją po płotach, za wszystkiemi relikwiami przeszłości. Człowiek, opanowany tęsknotą za swoim krajem, staje się obojętny na wszystko, Myśl jego ciągle krąży po znajomych miejscach, odszukuje je, przypomina głosy drogich istot, szum drzew i mruczenie strumyków. Cały świat niema już dla niego powabów, oprócz jedynego miejsca, o którem marzy na jawie i we śnie.

Po kilkunastu miesiącach pobytu w kopalni, chorobie tej zaczął się poddawać Antoś Luboradzki. Webera natura okazała się mniej wrażliwą.

Antoś spełniał machinalnie robotę i milczał uporczywie i wszelkie usiłowania Hilarego nie mogły go przyprowadzić do równowagi. — Opatrzność Boska uwidoczniła się tu widocznie. Kopalnie zwiedzał jakiś dostojnik z Petersburga. Uwagę jego zwrócili na siebie dwaj niedorostki. Rozmawiał z nimi i kazał ich przenieść na posielenje do Stra-

teńska. Był to wielki los wygrany na loteryi życia, ulga wielka i niespodziewana.

Wieś Strateńsk rozciąga się nad rzeką Szyłką. Jest to wieś zamożna i dobrze zabudowana. Mieszkańcy jej trudnią się rolnictwem i spławem na rzece. Pozazdrościć można piękności widoków i malowniczości położenia. Tu do Szyłki wpada rzeka Kurynga. Błękitna taśma jej wody, zielone błonia, skały i lasy modrzewiowe mogłyby rozweselić umysł wolnego człowieka, ale i wygnańcom przyniosły niejakie uspokojenie. Klimat przez sześć miesięcy jest surowy bardzo; dachy domów pokryte są korą brzozową, fronty domów zwrócone są do podwórza i każdy z nich otoczony jest zawalnią od zimna, to jest żerdziami, powbijanemi prostopadle, a między nie napakowywa się mech, suche liście z drzew lub suchy nawóz. W każdej chałupie ogromny piec, uprzywilejowane miejsce dzieci, lub starych rodziców, wiecznie na nim rozlegających się. Piec taki zimową porą rozgrzewany wydaje swąd, do którego trzeba się przyzwyczaić — ale największą klęską tych domów są karakony i pluskwy, któremi całe ściany są pokryte. Włażą do garnków, zjadają chleb, łażą po śpiącym człowieku i niema innego sposobu na ich wygnębienie, jak w najsilniejsze mrozy powyjmować okna, otworzyć drzwi na parę dni i wymrozić je. Wkrótce jednak z pozostałych rozradzają się nowe gromady i czynność tę parę razy wśród zimy dopełnić potrzeba.

Takie mieszkanie znaleźli obydwaj chłopcy w Strateńsku, a towarzystwo stanowił jedynie pisarz

gminny, który się wsławił swoim raportem. Rzecz się tak miała:

Jan Franklin, sławny żeglarz i podróżnik angielski, przedsięwziął podróż do bieguna północnego i zaginął bez żadnej wieści. Z Ameryki i z Anglii wysłano kilka expedycyi na północne wody w celu wynalezienia jakichkolwiek śladów żeglarza.

Rząd moskiewski, który zawsze chce odgrywać komedyę postępowego i humanitarnego, przyjął udział w poszukiwaniach Franklina i minister wezwał wszystkich gubernatorów syberyjskich do poszukiwania śladów jego pobytu, nadmieniając, że rzeką Ieną mógł wpłynąć do Syberyi i gdzieś zginąć lub jeszcze przebywać.

Gubernatorowie okólnikiem rozkazali wszystkim władzom robić poszukiwania w swoich terytoryach i oto pisarz gminy Strateńska, do której przeniesiono Luboradzkiego i Webera, napisał następujący raport do gubernatora:

„Mam honor donieść J. W. Panu, iż w gminie naszej przez trzy dni szukano śladów ukrywającego się Anglika Franklina. Człowieka tego nazwiska nie znaleziono nigdzie i najstarsi ludzie nie pamiętają, żeby kiedy tu przebywał. Śladów jego okrętu, po bardzo pilnych poszukiwaniach także nie znaleziono. Przytem ośmielam się donieść, że w rzekach naszych zaledwie po pas jest wody. — Jeżeli jednak w przyszłości pokaże się Franklin w naszej gminie, natychmiast każę go aresztować i pod ścisłym konwojem odstawić do urzędu gubernatora, dla wymierzenia odpowiedniej kary dla włóczęgów”.

Pisarz ten, zresztą nie zły człowieczyna, przyczepił się ze swą przyjaźnią do Antosia i Hilarego. Nachodził ich ciągle, nudził, ale też pożyczał im broń, z którą udawali się na polowanie i tym sposobem się żywili.

Na takiem to towarzystwie biedne chłopaki poprzestawać musieli — bo za obręb gminy nie wolno było im się wydalić.

Na osiedleniu w Strateńsku, potrzeba się było zająć wyszukaniem jakiegoś zajęcia, które mogłoby im dać utrzymanie. Chłopcy nie mieli jeszcze doświadczenia, więc tymczasem polowali i namyślali się co dalej zrobić. — W tym czasie Weberowi spadła pomoc jakby z nieba.

W Nerczyńsku żył kupiec prawosławny Juryński, człowiek, co się wyjątkowo tylko zdarza wśród kupców, wykształcony po europejsku, który z zamiłowania oddawał się botanice. Kiedyś był nawet w Warszawie i zawiązał tam stosunki handlowe.

Był to jeszcze nie stary człowiek — typ prawdziwego Wielko-ruska... Otyły, pulchny, z dużą czerwoną brodą. Na pozór zdawało się, że całem zadaniem jego życia jest tylko funkcya odżywiania się. Tymczasem człowiek ten był niezadowolony ze wszystkiego co go otaczało. Majątek jego wzrastał z każdą chwilą, a on wbrew zwyczajom wszystkich kupców rosyjskich, dotąd nie pomyślał o żonie. Liczne swaty, które go nachodziły, prawie wyrzucał za drzwi. Miał on kilku zastępców w sklepie, a sam po całych dniach letnią porą, włóczył się

po górach i namiętnie zbierał zioła i kwiaty, w które tamtejsze okolice są bardzo bogate.

Postępowanie takie ściągnęło mu nazwę niesamowitego, i nawet familia dalsza myślała o oddaniu go do domu waryatów, a zagarnięcia olbrzymiej fortuny.

Nie udały się jednak te plany i Juryński jeszcze więcej odsunąwszy się od ludzi, z zamiłowaniem oddawał się nauce botaniki.

Raz był dzień cudownie piękny. Słońce jakby chcąc wynagrodzić ziemi długą swoją nieobecność zimową porą, rozrzucało niezrównane blaski po dolinach szmaragdowych i po złocistych stokach gór, pokrytych kwiatami i odbijało się w kryształach strumieni. W powietrzu słychać było głosy różnego ptactwa, gromadzącego się tłumnie nad brzegami wód. Niebo jasne, pogodne, tworzyło kryształowe sklepienie wspaniałej piękności namiotu.

Pod olbrzymim modrzewiem, rosnącym nad przepaścią skały, siedzieli Antoś i Hilary. Pod spływał im z czoła, a dwie dubeltówki oparte o pień drzewa i pies myśliwski, leżący u ich nóg pokazywały, że wybrali się na polowanie. Kilkanaście jarząbków i jeden cietrzew zawieszone u torb pokazywały, że nie strzelali napróżno.

— No, nie najgorzej udało się polowanie — rzekł Weber — jak to dobrze, że ten poczciwy pisarz gminny, za poręczeniem Archireja pożyczył nam strzelby, dał amunicyi i poradził popróbować szczęścia. Za sprzedane ptactwo będziemy mogli, popracowawszy jeszcze jakiś czas, kupić sobie flinty na wypłatę i oddając się myśliwstwu, przedłużać

naszą egzystencyą i wprawiać się w coraz lepsze strzelanie. Może nam się to jeszcze kiedyś przyda. Ludzie tu nie są tak źli, jak myślałem, mieszkańcy mają współczucie dla wygnańców.

— Wszędzie są ludzie źli i dobrzy — odparł Antoś, — ale teraz po wydobyciu się z kopalń, los nasz znacznie znośniejszy.

— Mam nadzieję — rzekł Weber — że jeszcze będziemy kiedyś nad naszą Wisłą.

— I ja nie tracę nadziei, ale tęsknota zabija mnie — rzekł Antoś.

Tymczasem Weber wpatrywał się w brzegi strumienia, który się sączył u stóp góry.

— Czy widzisz, jak tam coś się błyszczy i mieni na brzegu wody?

— Widzę — zapewne to jakiś kawałek szkła, który ktoś rzucił z robitej flaszki.

Hilary potrząsnął głową i coraz uważniej przypatrywał się błyszczącemu przedmiotowi.

— Ach! jak błyszczy! co za pyszne łamanie się promieni światła! Nie wytrzymam, muszę się przekonać, co to jest.

Antoś uśmiechnął się i nic nie odrzekł.

Weber tymczasem powstał i śpiesznie spuściwszy się ze skały, znalazł się nad brzegiem strumyka. Przedmiot, dla którego przedsięwziął wyprawę, zniknął mu z oczów. Słońce w tej chwili zaszło za małą chmurkę i przedmiot utracił swoje blaski.

Przez jakiś czas niezadowolony, rozpatrywał się w położeniu i nie mogąc dostrzedz, roześmiał się sam z siebie i już miał powracać do towarzysza, gdy promienie słońca znowu zajaśniały w ca-

łej pełni i tuż obok nogi zobaczył błyszczący kamień, po który szybko się schylił. — Kamień był wielkości ziarnka bobu. Im więcej mu się przypatrywał, im więcej obracał go na wszystkie strony, tem mu się wydał piękniejszy, tem jaskrawsze rzucał blaski.

— Miałżeby to być brylant? — zawołał zdumiony, ale natychmiast roześmiał się i rzekł, powracając na górę:

— Jaki ja dzieciak jeszcze, że tak łatwo poddaję się marzeniom. — Wprawdzie czytałem, że w górach Syberyi znajdują się topazy, turkusy, ametysty, szafiry, ale nie słyszałem, żeby, jak w Brazylii, znajdowały się dyamenty. Bądź co bądź, schowam ten kamyczek na pamiątkę i zawiozę go do kraju. — Powróciwszy na wzgórze usiadł obok kolegi.

— No co? — znalazłeś dyament?

— Nie śmiej się — znalazłem coś niezwykłego; dyament nie dyament, ale zawsze jakiś minerał mający wartość.

— Pokaż go.

Zaczęto oglądać, przesuwać przed oczami i dziwić się blaskom, jakie się z niego rozchodziły.

— Dziwnie to wspaniała i tajemnicza kraina — rzekł Antoś. — Pomimo grozy, jaką jest pokryta, pomimo tyraństwa ludzi, przedstawia kartę nowego, nieznanego świata. Czy to już trup umarły przed wiekami, zabalsamowany tylko, czy zarodek nowego życia, które się kiedyś rozwinie i ze zmianą klimatu przybierze nowe kształty?

Tak, tajemniczy to jest skarbiec pamiątek zamierzchłej przeszłości. Znajdujesz tutaj kości mamutów i zwierząt żyjących w sferach zwrotnikowych, pokrytych zmarzniętą ziemią jeszcze od epoki lodowej. Wśród tych szczątków przeszłości — wśród tego mrowiska tajemnic, napotykasz jednostki tak szlachetne, tak proste a wzniosłe, że pomimowolnie nasuwa się pytanie, czy one są wytworem starej czy nowej kultury, czy też samorodnemi pestkami nowego życia. Naprzykład ten Archip, ten prosty chłop, w zdumienie wprowadzający swojemi zdaniami.

Przez cały czas, gdy to mówił Antoś, Weber trzymając swój kamień w palcach, obracał go na wszystkie strony i bawił się, patrząc na łamanie się promieni w jego ścianach.

Obydwaj chłopcy siedząc i rozmawiając, nie spostrzegli, że za pniem olbrzymiego modrzewia, pod którym siedzieli, stoi człowiek jakiś i pilnie się przysłuchuje ich rozmowie. — Mężczyzna w sile wieku, z czerwoną dużą brodą, spadającą mu na czerwoną koszulę; w jednej ręce trzymał potężną laskę sakiakową, w drugiej jakieś duże papierowe pudełko. Przez plecy miał zawieszoną torbę niucianą, a z niej wyglądał plik papierów, złożony ze starych gazet i bibuły.Człowiek ten oparł się na lasce i przysłuchując się rozmowie młodzieńców, zdawał się być nią mocno zainteresowany.

Niespodzianie oko jego dostrzegło błysk kamienia, którym się bawił Weber. Wtedy postąpił naprzód i ukazał się oczóm chłopaków.

— Pan Juryński — odezwał się Luboradzki, spoglądając na nowo przybyłego.

— Znacie mnie, panowie?

— Któżby nie znał najznaczniejszego kupca w Nerczyńsku i człowieka, którego nazwisko otoczone jest powszechną czcią — odpowiedział Weber.

— Tak, jestem Juryński, — a wy?

— My wygnańcy z Ojczyzny — posieleńcy — Polacy.

— Posieleńcy — Polacy! — powtórzył cicho ze smutnym wyrazem w twarzy.—Wielu was tu już widziałem nieszczęśliwych; i ja także pochodzę z posieleńców, bo dziad mój kiedyś został tutaj zesłany. Ojciec mój już się tu rodził i ja także. Nie wiem, jakim sposobem zostaliśmy prawosławnymi, lecz żyję tu jakoś przy łasce Bożej. To mówiąc, położył swoje pudełko na ziemi, zdjął torbę i usiadł obok młodzieńców.

— Co tu panowie robicie?

— Polujemy, jak pan widzisz, by nie umrzeć z głodu.

— No i dobrze wam idzie, bo łupy myśliwskie macie poważne — i broń wasza piękna; nie jesteście więc widać biedni.

— Broń nie nasza — pożyczona od pisarza gminnego za poręczeniem Archipa i oddamy ją jak powrócimy.

— Archipa! Tego marzyciela, na pół waryata, a na pół filozofa i świętego — odrzekł Antoś, uśmiechając się. Trzeba coś robić koniecznie, żeby żyć.

— Każdy przepędza życie jak może i ja pomimo moich zatrudnień, oprócz handlu, zajmuję się botaniką w wolnych chwilach. To mówiąc, rozłożył papiery i pokazał mnóstwo roślin zerwanych na pochyłościach gór.

Chłopcy z ciekawością zaczęli się przypatrywać zebranym skarbom flory.

— Co za pyszne okazy roślinności! — zawołał Antoś — nie jedno muzeum pozazdrościłoby ich panu.

— Tak, masz pan racyę. Roślinność tutejsza wprawia wszystkich w zdumienie. Zaledwie parę miesięcy w roku natura ma prawa życia i w tym krótkim czasie roztacza takie bogactwa, zaściela takie kobierce wspaniałych kolorów, że i podzwrotnikowe okolice nie wydają nic piękniejszego. Mówiąc to, wydobył parę pakietów z zimnem mięsiwem wędzonem, bochenek chleba i oplataną butelkę z wódką.—Pozwólcie panowie, że spożyjemy razem śniadanie. Polowanie powinno wam dodać apetytu, więc proszę, spożywajcie z Bogiem pokarmy, które zwykle biorę z sobą, wybierając się na wycieczki.

Chłopcy nie dali się prosić. — Tymczasem Weber podjadłszy już, bez myśli wydobył z kieszeni od kamizelki swój kamyk i zaczął się nim bawić.

— Proszę mi to pokazać — rzekł Juryński, wyciągając rękę.

Weber podał mu żądany przedmiot.

Kupiec zaczął się bacznie przypatrywać. Im więcej patrzał, tem twarz jego wyrażała większą ciekawość i zdumienie.

— Skąd to pan ma?

— Znalazłem na brzegu tego strumienia.

— A czy pan wiesz co to jest?

— Jakiś minerał, ale wartości, jeżeli ma jaką, ja nie znam.

— A cobyś pan na to powiedział, gdybym mu oznajmił, że to jest brylant?

— Myślałbym, że pan ze mnie żartujesz.

— Nie żartuję wcale, to jest prawdziwy brylant i jeżeli chcesz, to mogę go od ciebie kupić?

— A jaką ma wartość?

— To jest rzecz bardzo względna, po oszlifowaniu kamienia pokazuje się dopiero jego wartość — może być dużo wart, lub jeżeli się pokażą niedostatki, bardzo mało. Ja jednak jestem gotów wypłacić za niego tysiąc rubli.

— Tysiąc rubli! — zawołali obydwaj towarzysze, spoglądając na siebie — tysiąc rubli! ależ to jest majątek!

Juryński uśmiechnął się dobrotliwie. Dla niego, który prowadził handel krociami rubli, tysiąc rubli było bagatelą, nie zasługującą na uwzględnienie, a dla nich stanowiło bogactwo. Po chwili milczenia, Weber podając mu kamień, rzekł:

— Niech panu służy, jest pańską własnością.

Juryński bacznie zaczął się wpatrywać w twarz chłopca.

— A może ja was chcę oszukać?

— Nie myślimy tak.

— Trzebaby jednak wam się przekonać o prawdziwej wartości — ale w tej miejscowości trudno to zrobić. Przytem narazić się można na konfiska-

tę przez rząd, który zachował sobie monopol. Nie myślcie, że to mówię dlatego, żeby obniżyć wartość kupna, ale ostrzegam was.

— Panie Juryński — rzekł Luboradzki — ciebie tu zanadto znają z uczciwości więc ufamy ci zupełnie.

— Nie zawiedziecie się na niej. — Udajmy się więc razem do Nerczyńska, a tam w moim kantorze zostanie wypłacona wam ugodzona suma.

Chłopcy zawiesili swoje dubeltówki i torby ze zwierzyną na ramiona, a Juryński zapakował starannie swoje zbiory i wspólnie zaczęli z gór zstępować.

Dworek, który zajmował kupiec, drewniany jak wszystkie, rozmiarami tylko swojemi przenosił inne. Składał się oprócz domu mieszkalnego z obszernych zabudowań, stanowiących liczne magazyny. Duża sień założona była pakami herbaty i innych towarów. Na lewo była duża izba, zajęta na kantor, w którym kilku subjektów sortowało towary i prowadziło księgi kupieckie. Na prawo znajdowało się mieszkanie właściciela. Przeszedłszy sień, Juryński wprowadził swoich towarzyszy do mieszkania.

Mieszkanie to było nadzwyczaj proste. W pierwszej izbie znajdował się tylko stół, kilka krzeseł jaworowych i kilka szaf napełnionych papierami. W drugiej stancyi, do której teraz weszli, przedstawiał się widok jakiegoś muzeum zoologicznego. Na ścianach poprzybijane były pyszne okazy wypchanych zwierząt i ptaków. Był tam sobol, bóbr, gronostaje, wiewiórki syberyjskie, olbrzymie o-

kazy jeleni i renów, a w kącie stał biały niedźwiedź, złowiony przy ujściu Leny do morza. Półki zapełnione były zasuszonemi roślinami, których całe stosy tu się znajdowały. Na samym froncie stały dwie olbrzymie szafy, oszklone, zapełnione książkami i rękopismami. Dalej stała szafka z minerałami sybirskimi. — Przez chwilę zatrzymali się w tem muzeum, przypatrując się nagromadzonym skarbom.

Juryński skinął lekko głową i poprowadził ich do trzeciego pokoju, który był jego właściwem mieszkaniem. W jednym rogu izby zawieszony był obraz Matki Boskiej Kazańskiej, w drugim Chrystusa w stylu bizantyńskim malowany. Przed obydwoma paliły się w srebrnych oprawach lampki z oliwą. Obszerny stół na środku i żelazna kasa ogniotrwała, kilka krzeseł i kilka obrazów na ścianie stanowiły cały przepych mieszkania tego bogatego człowieka.

— Siadajcie i odpocznijcie, spożyjemy najpierwej obiad, a potem przystąpimy do interesu. — Hej, Sawicho, chodź tutaj — zawołał zbliżając się do okienka umieszczonego w ścianie.

Na ten głos drzwi po cichu się otworzyły i do izby weszła kobieta już nie młoda w kokoszniku na głowie i w jaskrawej spódnicy. Pomimo ciepła miała watowany czerwony kaftan wyszywany różnowzorą włóczką, po większej części żółtą i zieloną. Spojrzała na nowoprzybyłych, pokłoniła się w pas, aż do ziemi i czekała rozkazu.

— Głodni jesteśmy, Sawicho, daj nam co przetrącić ale prędko.

Sawicha, nic nie mówiąc, wyjęła z szafy serwetę kolorową, rozciągnęła ją na stole i położyła na niej najpierwej bochenek praśnego chleba, sól i jakąś wędzoną rybę. Potem ustawiła talerze fajansowe i wyszła.

— Ta jest także zesłana na posielenje. W przystępie zazdrości zabiła swego męża — odcierpiała katorgę, a teraz służy.

— Czy bezpiecznie taką trzymać w domu? — zapytał Antoś.

— Dlaczego nie; człowiek jest grzeszny, zbłądzić może, więc trzeba mu ułatwić powrót na drogę cnoty. Ja już trzeci rok trzymam ją u siebie i jestem z niej zadowolony.

Na stole pokazała się waza z zupą ze szczawiu. Jest to potrawa narodowa rosyjska, rodzaj barszczu z owsianej mąki. Następnie na półmisku kurzył się tłusty kaczor a na uwieńczenie uczty, na dużej salaterce bliny. — „Kto nie jadł blinów, ten nie jadł dobrej potrawy" — tak mówią w Syberyi. Są to naleśniki z gryczanej kaszy, obficie podlane świeżem masłem. Do nich dodaje się świeżej śmietany, zmieszanej z sokiem jagód z borówek lub berberysu.

Na stole znalazła się także butelka reńskiego wina, które w Syberyi ma cenę dziesięć razy większą niż w Europie.

Po skończonej uczcie zapalono cygara, do których obydwaj młodzi chłopcy nie byli przyzwyczajeni, lecz przyjęli je przez delikatność, nie chcąc narazić gościnnego gospodarza na zawód. Nagle Juryński powstał, otworzył ogniotrwałą ka-

sę, odliczył sto dziesięcio-rublówek czerwonych i rzekł:

— Niech wam to będzie na pożytek i niech błogosławieństwo Boże wam towarzyszy. Tu, w Syberyi rozpoczynając z sumą taką jakiś interes, można zrobić majątek. Próbujcie, może wam się uda zrobić miliony.

— Miliony! Nie pragniemy milionów, lecz powrotu do Ojczyzny.

— To źle. Człowiek mający miliony, może zrobić dużo dobrego dla siebie i dla Ojczyzny.

Weber odliczył sobie piećdziesiąt sztuk bumażek, a drugie pięćset wskazując Antosiowi, rzekł:

— Zabierz i schowaj.

— Na cóż mnie? Ja nie znalazłem brylantu.

Weber spojrzał groźnie na towarzysza i odrzekł:

— Złą i dobrą dolę postanowiliśmy znosić razem; bierz, bo inaczej przestanę być twoim przyjacielem.

Juryński patrząc na tę scenę, zdawał się mocno wzruszony. Podobała mu się ta przyjaźń młodych wygnańców i sympatya jego widocznie się powiększyła.

— Dobry to naród, ci Polacy — rzekł do siebie w zamyśleniu. Mam w sobie krew polską, a jednak nie jestem Polakiem.

— Cóż cię panie od nas odstręcza? — zapytał Antoś.

— Odstręcza? — Nic nie odstręcza, przeciwnie, łączy mnie z wami sympatya wielka ale dzieli nas religia matki mojej, a tej zmienić nie mogę. Ba!

chociażbym nawet chciał, nie mogę przejść na katolicyzm, bo prawa krajowe na to nie pozwalają. Trzeba już tak zostać, ale mnie to gnębi i trawi. Spostrzegłszy się, że wszedł na pochyłą ścieżkę zwierzeń, odwrócił rozmowę i zapytał:

— Co dalej myślicie zrobić młodcy?

— Oddamy Archipowi pożyczone strzelby, kupimy sobie nowe i zaczniemy zajmować się polowaniem aby zarobić na utrzymanie.

— Tym sposobem wyżyć możecie, ale to nie rozwiązuje zadania życia. Trzeba czas przebyty na Syberyi spożytkować, trzeba myśleć o zrobieniu poważnego majątku, a tu, kto się nie oddaje pijaństwu, karciarstwu, a uczciwie prowadzi interesa — ma do tego obszerne pole.

Weber z uwagą słuchał słów gospodarza, a gdy ten umilkł, zapytał:

— I cóżbyś nam pan radził? — Urodzony tu i wychowany, znasz wszystkie okoliczności, więc poradź nam.

— Boję się radzić; rozpatrzcie się wokoło do czego macie zdolności i co umiecie.

— Wszystko i nic. To tylko wiemy, że do czegokolwiek się weźmiemy, to się poświęcimy całą duszą.

— To dobrze, tak być powinno. Nie święci garnki lepią!

— I garnki lepilibyśmy, jeżeliby to obiecywało stałe korzyści.

— To spróbujcie lepić garnki i wyrabiać szkło. Nadarza się do tego wielka sposobność. Rząd w tym czasie chce wydzierżawić starą hutę szklaną w

Sztyłce, którą wybudował jakiś Niemiec i umarł zaledwie jej budowę ukończywszy. Fabryka została opuszczona i zaniedbana. Rząd nie wie, co z nią zrobić i pragnie ją wydzierżawić za śmiesznie małą cenę Próbujcie; ja o ile będę mógł, będę wam dopomagał.

— Mało mamy pod tym względem fachowych wiadomości, mało obeznani jesteśmy z chemią, a książek, ani podręczników nie posiadamy wcale.

— Znajdą się u mnie. — To mówiąc, zbliżył się do szafy i wyjął dwie duże księgi z licznymi rysunkami, w języku niemieckim drukowane.

— Czy umiecie po niemiecku?

— Ja władam tym językiem doskonale — rzekł Weber.

— Wybornie; weź te książki do siebie i przeczytaj je uważnie. — Chciałbym koniecznie wyprowadzić was na milionerów.

Weber odłożył książki na bok, podziękowawszy za pożyczenie.

Przez chwilę panowało milczenie. Przerwał je Juryński.

— Z kim żyjecie? Z kim się znacie? Tu wielu jest Polaków w okolicy.

— Nie mieliśmy jeszcze sposobności poznać się z nimi. Towarzystwo nasze najczęściej stanowi Archip, którego podziwiamy.

— To wzniosły marzyciel. Żyje w krainie ducha tylko, ale on sam majaczy i może was zaprowadzić na bezdroża. Są tu ludzie, z którymi życzę wam się zapoznać, i posieleńców rosyjskich także jest kilku godnych szacunku. Wszystko to rozrzu-

cone po wsiach dosyć oddalonych, lecz koniec końcem stosunki są z nimi możebne.

— Racz nam pan coś powiedzieć o naszych rodakach rozmieszczonych w okolicy. Pragnęlibyśmy bardzo zabrać z nimi bliższą znajomość.

— Bardzo dobrze; znam prawie wszystkich, jeżeli nie osobiście, to z opinii i chętnie wam o nich coś powiem. A więc najprzód wysuwa się na czoło ich niejaki Rzeźnicki, patryarcha, że tak się wyrażę, posieleńców, bo jeszcze w roku 1812 został wzięty do niewoli w czasie wyprawy Napoleona do Rosyi. — Charakter niepodległy a tak dumny, że od nikogo nie przyjmuje pomocy. Żyje w nędzy dużej, a całem jego zajęciem jest uwielbienie dla Napoleona, którego czci jak świętego. Przed litografowanym jego portretem, zawieszonym na ścianie, pali się lampka. On to jest założycielem sekty Napoleonidów, szeroko rozpowszechnionej w całej Syberyi. Mieszka w Upieńsku, gdzie są wody mineralne. W Szyłce znacie zapewne dzielnego chłopa Teodora Sajczuka, wziętego w potyczce z oddziałem Michała Wołowicza w tym samym czasie, co i wy. Dostał 1500 kijów, a teraz wyrabia drewniane postoły i naprawia beczki na kapustę. Podobno dał dowody wzniosłego poświęcenia dla swojego dowódcy. — W Nerczyńsku jest, jak wiecie, ksiądz Jurewicz proboszczem. Nie jest to zsylny i zapewne go jeszcze nie znacie, gdyż już od pół roku wizytuje swoją parafię, która się rozciąga przeszło na 7,000 wiorst kwadratowych. — Wiadomo wam zapewne, że ksiądz Sierociński, przeor Bazylianów w Owruczu, zasłany pierwotnie w ko-

zaki wśród Kirgizów, kilka lat tłukł się na szkapie. Potem zrobiono go profesorem w Omsku. — Człowiek ten dokładnie poznawszy stosunki tutejsze obmyślił wielki plan oderwania całej Syberyi od Rosyi i utworzenia oddzielnego państwa przy pomocy Bucharów, Kirgizów, Tatarów i Sybiraków, a w razie niepowodzenia obmyśloną miał ucieczkę przez Persyę i Indostan. Do spisku należało kilka tysięcy osób; plan był mądry, bo oparty na znajomości miejscowych stosunków, ale w przeddzień wybuchu zdradzili go niejaki Knak i Gajewski. Sierociński został zamordowany, dostawszy 7,000 kijów. Biedny męczennik, święty człowiek... Śmierć jego męczeńska, była postanowiona w Petersburgu. Przysłano generała Gołofjewa dla wykonania jej, a ten chcąc skrócić męczarnie nieszczęśliwego, chodząc przed frontem żołnierzy, rozkazywał bić bardzo silnie. — Czy to prawdziwa przyczyna tego barbarzyństwa, nie wiem — przynajmniej on po powrocie do Petersburga tak się uniewinniał przed znajomymi. — Otóż z afery tej jest tu doktor Szokalski, wytrzymał 6000 kijów rozłożonych mu jednak na trzy dawki. Na drugi dzień po wyliczeniu mu ostatniej porcyi kijów wysłano go do kopalni w Nerczyńsku. Teraz już jest na posielenju. Poznać go wam potrzeba koniecznie. Ma dużą praktykę lekarską i zbierałby znaczne pieniądze, ale wszystko rozdaje biednym i jeżeli potrzeba, to dziesiąć wiorstw nie waha się iść piechotą do chorego. Wszyscy go znają i kochają. Jest to melancholiczny charakter, zamknięty w sobie a ja przewiduję smutny koniec. — Zaknutowano także Jabłońskie-

go. Po 4,000 pałkach już nie żył, lecz resztę wymierzono trupowi. — Wielki wasz poeta pisał o nim:

„Każdą kość jak z kłosa żyto,
Jak od suchych strąków grochy,
Od skóry jego odbito".

— Jest tu także Różański, żołnierz polski. Dwa razy uciekał z Syberyi i zawsze go złapano, dostał 2000 kijów i teraz służy za parobka u gospodarza sybiraka. Jakób Paniasiak, chłop z dóbr Wołowicza, którego stryj denuncyował, opowiadał mi jego historyą. — Wołowicz sformował oddział powstańczy w swoich dobrach Czundry, o milę od Słonina, na który miano napaść i uwolnić więźniów. Nie udała się wyprawa. Oddział schronił się do lasów, a wtedy zarządzono obławę. Przez 4 dni nic nie jedli. Wołowicz zachorował, a Panasiuk i Sejczuk nieśli go na swoich ramionach. Kiedy zostali zupełnie otoczeni i nie było sposobu przebić się przez obławę, chory Wołowicz porwał fuzyę i skierował lufę jej w swoją skroń. Strzelba nie wypaliła, więc pochwycił sztylet, lecz pierwej, zaczem go zanurzył w piersi, przeszyto go bagnetami i umierającego zawieziono do Grodna, a potem na rozkaz Murawiewa powieszono. Nie zadrżał przed śmiercią; miał to być tak piękny i dobry człowiek, że każdy kto go poznał musiał go pokochać. — Jest tu także na przewozie, przez rzekę Szyłkę ksiądz Boguński. Prowadzi on mały handelek, ale ma złamane zdrowie zupełnie. Lecz nie wszystkim tak źle się powodzi, gdyż są i tacy, co robią duże majątki. Do takich należą Szymon Krzeczkowski, któ-

ry wyrabia konserwy i kiełbasy. Zaznaczam, że jest to człowiek zimny i zdaleka się od wszystkich trzymający*) Wpadł na szczęśliwy pomysł kupowania zajęcy, których tutejsza ludność nie je wcale. Kupuje je po dwie kopiejki za sztukę, zamienia na pasztety i sprzedaje do Ameryki i Japonii, a ze sierści ich skórek, wyrabia bardzo ciepłe wojłoki. — Ale o najważniejszym jeszcze wygnańcu wam nie wspomniałem. W Aleksandrowsku przebywa Piotr Wysocki, pułkownik, dowódzca Belwederczyków. Wyrabia mydło i nie źle mu się powodzi. Opiekuje się wygnańcami i warto, żebyście się z nim zapoznali i zaczerpnęli od niego energii i wytrwałości.

Juryński przestał mówić i odstępując nagle od przedmiotu, zapytał:

— No, jak wam się podoba plan zadzierżawienia fabryki szkła? Czy się na to zdecydujecie?

— Idąc za twoją radą — panie — odpowiedział Weber — gotowi jesteśmy to zrobić.

— A więc dobrze — przenocujecie u mnie, bo już dosyć późno, a jutro zajmiemy się tą sprawą.

Na nocleg zaprowadzono ich do dużej szopy, pełnej wonnego siana świeżo pokoszonego.

---

*) Szymon Krzeczkowski, profesor gimnazyalny w Radomiu, był wywieziony później właściwie na wygnanie, ale rzeczywiście zrobił duży majątek w Syberyi, gdyż po powrocie do kraju, przywiózł ze sobą 200,000 rubli. Nie ożenił się i cały majątek zapisał na rozmaite zakłady dobroczynne, pomimo, że miał brata Ignacego, bardzo zacnego i chorego człowieka. Szymon umarł w Warszawie, mając przeszło lat 80.

Kiedy się znaleźli sami, Luboradzki, zwracając się do Webera, rzekł:

— Czyś ty oszalał Hilary?! Chcesz wyrabiać szkło, nie mając o tem najmniejszego pojęcia? Również mógłbyś się podjąć wyrabiania zegarków.

— Nie unoś się Antku i nie wydawaj wyroku przedwcześnie. Ja mam niejakie w tym względzie wiadomości, bo w okolicy mojej jest huta szklana. Często ją zwiedzałem z ciekawością rozgadywałem się z robotnikami i główną manipulacyę rozumię dobrze.

Luboradzki milcząc, przyjął tę odpowiedź.

Na drugi dzień, gdy obydwaj chłopcy wstali, wypiwszy po parę szklanek herbaty, udali się w towarzystwie Juryńskiego do urzędu zarządu dóbr i lasów syberyjskich w Nerczyńsku.

Przed Juryńskim wszystkie drzwi stały otworem. Bogactwo jego nadawało mu ten przywilej.

Naczelnik wydziału z ochotą przyjął propozycyę dzierżawy huty w Szyłce, której mury już się zaczęły rozpadać i groziły zupełną ruiną, gdyby pozostawiona była w tym stanie dłużej. Czynsz roczny naznaczono 200 rubli, które Antoś i Hilary wspólnie złożyli. Kontrakt zawarto na lat 12 i pozwolono im użytkować z drzewa po dziesięć kopiejek za sążeń, bo drzewo w tamtej okolicy, w owych czasach nie miało żadnej wartości. Ogromne modrzewie powalone wiatrem, gniły, leżąc bez użytku.

Czynności zawarcia kontraktu zajęły prawie dzień cały. Pod sam już wieczór położone zostały podpisy, przyłożono pieczęć i ci dwaj biedni wy-

gnańcy stali się najniespodziewaniej dzierżawcami ogromnego przedsiębiorstwa.

Dzień był nadzwyczaj parny. Zanosiło się na burzę, a pod wieczór, kiedy już słońce miało zachodzić, taka cisza, taki par zapanował w powietrzu, że zwierzęta szukające ochłody, chroniły się w cieniu.

— Idźcie do domu — rzekł Juryński. — Czas to pieniądz. Obejrzyjcie waszą posiadłość, a ja tam przyjdę także jutro. Naradzimy się jak rozpocząć nową pracę.

Chłopcy nadzwyczaj uradowani, pożegnawszy się, puścili się w drogę. Luboradzki zimniej się zapatrywał na zrobiony interes, ale Hilary był tak rozmarzony widokiem świetnej przyszłości, iż zdawało mu się, że huta jest już w ruchu, że huczy życiem, że liczni hutnicy uwijają się naokoło, że setki fur już czeka na towar. Wiadomości, jakie miał o wyrobie szkła z domu i pożyczone książki traktujące w tym przedmiocie zdawały mu się przedstawiać dostateczną rękojmię powodzenia. Zdjęli zwierzchnie ubrania, obnażyli piersi, których nie chłodził najmniejszy wiaterek i spiesznemi krokami zbliżali się ku Szyłce. Przebywszy już trzy części drogi, dopędzili jakiegoś człowieka, ociężałym krokiem wlokącego się tąż samą co i oni drogą. Pomimo upału i nieznośnego gorąca, człowiek ten był ubrany w watowany jakiś tołub przepasany prostym powrozem w pasie, a na nogach miał plecione łapcie lipowe, jakie pospolicie letnią porą używane są przez lud. Słomiany kapelusz okrywał siwe włosy a na plecach przewieszona z li-

powego łyka kobiałka, stanowiła palennek. Obok niego postępował ogromny pies, z rasy psów sybirskich.

Człowiek postępował ociężałym, powolnym krokiem i znać było zmęczenie, w każdym jego ruchu. Głowa była spuszczona na piersi i pies tylko jego co chwila skręcając na bok i wracając natychmiast, spoglądał w oczy panu i machał ogonem. Kiedy, niekiedy, szczeknąwszy, starał się jakby go obudzić z uśpienia.

Chłopcy, idąc raźnym krokiem, wyminęli go, ciekawie rzuciwszy na niego spojrzenie. Nie odezwał się, nie spojrzał, zdawało się, że ich nie widzi.

Kiedy uszli już kilkanaście kroków Luboradzki obejrzał się i rzekł:

— Co to może być za człowiek? To nie mieszkaniec Syberyi. Chłopi tutejsi nie tak wyglądają.

— Zwolnijmy chód trochę i zrównajmy się z nim. Zaciekawił mnie bardzo.

Wkrótce podróżny dognał ich. Pies zbliżył się, najeżywszy sierść, obwąchał ich i widocznie powziąwszy o nich jakieś dobre mniemanie, poruszył ogonem i zaczął się łasić.

— Filar do nogi! — nie przeszkadzaj nikomu! — odezwał się po polsku pan jego.

— Wcale nam nie przeszkadza, — lubimy psy; poczciwe to stworzenia — rzekł Weber.

— Poczciwsze niż ludzie — ale źle mówię, bo i ludzie nie wszyscy są źli.

— Pan Polak? — zapytał Antoś.

— Tak, Polak, doktor Szokalski. A wy?

— I my Polacy: Luboradzki i Weber.

— Zasłańcy?

— Odgadłeś pan.

— A zresztą, kogóżby tu innego można spotkać z Polaków chodzących pieszo? — rzekł smutnie. Ci, co im się dobrze powodzi, jeżdżą trójkami.

— Ach, jakież to nieznośne te tutejsze komary! Wszędzie ich pełno! W gębę lezą, wpadają w oczy i wciąż brzęczą — odezwał się Antoś, niecierpliwie się opędzając chmurze natrętów.

— Do wszystkiego się tu można przyzwyczaić i wy się przyzwyczaicie z czasem.

Tymczasem weszli na wzgórek, a z niego można już było widzieć Szyłkę i w niej jakieś mury, na które pierwej nie zwracali uwagi, a teraz domyślali się, że to jest ich nowy warsztat pracy.

— Widzisz? To nasza huta szklana! — rzekł Weber. Z jakąż niecierpliwością czekam chwili, w której ją będę mógł obejrzeć i rozpocząć pracę...

Chciał więcej coś mówić, ale niespodzianie wstrząsnął się cały i machając jedną ręką, zabił ogromnego komara, który go ukąsił w drugą rękę.

— Co za nieznośne stworzenia! — zawołał. Nie dają człowiekowi chwili odpoczynku.

— Gdzie pan idziesz, panie doktorze?

— Do Szyłki. Jest tam chora kobieta, która potrzebuje mojej pomocy. Tu nie wierzą w doktorów. Czarownicy tylko i szamani ich leczą swojemi lekami.

— A jednak słyszeliśmy, że pan doktor masz wiele pracy i liczną klientelę.

— Tak, potrafiłem sobie wyrobić ogólne uznanie, ale ileż to przesądów musiałem pierwej zwalczyć.

— Ach, to boli haniebnie! — odezwał się Weber, patrząc na swoją rękę, która zaczęła puchnąć.

Uszli jeszcze kawałek drogi i znaleźli się już przy pierwszych domach Szyłki. — Przy samem wejściu do wsi stała kuźnia. Otwarte jej wrota pokazywały rozpalone ognisko, przy którem wiejski kowal, zdaje się Tatar, potężnie uderzał młotem w rozpalone żelazo. Przed kuźnią, przywiązana do słupa, stała szkapa czekając podków, a chłop, którego była własnością, dymał miechem.

— Ach, jak piecze haniebnie, jak strzyka ręka — odezwał się Hilary. To nie do wytrzymania.

— Pokaż pan — rzekł, zatrzymując się Szokalski.

Weber zatrzymał się i wyciągnął rękę. Szokalski spojrzał. Ręka cała była nabrzmiała a miejsce ukąszenia, malutki punkcik, prawie niewidomy, otoczony był czarną obwódką, która co chwila się rozszerzała.

— Na Boga—zawołał doktor—sybirska jarwa.

Sybirska jarwa, któż nie zna tego strasznego wyrazu w Syberyi, to znak, którym naznacza śmierć swoich wybrańców, to zgon w kilku godzinach.

Sybirska jarwa, jest to straszna epidemiczna klęska, która wytępia całe stada bydła i opustosza okolicę. Klęska ta dosyć często nawiedza Syberyę. Na zupełnie zdrowym bydlęciu wyrasta niespodziewanie czarna krosta, powiększa się, pęka, ropieje i bydle nią dotknięte pada jak piorunem rażone.

Dzieje się to w przeciągu kilku godzin. Muchy i bąki, obficie siadając na upadłym trupie bydlęcia, chciwie ssą zabójczą materyę i ulatniając się, roznoszą zarazę na ludzi..

Biada temu, kogo taka ukąsi mucha. W kilka godzin następuje zakażenie krwi, gangrena. Człowiek czernieje jak murzyn, język wychodzi z ust i wśród piekielnych cierpień następuje śmierć. Jedynem lekarstwem, które zastosowane zaraz, przynosi ocalenie, jest wypalenie ranki natychmiast, dopóki jad nie rozszerzy się więcej.

Doktor Szokalski mocno wzruszony, szybko zrzucił swoją kobiałkę z pleców, otworzył ją i zaczął w niej szukać czegoś. Znajdowało się w niej parę flakoników, kilka pudełek, szarpie i proszki; ale tego, co szukał, nie znalazł.

— Na Boga! Nie wziąłem ze sobą lapisu do wypalania! Co ze mnie za niedołęga i ciemięga! — zawołał rozirytowany. A tu wypalić rankę potrzeba natychmiast.

Weber stanął, na chwilę. Na twarzy jego pokazało się wzruszenie, ale wkrótce się uspokoił. Antoś zbladł i ze współczuciem zbliżył się do przyjaciela.

Raptem Szokalski spojrzał ku ognisku gorejącemu w kuźni. Twarz jego się rozjaśniła. Uchwycił chłopca za rękę i pociągnął za sobą do kuźni.

— Trzeba natychmiast wypalić! — natychmiast! — rozumiesz chłopcze?

Weber z całym spokojem wyciągnął rękę na znak, że się zgadza.

Kowal, który widocznie znał Szokalskiego, za jego wejściem uchylił czapki, włożył napowrót sztabę żelaza w ogień i przypatrywał się nowoprzybyłym.

Szokalski, nie tracąc czasu ani minuty, zbliżył się do ogniska. Sztaba rozpalona była do białości. Pochwycił ją w szczypce, ujął ją niemi i obracając się do Luboradzkiego, rzekł:

— Trzymaj mu rękę mocno, mocno — a ty dawaj łapę chłopcze. Odwagi, cierpliwości!

Weber z twarzą zaognioną wyciągnął rękę. Luboradzki ujął ją w swoje dłonie i z czułością wpatrując się w twarz towarzysza, trzymał ją.

Doktor przyjrzał się dobrze rance i nie namyślając się, w jednej chwili przytknął rozpalone żelazo do niej. Pokazał się mały dymek, ciało zaskwierczało i w miejscu ukąszenia odkryła się dosyć duża zwęglona rana.

Szokalski obejrzał ją, spojrzaj na bladą twarz Hilarego, okrytą zimnym potem i widząc, że pomimo bólu mężnie stoi, wyszeptał:

— Dzielny chłopak! — Potem odrzucił szybko rozpalone żelazo. Wszystko dobrze — rzekł, obracając się do Hilarego. W tejże samej chwili wydobył z kobiałki jakiś flakonik z czystym płynem, zwilżył nim ranę, posmarował jakąś maścią i obłożywszy szarpią, silnie zawiązał chustką od nosa, którą mu podał Antoś.

— Wody proszę — rzekł uśmiechając się Weber, jak gdyby nic się nie stało.

Kowal śpiesznie schylił się do korytka, stojącego przy ognisku i jakimś brudnym garnkiem zaczerpnąwszy wody, podał mu.

— Zwyciężyliśmy — rzekł Szokalski. — Udało nam się, ale ja darować sobie nie mogę, że wychodząc, zapomniałem lapisu, albo być może, że mi gdzieś wypadł w drodze, przy wyjmowaniu pakietów.

Ręka była silnie napuchnięta, ale działanie jadu przerwane. Zadowolnione oblicze doktora pokazywało, że operacya dobrze się udała.

— Odpocznij chwilę młodzieńcze, a potem odprowadzę cię do domu i tam jeszcze raz opatrzę twoją rękę.

— Ulżyło mi znacznie — rzekł Hilary; kłóć przestało, tylko czuję jeszcze pieczenie w całej ręce.

— A oparzelina bardzo boli?

— Ech, to fraszka; co tam za ból od żelaza rozpalonego? Przed wypaleniem bolało gorzej.

Kowal, który stojąc, obojętnie przypatrywał się operacyi, rzekł do doktora:

— A to przed kilkoma niedzielami Mitryfanowej babie toż samo się przytrafiło, ale nie wypalili zaraz, tylko znachor zażegnał.

— Cóż się z nią stało?

— Zczerniała jak sadza i umarła.

— Musiało tak być — rzekł cicho Szokalski. — Chodźmy do domu.

Dom, w którym mieszkali posieleńcy, stał na drugim końcu wioski. Trzeba było przebyć jeszcze kilometr drogi. Weber powstał, lecz fuzyę jego i

torbę myśliwską wziął Antoś, żeby mu ulżyć. Wyszli. — Kiedy kilkanaście uszli kroków Weber zatrzymał się i obracając się do Antosia, rzekł:

— Czy się tak ciemno zrobiło na świecie, czy mnie się tylko w oczach ćmi? Mało widzę.

— Ciemno jest dosyć — odrzekł Antoś i spojrzał pytająco na doktora, bo był dopiero zmrok i gwiazdy świeciły.

— To nic, to nic — odrzekł uspakajająco doktor; zwykłe osłabienie, przeminie. To mówiąc, pochwycił rękę Hilarego.

— Oprzyj się dobrze na mnie zuchu i dalej w drogę.

Osłabienie przybrało takie rozmiary, że zaledwie zdołano doprowadzić chorego do chaty.

Gdy tylko przestąpili próg ubogiej izby, która stała nie zamknięta, raz dla tego, że nie było w niej nic do ukradzenia, a drugi raz dla tego, że w Syberyi rzadko się bardzo wydarzają kradzieże i to tylko spełniane przez zasłanych złoczyńców, bo mieszkańcy tubylcy nigdy się nie dopuszczają tego przestępstwa.

Dwa nędzne tapczany, zbite z desek niehebłowanych, potrząśnięte trochą słomy i siana, pokryte starymi płaszczami aresztanckimi, nieociosany stół i ławka obok stojąca, stanowiły całe umeblowanie.

Weber, pomimo osłabienia, nie stracił przytomności. Dopomożono mu do rozebrania się i położono na nędznym tapczanie.

Teraz doktor śpiesznie odwiązał zabandażowanie zranionej ręki. Przypatrywał się nie tyle ra-

nie powstałej z wypalenia, co nabrzmieniu. Opuchnięcie było czerwone, ale nie powiększało się zaognienie.

— Wszystko idzie dobrze. Gorączka nie powiększa się, trzeba jednak zaraz wziąć kąpiel, a za parę dni nie będzie już znaku innego choroby, oprócz sparzelizny, — rzekł doktor, zabierając się do wyjścia. Muszę jeszcze odwiedzić moją chorą kobietę tu w Szyłce, a o małom o niej nie zapomniał.

W tem drzwi się otworzyły i na progu ich pokazał się chłop wysoki, chudy, z rzadką czarną brodą i długimi włosami, spadającymi mu na ramiona. Ubranie jego stanowiła sukmana z białego płótna, przepasana w pasie łykiem lipowem. Na głowie nie miał żadnego okrycia i w ręku nie trzymał żadnej czapki, tylko kobiałkę, napełnioną jagodami. — Oddał pokłon obrazom i stał milczący.

— A, to ty Archipie? — rzekł Szokalski, podając mu rękę. — Cóż tam wymyśliłeś nowego?

— Nowego nic na świecie, ojcze, wymyśleć się nie da—a to źle, że ludzie zapominają o starem prawie i nie starają się naśladować Chrystusa.

Doktor nic nie odpowiedział, ruszył ramionami i przyrzekłszy nazajutrz odwiedzić chorego, oddalił się, poprzedzany przez Filara.

— Przyniosłem wam dary Boże; nazbierałem całą kobiałkę jagód, któremi się żywią śpiewacy leśni. Pożywajcie je z Bogiem.

— A my ci damy za to — rzekł Antoś — ubite jarząbki na kolacyę.

Archip wstrząsnął się i odrzekł:

— Bóg by mnie skarał, gdybym pożerał zamordowane stworzenia; nigdy jeszcze w życiu nie jadłem mięsa.

— A jednak pożyczyłeś dla nas fuzyę do zabijania.

— Tak, pożyczyłem, bo widziałem, że umieracie z głodu, ale za czyn ten Bóg mnie może skarze, bo napisano jest: „nie zabijaj”.

— To się tylko odnosi do ludzi.

— Kto wam powiedział, moi bracia? — Chrystus mówił tylko „nie zabijaj” i nic więcej nie dodał. To znaczy: nie przelewaj krwi czerwonej nigdy! A co to jest Hilaremu.

— Ukąsił go bąk, który zaszczepił zarazę syberyjską.

— Bąk ukąsił? — To może kara Boża za wasze polowanie i mordowanie tylu miłych Bogu stworzeń. — A wypalona rana?

— Na szczęście spotkaliśmy doktora, który dopełnił tej operacyi.

— Bóg wam chciał pokazać swoją potęgę. Ukarał, ale zarazem przebaczył. Zawsze i wszędzie trzeba naśladować Chrystusa.

— Czyż to jest możebne? — zapytał Antoś — gdy tymczasem Weber pogrążył się w sen gorączkowy.

— On jest niedościgniony wzorem doskonałej miłości, którego nigdy naśladować nie potrafimy.

— Ale powinniśmy nad tem pracować i we wszystkiem dążyć za Nim, żyć tak jak On, i u-

mierać tak jak On, a potem wejść jak On do Królestwa Niebieskiego.

Przestał mówić i usiadł na rogu ławy zamyślony. Potem wysypał na miskę jagody i zbliżywszy się do Antosia, uścisnął go za szyję i cichym, drżącym głosem wyszeptał:

— Przebacz, bracie?

— Co ja ci mam do przebaczenia, mój bracie? Czem ty możesz kogo obrazić?

— Ja zły człowiek! Zły chrześcijanin! bardzo zły! — Złe myśli rodzą się w mojej głowie i sercu. Ja za mało naśladuję Chrystusa... O, trzeba się poprawić, bardzo prędko trzeba.

Po tych słowach pożegnał się i wyszedł.

Noc, lubo w śnie gorączkowym, przespał Weber dość spokojnie. Nad ranem nastąpiły poty i ustąpiła gorączka. Antoś czuwał nad nim do samego rana, podając kilkakrotnie wodę i nacierając rękę maścią, którą zostawił doktor.

Zrobił się poranek szary: mgły roztoczyły się na górach i lasach, ptactwo zaczęło się budzić i swoim świergotaniem oznajmiać dzień. Antoś wyszedł przed chatę, spojrzał i został zdumiony widokiem, jaki się przedstawił jego oczom.

Na małem, na przeciw chaty wznoszącem się wzgórzu — sterczał niski krzyż, wbity w ziemię, a na nim był przyczepiony człowiek.

— Co to być może? — zawołał — wzgórze to widziałem jeszcze wczoraj i puste było, a dziś...

Nie namyślając się ani chwili, bez czapki, spiesznym krokiem pobiegł ku wzgórzu.

Na murawie pokrytej fioletową macierzanką i żółtym ochotnikiem, sterczał rzeczywiście wbity w ziemię krzyż, a na nim, ku największemu swemu zdumieniu, zobaczył przybitego nagiego Archipa. Poznał go natychmiast po jego długich włosach i bladej, jak płótno, twarzy. Głowa opadła na lewy bok, z którego sączyła się krew. Z rąk, przebitych gwoździami, wypływały małe strumyki czerwone — a korona cierniowa, tkwiąca na jego czole, z każdego kolca swego wytwarzała rubiny.

— Jezus Marya! To Archip! Kto mu to zrobił?

Krzyż był nie wysoki. Stopy męczennika opierały się o ziemię, nie przybite wcale.

Luboradzki nie namyślając się, wpadł do najbliższej chałupy i zawołał gospodarza.

— Trzeba go zdjąć z krzyża prędko — odezwał się do chłopa, który wyszedł, przeciągając się, z chaty.

Chłop ocierając oczy, obojętnie spojrzał i odwracając się, rzekł:

— Nie trzeba.

— Dla czego?

— On sam tak sobie zrobił.

— To cóż z tego?! To szaleniec!

— Nie, to święty.

Antoś nie zważając na protest chłopa, wpadł do chałupy, porwał drewniany stołek i siekierę i wrócił do krzyża. Spojrzał na bladą twarz omdlałego męczennika, przystawił stołek, podważył siekierą gwoździe i za chwilę udało mu się oswobodzić jednę rękę, która ociekając krwią, bezwładnie zwisła ku ziemi.

Archip oddychał, ale był nieprzytomny.

Gwoździe nie były głęboko wbite. Sterczący w lewej ręce silniej się trzymał; snać prawą ręką został wbity młotkiem, który leżał u stóp krzyża. W prawej ręce gwóźdź tkwił bardzo słabo, widocznie był wbity z przeciwnej strony w deskę i wyszedłszy zaostrzonym końcem na zewnątrz, przebił dłoń na wylot. Korona cierniowa spadła z głowy; jeden tylko kolec tkwił w czole głęboko, który Antoś, naprężywszy całą siłę, zaledwie zdołał wyciągnąć.

Ciało spadło u stóp krzyża bezwładnie.

Chłop stał, milcząc, przypatrując się tylko z pod oka.

Antoś nachylił się nad leżącem ciałem. Poczuł oddech słaby, więc śpiesznie powrócił do chaty, złapał konewkę wody, i, powróciwszy z nią, zaczął trzeźwić leżącego.

Po niedługiej chwili, Archip otworzył oczy, odetchnął głęboko, spojrzał w około siebie i rzekł:

— Nie budźcie mnie — tak mi błogo spoczywać u stóp Chrystusa. Widziałem go. Nachylił się nademną, położył swoją świętą rękę na mojem czole i uśmiechnął się. Ach! jakże byłem szczęśliwy! — Spojrzyjcie na moje czoło, może jeszcze zobaczycie ślad jego świętej dłoni.

Tymczasem więcej ludzi wysunęło się z chat i zbliżyło się do krzyża. Chłopi stali zdumieni, nic nie mówiąc, kiwając tylko głowami, ale jakaś młoda kobieta załamała ręce, oczy podniosła do nieba i z płaczem rzuciła się do nóg dobrowolnego męczennika.

— Widzę! Widzę ślad Jego świętej dłoni nad czołem Archipa! — zawołała wśród łkania.

Przykład ten nie pozostał bez wpływu na inne kobiety. Trwożnie zbliżyły się, otoczyły naokoło. Jedna z nich odpasowała szybko fartuch i zmoczywszy go w wodzie, zaczęła nim obcierać krew zakrzepłą na ranach; druga położyła mu pod głowę jakiś snopek siana, poniewierający się, a dzieciak sześcioletni, w koszulinie tylko, przepasany krajką w pasie i trzymający w ręku rzepę, którą ogryzał, zbliżył się nieśmiało i odejmując sobie od ust pozostałą część rzepy, chciał ją wepchnąć w usta leżącego Archipa. — Odepchnięto go, a chłopak wybuchnął płaczem.

Pomiędzy chłopami, którzy dotąd zachowywali uporczywe milczenie, odezwały się głosy:

— A no widzita ludzie.

— A jużcić.

— Trzeba go przenieść do chaty, bo tu komary go zagryzą.

— Sprawiedliwie trzeba.

— A gdzie?

— Do mojej chałupy — zawołała młoda kobieta. To nie daleko, jemu tam na niczem zbywać nie będzie; zabraknie mu chyba ptasiego mleka.

Ku zdziwieniu wszystkich, Archip, który dotąd leżał bezwładnie, spoglądając smutnym wzrokiem po otoczeniu, dźwignął się bez niczyjej pomocy, usiadł na murze i podnosząc obydwie ręce skrwawione, wyrzekł:

— Ludu mój, błogosławię cię w imię Chrystu-

sa! Naśladuj go i bądź zawsze wiernym jego sługą.

Dwóch silnych chłopów zbliżyło się, chcąc podnieść pod pachy Archipa — ale kobiety odepchnęły ich i z troskliwością podniosły go i postawiły na ziemi.

— Odejdźta chłopy — nie dotykajcie świętego — zawołała ta, która mu pierwsza obcierała skrwawione czoło. My same go zaprowadzimy lub zaniesiemy, jeżeli chudaczek iść nie będzie mógł.

Dzieciak w koszuli zapomniał o ogryzaniu rzepy, rzucił się i przyczepił się do skrwawionego rękawa koszuli Archipa, którą nań włożono i zaniósł się płaczem głośnym.

Archip spojrzał po tłumie, a wzrok jego wyrażał dziwną słodycz. Po wybladłej twarzy spływały dwie duże krople krwi zmięszanej ze łzami. Położył rękę na głowie dziecięcia i rzekł:

— Zaprawdę powiadam wam, że nie mędrcy a tylko maluczcy widzą Go i kochają i dla nich stoi otworem Królestwo Niebieskie.

Archip ze wzniesionymi oczami ku niebu, wspierany przez kobiety, wolnym krokiem postępował ku chacie.

Luboradzki pozostał trochę w tyle i słuchał co mówili pomiędzy sobą chłopi.

— Widziałeś jaką sobie zadał ranę w bok?

— Tak, jak Chrystus.

— A na czole pod tą koroną było światło, — widziałeś?

— Com nie miał widzieć, promienie wychodziły z jego włosów.

— I słychać było muzykę aniołów w powietrzu.

— Jużcić, wszyscy słyszeli, nie tylko ty, — odezwała się baba.

— Pan Bóg go kocha.

— Co nie ma kochać, toć on wszystko ofiarował Bogu.

— A takie piękne posiadał majętności — odezwał się ponury chłop.

Luboradzki lubo znał Archipa, nie znał jednak jego przeszłości. On o niej nigdy nie opowiadał, więc teraz zapragnął ją więcej poznać.

— Wy znacie dobrze Archipa? — zapytał idącego obok parobczaka.

— Co go nie mam znać, toż on pochodzi z naszej wioski. Jeszcze za jego ojca służyłem tam za parobka do koni. Jakie to tam było bogactwo, jakie konie!

— To Archip nie jest biedny?

— Teraz on biedny, jak Łazarz, któremu psy rany lizały, ale on był bogaty dawniej. Teraz wszystko poszło na marne. Po śmierci rodziców pozostało piękne gospodarstwo, duże zabudowania, obory pełne bydła i owiec — a jakie konie, jakie źrebcy! — a w skrzyniach karbowańców nie mało. Był jedynakiem, więc to wszystko przeszło na niego. Rodzice chcieli go ożenić z córką Kuźmy, najbogatszego gospodarza w Szyłce. Mołodyca była jak łania, wyszczerzała zęby do niego, ale on był zawsze taki dziwny. Sam się nauczył czytać, krył się w jakiem ustroniu, otwierał świętą Biblię i czytał całe dnie. Rodzice się pogniewali, bili go i napędzali

do gospodarstwa — ale to wszystko nie pomogło. On zawsze robił swoje. Ojcowie nie długo pomarli, a on został właścicielem całego gospodarstwa. Ludzie radzili mu znowu ożenienie. Wolny był od wojska, bo jedynak. Kuźmiczówna i inne dziewki latały za nim, ale on na żadną nie popatrzał. Czytał i czytał, a kiedy z kim zaczął rozmawiać, to każdemu tylko powtarzał, że trzeba miłować Chrystusa. Śmiali się wszyscy z niego, aż tu jednego dnia Archip zwołał wszystkich biednych z okolicy i porozdzielał pośród nich bydło, konie i owce. Porozdawał ruble i nic sobie nie zostawiwszy, oprócz tego, co było na jego grzbiecie, wziął laskę, w swoim ogrodzie uciętą, pożegnał się z ludźmi i puścił się w świat. — Bóg wie, gdzie on był. Mówią, że przepłynął cztery morza i był u grobu Chrystusa, a on z nim rozmawiał i pochwalił go. Boso odbył całą podróż, o proszakach, ale dobrych ludzi nie brakuje, to mu i z głodu umrzeć nie dali. Przed rokiem powrócił pośród nas, taki wybiedzony, że zdawało się, iż to kościotrup a nie żywy człowiek. Jedni ludzie wyśmiewali go i pytali jakie skarby z sobą przyniósł z podróży, ale drudzy szanowali go, a baby to już nie wiedziały gdzie go posadzić. I tak wszystko szło aż do dziś, a teraz mu pszyszło na taki koniec.

Parobek skończył opowiadanie i pobożnie się trzykrotnie przeżegnał.

— Ty z Polaków jesteś — odezwała się jedna z kobiet, zbliżając się. — On bardzo lubił Polaków i powiedział, że oni jedni jeszcze stoją przy Chrystusie. Jest tu jeden oficer Polaczek, z którym on

najczęściej rozmawiał, a ten go zasłaniał przed policyą.

— A cóż policya miała do niego?

— Zwyczajnie — siepaki — przyczepili się, ażeby coś wydusić, a on miał tylko jedną duszę do oddania. — Ot, patrzajcie, i teraz idzie policyant; już się dowiedział. To mówiąc, pokazała zbliżającego się strażnika. — Będzie chciał znowu coś od niego wydusić.

Rzeczywiście zbliżał się poważnym krokiem podoficer policyjny — a tymczasem Archipa zaprowadzono do chaty i złożono na czystej pościeli.

Podoficer wypytywał się chłopów, o cały przebieg wypadku, a ci niechętnie mu odpowiadali i o ile mogli oddalali się na bok.

Luboradzki stał na boku przypatrując się tej scenie. Policyant zbliżył się do niego i zapytał:

— Ty gramotnyj? (piśmienny).

— Tak, umiem pisać.

— To dobrze; trzeba spisać protokół. Ja nie gramotnyj — a tu naczalstwo nie pyta, o to, a każe podawać bumagi (papiery). — Chodź ze mną do chaty.

W chacie około łóżka Archipa, stało już kilka kobiet i rozmawiało. On blady, z zamkniętemi oczyma, spoczywał nieruchomy, pogrążony w marzeniu.

Kiedy wszedł policyant, kobiety stały nietylko koło łoża, ale zapełniły izbę i tym sposobem zagrodziły przystęp.

— Usuńcie się baby! bo tu trzeba spisać protokół, zaaresztować Archipa i wziąć go do Ostroga.

Na te słowa kobiety jeszcze silniej zwarły się w gromadę i wcale nie myślały ustąpić.

— No, usuńcie się matki, ja go chcę zobaczyć.

Nikt nie usłuchał; cichy pomruk rozszedł się po izbie.

Nareszcie policyant, rozpychając kobiety, znalazł się koło Archipa. Spojrzał zdziwiony i nie umiał innego słowa wypowiedzieć jak tylko: „no, rozumie się, trzeba aresztować, bo tak każe naczalstwo. Boh z nim".

Ale w tej chwili przez otwarte drzwi chaty wskoczył najpierwej duży pies syberyjski — pies Filar, znany wszystkim okolicznym mieszkańcom, nieodstępny towarzysz doktora Szokalskiego. Za nim wszedł jego pan.

Za jego wejściem, kobiety rozsunęły się i uczyniły wolny dostęp.

Doktor nie zwracając na nikogo uwagi, nie widząc nikogo, zbliżył się do Archipa. Przez chwilę wpatrywał się w jego twarz, a potem ostrożnie wziął za rękę i milcząc, rachował uderzenia pulsów. Gorączka już zaczęła rozprzestrzeniać swoje panowanie. Doktor otworzył swoje nieodstępne pudełko i starannie gąbką poobmywał rany z czoła i rąk. Zmierzył sądą głębokość rany w boku, poprzykładał szarpie, napojone jakimś płynem i stanął milczący, zadumany, nad tym dobrowolnym męczennikiem.

— No, ty, Archip, wstawaj i zabieraj się na policyę — odezwał się policyant.

Teraz doktor obudził się z zadumy i obracając się do reprezentanta porządku, rzekł:

— Nie można. On ma mocną gorączkę, jest mocno chory, więc nie może.

— A ja muszę go zaprowadzić do naczalstwa, bo inaczej to ja byłbym ukarany — odrzekł policyant.

To mówiąc, zbliżył się do łoża i chciał pochwycić rękę Archipa, żeby go zmusić do powstania. Ale w tej chwili kobiety rzuciły się nań, pochwyciły za ubranie, za włosy i wśród obelg i okrzyków oburzenia, wyrzuciły go tak prędko za drzwi, że nie miał nawet czasu wydobyć swojej szabli, chociaż na nią już rękę położył.

Na drodze przed chałupą stała gromada chłopów cicho rozmawiając, kiedy policyant znalazł się pośród nich. Ci, z pod oka patrząc, z chytrym uśmiechem spoglądali na niego.

Policyant na razie nie wiedział, jak ma postąpić. Godność jego była obrażona i wymagała jakiegoś zadośćuczynienia. Obrócił się więc zaczerwieniony do chłopów i zawołał:

— Buntują się, ale ja zdam raport i będą kary pieniężne.

Na te słowa, chłopi spojrzeli pò sobie i pomimowolnie strach ich przeszedł po skórach.

— Ot — zwyczajnie baby. — Kto z babami poradzi, to już takie czarcie nasienie — rzekł jeden chłop.

— Zwyczajnie takie nasienie babskie — przytwierdził drugi.

— Baby czy nie baby, a wy zawsze musicie zapłacić karę — rzekł rozdąsany policyant.

Chłopi znowu spojrzeli po sobie, a najstarszy, zwracając się do policyanta, rzekł:

— Chodźmy do kabaku; tam, przy czarce wódki, obgadamy wszystko i pogodzimy się.

— Do kabaku ja pójdę, bo gdzieś trzeba spisać protokół, ale wy nie myślcie, że ja łakomy na waszą czarkę wódki. Ja carski sługa, ja noszę carski mundur, mam trzy medale, a tu ta swołocz poszturkała mnie.

— Ot, zwyczajnie baby — powtórzył znowu ten sam chłop. A i żona pana policyanta tam była i dowodziła niemi.

Na te słowa policyant zamyślił się, splunął, coś zamamrotał pod nosem i skierował się ku kabaku otoczony gromadą chłopów.

Na stole w szynku znalazła się natychmiast potężna butelka wódki i miska kwaszonych ogórków. Chłopi zasiedli na ławkach a między nimi policyant. Chwilkę sprzeczano się, lecz wkrótce zupełna harmonia zapanowała w towarzystwie. Policyant nie dał się prosić; wychylił jeden, drugi i trzeci kielich gorzałki, zakąsił podanym ogórkiem i wziął paczkę tytoniu. Wychodząc, rzekł:

— Ot! zwyczajnie baby, czort z niemi! Bądźcie zdrowi.

Śmiechy rozległy się w kabaku po jego wyjściu.

— Stupajka — mierzawiec — swołocz!

— Zwyczajnie swołocz.

— Sprawiedliwie stupajka, boi się swojej baby.

Tymczasem Szokalski, opatrzywszy rany i zaleciwszy nie przerywać snu choremu, surowo zakazał traktowania go wódką, poczem skinął na Luboradzkiego i wyszedł z nim. Za nimi odezwały się głosy:

— Dobry pan.

— Rzeczywiście dobry.

— To Polak!

— A któżby jak nie Polak — powiedziała któraś z kobiet.

— Pójdźmy obejrzeć Webera — rzekł Szokalski. Tu my już nie potrzebni, te poczciwe kobiety będą czuwać nad nim jak najtroskliwiej.

— Co za dziwny lud! Cnoty i zbrodnie, brud i klejnoty, poświęcenie bez granic i wyuzdana swawola. Wszystko to kryje się pod tymi łachmanami.

— A ten Archip, podziwiam jego bezgraniczną wiarę i poświęcenie — rzekł Antoś.

— Fanatyk ten jest święty w ich oczach i zarówno jest zdolny spełnić czyn bohaterski jak i przestępstwo. Jest on cnotliwy człowiek i chciał dać wzór poświęcenia, ale naśladowcy jego mogą mordować ludzi w imię Chrystusa.

— Czy tak? — zapytał zdziwiony Antoś.

— To jest kraina dziwów tak pod względem klimatu jak i pod względem ludów i stworzeń ją zamieszkujących. Najbardziej rażące przeciwieństwa nie są tu osobliwością. Znam tu jednego chłopa, równego może Archipowi marzyciela, działającego wprost w przeciwnym kierunku. On w imię Chrystusa głosi, że wytępić trzeba wszystkich nie-

wierzących, oddzielić ziarno od kąkolu i przewiać plewy. A to wszystko wywodzi z Ewangelii, której nie rozumie.

— Co to wszystko znaczy? Dla czego tak tu się dzieje? Objaśnij mnie doktorze.

— To wszystko dowodzi, że prawosławie, ujęte tylko w urzędowe przepisy, kopiowane z Bizantium, niema gruntu stałego pod stopami, bo nie opiera się na niezachwianej podstawie. Setki ludzi widzi to, domyśla się błędu i szuka prawdy zamknąwszy oczy, po omacku. — Stąd powstało tyle sekt i powstanie jeszcze, bo umysł ludzki nie próżnuje, lecz wyciąga jak ślimak swoje macki na świat, bada niemi, próbuje, rani się, znowu je chowa i po jakimś czasie znowu je wydobywa. — Rząd zna niebezpieczeństwo i dla tego stara się temu zaradzić nieraz barbarzyńskiemi karami. Ale nadejdzie czas, że prawda kiedyś zwycięży, rozleje swoje dobroczynne strumienie i jak powódź obejmie wszystko.

— Kiedy to będzie? — zapytał mimowoli, wątpiąc, Antoś.

— Wtedy, kiedy oświata rozpostrze się szeroko, przeniknie do ciasnych umysłów i serc zatwardziałych, kiedy lud się umoralni — lub może prędzej, kiedy rząd przyciśnięty jakiemi okolicznościami, wyrzecze równouprawnienie wyznań dla wszystkich. Tymczasem pojawią się nowi, apostołowie, głosiciele swoich przekonań. Być może, że zjawi się pośród nich człowiek genialny i ten sprawi wstrząśnienie całego organizmu tych obszernych

ziem. — Wyrzekłszy to dotkor, zamyślił się głęboko.

— Ciekawy jednak jestem, jaki koniec czeka tego człowieka. Czy znajdzie naśladowców wśród ludu?

— Że znajdzie naśladowców, o tem nie wątpię, ale idea jego zostanie wykoszlawiona i żadnych dodatnich nie wyda owoców. Co zaś do tego, jaki jego osobiście los czeka, to i to można przewidzieć prawie na pewno. Wypadek ten rozgłosi się, przybierze nieprawdopodobnie rozmiary i przerazi rząd. Władze przyczepią się do niego, zaaresztują go — i zapiszą całe ryzy papieru przy śledztwie. Przeprowadzą korespondencyą ze wszystkiemi ministeryami w Petersburgu, a tymczasem on będzie siedział uwięziony razem ze złodziejami. A jeżeli to wszystko wytrzyma i uznają go za waryata, to po paru latach wypuszczą go skończonym waryatem.

Przepowiednie doktora Szokalskiego o tyle się sprawdziły, że rzeczywiście po długich badaniach, oddano biednego Archipa popom na rekolekcye, a ci używali go do najcięższych robót w swoich klasztorach. Wypuszczono go nakoniec złamanego na zdrowiu, ale ani na jotę nie odstępującego od swoich zasad. Naznaczono mu miejsce przebywania w Nerczyńsku, gdzie żył długo jeszcze, głosząc swoje nauki. Lubił Polaków, najczęściej przebywał w ich towarzystwie i garnął się do nich.

Gdy się zbliżono do chaty Luboradzkiego, zobaczono, że Weber już siedzi na ławeczce przed domem i pilnie czyta jakąś książkę.

— Widzę, że ja tu już nie jestem potrzebny — rzekł z zadowoleniem doktor. Wypadek skończył się bardzo pomyślnie dla ciebie chłopcze; pokaż jednak rękę.

Ręka była jeszcze nabrzmiała, ale mniej czerwona, a rana sprawiona rozpalonem żelazem pięknie zaczęła się goić.

— Szczęśliwy chłopaku, nie tylko wyszedłeś zwycięsko ze śmiertelnej choroby, ale jad sybirskiej jarwy, zaszczepionej ci przez bąka, uchroni cię tak jak zaszczepiona ospa od drugiego podobnego wypadku. Teraz bezpiecznie możesz się już nie obawiać ukąszeń.

— Tobiem to winien, zacny mężu i składam ci serdeczne za to dzięki.

— Śpieszy mi się do chorej kobiety, więc żegnam was — rzekł Szokalski. Nie chciał ani spocząć, ani przyjąć żadnego posiłku. Dał ręką znak swojemu Filarowi i śpiesznie oddalił się.

— Co się tam stało? — zapytał po odejściu doktora Weber.

Antoś opowiedział mu cały przebieg tragedyi, której był świadkiem. Hilary zdumiony słuchał.

— Wszak to jest dziś Wielki piątek.

— I ten dzień sobie wybrał na swoją męczarnię.

— Widocznie umyślił umrzeć w ten pamiętny dzień.

— Umrzeć!

— Czy ty wierzysz, że można umrzeć? Czy ty wierzysz, że jest śmierć? Czy ziemia wydająca naokoło kwiaty jest martwą? Czy kamień, tworzący

kryształy jest matrwy? Czy kropla wody marznąca na oknie i wyszywająca na szybie paprocie i mchy? Niema śmierci! Jest tylko zwycięstwo ludzkiej piękności, nad nieskończonością, którą daje miłość. Jest tylko przejście z jednej formy w drugą, coraz piękniejszą.

— Widzę, że rzeczywiście zdrowie twoje jest w dobrym stanie, kiedy oddajesz się filozofii. Co czytasz, Hilary?

— Cóżbym innego mógł teraz czytać jak nie dzieła traktujące o wyrobie szkła, które mi dał Juryński.

— Jaka szkoda, że ja nie umię czytać po niemiecku; pracowałbym wspólnie z tobą.

— Mamy czas, nauczysz się jeszcze wielu bardzo rzeczy. A teraz musimy się wziąć do naszej fabryki. Ale, co widzę, Juryński się zbliża ze swoją nieodstępną teką dla herboryzacyi.

Rzeczywiście przybył Juryński, który jakimś sposobem dowiedział się, o fatalnem ukąszeniu.

Obydwaj powstali na jego przyjęcie i serdecznie go powitali.

— Spotkałem się ze Szokalskim; uspokoił mnie, ale byłem bardzo niespokojny. Co za szczęście, żeście spotkali wczoraj tego zacnego człowieka

— Boska Opatrzność czuwa nad nieszczęśliwymi wygnańcami — rzekł Antoś.

— Nie przeczę, nie przeczę, ale nie zawsze przychodzi w porę. Odpocznę trochę i pójdziemy obejrzeć mury i maszyny waszej przyszłej fabryki.

Fabrykę znaleziono w lepszym stanie jak się spodziewano. Mury potrzebowały tu i ówdzie naprawy; maszyny, pozostawione sobie, zardzewiały, ale zdatne jeszcze były do użytku. Okna tylko powybijane i drzwi bez zawias potrzebowały natychmiastowej reperacyi.

— No, nie tak tu jeszcze źle jest, jak myślałem — rzekł Juryński; fabryka nie potrzebuje tak wielkich nakładów reperacyi, żeby być puszczona w ruch. Teraz tylko śmiało i wytrwale do dzieła wziąć się potrzeba. Jest tu, w okolicy, kilku ludzi, z majstrów, którzy pracowali już w tej fabryce, więc trzeba ich odszukać i wziąć. Robotnika brakować nam nie będzie.

Tymczasem Weber wyjął już książkę z notatkami i pilnie notował w niej wiadomości, co jest najpilniejsze do załatwienia. Wszyscy się zgodzili, że przyprowadzenie do porządku maszyn, które rdzewiały najpierwej dopełnić potrzeba.

— Jeżeli wam chłopcy, pieniędzy jeszcze będzie potrzeba, to pamiętajcie o Juryńskim. Pożegnam was, bo widzę, że wam czas jest bardzo drogi; ja idę zbierać moje kwiaty.

Po odejściu Juryńskiego, spólnicy stanęli, spoglądając na siebie przez chwilę.

— No, Antek, teraz zawiniemy rękawy i weźmiemy się do pracy. Ty, nie tracąc czasu, udaj się odszukać robotników i pozostałych majstrów, o których wspominał Juryński, a ja wezmę się do czyszczenia maszyn.

Nie tracąc ani chwili czasu, śpiesznie udał się do sklepu, zakupił oliwy, pakuł, papieru szmerglo-

wego i kilka narzędzi do odkręcania śrub zardzewiałych.

Zrzuciwszy z siebie ubranie, wziął się do czyszczenia maszyn. Robota ta tak go pochłonęła, że zapomniał o obiedzie i zmrok już zaczął zapadać, kiedy powracający Antoś w towarzystwie dwóch jakichś, widocznie z ubioru, Niemców, powrócił.

No, co zrobiłeś Antek?

— Mam dwóch majstrów, którzy tu pracowali, i obiecują, że fabryka da się wkrótce w ruch puścić.

— Wybornie.

— A ty co zrobiłeś?

Hilary obejrzał się po oczyszczonych maszynach, które teraz świeciły się jak lustra i wskazując na nie ręką, rzekł:

— Dzień nie stracony; zmęczyłem się co prawda, ale nie zmarnowałem czasu.

Z gorączkową niecierpliwością obydwaj wspólnicy, prawie nie jedząc i nie śpiąc, oddali się pracy. W lesie rozlegały się topory. Pyszne modrzewie padały jeden po drugim i zamieniały się w sążnie drzewa na opał; kilku murarzy poprawiało mury, a Antoś i Hilary z przypasanymi fartuchami naprawiali drzwi, okna i urządzali kantory.

Robotnik był łatwy i tani. Płacili gotówką, co dzień, a to podwyższało wartość wynagrodzenia. Przy bajecznej taniości artykułów do życia, nadawało to całej okolicy jakiś wyraz wesela, niespotykanego tutaj. Nie upłynęło trzy miesiące, gdy dym zaczął się wydobywać z olbrzymiego komina huty i fabryka została puszczona w ruch.

Pragnęli — naśladując przykład ojczysty — rozpocząć otwarcie pracy poświęceniem jej — ale niestety ksiądz od pół roku nie znajdował się na miejscu. Objeżdżał swoją wielką, jak jakie królestwo parafię, więc nie dopełniono tej ceremonii, odkładając ją do odpowiedniego czasu.

Weber całego ducha swego włożył, aby dojść do celu. Kiedy ten człowiek spał, kiedy jadł? Nikt by na to odpowiedzieć nie potrafił. Cały dzień można go było widzieć w fabryce, pracującego z robotnikami — a w nocy zagłębionego w książki i studya naukowe.

Luboradzki, którego praca wyrwała z apatyi, do której go prowadziła nostalgia, ożywił się, otrząsł z czarnych myśli i niezmordowanie pomagał towarzyszowi. Zajmował się głównie zewnętrznemi robotami: pilnował rąbania sągów, zwózki ich, dostawy materyałów potrzebnych, dozorował robotników i wypłacał i godził majstrów.

Roboty szły jak na drożdżach i wkrótce okolica przybrała inny wygląd. Można było widzieć ruch ludzi i furmanek zwożących drzewo i interesantów rozmaitych.

Pierwsze strumienie szkła, które wypłynęły z huty, nie zadowolniły wspólników. Szkło było bardzo nieczyste, a przytem nadzwyczaj kruche. Pękało a lekkiem dotknięciem się, co zmartwiło niepomiernie Webera. Parę dni chodził zamyślony, milczący i skupiony w sobie.

— Co będziemy robili? — zapytał zafrasowany Antoś.

Weber spojrzał nań i odrzekł:

— Przedewszystkiem cały spust szkła zniszczymy. Takiego wyrobu w obieg puszczać nie możemy, bo to zepsułoby nam reputacyę i dało powód do lekceważenia naszej fabryki.

— I ja tak myślałem, lecz majster powiada, że dla Syberyi i takie szkło jest dobre i da się sprzedać.

— Głupi Niemiec. Oni fuszerką tylko umieją walczyć, lecz my, Polacy, nie możemy pójść w ich ślady. Mam już myśl nowego ulepszenia i natychmiast spróbuję rezultatów.

Wszedł majster Niemiec i uśmiechając się, czekał pochwały.

— Panie majster, szkło jest złe i trzeba go zaraz zniszczyć, żeby po nim śladu nie pozostało.

— Co? Co? — zawołał zdziwiony.

— Mówię wyraźnie. Szkło jest złe i takiego w obieg puszczać nie możemy.

— Myśmy takie wyrabiali i szkło niezłe.

— Jest nieczyste i kruche bardzo.

— Tem lepiej, panie dyrektorze. Prędzej się zniszczy, prędzej będą nowe kupować — odrzekł, uśmiechając się. Geszeft będzie szedł dobrze.

— To po niemiecku, a my Polacy inaczej pojmujemy nasze zadanie. Proszę natychmiast zniszczyć, to jest drugi raz przetopić cały spust.

Niemiec chciał coś odpowiedzieć, ale spojrzawszy na twarz Webera, dostrzegł w niej taką siłę woli, że wyszedł, mrucząc tylko pod nosem.

— Głupie Polaki.

Weber nie zwątpił ani na chwilę, że potrafi udoskonalić wyrób. Zamykał się po całych dniach

w laboratoryach i sto razy robił próby, doświadczenia i sto razy spotykał go zawód, ale po kilku miesiącach doszedł nareszcie do tego, że szkło wypływało czyste i zupełnie niełamliwe.

— Zwyciężyłeś Hilary! — rzekł razu jednego Juryński, który często odwiedzał przemysłowców. Szkło wcale dobre i sądzę, że pokup będzie miało.

— To jeszcze nie dosyć; na tem poprzestać nie sposób i sądzę, że jestem na drodze ważnego wynalazku, który da nowy obrót temu przemysłowi. Proszę panów do mojego laboratorym, a pokażę wam coś niezwykłego.

Z ciekawością Juryński i Antoś udali się za nim.

— Patrzajcie, panowie — mówił Weber, wydobywając z szafy taflę szkła fioletową, a drugą czerwoną, to jest mój wynalazek.

— Ależ to prześliczne — zawołali jednocześnie przytomni.

— To są jeszcze tafle nieszlifowane, bez wątpienia mogą być użyte do oszklenia okien kościołów i tym podobnych potrzeb, ale ja się tem nie zadowolniłem. Mówiąc to, zbliżył się do drugiej szafy i wydobył znowu dwie tafle. To są już oszlifowane i przedstawiają nierównie piękniejszy obraz. Popatrzcie się.

Zdumienie wyryło się na twarzy Juryńskiego i Antosia. Dwie przedstawione szyby, pokazywały najpiękniejszy fledor matowy, roztaczający się w różnowzore rysunki, esy i floresy, arabeski, jakby wydobywające się z marmunru.

— To cudowne! to nieporównane! — powtarzał zachwycony Juryński, a Antoś, zbliżywszy się, milcząc, uścisnął serdecznie rękę przyjaciela.

— Mam jeszcze coś więcej zadziwiającego i mogącego przynieść wielkie pożytki i jakby z czarodziejskiego pudełka, wydobył znowu z tejże samej szafy dużą blaszaną tacę, tacę wyrobioną z prostej blachy, a teraz całą pokrytą polewą szklaną, tak pysznie przedstawiającą w połowie agat a w połowie malachit, że oko najlepszego znawcy nie potrafiłoby oznaczyć różnicy mistyfikacyi. Taca odznaczała się niezrównaną pięknością.

— Ależ ty czarownik jesteś, Hilary! Czy tylko trwałość polewy może się równać jej piękności? — zapytał Juryński.

— Próbujcie panowie.

Poddano więc trwałość polewy rozmaitym doświadczeniom, wystawiono ją na gorące działanie ognia, zanurzano w wodę i uderzano młotkiem po jej powierzchni. Taca nie zmieniła w niczem swego wyglądu, zdawała się jakby świeżo wyszła z odlewni.

— Ależ to niepodobna uwierzyć, żebyś tu już pierwej nie miał wiadomości z chemii, żebyś już nie umiał się z tem obchodzić przed przybyciem do nas. Kto cię mógł nauczyć tego? Nie sądzę, żeby parę książek, które ci dałem, otworzyły ci nowy świat przed oczyma — zawołał Juryński.

— Tych parę książek dały mi kilka wskazówek. Chemii nigdy się przedtem nie uczyłem i dopiero się z nią spotkałem jak z nieznajomą, ale długie i moralne doświadczenia, nieudane próby i

różne kombinacye mieszanin wprowadziły mnie na drogę odkrycia. Teraz mam nadzieję, że skarbnica odkryć nie jest jeszcze przedemną zamknięta i otworzy mi nowe swoje tajemnice.

Juryński zamyślił się głęboko, usiadł, a potem odezwał się:

— Wynalazek ten, o ile wiem, jest nieznany jeszcze w Europie. Rokuje nieobliczone korzyści i może zrobić przewrót w nauce chemii. Trzeba wam przedewszystkiem uzyskać natychmiast patent i zabezpieczyć swoje prawa; ja się tem zajmę zaraz. Mam stosunki w Petersburgu — a tymczasem musimy się postarać nadać rozgłos w okolicy. Niech się dowiedzą kupcy z dalszych stron i zaczną pomału robić obstalunki. Uważam za konieczne przy tej okazyi zrobić małe przyjęcie gości. Bez tego się w tych stronach nie obejdzie, pozwólcie mnie się tem zająć.

— Jeżeli to pan uważasz za konieczne, nie mamy nic przeciw temu.

Wkrótce w guberniańskich wiadomościach pojawił się artykuł napisany przez Juryńskiego, obwieszczający o otwarciu nowej fabryki szkła, o nieporównanej piękności jej wyrobów, zupełnie nonym nieznanym dotąd sposobem i na oznaczony dzień zapraszający gości do zwiedzenia huty i przekonania się naocznie o zrobionym wynalazku.

W oznaczony dzień, przed hutą szklaną, stało kilka powozów wyższych urzędników, zarządzających kopalniami, kilku kupców, których to zainteresowało, ale przeważną część gości stanowiły ko-

biety, pragnące zobaczyć i może nabyć coś z wyrobów.

Goście w towarzystwie obydwóch dyrektorów, bo tak już zaczęto nazywać Antosia i Hilarego, z wielką uwagą rozpatrywali się w pięknych okazach wystawionych na dużych stołach. Niespodzianie, kiedy już skończyli przegląd, zabrzęczały kałakolcyki i spieniona trójka, czarnych jak smoła koni wpadła na podwórze. — Środkowy koń zaprzężony pomiędzy dwa lekkie dyszle, miał nad sobą tak nazwaną dugę, to jest prześlicznie rzeźbioną drewnianą lekką obręcz malowaną, a dwa konie poboczne, ze zwróconemi pysznie wygiętym karkiem w dwie przeciwne strony, zębami prawie dotykając ziemi, okryte białą pianą w pozłocistej uprzęży, kierowane ręką czerkiesa, siedzącego na koźle, jak wryte stanęły przed fabryką.

W perelotce siedział człowiek jeszcze młody, w mundurze gwardyjskiego pułkownika. Był to książę Bebutow, któregośmy już poznali, gdy jeszcze jako adjutant Dybicza brał udział w wojnie polskiej.

Magnat ten, pan na kilkanaście wiorst rozległych przestrzeniach ziemi, był zarazem właścicielem kopalni złota. Po skończonej wojnie, podał się do dymisyi, i dostawszy rangę pułkownika, zamieszkał w swoim pałacu przy kopalniach złota w Bebutówce.

Gubernator i inni potentaci, lubo wyżsi od niego rangami generałów, ulegali jednak czarowi złota i wpływom petersburskim i służyli mu na łapkach jak pieski.

Bebutow z nikogo sobie nic nie robił, pochodził z książąt gruzińskich, których w Petersburgu starano się ująć. Posiadając do tego milionowy majątek, był osobistością, przed którą się wszyscy w Syberyi nisko kłaniali.

Przybycie takiej osobistości do fabryki było faktem nadzwyczajnym i wprowadziło urzędników i kupców w pewien rodzaj zakłopotania.

Bebutow wysiadł z perelotki. Przedewszystkiem obejrzał i poklepał konie, rozkazał je zwolna przejeżdżać dla ostudzenia i zwracając się do dyrektora kopalń Nerczyńskich w randze jenerała i podając mu z lekka dwa palce, rzekł:

— Dzielne konie! Czterdzieści wiorst zrobiłem nimi w przeciągu jednej godziny. I Orłow w swojem sławnem stadzie nie ma takich, któreby się mogły równać z nimi.

— Nieporównane rysaki — odrzekł generał. Wiadomo, konie Waszego Sijatelstwa nie mają sobie równych.

— No, będziemy oglądać tę fabrykę, o której już tyle zadziwiających rzeczy słyszałem. — To mówiąc i nie czekając na nikogo, wskazał ręką generałowi wejście i zaprosił uprzejmie do wejścia, ale generał skromnie usunął się na bok i przepuścił księcia naprzód.

Przy wejściu czekali obydwaj wynalazcy i zarekomendowali się. Bebutow spojrzał, a widząc tak młody wiek przedstawiających się, zapytał:

— Kto panowie jesteście?

— Dyrektorzy fabryki.

— Nie o to pytam, jakiej narodowości?

— Polacy.

— Tegom się spodziewał — mruknął — zesłańcy?

— Tak, rzeczywiście.

— Dawno?

— Od trzech lat.

— Jaki wasz wiek?

— Mamy po lat 17.

Przypatrywał im się przez pewną chwilę z uwagą, a potem wszedł do przeznaczonej sali na wystawę, a za nim wtłoczyło się całe towarzystwo.

Piękna wystawa szkła różnokolorowego, a zwłaszcza przepyszne polewy, różnych naczyń metalowych, przedstawione teraz w postaci dzbanków, tac, talerzy i różnych drobnych przedmiotów, rzeczywiście mogło wprowadzić w zachwycenie przybyłych. Bebutow oglądał z największą uwagą każdy przedmiot, wypytywał się o szczegóły i widocznie był zachwycony.

— To nad wszelkie spodziewanie zdumiewające — rzekł, obracając się do generała i Juryńskiego. Nie widziałem nic podobnego ani w Niemczech, ani we Francyi, szkoda tylko, że to jest szkło, a nie coś trwalszego.

— Rzeczywiście tak — odrzekł generał.

Hilary, który stał właśnie przy stole i pokazywał piękny wazon, obracając się do księcia, rzekł:

— Mam tu coś trwalszego do zaprodukowania Waszemu Sijatelstwu. Potrafiłem każde żelazo zamienić w przeciągu 24 godzin na znakomitą stal, dosypując do masy szklanej pewną ilość węgla. To

mówiąc, wydobył sztabkę stali z naczynia napełnionego swoim roztworem i podał ją księciu.

Wszyscy ze zdumieniem spojrzeli na Hilarego.

Spróbowano wydobycia za pomocą niej i krzeszenia ognia w iskrach i te obficie się posypały.

— Ważny wynalazek — wyrzekł zamyślony książę, a za nim wszyscy powtarzali słowa uznania.

— Przypominam sobie, rzekł Bebutow, że widziałem w Czechach podobne wyroby ze szkła, ale bez porównania brzydsze, nie mogące się równać z tymi.

— A zważywszy — odezwał się skromnie Juryński, że to dopiero początek, można mieć nadzieję, że fabryka świetnie zaprezentuje przemysł sybirski.

— Powiedz pan przemysł polski, bo obydwaj wynalazcy są Polacy. Szczęśliwy jestem, że mogę zrobić pierwszy obstalunek u tych panów. Stawiam właśnie w mojej Bebutówce pałac i wszystkie okna, a będzie ich kilka set, zaopatrzę szkłami tutejszej fabryki, wszystkie filary, słupy, gzymsy, schody, ozdobię powłoką ich wynalazku. Jutro przyślę pełnomocnika do zawarcia umowy.

Przykład księcia podziała pobudzająco na przytomnych kupców. Czterech z nich zrobiło natychmiast zamówienia. Przedmioty wystawione na pokaz, panie rozkupowały, nie targując się, i kiedy goście odjechali, w kasie huty znalazło się kilka tysięcy gotówki.

Najtrudniejszy w każdym przedsięwzięciu początek zwycięsko przebyli wspólnicy. Fabryka za-

częła się niesłychanie rozwijać, rozrastać się, pęcznieć i wkrótce nie była w stanie zaspokoić wszystkich obstalunków. Praca ogromna wyczerpywała siły, nie ustawali jednak i ani na chwilę rąk nie opuszczali. Postanowili zwyciężyć i szli bojowym krokiem do zwycięstwa. Całe dnie poświęcali fabryce, a noce nauce języków chemii i pomocniczych nauk.

Rok zaledwie minął, a fabryka szkła Webera i Luboradzkiego, stała się głośną, nie tylko w Syberyi, ale i w niektórych prowincyach Chin. Życie czynne zwyciężyło początki nestalgii, którym podpadał Luboradzki za przybyciem do Syberyi, i teraz, czując się zdrów, z całą energią pracował.

Pieniądze spływały jak kaskada wody do kasy. Cała arystokracya syberyjska tych okolic, a składająca się z oficerów i urzędników, starała się nawiązać z nimi stosunki przyjazne, których jednak o ile mogli, unikali.

Świetna perspektywa zrobienia majątków otwierała się przed wygnańcami.

Czas płynął, a z nim rosły i dochody. W chwilach wolnych od pracy, obydwaj młodzieńcy siedząc, albo przechadzając się obok siebie, przypominali sobie przeszłość. Wtenczas obudzała się tęsknota za krajem i ukochanymi, nadzieja jednak, że kiedyś powrócą do Ojczyzny i przyniosą jej plony swej pracy, ożywiała ich.

Powrócą!? Kiedy? Jak?! Podawać prośby o ułaskawienie, było dla nich rzeczą wstrętną, jedyny więc sposób wydobycia się na wolność, była myśl ryzykownej ucieczki.

Z innymi posieleńcami, rozrzuconymi po rozległych przestrzeniach Irkuckiej gubernii, nie znali się, wiedzieli jednak jedni o drugich i teraz, kiedy ich dobrobyt tak niespodziewanie rozrósł się, duże pieniądze posyłali bezimiennie dla ulżenia nieszczęśliwym, zwykle na ręce Piotra Wysockiego, pułkownika z roku 1831, belwederczyka, mieszkającego teraz w Aleksandrowsku na posieleniu.

Osobiście nie znali się, ale już parę razy wymieniali korespondencye między sobą. W ostatnim liście Wysocki wspominał, że bardzo by rad zobaczyć się i poznać z nimi, aby pomówić o przeszłości i dniu jutrzejszym. Ustęp ten listu zadziwił ich.

Co mogą mówić niewolnicy o przyszłości, która nie od nich zależała. Wyrażenia listu były widocznie niejasne i zagadkowe, ale tem większą właśnie wzbudzające ciekawość.

Po naradzeniu się, postanowili odwiedzić Wysockiego w Aleksandrowsku. Zima już zapanowała syberyjska, lecz właśnie dla tego wybrali tę porę, że była łatwiejsza podróż saniami po lodzie rzek zamarzniętych, jak drogami bocznemi.

Piotr Wysocki, dowódzca młodzieży szkoły podchorążych, która napadła na Belweder i pierwsza wydała okrzyk: „Do broni bracia za wolność!" w kampanii 31 r., dosłużył się stopnia pułkownika. W czasie szturmu Woli został ciężko ranny i wzięty do niewoli. Zawieziony do Petersburga, został skazany na śmierć. — W Petersburgu za wskazówkami wysokich osób namawiono go, żeby podał prośbę o przebaczenie. Odmawiał stale, a kiedy

nie przestano go o to nagabywać, kazał sobie podać papier i napisał: „Nie dla tego broń podniosłem, ażeby prosić cesarza o łaskę, ale dla tego, żeby naród mój, nigdy jej nie potrzebował!”

Mikołaj przeczytał tę zuchwałą prośbę, milcząc, zmienił treść wyroku i skazał go na całe życie do kopalń Nerczyńskich, — gdzie w Aleksandrowsku naznaczono mu roboty.

Dosyć jednak względnie z nim się obchodzono i do robót go ciężkich nie używano. Pozwolono mu mieszkać osobno i prowadzić gospodarstwo na własną rękę, więc założył małą fabryczkę mydła i na pozór dosyć spokojny wiódł żywot.

Rola, jaką odegrał w czasie rewolucyi — przebyte cierpienia i zacność charakteru, wyniosły go jakby na patryarchę wygnańców. Zgromadzali się u niego, radzili, rozmawiali o minionych wypadkach i układali plany na jutro.

Wczesnym bardzo porankiem w grudniu, obydwaj wspólnicy, powierzywszy nadzór fabryki uproszonemu Juryńskiemu, na lekkich sankach, zaprzężonych w dwa dzielne i wytrwałe konie, puścili się korytem rzeki do Aleksandrowska. Ubranie mieli zastosowane do groźnej pory roku: baranie kożuchy, a na nich włożone dachy, to jest, obszerne kożuchy ze skóry reniferów, sierścią na wierzch obrócone, w które się obwijają podróżni syberyjscy. Nie zapomnieli też zabezpieczyć nóg długiemi, aż za kolana untami, to jest matami na paskach, jak na szelkach zawieszonych na ramionach. Unty takie były bardzo ozdobne, haftowane różnowzorowemi włóczkami i jedwabiem ze świecidła-

mi. Czapki, wpadające na czoło z puszystych bobrów i rękawice na ręku z niedźwiedziej skóry.

Tatar, który kierować miał końmi, również ciepło ubrany, zasiadł na przodzie, gwizdnął przeciągle i konie puściły się jak chyże jaskółki.

— No, zdaje się, — odezwał się Antoś — że i syberyjski mróz nic nam nie zrobi w takich kostyumach — i zwracając się do Tatara, zapytał:

— Czy dobra będzie droga? — Znasz ją dobrze?

— Droga po rzece będzie dobra — ale jak zjedziemy na bok, to Ałłach, tam wie jaka będzie: byle nas nie spotkała purga.

Kilka godzin konie szły wyciągniętym kłusem, po zamarzłej wodzie. Ostre podkowy wyrywały kawały lodu i jak błyszczące iskry rozrzucały po rzece. Spotkali lub dognali kilka sani i już miało się ku południowi, gdy Weber, przerywając milczenie, rzekł:

— Jednak nasze ubranie nie tak za bardzo ciepłe, jak się spodziewałem.

— I mnie przechodzą dreszcze, od tego lekkiego wiaterku, który wieje.

— To Chiwas — odrzekł obracając się Tatar. Taki wiatr rzadko tu się trafia, ale i kilka kożuchów mu nie podoła niekiedy.

Obydwaj roześmiali się, a Antoś rzekł:

— Nie zmarzniemy przecież.

— Jak Ałłach każe — odmruknął Tatar.

Chiwas suchy towarzyszył ciągle podróżnym. Pod sam wieczór czuli się mocno przeziębieni. Wte-

dy właśnie potrzeba było wyjechać z koryta rzeki i resztę drogi 30 wiorst, przebyć płaszczyzną pokrytą śniegiem. Przebyli już 70 wiorst. Dano wypocząć koniom i ruszono dalej.

Konie, zmęczone całodzienną drogą, nie z tą już ochotą, co pierwej, kłusowały. Drogi zawianej nie było znać nigdzie. W głębokim śniegu zapadały co chwila — a okryte białą pianą, boki podnosiły się i spadały jak miechy.

Dotąd lekki tylko Chiwas towarzyszył podróżnym, ale kiedy zaczęło się ściemniać, niespodzianie zadął silny wiatr, pochwycił tumany drobnego, suchego śniegu i cisnął je brutalnie w oczy jadącym.

Konie niespodzianie same stanęły.

Tatar obrócił się zatrwożony i wyszeptał jedno tylko słowo:

— Purga!

Straszna ta zadymka, znana Sybirakom, powstaje nagle — wścieka się, szaleje, szarpie jak pies, wciska kłęby śniegu w najdrobniejszy otwór ubrania, zamraża krew i sprawia takie ciemności, że najdoświadczeńszy podróżny nie wie, gdzie się kierować. Zawieja taka trwa czasem kilka godzin, a czasem dwa albo trzy dni. Wówczas każde sworzenie zaskoczone nią zmarznąć musi.

Po tem słowie: „purga”, którego znaczenie znali z opowiadań obydwaj, nastąpiło grobowe milczenie.

Tatar po chwili odpoczynku, wydał znowu przeraźliwy krzyk, zaświstał batem i ko-

nie ruszyły dalej z wielkim trudem. Ciemności zapanowały dokoła. Teraz Tatar cisnął lejce i dawszy zupełną wolę koniom, pogrążył się w milczeniu. — Purga co chwila się powiększała. Tumany były tak gęste, że zasypując oczy, nie dozwalały widzieć nic na kilka kroków przed sobą. Konie, niekierowane ręką woźnicy, co kilkanaście kroków zatrzymywały się i stawały.

Zdawało się podróżnym, że już kilka godzin posuwają się, że powinni niedaleko znajdować się od Aleksandrowska — nic jednak dojrzeć nie można było, żadnego światełka, żadnego promyka nadziei.

Konie, wysiliwszy ostatnie siły, stanęły — i pospuszczały łby, a Tatar, widząc, że wszystkie próby pobudzenia ich do biegu są próżne, odwrócił się od wiatru i milcząc, siedział nieruchomo, powtarzając tylko niekiedy:

— Ałłach! bis Ałłach!

— Gdzie jesteśmy? — zapytał Weber.

— Nie wiem.

— Co będziemy robić teraz?

— Co każe Ałłach — czekać.

W wypadkach takich zadymek nie pozostaje nic innego do roboty podróżnym, jak uzbroić się w cierpliwość, okryć się o ile można szczelnie, przeżegnać i czekać.

Cierpliwość jednak nie zawsze się na coś przyda. Jeżeli purga trwa dłużej, konie i ludzie kostnieją i zamarzają. Znajdują ich potem zamienionych w lodowate szkielety. Całą nadzieją ocalenia w takim razie jest tylko ustanie purgi.

Grobowe nastąpiło milczenie; nikt nie miał ochoty rozmawiać, a zresztą niktby nie usłyszał głosu mówiącego. Zdawało się, że sen zapanował nad podróżnymi.

Trudno oznaczyć jak długo trwało takie położenie.

Raptem Tatar zerwał się z siedzenia, wyprężył kark i zrzucając z głowy futrzaną czapkę, zaczął nadsłuchiwać.

— Sobaka łajet — zawołał radośnie i znowu zaczął wydawać okrzyki i targać konie.

Konie ruszyły niechętnie, ale zaledwie kilkadziesiąt kroków uszły, wpadły w jakąś zaspę śniegu i zatrzymały się znowu. Teraz Tatar nie ograniczał się już na krzykach, na szarpaniu lejcami, ale podniósłszy się, rozwinął bat rzemienny i zaczął nim okładać z całej siły wyczerpane zwierzęta. Wydobyto się nareszcie z zaspy. Jakiś kawałek droga była wymieciona tak ze śniegu, że sanki rznęły grudę ziemi, jakby pługiem, i nie pozwalały na szybką jazdę — ale teraz nadzieja wstąpiła w serca podróżnych. Zdaleka usłyszeli ujadanie psów i w oddali zobaczyli światełko. Jeszcze kilkaset kroków, a dobiją się nareszcie do mieszkań ludzkich— ale znowu jeszcze większa zaspa śniegu dzieliła ich od upragnionego celu. Tej już konie przebyć nie potrafiły. Naglone przez Tatara pospadały i poprzewracały się.

— Ałłach! bis Ałłach! — mruczał Tatar.

Światło było już niedaleko, na wystrzał z karabinu zaledwie oddalone.

— Trzeba wyjść — odezwał się porywczo Weber. Dojdziemy piechotą do chałupy stojącej przed nami.

Antoś chciał go powstrzymać, ale porywczy chłopak już się o parę kroków oddalił.

Przeszkody jednak, jakie napotkał, nie były łatwe do zwalczenia. Zapadł w śnieg tak głęboki, że wszystko znikło mu z przed oczu; robił wszelkie wysiłki, żeby się posunąć dalej, ale wszystko napróżno.

Jak długo trwały te wysiłki trudno oznaczyć. Jemu zdawało się, że wieki. Spocony i zmęczony padł nareszcie, nie mogąc się ruszyć nawet.

Tatar nie dał wyjść z sanek Antosiowi i sam się nie ruszał.

Tymczasem ujadanie psów, które dotąd słychać było w oddali, rozległo się prawie tuż przy saniach i kiedy zadymka na chwilę uciszyła się, Antoś i Tatar ujrzeli trzy syberyjskie brytany, na pół wilki, na pół psy, wściekle rzucające się na konie bezradnie się tarzające w śniegu.

Niedługo zamajaczyło kilka cieni ludzi zbliżających się.

— Ałłach! — zawołał Tatar, wyciągając ręce do góry.

Przybyli ludzie, szybko, nie tracąc ani chwili, pochwycili za przyniesione z sobą łopaty i zaczęli odgarniać śnieg zasypujący drogę — dojrzeli Hilarego bezwładnie siedzącego — dwóch pochwyciło go pod ramiona i uniosło do chaty. Pozostałych czterech, pracując niezmordowanie, przy akompaniamencie szczekania psów, zdołało nareszcie od-

kopać drogę i zmusić konie do powstania. Droga była wolna. Konie pobudzone piskiem Tatara ruszyły i wkrótce sanie znalazły się na powórzu domku stojącego za miastem. Luboradzkiemu dopomożono do wydobycia się z sanek i wprowadzono go do ciepłej izby. Konie pozostawiono na mrozie, ale już pod dachem jakiejś szopy.

Los czasem dziwne, prawie nieprawdopodobne urządza spotkanie. Chata, w której znaleźli przytułek, leżąca w przedmieściu Aleksandrowska, była właśnie mieszkaniem Piotra Wysockiego, do którego dążyli w gościnę.

Kiedy Luboradzki wszedł do obszernej, ciepłej izby, oświetlonej ogniskiem palącego się drzewa na kominie, kiedy przy pomocy gospodarzy pozrzucał z siebie przemarznięte okrycia, — zobaczył najpierw Webera, leżącego na łóżku, a przy nim jakiegoś człowieka, podającego mu herbatę.

Stancya, w której się teraz znalazł, była obszerna, czysto wybielona, z dużem, płonącem ogniskiem, z ogromnym piecem i z wielkim stołem z desek nieheblowanych, zarzuconym zupełnie jakiemiś papierami. Kilka stołków drewnianych i para łóżek okrytych skórami baraniemi, przedstawiała dla zmęczonego wędrowca ponętne schronienie.

— Gdzie jestem? —zapytał.

— W chacie Piotra Wysockiego — odrzekł sam gospodarz. Widzę, żeście Polacy a Bóg dopomógł mi do ocalenia wam życia.

— Weber i Luboradzki — odrzekł Antoś, prezentując się i wyciągając na powitanie rękę.

— Spodziewałem się was ziomkowie — odrzekł. Rozgrzejcie się przedewszystkiem i używajcie, co Bóg dał.

Luboradzki i Weber, który już przyszedł do siebie z chwilowego omdlenia, z ciekawością zaczęli się przypatrywać gospodarzowi.

Był to człowiek w sile wieku, wysoki, czerstwy, barczysty, wcale na nim znać nie było przebytych trudów niewoli. Włosy ciemne, oko bystre, błękitne, głos potężny i metaliczny. Na pierwszy rzut oka znać było człowieka żelaznej woli i nieustraszonego serca, lecz łagodny uśmiech ojcowskiej dobroci, porywał ku niemu i od razu wzbudzał zaufanie.

Olbrzymi samowar stał przed kominem, do którego sybiraczka dokładała węgla, a na małym stoliku, zastawione szklanki, cukier, chleb i wędzone ryby, pokazywały, że zabierano się do wieczerzy.

Pięciu mężczyzn znajdowało się w izbie oprócz gospodarza. Tych zaraz przedstawił Wysocki nowo przybyłym.

Pierwszy z nich, poważny wiekiem, z białą, jak śnieg głową, krępy i niewysokiego wzrostu, z czarnem okiem rzucającem odblaski ognia wewnętrznego, był major saperów, Franciszek Malczewski.

Drugi, małego wzrostu, wyczerpany, chudy jak szczepa, kaszlący co chwila, okryty w długi chałat tatarski, był ksiądz Boguński z Radomia. Trzeci również ksiądz, Wincenty Kroczewski z Litwy, człowiek z inteligentną twarzą i energią ży-

cia, okazującą się w każdym ruchu i w każdem wypowiedzianem słowie.

Czwartym był młodzian w wieku Luboradzkiego i Webera. Życie tryskało z każdego jego wyrazu, zdawało się w nim palić płomieniem i popychać do czynu. Był to Kownacki, właściciel pięknego majątku, skonfiskowanego obecnie.

Piąty nareszcie był Kasperski, człowiek zagadkowego pochodzenia. Wiedziano o nim tyle, że jest zesłany, ale nie umiano bliżej oznaczyć za co, lecz wiedziano także, że jest nieszczęśliwym a to dostatecznem było do przyjęcia go do grona szlachetnych wygnańców.

Rozgośćcie się chłopaki, jesteście u siebie. Czem chata bogata, tem rada — rzekł Wysocki, ściskając po kolei obydwóch nowoprzybyłych.

Po wymienieniu kilku słów o ich podróży, która się mogła skończyć katastrofą, a zakończyła się tak szczęśliwie — rozmowa zwróciła się na poważniejsze tory i pomału przeszła na ocenę wypadków wojny z 31 roku.

— A ja mówię wam, odezwał się major Malczewski, obracając się wprost do Wysockiego — żeście źle zrobili, wypuszczając władzę ze swoich rąk po 29tym listopada. Kto rozpoczął, ten powinien był kończyć. Na Chłopickiego liczyć nie można było, że popchnie i wprowadzi na właściwą drogę działania wojenne, kiedy mu tylu doradzców dodano. A kiedy oddano dowództwo Skrzyneckiemu, zupełnie zwątpiłem w dobry koniec kampanii.

— Ależ Skrzynecki był najwaleczniejszym żoł-

nierzem — odezwał się cichym głosem ksiądz Biegański.

— Tak, ale niczem więcej, jak dobrym żołnierzem, i to dotąd tylko, dopóki nie przewróciło mu się w głowie i nie zaczął odgrywać roli dyktatora, marzącego o koronie i nie popadł w kabały dyplomatów — odparł Malczewski.

— Poznałem go dobrze później — rzekł Wysocki — i jakby przypomniał sobie minione obrazy, mówił:

— Wypadek wszelkiej wojny zależy od potrójnego założenia: 1) od ducha, który ją wywołał i nią kieruje; 2) od sił materyalnych, jakiemi rozporządza i 3) od teatru, na jakim się ta praca odbywa. Wojna z Moskwą mogła się tylko skończyć pomyślnie nad Dźwiną, Niemnem i Dnieprem. Chłopicki tego nie pojął, a Skrzynecki cały ruch zbłaźnił. Usamodzielnienie włościan nazwano jakóbizmem — a ja widziałem jak zęby od bron chłopi przekuwali na ostrza pik, jak żołnierze w czasie bitwy Grochowskiej darli swoje rękawice na przybijanie naboi.

— Skrzynecki poznał to, niestety po niewczasie — odezwał się Boguński — bo mówił w emigracyi: „Miałem Polskę po Dniepr i Dźwinę na dłoni i nie umiałem jej zatrzymać".

— Świętoszek ten nie dorósł do stanowiska, jakie mu los rzucił w ręce — rzekł Wysocki — i zaiste można się było na nim pomylić. Był to człowiek wspaniałej postaci, na pozór rycerz średniowieczny; organ mowy miał nader miły, a język tak wprawny do dowodzenia, że wszystko, co mówił

zdawało się pochodzić z serca. Wyrafinowana uprzejmość kobieca, chociaż nikt mu nie może zarzucić braku odwagi nieustraszonej żołnierza. Dał jej dowody pod Wawrem i Dębem. W Olszynie grochowskiej widziałem go jak szedł na czele swojej dywizyi, pod prawdziwym gradem kul i kartaczy. Pod Ostrołęką stał jak żelazny słup na linii tyralierów w morderczym ogniu, lecz pomimo tego nie był zdolny dowodzić dywizyą. Zdolności jego sięgały zaledwie do dowództwa pułkiem. — Zostawszy naczelnym wodzem, dzielny pułkownik zmienił się w sybarytę. Wojnę prowadził w pojeździe i wlókł za sobą kuchnię ze wszystkiemi przyrządami gastronomicznymi. Sypiał zwykle do godziny 8ej, a godzinę trawił na ubieraniu się i modlitwie. Przed godziną 10-tą przystąpić do niego nie było można — a przytem, co za przepych otoczenia! Miał 40-tu adjutantów z arystokratycznych rodów. — chociaż Napoleon miewał tylko 12-tu.

— Oszukiwano go radami i sam się łudził, utrzymując, że przepuściwszy Paszkiewicza przez Wisłę i pozwoliwszy mu się zbliżyć do Warszawy wykopie mu grób. Dzielna armia, która dała tyle dowodów męstwa, była na kształt miecza krzyżackiego w ręku niedołężnego dziecka. Jednem słodem, człowiek ten wątpił w zwycięstwo, a do tego się nie przyznawał.

— To też trzeba mu było odebrać dowództwo, kiedy nie umiał prowadzić wyprawy na gwardye cesarskie, które mógł tak łatwo zgnieść zwłaszcza kiedy już Moskale przeprawili się przez Wisłę. On im wcale nie przeszkadzał — rzekł major Malczew-

ski. Ale zważywszy to, że on ciągle utrzymywał, że pod Warszawą wykopie grób moskiewskiej armii, to kto wie, czy nie lepiej było zostawić go już przy dowództwie, niż na kilkanaście godzin przed stoczeniem ostatniej bitwy, odebrać mu dowództwo i powierzać Dębińskiemu? Jeżeliby zapał armii przy obronie stolicy był ten sam, a o tem nie wątpię, co przez czas całej kampanii, zwycięstwo byłoby przy nas, bo jeżeli setki zarzutów można czynić tej kampanii, to brak męstwa żołnierzy i poświęcenia ludu nie może być w ich liczbie.

— Tak jest — odezwał się, kaszląc, ksiądz Boguński. — Widziałem jakich cudów waleczności dokonywał korpus na Litwie i z jakim entuzyazmem był przyjmowany. Zewsząd na spotkanie wojsk polskich zbiegała się ludność z okrzykami radości i z żywnością. Kobiety słały walecznym drogę kwiatami, a z każdego kościoła występował ksiądz i uroczyście błogosławił.

— Święta prawda — rzekł, powstając major Malczewski. Zapał był taki nietylko na Litwie, ale na całych obszarach ziemi polskiej, a szczególniej w armii, bo nieprawdą jest, jak to twierdzą niektórzy, że pod koniec kampanii, armia była zdemoralizowana. Widziałem w nocy, 7-go września, już po haniebnej kapitulacyi Warszawy, kiedy już tłumy Moskali cisnęły się do stolicy, jak pułk 4-ty, który już po większej części składał się z rekrutów, bo starzy wyginęli, wołał z zapałem, że chce umrzeć z bagnetem w ręku — i dzielny Bogusławski, pułkownik, poprowadził go do tej rozpaczliwej walki, zgniótł i rozpędził nim cisnące się tłuszcze do War-

szawy. I Warszawa gotowa była zagrzebać się w gruzach a nie poddać.

— Tak, kłamstwo popełnia ten, kto twierdzi, że duch osłabł w armii — rzekł Wysocki. Widziałem pułk Krakusów, uformowany świeżo z samych chłopów, nędznie uzbrojony w same spisy, jak w czasie odwrotu z pod Bolinowa, nad Pisią pod Kożunkami, rzucił się bez rozkazu jak huragan na Moskali, śpiewając:

Uciekajcie podłe Rusy
Bo jadą Krakusy!
I czarci was nie osłonią
Przed ich dzielną bronią.

I rozgromił ich i daleko pogonił. — W jednej chwili ton pieśni Krakusów, został pochwycony przez wszystkich obecnych. Serca silniej zabiły, oczy zapałały, a ręce pomimowolnie wyciągały się szukając broni.

Któż by uwierzył, że ci ludzie, złamani losem uporczywie ich prześladującym, zmiażdżeni w uporczywej walce, wśród zamieci syberyjskich, przechowują w piersiach swoich takie wulkany uczucia, które w każdej chwili są zdolne wybuchnąć pożarem!? — Ale miłość Ojczyzny i walka za jej święte prawa, są niegasnącemi nigdy potęgami w sercach Polaków.

Po chwilowem tem uniesieniu, zaległo głębokie milczenie. Każdy kajał się w sobie i odnawiał w pamięci świetne przeszłości obrazy. Porównywał je z dzisiejszem położeniem i zapuszczał się w tajniki nieodgadnionej przyszłości.

Pierwszy oprzytomniał Wysocki. Podniósł się, wyprostował całą swoją postawę, zbliżył się do stołu i oparłszy na piersiach rękę, rzekł:

— Czy już praca nasza nad oswobodzeniem Polski skończona? — Czy mamy apatycznie, siedząc z założonemi rękami czekać na to, aż ją zbawi emigracya? — Czy wolno nam próżnować?

— Nie! Nie! — odezwały się głosy.

— Tak, ale, ażeby działać skutecznie, potrzeba być wolnym.

— Tak jest — wyszeptał, kaszląc ksiądz Boguński.

— A jesteśmy niewolnicy. Musimy potargać pierwej nasze więzy i oswobodzić się. Obmyśliłem plan ucieczki, może ryzykowny trochę, ale śmiałym fortuna sprzyja. W każdym razie mniej niebezpieczny, jak napad na Belweder. Kto gotów stanąć przy mnie i popierać moje plany?

— Wszyscy nie zawahamy się! — odezwał się Malczewski, spoglądając po przytomnych.

Nikt nie zaprotestował, a Kasperski wysunął się naprzód i podnosząc ręką do góry, rzekł:

— Jak prowadziłeś na bój do Belwederu towarzyszy, prowadź nas do wolności!

— Dobrze, posłuchajcie więc. Tu widzicie na stole książki, z których robiłem studya i mapy nam potrzebne. Zastanawiałem się drobiazgowo nad przeszkodami, jakie napotkać możemy i ostatecznie przyszedłem do przekonania, że dla ludzi odważnych, wszystko jest możebne. Czeka nas wiele trudów i niebezpieczeństw, ale mam przekonanie, oparte na niezwalczonych danych, że plan się uda.

Przedostaniemy się przez pasmo gór Sajońskich, (miejsce pokazywał palcem na mapie), ot tędy, przez Dzingury i Turkestan do Indyi, a stamtąd do Europy. Plan ten jednak nie może być natychmiast w wykonanie wprowadzony. Czekać musimy cierpliwie wiosny. która tutaj nie prędzej rozpoczyna się, jak w końcu maja. Cóż wy towarzysze na to?

Nikt nie zaprotestował, nikt nie zrobił żadnej uwagi. Na twarzach rozlał się zapał, wszyscy powstali, a major Malczewski najstarszy wiekiem, odrzekł w imieniu wszystkich:

— Powierzamy ci się wodzu, prowadź nas!

— Tak, prowadź nas! — jednogłośnie powtórzyli wszyscy obecni.

Wysocki spojrzał rozjaśnionem okiem i rzekł:

— Przedewszystkiem każdy zachowa milczenie grobowe, nie zdradzi niczem, ani słowem, ani czynem, ożywiającej nas nadziei i nie wtajemniczy nikogo. Czy możecie mi to przyrzec słowem honoru?

— Przyrzekamy na cześć naszą, na nasz honor i na miłość Ojczyzny być ci we wszystkiem ślepo posłusznymi! — rzekł Malczewski.

Następnie każdy z przytomnych zbliżał się, podawał rękę wodzowi i powtarzał słowa zobowiązania.

— Godłem naszem jest „ostrożność i milczenie!”

— Rozjedziecie się jutro, a raczej jak uspokoi się purga, do swoich domów i czekać będziecie moich poleceń. Tymczasem o tem już ani słowa więcej. Nie chcę słyszeć żadnych uwag, żadnych krytyk. Wymagam bezwarunkowej, niczem nie ogra-

niczonej swobody działania. Kto wątpi, niech się usunie. Nie wezmę mu tego za złe — a ci, co wierzą w powodzenie, pójdą ze mną.

Przestano prowadzić rozmowę, schowano mapy i papiery i całe towarzystwo, poważnie nastrojone, rozeszło się na spoczynek, bo już i blade promienie słońca zaczęły się wciskać do okien.

Purga tymczasem skończyła się z nastąpieniem dnia. Cała okolica pokryła się białym całunem śniegu, na górach tylko zielone modrzewie odbijały się ciepłem tłem, zawieszonem na urwiskach skalnych.

Rozjechano się cicho w różne strony i życie wygnańców na pozór powróciło do zwyczajnego łożyska.

* * *

Wieś Bebutowo rozciągająca się na pięknem, południowem wzgórzu, jest otoczona naokoło nieprzejrzanymi lasami. Mając u podstawy swojej rzekę Szyłkę, kręto wijącą się po rozległem błoniu, wystawiała jakby na pokaz na najwyższym wierzchołku góry, wspaniały pałac, świeżo wybudowany, na rozkaz potężnego milionera i właściciela kopalń złota, księcia Bebutowa.

Po opuszczeniu służby wojskowej, książę wbrew zwyczajom rosyjskim, nie tylko nie postarał się o zajęcie jakiego świetnego stanowiska w administracyi kraju, ale robione mu propozycye odrzucił. Opuścił Petersburg i osiadł dobrowolnie w tej pustyni, do której za karę wysyłają ludzi surowe wyroki.

Mógł jednak uprzyjemnić sobie pobyt i otoczyć się oślepiającym zbytkiem, wyrzucając miliony.

Znudzony petersburskimi salonami, dla zabicia nudów, przedsięwziął zwiedzić swoje posiadłości i kopalnie złota, których dotąd jeszcze ani razu nie widział.

Niespodziewanie więc przybył do Bebutowa. Tu zastał dom mieszkalny wprawdzie obszerny, drewniany, ale niczem nie nęcący do siebie. Po kilkudniowym pobycie, znudzony, już miał na drugi dzień wyjechać i opuścić Bebutowo, może na zawsze, gdy niespodziewane spotkanie sprawiło zupełny przewrót w jego projektach i natchnęło myślą wzniesienia czarodziejskiego pałacu. I powstał jak na skinienie czarodzieja gmach wspaniały na miejscu rozwalonego starego dworu, gmach imponujący nie tylko swymi rozmiarami, ale i piękną architekturą z pawilonami dla gości. Otoczony wspaniałym parkiem, ze staremi drzewami i z budowlą przeznaczoną na teatr dla osobistego użytku tylko. Okazałe stajnie, w których stanęło 40 arabskich rumaków przy marmurowych żłobach i liczna, bogato ubrana służba dowodziła potentata, dla którego nie istnieją niepodobieństwa, któremu dosyć skinąć, a szczęście uklęknie przed nim na jego rozkazy.

Niejeden, widząc ten przepych, zawołał może: Cóż temu człowieko brakować może do szczęścia?

A jednak człowiek ten czuł się bardzo niezadowolony ze swego losu.

Cóż więc skłoniło go do zamieszkania w Syberyi i wystawienia pałacu?

Najpierw męczyła go myśl upakarzająca jego dumę, że on, potomek udzielnych kniaziów Gruzyjskich, nieograniczony władca swego ludu, nosi dziś mundur rosyjskiego oficera i jest nietylko sługą caratu ale i mieczem w ręku wroga, wiszącym nad karkami jego współbraci. Wojna rosyjsko - polska otworzyła mu oczy i pokazała, jak naród winien bronić praw swoich i rozdmuchała zastygającą już iskrę patryotyzmu. Czuł się upokorzonym i przybitym.

Dlaczegóż jednak teraz dopiero, kiedy już nosił szlify pułkownika, te myśli obudziły się w nim?

W losach człowieka odgrywa rolę często to, co nazywamy trafem, przypadkiem, co jest małem ziarnkiem piasku, które niespodzianie dostało się w tryby zegarka.

Ziarnkiem takiem, jak już powiedzieliśmy, było niespodziewane **spotkanie.**

W piękny czerwcowy wieczór, poprzedzający dzień wyjazdu — wydawszy rozporządzenia — wyszedł odetchnąć świeżem powietrzem na wzgórzach, otaczających wioskę. Pogrążony w myślach, szedł nad brzegiem rzeki, wijącej się kręto u stóp jego, w towarzystwie tylko wielkiego, czarnego psa z rasy neffunlandów. Zanurzył się w morzu wspomnień i czuł się zgnębionym. Kiedy tak błądził nad rzeką, niespodzianie jego pies, idący na kilkanaście kroków przed nim, stanął, najeżył sierść i warknął groźnie. Kniaź spojrzał ku wybrzeżu i zobaczył nad samem jego urwiskiem dziwną postać. Był to czło-

wiek dużego wzrostu, oryginalnie ubrany. Z odkrytej głowy, bez czapki, spływał gruby warkocz na plecy, na których zawieszony był czerwony kaftan, jaki pospolicie noszą parobcy w dnie świąteczne. Ale od pasa, w miejsce ubrania męskiego, spadała krótka spodnica okrywająca kolana. Cały ten ubiór stanowił taki dziwoląg, że nawet pies nim zdziwiony, przybrał obronną postawę.

Skąd tu dyabli przynieśli jakiegoś Chińczyka, czy Japona? — pomyślał książę.

Człowiek ten zajęty był łapaniem ryb na wędkę. Obok niego stała konewka, w której pluskały się złowione duże okonie i liny.

— Trzeba trochę nastraszyć tego cudaka — pomyślał Bebotow i to mówiąc dał psu znak.

Wytresowany brytan rzucił się z całym impetem na człowieka, który pod jego ciężarem o mało nie wpadł w wodę — ale kniaź zawiódł się na swoim żarcie. Człowiek nie przewrócił się, ale w jednej chwili, obrócił się, pochwycił psa za oba uszy i zakręciwszy nim koziołka w powietrzu, rzucił go o kilkanaście kroków w wodę. Pies, nie spodziewał się takiego przyjęcia, więc z początku zanurzył się, ale z natury będąc doskonałym pływakiem, wydobył się na wierzch, zrobił kilka poruszeń i wypłynął szczęśliwie na brzeg. Otrząsnąwszy się z wody i skuliwszy ogon pod siebie, zawstydzony, zbliżył się do nóg swojego pana.

Z początku Bebutowa rozgniewała taka śmiałość rybaka, więc śpiesznie postąpił parę kroków, chcąc mu wymierzyć karę — ale w tej chwili uspo-

koił się i stanąwszy przy nim, roześmiał się i rzekł:

— A to zuch z ciebie, panie Chińczyk.

Człowiek obrócił się i teraz źdzіwienie księcia jeszcze się bardziej powiększyło. Kto to jest? — mimowolne nasuwało mu się pytanie. Chłop, czy baba? Z ubioru dyabeł nie potrafi go rozróżnić.

Tymczasem człowiek wysypał na ziemię ryby z konewki, nabrał świeżej wody i pomału zaczął napowrót wkładać w nią ryby. Wędkę owinął około pręta i zabierał się do odejścia.

— Kto ty jesteś? — zapytał się Bebutow.

Wyprostowana postać, miała wierzchnią wargę pokrytą delikatnym wąsem, a żylaste ręce wskazywały mężczyznę, ale teraz, gdy mu się kaftan rozpiął i pokazały się jak utoczone piersi kobiece, nie można już było wątpić, że ma przed sobą przedstawicielkę płci pięknej.

Kobieta, niezmieszana widokiem księcia, zaczęła mu się bacznie przypatrywać.

Książę powtórzył swoje zapytanie.

Ale w miejsce odpowiedzi, młoda kobieta wyprostowała się jak Kordyatyda, wzięła napełnioną rybami konewkę w rękę i zaczęła się oddalać.

Rozgniewało to człowieka, który nie przywykł, żeby ktoś odważył się, nie spełnić natychmiast jego rozkazu. Trudno jednak było prowadzić jakąś walkę z babą. Pomyślał jednak, że być może, że nie rozumie rosyjskiego języka.

Nie daleko od brzegu rzeki stała mała chałupka, pokryta białą brzozową korą, która przy świetle księżyca lśniła się, jak gdyby była ulana ze

srebra. Do tej chałupy widocznie skierowała swoje kroki nieznajoma. Zaciekawiony, postanowił przekonać się, kto zamieszkuje tę chatę.

Z daleka już dojrzał, że przed chałupą, na niskiej ławeczce siedzi jakaś druga postać.

Rybaczka zbliżyła się do niej, coś przemówiła, pokazała złowione ryby i weszła do chaty, a siedząca kobieta pozostała na swojem miejscu. Książę zbliżył się teraz tak blisko, że zaledwie kilka kroków oddzielało go od siedzącej. Widok jaki teraz zobaczył, jeszcze większem przejął go zdumieniem.

Księżyc rzucił snop światła na siedzącą postać, która przybierała pod jego drganiem, jakieś fantastyczne kształty. Czarna suknia spływała do jej stóp, a włosy jej, w tej chwili rozpuszczone, srebrno białe, lśniły jakby tysiącami iskier, jakby światełka św. Elma rozpadały się po nich i tworzyły koronę, jaką na niektórych obrazach malarze ozdabiają głowy świętych.

Kobieta siedziała bez ruchu, pogrążona w głębokiem zamyśleniu, nie spostrzegając przybyłego, — ale raptem z ramienia jej oderwał się jakby biały bukiet róż, uniósł się w górę i zaczął krążyć nad jej głową. — Była to prześliczna biała synogarlica, rozpieszczona, zatoczyła kilka kręgów w powietrzu i kiedy pani jej odezwała się do niej, lekko spuściła się znowu na jej ramię, wyciągnęła szyjkę ku jej twarzy, obcierała się o nią i zaczęła coś gwarzyć, w tym nieznanym języku, którego nie rozumieją ludzie, a rozumieją dobrze aniołowie pańscy.

— Co za dziwne spotkanie — pomyślał Bebutow. — Same niespodzianki — same kontrasty — i postąpił jeszcze parę kroków bliżej. Kobieta teraz podniosła głowę i ujrzała stojącego przed sobą mężczyznę. Szybko powstała i chwilę namyślała się, czy się schronić do chaty, czy pozostać w miejscu. Przemogła jednak myśl ostatnia. Wyprostowała się i ze swoją nieodstępną towarzyszką, synogarlicą, siedzącą na ramieniu, czekała w milczeniu, co jej powie nowoprzybyły.

Książę w jednej chwili ocenił, że ma przed sobą osobę z lepszego towarzystwa! Uchylił kapelusza i rzekł po rosyjsku:

— Przed niedawną chwilą, spotkałem nad rzeką jakąś zagadkową postać. Nie mogłem oznaczyć do jakiego rodzaju stworzeń należy, ale schroniła się do tej chaty, więc pragnąłbym dowiedzieć się kto ona jest?

Stojąca kobieta, wpatrując się w mówiącego, odrzekła:

— Nie wiem o co właściwie się pan pyta, gdyż tego języka nie rozumiem.

— Ach! pani mówisz po francusku? Wybornie! Będziemy się mogli porozumieć. — Tu, w tej pustyni, słyszeć głos cywilizowanego świata, jakaż to miła niespodzianka! — Pragnąłbym dowiedzieć się, kto jest ta dziwna istota, która schroniła się przed chwilą do tej chaty?

— Czy chodzi o paszport, lub jakie dowody legitymacyjne?

Na te słowa książę zarumienił się cały, myśl, że go ktoś bierze za jakiegoś policyjnego czynowni-

ka, oburzyła go i rozśmieszyła, prędko więc odrzekł:

— Zaszło pewnie nieporozumienie i to jest moją winą, bo nie przedstawiłem się pani i zbyt śmiało może rzuciłem pytanie. Nie jestem żadnym urzędnikiem policyjnym i paszporty mnie nic nie obchodzą. Jestem właścicielem Bebutówki i tylko prosta ciekawość ośmieliła mnie do zrobienia zapytania..

— Zaspokoję pańskie pragnienie i objaśnię pana. — Jesteśmy obydwie wygnanki, Polki, zesłane na przemieszkiwanie tutaj. Ta dziwna istota na pozór, jest panna Róża Wrzosek. Niezwykły jej wygląd usprawiedliwia pańskie źdzíwienie. Jest to moja przyjaciółka, mój dostawca żywności, mój plenipotent, bez której nie wiem, jakbym sobie tutaj mogła dać radę. Spotkał ją pan, gdy uczyniła wyprawę na ryby, któremi po większej części się żywimy.

— Polityczne przestępczynie? — zapytał książę, ale w tej chwili, wstydząc się tego niedyskretnego pytania, dodał — jakżeby być mogło inaczej.

— Nie mylisz się pan, nie popełniłyśmy żadnej innej zbrodni, jak tylko tę, że kochamy swoją ziemię i dla niej pracowałyśmy.

Teraz w umyśle księcia zaczęły się przesuwać jakieś dziwne błyski wspomnień. Zdawało mu się, że tę kobietę gdzieś widział, że ten głos nie obcy mu. Natężył pamięć i jakieś nowe światło zajaśniało przed jego oczami. Przypomniał sobie kampanię polską, śmierć Dybicza i scenę, jaka się rozegrała w Kleczewie. Miałaż by to być ona? Mia-

łożby to być to bohaterskie dziewczę, które widział ze skrępowanymi powrozem rękami? Ależ tamta, to był pączek, dopiero rozkwitający z łodygi, a ta?....

— Na Boga! — zawołał. — Jeżeli mnie wspomnienia nie mylą, to my jesteśmy dawni znajomi. Czy pani byłaś w obozie Dybicza w Kleczewie?

— Byłam tam.

— Ależ tamta, było to zaledwie rozkwitające dziewczę!

— A ta, stara baba! — Dziwisz się pan, że parę lat czasu, zmieniły tak moją postać, że włosy moje zbielały? Życie ludzkie nie latami się liczy, a przeżytemi wrażeniami. — Jestem Antonina Snarska.

Książę zdjął kapelusz, pochylił głowę na znak szacunku i odrzekł:

— A ja jestem Bebutow, były adjutant Dybicza.

Na te słowa, kobieta szybko postąpiła parę kroków, wyciągnęła rękę i silnie ją uścisnęła.

— A więc mam przed sobą mojego zbawcę, tego, który mi rozwiązał więzy, dla którego wdzięczność na zawsze jest przechowana w mojem sercu!

Książę oddawszy szczery uścisk ręki, odrzekł smutnie:

— A jednak nie osiągnęliśmy celu. Widocznie gdzieś pochwycono panią i zasłano tu, do tego ziemskiego piekła.

— Nie pochwycono mnie wówczas i szczęśliwie mi się udało przebyć obozy wasze, ale w pó-

źniejszym czasie, w chwili bitwy pod Kaźmierzem zostałam wzięta do niewoli wraz z moją nieodstępną towarzyszką, Różą Wrzosek i popędzona w głąb Rosyi, wraz z innymi jeńcami wojennymi.

— Ależ był jakiś ukaz cesarski, który kobiety aresztowane w czasie wojny, polecał uwolnić z niewoli.

— Rzeczywiście, był podobno; o tem dowiedziałam się już w Wijatce, gdzie mnie pierwotnie zesłano, ale ja byłam niepoprawną zbrodniarką, jak się potem wyrażono w urzędowym raporcie o mnie?

— Cóż za zbrodnię pani popełniłaś?

— Jadąc etapami do Wijatki, na jednej ze stacyi, w której nam przypadł trzechdniowy wypoczynek, zeszliśmy się z partyą, tak zwanych kantonistów. — Czy pan wiesz, co to są kantoniści? — i nie czekając odpowiedzi, mówiła dalej — są to biedne sieroty, dzieci do lat dziesięciu, pochwytane na ulicach, lub odebrane przemocą biednym matkom, a następnie ochrzczone na prawosławie i zasyłane pospolicie na okręta. Tam zapominają zupełnie nietylko swego języka, rodziców, narodowości, ale nawet religii, w której się urodziły i z nich to potem tworzą się zastępy janczarów lub szpiegów. W partyi tej, z którą my się spotkali, znajdowało się bardzo wiele żydziaków. Serce się ściska od bólu, kiedy sobie przypominam te obrazy.— Te niedołężne dzieciaki, nie umiejące mówić ani po polsku, ani po moskiewsku, spłakane, wynędzniałe, tęskniące — oddane niepodziewanie pod dozór brutalnych podoficerów, którzy nie mając żadnej litości, naigra-

wają się z nich, przedrzeźniają i okładają kułakami, za nic, ot tak dla swojej przyjemności — mogą wzbudzić litość w najzatwardzialszem sercu. — Te jednak dzieci, które były pochodzenia polskiego, mówiły jeszcze między sobą językiem rodzinnym, za co były niemiłosiernie prześladowane. Zbliżyłam się w czasie trzechdniówki do nich, poznałam i starałam się im ulżyć. Rozmawiałam z niemi i wkróce otoczyły mnie jak matkę i łasiły się do mnie. Był jeden chłopczyna chory; Piotruś się nazywał. Kaszlał ciągle i widocznem było, że ma suchoty już rozwinięte w dużym stopniu. — Dziecina ta, w wieku lat 10-ciu szczególniej się przywiązała do mnie w ciągu tej krótkiej znajomości. Chodziła za mną lub wodziła oczami, rozmawiała ze mną i kaszląc, skarżyła się, że nic go tak nie trapi ani tęsknota za matką, ani za wsią, z której został porwany, jak myśl, że Moskale przerobili go na prawosławnego, że kiedy umrze, to nie połączy się już ze swojemi. Teraz myśli tylko o tem, żeby chociaż na chwilę przed śmiercią, został napowrót katolikiem, że to jest jego jedyna myśl i jedyne żądanie, które pragnął był widzieć spełnione. Tak serdeczny żal mnie opanował, że nie namyślając się długo, zrobiłam naradę z moją towarzyszką Różą i postanowiłyśmy go napowrót powrócić Kościołowi katolickiemu. — Róża przyniosła wody, a kropidło zrobiłyśmy ze słomy żytniej. Odmawiałam modlitwy, jakie mi podyktowało serce i dopełniłam chrztu w obecności dwóch jeszcze chłopców. To mnie zgubiło. Dzieciaki wygadały się przed podoficerem, a ten doniósł oficerowi. Piotruś dostał

natychmiast rózgi, a mnie z Różą przedstawiono raportem, jako niebezpieczne przestępczynie i po długich śledztwach skazano nas tutaj na osiedlenie. Cóż więcej będę ci panie opowiadała o tem? Od roku żyjemy tu i z wolą Bożą zgadzając się, czekamy cierpliwie co nam On przeznaczy.

Książę, silnie wzruszony, milczał, wpatrując się tylko w twarz mówiącej i słuchając jej głosu. Nareszcie przerywając milczenie, rzekł:

— Czegóż innego można się było po nich spodziewać? A wy Polacy myśleliście, że zatykając swoje chorągiewki z napisami **„za waszą i naszą wolność”** zdobędziecie ich serce! Serce hyeny, pastwiącej się nad umarłymi! O, jakżeście się mylili!

— Może jeszcze za wcześnie, może my się za bardzo pośpieszyli, ale widzę, że chwila ta się zbliża i nastąpić kiedyś musi!

— Co za niezłomna wiara w przyszłość! Ja jednak wątpię jeszcze o tem.

Róża, widząc Antosię tak poufale i długo rozmawiającą z nieznajomym, mocno tem zdziwiona, stanęła we drzwiach chaty, już zupełnie przebrana w szaty kobiece.

— Chodź tu Różo — zawołała Antosia. Poznaj naszego zbawcę z obozu Dybicza i podziękuj mu.

— Ach! to ten oficer, co mnie w Klecku nie chciał uznać za kobietę! Doskonale byłam przebrana!

— Podziękuj mu; ja już powiedziałam kto jesteś.

— Chyba mu piękny dyg zrobię, bo on nie umie po polsku, a ja po moskiewsku. Co on tu porabia?

— Jest to książę Bebutow, właściciel Bebutówki i mieszka tu.

— Widzę, że pani o mnie rozmawia ze swoją towarzyszką. Racz jej pani powiedzieć, że ją bardzo poważam za jej wierne usługi i dowody poświęcenia.

Antosia, powtórzywszy słowa księcia, zapytała go:

— Książę zapewne tylko chwilowo bawisz w swoim majątku i pracujesz dla dobra Rosyi?

— O, nie, pani! Rzuciłem już służbę. Na co mnie ona przydać się mogła? Znienawidziłem ją i postanowiłem oddać się innej pracy, więcej pożytecznej. Miałem jutro wyjechać, ale... — tu książę zatrzymał się i pogrążył w milczeniu. Po chwili jednak uśmiechnął się ironicznie i rzekł:

— Inaczej pragnę Rosyi być użytecznym. Pani, jako Polka, prędzej to zrozumiesz, jak ktokolwiek inny — ale nie czas teraz o tem mówić.

— Więc powiem panu dobra—noc — rzekła Antosia. — Moja synogarlica strasznie śpiąca i zdaje się, że nie długo dzień się już zacznie robić!

— Pozwoli pani, że będąc bliskim sąsiadem, będę prosił o pozwolenie korzystania niekiedy z jej towarzystwa i jako właściciel tych miejscowości będę sobie miał za obowiązek, ułatwić jej pobyt w Bebutówce.

Antosia, zostawszy sama ze swoją przyjaciółką, oddała się wspomnieniom niedalekiej a jednak tak różnej przeszłości, a Bebutow, powracając do swego domu, unosił się nad bohaterskiem poświęceniem Polek, i, porównywując walkę swego narodu i walkę Polaków, czuł, że pierwszeństwo im oddać musi.

Książę, nienamyślając się, postanowił zostać w Bebutówce i na drugi dzień złożył wizytę wygnankom i prosił, żeby w każdej potrzebie swojego małego gospodarstwa odnosiły się do niego. Ale Antosia podziękowała za jego względy, oświadczając, że nic im nie brakuje, a poprosiła tylko o książki, których całą pakę, ale niestety tylko w języku francuskim przysłał natychmiast.

Skończyła się jesień, a wśród zimowych wieczorów można było bardzo często widzieć Bebutowa, zasiadającego przy skromnym samowarze w chacie wygnanek. Siedział najczęściej milczący i wpatrywał się w siwe włosy Antosi, rozpytywał o jej kraj, o uczucia ludu i jej własne poglądy i nie krępując się, wypowiadał całą nienawiść do Moskwy, za jej intrygi i uciemiężenia. Czasami zapalał się tak, że Antosia, która bacznie śledziła bieg jego myśli, nie umiała sobie wytłómaczyć tej wrzącej nautry i jej wybuchów. To tylko dostrzegła i przeraziła się, że Bebutow zakochał się w niej bez miary i że jest gotów do jakiegoś szaleństwa. Ten młody książę, ognisty syn Wschodu, nie znał co to jest miłość salonowa, miłość pełna jedwabnych słów i dystyngwowanej kokieteryi. Kobiety, które mu się narzucały w Petersburgu, traktował jak nie-

wolnice. Krótkie z niemi afery, po bardzo krótkim czasie sprawiały mu niesmak. Nie zawiązał dotąd żadnego poważniejszego stosunku i zdawało mu się, że miłość idealna kobiety, nigdy nie może powstać i zagościć w jego sercu.

Teraz przekonał się, że pancerz został przeszyty niezwyciężoną strzałą, że miłość owładnęła nim całym i rozbudziła żądze nieznane i pragnienia wyższe i że myśl jego stała się niewolnicą namiętności. Dotąd jednak, nigdy ani jednem słowem nie starał się wzbudzić podejrzenia u Antosi. Postanowił wybudować i wybudował pałac pełen przepychu a następnie pokazać jej swoją potęgę, olśnić bogactwem i wtenczas dopiero wyrzec ostatnie słowo miłości, ciskając to wszystko do jej stóp.

Antosia mogła zaiste oczarować każdy wyższy umysł. Dziwną aureolę piękności dodawały jej białe włosy przy licach dziewiczej młodości i inteligetnych rysach. Ten kontrast tak był uderzający, taki nadawał majestat całej postaci, że każdy pomimowolnie musiał chylić czoło przed tą męczennicą idei.

Drażniło Bebutowa, ale zarazem napełniało zadowoleniem to, że kobieta ta nie przyjmowała żadnych podarunków, które jej z początku przysyłał. Czasem tylko bukiet kwiatów cieplarnych, lub koszyk owoców znalazł uwzględnienie. Dumna dziewczyna żyła tem, co jej Róża przyniosła ze swoich wypraw łowieckich; — przyjaźni jednak ogniwa, coraz się więcej zacieśniały, bo oparte były na obopólnym szacunku.

Dnie płynęły za dniami; pałac już stał prawie gotowy na przyjęcie swojego pana—a Bebutow coraz zacieklej żył myślą, że ten pyszny klejnot będzie mógł złożyć u stóp swojej wyidealizowanej wybranki.

Raz jednak sprawił jej wielką przyjemność i odebrał serdeczne podziękowanie. Antosia parę razy użalała się, że poprzestawać musi na płodach tylko francuskich pisarzy. Wprawdzie wybór był doskonały, bo większą część książek stanowiły dzieła Victora Hugo — Lamartina —Chatoubrianda — i innych ówczesnych koryfeuszów literatury francuskiej, tłómaczone dzieła Valter Scott, Bajrona— ale ona tęskniła za rodzinną książką, ciekawa była poznać literaturę emigracyjną i z tem pragnieniem się wygadała.

Dnia jednego, do skromnego jej domku, przyniesiono skrzynkę przybyłą z zagranicy. Z niecierpliwością odbiła wieko i niespodzianie spostrzegła, że cała paka składa się z książek w języku polskim, drukowanych w Paryżu lub Brukseli.

Cóż tam za skarby się znajdowały! — Były „Wieczory Pielgrzyma" Witnickiego, dzieło Mochnackiego, Lelewela a z nieśmiertelnych poetów dzieła Juliusza Słowackiego, którego hymnu uczyła dzieci w Zbyszowie. Ileż wzruszeń; ile łez sprowadziły jej te wspomnienia. Irydyon Krasińskiego! Ale zdumiona była, zachwycona, oczarowana, kiedy przeczytała „Pana Tadeusza" Mickiewicza, to arcydzieło literatury europejskiej. Przerzucając kartki napotkała wiersz do Moskali, a w nim słowa:

„Żrąca jest i paląca gorycz mojej mowy
Gorycz wyssana ze krwi i łez mej Ojczyzny;
Niech żre i pali — nie was, lecz wasze okowy..

A więc i On! ten wielki wieszcz narodu, nie przeklina wrogów Moskali, ale ich więzy i wierzy, że kiedyś zamienią się w przyjaciół.

Często bardzo książę prosił, żeby mu przetłómaczyła na francuski język jakiś urywek z dzieł, nad któremi tak się unosiła i zachwycał się niemi.

Ta wspólność poglądów ścieśniała coraz więcej związki przyjaźni i Bebutow żywił nadzieję, że zamieni się czasem w ściślejszy związek.

Dnia jednego Bebutow wszedł z nadzwyczaj wesołą twarzą i przywitawszy się rzekł:

— Powracam z Szyłki i tam poznałem dwóch rodaków pani. Są to bardzo sympatyczne chłopaki. Ktoby to uwierzył, że siedmnastoletnie wyrostki, rzucone w te bezmierne pustynie, bez żadnej pomocy, potrafią nietylko się ocalić, ale zająć poważne stanowisko? To już jest zasługa rasy, zasługa krwi.

— Ale któż to są ci ludzie i co zrobili takiego, że zasługują na takie pochwały?

— O, prawda — pani nic nie wie o Szyłce. Otóż była tam kiedyś fabryka szkła ordynarnego, upadła i miała się zamienić w gruzy. Tymczasem przybyło dwóch wygnańców Polaków, dzieciaków prawie jeszcze. Wydzierżawiło ją, rozwinęło, zrobiło różne ważne wynalazki i dziś już fabryka staje się sławną. Byłem tam, podziwiałem ich twórczość i zrobiłem obstalunki do mego pałacu. Wszystkie filary, słupy, gzymsy, będą pokryte szklaną,

cudownie piękną — ich wynalazku — polewą. Będzie to coś czarodziejskiego. Oni, dla wykonania robót przybędą do Bebutówki więc ich pani pozna.

— Rzeczywiście mocno jestem zaciekawiona poznać tych domorosłych geniuszów — ale zapewne są to dwaj fachowi fabrykanci szkła i tutaj tylko zastosowali swoje wiadomości.

— Wcale nie — są to dwaj powstańcy z afery Zawiszy, mieli po lat 14 gdy dobroczynny rząd wziął ich w swoje kleszcze. To synowie obywateli — a sami, jak mi to opowiadał Juryński — własną pracą i doświadczeniem zdobyli niesłychane rezultaty. Zachwycony jestem nimi.

— Czy nie wiadome księciu nazwiska tych dwóch bohaterów?

— Mam je zanotowane — to mówiąc wydobył notatnik i przeczytał Hilary Weber i Antoni Luboradzki.

— Pierwsze nazwisko niekoniecznie ma brzemienie polskie, ale jest wiele takich, co chociaż brzmieniem pokazują pochodzenie cudzoziemskie, są dobrymi i zasłużonymi Polakami. I Weber więc może należeć do ich liczby, co zaś do drugiego, to familia Luboradzkich należy do znanych w Polsce.

— Słyszałem o bohaterskiej śmierci na Litwie dwóch Luboradzkich, ojca i syna. Być może, że i ten pochodzi z tej krwi.

W kilka dni Weber i Luboradzki rzeczywiście przybyli do Bebutówki dla dopełnienia robót около pałacu. Poznanie ich z panną Snarską, stało się

niewyczerpanem źródłem przyjemności obopólnych. Na obczyźnie każdy głos przypominający rodzinne dźwięki, budzi sympatye, a cóż dopiero głos ludzi połączonych wspólnością pojęć i cierpiących za jedną sprawę. — Za każdym przybyciem do Bebutówki przedsiębiorców, którzy niekiedy po kilka dni musieli tam spędzać, pilnując robót, wieczorem zgromadzano się w chacie wygnanek. Książę nie opuścił żadnego wieczorku.

Wspólne rozmowy i czytanie książek wspólnie zacisnęły węzły przyjaźni a Bebutow poznawszy lepiej obydwóch młodzieńców, okazywał im wiele uczucia i pomagał ile było w jego mocy.

W tym czasie, jak to już powiedzieliśmy, obydwaj wygnańcy odbyli podróż do Aleksandrowska do Wysockiego i zgodzili się tam na plan projektowanej przez niego ucieczki.

Powróciwszy do domu, poważnie oddali się rozmyślaniom nad swoim zamiarem, nic jednak nie zmienili w trybie życia swojego, oddawali się z równą gorliwością pracy i każdy, kto by się przypatrywał z boku ich czynnościom, niemógłby powziąć innego przekonania jak tylko to, że ci dwaj ludzie myślą tylko i pracują dla zrobienia majątku.

Jakże pragnęli udzielić swoją nadzieję Snarskiej, ale związani słowem honoru, zachowywali grobowe milczenie i nigdy ani jednym wyrazem nie zdradzili się.

Mieli myśl poprosić Wysockiego o pozwolenie wtajemniczenia wygnanek w plany i ułatwienia im ucieczki, ale zastanowiwszy się nad niebezpieczeństwami grożącemi, nad trudami, jakie czekają

śmiałych towarzyszy w niebezpiecznej wyprawie, wątpili, czy dwie kobiety, mogą mieć tyle siły, ile potrzeba w tem ryzykownem przedsięwzięciu.

Dnia jednego Bebutow, przybywszy do chaty, zastał Antosię smutnie siedzącą, zamyśloną a Różę także w jakiemś niezwykłem usposobieniu. Starał się rozmową rozpędzić smutek, ale wkrótce spostrzegł, że nie podoła temu zadaniu.

Książka, którą czytała Antosia, wypadła jej z rąk i leżała na podłodze niepodniesiona.

— Jak widzę literatura nie zajmuje już tak pani jak pierwej, może w innym rodzaju dzieła dostarczyć pani?

Antosia ocknęła się z zamyślenia, przyjęła podaną sobie podniesioną książkę przez księcia i odrzekła:

— Nie — utwory wielkich naszych myślicieli nie przestały mnie zachwycać i przenosić w nieznane światy — ale to właśnie jest przyczyną mojego smutku, że uspokajając siebie, zapominam o innych i czynię sobie z tego powodu wyrzuty.

— Jak to pani rozumiesz?

— Sprawa jest jasna—my obydwie pragnęłybyśmy pracować dla naszego kraju, dla naszych braci walczących za wolność pielęgnując rannych i chorych. Siła wypadków nie pozwoliła nam dopełnić tego programu i dziś siedzimy bezczynnie, oddając się próżniactwu, względnie w znośnem położeniu materyalnem, a tylu naszych bliźnich cierpi i niema żadnej pomocy. Jakiś czas łudziłam się, że tu będę mogła zaprowadzić szkółki i rozwijać młode umysły, ale zawiodłam się fatalnie. Dzieci wygnańców

tu się nie znajdują, a mieszkańcy tutejsi, nie powierzyliby mi swoich.

— Zresztą to jest surowo zabronione przez rząd i nowe prześladowanie ściągnęłaby pani tylko na siebie.

— Wiem o tem, ale toby mnie nie straszyło, gdyby się na co zdało; ale to próżne marzenie, a jednak iluż tu jest nieszczęśliwych, którym możnaby ulżyć doli.

— Jakim sposobem?

— Czy nie widzisz pan, jak po większej części, wszyscy zesłańcy są nędznie ubrani? Łachmany spadają z nich, mróz zamraża kości, gdyby mieli lepsze okrycie biedacy, odżyliby.

Książę bacznie się przypatrywał mówiącej. — Twarz jego się ożywiła i rzekł:

— A więc otwórzmy warsztaty ubiorów, bielizny itp. rzeczy dla tych nieszczęśliwych.

— Na to potrzeba pieniędzy na materyały.

— Znajdą się. Ja każę zakupić sukno i płótno, a pani zajmiesz się szyciem. Czy dobrze?

Oczy dziewczyny zapałały niezwykłym ogniem. Podniosła się, wyciągnęła rękę do księcia i rzekła:

— Szlachetny człowieku — odgadłeś mnie — dziękuję.

— Ależ za co? Ja powinienem złożyć pani dzięki, żeś mi nastręczyła sposobność zrobienia czegoś dobrego. Nie mówmy o tem.

Nie upłynęło dwóch tygodni od tej rozmowy, gdy w mieszkaniu wygnanek, znalazły się postawy sukna, płótna grubego i innych materyałów. Z go-

rączkową niecierpliwością obie kobiety zabrały się do roboty, szyjąc koszule, kaftany, kożuchy i inne okrycia dla nieszczęśliwych. Delikatne paluszki Antosi nieraz krwawiły się od grubego płótna. — Róża wydzierała jej robotę, chcąc jej ulżyć, ale uparta dziewczyna nie łatwo ustępowała. Wkrótce można było widzieć rezultaty tej wysilonej pracy. — Bebutow rozsyłał po różnych wsiach ubiory i niejedna łza wdzięczności spłynęła z oka nieszczęśliwych. Nie ograniczano się tylko na więźniach politycznych, nie odmawiano pomocy i przestępcom zwyczajnym, skazanym na osiedlenie.

Tymczasem zakończyła się zima; nastąpiły wiosenne roztopy, śniegi stajały pomału i ziemia rozbudzona z letargu, zaczęła się pokrywać trawą i kwiatami...

Zbliżała się godzina upragniona, wyśniona, która wygnańcom miała przynieść wolność.

Znoszono się z Wysockim mało, nie chcąc korespondencyą narażać się na niebezpieczeństwo. Raz tylko jeden Luboradzki wybrał się do Aleksandrowska, porozumiał się z pułkownikiem, który mu oświadczył, że dzień 15ty maja, jest stanowczo naznaczony na rozpoczęcie wyprawy, że w dniu poprzednim, wieczorem, nie wcześniej ani później, wszyscy spiskowi winni się zgromadzić w jego mieszkaniu, a dalsze plany pozostawić zupełnie jego rozporządzeniom.

Antoś powrócił pełen nadziei i przywiózł z sobą pozwolenie wtajemniczenia Snarskiej i Róży, nie proponując im jednak udziału w ryzykownej wyprawie.

Gdy Luboradzki opowiedział im projekt ucieczki, oczy obydwu wygnanek zapałały niezwykłym ogniem. Przez chwilę panowało milczenie; przerwała je Antosia.

— Czy pułkownik wspomniał co o możebności naszego udziału w tem przedsięwzięciu?

— Nie, sądzę jednak, że niemiałby nic przeciwko temu.

— Mylisz się pan; pułkownik obrachował niezawodnie, że trudy wyprawy przechodzą siły kobiece. Być może, że zgodziłby się w końcu. Ależ czy my mamy prawo stawać się ciężarem i biorąc udział, nie tylko nie pomagać, lecz być kulą u nóg waszych i krępować swobodę ruchów?

— A ja — odezwała się Róża — nie obawiałabym się niczego i czuję, że wszelkim trudom podołałabym.

— Różo, moja jedyna przyjaciółko, ja czuję, że się nie mylisz. Ty masz odpowiednie siły, nie wahaj się, idź i bądź wolna!

— A ty?

— Ja zostanę. Serce moje rwie się do Polski; o, jakżebym była szczęśliwa, gdybym mogła odetchnąć wonią jej pól, zobaczyć jej lasy i jej ludzi! Ale to nad moje siły! Czuję, że i tu się na coś przydać mogę — ale ty idź — idź moja najmilsza!

Róża porwała się z ławki, cała zapłoniona od oburzenia.

— I to ty , Antosiu, tak mało mnie znasz, że możesz przypuszczać, że jabym ciebie samą tutaj zostawić mogła? że serce moje nie pękłoby od bólu rozstając się? Nie! ty niedobra dziewczyno tak nie

myślisz! Tak nie powinnaś myśleć! i domawiając te słowa wybuchła głośnym płaczem.

Antosia zarzuciła swoje białe ramiona na jej szyję i ocierając jej łzy pocałunkami, rzekła:

— Uspokój się ty niegodziwy wąsalu. Nie myślałam tak i nie myślę, bo znam twoją przyjaźń i wierzę w nią.

— Z tobą zawsze — aż do śmierci! — odrzekła Róża, gniotąc ją w swoich objęciach.

Nastąpiło długie milczenie. Wszyscy czuli powagę chwili, w której się trzeba rozłączyć i zburzyć ten nowy światek, który sobie zbudowali w małem kółku i rzucić się w awanturnicze przedsięwzięcie.

Róży po odejściu Luboradzkiego, dziwne myśli zaczęły napływać do głowy. W jej pojęciu, wyprawa ta, nie przedstawiała się tak groźnie, czuła, że wszelkim trudom potrafiłaby podołać, a mierząc siły innych na miarę swoją, była przekonana, że i Antosia by im podołała. Zrodziło się więc w niej słabe podejrzenie, że tu mogą być inne przyczyny jej rezygnacyi. Nagle, niespodziewana jasność zrodziła się w jej głowie. Zdało jej się, że być może, książę Bebutow wpływa znacznie na to postanowienie. Oburzyła się i nie dając nic po sobie poznać, zaczęła śledzić bacznie każdą wizytę księcia i przysłuchiwać się rozmowom.

Huta szklana tymczasem rokowała ogromne zyski. Trudno było z nią coś zrobić i uregulawać jakoś cały interes. Teraz żal się zrobił obydwom wspólnikom rzucać dzieło, do którego włożyli tyle

pracy, zużyli energii i które tak świetne miało widoki powodzenia.

— Wiesz Antek, że ja przywiązałem się do tej naszej fabryki i tęskno mi będzie ją porzucić.

— Czyż myśl, że poświęcamy ją dla zobaczenia Ojczyzny, nie wynagrodzi nam wszystkiego?

— Mylisz się chłopaku kochany. My nie powracamy do Ojczyzny. Tam wstęp dotąd jest nam zamknięty. My zmieniamy tylko miejsce wygnania i tylko zamieniamy Wschód na Zachód.

— Znam to i nad tem nieraz rozmyślałem, i przypuszczam nawet, że na Zachodzie Europy, nie potrafimy wywalczyć sobie takiego dobrobytu jak tu mamy — i że być może, czeka nas tam nędza straszna — ale myśl, że tam odbywa się praca dla Polski wśród emigracyi, że tam można być czemś użytecznym, gdy tymczasem tutaj wegetujemy jak pasożyty; myśl ta, to przekonanie, nakazuje nam nie wahać się ani chwili, a iść tam, gdzie nakazuje powinność.

— Czyż byś przypuszczał, że ja się waham? Ani na chwilę nie wyrzekłem się i nie wyrzeknę naszego planu; objawiłem ci tylko chwilowy stan mojej duszy, ale ten w niczem nie wpływa na nasze postanowienie.

— Trzeba jednak zrobić jakiś porządek z tą fabryką, a najlepiej sprzedać ją.

— To niemożebne; zwróciłoby to uwagę wszystkich i podałoby nas w podejrzenie.

— Więc jak postąpimy?

— Myślałem nad tem długo — rzekł Weber. Przedewszystkiem trzeba nam zgromadzić pienię-

dzy, ile się da najwięcej, a fabrykę oddać Juryńskiemu, który rzeczywiście był naszym aniołem opiekuńczym i swoimi wpływami utrwalał jej byt.

— Nie mam nic przeciwko temu — lecz jak upozorować przed nim ten projekt?

Antoś zamyślił się i rzekł:

— Że to jest człowiek w całem tego słowa znaczeniu honorowy, nie możemy wątpić — że nie zdradziłby nas, gdybyśmy mu odkryli nasz zamiar o to niema obawy i może byłoby najlepiej z nim tak postąpić.

— Ale zapominasz, że tajemnica nie jest naszą własnością. Nie wolno nam ani słowa z nikim o tem mówić.

— Masz zupełną racyę. Musimy więc opuścić w oznaczonym dniu fabrykę niespodzianie, cichaczem, a w ostatniej już chwili opuszczenia Aleksandrowska, napiszemy do niego list, w którym będziemy go prosić, żeby objął zarząd fabryki na jakiś czas, gdyż my dla słabości nagłej, na którąśmy zapadli, zaraz wrócić nie możemy. Być może, że on się domyśli prawdy, ale o niego jestem spokojny, a zresztą gdy on list odbierze, my już będziemy daleko.

Obydwaj zgodzili się na wykonanie tego planu.

Nastąpił kwiecień. Natura jeszcze drzemała, ale pęczki brzozy, już się zaczęły czerwienić i sosenki pod modrzewiami modrzeć. W końcu kwietnia przypadły święta Wielkanocne, postanowili te dni przepędzić w towarzystwie wygnanek i podzielić się staropolskim zwyczajem święconem jajkiem,

które rozumie się, w braku księdza, sami pokropili święconą wodą, także przez nich poświęconą pierwej.

W Wielką Niedzielę, Bebutow także przybył w gościnę do kobiet. Zastawszy Webera i Luboradzkiego, wszczął rozmowę o ich fabryce. Unosił się nad ich wytrwałą pracą i zapewniał, że to nie może zostać bez wpływu na ich losy, że rząd, dowiedziawszy się o tem, być może, powróci im wolność.

Chłopaki niczem nie zdradzili swoich planów i opuszczając chatę gościnną Snarskiej, silnym tylko uściskiem ręki, dali znać, że to ostatnie pożegnanie.

— Kiedy? — zapytała szeptem, gdy na chwilę wyszedł Bebutow.

— Wkrótce — żegnajcie panie.

— Bóg z wami!

Jeszcze jeden uścisk ręki i ludzi spojonych przyjaźnią, jak liście drzewa wiatr rozwiał po ziemi szerokiej.

Nadszedł dzień 13-go maja — był to ostatni dzień, który mieli spędzić w Szyłce. Łódź była już przygotowana do drogi, resztę podróży mieli odbyć lądem, wynajmując konie i przybyć podług umowy 14-go wieczór do Wysockiego.

Ostatni raz obeszli swoją fabrykę, w którą włożyli tyle pracy, pożegnali się z każdym kątem i powróciwszy do domu, zasiedli około samowara, mając wypić ostatnią herbatę pod swoim dachem.

Niespodzianie drzwi się otworzyły i najpier-

wej wskoczył Filar, radośnie skomląc u ich nóg, a za nim wszedł pan jego, doktor Szokalski.

Obydwaj robili sobie tajemnie wyrzuty, że się nie pożegnali z czcigodnym człowiekiem, teraz więc przybycie jego sprawiło im wielką radość, że będą mogli dopełnić tego obowiązku.

Szokalski był jeszcze chmurniejszy niż zwykle. Bladość policzków i gorączkowy wyraz ócz pokazywały wewnętrzny ogień gorejący w piersi. — Wszedł, nie mówiąc ani słowa, usiadł milczący na podanej sobie ławce i oparłszy jednę rękę na lasce, a drugą na głowie łaszącego się Filara, zapomniał widocznie gdzie się znajduje i popadł w głęboką zadumę.

Stan taki już od dłuższego czasu się objawiający nie był nowością dla gospodarzy. Melancholia coraz większe robiła postępy.

Weber, chcąc przerwać milczenie, zbliżył się do samowaru i nalawszy szklankę herbaty, podał ją doktorowi, prosząc, żeby się napił.

Szokalski wziął szklankę do ręki, podniósł ją do ust i w pół drogi zatrzymał nieruchomo, nie zwracając na to uwagi.

Chłopcy spojrzeli po sobie i smutne myśli nasuwały im się.

Ręka pomału opuszczała się ku ziemi, szklanka w niej trzymana drżała i lada chwila groziła upadkiem. Filar, bacznie wpatrujący się w oczy swojego pana, podniósł się, oparł obydwie łapy na jego kolanach i zaskomlił cicho. Doktor oprzytomniał, postawił szklankę na stoliku i głosem cichym, wychodzącym jakby z pod ziemi, rzekł:

— Przyszedłem się pożegnać z wami.

Ździwienie wyryło się na twarzach obydwóch słuchaczów. Pożegnać? Skąd on może wiedzieć o naszym planie ucieczki? Myśl, że się czemś zdradzili, opanowała ich i zaniepokoiła.

Trudno było wypytywać o szczegóły chorego człowieka, tem bardziej, że spokojni byli, co do zachowania przez niego tajemnicy.

— A więc pożegnamy się serdecznie, czcigodny mężu, nie zobaczymy się zapewne więcej — rzekł Luboradzki.

Doktor wyciągnął rękę, uścisnął nią po kolei obydwóch i powstawszy zabierał się do odejścia.

— Nie chce nas widocznie wypytywać o szczegóły wyprawy, co za delikatność z jego strony.

— Bądźcie zawsze wierni świętej sprawie i wspomnijcie czasem starego przyjaciela.

— Nigdy nie zapomnimy o tem, bo w sercach naszych jest wyryty na zawsze twój obraz.

— Chcę wam jednak zostawić po sobie pamiątkę trwalszą. Mój Filar znudził mnie już. Weź go Hilary i opiekuj się nim.

— Cóż znowu! — zawołał Weber. Darowujesz mi doktorze Filara, twego jedynego przyjaciela? Na to się nie mogę zgodzić.

— Zrobiłbyś mi wielką przykrość, gdybyś odmówił przyjęcia tej odemnie pamiątki — a zresztą inaczej być nie może, ja tak chcę.

Weber smutnie pochylił głowę na znak zgodzenia się na żądanie tego dziwaka.

— No Filar — rzekł doktor do psa, pieszczo-

tliwie go głaszcząc — nie pójdziesz już za swoim panem; zostaniesz tu mój poczciwy przyjacielu.

Pies zaskomlał cicho—dreszcz przeszedł wszystkich, — ale Szokalski uśmiechnął się i rzekł:

— Śpieszy mi się bardzo, więc odchodzę — i wskazawszy Filarowi Webera, rozkazał mu się położyć u nóg jego.

Pies posłusznie wykonał rozkaz natychmiast, nie spuszczając swego wzroku z doktora.

Szokalski, nie oglądając się, już wziął za klamkę od drzwi, gdy jeszcze raz się zwrócił i rzekł:

— Czy nie macie kul? — Czasy niebezpieczne, potrzeba mi do mojej broni.

— Nie mamy — odrzekli zdziwieni.

Usłyszawszy tę odpowiedź, Szokalski wyszedł, zostawiając Filara.

— Co to znaczy? — rzekł Luboradzki. Czy my się nie mylimy czasem?

Pies tymczasem leżący pokornie u nóg Webera drżał cały jakby go febra trzęsła, potem podniósł się, warknął groźnie i uderzył łapami we drzwi. Te, źle zamknięte, otworzyły się i pies w szalonych skokach pogonił za Szokalskim.

Doktor obejrzał się, spostrzegł nieodstępnego towarzysza, uśmiechnął się i rzekł:

— Tego się spodziewałem i na nim nie doznałem zawodu. Niech zresztą i tak będzie.

Powrócił do swojego mieszkania z Fillarem, rozniecił ogień na kominie a potem wydobył pakiet zapieczętowany i położył go na stoliku. Zbliżywszy się do kąta, wziął starą skałkową strzelbę do ręki i bacznie ją obejrzał.

— Jakże ci ludzie są niekonsekwentki w swoich myślach i czynach! Łamią sobie na próżno głowy nad rozwiązaniem zagadek życia, nad ulżeniem swojej nędzy; błądzą w zaczarowanem kole jak konie w deptaku i nie umieją znaleść końca podróży. Głupcy, nie wiedzą, że każdy punkt na deptaku życia jest zarazem początkiem i końcem koła! Prawda, Filar? Początek i koniec to dwa ogniwa łańcucha spojone z sobą, a nam się zdaje, że rozdzielone przepaścią! Prawda, mój psie? Dosyć jednego drgnienia woli, żeby wzbudzić życie lub je unicestwić. Tak mój przyjacielu; tobie się to może nie podoba, jednak tak jest. Łamałem sobie nieraz głowę, chcąc rozwiązać pytanie po co ja tu właściwie przybyłem na ziemię? Jaki cel mego istnienia? Jaka przyszłość? — No i cóż? Tyle wiem, co i ty, Filarze. — Czyż my jesteśmy tylko pionki w olbrzymiej szachownicy, lub zabawki ustawione na stoliku, któremi bawi się Stwórca w chwilach nudów? Czyż On się może nudzić i zabijać czas? Ależ czas jest nieśmiertelny, trwa bez początku i końca nigdy mieć nie będzie! A więc! A więc! Jest nieśmiertelność i ja i ty, mój Filarze istnieliśmy zawsze i zawsze istnieć będziemy. Dla czego? Na co? — On jeden wie — On, w którym skoncentrowane są wszystkie potęgi wszechświatów, wszystkie siły twórcze i niszczące! — On, który tworzy i przetwarza duchy i dąży do nieznanego nam niezrozumiałego celu. — A jednak cel ten musi być godnym jego wielkości, inaczej być nie może i my wszyscy i ty, mój Filarze, i motyl, i chrabąszcz na listku topoli, wszyscy jesteśmy materyałem tylko

dla wielkiego budowniczego przyszłości. Tak, tak, mój kochany przyjacielu — mówią i zapytują się, skąd się wzięła materya? Ależ czyliż nie rozwiązują tego pytania słowa ewangelii? „Na początku było słowo — a słowo było u Boga — a Bogiem było słowo”. — Co to znaczy?

— Na początku było słowo, to znaczy Jego wola. — On rzekł: stań się wszechświecie, przybierz kształty widome, otocz się płaszczem materyi, który da duchowi twemu nieobliczalne siły do działania, do pomagania mi w budowie gmachu, który już istnieje w mojej myśli, daje ci cząstkę mojego ducha, materyą; On cię ożywi, wyszlachetni i uczyni świadomym rolnikiem przyszłości. Nie leń się, pracuj, cierp, a gmach tymczasem wznosić się będzie. — A słowo było u Boga — to znaczy myśl Jego była świętą wolą zbudowania miliardów istnień współpracowników i uczestników jego pracy. Ono, to słowo, było Jego wolą, Ono było Bogiem.

A człowiek jakże pojmuje swoje powstanie?— Czy pojmuje? — Czy wypełnia cel swojego przeznaczenia: cierpieć i zawsze cierpieć, dla czego?— Ależ ty głupcze, zapytaj się cegiełki, którą położono u podstawy gmachu dla czego ją gniecie cały ciężar budowli a drugą jej siostrzycę umieszczono na gzymsie okna, wylakierowano i otworzono jej widoki. — Dla czego? — Bo ona nie jest celem dla budowy gmachu, a tylko środkami do jego budowy. Umieściła się więc jedna cegła umieszczona gdzieś w kanale ciemnym, a druga na balkonie gmachu. Ja byłem tą cegłą, na której ciężyła budowa — a inni przyozdabiają tylko klatki dla ptaszków po-

kojowych. — Prawda Filarze? — A ty z twoim rozumnym wzrokiem i z twojem poczciwem sercem czem byłeś? — Przyjacielem wygnańca. — Często cierpiałeś głód i zimno wraz ze swoim władcą. Czy nie prawda moje psisko? A więc — co ja wiem? — Trzeba położyć koniec temu, trzeba mój psie. Ty się zgadzasz, boś ty nędzny, jak ja, jak wszyscy głupcy.

Przez cały czas tych chorobliwych marzeń, objawianych w chaosie słów, Szokalski chodził po stancyi a Filar ani na chwilę nie spuszczał z niego swojego mądrego wzroku.

Zatrzymał się wreszcie, wziął fuzyę do ręki, obejrzał starannie, przedmuchnął ją i przekonawszy się, że zapał od panewki nie zatkany, wyjął ze stolika nową skałkę krzemienną i starannie osadził ją na kurku.

Broń w owym czasie nie była jeszcze ulepszona kapiszonami. Następnie wydobył z tego stolika zawinięte w papierek trochę prochu, wsypał więcej jak potrzeba do lufy, podniósł kawał papieru, zrobił z niego flejtuch i starannie stemplem przybił w lufie. Dopełniwszy tej czynności, zamyślił się. — Brakowało kuli lub w ostateczności śrutu, a fuzya nabita prochem nie była dostatecznem narzędziem do spełnienia jego zamiarów samobójczych.

Przez chwilę myślał przyłożyć lufę do ust i nogą poruszyć cyngiel, ale czy nabój będzie dostateczny do rozsadzenia głowy? W tej chwili przyszła mu myśl dziwnie nielogiczna i niczem nie usprawiedliwiona w formie zapytania: Jak on bę-

dzie wyglądał po śmierci, jeżeli głowa, ta korona piękności człowieka, będzie rozszarpana na strzępy — a mózg jego oblepi ściany stancyi, a ciało jego stanie się potworem obrzydzenia?

Nic go to, logicznie biorąc, nie powinno było obchodzić, a jednak ta myśl powstrzymała go na chwilę.

— Życie koncentruje się w sercu — myślał. Z niego wypływa radość i ból i serce odpowiadać winno za wszystko. Człowiek nawet w ostatniej godzinie życia nie powinien zapomnieć o pięknie i przyzwoicie się przedstawić na tamtym świecie.

Uśmiechnął się i zaczął szukać czegoś, co by mu mogło zastąpić kulę. Nic odpowiedniego nie podpadło mu pod oczy. Gdyby gdzie jaki kamyk mogący się pomieścić w lufie, ale noc już ciemna nie pozwalała wyjść i zrobić na drodze poszukiwania. Zniecierpliwiony obejrzał się jeszcze raz w około. Wzrok jego spoczął na dużym gwoździu, na którym wisiało jego ubranie. Twarz rozjaśniła się na chwilę, wyciągnął gwóźdź ze ściany i przymierzył jego główkę do lufy.

— Wybornie pasuje — mruknął — i nie namyślając się, wsunął w otwór gwóźdź łepkiem na dół a następnie przybił lekko papierem i uśmiechnął się zadowolony.

— No, bądź zdrów, Filarze, służ Weberowi i kochaj go jak mnie.

Pies wspiął się na obie łapy, które oparł na piersiach pana i lizał go po twarzy.

— Bądź zdrów, stary przyjacielu na zawsze — na zawsze! To mówiąc, usiadł na swojem łóżku, kolbę oparł na ziemię, a lufę przyłożył do piersi, w których starannie wyszukał miejsca, gdzie silnie biło serce. Jeszcze raz pogłaskał psa i ucałował, a potem poruszył cyngiel nogą. Rozległ się strzał, dym napełnił stancyę i martwe ciało męczennika przechyliło się i upadło.

Pies zawył boleśnie, rzucił się na leżące ciało i cicho skomląc pozostał bez ruchu.

Noc zapadła. Nikt nie rozświecił ognia na kominie, nikt nie otarł śmiertelnego potu z czoła, nikt nie zamknął tych szlachetnych ócz, które z takiem współczuciem patrzyły się na nędzę świata, nikt nie ucałował ręki, która tak hojnie rozrzucała dobrodziejstwa. — Ciało uległo i ziemia dopominała się o swoją własność.

Na drugi dzień dopiero spostrzeżono dokonanie strasznej tragedyi. Juryński zajął się pogrzebem i syberyjska ziemia pochłonęła w swoich wnętrzach jak wielu innych, tak i tego szlachetnego człowieka.

Ktokolwiek spojrzy na mapę Syberyi, to zobaczy, że olbrzymia powierzchnia jej zawarta pomiędzy dwoma ogromnemi rzekami Enisejąi Leną, wpływającemi do Oceanu Lodowatego, przerznięta jest wielką liczbą rzek i strumieni, a niektóre z nich mogą walczyć o pierwszeństwo z Dunajem lub Renem. — Podróż w tych stronach utrudniona jest częstymi przyborami wody, które z gwałtownym spadkiem toczą się z gór i często rozlewają się

na duże przestrzenie, tworząc obszerne stawy, które, parując, wysychają latem i zostawiają błota pełne dzikiego ptactwa wodnego. Mosty na rzekach są niedbale budowane i prawie w każdym roku zostają zniesione powodzią, więc podróżny, przybywający na miejsce, gdzie się miał znajdować most, znajduje tylko resztki jego i musi czekać dopóki na nędznym promie nie potrafi się dostać na drugi brzeg.

W oznaczony dzień wszyscy spiskowcy na umówioną godzinę stawili się w kwaterze Wysockiego. — Było ich tylko 8, ale wszyscy ożywieni nadzieją, że pod dowództwem dzielnego pułkownika osiągną cel zamierzony: Wolność!

Przywitano się tylko uściskiem ręki i zabrano przygotowane niewielkie tobołki z żywnością, składającą się z konserw i wędlin na wypadek, jeżeli gdzieś nieda się nic kupić we wsiach, które postanowili, o ile możności omijać, bo chociaż lud syberyjski obojętnie, a nawet z pewnem współczuciem odnosi się do częstych zbiegów, to przecież znajdują się wsie, które dla nagrody za ujęcie przestępcy, chwytają zbiegów.

Często bardzo zdarza się, że nieszczęśliwy wieczorem zbliża się do wsi, ale zastaje wszystkie drzwi zamknięte, bo lud nie chce się narażać na odpowiedzialność za udzieloną pomoc, ale uciekający zbliża się do okna od komory, które dziwnym trafem nie jest nigdy zamknięte. Na oknie leży bochen chleba, ser, czasem wędzonego mięsa lub ryby porcya, a niekiedy nawet paczka tytoniu. Zbieg,

nie śpiesząc się wcale, wyjmuje kuszące zapasy żywności i jeżeli to jest letnia pora udaje się w krzaki, a gdy zima, to do jakiego chlewu lub obory, spożywa, kładzie się spać i nim pierwsze promienie dnia pokażą się, rusza dalej. Dziwna rzecz, że pomimo obostrzeń policyi, przebywa ogromne przestrzenie i dopiero prawdziwe niebezpieczeństwo dla niego rozpoczyna się gdy wstąpi na ziemię europejskiej Rosyi.. — Ale są i inne wsie zaludnione przez kolonistów, po większej części Niemców, które nie solidaryzują się z temi zwyczajami. Rząd płaci za ujęcie zbiega 100 rubli, a chciwość Niemców na pieniądze przemaga i wsie takie stają się pułapkami dla nieszczęśliwych. Ale biada wsi, jeżeli zbieg przez nie ujęty, zdoła drugi raz uciec i przybliżyć się do jej zabudowań, lub jeżeli opowie towarzyszowi niedoli uciekającemu jej położenie i nazwę. Wówczas niespodzianie, bez żadnej przyczyny powstaje pożar w trzech albo czterech miejscach podłożony i ze wsi zostaje kupa tylko gruzów.

Rząd robi niby jakieś ulgi w opłacie podatków, ale asekuracye nie chcą przyjmować takich wsi do ubezpieczenia.

Wysocki znał doskonale te zwyczaje i postanowił w ogóle omijać, o ile tylko możebne, siedziby ludzkie. Są jednak takie chałupy, które jeden drugiemu uciekający wskazuje, a w których czeka nietylko chleb ale i wskazówki ostrzegające. W chałupach takich mieszkają pospolicie osiedleńcy, którzy sami przebywszy katorgę, uciekając nie raz,

nareszcie zostali zesłani na posielenie i zgodziwszy się z losem, żyją, pomagając innym.

Zadowolenie odbijało się na wszystkich twarzach, kiedy Wysocki zaprowadził ich do szopy i pakował 8 strzelb i odpowiednią ilość amunicyi.

Nowa ufność wstąpiła w serce; a chociaż pomiędzy uciekającymi było dwóch księży, którzy nigdy nie mieli nic wspólnego z użyciem broni, wzięli je i cała gromada postanowiła w razie napadu, drogo sprzedać swoje życie.

Noc ciemna zaległa wokoło, co było bardzo na rękę uciekającym. Zawieszono tłómoczki na plecach pochwycono broń i wszyscy czekali skinięcia wodza. Wysocki, również z tobołkiem na plecach i strzelbą w ręku, wysunął się na środek izby i miał dać znak do pochodu — gdy ksiądz Boguński zakaszlawszy się jak zwykle — podniósł rękę do góry i rzekł:

— Nie tak rozpoczynać powinniśmy tę podróż — mamy wszystko, co nam potrzeba na jej odbycie: żywność, broń i dzielnego dowódzcę, ale potrzeba nam jeszcze czegoś więcej, potrzeba nam jeszcze łaski i błogosławieństwa Boskiego. A więc, bracia, zanim wyruszymy i oddamy życie nasze na wolę losów, uklęknijmy i wznieśmy modły do Boga o Jego pomoc, bo bez niej najmędrsze plany udać się nie mogą.

Nikt nie oponował, wszyscy padli na kolana i pogrążyli się w cichej, serdecznej modlitwie, a kiedy nareszcie została ukończona, Boguński powstał, a na twarzy jego odbiło się zachwycenie. Dał

znak, że wszystko gotowe do drogi — a wygnańcy wychodząc i nie obawiając się nikogo, gdyż chata była oddalona, śmiało zanucili, jak gdyby byli wśród swoich:

— Kto się w opiekę podda Panu swemu itd.

Pieśń rozległa się głośno, echa jej nawet odbiły się gdzieś w górach, zawtórowało jej gdzieś szczekanie psa i mała garstka zanurzyła się w wąwozy.

Postanowiono pierwszej nocy odbyć forsowny marsz, żeby jak można najdalej oddalić się od Aleksandrowska. Grobowe milczenie panowało wśród pielgrzymów i kiedy niekiedy dał się słyszeć cichy głos kaszlu wydobywający się z piersi księdza Boguńskiego.

Noc majowa jest krótka, jednak w ciągu jej przebyto przeszło 40 wiorst. Droga była dosyć znośna i nie stanowiła przeszkód. Kiedy dzień zaczął się robić, znaleźli się u wejścia zarośniętego wąwozu tarkami, leszczyną i innymi krzewami; po obydwóch stronach wąwozu wznosiły się urwiska góry.

— Odpoczniemy! — zakomenderował Wysocki. Torby na ziemię, jedną łapą trzymać dubeltówki a drugą łamać chleb i spożywać go.

— No, księże Boguński, jak się jegomość czuje na siłach? — zapytał major Malczewski.

— Nadzwyczaj dobrze; zdaje się mnie, że wyszedłem na przechadzkę i nie czuję żadnego zmęczenia.

— A wy, chłopaki — zwracając się do Kownackiego, Antosia i Hilarego.

— Cóż znowu! Czyżbyś przypuszczał majorze, że możemy czuć utrudzenie? To spacer tylko!

— Oby tak było ciągle — rzekł ks. Kroczewski.

Pomimo zapewnień młodzieńców, że są nieutrudzeni, po posiłku uczuli oni chęć drzemki i oczy im się zaczęły kleić, ale Wysocki powstał i rzuciwszy swój tłómoczek na ramiona, zakomenderował:

— Wstawać, w pochód! Tu za blisko jeszcze Aleksandrowska; trzeba jak najprędzej opuścić te strony—dodał, jakby tłómacząc się.

— Raźno porwali się wszyscy na nogi. Boguński zakaszlał znowu. Major spojrzał okiem dowódzcy po komendzie, a Kasperski nic nie mówiąc, uśmiechnął się niemiłem jakiemś skrzywieniem ust.

Wysocki rozkazał zniszczyć ślady odpoczynku w tem miejscu, spalić stare papiery, które się poniewierały po opróżnieniu pakietów, zebrać parę kości ogryzionych i przykryć je piaskiem. Dnem wąwozu sączył się po kamieniach mały strumyk, szemrząc. Na skręcie strumyka mignęło coś szarego: wszyscy zatrzymali się w miejscu i niespodziewanie zobaczyli prześliczną sarnę zbliżającą się do wody. Jej czarne, duże, łzawe oczy spojrzały na ludzi, ale nie okazując żadnego przestrachu, przyklękła na brzegu strumienia i zaspokoiła pragnienie.

Weber w mgnieniu oka pochwycił broń i miał zamiar strzelić, lecz w tejże chwili spostrzegł groźny wzrok pułkownika i podniesiony palec do góry, nakazujący milczenie. Zawstydził się swego nie-

wczesnego zapału a sarna, napiwszy się, podniosła głowę, spojrzała po gromadce zbiegów i wesoło zrobiwszy w górę elastyczny skok znikła wśród zarośli.

Dalszy pochód odbywał się w milczeniu, tem bardziej, że szli wązkiem łożyskiem strumienia a postępować musieli w szeregu jeden za drugim.

Maszerowano bez przerwy do 3ej godziny popołudniu. Wąwóz się skończył i odkrywała się płaszczyzna, a na niej, w oddaleniu może jednej wiorsty, widać było dymy z kominów dużej wsi.

Przebywać płaszczyzny wśród białego dnia, w bliskiem sąsiedztwie wioski nie było bezpiecznie. Pułkownik więc rozkazał swojej komendzie cofnąć się o kilkaset kroków napowrót w wąwóz i tu, odpoczywając, doczekać się nocy.

Z radością wszyscy usłyszeli tę komendę.

Wynaleziono gąszcz krzaków i zanurzywszy się w nim, pozrzucali ciążące im już tobołki i ułożyli się do snu. Kiedy jednak wszyscy już spoczywali, niespodziewanie ksiądz Kroczewski porwał się na nogi i zawołał:

— Żmija! czy widzicie?

Rzeczywiście o kilkanaście kroków na powalonym pniu przewróconego drzewa wylegała się ku słońcu lśniąca gadzina, delektując się ciepłem dnia.

Wszyscy spojrzeli wzruszeni, lecz major Malczewski uśmiechnął się i zbliżając się ku gadzinie, rzekł:

— To tylko wąż syberyjski, wcale nieszkodliwy i nie macie potrzeby go się obawiać.

Wąż, widząc zbliżającego się człowieka, zesunął się z pnia i skrył się pod jego korzeniami.

Wypadek ten, jakkolwiek nie pociągający za sobą żadnych złych skutków, nakazywał ostrożność i pułkownik rzekł:

— Zaprowadzimy wartę w czasie naszych spoczynków. Na ten raz ja zajmę pierwszą placówkę, a wy śpijcie spokojnie.

Wkrótce rozległo się chrapanie całej gromadki.

Miejsce wybrane na spoczynek, znajdujące się blisko wody miłym chłodem nęciło do siebie, ale gdy się już słońce obniżyło, miliardy komarów zaczęły wyprawiać taki koncert muzyki, brzęcząc i cisnąć się do oczów, że wszyscy, jakby na komendę podnieśli się i gotowali do drogi. Trzeba jednak było jeszcze zatrzymać się z jaką godzinę, czekając zmierzchu, żeby się przesunąć niewidzialnie obok dużej wsi.

— Wciórności nadali taką drogę! — zaklął Kasperski, opędzając się komarom.

Major Malczewski spojrzał nań i groźnie zmarszczył swoją twarz.

— Cierpliwości! mój bracie — rzekł, kaszląc ksiądz Boguński. Wszystko się przetrzyma, do wszystkiego się człowiek przyzwyczai.

Kasperski roześmiał się pod nosem i nic nie rzekł.

Ruszono nareszcie dalej. Po dniu nadzwyczaj parnym, zanosiło się na deszcz. Koło wsi przesunięto się szczęśliwie; pies jakiś zaszczekał na jej końcu, odezwało się rżenie konia na pastwisku i wszystko umilkło. Zapuszczono się znowu w lasy

mało wydeptaną ścieżką. Wysocki przed wyruszeniem w pochód, wyjął mapkę, przejrzał ją dokładnie i przekonawszy się, że jest na właściwej drodze, schował zadowolony.

Postępowano wśród ciemności, ale ścieżka, wijąc się nad strumykiem, nie pozwalała zbłądzić. Około północy kilka kropel grubego deszczu upadło na znużone czoła podróżnych; zanosiło się na burzę a o schronieniu przed deszczem nie można było marzyć.

Śpieszono się, ale ksiądz Boguński, który dotąd postępował jako trzeci w szeregu, zaczął się opóźniać i wkrótce znalazł się na samym końcu pochodu.

— A co, ustajesz kochany księże? — zapytał major.

— To nic, chwilowe osłabienie, niedługo przejdzie.

Ale kaszel zaczął się coraz częściej odzywać a tymczasem deszcz zaczął lać z taką siłą jak gdyby kto wylewał upustami wodę.

Wszyscy czekali w milczeniu, co rozkaże Wysocki.

— Nie mamy się co namyślać, — rzekł pułkownik. Ulewa taka jak prędko napłynęła tak i prędko przejdzie; odetchniemy trochę pod tem drzewem, powietrze się ochłodzi i ruszymy dalej.

Ulewa trwała rzeczywiście nie więcej jak godzinę, ale skutki jej pokazały się gorsze jak przypuszczano. Potoki wody z gór zaczęły spływać gwałtownie do strumienia, obok którego postępowali. Strumyk, przed godziną nic nie znacząca wstą-

żeczka wody, zaczął się raptem pienić, rozszerzać, wzbierać i zabierać brzegi koło siebie. Ścieżka, którą postępowali, zniknęła zalana i trzeba było iść bez niej. Nie było jednak innej rady. Po jakich dwóch godzinach pochodu, deszcz, który zdawało się, że już zupełnie ustał, zaczął mżyć drobnemi kropelkami i chociaż słońce zaczęło już wschodzić, skryło się napowrót za chmury, a deszcz, tak zwany kapuśniaczek ani na chwilę nie ustawał. Znaleźli się nareszcie pod występującą skałą, która mogła jaką taką dać zasłonę.

Siadać na ziemi wilgotnej nikt nie miał ochoty, tylko jeden ksiądz Boguński, napróżno walcząc z utrudzeniem obsunął się na ziemię i usiadł pod pniem drzewa.

— Nieustanne dreszcze wstrząsają mojem ciałem — rzekł po chwili, żeby tylko nie chciała się przyplątać febra.

— Nie przeczekamy tego deszczu — rzekł Kownacki, który jako zawodowy myśliwy znał zmiany niepogody. To się zaniosło na trzydniówkę.

— I ja tak myślę — potwierdził major Malczewski.

— A więc jeżeli tak, to nie mamy celu tutaj się zatrzymywać — rzekł Wysocki. Dalej dzieci w drogę, a pamiętać o flintach, żeby nie zamokły; pookrywać kurki szczelnie, czem kto może.

Ubrania były już przemoknięte a z kapeluszy zciekały co chwila pasemka wody na ramiona. Kiedy miano już ruszyć, pokazało się, że ksiądz Boguński nie jest w stanie sam podnieść się. Dopomożono mu, odebrano tobołki i flintę, ale osłabienie

było tak widoczne, że Hilary i Antoś pochwycili go pod ramiona i prowadzili ledwie mogącego powłóczyć nogi.

— Paroksyzm przejdzie wkrótce — rzekł dobrotliwie, uśmiechając się. Nie długo będziecie się męczyć podpierając mnie.

Nie stało się jednak tak, jak prorokował. Paroksyzm febry wprawdzie przeszedł, ale rozszerzyła się gorączka, nieznośny ból głowy i brak sił coraz większy.

— To nam nie w porę przypadło — rzekł Wysocki do majora. Ta niespodziana choroba może nam bardzo utrudnić pochód.

Major nic nie odpowiedział, ale Kasperski rzekł:

— Byłem przeciwny zabieraniu w tak męczącą drogę człowieka tak osłabionego, ale stało się. Może zresztą skończy się na jednym paroksyźmie.

Wydobyto się znowu na obszerną łąkę, która sięgała aż po brzegi rzeki Angory — ale cała jej powierzchnia była okryta kałużami wody, które co chwilę przy nieustającym deszczu powiększały się, tworząc jakoby jeziora. Nad samym brzegiem rzeki rosły duże modrzewie i buki, a ona wśród nich snuła się wstęgą, w tej chwili pokrytą tumanami mgły. W tem miejscu na rzece powinien być most, przez który koniecznie przedostać się trzeba było. Do rzeki nie było więcej jak dwie wiorsty, które potrzeba było przebyć po rozmiękłej łące. W dali na wzgórzu, widać było wieś. Przeprawę przez Angorę nie można było odbywać w dzień, żeby nie zwrócić uwagi, więc postanowiono doczekać się nocy.

Wysocki rozejrzawszy się dokładnie na około, spostrzegł kilka dużych stogów siana, stojących wśród łąki. Rozjaśnił twarz i rzekł wesoło do towarzyszy:

— Królewski odpoczynek wam obmyśliłem, przyjaciele! Widzicie te stogi, dostaniemy się do nich, zakopiemy w sianie i doczekamy nocy.

Brnąc często po kolana w wodzie, zbliżano się do stogów, stojących na suchem miejscu i rozlokowano obozem. Suche siano było wybornym materyałem dla wszystkich a szczególniej dla księdza.

Kiedy cała kompania zaczęła odpoczywać, pułkownik odezwał się:

— W tem miejscu widać poza rzeką wijącą się w górze drogę. Tam powinien być most, przez który się przeprawimy w nocy. Kto pójdzie no ochotnika przekonać się o tem?

Luboradzki nie namyślając się ani chwili, powstał.

— Ja idę.

— Dobrze, idź synu — rzekł Wysocki, ale unikaj o ile można spotkania z ludźmi i przynieś nam wiadomości.

Antoś postawił broń, bo ta, w razie spotkania, mogła go podać w podejrzenie i puścił się w drogę. Tymczasem towarzysze zapakowawszy się w siano, spoczywali; ksiądz Boguński popadł w sen.

Po upływie jakich 3 godzin powrócił Luboradzki.

— No, co? — zapytał Wysocki.

— Źle pułkowniku, most zabrała woda, ślady

tylko jego pozostały, a nie widać żadnej łodzi, któràby można zużytkować.

— Czy dokładnie się o tem przekonałeś? — zapytał zasępiając się pułkownik.

— Byłem na samym brzegu, wszystko obejrzałem i przynoszę wiadomości najpewniejsze.

— W takim razie musimy zbudować tratwę.— Drzewa rosną nad samą rzeką, więc zetniemy je jak tylko wieczór nastąpi. Dobrze, że nie zapomniałem zabrać dwóch toporów.

Major Malczewski potrząsnął głową i odrzekł:

— To bardzo trudne zadanie, a nawet powiem, że wprost niemożebne do wypełnienia. Przypuśćmy, że zetniemy modrzewie, robiąc nadludzkie wysiłki, przyciągniemy je do rzeki, zbijemy tratwę i spuścimy na wodę — ale drzewo surowe i mokre nie będzie płynąć a zanurzy się z nami. Przytem, czy jest chociaż jeden w pośród nas, coby się umiał obchodzić z tratwą na tak wzburzonej wodzie? Uważam to za niemożebne, pułkowniku.

Wszyscy słuchali tej mowy z największą uwagą i podzielali poglądy majora.

— W takim razie musimy iść brzegiem rzeki dalej i szukać na niej jakiego innego mostu — rzekł ksiądz Kroczewski.

— Który w tych stronach może się znajdować o jakie 500 wiorst — rzekł, uśmiechając się Malczewski.

— Więc co robić? Nie widzę innego sposobu — niecierpliwiąc się, rzekł pułkownik.

Teraz podniósł się z pod stogu, dotąd nie odzywający się Kasperski.

— Nie ma się o co frasować, ja znam te strony i tę wioskę, co się wznosi na wzgórzu, a nawet mam dwóch znajomych w niej chłopów gospodarzy. Chłopi ci mają łodzie i gdy im dobrze zapłacimy z ochotą nas przewiozą na drugi brzeg.

— Ależ to bardzo niebezpieczne udawać się do wsi i tym sposobem zdradzać nasz pobyt — rzekł Kownacki.

— Nie znacie panowie chłopów moskiewskich — odparł Kasperski. Te kanalie za rubla sprzedaliby rodzoną matkę! Jeżeli więc zgodzimy się z nimi, iż im zapłacimy większą sumę jak rząd płaci za schwytanie zbiega, to nam dopomogą.

Major Malczewski odezwał się:

— Rząd za nas ośmiu po 100 rubli rachując od jednego wypłaciłby im 800 rubli. Przecież my im takiej sumy dać nie możemy.

Kasperski uśmiechnął się i odrzekł:

— Rząd przeznacza 100 rubli za schwytanie zbiega, ale okoliczni chłopi dobrze wiedzą, że z tej sumy cztery piąte zostaje rozkradzione przez czynowników, a chłopu zaledwie dostaje się 10 rubli. Gdy zobaczą możność większego zarobku, nie będą się wahać; ja znam ich jak tęczę.

Naradzano się jeszcze chwilę, ale nic lepszego nie potrafiono wymyślić—dano więc Kasperskiemu 100 rubli i wyprawiono go do wsi.

— Ten człowiek mi się niepodoba — rzekł major. Plan jego za ryzykowny.

— Ale niema innego — musimy go więc przyjąć.

Tymczasem ksiądz Boguński popadł w silną gorączkę; bredził we śnie wyrazy bez znaczenia i widoczne było, że choroba rozwija się w całej swojej potędze.

Po upływie kilku godzin zobaczono trzy postacie zbliżające się do stogów od wsi. Pomiędzy niemi rozpoznano z daleka Kasperskiego.

Dwóch towarzyszących Kasperskiemu kacapów, odzianych w płócienne sukmany, w łapciach łykowych na nogach i futrzanych czapkach przybyło z nim razem.

Fizyognomie ich nie wzbudzały zaufania, ale wzrok pokorny i pozdrowienie w imię Chrystusa, miały pewne uspakajające znaczenie.

— Przyprowadziłem dwóch gospodarzy — odezwał się Kasperski. Umówiłem się z nimi i gdy zmrok zapadnie, oni, z ogromną łodzią, którą mają, podejmują się przewieść nas na drugą stronę rzeki.

— Boh z wami! A ilu was jest?

—Ośmiu!

— Tak dacie 80 rubli to was przewieziemy. a jak dodacie jeszcze 20 na setkę, to wam przywieziemy i żywności na kilka dni.

Ugoda stanęła bardzo prędko. Dano chłopom 50 rubli zadatku, a drugie obiecano wypłacić przy wsiadaniu na łódź.

— A wy broń macie?

— Mamy wszyscy, ale dlaczego się o to pytacie?

— No tak, czybyście się bronili w razie czego?

— Nie oddalibyśmy się żywcem nigdy.

— No, bądźcie zdrowi — rzekł wyższy chłop. Jak zmrok zacznie zapadać, bądźcie w tej kępie drzew nad rzeką a tam i my się znajdziemy z naszą łodzią.

Oddalili się.

Zbiegi popadli w zadumę, ale Kasperski tak umiał rozpędzić wszelkie powątpiewania ich, że wkrótce zupełna ufność wstąpiła w serca nieszczęśliwych.

Nastąpił zmrok, drobny deszcz nie przestawał ani na chwilę padać. Zanosiło się na noc ciemną a wiatr wschodni kłębił bałwany rzeki.

Ksiądz Boguński nie był w stanie o własnych siłach ani kroku postąpić, więc zrobiono nosze i położywszy go na nich, niesiono.

Przybyto nareszcie do kępy zarośli wskazanej przez chłopów i ku wielkiej wszystkich radości spostrzeżono przy samym brzegu ogromną łódź, a w niej dwóch znajomych ludzi.

Nie tracąc ani chwili czasu wniesiono ks. Boguńskiego, ułożono go o ile można było wygodnie i wskoczono do łodzi. Lina, przytrzymująca łódź natychmiast została odwiązana i statek z 10 ludźmi zaczął się kołysać na falach rzeki.

Grobowe milczenie zapanowało.

Nie widać było przeciwnego brzegu i podróżni zupełnie nie mogli się zoryentować w położeniu. Łódź rzucana bałwanami wzburzonej wody, zdawała się płynąć nadzwyczaj szybko.

W dwie godziny od chwili gdy puścili się na wodę, łódź silnie uderzyła o brzeg i zatrzymała się.

— Wysiadać panowie — odezwał się jeden z chłopów.

— Chwała Bogu, jesteśmy nareszcie na drugiej stronie Angory — odezwał się któryś z uciekających.

— Wynieść ostrożnie Boguńskiego — zakomenderował Wysocki.

Kilka silnych rąk pochwyciło chorego i wyniosło na brzeg — i w tejże chwili łódź, jakby pchnięta sprężyną odbiła od lądu, ale na niej stało trzech ludzi! Trzecim był Kasperski opuszczający ich.

— Co to jest? — zawołał żdziwiony Wysocki. Ktoś został na łodzi, nie zdążył wyskoczyć.

— Zdradził nas Kasperski — rzekł zimno major.

W tej chwili z łodzi odpływającej rozległ się śmiech szyderczy.

Są wyrazy, które jak mordecza trucizna na końcu sztyletu, uderzają w serce samym swoim brzmieniem, paraliżują jego ruchy i zadają śmierć; są inne, które wzbudzają bezgraniczną pogardę, ale żadnego niema, któryby sprawił większe cierpienia jak judaszowski czyn zdrady. Jest to najwyrafinowańsza tortura dla szlachetnych, stracenie wiary w zacność przyjaciela, któremu się wierzyło bezgranicznie.

— Gdzie się schronić?

Zatrzymano się na chwilę pod rozłożystym bukiem, którego liście stanowiły jakby olbrzymi parasol.

Kiedy ten grom w postaci wyrazu zdrada dał

się słyszeć, wszystkich przeniknęło obrzydzenie i boleść nie mająca miary i końca.

Więc znalazł się pomiędzy Polakami taki, który zaprzedał swoich braci! — Dlaczego nie? Jeżeli pomiędzy 12-tu apostołami był Judasz, dlaczego pomiędzy 8-miu bohaterami nie miał się znaleść Kasperski. Ludzie są zawsze i wszędzie ludźmi, raz w nich bierze górę pierwiastek Boży i człowieka zamienia w anioła — drugi raz przeważa błoto ziemskich namiętności i zjawiają się szatany.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał major Malczewski. Czy na przeciwnym, czy na tym samym brzegu?

— Opatrzyć broń i podsypać prochu na panewki — zakomenderował pułkownik.

Sześciu ich tylko, włączając dowódcę, gotowych było spełnić rozkaz, gdyż ks. Boguński leżał bezprzytomny.

Zaczęto się rozpatrywać w położeniu, lecz ku wielkiemu wszystkich ździwieniu, pokazało się, że są otoczeni ze wszystkich stron wodą, że po prostu znajdowali się na małej wysepce wśród ogromnej rzeki, zamknięci w pułapce, z której wydostać się niepodobieństwem było. Z jednej strony szeroka Angora nie pozwalała nawet dojrzeć brzegu, z drugiej węższa struga wody, ale zawsze mająca około 50 łokci szerokości, a nurt jej ściśnięty między dwoma brzegami przedstawiał głębię.

Na obydwóch stronach wyspy panowała zupełna cisza, ale kiedy pierwsze brzaski dnia po krótkiej majowej nocy zaczęły się pokazywać, cienie

jakieś ruchome zaczęły się zjawiać na bliższym brzegu a wkrótce usłyszano i głosy ludzkie.

Na brzegu pojawiło się kilkudziesięciu chłopów, stanowiących obławę pod dowództwem starszyzny. Niektórzy z nich mieli tylko broń palną, inni uzbrojeni byli w pałki dębowe, siekiery lub widły, a za nimi widać było zbliżające się kobiety i dzieciaki.

— Tu zginiemy a nie poddamy się — rzekł pułkownik, obracając się do swoich towarzyszy.

Wszyscy odpowiedzieli jednogłośnie:

— Zgoda! Zgoda!

Tymczasem zrobiło się już jasno. Starszyna, stary, poważny chłop z wielką, ryżą brodą, stojąc nad samym brzegiem, zawołał:

— Hej! wy Polaki! buntowniki, popadli w pułapkę, a to i będzie bieda z wami! Poddajcie się!

— Odstąpcie dobrzy ludzie i nie przeszkadzajcie biednym ucieczki. My wam żadnej krzywdy nie zrobili, więc dlaczego macie nas prowadzić na stracenie? — odezwał się ksiądz Kroczewski.

Śmiech dał się słyszeć na brzegu i jednocześnie rozległy się dwa strzały. Jeden z nich trafił w rękę pułkownika Wysockiego, z której mu wypadła strzelba.

— Poddajcie się i na kolana! — wołał starszyna.

Jednocześnie zmierzył i wypalił, drugi raz. Kula zerwała kapelusz z głowy Luboradzkiemu.

Starszyna nie zdążył drugi raz nabić, gdy Antoś złożył się i pociągnął cyngiel. Strzał rozległ się i starszyna padł przeszyty kulą.

Zrobił się zamęt pomiędzy gromadą, która na kilkanaście kroków cofnęła się wstecz, ale chwilę tylko trwało przerażenie, tem bardziej, że więcej strzałów z wyspy nie odzywało się. Podniesiono starszynę, który mając przestrzelone ramię, żył jednak.

Kobiety, stojące na brzegu zaczęły wygrażać pięściami i rzucać obelgi. Nie ośmielono jednak zbliżyć się do wyspy. Zrobiono naradę — rozstawiono warty i wysłano posłańców po Kozaków.

Dwóch chorych teraz i ucieczka Kasperskiego zmniejszyły waleczny oddział do pięciu ludzi. Komendę nad nimi zdał Wysocki majorowi Malczewskiemu.

Trudne było zadanie bardzo. Myśleć o walce w takich warunkach, było to samobójstwem prawie. Otoczeni naokoło wodą, zostając pod czujnem okiem kilkunastu chłopów, których liczba coraz się zwiększała, nie mogli marzyć o wydobyciu się z łapki, w którą popadli.

Minęło południe — zbliżał się wieczór, a gromada na brzegu nie przedsiębrała żadnych kroków zaczepnych, czekając na wojskową pomoc.

Pokazał się nareszcie oddział Kozaków, śpieszących, ile sił starczyło, na pomoc oblegającym. Oddział prowadził młody oficer.

Chłopi otoczyli przybyłego i zaczęli opowiadać i chwalić się jeden przez drugiego; przyprowadzono i rannego starszynę.

— To polityczni? — zapytał.

— Tak, wasze błagorodje.

— Ilu ich jest? — zapytał się oficer nie zwracając uwagi na ich gadanie.

— Siedmiu tylko a pomiędzy nimi jeden ciężko chory — odezwał się za nim głos jakiś.

Oficer obejrzał się i spostrzegłszy mówiącego doń, zapytał:

— Ty kto taki?

— Ja był między nimi, ale ja ich wprowadziłem w tę pułapkę i oddałem władzy, ja Kasperski.

Oczy oficera zaiskrzyły się gniewnie — splunął z pogardą i zapytał:

— Tak, ty posileniec? towarzysz ich?

— Tak, panie kapitanie.

— Aresztować go! W powrozy go!

W jednej chwili Kasperski został przez przybyłych Kozaków związany za ręce, a gdy chciał stawiać jakiś mały opór, tak silnie kolbą pistoletu został uderzony w mordę, że ze krwią razem wypłynął ząb biały.

Tymczasem zmrok już zaczął zapadać. Oficer skinął ręką na gromadkę, żeby odstąpiła na bok a sam się zbliżył do brzegu ze swoimi Kozakami i zawołał:

— Słuchajcie zbiegi!

— Słyszymy — odpowiedziano z wyspy.

— Poddajcie się, boć sami widziecie, że szaleństwem jest rozpoczynać walkę.

— A czy nam kapitanie zapewnisz, że motłoch nie napadnie na nas i nie będzie się pastwić nad nami? — zapytał Malczewski.

— Słowem oficerskiem ręczę za to. Poddajecie się mnie a nie tej swołoczy.

Zbiegi już przyszli do przekonania, że inaczej postąpić nie mogą i postanowili się poddać.

— Kto wy jesteście? Wymieńcie swoje stopnie.

— Jeden pułkownik, jeden major, dwóch księży i trzech cywilnych Polaków.

— I z tą armią chcieliście wydać wojnę Rosyi? Biedni wy! — No, zdajcie się.

— Poddajemy się na słowo twoje oficerskie kozackie, lecz prosimy o opiekę dla chorych.

— Będą ją mieli. Rzućcie broń i odstąpcie od niej o kilkanaście kroków.

Ze ściśnionem sercem wykonano ten surowy rozkaz.

Tymczasem trzy duże łodzie odbiły od brzegu, a w każdej z nich siedziało po kilku Kozaków, trzymając odwiedzione kurki pistoletów.

Oficer pozostał na brzegu nie pozwalając chłopom brać udziału w wyprawie.

Tymczasem zrobiło się już ciemno, a deszcz na nowo zaczął padać. Przeniesieono chorego księdza Boguńskiego, podprowadzono rannego pułkownika Wysockiego i rozdzielono partyę na dwie łodzie. Jedna już odbiła od wyspy, gdy tymczasem druga miała ją naśladować. Nagle rozległ się plusk i człowiek wpadł do wody.

— Hilary! — krzyknął rozpaczliwie Luboradzki i chciał go naśladować, czy śpieszyć na ratunek, ale silne ramiona Kozaków powstrzymały go.

Topielec raz jeden pokazał się z wody, ale szybki nurt rzeki uniósł go i wkrótce znikł wśród ciemności.

— Może mu i lepiej teraz będzie — szepnął major Malczewski.

— Wieczny odpoczynek — wyrzekł Kownacki i przeżegnał go pobożnie.

Z całej więc nieszczęśliwie rozpoczętej wyprawy dostało się tylko sześciu do niewoli. Oficer kozacki spojrzał i smutnie się uśmiechnął, kazał czterem zdrowym związać ręce, a dla Wysockiego rannego i księdza Boguńskiego dostawić podwodę i ułożyć ich na niej.

Bezczelny Kasperski sądził, że teraz kiedy jego zdrada została uwieńczona tak korzystnym rezultatem, ma prawo do jakiejś nagrody i względności.

Śmiałym więc głosem, prawie impertynencko odezwał się po rosyjsku do oficera:

— No, panie kapitanie, kiedyż skończy się ta komedya. Proszę mi kazać rozwiązać ręce, taże ja nie myślę wcale uciekać.

— Małczaj suki syn!

— Ja będę się skarżył wyższym władzom!

Na te słowa oficer skinął na podoficera i krzyknął:

— Nahajką go! Przywiązać postronek do konia i prowadzić bacznie. W jednej chwili wypełnioro rozkaz dowódcy.

— Masz zdrajco nagrodę! — odezwał się Luboradzki.

Chłopom rozkazano się rozejść obiecując wypłacić nagrodę a więźnie pod eskortą Kozaków puścili się w pochód.

* * *

Upłynęło kilka miesięcy od opowiedzianych wypadków. Pochwyconych wygnańców odstawiono do Nerczyńska i rozpoczął się na nimi sąd wojenny. — Sąd przeciągał się w nieskończoność, a tymczasem nieszczęśliwi, zamknięci w jednej celi wilgotnej, oczekiwali wyroku z niecierpliwością.

Żadne światełko nadziei nie przedzierało się do ich serc zbolałych. Znając barbarzyńskie prawa wiedzieli co ich czeka, wiedzieli, że śmierć męczeńska pod pałkami, ostatecznym jest rezultatem.—

Pułkownik Wysocki ponury, milczący, upokorzony zawodem, który go spotkał, odpowiedzialnością moralną, jaką wziął na siebie względem towarzyszy, nie przestawał jednak budować nowych mostów ucieczki. Inni z poddaniem chrześcijańskiem oczekiwali spełnienia swojego losu.

Jednego wieczoru dozorca więzienny, Tatar, który odznaczał się udaną surowością, wręczył małą karteczkę Luboradzkiemu i śpiesznie się oddalił. Antoś rozwinął karteczkę, przeczytał ją i nie wierząc swoim oczom podał ją księdzu Boguńskiemu.

— Od kogo- — zapytał, odbierając ją.

— Od Hilarego!

— Co- od tego, który w oczach naszych się utopił? — zawołał ks. Boguński.

— Nie utopił się, kiedy do nas pisze — odrzekł Antoś.

— Wielki jest Bóg i niepojęte sprawy jego — rzekł, podnocząc oczy do nieba ks. Boguński.

— Co pisze? — Gdzie jest?

— Wydobył się szczęśliwie z nurtów Angory i po kilku dniach błąkania wśród gór napotkał herberyzującego Juryńskiego. Ten przygarnął go i zapewniwszy, że o ucieczce jego z huty władze nic nie wiedzą i że może bezpiecznie powrócić, sprowadził go napowrót do fabryki. Przyczaił się i dotąd nikt go nie zaczepił i nie posądził o współudział. Teraz prosi, żebyśmy go nie wydali, iż brał udział w ucieczec i obiecuje nam pomoc. Każe nie tracić nadziei... a oprócz tego donosi o tragicznej śmierci dr. Szokalskiego i cieszy się, że odnalazł wygłodzonego Filara, ostatniego towarzysza samobójcy. Wziął go do siebie, a pies przywiązał się do niego i u nóg jego przepędza każdą chwilę.

— Każe nie tracić nadziei!... — powtórzył smutnie major. — Nadziei czego? — nowej próby ucieczki? — nowego zawodu? — nowych kar?

— Przedewszystkiem list trzeba natychmiast zniszczyć i podwoić ostrożność, jeżeli się kartuje ku polepszeniu naszego losu.

Spalono list, ale odtąd dozorca dostarczał im papieru i ołówka, którego swobodnie używali w korespondencyi.

Weber przygotował ucieczkę i zapewnił, że przy pomocy potężnej osoby, której nie wymieniał ale której łatwo się można było domyśleć w osobie księcia Bebótowa, uda mu się plan przeprowadzić.

Jakie to nowe plany? na czem oparte, nic nie wiedzieli, przypuszczali jednak, że Juryński nie jest im obcy i mając olbrzymie stosunki z Chinami tamtędy zamyśla ich przeprowadzić.

Nadzieja swobody ożywiła wygnańców i wpłynęła dodatnio nawet na rozstrojone zdrowie księdza Boguńskiego. We wszystkie piersi wstąpiła nowa ufność w powodzenie.

Widoczne było, że potężne wpływy działają na ich korzyść. Rozmaite ulgi zaprowadzono w więzieniu i wydano wyrok nareszcie bardzo łaskawy jak na tamtejsze stosunki i przesłano do zatwierdzenia do Petersburga. Czas płynął nudnie, jednostajnie, ale jakieś światełko błyszczało w dali.

Cieszono się — gdy w tem jak grom z pogodnego nieba, spadła bumaga z Petersburga, kasująca wyrok i nakazująca śledztwo szczegółowe.

Ileż w tych dwu słowach niewinnych mieści się grozy! barbarzyństwa! — Jest to wskazówka władzom, że litość, że chrześcijańskie miłosierdzie, powinny być wymazane z wyroku i to ma być jedyną nicią przewodnią postępowania.

Władze nerczyńskie sądownicze i więzienne zaniepokoiły się. Była to wyraźna wymówka Petersburga przyganiająca ich łagodność, a na stwierdzenie tego zjechał z Petersburga prokurator i nowi członkowie sądu.

Alarm powstał ogromny wśród czynownictwa, które niekoniecznie ulegało dobrym popędom serca, a więcej wpływom pieniężnym księcia Bebutowa i Juryńskiego, którzy nie przestawali się kręcić w Nerczyńsku.

Nieszczęście chciało, że właśnie Tatar, przez którego odbywała się korespondencya pomiędzy Weberem a więźniami, w dniu przybycia nowej komisyi miał doręczyć nową kartkę Luboradzkiemu.

Wlepił ją więc w kromkę chleba przyniesioną i przyniósł z żywnością właśnie w tej chwili, w której prokurator znajdował się w celi więziennej. Prokurator był człowiek humanitarny na rosyjski sposób. Mógł żądać śmierci męczeńskiej na więźnia, ale czuł się w obowiązku spróbować strawy podawanej więźniom, czy jest zdrowa i smaczna. Wiedzą o tem kucharze i zarząd więzienny i dla tego w chwilach takich gotuje się obiad i zupa tak nazwana „smatrowaja piszcza", zupa dla pokazania oglądającym. Zwykle prokurator chwali pokarm i oddala się zadowolony. Gdy wniesiono na misce dla więźniów kawały pokrajanego chleba, prokurator wziął jeden, rozłamał go i o zgrozo! w kawałku chleba znajdowała sę karteczka zapisana papieru.

Co za tryumf dla prokuratora podobne odkrycie!

Tylko przybył na miejsce, zaledwie pojawił się i zaraz przysłużył się rządowi, odkrywszy niebezpieczne knowania. Jakiego wysokiego orderu mógł się spodziewać!

W jednej chwili zmieniło się wszystko. Drzwi kazał szczelnie zamknąć, zaaresztowano wielu ze służby więziennej, zaaresztowano też i Webera i tajne sieci rozciągnięto nad Bebutowem, do którego jednak nie można było się przyczepić, nie mając żadnych danych obciążających, a książę, znając dobrze czynownictwa rosyjskie, nie żałował pieniędzy, przegrywając je w karty.

Śledztwo ciągnęło się na nowo, tym samym porządkiem co i poprzednie.

* * *

Dnia jednego dosyć późnym już wieczorem, Bebutow wszedł do chaty zajmowanej przez wygnanki. Od chwili poznania ich częstym bywał tam gościem i przepędzał długie chwile na rozmowach. Obydwie wygnanki pracowały ciągle, szyjąc ubrania dla posieleńców — ale czuły, że za mały to jest teren ich pracy; większego jednak pola działania niepodobieństwem było sobie stworzyć. Bebutow przypatrywał się temu chrześcijańskiemu poddaniu niewiast i robił tajemnicze w Petersburgu starania o uwolnienie ich, a szacunek jego dla nich z każdym dniem wzrastał, że pomimo wszelkich nalegań nic przyjąć od niego nie chciały, co mogłoby służyć im na ich wyłączną korzyść.

To dziecko wschodu, z gorącem sercem, pełne dumy i gorących porywów, osamotnione teraz, w godzinach marzeń oddawało się nadziei, że potrafi pozyskać miłość córki Lechistanu, uprowadzić ją do swego pałacu i u nóg jej przepędzić resztę życia. Dziwna to jednak była natura, ten syn gorących pustyni, zdolny do najgwałtowniejszego czynu, który dotąd traktował miłość jako tylko chwile rozkoszy zmysłowej, a kobiety uważał za piękny mebel zdobiący salony. Wobec Antosi stał się nieśmiały, on, którego bezwzględne obejście się z kobietami w Petersburgu, wyróżniało z tłumu eleganckiej młodzieży, dla którego wszystkie salony były otwarte, on, wobec Antosi stawał się trwożliwy jak żak szkolny! Więcej słuchał ją w milczeniu, jak sam się odzywał a nigdy jednem słowem nie zdradził uczuć, palących się w jego piersi. A jednak

łudził się nadzieją, że kiedyś połączy się z nią i pójdzie ręka w rękę w drogę życia.

A Antosia!? — Jakże daleka była w podzieleniu jego pragnień. Widziała w nim człowieka szlachetnego, gorące serce, zdolne do wielkicch czynów — człowieka, któremu dużo winna wdzięczności — ale myśl, żeby kiedyś mogła mu podać swoją rękę i połączyć węzłem ściślejszym z ręką, która broczyła się we krwi polskiej (tak jej się zdawało) przejmowała ją taką trwogą, że nigdy jej rozwielmożnić się nie pozwoliła; a Róża, która ją znała doskonale, nie żywiła żadnych obaw podobnej katastrofy.

Wieczora tego Bebutow wszedłszy do pokoju, po przywitaniu się krótkiem, usiadł milczący i pogrążył się w zadumę.

— Co kniaziu jesteś taki zamyślony — nie dobre jakieś przynosisz wieści? — zapytała Antosia.

Bebutow podniósł głowę i smutnie spojrzawszy na pytającą, odrzekł:

— Dwojakiego rodzaju przynoszę wieści. Jedne pełne grozy i oburzenia — a drugie opromienione widokami szczęśliwej zmiany; które mam pierwej powiedzieć?

Na te słowa Antosia zarumieniła się na chwilę, ale natychmiast twarz jej pokryła się bladością i uzbrajając się w męztwo, rzekła:

— Mów książe to najpierwej, co boli, a potem, jeżeli można, połóż balsam pociechy.

— A więc powracam z Nerczyńska, gdzie byłem świadkiem barbarzyństwa, jakie porównane być tylko może z potwornymi czynami Nerona! Byłem świadkiem egzekucyi nad męczennikami Pol-

ski, nad bohaterami narodu, do którego pani należysz. Drżę cały z oburzenia i wzgardy lubo wszystko, co w mocy człowieka jest, zrobiłem, żeby im ulżyć i mam nadzieję, że znacznie się przyczyniłem do ocalenia ich życia. Nie mogę jednak, nie mogę wypowiedzieć, co za uczucia palą się w mej piersi.

Na te słowa Antosia, blada jak marmurowa statua, podniosła się, wyciągnęła rękę do niego i cichym ale stanowczym głosem rzekła:

— Mów książę! Na miłość Boga, nie trzymaj mnie na torturach.

— Słuchaj więc nieszczęśliwa córko wielkiego narodu, cierp, ale i bądź dumna, że w tobie płynie ta sama krew, że żyjesz dla tych samych ideałów, że cierpisz z nimi i że razem opromieniają cię promienie ich sławy. — Tak, pani — mówił dalej książę, widząc zadziwienie na twarzy słuchaczki. Nie cofam mojego wyrażenia, promienie sławy otaczają tych męczenników tem świetlejsze, im więcej trudów i boleści sprowadziły. Zwyciężać na polu walki wrogów — nie znaczy już osiągnąć najwyższy stopień zasługi, ale zwyciężać na polu poświęcenia i męczeństwa, jest to zdobywać koronę nieśmiertelnej zasługi. Mścić się to rzecz ludzka, ale cierpieć cierpliwie męczarnie dla ludu swego to rzecz aniołów! A dziś ci męczennicy zdobyli właśnie to stanowisko niedoścignione dla zwyczajnych ludzi. — Umilkł silnie wzruszony.

— Mów, mów książę szczegóły — wyszeptała Antosia. —

— Oto ojcowski wyrok sądu zatwierdzonego w Petersburgu, rozkazał pułkownika Wysockiego przepędzić przez 1,000 rózg, księdza Boguńskiego przez 500, toż samo Antosia Luboradzkiego i majora Malczewskiego, ale najsurowiej postąpiono względem Webera, gdyż jego skazano na knuty na szafocie.

Wyrok był nieodwołany i natychmiast wypełnić go polecono. — Użyłem wszystkich środków, jakimi rozporządzałem: złota, próśb i obietnic, ażeby uczynić karę możebną do wytrzymania. — Trzeba pani wiedzieć, że przepisy rządowe, to komedya dla Europy bardzo liberalna. Istnieją tylko na papierze i nikt ich nie wykonywa. Tym razem oddały nam wielką usługę, bo jeden z urzędników wyszukał reskrypt jeszcze humanitarnej cesarzowej Katarzyny, w którym szczegółowo jest opisane postępowanie w czasie egzekucyi. Otóż reskrypt ten mówi: „nie wolno używać grubszych prętów do bicia, jak tylko takich których trzy zmieści się w lufę karabinową; nie wolno żołnierzowi trzymającemu pręt nachylać się w czasie zamachu i ma wymierzać razy stojąc prosto; nie wolno wysuwać nogi naprzód; nie wolno bić po głowie i twarzy, a szeregi mają być tak ustawione, że żołnierz końcem tylko pręta może dosięgać skazańca. Oprócz tego, doktor ma prawo po obejrzeniu każdego delikwenta, czy zdrowie jego nie ucierpi (co za ironia nikczemna) jeżeli całą porcyę kary razem wytrzyma, a w przeciwnym razie doktor może rozłożyć karę na kilka porcyi". — Poznałem się z oficerem dowodzącym oddziałem żołnierzy egzekucyj-

nych. Ten odczytał sołdatom przed frontem, czego się nigdy zwykle nie czyni, przepisy, zalecając surowe ich dopełnienie. Zrozumieli to biedni żołnierze i razy ich nie były straszne. — A więc cały batalion złożony z 1000 ludzi ustawiono we dwa szeregi — przyprowadzono więźniów, rozebrano ich do koszuli, przywiązano ręce do karabinowej kolby, a za lufę pochwyciło dwóch podoficerów mających prowadzić więźniów. Na wypadek, gdyby który przewrócił się i nie mógł dalej postępować, przygotowano wózek na dwóch nizkich kołach, który miał służyć do wiezienia delikwentów i dopomódz do spełnienia wyroku. Wysockiego rozkazano bić obydwom szeregom, a innych skazanych na 500 rózg tylko jednemu szeregowi. Zgromadziła się starszyzna, ale ludu okolicznego było mało. Wyróżniał się pośród niego Archip znany męczennik i naśladowca Chrystusa. Ten stał bliżej i w ręku swoim podnosił krzyż do góry i błogosławił nim. — Adjutant odczytał wyrok głosem niepewnym; rozległa się komenda, odezwały się bębny i zaczął się straszliwy pochód. Wysocki postępował najpierwszy. Głowa dumnie wzniesiona do góry, a wyraz twarzy zdawał się urągać katom. Milczał, ani jeden jęk nie wydobył się z jego piersi. Ksiądz Boguński, zaledwie powłóczył nogami i po kilkunastu krokach, śpiewając psalmy, przewrócił się i resztę kary otrzymał wleczony na wózku. — Inni mężnie przenosili męczarnie, a nasz ulubieniec, Antoś Luboradzki, wyrazem twarzy i uśmiechem pełnym wzgardy, tak rozirytował katów, że właściwie on jeden był bity z całą zapalczywością. Przy o-

statnich razach i on nie wytrzymał, przewrócił się i resztę razów otrzymał, leżąc na ziemi. — Teraz nastąpić miał ostatni akt krwawej tragedyi, katowanie oddzielne Webera. — Na boku wzniesione było oddzielne rusztowanie, utworzone z desek. Na niem stał kat z dwoma pomocnikami czerwono ubranymi. Rota żołnierzy uformowana w czworobok, otaczała rusztowanie, a pod niem, na boku, w koszuli tylko, stał męczennik przeznaczony na tortury. Łaskawy wyrok skazywał go tylko na 10 knutów — ale czy pani wiesz, co to jest knut? — Nie było nigdy wypadku, żeby ktoś przetrzymał taką liczbę i nie skonał — bo knut, jest to bat, złożony z pięciu kanciastych rzemieni z wołowej skóry, prażonych w oleju i ogniu i twardych z kantami tak ostrymi, jak noże a na końcu każdego rzemienia jest zaszyta nasiekiwana żelazna kula wielkości orzecha włoskiego, a na samym końcu stalowy hak wyostrzony. — Kiedy pletnia taka zaświszczy w powietrzu i pięć rzemieni, pięć żmij jadowitych spadnie na plecy męczennika, pięć żeber zostaje złamanych, a pięć kawałków mięsa wydarte i jak krwawe płaty zawieszone na hakach. Krew broczy strumieniami, a drugie uderzenia łamie resztę żeber i otwiera się jama, w której można widzieć wnętrzności i poruszające się serce. — Po piątym knucie męczennik już nie cierpi, bo duch opuścił ciało i pozostał tylko trup. — Księdzu jakiemuś pozwolono towarzyszyć Weberowi w tej ostatniej chwili. Stałem niedaleko, och, gdybym mógł był się rzucić na nich na czele moich braci górali! — i patrzałem na nieszczęśliwego bezradny.

Weber zdawał się mało słuchać pociech, jakie mu zapewne szeptał ksiądz. Stał rozrzewniony, ruchami swymi zdradzał niecierpliwość. Lecz bacznie się przypatrywał scenie, która się odbywała w jego oczach. Chłosty towarzyszów, zdawało się, że każdy raz, spadający na plecy nieszczęśliwych, odczuwał na swojem ciele. Dla zwiększenia jego cierpliwości rozkazano mu patrzeć na to wstrętne widowisko. Widowisko skończyło się, skatowanych więźni wzięli żołnierze i odnieśli do lazaretu. — Teraz miała się odbyć egzekucya Webera. Wszystkie oczy zwróciły się ku szafotowi i z niecierpliwością zdawały się oczekiwać końca. — Niespodzianie zrobił się jakiś ruch wśród czworoboku żołnierzy i pomiędzy szeregami ich przecisnął się duży pies. Uderzony kolbą, nie zważał na to, zaskomlał tylko smutnie i wdarł się na szafot. Poznałem go. — Był to Filar, przyjaciel doktora Szokalskiego i jedyny świadek jego śmierci. Pies trzymał coś w pysku i w kilku skokach znalazł się u nóg Webera. W tejże chwili, ku powszechnemu zadziwieniu wszystkich, postronki, krępujące ręce więźnia opadły, a on szybkim ruchem błyskawicy pochwycił przedmiot przyniesiony przez Filara. Odrzucił futerał i wydobywszy sztylet, zatopił go w swojej piersi. — Padł na szafocie, a Filar zawył z cicha i położył się obok zesztywniałego ciała. Egzekucya tym sposobem została przerwana. — Podniesiono ciało młodzieńca, zjawił się doktor i oświadczył mi w sekrecie, że rana nie jest śmiertelna i że jest nadzieja ocalenia go. Pierwszym moim czynem było dopilnować, żeby spisano protokół, że fakt stał się

już po odcierpieniu kary i choroba była tylko skutkiem bicia knutem. Udało mi się, i Weber, jeżeli przyjdzie do zdrowia wolny już będzie od kary. — Zrobiłem, co tylko mogłem.

Kobiety słuchały w milczeniu opowiadania tego strasznego dramatu. Antosia zrezygnowana jak anioł boleści, a wzrok podniesiony ku niebu pokazywał, że w tej chwili gorąca modlitwa jej unosi się do nóg Chrystusa i błaga Go o miłosierdzie. Róża, cała w płomieniach, podniosła się, uchwyciła poręcz krzesła i drewno w jej ręku pękło przełamane — i zaledwie jeden wyraz była zdolna wyrzucić z swej piersi:

— Nikczemnicy!

Antosia podniosła się, zbliżyła się do Bebutowa, wyciągnęła rękę i cichym, zaledwie dosłyszalnym głosem wyszeptała:

— Dzięki ci, szlachetny człowieku!

Po chwili jednak zapytała:

— Jak się to jednak wszystko stać mogło?

— Posiadam klucz, który otwiera najtajniejsze kryjówki, zwycięża wszystko i tryumfuje zawsze. Rozporządzam kopalniami złota.

— A więc?

— A więc kat był przekupiony i powróz krępujący ręce więźnia zaczepiony tylko lekko. — Weber miał niespodzianie zeskoczyć z szafotu, zanurzyć się w tłum i dosiąść przygotowanego konia. Inaczej jednak zrządziły okoliczności. Zjawił się niespodzianie Filar, który mu przyniósł sztylet. — Kto go wyprawił z tem strasznem posłannictwem? Podejrzywałem o to tylko Juryńskiego, bo ja w

tem nie miałem żadnego udziału, ale umiałem skorzystać z okoliczności. Protokół odbycia kary podpisany jest przez doktora i oficera, a reszta pójdzie już łatwo. Niech tylko młodzieniec przyjdzie do zdrowia, a tymczasem... — mówił teraz książę — wytorturowawszy panią mojemi wiadomościami złemi, pragnę jej udzielić balsamu na te rany.

Antosia uśmiechnęła się smutnie i pytający wzrok obróciła na mówiącego.

— Jesteście panie wolne — rzekł książę. — Dziś odebrałem zawiadomienie z Petersburga i dziś jeszcze urzędownie o tem wiadomości nie będzie.

Na te słowa twarze obydwóch kobiet zapłoniły się na chwilę. Wolność zjawiła się niespodziewanie! One o niej marzyły całe dnie, całe noce! Więc mogą jeszcze ujrzeć Polskę, odetchnąć jej powietrzem, usłyszeć dźwięk rodzinnej mowy i może powitać dawno opuszczone drogie osoby? — Matka jednak Antosi już nie żyła, tęsknota i choroba zabiły ją. Do kogo miała powracać? Czy tylko do grobu Juliusza, żeby zmówić modlitwę na jego mogile? Błysk radości pomału zeszedł z twarzy kobiet i jakaś smutna zaduma rozlała się na licach.

Książę z uwagą wielką wpatrywał się w twarz dziewczęcia, parę razy już otwierał usta, chcąc coś powiedzieć, ale jakaś siła wewnętrzna przeszkadzała mu i onieśmielała.

— Czy będę mogła — zapytała się Antosia — udać się do Nerczyńska i pielęgnować skatowanych więźniów?

— Sądzę, że się to da z łatwością zrobić.

A więc, Różo, nie tracąc chwili, udajmy się do Nerczyńska a tam w lazarecie może się na coś przydamy.

Książę spojrzał zdumiony.

— A do Polski nie udajecie się?

— Polska dla nas tam jest, gdzie cierpią nasi — odrzekła dziewczyna.

Książę z uszanowaniem schylił głowę na piersi i nic nie mówiąc więcej, oddalił się.

* * *

Lazaret w Nerczyńsku stanowiło kilka dużych pokoi. Białe wybielone ściany kazamat, zapach chlorku połączony ze stęchlizną wilgoci, powietrze przesycone miazmatami różnych chorób, dusiło każdego, kto tylko przestąpił progi tego przybytku nędzy.

Chorzy, bez żadnej uwagi na rodzaj choroby, długimi rzędami pomieszczeni, spoczywali na pryczach pokrytych cienko wysłaną słomą, ze słomianemi poduszkami. Wielu z nich miało na rękach i nogach kajdany. Przy samem wejściu stała duża kadź drewniana, obrzydliwie cuchnąca, do której zlewano nieczystości nagromadzone w czasie nocy, a którą codziennie mniej chorzy mieli obowiązek obczyszczać.

Nad każdym tapczanem przybita była deseczka, na której przylepiona karteczka wskazywała nazwisko chorego i rodzaj choroby. Często jednak zdarzało się, że trzeci, albo czwarty pacyent leżał już na łóżku dręczony inną chorobą, a karteczka nie zmieniała się.

Felczerzy, do których należał ten obowiązek, prawie ciągle pijani, nie mieli czasu poświęcać się w spełnianiu obowiązków. Zresztą któż tam dbał o zdrowie zbrodniarzy tak politycznych jak i zwyczajnych?

Formom i przepisom uczyniono zadość: był szpital i felczerzy... Czegóż więcej można było wymagać od humanitarnego rządu?

Prawo zna tylko jeden wyraz, jedno określenie przestępstwa: „skazaniec", a mniejsza o to, czy to jest podpalacz, ojcobójca, czy szlachetny syn ujarzmionego kraju, stawający w obronie praw ludzkości.

Obydwie kobiety uzyskały pozwolenie pielęgnowania chorych. Pierwszy widok, jaki im się przedstawił, był tak straszny, że mógł zachwiać odwagę najodważniejszego serca. W chwili właśnie, gdy wchodziły we drzwi szpitala, spotkały w samym rogu dwóch posługaczy szpitalnych, wynoszących umarłego. Nie przykryty niczem, podtrzymany przez jednego posługacza za kark, a drugiego za nogi, leżał sztywny, milczący, groźny. Nikt nie potrudził się zamknąć mu oczy. Wzrok jego, nieruchomy, zdawał się z pogardą spoglądać po ścianach więzienia i twarzach towarzyszy. Był to starzec wychudły, żółty, pół ogolonej głowy, a druga połowa pokryta była białym włosem.

Antosi i Róży, które natknęły się na ten wstrętny orszak, zdawało się, że twarz umarłego drgnęła i że oko poruszyło się. Być może, że to było przywidzenie, ale może, że i rzeczywistość, bo często, bardzo nawet często, zdarzały się wypadki, że fel-

czer spojrzawszy na konającego, nie chcąc zadawać sobie fatygi i drugi raz oglądać, wpisywał go na listę umarłych i kazał wynosić do trupiarni jeszcze żywego człowieka.

A gdy raz ktoś zwrócił na to uwagę, że chory jeszcze żyje, felczer z całą powagą odpowiedział:

— To nic nie szkodzi, on tam dojdzie. Czego ma zajmować miejsce innym?

Doktor jeden najczęściej nie miał czasu sam się przekonać, a zresztą na co by się to zdało? On tam i tak „dojdzie" — a parę godzin wcześniej, czy później, wszystko jedno. A zresztą śmierć skazańca jest tylko wyzwoleniem.

Wszyscy więźniowie ze spisku Wysockiego, ukarani rózgami, pomieszczeni byli w jednej sali. Antosia i Róża, wszedłszy do tego przybytku, całe drżące, znalazły ich tam lepiej, aniżeli przypuszczały.

Wysocki i Malczewski, ludzie dojrzali wiekiem, umieli bohatersko, milcząc, znosić skutki krwawego wyroku. Ciała ich były skatowane i poranione, a duchy ich hardo spoglądały na świat i jego sprawy. Ksiądz Boguński, zatopiony w modlitwie, spokojem swym zdawał się urągać katom, a Weber i Luboradzki pogrążeni w silnej gorączce, majaczyli i jakieś niewyraźne słowa wychodziły z ich ust przez spieczone wargi.

Na obydwóch łóżkach przybite były kartki a na nich napisane były słowa: „Tyfus". Stan ich przedstawiał się bardzo groźnie. Doktor, wizytujący właśnie chorych, zawołał felczerów i oznajmił im, że obydwie panie upoważnione są do pielę-

gnowania chorych i zalecił im w niczem się nie sprzeciwiać ich czynnościom.

— Tu macie panie wypadki dużego tyfusu — mówił. — Nie radzę narażać się, bo to choroba zaraźliwa — a zresztą róbcie panie jak się wam podoba.

Wysocki z uwagą przypatrywał się przybyłym kobietom.

— Kto one? Po co przyszły? Czy to jest tylko komedya filantropii? Ale widząc, że kobiety nie wahając się, zbliżyły się do łoży Webera i Luboradzkiego i podtrzymując ich głowy zadawały im lekarstwa, wilżyły octem chustki, okrywając czoła i z całą troskliwością matek czuwających nad chorem dziecięciem spełniają obowiązki swoje, zamyślony wyszeptał:

— To muszą być Polki! Inaczej być nie może, tak, niezawodnie Polki...

Luboradzki ciągle wzywał matki. Jej imię było na jego ustach ciągle. Bezprzytomny, zrywał się i trzeba było siłą przymuszać go do pozostania w łóżku.

Poradziła sobie łatwo na to Róża. Usiadła przy łóżku i ani na chwilę nie spuszczając z uwagi chorego, przeszkadzała atakom szału. — Antosia tymczasem zbliżyła się do Wysockiego i zapytała:

— A tobie, pułkowniku, czy nie mogę być w czemś pożyteczną?

— My starzy i zahartowani — odezwał się major Malczewski. — Wytrzymałą mamy skórę; jedną nam ściągną, to druga porośnie i odnowi się.

— Pielęgnujcie tych młodzieńców — rzekł Wysocki. W nich przyszła nadzieja kraju, w nich nasze siły przyszłości, a słabe to jak kurczęta.

— Kto panie jesteście? — zapytał nagle Wysocki. Skąd tu wzięłyście się w tem piekle?

— Jesteśmy jak i wy zesłane a obecnie uwolnione wygnanki — Polki.

— Uwolnione! — i nie śpieszycie się uciec z tego piekła męczarni?

— Śpieszymy właśnie do niego! Może nasze prace osłodzą jakie cierpienia, obetrą łzę jedną, to dla nas już będzie nagroda.

— Cześć wam szlachetne! — wyszeptał ks. Boguński.

Kobiety oddawały się z całą duszą przyjętym na siebie obowiązkom, całe dnie, całe noce, przepędzały w szpitalu, pielęgnując chorych i nie robiąc żadnej różnicy w niesieniu pomocy, rodakom, czy Moskalom, więźniom politycznym, lub pospolitym zbrodniarzom.

Felczerzy z początku podejrzliwem okiem spoglądali na tych nieproszonych intruzów, szyderczo się uśmiechając i lekceważyli ich wezwania — ale tu energiczny charakter Róży zwyciężył, ona głosem dowódczy oświadczyła im, że zaniosą skargę do doktora, jeżeli będą lekceważyć jego przepisy i nie spełniać je regularnie.

Zdarzyło się bowiem, że doktor rozkazał przy wieczornej wizycie jednemu z więźniów, ciężko choremu na zapalenie płuc postawić bańki nasiekane. Pan felczer, żydek z kantonistów, był właśnie tego

wieczora zaproszony na jakąś bibkę koleżańską, po wyjściu więc doktora, nie zważając na polecenie jego, wdział czapkę, zapalił cygaro i pogwizdując wyszedł z sali szpitalnej na całą noc. — Chory tymczasem, co łatwo można było przewidzieć, oddał Bogu ducha i rano, kiedy pojawił się pijany jeszcze felczer, był już ostygłym trupem. Trochę zafrasowało to nędznika, przypomniał sobie polecenie doktora i zrodziła się mu myśl, że te nienawistne Polki mogą go skarżyć, iż nie postawił baniek w swoim czasie. Wynieść trupa do trupiarni, było rzeczą łatwą, ale mogła przyjść doktorowi ochota sprawdzić czy bańki były postawione! Trzeba było temu zaradzić! Zanim więc usunięto zmarłego do trupiarni, felczer w obecności innych chorych, nieboszczykowi już sztywnemu porobił nacięcia na ciele, jako dowód wypełnienia polecenia.

Wstrętna ta czynność tak oburzyła Antosię, że głośno oświadczyła, iż powiadomi o tem doktora.

Felczer wytrzeźwiał nagle. Z początku coś hardo odpowiedział, ale rozwaga wzięła górę, przestrach ogarnął go i zaczął się tłómaczyć, że postawienie baniek nic a nic nie pomogłoby choremu, że zwyczaj ten bardzo często się praktykuje — ale kiedy Antosia na te wszystkie przedstawienia okazała się głuchą — nagle zmienił swoją postać, zaczął błagać i prosić o milczenie, zaprzysiągł się na Spasa i na Mojżesza, że więcej podobnego czynu się nie dopuści. Antosia dała się zmiękczyć i przyrzekła milczeć, bo zresztą nic by to już nie pomogło zmarłemu, a poprawa felczera mogła być prawdziwa.

Odtąd zmieniły się stosunki w szpitalu. Chorzy doznawali większej opieki; regularnie zadawano im przepisane lekarstwa, zmieniano bieliznę, niektórym zdjęto kajdany i doktor, który z początku bardzo sztywnie trzymał się od nieproszonych opiekunek, pomału zmienił swoje usposobienie, i nie tylko uwzględniał każdą ich prośbę, ale zalecił służbie wykonywać ich rozkazy.

Kiedy Antosia ze swoją nieodstępną towarzyszką, białą turkawką na ramieniu, zbliżyła się do łoża chorych — ptaszyna trzepotała skrzydełkami i gruchotała jakby przemawiała do nich i niejedno oblicze zasępione rozjaśniło się, bo tym ludziom, pozbawionym drobnostek, uprzyjemniających życie, pozbawionym wszelkich nadziei, wśród ponurych ścian kazamaty, stęchlizny murów — każdy promyk słońca, wdzierający się przez zakratowane okna, każdy powiew wiatru przynoszący jakąś woń ze świata, każdy świergot ptaszyny był zbytkiem rozkoszy i uweseleniem.

Mniej chorzy śledzili każdy ruch białego ptaszęcia, wabili go do siebie i kiedy turkawka usiadła czasem na łożu więźnia, cieszyli się tem, i wróżyli sobie z tego lepszą przyszłość. Kobiety, oprócz pielęgnowania chorych przynosiły im ze świata świeże kwiaty w które tak bogata jest ziemia Syberyjska.

Więźnie, którzy w czasie wolności nie zwracali wcale uwagi na tych duchowych braci i obojętnie deptali je, teraz, przykuci niemocą do łoża cierpień, delektowali się ich wonią, cieszyli i kochali je. Ileż to drobne usługi mogą przyczynić szczęścia nie-

szczęśliwemu, jeżeli je dyktuje serce i spełnia ręka miłosierdzia! Zaledwie upłynęło parę tygodni a obydwie pielęgniarki stały się celem ubóstwiania, promieniami spokoju i otuchą nadziei.

Często kilka słów rzuconych od niechcenia, zapytanie o rodzinę, o wieś rodzinną, o matkę lub żonę wzbudzało rozrzewnienie zatwardziałego zbrodniarza. Łza nieraz zabłysła w oku, bo człowiek, chociażby najwięcej upadł i zezwierzęcił się, zawsze przechowuje w piersiach swoich tę iskrę Bożą, tę cząsteczkę Jego wielkości nieśmiertelnej, która przy sprzyjających okolicznościach roznieca się i pokazuje drogę do zmartwychwstania.

Duch człowieka, będąc cząstką Boga, nie może nigdy spodlić się do tego stopnia, żeby zatracił w sobie wszelkie znamiona swojego pochodzenia. On, ten sprawiedliwy sędzia, dając człowiekowi wolną wolę czynu, a tym sposobem otwierając mu drogę zasług i wkładając nań odpowiedzialność — wie o tem, że ciało człowieka jest narażone na tysiące pokus, na tysiące popchnięć do przepaści, że może upaść i poniżyć swoją godność, ale nigdy nie może zatracić zupełnie tego, co jest nieśmiertelną cząstką Bożą. Tym samym sposobem największy wyrzutek społeczeństwa, najbardziej upadły człowiek, ma zawsze nić ratunku i jeżeli się jej uchwyci i wytrwa, rozbudzi swoje ja, to stać się może godnym przebaczenia. Żadna miłość i żadna nienawiść w życiu nie ginie marnie.

Chorzy więźniowie polityczni pod czułą opieką kobiet, szybko przychodzili do zdrowia. Tak Weber, jak i Luboradzki szczęśliwie zwyciężyli

chorobę, a inni, którzy mniej cierpieli i wytrzymalsi byli na katusze, oczekiwali wypełnienia reszty wyroku. Doktor zdał raport odpowiedni i wkrótce nadeszło rozporządzenie gubernatora, skazujące byłego pułkownika Wysockiego na przykucie do taczek i odesłanie na lat dwa do Akatai do kopalń.

Zakłady Akatai najstraszliwsze były ze wszystkich więzień Syberyi. Surowość tam była posunięta do ostatnich granic, ale i tam sięgały wpływy Bebutowa. Przez szpary patrzono na roboty więźniów i Wysocki na nowo w Akatai założył swoją fabrykę mydła, która mu dawała przyzwoite utrzymanie. Po wielu latach został ułaskawiony i pozwolono mu powrócić do Królestwa i miasteczko Warkę przeznaczono na miejsce pobytu, gdzie spokojnie dokończył tyle obfitego w tragiczne wypadki żywota.

Major Malczewski doczekał się bardzo sędziwej starości w posieleniu, życie prowadził anachorety, wyrabiał drewniane sprzęty domowe i z tego się utrzymywał, a kiedy po wstąpieniu na tron Aleksandra II., w roku 1857 przyszło ułaskawienie, on już dla sędziwego wieku (lat 90ciu) nie mógł z tego korzystać i głowę swoją położył na ziemi wygnańców.

Inni wspólnicy ucieczki porozsyłani zostali w różne miejscowości na posielenie.

Najszczęśliwiej wyszedł z tych opałów Weber. Przebiwszy się na szafocie i wyzdrowiawszy, ponieważ zdano raport, że karę knutów odcierpiał, naznaczono mu znowu pobyt w Szyłce, gdzie właśnie miał swoją fabrykę szkła.

Potrafił wzbudzić sympatyę we wszystkich otaczających go mieszkańcach. Fabryka rozwinęła się do dużych rozmiarów i znaczne przynosiła zyski. Pod względem materyalnym miał zabezpieczone stanowisko niezależne; ciśnięto się do niego i starano się o jego przyjaźń. Urzędnicy odnosili się do niego, przymilając i odbierając często datki. Chłopiec pracował bez wytchnienia — nie tylko nad materyalnem położeniem ale oddawał się naukom i napisał dzieło po rosyjsku: **„Uwagi nad stanem górnictwa w Syberyi"**, w którem pokazał bezład zarządu i nadużycia urzędników. Ci, widząc wykryte swoje działania, utworzyli ligę przeciw niemu i starali się, lecz napróżno, na nowo nałożyć mu kajdany.

Biedny ten wygnaniec z gorącem sercem poznał młodą wdowę, Szwedkę z Finlandyi, zatęsknił za domowem ogniskiem i zapragnął połączyć się z nią związkiem małżeńskim — ale tu napotkał wielkie przeszkody, gdyż wydobyto wyrok skazujący go na katorgę i uniemożliwiający połączenie się z błagorodną szlachcianką. Silna jednak wola i gorące uczucie zwyciężyły wszystkie przeszkody. Oboje, zakochani w sobieć uciekli do Hary i tam ślub tajemnie zawarli. Powróciwszy do fabryki zażywali możebnego spokoju.

Ksiądz Boguński także w bliskości Webera miał naznaczone miejsce pobytu. Coraz więcej zapadając na zdrowiu, wegetował lecz nie tracił nadziei w lepsze czasy ojczyzny. Często odwiedzał Webera i raz, w nocy, powracając, spadł z promu na Szyłce i zginął w nurtach rzeki.

Ale wyrok najsurowszym okazał się względem Luboradzkiego, chociaż bynajmniej nie był najważniejszym przestępcą. Skazano go na przemieszkiwanie w najbardziej północnej wiosce w gubernii Jakuckiej. Dlaczego? Jakie były motywa wyroku? Sądzę, że sami sędziowie nie potrafiliby objaśnić. W rozporządzeniach rządu rosyjskiego zdarzają się przeskoki, których żadna logika usprawiedliwić nie może. Tam przebył 24 lat wśród zupełnej pustyni i pozbawiony wszelkiego towarzystwa. Dopiero po upływie tego czasu pozwolono mu wrócić do kraju. Na końcu niniejszej powieści, przytaczamy jego zapiski o tych nieznanych ziemiach i ludach je zamieszkujących.

Nastąpił więc dzień ogólnego rozstania, w którym nieszczęśliwi mieli się pożegnać na zawsze. Kto zmierzy boleść serca tych ludzi, steranych już, zgniecionych, a jednak nie tracących nadziei w przyszłość.

Rozdzierający serce był to moment, kiedy pułkownik Wysocki, okuty już w kajdany — wyciągnął ręce ponad głowami towarzyszy i wyrzekł tylko parę słów:

— Żegnajcie, żyjcie i pracujcie zawsze dla swojej ziemi!

Skazani rzucili się wzajemnie w objęcia i łzy męzkie zajaśniały w ich oku. Weber i Luboradzki zacisnęli wspólnemi rękami swoje szyje i zdawało się, że niema mocy, któraby ich rozdzielić mogła. Przyrzekli sobie nawzajem o ile to będzie w ich mocy znosić się z sobą i nie zapomnieć o sobie.

Antosia i Róża, których wszyscy z uwielbieniem żegnali, milcząc, z zaciśniętemi wargami przypatrywały się tej scenie. Słowa były tu zbyteczne, bo któryż język ma odpowiednie dźwięki na wyrażenie tej boleści?

— Bóg z wami — wyszeptała cicho Antosia i podniosła rękę i krzyż zakreśliła w powietrzu.

* * *

Był wieczór, cisza panowała w powietrzu, chmary tylko komarów brzęcząc, wyprawiały koncerty i niekiedy okrzyk nocnego bąka na rzece, zakłucały ciszę. Antosia, zmęczona codzienną pracą w szpitalu, którego nie opuściła dotąd — wyszła odetchnąć świeżem powietrzem, puściła się ścieżką mało uczęszczaną i znalazłszy ustronne miejsce, usiadła na dużym kamieniu nad brzegiem strumienia i pogrążyła się w zadumę. Jakież myśli cisnęły się do tej pięknej młodej, a białemi włosami okrytej głowy. Jakie widma przeszłości przesuwały się przed jej oczami. Tak niedawne to czasy a jednak zdawało jej się, że przeżyła wieki całe, że jest na innej planecie, wśród nowych nieznanych dawniej duchów. Przed oczyma jej przesuwały się tak jak w panoramie, widziadła świetlane, czasem smutne, czasem pełne blasków: piękny Zdyszew, ze swoim srebrnym stawem, otoczony staremi lipami, gołębnik pełen ulatujących skrzydlatych ptaków, stara matka z taką rezygnacyą znosząca niedolę życia, gromadki tych bosych płowogłowych dzieciaków, które gromadziła obok siebie, wpajając w nie miłość ojczyzny i ucząc obowiązków. A dalej usły-

szała jak na zegarze wieku, wielki dzwon wygłosił godzinę zmartwychwstania, pobudkę do czynu, do walki! Serce jej uderzyło harmonijnie, wzrok rozjaśnił się i niespodziewanie zjawił się młodzieniec, piękny jak archanioł, promienny młodością, siłą, bohaterstwem. Pamięta jego zamyślone, pełne zapału oko, ciskające pioruny oburzenia, słyszy jego głos męski, lubuje się dźwiękami i razem z nimi płynie w światy nadziei i zdaje się jej, że dłoń z dłonią złączona prowadzi ją w krainę nieśmiertelności.

Co za gwar nocny dochodzi do jej ucha? To jakby pomruk wzburzonej fali! — to głosy ludu polskiego, śpieszące pod znaki narodowe, aby złożyć ofiarę życia na ołtarzu Ojczyzny.

To pierwsi ochotnicy z ludu zapisujący się w szeregi nieśmiertelnych strzelców i kosynierów Juliusza Małachowskiego! Przypomina jej się moment, w którym pożegnała starą matkę, której już nigdy zobaczyć nie miała, a następnie jej pobyt w kipiącej zapałem Warszawie, jej wycieczka z bratniemi chorągiewkami, jej pobyt w obozie Dybicza i straszna scena morderstwa, którego była pomimowolnym świadkiem. Przesunął się wśród zjawiających się postaci młody rosyjski oficer, który jej ułatwił ucieczkę, a dalej straszny obraz bitwy pod Kaźmierzem i tragiczny koniec wymarzonego bohatera. Widzi go upadającym, czuje boleść ran mu zadanych, cierpi wraz z konającymi i zdaje jej się, że kona razem — ale nie!

Natura ma swoje prawa, każdy musi wypić swój kielich goryczy, który mu przygotowała... A

więc żyje, bo posłannictwo jej jeszcze nie spełnione. Przypomina sobie pierwsze chwile niedoli, tułaczkę, nędzę, upokorzenia, ale zawsze i wszędzie czuje się niepodległa i gotowa do nowej walki. Następnie myśl utrudzona przenosi ją do Bebutowa. Osamotnione dwie tylko kobiety pędzą żywot, myśląc jak zaspokoić dzień dzisiejszy i tu zjawia się postać tego samego oficera rosyjskiego, piękna postać — szlachetna postać — ale mundur rosyjski odpycha ją od niego. On z całą szlachetnością stara się osłodzić położenie wygnanek, ale nie wzbudza innych uczuć, prócz należnej wdzięczności. A dalej widzi ten ponury szpital, który przed chwilą opuściła, a w nim storturowane ciała szlachetnych ludzi, słyszy jęki chorych przestępców, pomieszane niekiedy bluźnierstwami obok głosów modlitwy. — Nareszcie roztacza się ostatnia scena pożegnania ze szlachetną kompanią i czuje, że główna siła, która ją podniosła do pracy i poświęceń słabnie w niej — ale to przez chwilę tylko ma miejsce. Obraz nędzy więźniów odciska się w jej wyobraźni i obudza litość bezgraniczną.

— Boże mój — zawołała podnosząc rękę do góry i spłaszczając tym gestem białą trukawkę, która jej siedziała na ramieniu. Boże mój! co teraz robić? Jaki nadać dalszy kierunek swojemu życiu?

Wprawdzie ma prawo powrócić do kraju, ma prawo ujrzeć jeszcze niwy polskie, po których zbierała kwiatki w swojej młodości, i... nęci ją to, pociąga, ale czuje, że to nie zaspokaja jej pragnień!

— Boże mój! — zawołała jeszcze raz — oświeć mnie i wskaż mi ścieżkę żywota?! Niech życie moje

nie zmarnuje się, niech jeszcze na coś, komuś się przyda!

Niespodzianie promień księżyca, który w tej chwili wydarł się z poza chmur, oświetlił jakąś postać zbliżającą się do niej śpiesznemi krokami.

— Poczciwa Róża — pomyślała Antosia. Niespokojna jest o mnie i aż tutaj przyszła mię szukać!

Wkrótce jednak przekonała się, że zbliżający się człowiek, nie jest jej towarzyszką. Duży pies wysunął się naprzód i dziewczyna poznała w nim nieodstępnego towarzysza księcia.

Bebutow stanął przed zdziwioną kobietą.

Biała turkawka, którą książę w czasie swych częstych odwiedzin umiał przyswoić do siebie zerwała się z ramienia Antosi, zakrążyła w powietrzu gruchając, jak gdyby witała dobrego przyjaciela.

Pies Bebutowa posunął się do nóg kobiety i położył swoją głowę na jèj kolanach.

Przez chwilę panowało milczenie.

— Szukam pani — rzekł książę — i przeczucie moje nie zawiodło mnie. — Czy pozwolisz pani na poufną rozmowę, która stanowić będzie o naszych losach?

Po twarzy Antosi przebiegł rumieniec. Domyślała się treści rozmowy, przeczuwała ją od dawna i uważała za nieuniknioną.

Skinęła głową i wskazała księciu miejsce obok siebie.

Bebutow nie usiadł jednak; stał milczący, a na twarzy jego przebijało się silne wzruszenie. Parę razy chciał rozpocząć rozmowę, ale wyrazy plątały mu się bezładnie, tłumiły i zdawało się, że nie

potrafi się zdobyć na ich wypowiedzenie. Nareszcie, przemagając się, rzekł:

— Czyż potrzebuję słowami wypowiadać to pani, że od chwili powtórnego naszego spotkania, które uważam za zrządzenie woli Bożej, obudziłaś w sercu mojem bezgraniczne uczucie przywiązania i czci? Chwila, w której my się zbliżyli, wyrzekła już wyrok o moim losie. W tym czasie postanowiłem opuścić Rosyę i wynieść się na zawsze za granicę, lecz jedno spotkanie z Tobą, zmieniło moje plany. — Nieznośna atmosfera, w której żyłem tutaj przygniatała mnie. Jak ryba pozbawiona wody, tak syn, wolnych gór — żyć nie może pod jarzmem niewoli. Spotkaliśmy się, poznałem całą brylantową wartość twej duszy i projekta moje pierzchnęły, ustępując miejsca nadziei, że może — może zdobędę twoje współczucie i że podasz mi rękę w ciężkiej drodze mojego życia. Postanowiłem pozostać i żyć twojem życiem i pielęgnować twoje nadzieje. Wystawiłem ten pyszny pałac dla ciebie i postanowiłem go z nieprzebytemi kopalniami złota złożyć u stóp twoich. Los mój spoczywa w twoich rękach, rozporządzaj nim. Wyjedziemy stąd daleko, w rozkoszne południowe kraje. Tam nic nie będzie ci przypominało katuszy, tam możesz czynić wiele dobrego dla sprawy, której się poświęciłaś, a ja, twój niewolnik, spełnię każde twe pragnienie, odgadnę każdą myśl i zamienię ją w czyn. Los mój składam w twoje ręce; wydaj wyrok, a jakikolwiek on będzie zastosuję się do niego.

Umilkł wzruszony głęboko; wzrok jego gorzał ogniem, a natomiast twarz lekko pobladła.

Antosia, również wzruszona, podniosła się, wyciągnęła rękę do niego, uścisnęła ją i odpowiedziała głosem cichym, ale stanowczym:

— Umiem cenić twoje poświęcenie, szlachetny panie, pojmuję cały ogrom darów twojego serca, wiem jakie otworzyłyby się przedemną nowe światy i ileby mogły przynieść zadowolenia innej kobiecie — ale ja, — córa nieszczęśliwego narodu, do którego ujarzmienia i ty się przyczyniłeś, nie mogę zdradzić zasad mojego życia i nigdy, nigdy nie mogę zostać żoną człowieka, który nosił mundur rosyjski. Wierzę w zbliżenie się ludów — w zapomnienie krzywd wzajemnych — w zbratanie się — ale to dopiero wtedy może nastąpić, kiedy wymrą pokolenia, na których ostrzu pałaszy są ślady krwi bratniej. — Polka, oddająca rękę swoją oficerowi rosyjskiemu — nie godna jest nazwiska Polki. — Straciłabym dla siebie szacunek, gdybym inaczej postąpiła. Nie pytaj się panie co się dzieje w mojem sercu, to tajemnica moja, ale rozum i honor polskiej niewiasty nie pozwalają mi inaczej postąpić. Zachowam przyjaźń i szacunek dla ciebie na wieki, ale nigdy żoną twoją nie będę.

Bebutow zatrząsł się, jakby pochwycił go paroksyzm febry. Na twarz buchnęły płomienie, odezwała się dzika natura dziecięcia gorącego wschodu.

— A czy wiesz pani, że na rozkaz mój możesz zostać porwana i z wolą czy bez woli być moją?

— Wiem, że jesteś tu potężny, ale wiem, że niewolnicy ze mnie nie zrobisz, że nie dopuścisz się

czynu, który by cię shańbił na wieki. Za wiele jest szlachetności w twojej duszy.

— Ale nie liczysz, ile jest miłości.

— Miłości? Nie znasz jej książę. Jeżeli tak mówisz, to tylko samolubstwo. Miłość, to poświęcenie, to zupełne zaparcie się dla drugiej osoby. A szczęście na ziemi jest tylko wtedy prawdziwe, kiedy wyrzuty sumienia nie zakłócają go!

— Pozwól mi więc pani zapytać się, jak myślisz urządzić dalsze swoje życie? Masz prawo powrócić do Ojczyzny i zapewne z niego nie omieszkasz skorzystać?

— Nie panie, inne powzięłam postanowienie. Tam, w Ojczyźnie mojej jest wiele pracowników na jej niwie. Pomoc moja nie wiele przyniosłaby korzyści. Tam są ludzie, którzy nigdy nie spoczną, aż ją zobaczą wolną — ale jest inne pole działania dla Polki: obejrzyj się panie, na około siebie ile zobaczysz nędzy, cierpienia i rozpaczy tych, którzy się poświęcili! — Ci biedni ludzie nie mają nikogo, ktoby im złagodził cierpienia, obtarł łzę i obudził nadzieję! Spojrzyj po tych barbarzyńskich lazaretach, ile tu katuszy, której nikt nie współczuje, i jakie obszerne pole działania dla chrześcijanki! Otóż postanowiłam dobrowolnie pozostać tutaj i słodzić ile to będzie w mej mocy dolę nieszczęśliwych bez względu na to, jakie powody były ich postępowania i dla czego wypadł na nich taki wyrok. Postanowiłam to, i postanowienia mego nic nie potrafi zachwiać.

Książę był zdumiony tą odpowiedzią. Wyży-

na, na której się teraz postawiła ta Polka, otoczyła ją w oczach jego aureolą świętości.

— A więc stało się to, czegom się potajemnie spodziewał... Jakieś niewidzialne duchy zbliżyły mnie tylko do ciebie dla tego, żeby mi pokazać całą potęgę piękna, którą tylko z daleka podziwiać mi wolno — a więc musimy pożegnać się na wieki.

Antosia, blada ze wzruszenia, skłoniła głowę na znak potwierdzenia.

— Nie wątpiłam — rzekła po chwili, że szlachetne uczucie przemoże w twojem sercu, panie, burze namiętności, że zwyciężysz siebie samego i ty nie wątp, że współczucie moje zawsze towarzyszyć ci będzie. Nie weźmiesz mi więc za prostą tylko ciekawość, że i ja ci zadam pytanie, jaką drogę obieżesz dalszego życia?

— Sam bym ci to powiedział, tylko uprzedziłaś moje pytanie. Tam, w górach Kaukazu, wśród niedostępnych skał i lasów, walczą ostatni obrońcy niepodległości, tam bohaterski Szamil, na czele swoich nieustraszonych towarzyszy podniósł sztandar wolności, tam się skupiło przy nim wszystko, co szlachetne, wszyscy ludzie, w których piersiach biją wolne serca! Tam wre walka uparta, a może i beznadziejna jak wasza, ale tem świętsza im więcej wymaga poświęcenia. Tam i ja pójdę i choć kości moje sępy ogryzać będą, nie włożę już obroży moskiewskiego żołnierza! A ten piękny pałac jutro zamieni się w kupę gruzów, bo ta, która go miała zamieszkać, pogardziła nim... Majątki moje przejdą na własność brata, który niestety nie dzieli moich poglądów i obecnie jest w Warszawie dowódzcą

pułku Czerkiesów, stanowiących świtę Paszkiewicza. Chciałbym inaczej to urządzić, ale nie w mojej to mocy. Mogę rozporządzać tylko moją osobą, a ta musi być wolna! Żegnam cię pani, pozwól mi na znak przyjaźni ucałować twoję rękę i pożegnać na wieki.

To mówiąc, schylił się szybko, uchwycił zwieszającą się rękę i wycisnąwszy na niej serdeczny pocałunek, zączął się oddalać.

Kobieta, cała drżąca od wzruszenia mimowolnie powstała z siedzenia, wyciągnęła bezwiednie ręce za odchodzącym i głosem cichym, wydobywającym się z głębi duszy wyszeptała:

— Achmedzie! — idę za tobą! idę!

Tentent cwałującego konia był tylko odpowiedzią na ten okrzyk.

Ale wtejże chwili zachwiała się i kiedy miała upaść na ziemię, czyjeś ramiona pochwyciły ją, przycisnęły do piersi i głos jakiś wyszeptał:

— Nie pójdziesz święta! Nie tam twoje miejsce, my tu zostaniemy! — i Róża, która od jakiegoś czasu ukryta za drzewami, była świadkiem całej rozmowy, wzięła dziewczę jak matka wpół, oparła jej głowę na swojej piersi i odgarnąwszy spadające włosy na czoło, ucałowała ją.

— Pójdź!

— Gdzie? — zapytała Antosia bezwiednie.

— Tam, gdzie cię wzywa obowiązek, do łoża chorego więźnia.

Teraz dziewczyna zawstydziła się swojego chwilowego uniesienia i twarda natura Polki zwy-

ciężyła pokusę. Oparła się na ramieniu Róży i milcząc, udała się za nią do szpitala.

Bebutow, dosiadłszy arabskiego rumaka, puścił mu wodze, wpił ostrogi w boki i z szybkością błyskawicy zniknął w ciemnościach nocy.

Nie długo przebył przestrzeń do Bebutówki. Pałac, w mroku nocy oświetlony księżycem, wspaniale się rysował na wzgórzu. Na tentent wpadającego w bramę konia, okna oświetliły się w jednej chwili i liczna służba złożona z Czerkiesów wysypała się. Bebutow milcząc, przeszedł koło nich, skinął tylko ręką na starego Machmeda, który był towarzyszem jego dzieciństwa, który go uczył dosiadać konia i robić bronią i który często, jak Halban, wspomnieniami przeszłości rozbudzał w piersi przygasły żar tęsknoty za ojczyzną.

Gdy. się znalazł sam ze swoim starym sługą w okazałym salonie, groźny, obrócił się do starca i rzekł rozkazująco:

— Już czas Machmedzie! Wybiła godzina! Jedziemy!

— Niech Ałłach ci pomaga, panie!

— Ile koni gotowych do drogi?

— Czterdzieści kabardyńców, żuje niecierpliwie wędzidła i są gotowe na twoje skinienie biedz, gdzie rozkażesz.

— Za godzinę niech wszystko będzie gotowe! A zabrać psy myśliwskie na smycze, ogary i charty i rozgłosić, że jedziemy na polowanie w góry; ale pierwej musimy zrobić porządek tu, w pałacu. To mówiąc, zbliżył się do wspaniałej szafy szyldkretowej, wyjął z niej jakieś papiery i ukrył na pier-

siach. Następnie otworzył dużą skrzynię, w której leżały worki złota i wskazując ją Machmudowi, rzekł:

— To zabierzemy ze sobą. W górach potrzeba nietylko żywności, ale i broni. Anglicy za ten marny kruszec dostarczą nam jej i Szamil wdzięcznie przyjmie nasz upominek.

— Spełni się wola twoja, panie — Ałłach jest wielki.

Na wezwanie Machmuda, dwóch silnych Czerkiesów wyniosło worki ze złotem. Wkrótce odezwała się trąbka myśliwska, w pałacu i jego zabudowaniach zrobił się ruch niezwykły, i wszystko, co żyło, zaczęło się gotować do drogi, której cel lubo nie oznajmiony, każdemu był znany.

Teraz Bebutow przeszedłszy się kilka razy po salonie, zbliżył się do świecznika srebrnego, gorzko się uśmiechnął i wziąwszy go w rękę, udał się na schody, prowadzące na najwyższe piętro.

Tam w jednym pokoju nagromadzone było mnóstwo sprzętów drewnianych, starych mebli itp. rzeczy.

Bebutow milcząc, wydobył z kąta bańkę napełnioną naftą, rozlał ją po całym pokoju i sprzętach i z zaciśniętemi ustami zbliżył świecę do oblanej naftą kanapy. Płomienie buchnęły w jednej chwili i objęły pokój.

Bebutow wychodząc, otworzył okna dla lepszego ciągu powietrza. Na bocznym dziedzińcu stał już oddział złożony z 40 koni, na których siedziało 40 jeźdźców w góralskich ubraniach, uzbrojonych w

szaszki czerkieskie, długie czerkieskie strzelby, pistolety i wyszyte na piersiach ładownice dla patronów. Białego jak śnieg konia trzymało dwóch, pieszych czerkiesów. Koń niecierpliwił się, wspinał, kopał ziemię podkową i duże płaty śnieżnej piany ciskał z munsztuka. Bebutow milczący zbliżył się do niecierpliwego rumaka, poklepał go, dotknął się jedną ręką karku i w jednej chwili znalazł się na siodle.

W tej chwili z dachu pałacu wytrysnął język ognisty; oświetlił jak błyskawica okolice i zagasł stłumiony kłębami dymu — lecz za chwilę przez iskry i dym przedarły się płomienie już nie pojedyńcze, ale całemi gromadami i zaczęły unosić się ku niebu. Wybuchnęły z okien, objęły dach — i wywoławszy wspaniałą łunę, oświetliły całą okolicę. Czerkiesi milcząc, spoglądali na to widowisko. Bebutow, nie oglądając się, dał znak do pochodu, puścił cugle koniowi i ruszył naprzód, a za nim milczący, groźny, cały oddział.

Wiadomy los bohaterskiego dowódzcy powstania na Kaukazie Szamila. Zwyciężyła przewaga, nie pomogło niezachwiane męstwo górali. Zginął bohater, a przy nim ci, którzy mu wierni zostali do ostatka. W ich liczbie był Bebutow ze swoim oddziałem.

Taki był los dziecięcia gór, niewolnika, którego nie potrafiono zmoskwiczyć i zmusić do zapomnienia praw do wolności. Kaukaz został podbity a auły spalone. Tysiące wygnano i wywieziono do Turcyi — ale i dziś jeszcze z pozostałego plemienia

żyją ich potomkowie, i ich męstwo. O wydobyciu się z jarzma myślą ciągle i czekają odpowiedniej chwili do rozwinięcia sztandaru wolności i nie raz jeszcze Rosyi obficie krwi utoczą.

Z tych gór wylatują teraz jak orły i sępy wszystkie ruchy rewolucyjne w Rosyi, a jaka ostatnia karta będzie zadana, trudno przewidzieć!

Wśród chorych aresztantów w szpitalach Nerczyńskich, snuły się codziennie kobiety. Za ich zbliżeniem rozjaśniały się twarze nieszczęśliwych, rozlegały westchnienia ulgi, i często łza wdzięczności wytrysnęła z oka więźnia, pozbawionego wszelkiej nadziei. Dwie Polki, dwa anioły, zjawiały się u łoża cierpienia. Róża silną swoją ręką podnosiła chorych i poprawiała im nędzną pościel, a Antosia z troskliwością matki, zwilżała rozpalone głowy, zadawała lekarstwa i nie wahała się spełniać najwstrętniejszych posług. Władze, a raczej przedstawiciele tych władz, ze zdumieniem spoglądały na dwie wygnanki, które, mając prawo powrotu do Ojczyzny, dobrowolnie zaprzepaściły się w tym czyśćcu cierpień ludzkich i z wytężeniem ostatnich sił pracowały nad ulżeniem nędzy. Szpitale Nerczyńskie na jakiś czas stały się wymarzonem miejscem ulgi dla aresztantów. Rozgłosiło się to w innych miejscowościach i nie jeden biedak wzdychał skrycie i marzył, żeby się dostać pod opiekę dwóch Polek.

Dwa lata tej bohaterskiej pracy przeszły od chwili, gdy Bebutow uszedł ze swoimi Czerkiesami. W szpitalach Nerczyńskich zapanował tyfus.

Środki lekarskie okazały się bezsilne. Co dzień wynoszono parę trumien i składano na nieogrodzonym cmentarzu. Nikt na to nie zwracał uwagi, nikt nie zapłakał, nikt przyjaźny nie rzucił grudę ziemi na mogiłę nieszczęśliwego.

Ale jednego dnia, niezwykły widok przedstawił się oczom przechodniów. Niesiono prostą, z nieheblowanych desek trumnę. Na jej wierzchu spoczywał wieniec duży, spowity z miejscowych kwiatów, zebranych przez aresztantów, a za trumną postępowała gromadka więźniów, brzęcząc kajdanami. W odkrytej trumnie spoczywała dziewica. Twarz jej przybrała tak anielskie rysy, taka świętość biła od jej twarzy, że pomimowolnie odkrywały się głowy i wyraz zadumy głębokiej otaczał twarze przytomnych.

Tuż za trumną postępowała Róża, nie widząca nikogo wokoło siebie, nie zwracająca uwagi na nic. Smutnemu obrządkowi nie towarzyszył kapłan katolicki. Proboszcz Nerczyński był gdzieś w objazdach swojej kilka tysięcy wiorst liczącej parafii. Cmentarz katolicki, nieogrodzony nawet, na którym rozpościerały się liczne mogiły, czekał na postępującą ku niemu trumnę. Wykopana jama miała przyjąć szczątki męczennicy.

Kiedy już trumnę złożono w ziemi, mała ptaszyna, niespostrzeżona przez nikogo dotąd, zaczęła krążyć nad mogiłą. Była to biała turkawka Antosi. Zatoczyła kręgi i nie lękając się tłumu, unosiła się w powietrzu, kwiląc.

Promienie słońca, wydobywające się z poza

chmury, padły na twarz w Bogu spoczywającej i opromieniły ją nadziemską aureolą.

— To dusza jej — szeptano w około.

— To anioł jej! — mówili inni i pobożnie się żegnali.

Tymczasem złożono trumnę do mogiły. Róża rzuciła się na zimne zwłoki swojej towarzyszki niedoli, i gorąco całując jej ręce — pierwszy raz w życiu zalała się łzami.

— Inaczej być nie mogło — rzekł miejscowy doktor do jakiegoś urzędnika, towarzyszącego pogrzebowi. Przestrzegałem ją, że z tyfusem nie ma żartów. Cóż? — uparła się i nie słuchała mnie.

— Uparta Polka! — odrzekł urzędnik i wyjął papierosa, czekając chwili, w której się będzie mógł zaciągnąć wolnym dymem.

Słońce rzuciło swoje promienie, jakby ją ostatni raz żegnało, a biała ptaszyna jeszcze raz zatoczyła koło nad mogiłą i uniosła się w powietrze. Róża jeszcze bardziej załkała i skończyło się wszystko. Ludzie powrócili do swoich zwykłych zatrudnień, ale Róża na świeżej mogile postawiła krzyż prosty, a krzyż ten ocienił zwłoki świętej.

Rozsypał się on w lat parę i dziś już niema znaku z niego.

Wszystko wróciło do zwyczajnego trybu życia, ale działalność dobroczynna dwóch kobiet stała się dość głośna, żeby władze nie zwróciły na nią uwagi. Wiadomość ta, poparta raportem gubernatora, doszła do Petersburga i stamtąd wysłano do Nerczyńska dwa medale zasługi jako nagrodę ich działalności, ale zarazem rozkazano, żeby opuści-

ły Syberyę, bo wpływy ich mogły być niebezpieczne dla całości państwa.

Medale obydwa doręczono już po pogrzebie. Róża uśmiechnęła się smutnie, udała się na mogiłę i zawiesiła jeden na mogile Antosi — a sama, wziąwszy kij podróżny w rękę, puściła się w daleką podróż piechotą do kraju, do swoich, którzy już byli dla niej obcy.

* * *

W miasteczku Końskich, rodzinnem jej gnieździe, nastąpiły wielkie zmiany. Familia Małachowskich nie była już w jego posiadaniu, nikt jej już nie znał, nikt nie powitał. Często jednak można było widywać dziwną jej postać, dziwacznie ubraną, na pół po męzku z medalem zasługi, siedzącą na placu pod kościołem. Otoczona gromadą ludzi, opowiadała przebyte koleje. Gromadzili się około niej uczniowie szkoły powiatowej i ciekawie wypytywali o dzieje przeszłości. Niejeden z nich odchodził głęboko zadumany z rozbudzoną duszą do czynu. Utrzymywała się z bardzo skromnych funduszów, jakie się znalazły jeszcze po jej rodzicach.

Ale w Syberyi pamięć działalności kobiet, przechowała się tradycyą pomiędzy więźniami i miejscową inteligencyą. Promienie sławy otoczyły ich postacie i nie jedno serce podniosło się i uderzyło miłością dla Polski, z której łona wyszły te dwie bohaterki. Promienie sławy zdobywa się nie tylko na polu walki orężnej, ale i w kazamatach ziemskiego piekła.

* * *

Dwadzieścia cztery lata upłynęło od chwili, kiedy czternastoletni Antoś Luboradzki opuścił starą matkę i po odbytych bitwach w oddziale powstańczym Zawiszy, został wzięty do niewoli i w płaszczu aresztanckim zesłany do Nerczyńska, a stamtąd w najoddaleńsze krańce gubernii Jakuckiej.

Ćwierć wieku, to jedna chwila w życiu narodów, lecz prawie pół życia w losach pojedyńczego człowieka. Kto jest tak śmiały, że kończąc ten okres istnienia, powie: nie popełniłem w niej błędów, nie ulegałem pokusom, zawsze i wszędzie byłem wierny swojemu ideałowi życia? Niema tak doskonałych ludzi, bo doskonałość nie jest udziałem człowieka. Doskonałym jest tylko Ten duch wszechpotężny, który wszystko ożywia i prowadzi do znanych sobie celów. Ale są jednostki wybrane, wyszlachetnione, co świecą swojem życiem i jak drogocenne brylanty rozrzucają promienie świetlane i służą przykładem zwyczajnym zjadaczom chleba.

Do takich wyjątkowych postaci nieocenionych za życia, a często zagrzebanych w niepamięci na zawsze, należał Antoś Luboradzki.

Dzień był zimowy — śniegi zasypały pola — wyjeżdżone tylko drogi wśród zasp śniegowych wskazywały podróżnym tory. Lasy uginały się pod ciężarem sopli lodowych, a chałupy wiosek pokryte jakby pierzyną śniegami, z małych okienek zamarzniętych przepuszczały blade promienie światła. Psy pochowały się, jak który mógł i zdawało się, że cała natura zamarzła naokoło. Wiatr północny niósł kłęby kurzawy i zasypywał drogi. Podróżny

w okolicy bezleśnej, w której rzadko tylko sterczały nad drogami drzewa, jeżeli nie zdążył do wsi, łatwo mógł zamarznąć lub stać się pastwą wilków, włóczących się po drogach.

Drogą prowadzącą od Opoczna ku Przedborzowi, postępował a raczej wlókł się, zaledwie wyciągając nogi ze śniegu, podróżny z małym tobołkiem na plecach, podpierając się kijem. Krótki kożuszek barani i z niebieskich lisów czapka spadała na spocone pomimo mrozu czoło. Czapka z niebieskich lisów i kożuszek barani! Co za kontrasty! A gdy dodamy jeszcze, że przemoknięte obuwie jego było popękane i źle chroniło nogi, zadziwimy się tem bardziej.

Zaledwie parę wiorst oddzielało podróżnego od Paradysu, w którym rozłożony na piaskach wznosił się wspaniały klasztor księży Bernardynów. Teraz jednak niewidoczny wśród tumanów śniegu, pomimo tego, że okolica była płaska i nic nie zasłaniała widoku.

Widocznem było, że podróżny dobywa ostatnich sił, zmęczenie bierze górę i lada chwila upadnie, bo strętwiałe nogi odmawiają już posłuszeństwa. Niespodziewanie wśród szalejącej zadymki, odezwał się głos dzwonka, przebił poświsty wiatru i dotarł do uszu wędrowca; głos ten pochodził z wieży klasztornej. Głos ten ożywił i wzmocnił upadającą energię. Podróżny postąpił znowu kilkadziesiąt kroków pośpiesznie, ale nagle siły opuściły go znowu — i lubo zobaczył światełko z okna klasztoru się wydobywające, nie był już w stanie zbliżyć się do niego. Zachwiał się i powalił w zaspę śnieżną.

— Więc to mój koniec — wyszeptał cicho. — Przecież spocznę przynajmniej na ziemi rodzinnej.

Bezwładność ogarniała go coraz silniej, gwałtowna chęć snu nieprzeparcie zamykała mu powieki. Walczył z nią, bo czuł, że poddać się jej, znaczy zapieczętować koniec życia. Chciał się podnieść, opierając się na kiju, ale pomimo wszelkich wysiłków, nie zdołał.

— Wola Boża — wyszeptał cicho, lecz miał jeszcze tyle siły, że się przeżegnał i zaczął zasypiać snem twardym. Dziwne widziadła zaczęły przeciągać przed zamkniętymi jego oczami. Gdzie on jest? Tak mu ciepło, tak wygodnie spoczywa. Widzi starego mężczyznę i podeszłą niewiastę spoglądających ku niemu. Ogień się pali na kominie. Jakiś chłopiec majstruje coś około strzelby, a drugi iglicą drewnianą robi sieci. On sporządza sidła na ptaki.... o, ciepło mu, dobrze. Widzi Wisłę z urwiska płockiego brzegu, siedzi z Weberem i czyta jakieś zakazane książki. Nagle zjawia się Zawisza, piękny jak archanioł, z mieczem wręku. Rozlegają się strzały i czuje niespodziewanie, jak mu na nogi nakładają kajdany, golą głowę i pędzą w nieznane krainy. Zimno mu leżeć... — O, tam, w Szyłce obmyślają z Weberem plan ucieczki. Wysocki przesuwa się jak olbrzym... Nagle czuje razy kijów zadawane siepaczami, widzi nieznane krainy i nieznane ludy, ale teraz robi mu się coraz cieplej, coraz wygodniej, bo zdaje mu się, że jest znów w Luboradzu i opiera głowę na matczynych kolanach, a ona głaszcze go swoją ręką po miękkich włosach. Oddech staje się coraz krótszy — serce coraz słabiej bije,

koniec życia zbliża się pośpiesznie. W tem tuż około niego rozległo się szczekanie psa i zaraz pokazały się duże łubowe sanie zaprzężone w dwa tęgie mierzyny. Na saniach znajdował się tylko woźnica i dużym wilczym płaszczem odziany Bernardyn. Sanie były wypakowane różnego rodzaju artykułami.

Na głośne szczekanie psa Bernardyn ocknął się z drzemki i spostrzegając jakąś czarną postać, leżącą na środku drogi, zawołał:

— Stój Wojtek! — Co tam leży przed końmi?

Konie zatrzymały się, buchając parą.

Wojtek zeskoczył z sani i zbliżył się do przeszkody.

— To jakieś żydzisko leży, proszę Ojca dobrodzieja.

— Żydzisko? — zawołał Bernardyn. — Skąd wiesz, że żydzisko?

— Bo ma ogromną czapę futrzaną na głowie.

— Żydzisko, czy nie żydzisko — mruczał Bernardyn — to brat, to bliźni, trzeba go ratować.

W jednej chwili zrzucił z siebie ciepłą wilczurę i wyskoczywszy z sani, pochylił się nad leżącą postacią. Uczuł jeszcze lekki oddech.

— Wojtek! — Śpiesz się, pomóż mi podnieść i umieścić na saniach tego biedaka.

Owinął go swoją wilczurą starannie, czapkę wpakował mu na głowę i umieściwszy w saniach, siadł obok i zawołał.

— Wojtek, psia kość! — Poganiaj co sił szkapy i nie żałuj bata. Klasztor mamy pod bokiem — prędzej! prędzej!

Wojtek wygramolił się na sanie, uchwycił lejce, smagnął biczem po grzbietach koni, i sanie, które już zaczęły przymarzać, ruszyły z miėjsca.

— Jedź, jedź, nie żałuj koni, może biedaka da się jeszcze uratować.

Kilkanaście staj, które jeszcze oddzielały od klasztoru, trudne były do przebycia. Pod samą bramą klasztoru uformowała się duża zaspa, stanowiąca jakby barykadę, a furta była zamknięta. Konie zatrzymały się, grzęznąc głęboko w śniegu. Bernardyn zeskoczył z sani i grzęznąc po pas, przedostał się przez zaspę i zaczął silnie dzwonić do furty.

Niedługo potrzebował się wysilać. Na podwórzu ukazała się latarka, którą ręką starannie od wiatru zasłaniał furtyan klasztorny, zbliżając się do furty.

Zaskrzypnął zardzewiały zamek, brama się otworzyła.

— Laudator Jezus Christus — wyszeptał Bernardyn.

— In secula saeculorum — odpowiedział furtyan i uśmiechając się dodał: bracie January, nie szczególną miałeś podróż.

Lecz January nie odpowiadając nic, starał się przekopać drogę koniom w zaspie, co przy pomocy Wojtka i furtyana wkrótce się udało.

Sanie wjechały na podwórzec klasztorny i zatrzymały się pod drzwiami kurytarza prowadzącego do celi zakonników.

Furtyan, zbliżywszy się do sani i oświetliwszy je słabym blaskiem latarni, a zobaczywszy jakąś postać zawiniętą w szubę, zapytał zdziwiony:

— A co to znowu takiego ukwestowałeś, bracie January, czy cielaka, że go owinąłeś w swoje futro?

— Śpieszmy się, bracie Hilary — to zamarznięty, którego trzeba ratować.

Na te słowa obydwaj Bernardyni przy pomocy zmarzniętego Wojtka śpiesznie wydobyli zamarzniętego i wnieśli do obszernego refektarza, stanowiącego jadalnię zgromadzenia.

Dano znać gwardyanowi o przybyciu brata Januarego i przywiezieniu przez niego zamarzniętego człowieka. Kilku Bernardynów na wszczęty hałas powychodziło ze swych cel i znalazło się przy przyniesionej ofierze mrozu.

Gwardyan, człowiek już niemłody, otyły, dobrze odżywiony, stał chwilę bezradny i pierwszym jego czynem było zmówić modlitwę na intencyę chorego.

— A czy on żyje jeszcze? — zapytał po chwili.

— Oddecha słabo — rzekł furtyan.

Zakonnicy jednak potracili głowy i nie wiedzieli jak się wziąć do ratunku.

Jeden tylko kwestarz, braciszek January, który chociaż okryty habitem zakonu, w ruchach swoich energicznych zdradzał dawnego wojskowego, nie stracił ani chwili na próżno.

— Rozebrać go — zakomenderował jakby przed frontem żołnierzy.

— A no dobrze — rzekł gwardyan.

— Ty tam, stary wygo, Pniaku, wiesz lepiej jak my, jak się obchodzić w takich wypadkach, więc rób jak uważasz.

Pniak, dawniejszy porucznik armii polskiej, który tyle razy odznaczał się w czasie nieśmiertelnej wyprawy i odwrotu z Litwy Dębińskiego, przywdział napowrót habit bernardyński, który rzucił w chwili, kiedy wybuchło powstanie. Teraz w ciszy klasztornej szukał ukojenia zawiedzionych nadziei.

Pniak po raz drugi już został braciszkiem bernardyńskim, a że wzięcie się jego i umiejętność postąpienia w każdym wypadku uznano, przeznaczono go na kwestarza i w tym charakterze go obecnie spotykamy.

— Śniegu! śniegu co prędzej! — zawołał January i pośpiesznie rzuciwszy habit, wziął się do rozcierania bezwładnie leżącego ciała. Na piersiach omdlałego, na grubym sznurku konopnym spoczywał krzyżyk żelazny, mocno przez długie używanie wytarty. January obejrzał go starannie i coś, jak gdyby wspomnienie dawno znikłe zamajaczyło mu przed oczami. Z niego przekonał się tylko, że zamrożony ten jest chrześcijaninem. Zdawał się mieć lat przeszło czterdzieści. Wynędzniała, wyżółkła twarz, głowa prawie cała pozbawiona włosów i na plecach zarośnięte liczne pręgi, pokazywały, że człowiek ten dużo wycierpiał, ale życie trzymało się jeszcze uporczywie tego chodzącego szkieletu.

Po upływie znacznego czasu, oddech chorego stał się wyraźniejszy, pierś zaczęła się regularnie

podnosić, krew szybciej krążyć i nareszcie chory drgnął całem ciałem i zwolna podnosił powieki.

— Ocalony! — zawołał January. Teraz pół kieliszka araku dokończy wyzdrowienia.

Lekarstwo może nie koniecznie właściwe, ale brat January nie był doktorem i znał tylko środki jakie w czasie służby wojskowej praktykowało się w obozie.

Wlano płyn choremu, który zaledwie w stanie był otworzyć usta, ale skutki pokazały się prawie natychmiast. Ciało zaczęło nabierać ciepłoty, a w oku pokazał się wyraz świadomości.

— Teraz owiniemy cię przyjacielu w ciepłą moją wilczurę, położymy na łóżku i da Bóg, że powrócisz do zdrowia.

Jednocześnie kiedy to mówił, uradowany, wykonał te czynności przy pomocy innych zakonników.

Otulony w ciepłą szubę, przeniesiony do celi Januarego i złożony na jego łóżku, popadł w silny a pokrzepiający sen. Czoło zrosiło się potem, a na policzkach pokazał się silny rumieniec.

— Kto to być może? — mówili między sobą zakonnicy. Nie żebrak to widocznie z profesyi, pieniędzy przy nim niema ani jednej kopiejki — ale ma jakieś papiery. Z nich się coś będzie można dowiedzieć o jego nazwisku.

I już gwardyan wyciągnął rękę po papiery, chcąc je przejrzyć, gdy January powstrzymał go.

— Nie jesteśmy policyą, żebyśmy przeglądali jego kieszenie i sprawdzili dokumenta. Gdy się wyśpi i odzyska siły, sam nam powie.

Być może — tu January nachylił się do ucha gwardyana — i cichym głosem wyszeptał:

— Być może, że to jest jaki emisaryusz.

Na te słowa, gwardyan zatrząsł się cały, spojrzał badawczo w twarz kwestarza i rzekł:

— Gotów nam zrobić dużo kłopotów, ale co cię bracie January naprowadza na podobne domysły?

— Wygląd tego człowieka nie jest zwykły, a ta czapka z jakiegoś nieznanego futra pokazuje, że przybył z jakichś stron nieznajomych.

Na te słowa jeden z księży, który dotąd wcale się nie odzywał, a który zaczem wstąpił do zakonu był w Warszawie kuśnierzem, zbliżył się, wziął czapkę w rękę i bacznie się zaczął przyglądać. Im dłużej jej się przypatrywał, tem większe zadziwienie odbijało się na jego twarzy.

— Co się tak ojcze Hilary przypatrujesz? — zapytał gwardyan.

— Dziwy! prawdziwe dziwy, jeżeli mnie oczy nie mylą, a zdaje mi się, że nie. Ta czapka jest z niebieskich lisów bardzo rzadkich, poławianych tylko na jednej z wysp oceanu lodowatego. Futro takie miałem sposobność odnawiać w Warszawie. Należało do księcia Paszkiewicza — i wszyscy w onczas nie mogliśmy się nadziwić piękności i kunsztowności kaftana, który był wart jak nam to zapowiedziano, dając do naprawy 15 tysięcy rubli.

— Czy to być może? — zawołali zdumieni księża.

— Tak jest, nie mylę się i jestem pewny, że czapka ta jest najmniej sześć tysięcy rubli warta,

bo aż cztery skórki złożyły się na nią i co dziwniejsza wcale nierozcinane, a tylko lekko sfastrygowane z sobą.

— Dlaczego tak?

— Widocznie nie chciano psuć ich rozcinając, a przytem majster, który je zeszywał, nie miał najmniejszego pojęcia o kuśnierstwie.

. No, no, no — wyszeptał gwardyan. Nędzarz, idący piechotą, źle okryty, ma czapkę za sześć tysięcy rubli. To coś dziwnego. Widocznie powraca z takich stron, gdzie podobne zwierzęta, dające takie futra, nie są rzadkością.

— Pozostawmy go w spokoju, niech wypocznie i przyjdzie do siebie, a dowiemy się wszystkiego.

Zakonnicy cicho opuścili celę brata kwestarza, woskowa świeca tylko rozpraszała mroki łukowatego sklepienia, nad którem zawieszony był duży, czarny krzyż z Chrystusem. Chory spał snem twardym, głośny tylko oddech przerywał ciszę nocy.

January długo chodził po swojej celi, głęboko zamyślony. Podziękował Bogu, że mu w ciągu dnia nastręczył czyn poczciwy do spełnienia, że ocalił od niechybnej śmierci bliźniego. Jeszcze parę razy zbliżył się do łóżka, okryć chorego wilczurą szczelniej i zmówiwszy pacierze, legł nie rozbierając się na twardej sofce.

Niezadługo zadzwoniono na Jutrznię. Zapaliły się światła, zakonnicy powstali i udali się na zwykłe poranne modlitwy. Chory nie obudził się jeszcze.

Brat January, zadowolniony stanem pacyenta,

jeszcze raz obejrzawszy chorego, udał się do swoich zwykłych obowiązków.

Nareszcie, kiedy nadeszło południe i dzwonek odezwał się znowu wzywając zakonników do refektarza na wspólny obiad, podróżny otworzył oczy, ocknąwszy się z twardego snu. Brat January stał nad nim i z coraz większą uwagą wpatrywał się w jego lica.

— Gdzie jestem? — zapytał chory cichym głosem.

— Wśród dobrych ludzi — wśród przyjaciół.

— Widzę i wdzięcznem sercem oceniam, ale gdzie właściwie się znajduję? Tak mi się jeszcze plącze w głowie, że nie wiem z pewnością, czy tu jeszcze Syberya, czy.....

— Tu Polska, bracie. Jesteś w Polsce!

Na te słowa twarz nędzarza oblał lekki rumieniec a na oku zaświeciła łza.

— Tak, przypominam sobie, nie łudzę się. Bóg powrócić mi pozwolił do mojej ziemi. Wczoraj na drodze zaskoczyła mnie śniegowa burza. Sądziłem, że już pożegnam życie, że już nie dowlokę się do wsi rodzinnej. Dziś widzę, żem brakiem ufności w miłosierdzie Boże grzeszył. Gdzie jestem, ojcze?

— Jesteś mój bracie w klasztorze Ojców Bernardynów w Paradysie, w gubernii radomskiej. — Wczoraj spotkałem cię leżącego wśród zaspy śnieżnej i Bóg pozwolił mi ocalić ci życie.

— Na co mi ono się przyda?

— Nie bluźnij człowieku! Życie jest nieocenionym skarbem i ten, który cię stworzył, wie dla czego cię powołał do bytu.

— Dwadzieścia cztery lat przebyłem w pustyniach azyatyckich, wśród nieprzebytych lasów, wśród ludu Jakutów, na pół dzikich jeszcze mieszkańców ziemi, wśród śniegów wiecznych oceanu lodowatego. Com wycierpiał, com przeniósł nędzy, nie da się to opowiedzieć słowami, ale cieszyłem się zawsze myślą, że tam, gdzieś bardzo daleko, na południu, jest kraina już wolna, że tyle krwi wylanej dla niej nie wypłynęło na darmo, że chociaż nie miałem nadziei jej zobaczyć, ona tam żyje. Przez tyle lat nie miałem z kraju wieści i marzyłem Bóg wie jakie obrazy. A kiedy przetrzymawszy piekielne katusze i uzyskawszy pozwolenie powrotu, śpieszyłem do niej, ostatkiem sił znacząc moją drogę, widzę, że kara Boże jeszcze nie zdjęta, że niewola trwa jak dawniej. — Wyrzekłeś bracie jeden wyraz, którym mnie pchnąłeś jak sztyletem. Powiedziałeś: „gubernia radomska“, nie województwo. Ten wyraz zgnębił mnie i pokazał czarną rzeczywistość. Gubernia! gubernia! Więc nigdy nie wyjdę z tego zaczarowanego koła przemocy?!

— No, poruczniku Pniaku — odezwał się od proga żartobliwie wchodzący gwardyan, widzę, że twój pacyent ma się znacznie lepiej. Chwała Bogu — chwała Bogu.

Słowa wymówione przez gwardyana wywarły na chorym silne wrażenie. Uniósł się własną mocą, usiadł na łóżku i utkwiwszy wzrok w Januarego, zapytał:

— Kto tu nazywa się Pniakiem?

— To moje nazwisko rodzinne — odparł January.

— Twoje nazwisko? Czy służyłeś w wojsku? Czy znasz Luboradzkich?

— Służyłem i znam dobrze to nieszczęsne „Gniazdo Orle“, jak je lud okoliczny nazywa. Tam miałem najdroższych przyjaciół, ale niestety żadnego z nich już niema.

Chory niespodziewanym ruchem porwał się z posłania, wyciągnął ręce przed siebie i wyrzekł:

— Ja jestem Antoni Luboradzki.

— Antoś! Antoś! dziecino moja! Ciebie ja widzę w takim stanie? — zawołał January i roztworzywszy ramiona przycisnął go do piersi, a łzy dwoma strumieniami polały się po twarzy.

Jak dwie obręcze żelazne splotły się ramiona i długo, długo słychać było wspólne jęki i westchnienia.

Gwardyan stał zdumiony i wzruszony tem niespodziewanem spotkaniem.

Opadły nareszcie ręce i obydwaj znalezieni tak niespodziewanie przyjaciele, zaczęli się wspólnie sobie przypatrywać.

Ćwierć wieku nie widzieli się z sobą, a czas szedł niepowstrzymany i rzeźbił swoje karby bez litości.

Brat January, dobrze szpakowaty, zachował jednak czerstwość i zdrowie a Antoś Luboradzki, ten studencik z czerwonym kołnierzem z Płockiego gimnazyum, był już ruiną człowieka. Tylko oczy świeciły dawnym zapałem, tylko serce biło jak dawniej miłością rodzinnej ziemi.

— Opowiedz mi wszystko, kochany poruczni-

ku, nic nie ukrywaj. Wytrwały jestem jak żelazo, zniosę wszystko. Matka moja?

— Już jest spokojna i w niebie przed Bogiem opowiada swoje krzywdy i błogosławi ci.

— A brat mój, Jan?

— Żyje w Belgii, gdzie zajmuje piękne stanowisko wojskowe.

— A Luboradz?

— Skonfiskowany i dziś niema ani śladu dworku, w którym powitałeś światło dzienne.

Nastała długa chwila milczenia.

— Inaczej stać się nie mogło — wyszeptał cicho Antoni. Czara goryczy do dna musiała być spełniona. Pokój umarłym. Mów mi teraz, co słychać w kraju? Jak tu żyjecie? Jakie prace prowadzicie? Jakie macie nadzieje? Czy wszystko już usnęło, czy też serca biją jeszcze tym samym poświęceniem?

— Naród nie usnął ani na chwilę. Szeregi zapełniły się znowu; nowi pracownicy stanęli do nowej pracy i dziś rozlegają się w Warszawie pienia religijne, błagające Boga o Ojczyznę — a pieśń: „Boże coś Polskę przez tak liczne wieki“ brzmi we wszystkich kościołach, na placach publicznych i wśród wsi samotnych. Obudziło się nowe życie. Naród daje świadectwo swego istnienia i wszystko wskazuje, że niezadługo nadejdzie dzień, że orły polskie znowu zaczną krążyć, piastowane przez lud, że jeszcze zagrzmią armaty, zabłysną kosy i walka narodowa rozpocznie się z nową siłą, przez nowych ludzi.

— Ocaliłeś mnie od rozpaczy! Ale czy wiadomości te są pewne?

— Najpewniejsze, bracie. Jeszcze i ty znajdziesz sposobność do nowych poświęceń — a Bóg da, że może nie na próżno.

Antoni powstał, wyciągnął ręce do góry i zawołał:

— Więc będzie Polska nowa! Cześć Ci, dobry Boże.!

— Tak, dobrze rzekłeś, będzie Polska nowa. Nie pojawią się już wprawdzie husarze skrzydlaci, nie zaświecą w słońcu karmazynowe delije. Te spoczęły już w mogiłach na wieki... spokój im! Ale zaszeleszczą skrzydłami orły białe, i roztoczą loty zwycięskie, bo jeżeli teraz nastąpi powstanie, to ono nie będzie dziełem pewnej warstwy narodu, ale wolą ludu, bo prawda ta nie ulega wątpliwości: **„co chce naród cały, spełnić się musi“**, a jeżeli spełnienie tej prawdy i teraz odwlecze się, to będzie to tylko znak, żeśmy jeszcze nie dojrzeli duchowo. A to nie zachwiewa wiary, że moment ten nadejść musi i... nadejdzie!

— A więc nie wolno mi tracić czasu na odpoczynku. Już mi powróciły siły! Już jestem zdrów zupełnie! — zawołał Antoni Luboradzki. Idę tam!

— Gdzie?

— Do Warszawy, do tego serca narodu, do tej wspaniałej świątyni przyszłości!

— Dobrze, mój bracie. Ale dni kilka jeszcze wypocząć musisz, a kiedy nadejdzie godzina to i Pniak tam może się znajdzie; lecz pewnie brakuje

ci funduszów na dalszą drogę. Postaramy się zaopatrzyć cię.

— To jest pamiątka moich wypraw myśliwskich na brzegach oceanu lodowatego. Sprzedam ją i zamienię na czerwoną konfederatkę. To mi wystarczy. Mam też z sobą trochę papierów, w których notowałem moje spostrzeżenia w krajach nieznanych, w których 24 lat mieszkałem. O sobie mało co w nich wspominam, bo obawiałem się, że mogą mi być zabrane, ale skreśliłem obraz tych nieznanych stron. Zostawię ci je tu, w klasztorze, a sam ruszam natychmiast w drogę.

W parę dni potem furmanka bernardyńska wiozła do stacyi kolei żelaznej Piotrków Luboradzkiego, przyzwoicie ubranego, a śpieszącego do wspólnej pracy z ludźmi czynu. Odżył, odmłodniał.

W Sulejowie pierwszy raz zobaczył zgromadzony lud przed figurą na klęczkach, pomimo mrozu, śpiewający wzniosły hymn; „Boże coś Polskę".

Serce jego uderzyło silnie nadzieją, zeskoczył z bryki i przyłączywszy się do tłumu, padł na kolana i połączył głos swój z głosami ludu.

DODATEK DO „ORLEGO GNIAZDA".

Urywki ze wspomnień Antoniego Luboradzkiego z czasów pobytu jego w Jakuckiej gubernii.

ZaAłdanem zaczyna się pustynia. Do Bede-Kale 150 wiorst przebyć potrzeba, nie napotykając żadnego mieszkania. Drożyny są zawalone kamieniami i poprzerywane wyrwami.

W początkach kwietnia, podróżny musi wdziać na swoje zwyczajne ubranie kożuch i futrzane spodnie sierścią na wierzch; z zajęczych skór kamasze, a na nie duże, za kolana sięgające buty z sierścią na wierzch. Na to wszystko wkłada się „kuchlankę", rodzaj futrzanej koszuli z kapturem, ażeby zasłonić nozdrza od zamarznięcia. Twarz okrywa się maską futrzaną z otworami. Wdziewa się rękawice podbite skórą z niedźwiedzia i naszyjnik, stanowiący rodzaj „boa" na szyję, z wiewiórczych skórek.— W kostyumach takich odbywają podróż tylko ludzie zamożni.

*

W jakiś czas po skasowaniu klasztorów w Królestwie Polskiem, wypadło mi w czasie podróży, popasać w miasteczku Żarnowie, o kilka wiorst oddalonem od Paradisu, w którym stoi klasztor OO. Bernardynów skasowanych. Kupując jakieś sprawunki u żyda w sklepiku, dostrzegłem plikę starych papierów, używanych do obwijania towarów. Zainteresowały mnie — przejrzałem je i kupiłem, gdy mi poważny p. Leibuś oświadczył, że pochodzą ze skasowanego klasztoru. Pomiędzy nimi znalazłem

rękopism, ołówkiem pisany, zniszczony bardzo, bez początku i końca. Czytając go, nabrałem przekonania, że to są wspomnienia Antoniego Luboradzkiego, bo o ile mi było wiadomo, zostawił takowe w tym klasztorze — lubo stanowczo twierdzić tego nie można, bo nie było podpisu. Ze względu jednak zajmującej ich treści, dołączam je do mojej powieści, dla zaspokojenia ciekawości czytelników.

*

Noclegi wypadają w lichych budach, źle okrytych z wierzchu, bez drzwi, bez podłogi, bez pieca. Na środku takiej izby jest ognisko; drzwi zasłaniają się deką, uszytą z zajęczych skór. Pomimo palącego się ognia na środku chaty, nie łatwo się rozgrzać. Można poparzyć ręce, wsuwając je w ognisko, a jednakże w tym samym czasie grzbiet krzepnie od zimna. Pomimo tego, wśród takiego chłodu, potrzeba koniecznie zdjąć obuwie i wysuszyć, bo w przeciwnym razie na drugi dzień, odmrozi się nogi. Ogień się pali, ale dym, który dla ujścia ma tylka dziurę w dachu, napełnia całą izbę, wygryza oczy i dusi w gardle. Usiąść niema na czem jak tylko na ziemi, koło ogniska. O śnie niepodobieństwo myśleć, bo trzeba całą noc przykładać drzewo na ogień, żeby nie wygasł.

W takie bezsenne noce przewodnicy opowiadają baśnie krajowe. Najczęściej bohaterem ich jest „Dzigin“, ostatni król Jakutów i bohater narodowy.

— To było wtenczas — powiada stary Kozak, prowadzący transport — jak Ermak zabrał Sybir dla cara i utopił się w Yrtyszu. Wtenczas jego ce-

sarz, Iwan Kolca powiedział:„Kiedy on zginął, tak czego ja mam ochraniać swoją głowę? Pójdę zdobywać dalsze kraje!“ — Sporządzili Kozacy „korbasy“ (łodzie) i przebywali na nich rzeki. Kiedy przepłynęli którą, brali łodzie na plecy i przenosili na drugą stronę — a na brzegu rzeki budowali mały „ostrożek“ (forteczkę).

Nie mało rzek przeszli, wielu mieszkańców pozabijali, aż nakoniec doszli do Leny. Puścili się jej biegiem i przybyli w Jakucką ziemię. Tłumy Jakutów wyszły na ich spotkanie i zapytały:

— Czego wy tu chcecie?

— My chcemy z wami handel prowadzić; sprzedajcie nam tyle ziemi, co obejmie skóra bycza.

Głupie Jakuty zgodzili się na to. Kole skórę pokrajał na bardzo wązkie paski, pozszywał je, objął duży szmat ziemi, wybudował fortecę i rzekł:

— Teraz ja zacznę wojować z wami!

Zaczęły się bitwy. U Jakutów był carem Dygin, olbrzym o jednym oku. Plecy miał szerokie na cały sążeń, a ręce jak z wiatraka szmigi. Zasiedli Kozacy w forteczce i palą do Jakutów z karabinów a Jakuty strzelają z łuków.

Zdziwił się Dygin, że od huku palnej broni padają jego bracia, ale Kozakom kończyły się zapasy żywności i musieli się poddać z głodu. Wtedy wyszli z twierdzy, a Dygin rzucił się na nich i dużo nazabijał. Ale nasz brat Koleo nie był głupi. Wezwał Jakutów na pogodzenie się do chaty, a dach jej już był porąbany, bo kiedy Dygin i Jakuty weszli, podważono dach i wszystkich zmiażdżono.

Iwan Koleo wyłupił Dyginowi jego oko, które cały pud ważyło i odesłał swojemu carowi.

Cesarz popatrzył na podarek i rzekł:

— Czemu żywcem tego człowieka mi nie dostawili?

Od tej pory my zawładnęli całą prowincyą. Jakuty schronili się w tajgach i tak tam żyją, jak zwierzęta.

Od Bede-Kalu zaczyna się jazda na jeleniach, które dziko żyją w górach i łowione są arkanami.

Nigdy nie zapomnę pierwszej nocy przepędzonej w drodze za Bede-Kalą. Jechaliśmy niemającą końca tajgą. Napotykało się to błoto porośnięte kępami, po których sanki utkały, to znowu zarośla tak się ścieśniały, że zaledwie sanki przemknąć się mogły pośród nich, a w niektórych miejscach zarośla były tak poplątane, że ich gałęzie kaleczyły twarze. Coraz trudniej było postępować jeleniom w górę, pomimo świstów i razów przewodników.

Droga ciągle pod górę idzie pośród kamieni rozrzuconych, od których co chwila odbijają się sanki, z których co chwila można wypaść. Droga coraz stromiej wije się pod górę, a człowiek, pomimo zimna, cały jest w potach. Na wzgórzu droga rozdziela się na dwie dróżki. Jedna idzie do góry po prawie pionowej skale — to droga jelenia; druga niby lepsza, niżej, jest przystępna dla koni. Kto się puści pierwszą, dozna piekielnych przepraw. Nogi nie mogą się utrzymać na śliskiem śniegu, a w niektórych miejscach trzeba wyrębować schody siekierką, w które są zaopatrzeni przewodnicy.

Co dwadzieścia kroków trzeba się zatrzymywać dla odpoczynku. Obejrzeć się prawie niepodobna, bo od przepaści pod nogami kręci się w głowie. Na sam wierzchołek, gdzie ściana prawie prostopadła, trzeba się wdzierać na czworakach. Jelenie wloką się umęczone, co chwila padając. Lamuty i Jakuty zachowują srogie milczenie, żeby nie rozgniewać „Ducha gór“ i nie sprowadzić strasznej zadymki śniegu albo lawiny.

Na samym wierzchołku góry stoi krzyż, cały zawieszony pasmami nici, płatków, gałganków, włosów końskich i skrzydłami kuropatw. To są wszystko pobożne ofiary. Między kamieniami rozrzucone jest mnóstwo srebrnych i miedzianych pieniędzy. Tych nikt nie odważy się dotknąć, bo ktoby je sobie przyswoił, tego czeka pewna śmierć w powrocie. Z wierzchołka tego można widzieć „kamiennych ludzi Kigi Hajata“. Są to cztery olbrzymie skały czarne, na niedostępnym wierzchołku góry. Podobieństwo ich do postaci ludzkich jest tak uderzające, że podróżny ze zdziwieniem spogląda na ten utwór natury, czy ręki ludzkiej, bo dotąd nie sprawdzono ich pochodzenia.

Jakuci opowiadają, że oni stoją od wieków, nic nie jedzą, nic nie mówią, tylko niekiedy wydają świst przeciągły, a wtedy powstaje burza i niszczy wszystko.

Stacye pocztowe w Tajdze są oddalone jedna od drugiej od 150 do 300 wiorst. Na takiej stacyi żyje Jakut (dzagabal) a oprócz niego dwóch lub trzech przewodników.

W niektórych miejscowościach napotyka się szamanów, rodzaj czarowników, kapłanów, wieszczów. Są to po większej części starcy łysi. Po bokach głowy spadają im długie włosy a krótki kaftan okrywa długą spodnią szatę. Taki szaman przepowiada podróżnemu, czy szczęśliwie odbędzie podróż — ale nie łatwo daje się do tego uprosić.

Szaman, uproszony, siada na pniaku w chacie, pomału rozplata swoje włosy, mrucząc coś i wydając jakieś rozkazy niewidzialnym duchom. Od czasu do czasu nerwowo porusza się i wydaje głos brzuchowy. Ciało jego pochwycają dreszcze a oczy pospolicie nieruchomo stają, wpatrując się w ogień. Ogień zaczyna przygasać, następuje zmrok i milczenie ogólne rozpościera się; ludzie przestają szeptać i wzywają, żeby kto chce wyjść, wyszedł zaraz, bo drzwi zostaną zamknięte i nikogo już nie wypuszczą. Szaman pomału zdejmuje swoją zwierzchnią szatę i wkłada na siebie swój paradny kaftan, obwieszony brzękadłami. Teraz podają mu fajkę i on długo pali, łykając dym. Odbijanie się jego staje się co chwila silniejsze, dreszcze co chwila powiększają się i strach obejmuje wszystkich przytomnych. Fajka wypaliła się i upadła na ziemię, twarz jego blada, głowa zwisa na piersi, oczy na wpół zamknięte. W tej chwili rozciąga się na ziemi białą, końską skórę, mającą służyć za posłanie i przynoszą na jego rozkaz konewkę wody. On pije ją z chciwością i jednocześnie wyszukuje położony na skórze, obok siebie bat, pręt i pałki od bębenka, który stoi obok.

Teraz wychodzi na środek jutry, składa pokłony na cztery strony chaty i jednocześnie bryzga wo-

dą z gardła naokoło siebie. Wszystko milknie. Na ogień ciskają garście białych włosów końskich i gaszą go. Wśród mroku i dymu węgli widać siedzącego Szamana, trzymającego przed sobą duży bęben. Wszyscy zatrzymują oddech i słychać tylko szept i wzdychanie Szamana — ale i one pomału cichną. Raptem rozlega się silne westchnienie. Natychmiast gdzieś z rogu jurty, odzywa się głośno krzyk sokoła albo smutne wołanie czajki i znowu cisza, tylko lekkie jakby uderzania skrzydeł komarów. Szmery o bęben dają znać, że Szaman rozpoczyna swoją muzykę. Z początku cicha, miękka, nie dająca się ująć w harmonię, potem nerwowa, huczliwa, jak szum zbliżającej się burzy, coraz wzrasta i potężnieje. Przebiegają jakieś iskry w powietrzu i rozlegają się okrzyki kruków, wron, czajek, świstają kuliki i wydają krzyki sokoły i orły. Muzyka coraz potężnieje, uderzenia w bęben coraz silniejsze, rozlegają się dzwonki, świsty, gromy. To już nie burza muzyki, a wodospad ogromnej rzeki, gotowy zatopić wszystkich. Raptem wszystko zatrzymuje się: milkną tony i wszystko zasypia snem nieprzebudzonym.

Porusza się Szaman i przy akompaniamencie uderzeń w bęben, wygłasza zaklęcia. Bęben huczy coraz bardziej i Szaman śpiewa jakiś hymn zaklinający duchy. Śpiesznie rzucają na ogień łuczywa, izba rozjaśnia się i gwar ludzi rozlega się, a tymczasem Szaman zrywa się i bębni, rzuca się jak szalony i wykrzywia twarz, obracając ją na południe, wschód i zachód. Głowa ciągle opuszczona ku ziemi, oczy na pół zamknięte a długie włosy splątane

rozsypują się na głowie i zakrywają twarz. Zęby wytrzeszczone a z ust płynie ślina i piana. Kręci się po izbie, bez przerwy uderza w bęben, dzwoni swoim kaftanem i zdaje się coraz więcej upojonym swoją czynnością. Następnie wygłasza przepowiednie.

Uczciwość Jakutów nie ulega zaprzeczeniu. Słowo danę przez Jakuta jest święte, jak dowodzi tego np. następujące zdarzenie:

Do Kołymskiego kupca, który prowadzi handel wyjątkowo tylko z Jakutami, przychodzą zupełnie nieznani Jakuci i biorą bez pieniędzy towary. Ponieważ czytać nie umieją, to kupiec na kawałku papieru wypisuje rachunek i oddaję go Jakucie. Sprawa skończona. Przez cały rok Jakut przynosi skóry wiewiórcze, lisie, niedźwiedzie, pokazuje kartkę kupcowi i ten na niej odpisuje wartość towaru i kartkę oddaje napowrót dłużnikowi.

Bywają czasy, że przez cały rok Jakut nię pokazuje się — ale kupiec jest zupełnie spokojny. On wie, że albo Jakut zrobił wyprawę w takie pustynie, gdzie jeszcze noga Europejczyka nie stąpiła, lub też polowanie nie udało się. Po dwóch, trzech latach, Jakut zjawia się, przynosi swoją kartkę papieru, stanowiącą weksel, składa upolowane skóry, które sam kupiec taksuje, dodaje jeszcze podarunek i handel prowadzi się dalej.

Był taki wypadek w moich oczach:

Jakut wziął towar i oddał zań należytość nie on sam, a wnuk wnukowi kupca. Po trzydziestu pięciu latach wnuk dłużnika zjawił się u wnuka kredytora, trzymając w rękach kawałek zniszczonego pa-

pieru, na którym z największą trudnością można było wyczytać cyfry rachunku.

Pokazało się, że syn dłużnika z całą familią chroniąc się od ospy, która bez miłosierdzia zabija całe familie, uciekł w głęboką pustynię. Z rodziny tej zostało tylko troje ludzi, cierpiących straszną nędzę. Oni przebywali w górach bez prochu i ołowiu całe lata. Po kilkunastu latach wnuk zdobył nareszcie tyle skór, że mógł zapłacić kupca. Teraz — to piechotą, to na jeleniach, podróżując przez kilkanaście tygodni, przybył do średniego Kołymska z żółtą i starą karteczką, którą mu oddał umierający dziad — i zapłacił dług dziada.

Twarze Jakutów wyrażają uczciwość a męstwo ich znane jest powszechnie. Jakuci robią wyprawy na niedźwiedzie pojedyńczo, uzbrojeni tylko nożem. Broń mają jeszcze skałkową. Kurek źle trzyma się na wytartej śrubce, cyngla niema. Żeby podnieść kurek, trzeba pociągnąć za rzemyk z jeleniej skóry i przyczepić do wbitego małego gwoździka. W chwili strzału, spuszcza się rzemień z gwoździa i kurek uzbrojony w skałkę spada, wydając iskrę i zapalając proch na panewce. Dla oparcia fuzyi mają widełki. Jakuci i Gamuty lubią się ubierać i przyczepiają do ubioru mnóstwo świecideł i naszywek.

Zaludnienie bardzo małe. Niekiedy w środku pustyni tajgi spotyka się małą jurtę. Z daleka już ją można poznać powonieniem. Z pozoru onej prawie nie można rozróżnić od czworokątnej kupy błota zawalonej śniegiem. Na płaskim dachu sterczy jednak komin utworzony z cienkich żerdzi powiązanych z sobą, z którego wylatują iskry. Podniółszy

skórę, zakrywającą malutkie drzwi, wchodzi się do jurty. Małe szybki z błon zwierzęcych w oknach zaledwie przepuszczają światło. Wszedłszy do takiej chaty, z początku nic nie można rozróżnić, ale uderza zapach gnoju bydlęcego, bo w jurcie razem z ludźmi mieszczą się i krowy z cielętami, a cała podłoga jest mokra. Dopiero kiedy oczy przywykną do ciemności, zaczynamy rozróżniać przedmioty. Na pierwszym planie wpada w oczy kilka żywych, wyschniętych szkieletów Jakutów, zaledwie okrytych brudnymi i cuchnącymi łachmanami.

Kiedy wejdzie do takiej chaty podróżny, gospodyni rzuca na ogień kilka szczep i rozjaśnia się stancya. Pospolicie w samym kącie izby siedzi stara, ślepa kobieta z woskową twarzą, bez wyrazu jak u trupa. Ona siedzi w jednej grubej koszuli, z pod której sterczą chude kolana. Dym w jurcie działa zabijająco na wzrok i dlatego prawie wszyscy Jakuci na starość zostają ślepi. Zdaje się, że trudno znaleść miejscowość, która byłaby w tak złych warunkach życia, jak Wierchojowsk. W Jenie i jej przypływach bardzo mało ryb. Mięso jeleni, których jest niewiele, gdyż trzymają je tylko do jazdy, rzadko się używa. Są jednak Jakuci, którzy mają po kilkadziesiąt krów, ale takich jest bardzo mało. Pospolicie Jakut ma jednę lub dwie krowy a niektórzy wcale nie mają. Śmiało więc można powiedzieć, że głód pomiędzy Jakutami jest ciągły. Głównym pokarmem jest korzeń pewnej rośliny, którą Jakuci nazywają „sardaną“ i malutkie stworzenia, rodzaj polnych myszy, których wszędzie pełno. Sardana suszy się, rozciera na proszek, gotuje w wo-

dzie — i z tego tworzy się zupa, do której dodają kawałek sera, lub trochę mleka. Nieprzyzwyczajonemu człowiekowi bardzo ciężko nocować w jurcie jakuckiej. Nędza jest tak przerażająca, że człowiek cały zdenerwowany zostaje.

Zadziwia jednak gościnność tych biedaków, która w miarę postępu ku północy zwiększa się.

Każdy podróżny wchodzi do niezamkniętej nigdy jurty, rozpala sam ogień, jeżeli nie zastał gospodarza, bierze kociołek i zapraża sobie herbatę.

W jurtach honorowe miejsce przy ogniu pozostawia się zawsze dla gościa. Podróżnego ugaszczają wszystkiem, co tylko mają w chacie. Biedny gospodarz sam żywi się jak nędzarz, a dla gościa zostawi kawałek mięsa końskiego, lub pieczone myszy.

Zdarza się, że bogaci Jakuci rujnują się na gościnność, której nadużywają Moskale podróżujący.

Jakuci są obowiązani prawami żywić wszystkich podróżujących Kozaków i niebezpiecznych posieleńców.

Zdarza się, że i prywatni przejeżdżający, jak kupcy, zatrzymując się w jurcie, każą sobie dawać mleko, śmietanę i zamrożone masło, a jeżeli gospodarz odmówi, sami robią rewizyę i biorą co im potrzeba, nie pytając się.

Do cnót, któremi się odznaczają Jakuci nie można zaliczyć czystości. Kto raz widział, jak myją naczynia, temu odejdzie apetyt, chociażby był najbardziej głodny.

Po jedzeniu, po obiedzie przedewszystkiem, gospodyni wyjmuje kości, które rozdaje dzieciom, po-

tem wyskrobuje łyżką o ile tylko można resztki z kociołka, ale na ścianach kociołka i w kątach pozostały jeszcze ślady potrawy, których nie podobna zgarnąć łyżką. Temu tylko mogą zaradzić palce brudne, które oblizują, bo Jakuci bardzo rzadko się myją i to bez mydła. Palec już nic nie napotyka, ale można przypuszczać, że jeszcze jest coś, trzeba więc do tego użyć języka, jeżeli kocioł większy to te czynności spełnia gospodyni, jeżeli mniejszy to oddaje je dzieciom.

Brudny dzieciak, wsuwa głowę do kociołka i oblizuje go naokoło. Teraz już można być pewnym, że nic się nie zmarnowało. Następnie Jakutka oddaje podróżnemu tak oczyszczony kocioł. Na stole jednak, gdzie obiadował podróżny zostały krople zupy; szkoda ich; mały dzieciak troskliwie zbiera je nożem i z niego oblizuje.

Wiosenne podróże na jeleniach są bardzo męczące, bo jelenie są słabe po przebytej zimie. Podróżny więc musi używać koni, lecz kto odbywając podróż po lodach, zaskoczony zostaje roztopami wiosennymi, temu zdarzy się nieraz zatrzymać w jakiej nędznej jurcie, w tajdze, w której nie znajdzie ani koni, ani chleba. Zdarza się, że przewodnicy opuszczają podróżnego w takich wypadkach, a temu pozostaje tylko uzbroić się w cierpliwość i o głodzie czekać nadejścia lepszej pory. Męczarnie tego oczekiwania, powiększa niewiadomość, jak długo jeszcze potrzeba czekać, tydzień czy całe miesiące, a tymczasem zapasy podróżne znikają i grozi śmierć z głodu.

W końcu maja śnieg zaczyna tajać i cała natura ożywia się. — „Dziś — mówią Jakuci — powinien opuścić swój barłog „Dziaduś“ — rozumiejąc pod tą nazwą niedźwiedzia — a za trzy dni zacznie on już ryczeć.

Na śniegu tającym pokazuje się cienka pajęczyna, wydana przez małego pajączka „mizgir“. Ciepło dochodzi do 5 stopni Celsiusa. Nocy niema, bo chociaż słońce spuszcza się na jakie 3 godziny, promienie jego brązowe nie gasną i powietrze tak jasne, że o północy można czytać swobodnie. Jeżeli nakoniec w drugiej połowie maja uda się podróżnemu opuścić swoją jurtę, to zostaje w podziwie, jakim sposobem Jakuci potrafią wynaleść drogę.

Zimową porą można dostrzedz chociaż lekkie ślady nart, teraz zaś nic nie widać. Wszędzie tajga, wszędzie gęsty mech, na którym nie odbijają się żadne ślady; niekiedy tylko można dostrzedz na drzewie lekkie nacięcie toporem, prawie niewidoczne, tak ono zasklepiło się żywicą. Gdzie niegdzie wiszą na gałęzi rogi jelenie, (mnóstwo takich poniewiera się po ziemi) albo sterczy kij z wetkniętym rogiem. Są to jedyne drogowskazy, którymi posiłkuje się przewodnik.

W górach droga prawie niepodobna do przebycia. Co chwila trzeba zsiadać z koni i prowadzić je ostrożnie pod urwistą górę, lub sprowadzać po wązkiej ścieżynie góry z wielką ostrożnością, żeby nie runąć w przepaść. Pomimo tego, co kilkanaście kroków konie padają w wyrwy, zasłane śniegiem. Wtedy potrzeba zdjąć pakunki z konia, wydźwigać go i zachęcać do dalszej drogi. Za kilkanaście mi-

nuț ten sam wypadek powtarza się znowu. Droga staje się na pozór niemożebną do przebycia. Przed nami wznosi się góra, której wierzchołek rozsypał się z przyczyn nieznanych. Cała jej podstawa zasypana ogromnymi kamieniami. Niektóre sterczą jak kolumny, inne rozrzucone, rozsuwają się pod nogami, a pomiędzy nimi zasypane szpary śniegiem. Niekiedy wązka ścieżka wije się, mając z jednej strony pionową skałę a z drugiej przepaść, na dnie której szemrze spieniony strumień wody.

Z wierzchołka góry spadają strumienie, czyniąc przerwy i strasząc konia swoim szumem. Niskie krzewy plączą się swojemi gałęziami pomiędzy nogami koni — a nad głowami podróżnych, na wierzchołku góry, wiszą ogromne odłamy skały, które często spadają i gniotą wszystko co napotkają na drodze. W wielu miejscach potrzeba wdrapywać się na czworakach, chwytając się gałęzi roślin kolczastych, które przekłuwają rękawice i ranią dłonie. Niekiedy trzeba przeskakiwać z kamienia na kamień, gdzie łatwo można złamać nogę lub skręcić szyję. W takich razach trzeba prowadzić konia za sobą; zatrzymywać się nie można, gdyż za tobą idzie drugi koń, który może cię uderzyć swoją mordą i zrzucić w przepaść.

W drodze z Jakucka do średniego Kołumska potrzeba przebywać kotlinę **Eller-Sibit**, co właściwie znaczy „zabójca“. Oto przyczyna tej nazwy:

W roku 1682, w październiku, Jakuci zrobili próbę ostatniego wyzwolenia się z niewoli rosyjskiej. Do nich przyłączyło się wielu rozkolników i kozaków. To powstanie zakończyło się ogólną ich

klęską. Wódz powstania, Dżennik, został ranny i wzięty do niewoli. Straszne sceny barbarzyńskich kar roztoczyły się nad nieszczęśliwymi. Resztki powstańców schroniło się na północny-wschód za rzekę Jenę.

Wojewoda zebrał resztki pozostałych Jakutów, utworzył silny oddział z kozaków i pieszych żołnierzy i postanowił ścigać i wytępić do ostatniego zbiegów. Lecz tu niespodziany nastąpił wypadek. Plemię Łamutów silnie obsadziło niedostępny wąwóz **Eller-Sibit** i postanowiło drogo sprzedać swoją wolność.

Kiedy wojska rosyjskie znalazły się w wąwozie posypał się na nich ze wszystkich stron grad kamieni. Staczano całe skały, a chmara strzał z łuków, zakończonych mamutowemi grotami, zaciemniała powietrze i kładła trupem całe szeregi nieprzyjaciół. Łamuty, ukryci za skałami, nie mogli być dosięgnięci strzałami z ręcznej broni kozackiej. Nastąpił popłoch i wejście do wąwozu zostało zatarasowane zepchniętemi skałami. Wtedy Łamuty uzbrojeni w dębowe pałki, nabite krzemieniami i kośćmi mamutów, jak lawa spłynęli z gór i wymordowali wszystkich, oprócz trzech Jakutów, którzy uciekli.

W tym wąwozie prawie ciągle szumi wiatr i wydaje dzikie dźwięki. Dzisiejsi mieszkańcy twierdzą, że to są głosy poległych, których dusze błąkają się po wąwozie, szukając na próżno wyjścia.

Po tem zwycięstwie Łamutów, wielka moc broni i innych skarbów była nagrodą ich męstwa. Nie wiedzieli jednak, jak z nią się obchodzić. Wszystko

ich dziwiło i nie mogli odgadnąć do czego służyły bochenki chleba, który znaleźli, bo takowego nigdy nie używali.

O jaką milę płynie rzeka „**Hod-roj**“. Na jej dnie często znajdują się kawałeczki złota. Tutaj napotkaliśmy karawanę kołymskich kupców wracającą do Jakucka. Karawana duża, bo mająca przeszło 150 do 200 koni, obciążonych towarami, po większej części drogimi. Niektóre konie dźwigały kły mamutów, niekiedy tak wielkie, że żadne muzeum europejskie nie posiada podobnych.

Kupiec kołymski, to typ zupełnie nieznanego człowieka. Jest to koczownik syberyjski. W czasie zimy wyjeżdża on z Jakucka do średniego Kołymska i przybywa tutaj w marcu. Po trzech tygodniach puszcza się dalej do Niższego Kołymska — a stąd do Aniuj na jarmark.

Tutaj zamienia wódkę i herbatę, którą przywiózł, na futra bobrów, soboli, lisów i niedźwiedzi. W maju powraca do średniego Kołymska, a stąd do Jakucka. Tym sposobem cały rok koczuje w podróży — ale podróże te opłacają mu się sowicie.

Opowiadał mi jeden kupiec te operacye, i tak naprzykład:

Na jednego konia nakłada zwykle sześć wiader spirytusu (20 garncy), który kosztuje 90 rubli. Wynajęcie konia na jednę podróż 10 rubli, transport 1 rb. Tym sposobem ładunek jednego konia kosztuje 101 rubli. W średnim kołymsku spirytus dobiera się wodą. Najuczciwszy dolewa drugie tyle wody, ale pospolicie nierównie więcej. Kwartę tak dobranej wódki sprzedaje się w Kabaku po 3

ruble. Z jednego konia ma 240 butelek po 3 ruble, razem 720 rubli — ma więc czystego dochodu na jednym koniu 619 rubli. A że prowadzi kilkadziesiąt koni, możemy więc obrachować jakie ciągnie zyski.

Sprzedając wódkę za gotowe pieniądze, powiększa kupiec sześć razy swój kapitał — lecz pospolicie dopełnia się zamiany na mąkę kozacką, którą kozacy pobierają ze skarbu, co jest jeszcze korzystniejsze.

Kozacy oddają swoją mąkę kupcowi, rachując zwykle po 5 rubli za pud, a kupiec w tej samej chwili sprzedaje mąkę do rządowego magazynu po 14 rubli za pud — a intendentura liczy rządowi po 24 ruble za pud, co potwierdza kupiec swoim podpisem.

Tym sposobem wszyscy robią dobry interes. Kozacy sprzedający mąkę, której mają do zbytku, kupiec, dający okowitę i czynownik, nabywający napowrót mąkę, którą da drugi i trzeci raz wojsku. Resztę wódki niesprzedanej kupiec prowadzi na jarmark do Aniuj. Tam dolewa się dwie trzecie wody, zaprawia sokiem tytoniowym i sprzedaje się butelkę po 6 rubli. W zapłacie kupiec przyjmuje bobrową skórę za półtorej butelki, którą w Jakucku sprzedaje za 25 rubli. Nic więc dziwnego, że jeżeli kupiec nie ciska tysięcy na karty i kobiety, to odbywszy dwie lub trzy podróże, staje się bogaczem.

Miesiąc ten nazywa się po Jakucku „Burdachija“, to jest miesiąc komarów. Przez cały ten miesiąc nie można ani na chwilę zdejmować z twarzy

osłaniających siatek, ani skórzanych rękawiczek. Nad podróżnymi unosi się chmara komarów. Biały koń zamienia się na czarnego, po którym spływają strugi krwi. Z początku koń spina się, staje dęba, rzuca się na ziemię, ale w końcu widząc niepodobieństwo uwolnienia się od tej tyranii, poddaje się losowi. Postępuje ze spuszczoną głową, a oczy jego wyrażają jakby obłąkanie. Szyja i pierś konia cała we krwi. Komar pije krew do odurzenia, tak długo, aż cały jego brzuch rozszerzy się jak u pająka i zamieni w czerwony pęcherz. Wtedy wyjmuje żądło, pełza jak pijany po zwierzęciu, odpoczywa i wkrótce na nowo zaczyna pompować w siebie krew.

Siatki na twarz, rękawiczki i grube ubranie, mało zabezpieczają człowieka. Nie pojmiesz, jakim sposobem wcisnął się pod siatkę i wkrótce czujesz ukąszenie w twarz, oczy i uszy. Bronisz się rozpaczliwie.

W czasie popasów, podróżni zakładają dwie dymokury i w obłokach dymu można dopiero trochę odetchnąć. Biedne konie cisną się w dym, całą noc stoją i prawie nic nie jedzą.

Co za raj rozkoszny sprawiają dymokury trudno powiedzieć! — Jeżeli nocleg nastąpił w jurcie, w takim razie u drzwi jurty zakłada się dymokury z nawozu bydlęcego. Jurta napełnia się duszącym i smrodliwym dymem. Oddychać można tylko leżąc na ziemi z twarzą do podłogi. U drzwi brzęczą nieustannie komary, które nie mogą przebyć zaklętego koła, ale jeżeli na chwilę dym zmniejszył się, tłumy rozbójników wdzierają się do chaty i w je-

dnej chwili pokrywają twarz i ręce podróżnego. Jeżeli wypadnie nocować na błotach, jak to ma miejsce od stacyi **Keń-kel** do **Andylacha** to przez trzy noce nie można usnąć ani na jedną minutę.

Rzeka Kałyma jest bardzo rybną. Na jej brzegach żyją Jakuci rybacy, w budach zbudowanych z ziemi. Z wiosną, przed rozpoczęciem rybołóstwa, Jakuci wzywają Szamana, żeby złożył ofiarę bóstwu **Dajdyn-Agete**. Przedstawia go stara baba zgrzybiała, z wieloma dziećmi. Jeżeli ją nie uproszą, ona rozrywa sieci i straszy ryby. Bóstwo to wygląda z postaci na wielkiego szczupaka, z wielkiem jednem okiem. Szaman przeciąga sznur z końskiego włosienia przez rękę i do niego przywiązuje podarunki wszystkich obecnych, składające się z garstki tytoniu, z łuku ze strzałami, pierza z ptaków itd.

Przez cały pierwszy dzień, Szaman robi zaklęcia, do czego mu pomagają trzy stare baby. Na drugi dzień Szaman w łodzi, w towarzystwie mieszkańców, udaje się na jezioro i tam spuszcza do wody podarunki. Dopiero po dopełnieniu tego obrzędu rozpoczyna się rybołóstwo.

Na brzegach ogromnego jeziora, koło Kołymska leżą sterty ryb złowionych. Tym rybom ucinają łby i ogony a mięso oddzielają od kości i suszą na słońcu. Potem wędzą nad dymem i zbierają w garnki tłustość spływającą, która stanowi okrasę ich potraw. Wnętrzności składają w oddzielne kotły i smażą je na codzienny użytek. Dla Jakutów czas połowu jest również uroczysty jak winobranie dla mieszkańców południa.

W czasowych jurtach rybaków znajdują się maleńkie drzwi zasłonięte skórą z jelenia. Całe ściany, kąty i pułap są zawieszone wysuszonemi rybami. W jednym kącie stoi na włosiennym sznurze uwiązany malec. Przeszkodził on matce w robocie i teraz cierpi. Spogląda miłosiernie na wchodzącego podróżnego, jak by go błagał o wypuszczenie.

Jeżeli podróżny wszedł do jurty, gospodarze rozpoczynają rozmowę ochoczo, opowiadają o połowie, o komarach i kupcach, którzy przyjechali itp. Tymczasem na stole zjawia się herbata, którą podróżny przywiózł z sobą. Teraz musi on prosić każdego z osobna do picia, gdyż oni są tak delikatni, że nie zaproszeni osobiście, nie przystępują do uczty.

Wywdzięczając się ze swej strony za to zaproszenie, Jakuci wydobywają, co mają najlepszego w jurcie i zastawiają przed gościem. Zjawia się więc „**Hirczek**"; jest to rozbita śmietana, jakieś pieczone placuszki w miejsce chleba, wędzona ryba, smażone wątróbki z ryb, a na deser „**Soro**", kwaszone mleko, zaprawiane korzeniami, jakichś roślin. Przyjęcie takie, rozumie się, jest tylko w jurcie zamożnego Jakuta. Za to podróżny wywdzięczając się, zostawia cegiełkę suszonej herbaty i trochę tytoniu.

Bardzo często koło Kołymska, napotkać można niedźwiedzia. Idzie np. karawana wązką ścieżką wśród zarośli, złożona ze 150 koni; raptem przewodnik zatrzymuje ją — i woła:

— „**Tuguj!**"

— Co to znaczy? — zapytuje podróżny.

— **Uła — Tajan mana!** — Tu stoi potężny pan — odpowiada idący na przodzie. Temi słowy nazywają niedźwiedzia.

Z tajgi wyszedł niedźwiedz, usiadł na poprzek ścieżki na zadnie łapy, pokazuje zęby i nie spuszcza oczów z karawany.

Wtedy Jakut najwymowniejszy zsiada z drżącego całem ciałem konia, zdejmuje czapkę, podchodzi na kilkanaście kroków do władcy, przyklęka i ma do niego przemowę taką:

— Uła — Tajan, my wiemy, że ty jesteś jedynym panem tych miejsc, ale my przyszliśmy nie dlatego, aby cię obrazić, albo zabierać twoje władztwo, ale dla tego, że droga nam koniecznie tędy wypadła. Bądź więc tak dobry Uła—Tajan, nie gniewaj się i przepuść ludzi zmęczonych długą drogą.

Tymczasem inni Jakuci układają na ścieżce duże kupy gałęzi, zapalają je, kładą się obok nich i składając ręce, krzyczą:

— **Uła—Tajan abra!** (przebacz nam potężny panie! przebacz!)

Niedźwiedź pospolicie daje się uprosić, powstaje, kicha od dymu i mrucząc, oddala się.

Biedny ten lud, obłożony jest podatkiem dawania skór z ubitej zwierzyny, ale najbardziej ugniatającą powinnością jest ukaz nakazujący im utrzymywanie **„chajłaków“** (zesłańców-zbrodniarzy), wyrzutków społeczeństwa, których mają obowiązek albo karmić po kolei po całych tygodniach, albo też urządzać im gospodarstwo.

Ciężar ten niejednakowo dotyka wszystkie okręgi gubernii. I tak: w Olekmińskim okręgu, chajłak nie utrzyma się na miejscu przeznaczenia. Najprzód stąd niedaleka **„Długa droga”** tak aresztanci nazywają podróż z Jakucka do Tomska i posieleniec opuszcza miejsce przeznaczone na posielenie i puszcza się na włóczęgostwo. Po drugie, stąd niedaleko rozciągają się kopalnie złota, mające nieprzezwyciężony urok dla wszystkich. Tam często udają się włóczędzy, szukając szczęścia.

Kiedy takiego posieleńca przyprowadzą do wsi i zostawią, on wchodzi w układy z mieszkańcami, obiecuje im oddać się na opłatę i zbiedz ze wsi. Umowa prędko się zawiera. Pospolicie dają mu krąg masła, półtory puda mąki i pięć rubli gotowych pieniędzy z warunkiem, żeby się wynosił z ich wsi jak najprędzej.

W oddalonych zaś miejscach, jak w okręgach Jakuckim, Wiluńskim, gdzie jest prawie niemożebna ucieczka na pustyni, aresztant z wolą, czy bez woli musi żyć z mieszkańcami wsi.

Wówczas następują piekielne stosunki pomiędzy nimi. Człowiek ten niema nic do stracenia, nikogo się nie boi i tyranizuje mieszkańców.

W okręgu Jakuckim mieszkańcy trzymają dużo bydła, a wskutek bliskości miasta, takie tanie towary są, jak herbata i tytoń. Pomimo tego posieleńcy strasznie są dla nich uciążliwi i ich budżet bardzo obciążają.

W tym bogatym niby okręgu, mieszkańcy żywią się często **tartą sosnową korą, do której na cały garnek dolewa się trochę mleka.** Posieleńcowi zaś

muszą dawać inne jedzenie, bo on powiada: **„jestem lepszy i takiej strawy jeść nie chcę“.**

W Jakuckiej gubernii jest 4,000 posieleńców-kryminalistów. Tym sposobem utrzymanie ich przez rok kosztuje Jakutów 384,000 rubli. Mówiąc innymi słowami każda familia Jakucka wydaje rocznie na zbrodniarzy 20 rubli. Po większej części jest to połowa całego dochodu rocznego gospodarza. Oprócz tego trzeba dodać, że Jakut obowiązany jest dać posieleńcowi kawałek urodzajnej ziemi pod uprawę, której odpowiedniej do tego sam posiada bardzo mało.

W Jakucką gubernię wyprawiają najgorszych, najzatwardzialszych zbrodniarzy, po większej części tych, którzy już kilka razy uciekli i zostali schwytani. Taki człowiek, znalazłszy się sam wśród ludzi, którzy nie rozumieją ani jednego jego słowa, popada prawie w szaleństwo.

Na mieszkańców patrzy jak na zwierzęta, z któremi ruskiemu człowiekowi nie wypada sobie robić żadnych subjekcyi.

On jest przekonany, że wyrządza zaszczyt swoją osobą **„psu jakuckiemu“**, kiedy pozwoli się żywić jęczmiennymi plackami, a nie chlebem, którego sami nie używają.

— Co tu robić z tymi psami jakuckimi — powtarza. Oni nas poją kirpiczką (cegiełka sardana) herbatą tylko. Ja w Rosyi nie znałem nawet kirpicznej herbaty — a tutaj te podłe Jakuty mnie nauczyli pić tę podłą lurę.

Ciągnie się życie ciężkie dla obydwóch stron. Jakut patrzy na posieleńca jak na gadzinę, jak na

dzikiego zwierza, który go niszczy — i od którego trzeba pilnować żonę i córki. A z drugiej strony, posieleniec wśród nich, nie rozumiejących go, uważa się za nieszczęśliwszego jak w katordze, jak w sekretnej kazamacie.

W bliższych stronach gubernialnego miasta, taki posieleniec czuje nad sobą niejako uzdę władzy i miarkuje swoje namiętności do ich miary — lecz w dalszych jak w Wirchniejemskim okręgu, który oddzielony jest wysokim pasmem gór od Jakucka, staje się nieograniczonym despotą. W miejscowości, w której granicami są polarne okolice i lodowaty Ocean, w której na przestrzeni 950,000 kwadratowych mil, żyje zaledwie 13 tysięcy ludzi, w której ziemia latem odtaiwa od mrozu zaledwie na 6 do 6 werszków, w której jeden mieszkaniec przypada na 73 kwadr. mil, samowola człowieka zdecydowanego na wszystko, może być straszna. Jakuci pozostali, niewytępieni po swojej ostatniej rewolucyi w XVIII wieku, mają w pamięci straszne barbarzyńskie kary, spełnione na ich przodkach i ich wodzu **Dżenniku**. Każde dziecko je zna i opowiada i drży przed każdym Moskalem.

Wspomnienia te wycisnęły taką grozę na całą ludność, że tem tylko można sobie tłómaczyć pokorne poddanie się ich dzisiejszej samowoli byle chajłaka.

Mieszkający w Wierhajańskim okręgu nad bezrybną w tem miejscu rzeką Jeną, w ziemi nie odpowiedniej do uprawy, bydła trzymają mało, a stąd pożywienie ich jest bardzo nędzne. Żywią się pospoliście korzeniami „**sardana**” i polowemi myszami.

W takim to kraju przemieszkiwać musiałem wśród posieleńców kryminalnych, z których wielu już po trzeci raz za zbrodnie byli tu zesłani.

Taki posieleniec zjawia się tu rozzwierzęcony, bez żadnej nadziei osłodzenia swego losu, bez nadziei jakiejkolwiek ulgi. Mieszkańcy wsi drżą przed nim a on ich nienawidzi.

Każdemu takiemu posieleńcowi Jakuci obowiązani są dawać 2 pudy mięsa na miesiąc, jeden i pół puda mleka, 30 pud. zamrożonej śmietany i jeszcze obowiązani mu dostarczać drzewo na opał, a on nic nie robi. Wszystko to podług miejscowych cen wynosi miesięcznie 12 rubli — ale to jeszcze nie wszystko. Dla każdego posieleńca obowiązani są postawić jurtę, dać konia i krowę, a to warte 80 rubli. Ci biedni ludzie przymuszeni ponosić ten ciężar, chociaż sami żywią się korą, korzeniami i polnemi myszami.

Jakut nie odezwie się inaczej do chajłaka jak „panie“ a ten do niego: „ty psie jakucki“.

Straszna rozpacz opanowywa chajłaka. Jest przedzielony górami i błotami od świata mu drogiego. Lato przepędza jeszcze jako tako, lecz kiedy nastąpi długa, polarna noc, która przygniata człowieka i roznerwowuje go, to wtenczas, kiedy nawet inteligentny człowiek, porzucony tutaj, nie wie jak walczyć z gnębiącą go tęsknotą, posieleniec staje się strasznym.

On tak nienawidzi Jakutów i tak nimi gardzi, że nie stara się nauczyć ich języka, chociażby żył pomiędzy nimi całe lata.

Oto przykład:

W Kołymskim okręgu był posieleniec, Hochuł Pawłow, już od 18 lat. Umiał tylko po Jakucku „psie Jakucie” i odpowiadał „nie rozumiem“ i pokazywał na ucho.

Im dłużej taki chajłak przebywa wśród pustyń, tem staje się nieznośniejszym tyranem.

Nakoniec Jakutom braknie niekiedy cierpliwości i objawia się męstwo rozpaczy. Całą gromadą rzucają się na niego, wiążą go i odstawiają do miasta okręgowego jak np. w następującem zdarzeniu:

W Kołymskim okręgu żył posieleniec Tatar. Razu jednego został sam w jurcie z dziecięciem, mającem rok jeden. Rozgniewany o coś, schwycił je za nóżki i wrzucił do nastawionego w kotle waru wrzącej wody. Kiedy wbiegła matka, Tatar stał spokojnie przy ogniu i jedną ręką popychał dalej w war ciało dziecięcia, a drugą zapalał sobie fajkę.

Jakuci związali go i odwieźli do starego Kołymska a następnie do Jakucka, gdzie sąd skazał go na 12 lat katorgi—a on uważał to sobie za lżejszą karę, jak przebywanie z Jakutami.

Im dalej na północny-wschód, tem kraj biedniejszy, tem bardziej posieleńcy stają się strasznymi. W Kołymskim okręgu na 600,500 kwadr. mil żyje zaledwie 6,000 ludzi. Zdaje się, że na całym świecie niema strony bardziej bezludnej — a do tego straszna choroba ospy wytępia ludność.

Obyczaje kraju zupełnie pierwotne. Gdzie niema chajłaków, tam nie znana kradzież ani rozboje lub zabójstwa.

W samym Kołymsku chajłaków nie osiedlają, i dla tego w samem mieście nikt nie zna co to zamki lub kłódki. Można tam zostawić swój zegarek na ulicy i nikt się go nie dotknie. Posieleńcy przynieśli i zaszczepili tu występki, których nawet nazwy nie znali Jakuci.

Bardzo rzadko posieleniec weźmie się do jakiej roboty.

Posieleńcy rujnują biedny naród Jakucki. Oto przykład:

Najwięskza wieś w Kołymskim okręgu Kresty, nad rzeką Kołymą, ma 9 domów zamieszkałych przez Jakutów. Przysłano tam posieleńca Titowa, ogromnego chłopa, mającego około 40 lat. Natychmiast po przybyciu zażądał, żeby mu postawili chałupę i urządzili całe gospodarstwo złożone z 12-tu psów zaprzężonych; w przeciwnym razie groził, że spali całą wioskę. Wszystko, czego żądał, dali mu, a jak obliczali Jakuci, wszystko to wyniosło około 300 rubli. Takie gospodarstwo mało kto miał z mieszkańców Kresty.

Ale to wszystko było mu za mało. On zażądał, żeby mu łowili ryby, bo on **w Rosyi nie przywykł nóg moczyć, żeby jemu dawali herbatę, która w Krestach kosztuje 4 ruble i oleju i mięso i sieci do łowienia ryb.** Dali mu i to. Swoich sieci, dostarczonych mu na ryby, on nie chciał zastawić, bo twierdził: **czy mnie na to tutaj przysłali, żeby ja swój majątek niszczył?**

Potrzebne mu ryby brał, nie pytając się, z chałup biedaków i psy swoje karmił wybornemi ryba-

mi Jakutów. Następnie w średniem Kołymsku sprzedał swoje sieci i zażądał od wsi nowych.

— Gdybyż on chociaż mówił jak człowiek — mówili Jakuci — ale nie usłyszysz od niego nic oprócz przekleństw i wymyślań. Z psami my się tak nie odchodzimy jak on z nami.

Udali się na skargę do isprawnika, prosząc, żeby Titowa przeniesiono gdzieindziej, bo oni gotowi wieś opuścić i uciec w tajgę.

W niższym Kołymsku jest 18 chałup zamieszkałych przez Jakutów, którzy żywią 14 chajłaków. Trudno uwierzyć, ale to jest prawda, że Jakuci są niewolnikami chajłaków.

Poddani ci muszą wystawić swojemu władcy chatę, kupić psy zaprzęgowe, a sami biedacy nie nają porządnej chaty, ani dobytku. Wszystko, co oni zarobią, zjadają i przepijają chajłaki. Jakut pracuje całe lato, żeby zaopatrzył chajłaka w sieci do łowienia ryb, które tęn w jesieni zamienia u kupca na butelkę wódki (butelka wódki w niższym Kołymsku kosztuje 6 rubli.)

Poddańczak nie może swobodnie żyć w swojej jurcie; musi posyłać żonę i dzieci na zarobek do jakiegoś bogatego, u którego nie co dzień może się pożywić cuchnącą rybą — a tymczasem pan posieleniec żąda, żeby jemu kupowali cukier do herbaty, który tam kosztuje 1.50 rs. za funt.

— Bo on nie dlatego przysłany tutaj, żeby pić herbatę bez cukru.

Te zwyczaje już tak się rozpowszechniły, że nawet ci z posieleńców, którzy już wyszli na wol-

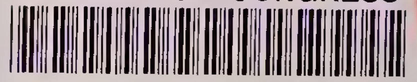
ność i mają dobre miejsce pisarzy, żądają od Jakutów wszystkiego.

Smutniejszego położenia mieszkańców trudno sobie wyobrazić na całym świecie. Niby nie płacą podatków a w miejsce ich utrzymują posieleńców, lecz ci ich gnębią więcej jak najsurowsze podatki.

(Dalsze kartki rękopismu były zupełnie zniszczone i nieczytelne).

KONIEC.




LIBRARY OF CONGRESS
0 020 709 448 1